

Legendarny dowódca oddziałów specjalnych, jeden z największych twardzieli w dziejach Ameryki, doradca prezesów korporacji i autor książek ze szczytów listy bestsellerów, „New York Timesa” - Richard Marcinko. Człowiek, który poświęcił życie marynarce wojennej, a swoje umiejętności potwierdził akcjami

To jemu powierzono zadanie stworzenia SEAL Team Six — drużyny najlepszych komandosów świata, która w 2011 zasłynęła operacją likwidacji Osamy Bin Ladena.

Richard Marcinko to postać kontrowersyjna - przez jednych uwielbiany, a przez innych znienawidzony. Odznaczony najważniejszymi medalami i orderami za odwagę, a jednocześnie krytykowany za zbyt drastyczne metody. Oskarżany o oszustwa finansowe i zapraszany do szkolenia menedżerów Motoroli i General Motors. Choć nic nie wyszło z filmu o jego burzliwych losach (planował go producent Piratów z Karaibów Jerry Bruckheimer), Marcinko pomagał jako konsultant na planie G.I. Jane

W postać Marcinki w grze komputerowej Rogue Warrior (zainspirowanej Komandosem) wcielił się sam Mickey Rourke.

w czasie wojny w Wietnamie.

i serialu 24 godziny.

W pisaniu wspomnień pomógł Marcince autor bestsellerowych thrillerów John Weisman, uznawany za mistrza w przedstawianiu mrocznych sekretów CIA i służb specjalnych.

RICHARD MARCINKO,

**KONTROWERSYJNY TWÓRCA SEAL TEAM SIX, POGROMCÓW BIN LADENA,
ZDRADZA KULISY SWOJEJ NIEZWYKŁEJ KARIERY W SIŁACH SPECJALNYCH.**

MIEJSCE: wyspa Vieques, Morze Karaibskie **ZADANIE:** obezwładnić 40 uzbrojonych terrorystów, odbić zakładnika i odzyskać skradzioną broń jądrową

ODDZIAŁ: SEAL Team Six **DOWÓDCA:** Richard Marcinko

Z RAPORTU MISJI: Podczas desantu nie otwiera się spadochron dowódcy. Zapasowy spadochron również nie zadziałał. Odległość od ziemi: 3500 metrów. Marcinko nie ma więcej

spadochronów...

Tak rozpoczyna się książka jednego z najniezwyklejszych amerykańskich komandosów.

Richard Marcinko pisze tak, jak działa: od razu wciska gaz do dechy i nie zwalnia do ostatniej strony. Od opisu pierwszej misji SEAL Team Six, poprzez walkę z Wietkongiem i starcia z waszyngtońską administracją do kulisów tajnych operacji w najbardziej zapalnych punktach świata.

Kontrowersyjny i nieprzebiegający w środkach Marcinko nie udaje, że wojna jest zabawą dla chłopców z dobrego domu. Nie może taka być, bo po drugiej stronie są prawdziwi dranie.

„W Wietnamie to w boju dowiadywałem się, kto potrafi zabijać, a kto nie. Ale to było przed piętnastu laty, a spośród członków SEAL Team Six mniej niż połowa miała jakiegokolwiek doświadczenie bojowe. Wobec tego był tylko jeden sposób, by się przekonać, kto pociągnie za spust, a kto zastygnie w bezruchu. Sposobem tym było zagranie tej akcji i sprawdzenie, kto wykonał zadanie, a kto nie. W końcu wojna to nie nintendo. Wojna to nie supertechnologia i zabawki dla dużych chłopców. Wojna to zabijanie”.

... . A

Komandos pokazuje, jak się tworzy najskuteczniejszy oddział sił specjalnych - elitę elit przedstawioną w bestsellerowym Snajperze.

konflikty.pl Militaria.pl

portal historyczno - militarny Shooting & Outdoor

Cena detal. 39,90 zł

ISBN 978-83-240 1673-0

9 788324 016730

www.zriak.com. 71 EB7*mj.M:l IJŁ-.J:B>

generał SŁAWOMIR PETELICKI poleca

„Rozkazy, które przekazał mu szef operacji morskich Thomas Hayward w dniu, kiedy Marcinko objął dowództwo nad SEAL Team Six, były krótkie, niemal szorstkie. Usłyszał, że ma niecałe sześć miesięcy na doprowadzenie nowej jednostki do stanu gotowości bojowej. Otrzymał rozkaz wykonania zadania bez względu na koszty osobiste i zawodowe.

- Dick, nie nawal - tak powiedział Hayward.

By osiągnąć ten cel, Marcinko napisał na nowo całość zasad rządzących działaniami niekonwencjonalnymi i przygotowującym do nich szkoleniem. Szedł na skróty, nadeptywał na odciski. Wyłudzał i podlizywał się. Groził, a czasem nawet terroryzował. [...]

Marcinko nigdy się niczego nie wypierał. Wkrótce po naszym spotkaniu zapytałem go, czy cała ta litania wykroczeń przeciwko systemowi, o które oskarża go marynarka, to prawda.

- Absolutnie tak - powiedział. - Winny bez wątpienia. Winny tego, że ponad wszystkie inne wartości przedkładałem integralność oddziału. Winny tego, że swoich ludzi ceniłem wyżej niż biurokratyczne bzdety. Winny tego, że wydawałem tyle pieniędzy, ile tylko potrafiłem zdobyć, na jak najlepsze wyszkolenie moich ludzi. Winny tego, że szykowałem się do wojny

zamiast do pokoju. Wszystkiego tego rzeczywiście jestem winny. Mea culpa, mea culpa, mea maxima pier***ona culpa.

Historia Dicka Marcinki wciąga jak dobra powieść - ale to coś więcej. To skłaniająca do refleksji kronika amerykańskiego bohatera: żołnierza i jego dziedzictwa, wciąż żywego w ludziach, których % szkolił, którymi dowodził i dla których był inspiracją".

Z Przedmowy Johna Weismana

Twórca legendarnego SEAL Team Six komandor Dick Marcinko to prawdziwy wojownik, który nie bał się nikogo!

Gdy pokazał luki systemu bezpieczeństwa > USA, naraził się odpowiedzialnym za to politykom. Z pewnością ma wady, jak każdy człowiek, ale jego podwładni, ' , > zf którymi działałem, poszliby za WĘfo"" • nim w ogień!"

SŁAWOMIR PETELICKI,

generał GROM-u

Weisman John

KOMANDOS

Przy Marcince Arnold Schwarzenegger wygląda jak Mały Książę

„The New York Times Book Review"

W trosce o ochronę źródeł i metod sił specjalnych niektóre nazwiska, miejsca i ramy czasowe zostały zmienione. Zmodyfikowano również szczegóły taktyczne oraz chronologię, by nie ujawniać technik stosowanych przez oddziały specjalne.

„Nie jest ważny krytyk [...]. Liczy się tylko ten, kto znajduje się w centrum wydarzeń; ten, [...] kto walczy dzielnie, kto nieustannie popełnia błędy i zawodzi [...]; kto, gdy zwycięża, doświadcza poczucia triumfu związanego z wielkim osiągnięciem; wreszcie ten, kto, gdy ponosi porażkę, ponosi ją na skutek podjęcia wielce śmiałego działania [...]".

Theodore Roosevelt

„Gdybyśmy nie byli szaleni, popadlibyśmy w prawdziwy obłąd".

Jimmy Buffett

Przedmowa

;

W całych dziejach US Navy nie było żołnierza tak niekonwencjonalnego jak Dick Marcinko.

O jego niezwykłych zdolnościach najlepiej być może świadczyło to, co wydarzyło się w sierpniu 1980 roku: szef operacji morskich Thomas Hayward zlecił trzydziestodziewięcioletniemu wówczas komandorowi porucznikowi Marcince zadanie wymyślenia, stworzenia, wyposażenia, wyszkolenia i poprowadzenia jednostki, która w opinii wielu osób jest najlepszym oddziałem antyterrorystycznym na świecie - SEAL Team Six.

Jego droga do dowodzenia Teamem Six była kręta. Marcinko był buntownikiem, rzucił naukę w szkole średniej, pochodził z rozbitej rodziny mieszkającej w zagłębiu węglowym Pensylwanii. Wstąpił do marynarki wojennej i z pracy w niej uczynił swój zawód, a z operacji specjalnych - swoją obsesję. Będąc napalonym młodym oficerem SEAL w Wietnamie, działał za linią wroga. Kiedy inni okopywali się za drutem kolczastym i workami z piachem, Marcinko wraz ze swoim plutonem - w czarnych piżamach i boso, mając za uzbrojenie zdobytą sowiecką broń i amunicję - tropił partyzantów Wietkongu w głębi ich własnego terytorium.

11

PRZEDMOWA

W ciągu sześciu miesięcy jego pluton SEALsów odbył niewiarygodną liczbę stu siedmiu patroli bojowych, których efektem było ponad stu pięćdziesięciu potwierdzonych zabitych i osiemdziesięciu czterech pojmanych partyzantów. W czasie dwóch okresów służby spędzonych w Wietnamie Marcinko zdobył następujące odznaczenia: Srebrną Gwiazdę, cztery Brązowe Gwiazdy z wyróżnieniem za waleczność w bitwie, dwa Medale Pochwalne Marynarki oraz wietnamski Krzyż Walecznych ze Srebrną Gwiazdą. Kiedy w latach 1973 i 1974 Marcinko był attache wojskowym marynarki wojennej w Kambodży, wsławił się takimi wyczynami jak bodysurfing za łodzią patrolową na rzece Me-kong podczas zasadzki urządzonej przez Czerwonych Khmerów. Na walkach w Kambodży spędził dwieście dziewięćdziesiąt jeden dni i za swoje dokonania został odznaczony Legią Zasługi.

Marynarka wojenna była całym życiem dla Dicka Marcinki. Dała mu wykształcenie - tam ukończył szkołę średnią, zdobył tytuł licencjata, a nawet magistra, kończąc studia z zakresu stosunków międzynarodowych. Marynarka dała mu również śmiercionośny fach: stał się niekonwencjonalnym żołnierzem. Zasadzki, miny pułapki, egzotyczne rodzaje broni, skoki spadochronowe z dużej wysokości, podwodne akcje na terytorium wroga - we wszystkich tych kategoriach Marcinko jest wirtuozem.

Rozkazy, które przekazał mu szef operacji morskich Thomas Hayward w dniu, kiedy Marcinko objął dowództwo nad SEAL Team Six, były krótkie, niemal szorstkie. Usłyszał, że ma niecałe sześć miesięcy na doprowadzenie nowej jednostki do stanu gotowości bojowej. Otrzymał rozkaz wykonania zadania bez względu na koszty osobiste i zawodowe.

- Dick, nie nawal - tak powiedział Hayward.

By osiągnąć ten cel, Marcinko napisał na nowo całość zasad rządzących działaniami niekonwencjonalnymi i przygotowującym do nich szkoleniem. Szedł na skróty, nadeptywał na odciski. Wyłudzał i podlizywał się. Groził, a czasem nawet terroryzował. Jego grzech polegał na tym, że wierzył, że cel wart był tych środków. Jego pycha - na tym, że uważał, że ujdzie mu to na sucho.

12

PRZEDMOWA

I rzeczywiście, jeśli mówimy tu o Dicku Marcince jak o bohaterze (a uważam, że tak o nim mówić powinniśmy), to jest on bohaterem w klasycznym sensie tego słowa: żołnierska pycha Dicka była zbyt wielka dla niektórych na olimpie Pentagonu i dlatego kilku technokratycznych „bogów” z US Navy sprowadziło go dla przykładu w dół.

Tą konkretną tragiczną wadą, która przyczyniła się do upadku Marcinki, była jedna z jego najchwalebniejszych cech: lojalność. Zawsze był lojalny wobec ludzi, którymi dowodził, a nie wobec systemu marynarki, którego był częścią.

Marcinko nigdy się niczego nie wypierał. Wkrótce po naszym spotkaniu zapytałem go, czy cała ta litania wykroczeń przeciwko systemowi, o które oskarża go marynarka, to prawda.

- Absolutnie tak - powiedział. - Winny bez wątpienia. Winny tego, że ponad wszy/tkie inne wartości przedkładałem integralność oddziału. Winny tego, że swoich ludzi ceniłem wyżej niż biurokratyczne bzdety. Winny tego, że wydawałem tyle pieniędzy, ile tylko potrafiłem zdobyć, na jak najlepsze wyszkolenie moich ludzi. Winny tego, że szykowałem się do wojny zamiast do pokoju. Wszystkiego tego rzeczywiście jestem winny. Mea culpa, mea culpa, mea maxima pier***ona culpa.

Historia Dicka Marcinki wciąga jak dobra powieść - ale to coś więcej. To skłaniająca do refleksji kronika amerykańskiego bohatera: żołnierza i jego dziedzictwa, wciąż żywego w ludziach, których szkolił, którymi dowodził i dla których był inspiracją.

John Weisman Chevy Chase, Maryland październik 1991

Rozdział 1

;

Styczeń 1981

Ten pierwszy krok był ogromny - podeszwy moich butów od skarło-waciałej dżungli dzieliło prawie 6 kilometrów - ale nie miałem czasu, żeby o tym myśleć. Świeciło się zielone światło i jumpmaster pokazywał niezbyt wyraźnie w moim kierunku, więc posłałem mu uprzejmie buziaka i wstałem, żeby się poruszać - spacerkiem z głębi cuchnącej smarem rampy C-130, a potem nura w nocne niebo. Dokładnie tak, jak to robiłem już wcześniej ponad tysiąc razy.

Uderzył mnie lodowaty strumień zaśmigłowy znikającego nad głową samolotu. Spojrzałem w dół. Nic. Prawie 6 kilometrów do ziemi -jeszcze za daleko, żebym cokolwiek mógł zobaczyć na dole, i za daleko, żeby ktokolwiek z dołu mógł usłyszeć samolot.

Rozejrzałem się wokół siebie: zero widoczności. Właściwie czego się spodziewałem? Że zobaczę swoich ludzi? To też oczywiście było niemożliwe - nie używaliśmy żadnych świateł, nie mieliśmy na sobie żadnych odblaskowych elementów, a cali byliśmy ubrani w ciemne kamuflaże w tygrysie paski, niewidoczne w czerni

17

CZĘŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

spowijającej nasz cel, wyspę Vieques na Morzu Karaibskim daleko w dole.

Zacisnąłem pięść i zgąłem łokieć w geście milczącego triumfu. Dobra jest! Pierwsze osiem sekund tej operacji minęło absolutnie perfekcyjnie. Na razie byliśmy do przodu. Sprawdziłem wysokościomierz na nadgarstku i pociągnąłem linkę. Poczułem, jak spadochron wyskakuje z plecaka i zostaje w górze.

Uprząż szarpnęła mnie w górę w elastycznym podskoku, jaki zawsze towarzyszy naprężeniu linek spadochronu. I wtedy nagle ostro skręciło mnie w prawo, po czym zacząłem gwałtownie opadać spiralnie, nie mogąc tego opanować.

To tyle perfekcji. Spojrzałem w górę. Jedna z komór mojej błękitnej jedwabnej czaszy zapadła się pod wpływem bocznego wiatru. Szarpałem za linki sterownicze, żeby ją wytrzeć i pozwolić pędowi powietrza ją rozprostować, ale mi się nie udawało.

Nie ułatwiało sprawy to, że miałem na sobie prawie 45 kilogramów ekwipunku przypiętego do specjalnie zaprojektowanej kamizelki bojowej albo przymocowanego do munduru. Ciężar stanowił spory kłopot w rzadkiej atmosferze w czasie skoków HAHO - duża wysokość, wysokie otwarcie. Większość tego, co dźwigałem, to była broń. W kaburze na udzie tkwiła wykonana na zamówienie beretta 92-SF. Do niej jednaście magazynków amunicji: 165 nabojuów hydra-shok z wgłębieniem na czubku pocisku, wykonanych na zamówienie z dodatkową ilością prochu -coś takiego dosłownie urywało głowę trafionemu człowiekowi. Na pasie przymocowanym do ramienia miałem uwieszony specjalnie zmodyfikowany pistolet maszynowy HK - Heckler & Koch - MP5 z 600 nabojami z płaszczem i wgłębieniem na czubku w magazynkach po 30 sztuk.

Poza tym miałem i inne skarby: granaty hukowo-błyskowe i liniowe ładunki wybuchowe do dezorientowania wroga, lampy stroboskopowe i światło chemiczne do nakierowania

helikopterów do strefy zrzutu. Nożyce do cięcia drutu przydatne do pokonywania ogrodzeń. Dźwigałem też zestaw opracowanego przez nas zminiaturyzowanego sprzętu do łączności: na pasie miałem przypiętą bezpieczną krótkofalówkę

18

ROZDZIAŁ 1

Motoroli połączoną z mikrofonem przy ustach i słuchawkami, żebyśmy rozmawiając ze sobą, mogli jednocześnie się poruszać. Nie bawiliśmy się w żadne szeptanie w mankiet, jak to robią tajni agenci.

W górnej prawej kieszeni kamizelki bojowej miałem schowany satelitarny aparat nadawczo-odbiorczy, SATCOM, wielkości pierwszych telefonów komórkowych. Dzięki SATCOM-owi mogłem rozmawiać ze swoim szefem, generałem brygady Dickiem Scholtesem, który dowodził Połączonym Dowództwem Operacji Specjalnych (JSOC) ze swojego Centrum Operacji w Fort Bragg w Karolinie Północnej. Przez SATCOM słyszałem go równie wyraźnie, jak gdybym był w sąsiednim pokoju, a nie oddalony od niego o ponad 3000 kilometrów.

Zaśmiałem się na głos. Może powinienem teraz odezwać się do Scholtesa i zameldować: „Cześć, generale, zgłaszam, że chwilowo zrobił się mały profcjem. Dickie zaraz się rozplaska”.

Zapadły się następne dwie komory czaszy i mój spadochron szybowcowy złożył się na pół. Dobra, to ten się spieprzył. Ale to nie problem: przećwiczyłem ten numer może osiemdziesiąt, a może i ze sto razy w czasie skoków szkoleniowych. Odciąłem linki, pozbywając się zepsutej czaszy, i znów zacząłem spadać z pełną prędkością. Ponad 4,5 kilometra - i zapierniczamy.

Pięć sekund później szarpnąłem linkę drugiego spadochronu. Najpierw zaczął otwierać się dobrze. Potem zrobiła się szczelina, wzdłuż której pęd powietrza złożył go na pół, i drugi spadochron zapadł się tak samo jak pierwszy, a wariacki korkociąg zaczął się na nowo.

Więcej zapasowych nie miałem.

Rzucając mięsem w pustą przestrzeń, szarpałem oburącz za linki, żeby otworzyć skrzydło spadochronu na pełną szerokość.

Z całkowitą jasnością, jaka zdarza się idącym na spotkanie ze śmiercią, dotarło do mnie, że w kolejce skaczących z C-130 byłem trzynasty. To by był kiepski dowcip. Nie tak to miało wyglądać. Z tego, co wiedziałem, na dole - tam gdzie miałem rozbryzgać się w truskawkową breję - było od trzydziestu do czterdziestu uzbrojonych terrorystów, zakładnik i skradziona broń jądrowa.

19

CZEŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

Ten utrzymywany w ścisłej tajemnicy atak z powietrza był kulminacją pięciu miesięcy cholernie dającego w kość, posuniętego do granic wytrzymałości szkolenia: treningu prowadzonego osiemnaście godzin na dobę, siedem dni w tygodniu. Opadałem teraz spiralnie w czarną otchłań właśnie dlatego, że Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych w swojej nieskończonej mądrości wybrała mnie, bym wymyślił, stworzył, wyposażył, wyszkolił i poprowadził jednostkę, co do której w czasie tego skoku miałem już pewność, że jest najskuteczniejszym i najtajniejszym oddziałem antyterrorystycznym na świecie - SEAL Team Six.

Admirał Thomas Hayward, szef operacji morskich, osobiście wydał mi rozkaz utworzenia tej jednostki w niespełna trzy miesiące po naszej tragicznej próbie odbicia amerykańskich zakładników przetrzymywanych w Teheranie. Admirał powiedział wyraźnie:

- Dick, nie nawal.

Wziąłem sobie to do serca. SEAL Team Six ćwiczył ciężiej, niż kiedykolwiek ćwiczył jakikolwiek inny oddział, czekając na okazję, żeby udowodnić sceptycznym urzędasom z marynarki i popapranym liczy-krupom, jakich mnóstwo w Waszyngtonie, że US Navy potrafi skutecznie zwalczać terrorystów. Nieraz chodziłem na skróty i niejednemu nadepnałem na odcisk, wypełniając rozkaz admirała Haywarda.

I nie nawaliłem - aż do teraz, jak się zdawało. I co dalej z tym wszystkim? Dickiego ma ominąć najlepsza zabawa, kiedy cała reszta chłopaków pójdzie rozwalać bandytów? Nie ma mowy. Miałem dopiero czterdziestkę - dużo za wcześnie, żeby umierać. Znowu zacząłem szarpać za linki. Nie miałem zamiaru się poddawać. Nie tak to będzie. Nie dlatego, że mój skandalicznie drogi, osobiście wybrany, przemyślnie zmodyfikowany, własnymi rękami pieczołowicie zapakowany cholerny spadochron nie chce się otworzyć.

Ciągnąłem linki ze wszystkich sił. W końcu dwie skrajne prawe komory wypełniły się powietrzem i zacząłem lecieć w sposób kontrolowany, opadając leniwie po spirali i wisząc spocony na uprzęży, a jednocześnie starałem się zorientować, gdzie, u licha, jestem. A byłem przesunięty o jakieś 5 kilometrów w głąb oceanu: tak daleko zszedłem

20

ROZDZIAŁ 1

z pierwotnej ścieżki lotu z powodu prędkości C-130, której nie wytraciłem w spadaniu swobodnym. Pod sobą widziałem już brzeg, więc sprawdziłem wskazania kompasu i wysokościomierza i zmieniłem kierunek, lecąc z powrotem w stronę ustalonej strefy lądowania (SL) o powierzchni 250 metrów kwadratowych, niewielkiego lądowiska wykrojonego na nierównym wiejskim terenie niespełna kilometr od kryjówek terrorystów. Wybraliśmy to miejsce na punkt zbiórki na podstawie dostarczonych przez satelitę Agencji Bezpieczeństwa Narodowego (NSA) zdjęć w ultrawysokiej rozdzielczości, które przefaksowano nam w czasie naszego lotu z Norfolku.

Byłem już na wysokości poniżej 3500 metrów i oceniałem w przybliżeniu, że do miejsca lądowania mam jakieś 15 kilometrów lotu. Patrzyłem, jak ponad 3 kilometry przede mną płyną do brzegu bałwany -przesuwające się równolegle, fosforyzująco białe, marszczące się łuki. Dalej, na brzegu, rosła dżungla. Dzięki zdjęciom wywiadu wiedziałem, że była to skarłowaciała dżungla, jaką często spotyka się na większości wysp Morza Karaibskiego i w Ameryce Środkowej. Dzięki Bogu, nie był to las deszczowy ze zdradliwymi wysokimi koronami drzew, które sprawiają, że lądowanie jest dla skoczka koszmarem. Gdyby był to taki właśnie las, musielibyśmy wyskakiwać nad morzem i lądować na wąskim skrawku plaży albo dostać się tam drogą morską: przyplłynąć ze statku matki - jakiejś niewinnie wyglądającej, pozornie cywilnej łodzi krążącej daleko od brzegu, albo też wylądować w specjalnie zmodyfikowanych IBS-ach (gumowanych pontonach, które zostałyby zrzucane razem z nami z okrętu albo lecącego na niskim pułapie samolotu).

Spojrzałem w górę. Ani gwiazd, ani księżyca. Spadochron działał teraz perfekcyjnie i wiedziałem już, że przy takim wietrze z łatwością dotrę do strefy lądowania. Miałem przed sobą dwadzieścia minut ślizgu i wisząc wygodnie w uprzęży, uznałem, że będzie to dla mnie dobra zabawa.

Pomyślałem, że się uda. Zaskoczenie nadal będzie na pewno naszym atutem. Wszelkie dane wywiadowcze, jakie otrzymaliśmy w czasie lotu ze Stanów, wskazywały na to, że bandyci nie będą się nas

21

CZEŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

spodziewali. Nie będą się spodziewali, że uderzymy tak szybko. To właśnie sprawiało, że SEAL Team Six był tak wyjątkowy. Byliśmy jedyni w swoim rodzaju: niewielki zespół, niezwykle mobilny, przeznaczony do szybkiego reagowania i wyszkolony do jednego zadania: zabijania terrorystów i ratowania zakładników - i to lepiej niż ktokolwiek na całym świecie. Nikt nie potrafił przemieszczać się tak szybko jak my. Żadna inna jednostka nie umiała zaatakować z równą łatwością i z wody, i z powietrza.

US Army miała Delta Force, przeznaczoną do ratowania zakładników, dowodzoną na początku przez mojego kolegę, a czasami rywala, pułkownika Charliego Beckwitha. To była dobra jednostka. Ale była też wielka (ponad dwustu operatorów) i ciężka do ruszenia, jak pieprzony słoń. W całym moim zespole było dziewięćdziesięciu ludzi i podróżowaliśmy bez zbędnego bagażu. Musieliśmy działać w ten sposób: często musieliśmy płynąć do naszego celu, holując za sobą wszystko, co było nam potrzebne.

Tej nocy pięćdziesięciu sześciu spadochroniarzy Teamu Six wyskoczyło z dwóch C-130, które przetransportowały nas z Norfolk w Wirginii, skąd wylecieliśmy sześć i pół godziny wcześniej. Jeśli tylko mnie spieprzył się spadochron, wszyscy powinni być właśnie na ostatnim podejściu do SL. Schodzili ślizgiem w pierścieniach po siedmiu, by za chwilę jeden po drugim wylądować, wcześniej przyhamowawszy, czyli rozciągnąwszy czasę tuż przed

dotknięciem ziemi. Dzięki temu unikało się porwania przez własny spadochron i zarycia twarzą w glebę.

Normalnie byłbym w którejś siódemce, ale coś mnie zatrzymało, więc chciałem szybko dostać się na ziemię i leciałem prosto do SL. Kiedy się zbliżałem, słyszałem wszędzie wokół trzepotanie spadochronów kolegów, dzięki czemu wiedziałem, że zespół robi dodatkowe zakręty, żeby zmniejszyć prędkość lądowania, a potem kołuje po korkociągu i ląduje, tak jak to ćwiczyliśmy. Jeśli chodzi o mnie, to zjeżdżałem szybko już z wysoka - nie hamowałem, jak powinienem, ani razu nie rozciągnąłem czaszy, a na koniec zderzyłem się jeszcze z niewysokim

22

ROZDZIAŁ 1

drzewem rosnącym na skraju zapuszczonego pasa startowego. Nawet nie widziałem, kiedy na nie wleciałem. Miałem jeszcze może jakieś 5 metrów i nagle - bum! - trzasnąłem twarzą w pień. Dobrze było tak oberwać. Dzięki temu czułem, że żyję. Zostawiłem spadochron na drzewie, zeskoczyłem na ziemię i zacząłem zbierać drużyny.

Szybko się przeliczyliśmy. Byłem w euforii. Wszyscy dotarli do strefy lądowania z nieuszkodzonym sprzętem. Połączyłem się z JSOC przez SATCOM i zameldowałem, że jesteśmy w komplecie na ziemi i ruszamy do akcji.

Razem z Paulem Henleyem, moim szefem sztabu Teamu Six (którego nazywałem PV z powodu jego fryzury przypominającej bohatera filmu Prince Valiant), podzieliliśmy cały zespół na ustalone wcześniej czteroosobowe grupy szturmowe. Klepnąłem Paula w ramię.

- No to idziem[^] na polowanie.

Kierując się mapami NSA, ruszyliśmy w milczeniu w dżunglę, idąc na południowy zachód, jeden za drugim, z bronią w pogotowiu. Porozumiewaliśmy się wyłącznie przy użyciu sygnalizacji ręcznej, tak jak to robiłem w Wietnamie ponad dziesięć lat wcześniej.

Wypracowaliśmy sposób poruszania się przypominający śmiertelnie niebezpieczny rodzaj baletu - pas de mort - który ćwiczyliśmy całymi miesiącami. Nikt nic nie mówił. Nie musiał. Teraz PV i ja myśleliśmy jednakowo. Był pierwszym żołnierzem, którego wybrałem do Teamu Six. Bystry, energiczny, zdolny oficer SEAL, który w skakaniu, strzelaniu i zabawie potrafił dorównać najlepszym.

Poza tym w odróżnieniu ode mnie był absolwentem akademii, co dodawało Teamowi prestiżu w oczach różnych liczykrup. Mówiono, że system kastowy marynarki jest podobno najsztynniejszy na świecie. Większość oficerów US Navy, spotykając się z kimś, spogląda najpierw na dłoń nowo poznanej osoby, żeby sprawdzić, czy nosi sygnet absolwenta Akademii Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. Jeśli tak, to należy do klubu. Jeśli nie, to jest niedotykalna. Ja byłem stuprocentowo niedotykalny. Jedyne, co nosiłem na palcach, to były blizny. Ale uwielbiałem tę pracę i byłem w niej nieprzeciętnie dobry,

CZEŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

a w nielicznych wypadkach - także moim - establishment marynarki ceni zdolności niemal tak wysoko jak biżuterię.

Sprawdziłem czas: 21.17. Dwie minuty opóźnienia w stosunku do rozkładu, który miałem w głowie.

Sygnal do akcji dostaliśmy dwadzieścia siedem godzin wcześniej. Przyszedł z JSOC. Pierwsza informacja była dość mglista: portorykańska grupa terrorystów nazywana Macheteros, czyli „trzymający maczety”, wtargnęła na teren lotniska Gwardii Narodowej tuż za granicą San Juan oraz zniszczyła samoloty i sprzęt o wartości 40 milionów dolarów. Tyle na ten temat miało pójść do gazet.

Nie miało tam natomiast wyciec to, że według JSOC podczas ataku Macheteros (w powszechnie przez nas używanym fonetycznym alfabecie radiowym nazywaliśmy terrorystów literą T albo tango) wzięli zakładnika i paletę sprzętu. Była tam podobno również broń jądrowa. Ale nie było wiadomo na pewno. Sam chciałbym zapytać, jak to możliwe, że nikt nie ma pewności, czy w składzie bomb atomowych jednej brakuje. W końcu chodziło o Siły Powietrzne Stanów Zjednoczonych, gdzie deska sedesowa kosztuje 600 dolarów, a szczypce - 200.

Tak czy owak, powiedziano mi, że Macheteros udało się umknąć policyjnej obławie, ominąć blokady drogowe i brygady antyterrorystyczne - i zniknąć. Ale amerykański wywiad wytropił ich na Vieques, niewielkiej wyspie położonej na wschód od Puerto Rico, gdzie mieli tajny obóz szkoleniowy. I tam teraz byli.

Znałem wyspę Vieques. Szkoliłem się tam dwadzieścia lat temu jako członek UDT, Underwater Demolition Team 21. Trochę mi to nie pasowało, żeby banda tango wybrała sobie na tajną bazę wyspę, na której zwykle roi się od amerykańskich żołnierzy.

Poza tym mieliśmy już tyle fałszywych alarmów, że miałem się na baczności. Pomyślałem, że może cała ta akcja to kolejne pozorujące ćwiczenia operacyjne, czyli kolejny etap szkolenia, który ma zostać przeprowadzony w „czasie rzeczywistym”. Coś takiego nazywano

ROZDZIAŁ 1

trybem „misja 100 procent”. Bo rzeczywiście, już wcześniej zdarzyło nam się dostać od Dicka Scholtesa rozkaz startu alarmowego, po czym gdy już lecieliśmy w stronę „celu”, okazało się, że bierzemy udział w jakiejś pieprzonej grze wojennej, którą JSOC urządziło na bazie prawdziwego incydentu, żebyśmy myśleli, że to się dzieje naprawdę.

Gra czy nie gra, ja w to wchodzę - pomyślałem. Jeszcze nigdy nie przeprowadziliśmy skoncentrowanego nocnego zeskoku na obiekt nieprzyjaciela. Nigdy też nie

koordynowaliśmy tak wielu elementów naraz: tajne rozmieszczenie oddziału, zajęcie celu, uwolnienie zakładnika i przejście broni jądrowej oraz zsynchronizowanie ewakuacji z zagrożonej strefy lądowania było najbardziej skomplikowanym zestawem zadań, jaki SEAL Team Six kiedykolwiek otrzymał w swojej krótkiej historii.

Zbiórka odbyła się dokładnie według harmonogramu. Każdy członek Teamu Sń/miał zawsze ze sobą pager. Kiedy pager dzwonił, mieliśmy cztery godziny, żeby dotrzeć na ustalone miejsce z pełnym wyposażeniem.

W ciągu pierwszych godzin, kiedy zbierały się załogi, razem z PV wezwaliśmy do siebie najbliższych współpracowników. Byli to: mój szef operacji Marko i starszy chorąży marynarki w Teamie Six - Big Mac. Razem zaczęliśmy naprędce przygotowywać podstawy naszej strategii. Tak to działało w Six. Wypowiedzieć mogli się wszyscy: oficerowie, podoficerowie i zwykli żołnierze, chociaż ostateczną decyzję we wszystkich sprawach podejmowałem ja.

Od samego początku wiedzieliśmy, że operacja od strony morza jest wykluczona, ponieważ od statku matki do lądu byłoby za daleko. To znaczyło, że będziemy przeprowadzać uderzenie z powietrza. A biorąc pod uwagę lokalizację obozu terrorystów, łatwiej będzie wrzucić nas od razu na miejsce, niż zrzucić nas z łodziami kilkanaście kilometrów od brzegu.

Pierwsze dane wywiadowcze, jakie dostaliśmy, pochodziły od gościa, którego będę nazywał Pepperman. Był to podpułkownik piechoty morskiej w stanie spoczynku, który zajmował się wspomaganie operacji specjalnych w Agencji Bezpieczeństwa Narodowego w Fort

25

CZEŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

Meade w stanie Maryland. Pracował w pomieszczeniu znajdującym się pięć czy sześć pięter pod ziemią. To podziemne biuro było centrum tajnych i ściśle tajnych operacji na całym świecie, a mój stary przyjaciel Pepperman siedział tam jak łysiejący Budda, obserwując i słuchając, jak rozwija się sytuacja.

Pepperman (nazwałem go tak z powodu uprawianej przez niego w przydomowym ogródku na przedmieściu niewiarygodnie ostrej taj-skiej papryki - pozostałości po czasach operacji specjalnych prowadzonych przez niego na tyłach wroga w Azji Południowo-Wschodniej) był jednym z tych cudownych byłych wojskowych zbieraczy wszystkiego, którzy potrafią załatwić dowolną rzecz w każdym czasie. W Wietnamie potrafił pewnie wytrzasnąć butelkę chivas albo skrzynkę piwa nawet szóstego dnia dziesięciodniowego głębokiego patrolu za zieloną linią w Kambodży. Teraz siedział w biznesie, w którym miał dostęp do su-pertajnych, opatrzonych hasłami i kryptonimami informacji, w związku z tym mało było rzeczy, których by nie potrafił znaleźć, jeśli się było przyjacielem w potrzebie - i jeśli się miało odpowiednie zezwolenia. Ja spełniałem te warunki.

Pepperman natychmiast przedstawił nam takie informacje, które pozwoliły mi zarysować podstawową strategię: krótką charakterystykę naszych bandytów, ich historię, sposób

działania oraz główne cele polityczne i wojskowe. Wniosek nasuwał się od razu: nie są to mili faceci.

Początki działalności Macheteros sięgały roku 1978. Były to niewielkie, mające mocne źródła finansowania, doskonale zorganizowane siły partyzanckie ultranacjonalistów. Za cel postawili sobie prowadzenie wojny terrorystycznej przeciwko czemuś, co w agresywnych communiques rozpowszechnianych po kolejnych dziesiątkach ataków nazywali „amerykańskim imperializmem kolonialnym”. Wyszkołenie zdobyli w Europie Wschodniej dzięki uprzejmości KGB - i dobrze uczyli się w tej szkole zabijania. Macheteros zorganizowali kilka skutecznych, zabójczych ataków. Zastrzelili kilku portorykańskich policjantów, a w ciągu czternastu miesięcy poprzedzających obecny atak

26

ROZDZIAŁ 1

zamordowali dwóch amerykańskich marynarzy i zranili trzech innych amerykańskich żołnierzy.

Po jakiejś godzinie planowania zjawił się mój jumpmaster, bosman nazywany przeze mnie Gold Dust Frank (było ich dwóch: Gold Dust Frank i Gold Dust Larry, jak bliźniaki z popularnego w Stanach opakowania proszku do prania Gold Dust). Wprowadziłem go pokrótce w temat. Potem on i PV, który należał do zespołu skoczków marynarki, zajęli się zawiłościami tajnego zrzutu z samolotów pięćdziesięciu sześciu ludzi i osiemnastokilometrowego ślizgu, z uwzględnieniem ładunku dźwiganego przez każdego, topografii wyspy Vieques oraz typu strefy lądowania, do której mieliśmy lecieć.

Zjawiała się kolejna dwójka podoficerów Teamu Six, Horseface (Koński Pysk) i Fingers (Paluchy - tak go nazywaliśmy, bo stracił ich parę podczas pracy pfyzy wybuchach), moi najlepsi eksperci od wysadzania. Zabrali się do montowania ładunków wybuchowych niezbędnych do zajęcia uzbrojonego obiektu. Okazało się, że mają parę pytań, na które nie znam odpowiedzi. Na przykład:

- Jak grube są drzwi? I czy są drewniane, czy metalowe?
- Czy ja jestem cholernym jasnowidzem? - odparłem. I odezwałem się do wszechwiedzącego Peppermana w jego piwnicy w NSA: - Pep-perman, tu Dickie. Możesz nam podać parę cholernych detali na temat grubości i materiału drzwi?

Roześmiał się głośno.

- Marcinko, dupku głupi, to jest zawsze pierwsze pytanie Deltę. Co jest?! Nie możesz być ocipunkę oryginalny?

Uwielbiałem, jak tak mówił.

- Pieprz się! Gówno masz zamiast mózgu!

Poprosiłem, żeby nam przefaksował fotkę terenu, gdzie był nasz cel - obóz terrorystów - aby Horseface mógł ustalić w przybliżeniu wielkość ładunku, który wyłamie drzwi, ale nie rozerwie zakładnika w środku. Tymczasem Fingers zaczął montować pozostałe ładunki wybuchowe: te, których mieliśmy użyć do zniszczenia bomby jądrowej, gdybyśmy nie mogli zabrać jej ze sobą.

27

CZEŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

- Mam tam blackbirda, Dick - powiedział Pepperman.

To była dobra wiadomość. Znaczyło to, że posłał tam już samolot szpiegowski SR-71 i jego aparaty pstrykają zdjęcia z wysokości 25 000 metrów. Na tym pułapie samolot był niewidoczny gołym okiem, a nawet przez większość lornetek. Najpóźniej za parę godzin powinniśmy mieć fotografie.

- A za siedem, osiem godzin zacznie przychodzić komplet obrazków.

„Komplet obrazków” to był materiał z jednego z satelitów szpiegowskich KH-11 (od Keyhole-11) wykorzystywanych przez NSA wspólnie z CIA i wojskiem.

- Brzmi niezłe. Daj mi znać, jak coś będzie, kutasie. - Rozłączyłem się, zanim zdążył odpowiedzieć mi podobnym wyzwiskiem.

Do pracy zgłosił się nasz spec od łączności - nazywałem go Ame-che, od Dona Ameche, który grał Alexandra Grahama Bella w filmie z lat trzydziestych. Wziął się do stawiania przekaźników SATCOM-u. W SEAL Team Six nie lubimy łączyć rozmów przez centralę. Wolimy łączność bezpośrednią. Jako przenośnych telefonów używaliśmy osobistych PSC-1, co w żargonie US Navy jest skrótem od terminalu typu portable satellite communications, przenośnej łączności satelitarnej.

Razem z PV zaczęliśmy dzwonić. Ustaliliśmy z Siłami Powietrznymi, kiedy mają przylecieć nas podjąć, tak żeby wysłane przez 20. Dywizjon Operacji Specjalnych helikoptery HH-53 ewakuowały Team Six, zakładnika i bombę jądrową. Miały po nas lecieć z Hurlburt Field, położonego na zachodnim krańcu kompleksu bazy lotniczej sił powietrznych Eglin na Florydzie. Koordynacja była istotna: cztery HH-53 musiały zostać dotankowane w locie przez dwa samoloty MC-130 E Combat Talon. Poza tym nie mogły przylecieć za wcześnie, bo zdradziłyby naszą pozycję. Gdybyśmy musieli na nie czekać, zostalibyśmy odsłonięci na terytorium wroga i narażeni na potencjalnie zabójczy atak. Z chwilą gdy mieliśmy znaleźć się w powietrzu, miały wywieźć nas mikiem z wyspy Vieques na przyjacielskie lotnisko na głównej wyspie Puerto Rico, odległe o jakieś jedenaście minut lotu. Tam byliśmy umówieni z samolotem C-141 StarLifter z Charleston w Karolinie

28

ROZDZIAŁ 1

Południowej, który z kolei miał odtransportować nas i nasze bagaże z powrotem do kontynentalnych Stanów Zjednoczonych.

Team zaczął się zbierać późnym wieczorem: chłopaki ściągali z całego obszaru wokół Virginia Beach. Wyglądaliśmy jak banda lumpów. W marynarce nazywano to „zmodyfikowanymi standardami wyglądu”. Dla mnie to były końskie ogony, kolczyki, brody, wąsy Fu Manchu, kurtki motocyklowe, kamizelki i T-shirty.

Samochody i pikapy chłopaków wypchane były po brzegi różnym sprzętem schowanym pod plandekami i brezentem. Nakupowałem im wszystkiego, co najlepsze, od ekwipunku alpinistycznego po bez-pęcherzykowe aparaty do oddychania pod wodą Dragera. I dopóki nie byliśmy w stanie mieć dla każdego członka Teamu boks na osobisty sprzęt, musieli wozić to wszystko ze sobą, ilekroć nas wzywano. Nie wiadomo, gdzie będziemy się wybierać.

Wylecieliśmy o 14.00. Chłopaki porozsiadały się, jak się tylko dało wygodnie, na płóciennych siedzeniach rozpiętych na pałkach wzdłuż boków kadłuba C-130 albo walnęły się na porzucanych po usma-rowanej podłodze wyściółkach pod ładunki. Wyglądali na zmęczonych, ale gotowych do akcji. Nasz psycholog, którego nazywaliśmy Mike Psych, chodził tam i z powrotem, sprawdzając, czy nikogo nie obleciał zbyt duży strach. Nauczyliśmy się od Delty, że psycholog na pokładzie to dobry pomysł. Przede wszystkim nie chcieliśmy mieć ze sobą gościa, który by się wściekał na innych, skacząc w zespole. Mike znał tych chłopaków - miałem do niego zaufanie: gdyby wyczuł, że może być jakiś problem, zaraz dałby mi znać.

Kiedy już byliśmy w powietrzu, dopracowywałem ostateczne plany na bazie informacji i zdjęć, które zaczęły docierać na nasze zaszyfrowane faksy. PV leciał drugim samolotem, ale mogliśmy rozmawiać przy użyciu bezpiecznych telefonów i przekazywać sobie informacje, a także konsultować się z Dickiem Scholtesem w Fort Bragg i w razie potrzeby prosić o radę siedzącego w marylandzkich podziemiach Peppermana.

Wspiąłem się po drabinie do kokpitu i wyjrzałem przez przednią szybę, patrząc, jak niebo się ściemnia. Za chwilę mieliśmy

29

CZEŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

dotankowywać: wisiały nad nami dwa samoloty cysterny KC-135, lecąc z prędkością 750 kilometrów na godzinę, a nasi piloci podnosili swoje C-130 w stronę ciągnących się za nimi przewodów paliwowych. Kiedy się podłączyli, zassali paliwo. W roztargnieniu wysunąłem magazynek z beretty i wypstryknąłem nabój na dłoń. Magazynek ten - a właściwie każda sztuka amunicji, w którą uzbrojony był dziś w nocy SEAL Team Six - pochodził ze specjalnej części szafek na amunicję w naszej bazie. Naboje były zawczasu załadowane do magazynków przeznaczonych do naszych berett i pistoletów maszynowych HK. Wydanie tej amunicji zostało zatwierdzone przez JSOC tuż przed naszym wyjazdem.

Coś się nie zgadzało. Ładunek był inny - lżejszy niż robione na zamówienie naboje, które pomagałem projektować. Przesunąłem paznokciem po tęym zakończeniu z wgłębieniem na czubku i mój paznokieć zostawił rysę. To był pocisk rozpadający się, cholerny pocisk szkoleniowy. Zostaliśmy wysłani na następne pieprzone szkolenie -tryb „misja 100 procent”.

Niech to szlag! Macheteros są raczej prawdziwi, więc dlaczego, do diabła, nie mamy dobrać się im do dupy? Zaplanowaliśmy świetną misję, opierając się na prawdziwych danych wywiadowczych, i wykonujemy ją co do joty. Dlaczego, do diabła, nie możemy zrobić tego, do czego się szkoliliśmy? Piętnaście lat wcześniej w Wietnamie sam nauczyłem się tego, co SEALsi robią najlepiej: tropienia ludzi i zabijania ich. Ale nawet w Wietnamie system nie pozwalał mi tropić i zabijać tylu wrogów, ilu bym chciał. Od czasu Wietnamu nikt nie dał mi szansy zrobić tego znowu - aż do chwili kiedy dostałem rozkaz utworzenia tego zespołu ludzi, których jedynym zadaniem, jak mi obiecano, miało być tropienie i zabijanie innych.

Teraz system znowu się wtrącał. Byliśmy gotowi. Sprawni. Niezawodni. Dlaczego, do diabła, nie miano by nas użyć? Nigdy nie uważałem SEALsów za broń strategiczną - jak drogie systemy, które trzyma się w arsenale jako czynnik odstraszający, ale nigdy się ich nie używa. SEALsi to broń taktyczna. Chcemy, żeby nas wysyłano na misje. Chcieliśmy strzelać i napierdzeniać, wyskakiwać z otwierającym się

30

ROZDZIAŁ 1

spadochronem - robić wszystkie te wspaniałe rzeczy, które mieli robić i w tak niezawodny sposób umieli robić SEALsi.

Już prawie uwierzyłem, że wreszcie dostaliśmy szansę. Nabój w dłoni przekonał mnie, że jest inaczej. Byłem wściekły. Ruszyłem do bezpiecznej radiostacji, żeby wywołać Paula i powiedzieć mu, że to po prostu kolejna z serii gierki, w jakie gra sobie z nami nasze dowództwo. Zatrzymałem się w połowie drabinki. Dickie ma lepszy pomysł. Będę odgrywał dalej tę farsę, jakbym nic więcej nie wiedział, i zrobię z niej własną grę wojenną.

I tak miałem sporo pytań, na które nie znałem odpowiedzi - chyba więcej, niż miało ich JSOC. Na przykład: jak wypadną moi ludzie podczas wykonywania tego skomplikowanego zestawu zadań? Wszyscy byli dobrzy, ale którzy okażą się naprawdę świetni, kiedy zostaną poddani presji wymagającej od nich trzymania się ścisłego bojowego harmonogramu? Czy któryś z nich zorientuje się, że nie robimy tego naprawdę, a jeśli się zorientują, to jakie będą ich reakcje?

Chciałem się dowiedzieć, którym z nich będę mógł wydać rozkaz wykonania jakiegoś zadania, nawet gdyby mogło ono oznaczać dla nich śmierć. Częścią przydziału do tej jednostki była świadomość, że jest się mięsem armatnim. Każdy, kto zgłosił się na ochotnika do SEAL Team Six, wiedział, że w każdej chwili może zostać spisany na straty - poczynając ode mnie, a kończąc na najmłodszym chłopaku w zespole. Teraz miałem okazję sprawdzić tę determinację, przekonać się, którzy z nich potraktują ją poważnie, a którzy w ostatniej chwili się wycofają. O to w końcu chodziło w SEAL Team Six: żeby potraktować to poważnie.

Jasne, że jest cała ta cholerna, niemal niewyobrażalna technika wojenna - i nie chodzi już tylko o tankowanie w powietrzu czy nawet naszpikowane najnowocześniejszym sprzętem satelity, ale o przekaźniki wykorzystujące błyskawiczną technologię microburst, samoloty produkowane w technologii stealth i setki miliardów dolarów ładowanych w technologiczne zabawki: ręczne wyrzutnie pocisków naprowadzanych laserowo, wspomagane komputerowo armaty przeciwpancerne, bomby „inteligentne” i całą kolekcję broni, o których dupki

31

CZEŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

w Pentagonie mówią, że same myślą. Dziś można zasiąść za sterami myśliwca, nacisnąć przycisk odpalający raketę i zabić nieprzyjaciela znajdującego się 30, 40, 60 kilometrów za horyzontem, obserwując na ekranie, jak jego samolot eksploduje - zupełnie jak w grach wideo, w które grały moje dzieci. A jednak za całym tym gównem, komputerami i wideo wszystko to sprowadzało się wtedy tak naprawdę do jednego podstawowego pytania, które symbolizował nabój w mojej dłoni: czy któryś z moich ludzi będzie potrafił spojrzeć w oczy innemu człowiekowi, po czym bez chwili wahania pociągnąć za spust i go zabić?

W Wietnamie to w boju dowiadywałem się, kto potrafi zabijać, a kto nie. Ale to było przed piętnastu laty, a spośród członków SEAL Team Six mniej niż połowa miała jakiegokolwiek doświadczenie bojowe. Wobec tego był tylko jeden sposób, by się przekonać, kto pociągnie za spust, a kto zastygnie w bezruchu. Sposobem tym było zagranie tej akcji i sprawdzenie, kto wykonał zadanie, a kto nie. W końcu wojna to nie nintendo. Wojna to nie supertechnologia i zabawki dla dużych chłopców. Wojna to zabijanie.

Rozdział 2

;

Idący na przedzie podporucznik o przyzwisku Indian Jew (bo pochodził po części z indiańskiej Yakimy, a po części z żydowskiego Brooklynu) dawał nam sygnały Żartowałem z niego, że w dzieciństwie łowił dzidą łososie w rzece Columbia, a potem je wędził, za to nigdy nie dostawał bajgli ani serka. Mrużyłem oczy w ciemnościach, bo ledwo dostrzegałem go na tle liści: maskował go ubiór w tygrysie paski i kamuflaż na twarzy. Ale widziałem, że trzyma uniesioną rękę z otwartą dłonią. Teraz zacisnął pięść. Wróg przed nami. Powoli i spokojnie przesunąłem się do przodu z MP5 w rękę. Pokonaliśmy jakieś 550 metrów, robiąc znacznie więcej cholernego hałasu, niż to sobie zaplanowałem. Jeśli bandyci mieli na zewnątrz wartowników albo rozstawili czujniki elektroniczne, to na pewno już o nas wiedzieli. To było coś, nad czym nie mieliśmy jeszcze szansy popracować: poruszanie się w dużych grupach. Zwykle SEALsi działają w siedmioosobowych drużynach albo w czternastoosobowych plutonach. Szczerze mówiąc, nie czułem się uszczęśliwiony, musząc działać z użyciem tak wielu ludzi w jednej grupie, bo hałas był nieunikniony. Ale nic na to nie mogłem poradzić. Mogłem się cieszyć, że dotychczas nikt nas nie zauważył.

33CZEŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

w Pentagonie mówią, że same myślą. Dziś można zasiąść za sterami myśliwca, nacisnąć przycisk odpalający raketę i zabić nieprzyjaciela znajdującego się 30, 40, 60 kilometrów za horyzontem, obserwując na ekranie, jak jego samolot eksploduje - zupełnie jak w grach wideo, w które grały moje dzieci. A jednak za całym tym głównym, komputerami i wideo wszystko to sprowadzało się wtedy tak naprawdę do jednego podstawowego pytania, które symbolizował nabój w mojej dłoni: czy któryś z moich ludzi będzie potrafił spojrzeć w oczy innemu człowiekowi, po czym bez chwili wahania pociągnąć za spust i go zabić?

W Wietnamie to w boju dowiadywałem się, kto potrafi zabijać, a kto nie. Ale to było przed piętnastu laty, a spośród członków SEAL Team Six mniej niż połowa miała jakiegokolwiek doświadczenie bojowe. Wobec tego był tylko jeden sposób, by się przekonać, kto pociągnie za spust, a kto zastygnie w bezruchu. Sposobem tym było zagranie tej akcji i sprawdzenie, kto wykonał zadanie, a kto nie. W końcu wojna to nie nintendo. Wojna to nie supertechnologia i zabawki dla dużych chłopców. Wojna to zabijanie.

Rozdział 2

;

Idący na przedzie podporucznik o przyzwisku Indian Jew (bo pochodził po części z indiańskiej Yakimy, a po części z żydowskiego Brooklynu) dawał nam sygnały. Żartowałem z niego, że w dzieciństwie łowił dzidą łośosie w rzece Columbia, a potem je wędził, za to nigdy nie dostawał bajgli ani serka. Mrużyłem oczy w ciemnościach, bo ledwo dostrzegałem go na tle liści: maskował go ubiór w tygrysie paski i kamuflaż na twarzy. Ale widziałem, że trzyma uniesioną rękę z otwartą dłonią. Teraz zacisnął pięść. Wróg przed nami. Powoli i spokojnie przesunąłem się do przodu z MP5 w rękę. Pokonaliśmy jakieś 550 metrów, robiąc znacznie więcej cholernego hałasu, niż to sobie zaplanowałem. Jeśli bandyci mieli na zewnątrz wartowników albo rozstawili czujniki elektroniczne, to na pewno już o nas wiedzieli. To było coś, nad czym nie mieliśmy jeszcze szansy popracować: poruszanie się w dużych grupach. Zwykle SEALsi działają w siedmioosobowych drużynach albo w czternastoosobowych plutonach. Szczerze mówiąc, nie czułem się uszczęśliwiony, musząc działać z użyciem tak wielu ludzi w jednej grupie, bo hałas był nieunikniony. Ale nic na to nie mogłem poradzić. Mogłem się cieszyć, że dotychczas nikt nas nie zauważył.

33

CZEŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

Dotarłem na miejsce, gdzie był Jew, i klęknąłem przy nim. Był jednym z moich najlepszych ludzi - wcześniej był szeregowym, ale jego umiejętność szybkiego uczenia się wyglądała na nieskończoną. Był uosobieniem przyszłości technik stosowanych przez oddziały specjalne US Navy: w żargonie marynarki mówiliśmy na to SpecWar. Był duży, bystry, silny, przystojny (co mu nie służyło), pomysłowy i zręczny w wojennym rzemiośle.

Wyjąłem noktowizor i rozejrzałem się. Czerń stała się zielenią oscyloskopu, liście zrobiły się ciemne na jasnym tle. W odległości 60 metrów zobaczyłem wysokie na jakieś 2,5 metra ogrodzenie z siatki. Górną jego część oplatał drut kolczasty zwinięty w spiralę o niespełna

metrowej średnicy. Za siatką były dwa magazyny i trzy inne, niskie, przypominające baraki budynki. Nie świeciły się żadne światła. Tym lepiej. Teren był zapuszczony - nie brakowało osłon, za którymi mogliśmy się przemieszczać. Wyglądało to dokładnie tak jak na zdjęciu satelitarnym, które złożyłem i schowałem do kieszeni.

Odegrałem przed Jew pantomimę żołnierza z bronią: „Są wartownicy?”. Pokręcił głową: „Nie ma”. Pokazałem mu kciuk do góry. Wskazałem na niego. Palcem wskazującym i środkowym wykonałem ruch cięcia nożyczkami - dałem znak, że trzeba się rozejrzeć. Kiwnął głową. Miał przeciąć siatkę i zrobić szybki rekonesans. My mieliśmy czekać.

Podpełzł do przodu powolnym, wyćwiczonym ruchem, aż wtopił się w zarośla. Podobnie jak wielu moich ludzi w dżungli czuł się jak w domu. Był za młody, żeby służyć w Wietnamie, ale świetnie wszedł w szkolenia SEALsów w Panamie i na Florydzie i był jednym z najlepszych zwiadowców, jakich miałem w jednostce. To, że był podporucznikiem, nie miało znaczenia. W Teamie Six oficerowie, podoficerowie i szeregowi byli całkowicie wymienni. U nas nie było systemu kastowego.

Wycofałem się i dałem ludziom sygnał, żeby padli. Znikli w ciemnościach. Leżałem i wpatrywałem się w niebo, nasłuchując jakichkolwiek nietypowych odgłosów. Niczego nie zauważyłem. Cisza była dobrym znakiem. Dało się słyszeć naturalne odgłosy dżungli - owady, ptaki, wszystko, co tam było, wracające do normalnych zajęć.

34

ROZDZIAŁ

Rozgniotłem coś małego, skrzydlatego i ostrego, co postanowiło zamieszkać w moim uchu. Mijały kolejne chwile.

Wrócił Jew.

- Nic, szefie - szepnął. - Tam, przy barakach, druga linia ogrodzenia z drutu. - Wskazał na południowy zachód. - I magazyny na wschód od baraków, tak jak na zdjęciu. Słyszałem jakieś odgłosy: może otworzyli parę browarów.

Szturchnąłem go łokciem.

- Dobra robota.

Wyjąłem z kieszeni zdjęcie satelitarne. Kiwnąłem na PV i oficera, którego nazywałem Kapitan Cheeks (Policzki), bo jego twarz przypominała wypchany żołędziami pyszczek wiewiórki. We trzech nachyliliśmy się nad fotografią, którą oświetliłem świecąca na czerwono latarką długopisową. Pokazałem im, co mamy zrobić. Kiwnęli głowami i podnieśli kciuki. Zakreśliłem palcem wskazującym duży okrąg w powietrzu. „Do roboty”.

Mieliśmy zaatakować czterema czternastoosobowymi plutonami. PV miał pójść na południe z dwoma plutonami, obejść ogrodzenie i przeciąć je jak najbliżej baraków. Wtedy miał

poprowadzić jeden ze swoich plutonów i zaatakować skład, gdzie jak sądziliśmy, był zakładnik. Drugi pluton - Cheeksa - miał zneutralizować baraki.

Ja ze swoim plutonem miałem zająć magazyn, w którym znajdowała się bomba jądrowa. Ostatni pluton, podzielony na dwie siedmioosobowe drużyny, miał oskrzydlać akcję. Ich zadaniem było zgarbić każdego bandyty, który pojawiłby się między nami a bramą. Podczas odwrotu mieli dołączyć do nas razem z plutonem Cheeksa jako oddział blokujący, osłaniając naszą ewakuację w kierunku północno-wschodnim, z powrotem do SL.

Założyłem słuchawki i opiąłem je wciągniętą na głowę lekką tekstylną czapkę. Potem dokładnie dopasowałem głośniczek słuchawkowy do wnętrza małżowiny lewego ucha, wyregulowałem pręcik mikrofonu, żeby go mieć na brodzie, tuż pod dolną wargą, poprowadziłem kabel z tyłu szyi, przepuściłem go przez rozcięcie w koszulce i wpiąłem

35

CZEŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

wtyczkę do motoroli. Nacisnąłem na chwilę guzik nadawania i psyk-nąłem dwa razy do mikrofonu - „tak” w języku radiowców. Usłyszałem, że PV robi to samo. Potem usłyszałem Cheeksa i Jew. Wszyscy byliśmy podłączeni i gotowi do ataku. A jeśli bandyci mieli włączone skanery, to nie daliśmy im zbyt wiele do zeskanowania. Przynajmniej na razie.

Dałem znak ręką, robiąc szeroki łuk z lewej, a potem z prawej. SEALsi ruszyli w cień. Szedłem wzdłuż ścieżki, na której zostawił mnie Jew, aż dotarłem do ogrodzenia z siatki. Znalazłem zrobione przez niego rozcięcie, wyjąłem nożyce i poszerzyłem trochę przejście, po czym wszedłem.

Kiedy znalazłem się po drugiej stronie siatki, wśliznąłem się za krzaki, wyjąłem noktowizor i mocno zacisnąłem jego taśmę z tyłu głowy. Nie nosiłem noktowizora przez cały czas, bo zawężyła pole widzenia w czasie ruchu. Poza tym niepotrzebnie obciąża górną część ciała -ale teraz, kiedy musiałem widzieć, co dzieje się w ciemnym budynku, miałem z niego ogromny pożytek.

Rozejrzałem się dokoła. Czysto. Ruszyłem, obejmując rękami MP5 i pokonując kolejne metry drogi po chrzęszczącym gruncie. Przesuwałem się cicho od drzewa do drzewa, chcąc jak najlepiej wykorzystać naturalne osłony. Sprawdzałem granice terenu. Czysto - nic. Żadnej lufy wystającej z dachu. Absolutnie żadnych oznak życia. To lubiłem.

15 metrów od magazynu przestawiłem w swoim MP5 przełącznik w dół, na ogień ciągły, i zgarbiony, na ugiętych nogach podbiegłem do ściany z pustaków.

Budynek miał jakieś 45 na 20 metrów, był pokryty blachą falistą położoną na odkrytej metalowej kratownicy, co umożliwiało przepływ powietrza w tropikalnym upale. Wejście od tyłu i z przodu stanowiły ciężkie, szerokie na 4,5 metra rozsuwane metalowe drzwi segmentowe na prowadnicach. Z boku był podwyższony o dwa stopnie zadaszony ganek i metalowe przeszklone drzwi prowadzące do czegoś w rodzaju biura. W środku świeciło się

światło. Po obu stronach drzwi były okna. W lewym świszczał rdzewiejący klimatyzator, z którego do

36

ROZDZIAŁ

sporej kałuży powoli, miarowo kapała woda. Dzięki temu wiedziałem, że pracuje już dość długo.

Cały czas zgarbiony, przeszedłem dookoła na tył magazynu i zajrzałem ukradkiem. Wszędzie było czysto. Zrobiłem pełne okrążenie. Nic. To było jak kradzież - nie, to było lepsze niż kradzież. Powoli przybliżyłem się do wielkich drzwi na prowadnicach, przesuając się centymetr po centymetrze, żeby nie narobić hałasu. Między segmentami była niewielka szpara, więc pełzną po ziemi jak ślimak, powolutku zbliżyłem się tam i zerknąłem. Z tego, co wiedziałem, tango w środku też mieli noktowizory, a nie miałem zamiaru dać się stuknąć.

Poczekalem, aż oczy przyzwyczają mi się do mniejszej jasności wnętrza. Wydawało się, że jest tam całkiem spokojnie. W środku było pusto, jeśli nie liczyć poustawianych wzdłuż ściany po mojej lewej ręce dwustulitrowych beczek i czegoś, co przypominało średniej wielkości wojskową ciężarówkę zaparkowaną w pobliżu drzwi przesuwanych znajdujących się po przeciwnej stronie. W pobliżu ściany w głębi stało rusztowanie sięgające pewnie 3 metrów, jakieś 2 metry poniżej oddzielenia wentylacyjnego, gdzie kończyła się ściana, a zaczynał dach.

Na drewnianej palecie w pobliżu drzwi, spod których świeciła szpara światła, stała drewniana skrzynka mniej więcej takich rozmiarów, jakie ma opakowanie ważącej 900 kilogramów bomby. To musiał być ten ładunek jądrowy.

Coś było... nie tak. Było za cicho. Wcisnąłem twarz w twardey grunt, żeby lepiej widzieć. Niemożliwe, żeby zostawili precjoza bez straży, chyba że nie wiedzieli, co zabrali.

Nie ma mowy: to pułapka. To musiała być pułapka. Czekałem. Knu-łem. Kombinowałem. W duchu śmiałem się z tych dupków. To była próba cierpliwości. Wszystko sprowadzało się do cierpliwości: czy pierwszy ruch wykonam ja, czy oni.

Wiedziałem, że tam są. Wyczuwałem ich obecność. Prawie czułem ich zapach. Kontrolowałem oddech, spowolniłem cały swój organizm, tak jak to zrobiłem, kiedy podczas próby na szkoleniu Underwater

37

CZEŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

Demolition Teams przekonałem się, że potrafię przesiadzieć trzy i pół minuty na dnie przystani w Norfolkku.

Ech, ci pieprzeni instruktorzy, jak oni uwielbiali te moje gierki. A było to tak: w ramach szkolenia technik przetrwania (E&E) kazali nam bawić się w chowanego. Wrzucali nas do

wody, po czym wypuszczali łodzie, żeby nas szukały. Przypominało to strzelanie do ryby w beczce: człowiek nie pływa tak szybko, żeby uciec łodziom ze światłami, no i trzeba wypływać na powierzchnię, żeby zaczerpnąć powietrza. Żeby było ciekawiej (i żebyśmy mieli dodatkową motywację), instruktorzy zwykle dawali nam niezły opeer, kiedy daliśmy się złapać - a kląć to te sukinsyny umiały.

Więc zrobiłem ich w konia. W sumie po to miało być to szkolenie z E&E. Urwałem się instruktorom, płynąc jak szalony, aż byłem tuż przy pochylni promu Kiptopeke-Norfolk - po dalszej stronie, tak że prom przepływał między nimi a mną. Wszystko zasadzało się na zgraniu w czasie. Poczekalem, aż prom będzie naprawdę blisko, po czym zacząłem strasznie chlapać i szamotać się w wodzie. Kiedy instruktorzy wytopili mnie światłami, zanurkowałem i popłynąłem ponad 25 metrów pod wodą do pochylni. Kiedy prom dobijał do portu, przysałem się do dna, trzymając się brudnego, zatłuszczonego palowania i słuchając, jak 2,5 metra nade mną ogromna śruba mieli wodę: ciach, ciach, ciach. Potem wypłynąłem na powierzchnię i sprawdziłem, czy w pobliżu nie ma instruktorów. Nie było. Rzuciłem maskę i płetwy, wspiąłem się na prom po rufie od strony portu, ukradłem z szafki kombinezon mechanika i wyszedłem prosto na nabrzeże. Nikt nie zauważył, że idę boso.

Przyglądałem się, jak instruktorzy przemierzają przystań wzdłuż i wszerz, szukając mnie przez jakieś pół godziny. Potem odszedłem powoli z pochylni, kupiłem kwartę piwa za drobne, które znalazłem w kombinezonie, wróciłem i wypilem piwo prawie do końca, siedząc na nadbrzeżu. Potem, kiedy byłem już całkiem gotowy, zagwizdałem i pomachałem do instruktorów. Pokazałem im, jak wysączać resztkę piwa, i wrzuciłem butelkę do wody. Ależ oni to uwielbiali! Nie wiem,

38

ROZDZIAŁ

co sprawiło ich w większą wściekłość: że im się wymknąłem czy że kupiłem piwo i im nie dałem.

Coś się poruszyło. Za beczkami. Coś tam z tyłu. Czekałem. Uważnie wpatrywałem się w ciężarówkę. Tam też coś. Jeden albo dwóch z tyłu: tuż obok tylnej bramy wystawały lufy. Pewnie M16. Przygotowani do walki? Być może. Usłyszałem szuranie tuż za drzwiami. Właściwie krótkie szurnięcie - może czyjaś stopa albo kolba karabinu otarła się o drzwi. Znieruchomiałem. Wstrzymałem oddech. Ciach, ciach, ciach. Czekaj, aż sukinsyny się pokażą.

Dopiero po paru minutach wycofałem się tą samą drogą, którą przyszedłem, po cichu, centymetr za centymetrem, starając się nie zostawić za sobą śladów. Przykucnięty okrążyłem magazyn - zrobiłem kolejny pełny obchód, l[^]adal było czysto. Przywarłem do ściany obok okna z klimatyzatorem, podszedłem pod niego i stojąc obok podniesionego ganku, zdjąłem gogle, po czym poczekałem, aż oczy przyzwyczają mi się znowu do ciemności. Wtedy zajrzałem do środka.

Na wprost mnie siedział za biurkiem ciemnoskóry mężczyzna w średnim wieku, ubrany w wielką koszulę z krótkimi rękawami i za-tłuszczone spodnie w kolorze khaki. Na oczach miał panoramiczne plastikowe okulary strzeleckie - dowód na to, że to tylko ćwiczenia - a pisząc zawzięcie w kołnotatniku końcówką starego ołówka, poruszał grubymi wargami w trakcie łączenia kolejnych liter. Przy lewym łokciu miał butelkę schłodzonego budweisera, na której skraplała się wilgoć. Obok leżał błękitnostalowy colt kalibru .45 cala. Mężczyzna podniósł wzrok znad zeszytu i przesunął dłonią po rzednących kręconych szpakowatych włosach. Twarz szeroka, nos nieraz na pewno rozbity. Wąskie szparki żółtawych oczu. Jakies pięćdziesiąt pięć lat. Potężne robotnicze dłonie z wyraźnym trudem radziły sobie z ołówkiem.

Kucnąłem z powrotem i wycofałem się do osłony z krzewów, gdzie zostawiłem swój pluton. Przekazałem dowódcom drużyn informację o zasadzce. Wszyscy mieli noktowizory. Mieli wpaść przez drzwi jednocześnie, zajmując wykluczające się pola ostrzału, żeby nie strzelać do

39

CZĘŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

siebie nawzajem. Jedna drużyna miała pójść w lewo i w górę, zajmując się ciężarówką i pomostem, druga - analogicznie z przeciwnej strony, opanowując beczki i przeciwległy pomost. Ja miałem zdjąć gościa w biurze i wejść obok bomby.

Nacisnąłem przypięty do kamizelki guzik do zdalnej obsługi motoroli. Można było używać radia albo w trybie „włącz-wyłącz”, albo przełączyć na transmisję ciągłą.

- Jedyńka jest - szepnąłem.
- Dwójka jest - usłyszałem głos PV.

Zespół przejmujący zakładnika był na pozycji.

Zameldował się Cheeks:

- Trójka jest.

Pluton od baraków był gotowy.

- Czwórka jest.

Oddział blokujący Jew przygotowany.

Popatrzyłem na zegarek. Byliśmy na ziemi od czterdziestu siedmiu minut. Operacja została zaplanowana na dziewięćdziesiąt minut, więc nasze cztery śmigłowce były już w powietrzu, dotankowywały po drodze i za niecałe trzy kwadransy miały lądować. Dawało nam to nam wąski, ale dopuszczalny margines błędu. Włączyłem motorolę.

- Sześć minut i jazda.

Mnóstwo czasu, żeby się przygotować.

Wydałem polecenia ręką i obserwowałem, jak drużyny ruszają. Znali się na tym. W ciągu ostatnich pięciu miesięcy każdy z nich okazał się wyśmienitym strzelcem. W SEAL Team Six nie ćwiczyliśmy strzelania do celów zgodnych z przepisami. Używaliśmy przyczepianych do sylwetek kartoników o wymiarach 7,5 na 12,5 centymetra. Trzeba było umieć trafić w taki kartonik dubletem - to znaczy oddać dwa strzały jeden po drugim - w każdych warunkach: czy się wychodziło z wody z nierdzewnym rewolwerem Smith & Wesson .357 magnum, czy wlatywało się przez właz do porwanego samolotu z berettą.

Strzelaliśmy w każdy sposób, jaki dało się wymyślić: prawą ręką, lewą ręką, jedną ręką, oburącz. Tak naprawdę nie obchodziło mnie,

40

ROZDZIAŁ

jak strzelają moi chłopcy, byle za każdym razem potrafili zastrzelić zabójców. Nie skupialiśmy się na wymyślnych kątach strzału ani na trafianiu w głowę. Takie techniki są dobre w filmach, ale nie w Teamie Six. My używaliśmy silnych ładunków, które miały powalić terrorystów bez względu na to, w co się ich trafiło: w głowę, w klatkę, w rękę, w nogę - nieważne. W strzelaniu precyzyjnym - z odległości 550-750 metrów - zdarzali się od nas lepsi. Ale w klasyfikacji generalnej moi strzelcy byli lepsi niż ktokolwiek we współczesnym świecie, lepsi nawet od osławionych pistoleros Deltę.

Wiedziałem, że PV jest na pozycji. Sześciu jego strzelców miało zdjąć bandytów pilnujących zakładnika, reszta miała sprzątnąć ewentualnych pozostałych terrorystów. PV miał w plutonie dwóch sanitariuszy, którzy mogli pomóc, gdyby zakładnik został ranny. Dwie drużyny Cheeksa miały skosić baraki, gdyby tango wysypali się ze środka. Moi chłopcy mieli trochę cięższe zadanie. Mieli podłożyć ładunki pod drzwiami i je wysadzić, potem w ciemności rozprawić się z zasadzką, podczas gdy ja będę likwidował gościa w biurze. Potem mieliśmy wymyślić jakiś sposób, żeby zabrać bombę jądrową do SL. Gdyby się nie udało, mieliśmy ją unieszkodliwić.

Cyfrowy minutnik w moim zegarku odmierzał czas. Upłynęła minuta i czterdzieści sekund. Byłem już pod klimatyzatorem i zimna woda kapiała mi na ramię. To było przyjemne. Oczami wyobraźni widziałem tango za biurkiem. Strzelę mu w klatkę. Ścisnąłem odbezpieczoną berettę. W słuchawce słyszałem oddechy PV, Cheeksa i Indian Jew - wszyscy byli na linii i pewnie słyszeli też mój oddech. Minuta pięćdziesiąt. Cztery minuty, dziesięć sekund do kontaktu.

Nagle z południowego zachodu rozległy się strzały z broni automatycznej. Równocześnie usłyszałem głos PV:

- K***a! Wczesny kontakt, wczesny kontakt! Wszyscy jazda!

Nie było czasu do stracenia. Wstałem, obróciłem się i kopnąłem w drzwi tuż pod klamką. Wpadłem do środka. Kiedy pojawiłem się w drzwiach, oburącz trzymając berettę,

ciemnoskóry mężczyzna w koszuli zdążył już wstać i chwycić pistolet. Zanim zdążył zareagować,

41

CZEŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

wpakowałem mu w klatkę kilka kul. Strzelałem tak szybko, że moja dziewiątka brzmiała jak karabin maszynowy.

Pociski rzuciły go w tył na ścianę. Jego czterdziestka piątka pofrunęła w powietrze. Pośrodku klatki piersiowej pojawiła mu się ciemna, rosnąca plama. Wyrzuciłem magazynek z pokrytej gumą rękojeści beretty i załadowałem zapasowy z uchwytu przypiętego do prawego nadgarstka.

Podniosłem głowę, bo usłyszałem dobiegający z głębi biura odgłos dwóch szybko po sobie następujących eksplozji. Kolejne dwie drużyny zaczęły atak. Chwyciłem kołonotatnik i pobieżnie zlustrowałem pomieszczenie w poszukiwaniu dokumentów. W szufladzie biurka były trzy teczki, więc je także zabrałem, zwijając w rulon i wpychając do kieszeni cargo munduru. Strzeliłem w lampy, żeby przygotować oczy do włożenia noktowizora.

Wyciągnąłem SATCOM i powiedziałem JSOC, że rozpoczęliśmy kontakt przedwcześnie i żeby przyspieszyli przejście. Może się wydawać, że cztery minuty to nie tak długo, ale na SL pod ostrzałem to prawdziwa wieczność.

Przypiąłem sobie noktowizor i wśliznąłem się przez drzwi do magazynu, trzymając berettę w prawej ręce. W słuchawce usłyszałem odgłosy ostrego ostrzału z broni maszynowej, po czym chrypiącym głosem Cheeks wydał rozkaz:

- No to brać sukinsynów, już!

Frontowe i tylne drzwi były już wysadzone, a granaty dymne wypełniły magazyn gęstą białą mgłą. Słyszałem, jak chłopcy przeczesują pomieszczenie ogniem, na który odpowiadają grzechoczące odgłosy z M16, jakby pracowała piła tarczowa: trrrr...

Łatwo było odróżnić jedno strzały od drugich. SEALsi strzelali ze swoich MP5 kontrolowanymi trzystrzałowymi impulsami. Bandyci wystrzeliwali całe magazynki naraz.

Podczołgałem się do palety i sięgnąłem lewą ręką do kamizelki po detektor promieniowania jądrowego. Coś się za mną poruszyło i nie był to żaden z nas. Obróciłem się i wypaliłem w stronę cienia we mgle, po czym wróciłem do palety. Wskaźnik pokazał mi, że w skrzynce na pewno był jakiś materiał jądrowy.

42

ROZDZIAŁ

W słuchawce usłyszałem głos PV:

- Zakładnik wolny. Żyje, ma się dobrze.

- Okej. Cheeks?
- Oddzwonię.
- Jew?
- Okej.

Z lewej strony usłyszałem, jak Fingers, dowódca drużyny Alpha, krzyczy:

- Strona Alpha czysta.

Z głębi magazynu rozległa się jeszcze jedna długa seria z M16, po niej sześć szybkich strzałów z beretty, po czym zapadła cisza. Gold Dust Larry, dowódca drużyny Bravo, zawołał:

- Strona Bravo czysta.

Ściągnąłeś i schowałem noktowizor.

- Ofiary?
- U nas nie, szefie.

-PV?

-Nie.

- Cheeks?
- Zero.
- Jew?
- Nic się nie działo, szefie.
- Na pewno się doczekasz.

Spojrzałem na minutnik. Siedem minut dziesięć sekund.

Wyciągnąłem SATCOM z kamizelki.

- Six, u nas wszędzie czysto. Zakładnik i paczka pod kontrolą. Poza bandytami nikt nie zginął.

Nikt nie zginął, bo wszyscy strzelaliśmy ślepakami. Ale i tak moi chłopcy wykonali cholernie świetną robotę. Wstałem i zabezpieczyłem berettę. Wymachiwałem ramionami w gęstym białym dymie, który nadal przesłaniał większość magazynu.

- Czy ktoś widzi jakiś wentylator, żeby wywiać stąd ten dym? Zabieramy się z tym. - Klepnąłem drewnianą skrzynię i zawołałem do

CZEŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

Gold Dust Larryego: - Niech ktoś uruchomi tę ciężarówkę. Ładujemy to cholerstwo i ruszamy.

- Tak jest!

-PV?

- Tak, szefie?

- Przewidywany czas przybycia do SL?

- Zakładnik jest dość roztrzęsiony. Będziemy musieli go nieść. Kiedy dotarliśmy, tango go bili. Nic poważnego, zwykłe nękanie, ale nie jest przyzwyczajony. Będę gotowy do wyjścia za sześć, siedem minut.

- Zrozumiałem. Cheeks?

- Mam tu jakieś wrogie działania. Wycofam się bezpiecznie za cztery, pięć minut. Mamy kupę danych dla wywiadu.

- To lubię. - Usłyszałem solidny ryk: to Gold Dust Larry zwiększał obroty silnika ciężarówki. - Będziemy ruszać. To widzimy się w SL.

Dym w końcu zniknął z magazynu.

- Niech ktoś znajdzie parę kantówek albo jakieś rury. Musimy to podnieść.

Po raz kolejny spojrzałem na zegarek. Upłynęły sześćdziesiąt trzy minuty. Za dwadzieścia siedem minut wylądują helikoptery. Mój Boże, ależ ten czas leci, kiedy się człowiek tak świetnie bawi!

Wsunęliśmy trzy drażki pod skrzynię. Każdy chwyciło czterech ludzi, a dwóch stało na straży. Pokazałem im detektor promieniowania jonizującego. Patrzyli, jak wskaźnik przesuwają się na czerwone pole.

- To gówno jest radioaktywne, więc jak któryś kretyn będzie tak tępy, żeby to upuścić, to pożałuje. Na „trzy” podnosimy i na pakę.

Było to podobne do ławki na siłowni, tylko łatwiejsze. Team Six miał średnią na wyciskaniu prawie 180 kilogramów. Do udźwignięcia skrzyni ważącej 1100 kilogramów nie trzeba było nas dwunastu, ale chciałem, żeby każdy miał jakiś udział w akcji.

Obserwując, jak załadowują bombę na samochód, sprawdziłem zdjęcie satelitarne, które trzymałem w kieszeni. Zazaczyłem na nim kredką drogę ewakuacji. To był głupi pomysł: co by było, gdybym zaliczył kulkę i bandyci znaleźliby przy mnie tę mapę? Dlatego zacząłem

ROZDZIAŁ

trzeć fotografią o mundur, aż zmazałem czerwoną kreskę. W końcu, do licha, wiedziałem, dokąd jedziemy.

Gold Dust Larry siadł za kierownicą i ściągnął kominiarkę na kark, pokazując krzywy, twardy uśmiech pod wąsami. Ja uwiesiłem się na stopniu bocznym po stronie pasażera i pilotowałem. Kiedy dojechaliśmy do bramy, zobaczyłem Horsefacea, który właśnie przeciął zamki. Kiedy nas przepuszczał, usłyszałem strzały z okolicy baraków.

- Jedźcie, jedźcie.

Dostanie się do SL, gdzie wylądowaliśmy, zajęło nam niewiele ponad dziesięć minut. Zaparkowaliśmy ciężarówkę na boku dawnego pasa startowego, zabezpieczyliśmy obwód i czekaliśmy. Po jakichś pięciu minutach dotarł pluton PV: jego dowódca razem z jednym z podoficerów podtrzymywali chudego siwowłosego mężczyznę w podeszłym wieku, ubranego w jbrudną białą koszulę i poplamione szare spodnie, a na oczach mającego okulary w grubych oprawkach, przymocowane elastyczną opaską, żeby nie spadły. Podeszedłem do niego i podałem mu rękę.

- Dobrze się pan czuje?

Kiwnął głową.

- Trochę się trzęsę, komandorze.

Akcent miał czysto niemiecki. Zastanawiałem się, skąd go wzięli. Nieważne. Trzymałem się roli, jak gdybym nie wiedział, że wszyscy mamy napisane scenariusze.

- Niemiec?

- Tak. Dziękuję, że po mnie przyszliście.

Wykonałem przesadny ukłon w stylu Trzech muszkieterów.

- Komandor Otto von Piffle, do pańskich usług - powiedziałem z dość udanie wzorowanym na Ottonie Premingerze akcentem. - Z wielko pszujemnoszczo pszibyłem panu na ratunek, gdisz fie pan, sze oni potrafio pana zmuszicz do mówienie.

Zakładnik wybałuszył oczy ze zdziwienia.

PV zaszwargotał po niemiecku z prędkością karabinu maszynowego. Nauczył się tego języka, kiedy przez dwa lata i dwa miesiące służył

razem z Kampfschwimmerkompanie - jednostką pływacką bojową będącą zachodniemieckim odpowiednikiem SEALs. Zakładnik roześmiał się.

- Co mu powiedziałeś?

- Powiedziałem: „Komandor chciał powiedzieć, że cieszy się, że nic panu się nie stało”. Potem dodałem, że nie jesteś taki głupi ani okropny, jak się wydaje na pierwszy rzut oka.

Dwie drużyny PV wzmocniły obwód. Zegarek pokazywał, że od przybycia śmigłowców dzieli nas dziewięć minut. Zobaczyłem biegnącego truchtem Cheeksa z jego dwiema drużynami. Czterech albo pięciu SEALsów dźwigało na grzbiecie pudła.

- Trochę frykasów dla naszych asów - powiedział Cheeks. - Najróżniejsze gówna: plany, mapy, kwity. I schematy: bazy w Puerto Rico i na kontynencie. Nieudacznicy z naszego wywiadu będą mieli używanie.

Zamaszyście zsalutowałem Cheeksowi.

- Kapitanie, uwielbiam, jak ich uszczęśliwiasz, bo wtedy odwalają się ode mnie.

Cheeks odwzajemnił salut.

- Ależ proszę bardzo, maleńka.

Z tyłu rozległa się seria z broni maszynowej.

- Uważajcie tam! - krzyknąłem. - Nie możemy teraz zacząć tracić naszych.

Właśnie miałem odpalić race, żeby naprowadzić helikoptery, ale uznałem, że nie ma sensu pokazywać tym, co strzelają, gdzie jesteśmy.

Zobaczyłem, że z zarośli na odległym końcu polany wyłania się Jew. Pomachałem na niego.

- Jew, co jest?

- Musiało być ich więcej, niż myśleliśmy. Albo część tych, cośmy ich trafili, jakimś cudem wstała i nic im nie jest. Strzelają do nas.

Dobry był. Miał rację co do tych tango, którzy wstali i nic im nie jest - tyle że o tym nie wiedział. Popatrzyłem na niego zaniepokojony.

- Są ranni?

46

ROZDZIAŁ

Jew przytaknął.

- Dwóch, nic poważnego. Jeden skrzył łokieć na ścieżce, drugi po ciemku wpadł w kolczaste zarośla.

- Wystarczy, że przytrzymacie ich z dala od nas, dopóki nie przylecą helikoptery.
- Tak jest.

Jew znikł z powrotem w dżungli.

Pora była oświetlić SL. Ustawiliśmy sześć białych lamp stroboskopowych i trzy czerwone. Do naprowadzenia śmigłowców podczas końcowego podejścia mieliśmy neonowozielone światło chemiczne.

Strzały słyhać było coraz bliżej. Z niecierpliwością wpatrywałem się w niebo. W przeklętym Air Force mieli pewnie przerwę na kawę. Oni tak przeważnie pracowali: jak chronieni przez związki zawodowe kierowcy autobusów. Sześć czy siedem godzin latania (oczywiście, broń Boże, nie przekraczać tej czy innej wysokości), a potem - cześć! Zmiana pieluszki, drzemka i kubek kakao. My mogliśmy biegać przez tydzień bez chwili na sen, potem ćwiczyć wyskakiwanie z otwierającym się spadochronem z 10 kilometrów, zbierać się i robić to wszystko od nowa. No, ale my to nie lotnicy. Popatrzyłem na zegarek. Już byli spóźnieni.

Połączyłem się z JSOC.

- Gdzie, do diabła, te helikoptery?
- Lecą. Spokojnie.
- Spokojnie?!?

Co to w ogóle za idioci? Umieściłem Niemca pod ciężarówką i przykucnąłem obok razem z PV. Wydawało się, że upłynęła wieczność, zanim usłyszeliśmy dźwięk wirników. Kazali nam czekać osiemnaście minut. W osiemnaście minut na SL pod ostrzałem można stracić wszystkich ludzi.

Kwartet śmigłowców z wystającymi z dziobów niczym rycerskie kopie długimi szpicami do tankowania leniwie krążył nad SL, wybierając miejsce do wylądowania. Nie do wiary: piloci podchodzili w trybie admin, czyli administracyjnym. Lądowali tak, jakby podchodzili

47

CZEŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

do pasa startowego w bazie lotniczej. Dla nich to były tylko ćwiczenia, więc po co mieliby robić sobie kłopot? Dupki! Jak się stąd wydostaniemy, rozwałę sukinkotów.

Zamachałem na nich światłem chemicznym, żeby siadali szybko. To miała być SL pod ostrzałem. Oni mieli lecieć tak, jakby z ziemi strzelano. Ich zadanie polegało na tym, żeby wpaść, spuścić rampę, zgarnąć nas i zjeżdżać. Machałem jak wariat. Piloci nie zwracali na mnie uwagi. Posadzili maszyny, jakby lądowali na trawniku przed Białym Domem, i jeden po drugim zaczęli wyłączać silniki.

- Nie, nie, nie, nie, nie! Zwiększyć obroty! Włączyć! - darłem się, wywijając światłem. Pokazałem PV najbliższy śmigłowiec, który opuszczał rampę.

- Ładuj zakładnika.

Obserwowałem, jak PV i jego załoga wpychają Niemca po rampie. Mieliśmy czternastu plus jednego. Narysowałem pilotowi w powietrzu kółko światłem:

- Zjeżdżaj stąd!

Pokazał mi kciuki do góry. Sześć łopat wirnika ruszyło znowu, silniki turbinowe nabrały pełnego pędu i helikopter oderwał się od ziemi. Jeszcze trzy. Cheeks ładował do jednego materiały wywiadowcze, a mój pluton wnosił do drugiego bombę jądrową. Gdy tylko ją przypięli, wepchnąłem drużynę Alpha na pokład i wysłałem śmigłowiec w górę. To już dwa. Dwudziestu jeden SEALsów w powietrzu.

Wsadziłem głowę do przedniego włazu trzeciego helikoptera i krzyknąłem do pilota:

- Zwiększ obroty! Dam ci znać, kiedy masz lecieć.

Pobiegłem na pozycje Horsefacea na obwodzie i pokazałem ręką w stronę śmigłowca.

- Pozbieraj lampy i spadochrony, zbierz moją drużynę Bravo i wypadajcie. Ja polecę z Jew.

- Zrozumiałem.

Wysłał swoich chłopaków. Jedna grupa zebrała lampy i wrzuciła je do śmigłowca, podczas gdy druga odszukała w krzakach ukryte tam

48

ROZDZIAŁ

spadochrony i wpakowała sterty jedwabiu na rampę, obok Horsefacea, który stał na górze z uniesionym w górę HK i machając na swoich ludzi, jednocześnie ich przeliczał.

- Ruszamy.

Kiedy zobaczyłem, że wszystko załadowane i żołnierze są już na pokładzie, dałem znak pilotowi:

- Jazda!

Następna dwudziestka SEALsów odleciała. Pozostało czternastu z Jew - i ja. Wywołałem Jew przez mikrofon motoroli. Nie odpowiadał.

- Jew, do licha ciężkiego! - Uświadomiłem sobie, że wyciągnąłem wtyczkę z gniazdka. Włożyłem ją z powrotem i znów go wywołałem.

- Idę, Dickie.

Stałem i patr/ylem, jak pluton Jew wyłania się z ciemności, wycofując się skokami, a ich trasę znaczyły krótkie serie z MP5. Chwyciłem dwóch z nich za kamizelki i popchnąłem w stronę helikoptera. Ostatni na pokład wszedłem ja i Jew. Kiedy rampa się zamykała, każdy z nas przeczesał SL porządną serią z pistoletów maszynowych.

- Ruszaj! - krzyknąłem do szefa załogi.

I polecieliśmy. Perfekcyjna misja. Nawet jeśli była to próba, to ja byłem cholernie szczęśliwym dowódcą SEALsów. Popatrzyłem na zegarek. Walnąłem Jew w klatkę piersiową otwartą dłonią, tak że wywinął kozła do tyłu na przestraszonego sierżanta Air Force. Zlustrowałem swoich SEALsów.

- Chłopaki, jesteście wspaniali!

W przechyle podczas podejścia do lądowania w bazie lotniczej na głównej wyspie Puerto Rico zobaczyłem olbrzymi czarny kadłub C-141 star-liftera. Miałem nadzieję, że personel latający będzie miał na pokładzie trochę zimnego piwa - za chwilę będziemy go potrzebować. Pierwszy helikopter był już na ziemi i wypluwał SEALsów oraz zakładnika. Drugi i trzeci właśnie siadały. Czułem się tak dobrze, że zapomniałem

49

CZEŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

o wysłaniu pilotów śmigłowców do szpitala za ich osiemnastominutowe spóźnienie i podejście w trybie admin na wyspie Vieques.

Wylądowaliśmy. Wskoczyłem pierwszy i dotknąłem ziemi stopami, zanim dotknęła jej rampa. Pobiegłem do starliftera. Tak jest - na pokładzie mieli piwo. Niesamowite! W drodze do domu urządzimy przyjęcie. Wielkimi susami dopadłem PV i Cheeksa i walnąłem ich po plecach. Zebrałem ludzi.

- Świetna robota! Niesamowita. Ja pier***ę. Ja was wszystkich, obes-rane bezmózgi, popieprzone lachociągi, niesamowicie, zaje-k***a-bi-ście pier***ę.

Tak, wbiło mnie to w pychę. Ale nie bez powodu, do licha. Nie bez powodu. Nieważne, czy to były ćwiczenia, czy nie. Tego, co zrobiliśmy tej nocy, nie zrobił nigdy, przenigdy żaden inny oddział. Przelecieliśmy prawie 5000 kilometrów, zrzuciliśmy cztery plutony SEALsów w ramach tajnej akcji, z dużej wysokości, z wysokim otwarciem, w grupie, w nocy, szybowaliśmy na spadochronach 15 kilometrów do celu, wylądowaliśmy w jednej grupie w strefie zrzutu nie większej niż dwa boiska, zebraliśmy ludzi, zlikwidowaliśmy bandę terrorystów, uwolniliśmy zakładnika, odzyskaliśmy bombę jądrową, nie tracą jednocześnie ani jednego SEALsa.

To do tego się szykowaliśmy, to po to tak harowaliśmy. Ćwiczyliśmy każdy ryzykowny element: strzelanie, skakanie, szybowanie na spadochronie, potajemną infiltrację - ale każdy

element osobno. Aż do tej nocy nigdy wcześniej nie łączyliśmy ich wszystkich, nigdy nie prowadziliśmy gry wojennej w czasie rzeczywistym i na maksa.

Podszedł do mnie Niemiec.

- Pan i pańscy ludzie byliście bardzo dobrzy.
- Dziękuję. Jestem z nich dumny.

-1 słusznie.

Chciałem powiedzieć coś jeszcze, ale po pasie startowym maszerował do nas pułkownik wojsk lądowych w wykrochmalonym mundurze polowym. W grubych na centymetr okularach wyglądał, jakby urwał się z komiksu.

50

ROZDZIAŁ

- Komandorze Marcinko...
- Tak jest?
- Mam dla pana wiadomość, żeby połączył się pan z Połączonym Dowództwem Operacji Specjalnych.
- Jasne. - Wyciągnąłem SATCOM z kamizelki i zgłosiłem się do JSOC. - Tu Marcinko.
- Czekałem.
- Dick - usłyszałem znajomy głos.
- Tak, panie generale?
- Byliście wspaniali. Lepsi, niż się spodziewaliśmy. Połączone Dowództwo jest pod wrażeniem.

To mi się podobało. W Połączonym Dowództwie niektórzy byli naprawdę sceptyczni co do tego, czy jesteśmy gotowi do misji. Delta była jednostką wzorowaną na brytyjskim SAS i była poddawana podobnemu jak w SAS procesowi administracyjnych zaświadczeń. Ja odmówiłem poddawania moich ludzi ocenie osób z zewnątrz. Miałem prosty argument: tego, co ćwiczymy, nikt wcześniej nie robił. Skąd więc, do licha, jakiś czterogwiazdkowy kutasik-urzędasik z Pentagonu miałby wiedzieć, czy robimy to dobrze, czy nie? Mój wniosek brzmiał, że nie może tego wiedzieć. Jasno i wyraźnie powiedziałem dowódcom:

- Panowie, bardzo dziękuję, ale sam wystawię dla SEAL Team Six odpowiednie zaświadczenia.

Miało jednak stać się inaczej. Struktura dowodzenia mogła narzucić nam własną wolę - i zrobiła to, nie zważając na mnie. Ćwiczenia na wyspie Vieques były tego wymownym dowodem. Głos w słuchawce mówił dalej:

- Dick, to były pierwszorzędnie wykonane ćwiczenia. Myślę, że i tobie, i twoim ludziom przyda się parę dni wolnego, żebyśmy mogli w tym czasie poddać wszystko analizie i ewaluacji.

„Analizie i ewaluacji”. Na dźwięk tych biurokratycznych sylab wzięło mnie obrzydzenie. Od czasów Wietnamu wiele się zmieniło w wojsku. Nawet słownictwo zmieniło się z wojennego na menedżerskie. Do licha ciężkiego! Nie potrzebowaliśmy menedżerów, tylko przywódców, wojowników, łowców. Zamiast nich dostaliśmy księgowych. Czułem

51

CZEŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

się jak pies: czułem, że jak tylko warknę albo szarpnę, to zaraz jakiś trzygwiazdkowy dupek włoży mi obrozę na szyję i tak ją zaciśnie, żebym poczuł, jakim koszmarem to grozi. Nadszedł czas, żeby odwarknąć. Nasrać. Wściec się. Pójść na całość. Byłem to winien swoim ludziom. Gównu: byłem to winien samemu sobie. Podniosłem głos, żeby było słychać, jak krzyczę do mikrofonu:

- Ćwiczenia?! Analiza?! Ewaluacja?! Generale, o co tu chodzi, do k***y nędzy?! Odbiór.

Scholtes też dobrze odegrał swoją rolę:

- Nie mogłem powiedzieć nic wcześniej, Dick. Połączone Dowództwo to na mnie wymogło. - Przerwał na chwilę. - A wy byliście świetni. Team Six został zatwierdzony. Od teraz wchodzisz do gry.

- W takim razie bardzo dziękuję za tę cenną wiadomość, generale. Jestem pewien, że moi ludzie będą wdzięczni za pańską opinię.

Zastanawiałem się, czy odczyta ironię w moim głosie. Dyskretnie pstryknąłem przełącznik transmisji, wyłączając SATCOM, i zasłoniłem go ręką. Następnie wróciłem do „rozmowy”. PV, Cheeks i Jew przybliżyli się, a ja mówiłem coraz głośniej i robiłem się coraz bardziej wzburzony.

- Że co zrobiliście? Podmieniliście naszą amunicję w składnicy??? -darłem się do głuchego SATCOM-u. - Panie generale, to jakiś pieprzony absurd. Do jasnej cholery, niech się pan nie rozłącza...

Pułkownik z komiksu gapił się w głąb kadłuba mojego C-141. Odwrócił się do mnie.

- Komandorze, ma pan tam piwo. To wbrew regulaminowi.

Wyrwałem do niego.

- Pułkowniku, z wielką chęcią skopię panu dupę.

Przyblokował mnie PV: chwycił mnie oburącz za kamizelkę bojową i wyhamował jak dryfkotwa. Był ponad 10 centymetrów niższy ode mnie, ale w akademii trenował boks, więc mimo niewielkiego wzrostu potrafił się postawić.

- Wyluzuj, Dick - powiedział, po czym zwrócił się do pułkownika: - Sądzę, że lepiej by było, gdyby zechciał nas pan zostawić samych.

52

ROZDZIAŁ 2

Wszyscy jesteśmy troszeczkę zdenerwowani i mogłoby być dla pana... niebezpiecznie, gdyby pan tu został.

Paul zapierał się piętami na betonowej nawierzchni lotniska. Pułkownik widział, że mój szef sztabu długo mnie nie utrzyma, a w moich oczach czai się dzikie zwierzę, więc zarządził pospieszny odwrót. Paul mnie puścił.

- Nie warto, Dick.

- Chrzań się.

Cheeks i Jew walnęli mnie po plecach.

- Szefie - powiedział Jew - co do Połączonego Dowództwa i całego tego gówna, to luz. Wiedzieliśmy.

- Co wiedzieliście?

- Że to tryb ^misja 100 procent" - powiedział PV.

- To musiały być ćwiczenia - dodał Cheeks. - Żadnych ofiar. Tyle strzelania i ani draśnięcia. No i wszyscy tango co do jednego nosili okulary strzeleckie.

Uśmiechałem się w duchu. Wybrałem tych chłopaków, bo miałem przekonanie, że są bystrzy. Do licha, oni byli bystrzy.

- To dlaczego żaden kretyn nic mi nie powiedział?

- Pamiętam hasło, które widzi każdy SEALs, kiedy zaczyna szkolenie - powiedział PV.
- To, gdzie napisano: „Im więcej potu na ćwiczeniach, tym mniej krwi w boju”. Poza tym nigdy nie mieliśmy tego wszystkiego naraz, szefie. Pomyśleliśmy, że to dobry pomysł, żeby odegrać to do końca i zobaczyć, czy nam wyjdzie.

Oczywiście miał rację. Odwróciłem się w stronę C-141.

- Ruszamy.

PV walnął mnie w ramię - tak mocno, że zabolalo.

- Tak jest, szefie.

Uniósł palec wskazujący w górę i zrobił nim parę kółek.

- Jazda, chłopcy, ładować się. Idziemy się upić.

Miał rację. Pieprzyć to wszystko. Czas, żeby się upić i wracać do domu.

Rozdział 3

Z wracaniem do domu zawsze miałem kłopoty. Na pewno nie szło mi to dobrze, kiedy byłem dzieckiem. Urodziłem się w Święto Dziękczynienia 1940 roku w domu mojej babci Justine Pavlik w Lansford w Pensylwanii. Było to niewielkie miasteczko przy kopalni w hrabstwie Carbon (czyli „węgiel” - trafna nazwa, prawda?) na wschód od Coaldale i Hometown. Dla niewtajemniczonych: to jakieś pół godziny na północny zachód od Allentown i całe wieki od Filadelfii. Mój ojciec George i matka Emilie Teresa Pavlik Marcinko nigdy nie dotarli dalej niż do szpitalnej porodówki. Typowe.

Oboje rodzice byli Czechami. Matka - niska, słowiańskie rysy twarzy. Ojciec był wielki (na pewno powyżej metr osiemdziesiąt wzrostu), ciemnowłosy, ponury i miał paskudny charakter. Wszyscy mężczyźni w mojej rodzinie - a właściwie również wszyscy mężczyźni z Lansford - byli górnikami. Rodzili się, pracowali w kopalni, umierali. Życie było proste i ciężkie. Niektórzy pewnie chcieli się stamtąd jakoś wybić, ale większość była zbyt biedna, by mieć od czego zacząć.

Mieszkaliśmy na szczycie wzgórza, tuż za rogiem drogi, przy której był sklep Kanucha. Kupowaliśmy tam jedzenie, a stary Kanuch zawsze

54

ROZDZIAŁ

najpierw oblizywał koniec grubego ołówka i w swoich księgach zapisywał nim, co kupowaliśmy. Prowadził nam rachunek i odbierał należność w dniu zapłaty. Pewnie byłoby taniej kupować kilka przecnic dalej, w sklepie A&P, ale prawie nikt tak nie robił. Szło się tam, gdzie znało się z właścicielem.

Jeśli jestem wredny - a są tacy, co tak uważają - to mam to pewnie po dziadku ze strony matki. Joe Pavlik był kłótliwym sukinsynem. Przepijał wódkę (morze wódki) piwem. Był niski, miał wydatny tors, kwadratową twarz i brwi Brezniewa. Przez całe życie pracował w kopalni i ani razu nie poskarżył się na swój los. Nie przypominam sobie, żeby w ogóle na cokolwiek narzekał. To był prawdziwy rozrabiaka - jeden z tych twardo ciosanych chłopów, których spotyka się w knajpach pełnych robotników: z wielkimi, szerokimi, utwardzonymi ciężką pracą łapskami wyglądającymi, jakby zostały stworzone do obejmowania grubych kufli z piwem.

Zawsze byłem niezależny. Mając pięć lat, roznosiłem gazety. W wieku lat siedmiu od czasu do czasu robiłem sobie wolne i biegałem przez półtorakilometrowy tunel na trasie kolejowej Lehigh, żeby popływać w zbiorniku Hauto. Można się tam też było dostać starym tunelem wodociągowym, ale było tam mnóstwo szczurów, a poza tym był on położony wyżej na stoku

góry. Dlatego wolałem skrót po torach - i ryzyko z tym związane. Parę razy musiałem wcisnąć się w ścianę. Za pierwszym razem, kiedy parowóz przejechał niebezpiecznie blisko mnie, myślałem, że zginę. Nabrałem powietrza w płuca i zacisnąłem powieki, tuląc się do mokrej skały w tunelu, podczas gdy niecałe pół metra od mojego nosa przejeżdżał wagon za wagonem: tuk-tuk, tuk-tuk, tuk-tuk. Kiedy powiedziałem tacie, co zrobiłem, spuścił mi lanie. Od tego czasu, kiedy chodziłem przez tunel kolejowy, trzymałem głowę na kłódkę.

Żadne z moich rodziców nie miało szczególnego wykształcenia. Ojciec rzucił szkołę w okolicach ósmej klasy, matka uczyła się być może rok albo dwa dłużej. Ani ona, ani on nie przykładali wagi do wiedzy książkowej, więc nigdy nie traktowałem szkoły poważnie. Dużo bardziej zajmowała mnie zabawa - i zarabianie pieniędzy.

55

CZEŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

Zabawa - zanim odkryłem kobiety - polegała na pływaniu w Hau-to i na wakacjach w górach Catskill (zwanymi Żydowskimi Alpami), gdzie wujek Frank i ciocia Helen prowadzili pensjonat. Jeśli chodzi o pieniądze, to zawsze był z nimi problem. Kiedy byłem w siódmej klasie, zamknięto kopalnię i po kilku miesiącach, kiedy ledwie wiązałyśmy koniec z końcem, ojciec znalazł wreszcie pracę jako spawacz w New Brunswick w stanie New Jersey. Przeprowadziliśmy się tam w 1952 roku. To był dla mnie prawdziwy szok kulturowy. W Lansford mieszkali zaledwie jakieś cztery tysiące ludzi, w większości Czechów. W New Brunswick mieszkali Polacy, Węgrzy, Irlandczycy, Żydzi, Murzyni i Hiszpanie. Wymagało to pewnego przystosowania się, a dokonywało się ono między innymi w drodze ze szkoły do małego mieszkania w suterenie, na jakie było nas stać. Moje zaangażowanie w towarzyszące temu przystosowaniu dzieło zadawania i odbierania sińców i stłuczeń przekraczało średnią statystyczną.

Życie domowe nie było przyjemne. Razem z nami wprowadził się brat mojej matki. W trzypokojowym mieszkaniu tłoczyło się troje dorosłych i dwoje dzieci (miałem brata). Kiedy rodzice się bili, co zdarzało się często, wujek stawał po stronie matki. Skutkiem tego ojciec coraz mniej przebywał w domu. Mój młodszy brat Joey, który miał wtedy dziewięć albo dziesięć lat, był bardzo przywiązany do matki, więc zawsze był z nią w domu. Ja nie potrafiłem usiedzieć na miejscu. Dlatego radziłem sobie sam poza domem, a wracałem tam tylko na noc albo żeby od czasu do czasu odrobić lekcje.

Wymykałem się z domu, łapiąc się w tym czasie najrozmaitszych zajęć: byłem ustawiaczem kręgli w kręgielni, a nawet wstawałem w niedzielę na siódmą rano, żeby służyć jako ministrant do mszy. Kiedy mi się podobało, pojawiałem się w węgierskiej Katolickiej Szkole Świętego Władysława, gdzie podobnie jak całe pokolenia uczniów przede mną dostawałem od zakonnic linijką po kostkach palców. Ale nauka nigdy za bardzo mi się nie podobała. Lata szkolne upływały monotonnie. Dużo bardziej zajmowało mnie zarabianie kieszonkowego niż zbieranie stopni.

56

ROZDZIAŁ

Na przykład w drugiej klasie szkoły średniej pracowałem po sześćdziesiąt godzin tygodniowo w restauracyjce u Gussyego, tuż obok kampusu Rutgers University. W wakacje pracowałem tam sto dwadzieścia godzin tygodniowo - od piątej rano do dziesiątej wieczorem, siedem dni w tygodniu. Pracy było dużo, ale kasa była spora: dolar za godzinę, na czarno. Dla piętnastolatka w 1955 roku był to prawdziwy potok pieniędzy.

Poza tym Gussy (jego pełne nazwisko brzmiało Salvatore Puleio Augustino, ale nie pamiętam, żeby ktoś kiedykolwiek go używał) traktował mnie jak członka rodziny. Zabierał mnie na górę, gdzie mieszkał jego ojciec, staruszek Sal. Dostawałem tam makaron z sosem, kiełbaski i kurczaka, i wielkie półmiski warzyw saute z oliwą z oliwek i czosnkiem, dzięki czemu nie musiałem jeść odgrzewanych klopsów ani kotletów z restauracji. Staruszek Sal pokazywał mi, jak robi wino w piwnicy, i wtedy naprawdę zasmakowałem w chianti. Nauczyłem się nawet trochę włoskiego - na tyle, że dawałem sobie z nim radę w rozmowach przy stole, co strasznie podobało się staruszkowi Salowi. Gussy zrobił ze mnie prawdziwego czeskiego królika doświadczalnego.

Ponieważ jak na nastolatka miałem mnóstwo pieniędzy w kieszeni, kupiłem sobie nawet samochód. Był to kabriolet mercury w kolorze żółci chromowej, model z roku 1954, a kupiłem go od razu, kiedy tylko mogłem mieć prawo jazdy: dzień po siedemnastych urodzinach.

Życie stało się jeszcze ciekawsze, bo u Gussyego spotykało się wielu gości z bractw studenckich z Rutgersa, a niektórzy z nich wybrali mnie sobie na rodzaj maskotki. Sporo czasu spędzałem w tych „greckich” bractwach, co w sumie okazało się wspaniałym i pouczającym doświadczeniem. Kontakt z nimi pomógł mi wygładzić niektóre z moich najostrejszych kantów. Kiedy większość dzieciaków ze środowisk takich jak moje nosiła obwisłe spodnie i kurtki motocyklowe oraz czesała się na Elvisa Presleya albo Diona DiMucciego, ja chodziłem w koszulach z kołnierzykiem na guziki, spodniach khaki i sportowych marynarkach Harris Tweed. Wcześniej nauczyłem się, jak pić piwo i -co ważniejsze - nauczyłem się też, jak radzić sobie z piciem. Koledzy

57

CZEŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

studenci poinstruowali mnie również w zakresie niektórych niuansów związanych z nieustannym poszukiwaniem niebanalnego kobiecego towarzystwa.

Nauka nie szła w las. Latem między klasą drugą a przedostatnią (miałem piętnaście lat) na jednym ze studenckich przyjęć poznałem piękną i wytworną młodą praktykantkę szkolną o imieniu Lucette. Z miejsca się zaprzyjaźniliśmy. Ona miała francuski jako przedmiot kierunkowy, ja mówiłem łamaną włoszczyzną, więc były punkty styczne. Byłem duży jak na swój wiek i nie brakowało mi pieniędzy, poza tym mówiłem i ubierałem się tak, jakbym studiował na Rutgers, a zachowywałem się jak sam prezes organizacji studenckiej - więc nie domyślała się, że jestem dzieciakiem ze szkoły średniej.

Ale dowiedziała się o tym, i to w bolesny sposób. Nieprzeniknie-ni wyznawcy buddyzmu mogliby nazwać to naprawdę złą karmą: Lucette wyznaczono na wrzesień do nauki francuskiego w trzeciej klasie i tam zobaczyła moją promienną twarz w trzecim rzędzie. Zut alors!

Kiedy miałem już siedemnaście lat, w moim życiu sporo się zmieniło. Rodzice się rozeszli. Matka zaczęła pracować w sklepie Sears i przeprowadziła się razem ze mną i moim młodszym bratem do mieszkania socjalnego. Ojciec wynajął umeblowany pokój nad słowackim barem u Yuska, tylko kilka domów od restauracyjki, w której pracowałem. Spędzał w tym barze mnóstwo czasu, a ja wpadałem go tam odwiedzać. Lokal był jak żywcem przeniesiony z Lansford: te marynowane nogi wieprzowe w wielkich słojach, te poukładane w miskach jaja na twardo - i trzech czy czterech facetów wyglądających jak Joe Pavlik, którzy siedzieli na stołkach barowych od dziesiątej rano aż do zamknięcia, pijąc bez przerwy i paląc camele jak lokomotywy. Mój staruszek był tam szczęśliwy, bo to miejsce przypominało mu dom. George Marcin-ko nigdy nie przyzwyczyił się do New Brunswick.

Ja tymczasem spędzałem w szkole coraz mniej czasu. Regularnie urywałem się z lekcji, bo coraz więcej czasu spędzałem z młodą Włoszką, która była żoną mężczyzny starszego od niej o dwadzieścia siedem lat i bardzo potrzebowała ruchu, a ja byłem daleki od tego, by jej go nie

58

ROZDZIAŁ

zapewniać. Rzuciłem robotę u Gussyego i stanąłem za kasą greckiego lokalu w samym centrum New Brunswick. Zarobek był dobry - około 200 dolarów tygodniowo, licząc napiwki, za mniej więcej połowę tego czasu, który spędzałem u Gussyego. Poza tym szefowie chcieli mnie uczyć podstaw gotowania i pieczenia, więc dostrzegłem w tej pracy sposób na nauczenie się zawodu. To była dla mnie nowość: tak naprawdę nigdy wcześniej nie zastanawiałem się, co powinienem zrobić z życiem.

W końcu całkiem rzuciłem szkołę. W lutym 1958 roku „dobrowolnie wypisałem się z listy uczniów” - jak to ująłem kilka lat później, używając oficjalnie brzmiących sformułowań. Dalsza nauka po prostu wydawała mi się bez sensu. Na lekcjach i tak mówiono kompletne bzdury. No i komu było potrzebne świadectwo ukończenia szkoły średniej? Trzeba było zarabiać pieniądze, wrywać kobiety, a raz na jakiś czas można było pojechać nad ocean i poleżeć parę dni na plaży -do tego wszystkiego niepotrzebna mi była edukacja. Więc się zmyłem.

Próbowałem też dostać się do wojska. Kiedy prezydent Eisenhower wysyłał marines do Libanu, zgłosiłem się na ochotnika. Podobały mi się ich niebieskie mundury i szable. Więc wybrałem się do ich komisji poborowej, wszedłem i pewnie powiedziałem coś głupiego w rodzaju:

- Dobra, kolego, poszedłbym zastrzelić paru bandytów. Gdzie znajdę strzelbę i naboje i kiedy wyjeżdżamy?

I wtedy sierżant zajmujący się poborem najprawdopodobniej powstrzymał się od wbicia mnie w podłogę, po czym powiedział:

- Słuchaj, synku, zanim puścimy cię, żebyś komuś skopał dupę, będziesz musiał pojechać na obóz dla rekrutów, a poza tym jesteś niepełnoletni i nie skończyłeś szkoły średniej. Więc pomyśl, czy nie zdobyć świadectwa, to pogadamy.

Cóż, nie miałem cholernego cienia wątpliwości, że zanim zdążę to wszystko zrobić, marines rozwiążą libański problem bez mojej pomocy. No to poszedłem: lato było piękne, więc na plaży popracowałem nad pierwszorzędną opalenizną rasowego surfera i miałem niemałe branie. Trochę czasu spędziłem też na basenie przy Livingston Avenue, próbując zrzucić z trampoliny na wysokości 3 metrów atrakcyjną dziewczynę

59

CZEŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

z sąsiedztwa, Kathryn Ann Black (zrzucić z trampoliny, żeby wpadła do łóżka). Randkowaliśmy przez większość lata, kiedy nie podrywałem innych kobiet, i odkryliśmy, że się lubimy. Najwyraźniej tak było: mimo mojej skłonności do działalności zewnętrznej ciągle wracałem. Było w tym coś nadzwyczajnego.

Potem, we wrześniu, kiedy dobra zabawa się skończyła, a Kathy wróciła do szkoły, poszedłem do komisji poborowej marynarki wojennej, zgłosiłem się na ochotnika i po przejściu całego mnóstwa testów zostałem przyjęty do służby. Gdyby oni tylko wiedzieli...

15 października 1958 roku zgłosiłem się w obozie dla rekrutów w Great Lakes w stanie Illinois. Przekraczając bramę tego obozu, z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu czułem się lepiej, niż wchodząc gdziekolwiek indziej w całym moim życiu.

Byłem idealnym podstawowym typem marynarza: „model 1, odmiana 0” - tak w wojskowym żargonie określa się najprostszy wariant. Czy byłem zakręcony? Czyściłem do połysku nawet podeszwy butów. Byłem jedynym dupkiem na stu, który naprawdę wierzył dowódcom, kiedy mówili:

- Kto poleruje buty tylko do połowy, tylko w połowie jest człowiekiem.

W New Brunswick poznałem pewnego taksówkarza, Joego jakiegoś tam, byłego marynarza. Podarował mi swój Bluejackets Manual, podręcznik marynarzy US Navy, który przeczytałem, mając jakieś szesnaście lat. Joe nauczył mnie zwijać i wiązać chustę, a także mnóstwa innych marynarskich umiejętności, więc kiedy dostałem się do obozu dla rekrutów, byłem już do przodu. Zgłaszałem się do wszystkiego, od drużyny futbolowej do kompanii reprezentacyjnej, przez parę tygodni powierzono mi nawet obowiązki podoficera odpowiedzialnego za trening fizyczny. Z treningiem były związane niesamowite ilości budżetów, ale w sumie układ wydawał mi się niezły: ja dawałem marynarce cały dzień pracy, a marynarka dawała mi całodzienną wypłatę, a przy okazji

60

ROZDZIAŁ

miałem jeszcze trochę zabawy. Naprawdę lubiłem pływanie, strzelanie i maszerowanie. Książkowe pierdoły mogli sobie darować.

Po Bożym Narodzeniu zakwalifikowałem się na szkolenie dla łącznościowców. W szkole nie było jednak wolnych miejsc. Wobec tego otrzymałem tymczasowy przydział do Quonset Point w stanie Rhode Island, gdzie pomagałem uczyć pływać lotników marynarki w ramach szkolenia umiejętności przetrwania.

W okresie spędzonym w Rhode Island byłem pewnego wieczora w kinie i oglądałem niesamowity film *The Frogmen* (Płetwonurkowie, dosłownie: Ludzie żaby), w którym grali Richard Widmark i Dana Andrews. Była to opowieść o działaniach Underwater Demolition Teams na Pacyfiku w czasie drugiej wojny światowej. Mnóstwo akcji. Mnóstwo bohaterstwa. Mnóstwo pieśni. Na przykład Hymn marines z nowymi słowami: J

Od pałaców Montezumy Aż po Trypolisu brzeg Bronić kraju będziem dumy - tuż za naszym UDT!

Wyszedłem z kina i pomyślałem: zaraz, przecież ja bym tak potrafił. To znaczy: jestem dość energiczny, poza tym chciałem wstąpić do marines. W związku z tym perspektywa Demolition Dick (Dicka Demolki) czy Tough-Guy Shark Man of the Navy (Twardziela i Człowieka Rekina US Navy) wydawała mi się niepomierne przyjemniejsza niż wizerunek operatora dalekopisu, gryziopórka Marcinki.

Kryzys tożsamości Demo Dicka/gryziopórka Marcinki osiągnął punkt kulminacyjny kilka tygodni później, kiedy zostałem w końcu przeniesiony do szkoły łączności w Norfolk w Wirginii. Okazało się, że Norfolk leży zaledwie rzut kamieniem od Underwater Demolition Teams, które działały przy bazie desantowej w Little Creek - po drugiej stronie przystani. Widziałem z bliska łącznościowców. I widziałem z bliska frogmenów, płetwonurków. Sprawa była przesądzona.

61

CZĘŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

Rozwiązanie było proste: pakujemy te radiowe pierdoły i idziemy na nurka. Poszedłem do dowództwa UDT i powiedziałem, co chcę zrobić. Niestety, nie mieli mi nic nowego do powiedzenia poza tym, co słyszałem już od marines. Nie będę mógł zostać płetwonurkiem, dopóki nie dostanę stałego przydziału. Nie przyjmują zgłoszeń żołnierzy mających kontrakty terminowe - a szkoła łącznościowa była jednostką dla takich żołnierzy. Do widzenia, Demo Dick. Witamy gryziopórka Marcinkę.

Zanim wróciłem do Little Creek, miały upłynąć prawie dwa lata. Moja odyseja wiła się przez Dahlgren w Wirginii, gdzie marynarka prowadziła ośrodek obserwacji kosmicznej, śledząc radzieckie sputniki, i przez Neapol, gdzie pracowałem przy obsłudze dalekopisów w radiostacji jednostek pomocniczych US Navy, Naval Support Activity.

Po pięciu miesiącach w Dahlgren zgłosiłem się na szkolenie UDT. Przeszedłem przez pierwszy etap, który w tamtych czasach polegał na tym, że kandydatów wysyłano do stoczni marynarki wojennej w Waszyngtonie. Tam wepchnięto mnie do jednego z tych starodawnych płóciennych skafandrów nurkowych z ciężkim hełmem i grubymi wężami do doprowadzania powietrza, po czym wrzucono mnie do rzeki Anacostia, żeby się przekonać, czy nie mam klaustrofobii.

Zdałem test klaustrofobiczny i właśnie miałem wyjechać na szkolenie UDT, kiedy zламаłem rękę, bo uderzyłem w coś twardego - w łeb pewnego bardzo głupiego marynarza. To nie była moja wina. Powinien zrobić unik. Do widzenia, UDT. Witamy w Neapolu.

Okazało się, że w Neapolu było fajniej, niż myślałem, chociaż robota była do dupy. Tam zdałem sobie sprawę, że nie zostałem stworzony do bycia operatorem dalekopisu. Praca była pozbawiona jakichkolwiek perspektyw, nie wymagała ani wyobraźni, ani pomysowości. Gorzej, że mój kumpel z wachty wkurzał mnie maksymalnie. Harold był kompletną jękołą: maminsynkiem z zadartym nosem i trądzikiem na twarzy. Całymi dniami dłuwał w ucho i na wszystko biadolił. Nazwałem go Whiner (Mazgaj). Był pupilkiem chorążego dowodzącego naszym centrum łączności - wyrachowanego czarnego sukinsyna po czterdziestce zwanego White, który zachowywał się, jakby był

62

ROZDZIAŁ

członkiem rodziny królewskiej. Mając ich dwóch obok siebie, knułem mordercze plany. Żaden sąd na świecie by mnie nie skazał.

Z drugiej strony Neapol był niesamowity. Mieszkałem w tym samym budynku, w którym pracowałem - w samym mieście, a nie na terenie bazy morskiej. W odróżnieniu więc od mnóstwa marynarzy we Włoszech musiałem wręcz widywać miejscowych. Stopień znajomości włoskiego zdobyty dzięki staruszkowi Gussy emu jakoś mi wystarczał. A kiedy wyleczyłem rękę, biegałem po neapolitańskich lasach, dźwigałem ciężary, gimnastykowałem się i pływałem.

Ciągle jednak byłem personelem lądowym, gryzipiórkim, operatorem dalekopisu. I ciągle ten słaby głos gdzieś we mnie powtarzał: „UDT, UDT”, wciąż głośniej i głośniej. Pytanie brzmiało: jak się tam dostać?

Musiałem pokonać jedną ogromną przeszkodę: moją panią dowódcę. Jaka była ogrojna? 90 kilo. I była najbrzydszą kobietą, jaką widziały moje oczy. Nazywałem ją Big Female Ugly Commander (Wielki Żeński Brzydki Dowódca), w skrócie Big FUC (Wielkie Pieprzenie). Big FUC była też niewolniczo przywiązana do regulaminu, a miała za mało ludzi, w związku z czym nie miałem możliwości stamtąd odejść. (Popeliłem błąd, podpisując roczne przedłużenie mojego przydziału do Neapolu w nadziei, że gdy tylko to będzie możliwe, przeniosę się do UDT). Dla Big FUC rok oznaczał trzysta sześćdziesiąt pięć dni. Coś takiego jak „przeniesienie” nie występowało w jej słowniku.

W końcu wymogłem to na niej siłą. Za którymś kolejnym razem, kiedy Whiner mnie wkurzył, wyrzuciłem jego maszynę do pisania przez okno. Na tym bym poprzestał, ale ten mały sukinsyn zwyczajnie nie chciał się zamknąć:

- Zaraz podam cię do raportu i powiem chorążemu Whiteowi, jakim jesteś złym człowiekiem.

Coś we mnie pękło i przywaliłem mu w otwartą gębę. Trafił na miesiąc na izbę chorych. Chorąży się wściekł. Był to osobnik w rozmiarze XL - prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu i 90 kilo wagi - mniej więcej jak mój ojciec. Złapał mnie za bety, po czym trzymając mnie za pasek i za kark, zawłókł do ubikacji i przeszkorował mną po podłodze.

63

CZEŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

- Powinienem spuścić ci łomot.

Na tym etapie byłem gotowy na wszystko.

- Jak chcesz pofigłować, szefie, to pofigłujmy.

Chwycił mnie w swoje wielkie niezdarne łapska. Zrobiłem krok do przodu i kopnąłem go kolanem w jaja. Upadł jak worek cementu. Z trudem podniósł się z podłogi i ruszył na mnie znowu. Walnąłem go w bebechy (drogo mnie kosztowało nauczenie się, żeby nie bić marynarzy w głowę), przytrzymałem w zwarciu, tak że za wiele nie mógł zrobić, i kopąłem kolanem w krocze, skutkiem czego podskakiwał z 15 centymetrów za każdym kopniakiem. Kiedy wywrócił oczami, rzuciłem go na podłogę.

Leżał tam i przez dobrą chwilę usiłował złapać oddech. Potem podniósł się na kolana, podpełzł na czworakach do ubikacji i zwymiotował.

- Dorwę cię - wyrzęził do mnie. - Wylecisz stąd.

O tak, tak, proszę, bardzo proszę, Bracie Niedźwiedziu, rzuć tego królika w ciernie!*

Więc nazajutrz, kiedy doprowadził się do porządku, przywłókł mnie przed oblicze Big FUC. Wyobraźcie sobie skrzyżowanie Jabby z Gwiezdnych wojen z Roseanne Barr, które ktoś nierozważnie wcisnął w ciasny biały mundur. Big FUC zrugła mnie z góry na dół. Mnóstwo tam było wyrażen w rodzaju: „Chorąży nie widzi tu dla ciebie miejsca” i „Powinnam posłać cię do paki”. Ale to wszystko były tylko puste pogrożki. Nie mogła postawić mi zarzutów, bo to bosman pierwszy użył przemocy wobec mnie. Rozprawa oznaczałaby dla niego utratę pracy. A mnie może by zdegradowali albo wpisano by mi to w akta - no i co z tego?

Tak czy owak, uprzedziłem tę sukę. Przygotowałem dwa formularze wniosku o przeniesienie. Podalem jej pierwszy, mówiąc:

- Powiem coś pani, pani komandor. Oto prośba o przeniesienie na pierwszy przekłętą okręt, który zawinie do portu. Może być nawet

* Aluzja do amerykańskiej bajki ludowej, w której złapany przez Brata Lisa Brat Królik prosi, by nie wrzucał go w ciernie; gdy Lis daje się podpuścić i wrzuca Królika, ten ucieka bez szwanku, ponieważ wśród cierni się urodził i wyrósł (przyp. tłum.).

64

ROZDZIAŁ

USS Lollipop*. - Po czym dałem jej drugi formularz: - A to jest wniosek o przeniesienie mnie na szkolenie UDT. Gwiżdżę na to, który pani przyjmie.

Dwa dni później wezwała mnie znowu do siebie.

- Służba na morzu byłaby dla ciebie za łatwa, Marcinko. Wyślę cię tam, gdzie dostaniesz taki łomot, że się wyleczysz z tej twojej gównianej agresji.

Big FUC przystawiła mi do twarzy swoje tłuste policzki i wszystkie sześć podbródków i powiedziała szyderczo:

- Wracasz do Stanów, na szkolenie UDT. Natychmiast!

A ludzie mówią, że nie ma Boga.

/

* On the Good Ship Lollipop („Na dobrym statku Lizaku”) to tytuł piosenki będącej znakiem firmowym Shirley Tempie, dziecięcej gwiazdy filmowej wszech czasów (przyp. tłum.).

Rozdział 4

Little Creek w Wirginii to marzenie masochisty. To miejsce, gdzie marynarka zbierała wielkie grupy wrednych, agresywnych, zadufanych w sobie, chętnych do bitki, dosadnych ochotników spośród marynarzy i w ciągu szesnastu chwalebnych tygodni tortur, obłądu i rozmyślnego okaleczania zmieniała je w małe grupy wrednych, agresywnych, zadufanych w sobie, chętnych do bitki, dosadnych zwierząt UDT. 21 czerwca 1961 roku przekroczyłem główną bramę Little Creek ramię w ramię z małym chudym sukinsynem o nazwisku Ken MacDonald. Był to żyłasty sześćdziesięciokilogramowy bosman z resztkami brytyjskiego akcentu. Proste włosy miał tak długie, że używał spinki. Obrzucił mnie krótkim spojrzeniem, posępnie potrząsnął głową i powiedział:

- Kolego, w życiu tego nie przejdiesz.

Nawet na chwilę się nie zatrzymałem. Miło się tylko do niego uśmiechnąłem i odpowiedziałem:

- Pieprz się, pedałku.

Oczywiście, ponieważ razem się zameldowaliśmy, przydzielono nas sobie jako partnerów. Przez cały cykl ćwiczeń UDT byliśmy praktycznie nierozłączni i na zawsze pozostaliśmy bliskimi przyjaciółmi.

ROZDZIAŁ

A co to był za zabawny rozrywkowy cykl! Zaczęło go nas razem stu dwudziestu jeden jako grupa 26 UDT. Przetrzymało dwudziestu czterech - 20 procent. Wśród tych, co zrezygnowali, było sporo tak zwanych ekspertów od SpecWar: zielonych beretów, rangersów, którzy chcieli odbyć dodatkowe szkolenie morskie. Odpadło też mnóstwo oficerów - zwyczajnie nie wytrzymali.

A ja? Dla mnie to była przewrotna przyjemność - w większości. Obecnie szkolenie do SEALsów trwa sześć miesięcy (utrzymywanie jednostek UDT zakończono ostatecznie w roku 1983). Nazywa się je szkoleniem BUD/S, Basic Underwater Demolition/SEAL, i obejmuje ono ćwiczenia spadochronowe, wysadzanie i nurkowanie, których to umiejętności w ogóle się nie uczyliśmy podczas naszej szesnastotygodniowej sesji UDT w latach sześćdziesiątych.

Przez cztery pierwsze tygodnie przeszedłem gładko. W Neapolu regularnie ćwiczyłem, więc trening fizyczny (gimnastyka i bieganie) oraz pływanie szły mi łatwo, mimo że większość marynarzy, którzy przyszli z floty, pod koniec pierwszego tygodnia miała mocno nadszarpnięte siły - tak bardzo byli bez formy. Instruktorzy wyciskali z nas siódme poty. Codziennie musieliśmy biegać jakieś 8-10 kilometrów, a po drodze trzeba było pokonywać przeszkody w postaci całego mnóstwa starych barek desantowych wyciągniętych na plażę. Przeskakiwało się przez górną część nadburcia (wskok na wysokość 2,4 metra, zeskok -1,8 metra), gramoliło się na drugą stronę, znowu w górę, przeskok, w dół i dalej biegiem.

W dole za strzelnicą znajdowała się wielka piaszczysta wydma, którą instruktorzy nazywali górą Suribachi. Potrafili przegnać nas na nią tam i z powrotem, pod górę i w dół, kilkanaście razy z rzędu. Kiedy padało, kazali nam biec przez błoto. Kiedy było sucho, kazali nam biec przez fale przybojowe. Pamiętajcie, jak wyglądają biegacze olimpijcy w pierwszych scenach Rydwanów ognia? Czyściutcy, bielutcy i lśniący biegną sobie po plaży. My ani trochę ich nie przypominaliśmy: nosiliśmy zielone mundury polowe, ciężkie trapery, przypominające garnek umalowane na czerwono stalowe hełmy i kapokowe kamizelki

CZEŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

ratunkowe, które ważyły prawie 4 kilogramy, gdy były suche, a 13, kiedy były mokre. Instruktorom zawsze udawało się utrzymywać je w stanie permanentnego nasączenia wodą.

Na korzyść instruktorów trzeba powiedzieć, że biegali razem z nami. Większość z nich była prawdziwymi matuzalami: stare konie sporo po trzydziestce. Pamiętam jednego takiego zawodnika wagi muszej. Nazywał się John Parish i biegając po plaży czy ganiając w górę i w dół Suribachi, popalał fajkę. Kiedy kończyła mu się porcja tytoniu, odwracał fajkę dnem do góry i zagryzał ustnik, nie tracąc przy tym kroku. Takich ludzi zaczyna się nienawidzić.

Najpierw nie było żadnych ćwiczeń z nurkowania poza najprostszym pływaniem w płytkiej wodzie w płetwach i masce. Większość czasu zajmowało nam zapoznanie się z działaniami w środowisku wodnym, nauka metod ratujących życie i szkolenie w zakresie elementarnych procedur rozpoznania na brzegu oraz przygotowania brzegu do ataku desantowego. Ale też bardzo dużo pływaliśmy. Mało powiedziane: pływaliśmy za dnia, pływaliśmy w nocy, pływaliśmy w upale, pływaliśmy w chłodzie - pływaliśmy zawsze. Jak się chce być frogmanem, to nie sprawdza się palcem, czy woda nie jest za zimna.

Pewnej nocy ja i Mac byliśmy na ćwiczeniach z rozpoznania nocnego. Zrzucano nas z dużej barki desantowej (LCPL) do Zatoki Chesapeake, kilometr od Little Creek. To ciekawa technika rozmieszczania wojska. Od strony morza - czyli tak, żeby nie było tego widać z brzegu - do LCPL przymocowuje się małą łódź pontonową (IBS). Następnie żołnierze przechodzą przez górną część nadburcia LCPL na IBS, zrzucają do morza ponton obrócony dnem do góry i wchodzi pod spód. Nieprzyjaciel jest przekonany, że nie dzieje się nic więcej niż to, co widzi: w odległości kilometra od brzegu płynie sobie patrolująca barka desantowa. Wiedza płetwonurków, którym nieobce były zasady ironii dramatycznej, była bogatsza.

Naszym celem tamtej nocy było odnalezienie właściwego brzegu, dotarcie do niego, oznaczenie miejsca desantu i powrót drogą wodną w głąb zatoki, gdzie w odległości 1000 metrów od brzegu miała nas

68

ROZDZIAŁ

podjąć z powrotem LCPL. (To inna ciekawa technika. Wygląda to tak: wypływamy dalej, poza miejsce, w które ma przypłynąć do nas barka, i czekamy. Kiedy barka zasuwa z prędkością jakichś 10 węzłów, w doczepionym do niej pontonie siedzą płetwonurkowie, którzy mają nas zabrać. Wyposażeni są w przypominające chomąto urządzenia, dzięki którym poruszająca się z dużą prędkością łódź może podjąć z wody znajdującą się w niej osobę. Wyciąga się rękę i - chlast! - zostaje się wciągniętym na pokład. Jeśli obsługujący pętlę płetwonurek nie lubi kolegi, może złapać w nią jego szyję zamiast ręki, co w chwili wciągania na pokład powoduje, delikatnie rzecz ujmując, ból).

Wiedziałem, że Mac to gość z charakterem, ale jak twardy to charakter, przekonałem się dopiero tamtej nocy. W wodzie roiło się od meduz i MacDonaldowi przylepiło się ich sporo do maski. Z powodu oparzeń często mijał wypływać na powierzchnię, żeby zaczerpnąć powietrza. Kiedy dopłynęliśmy do brzegu, czuł się wyraźnie nieswojo - wiedziałem, że na twarzy i szyi ma dziesiątki poparzeń.

Tuż przed wypłynięciem z powrotem do barki rzuciłem więc jednemu z instruktorów: „Przerwa”. Mac cierpiał i uważałem, że ktoś powinien się nim zająć.

- Idź do diabła, cholerny Polaczku.
- Daj spokój, stary, strasznie cię poparzyło. Wyglądasz, jakbyś miał spraną całą głowę.

- Odpieprz się, Marcinko.

Na chwiejących się nogach MacDonald wszedł do wody i po raz drugi przepłynęliśmy prawie kilometr przez morze meduz. Do czasu wyciągnięcia nas na ponton był już w stanie łagodnego szoku. Ale nie chciał odpuścić. Ani na chwilę nie przestał płynąć. To był właśnie ten rodzaj nieustępliwości, którego oczekiwali instruktorzy. Ich celem było wyrobienie odporności, siły i poczucia, że pracuje się jako dwóch partnerów; to była najbardziej podstawowa część UDT - litera „T” oznaczała „Team”, zespół. Zarówno literą „U” - „Underwater”, podwodny -jak i „D” - „Demolition”, niszczenie - mieliśmy zająć się później, jeśli przetrwamy pierwsze kilka tygodni.

69

CZEŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

Wydawało mi się, że jak na tak niedużą grupę, i to grupę marynarzy, używaliśmy w trakcie szkolenia mnóstwo drewna. Drewna? - zapyta ktoś. Tak: drewnianych bali. Wielkich bali. Długich bali. Ciężkich bali. Biegaliśmy po morskim brzegu, dźwigając te bale nad głową. Przeskakiwaliśmy przez ułożone z nich stosy. Wykorzystywano je też do budowy wyjątkowo niebezpiecznego toru przeszkód bazy desantowej w Little Creek, który pieszczotliwie nazywaliśmy Dirty Name (Świńska Nazwa).

Tor Dirty Name składał się z rzędów wbitych w ziemię pali o różnej wysokości i średnicy. Chodziło o to, żeby przechodzić z jednego na drugi, nie spadając na ziemię ani jej nie dotykając. Kolejne pale były rozmieszczone w tak pomysłowo dobranych odległościach, że jeśli nawet potrafiło się skoczyć na tyle wysoko, by znaleźć się na kolejnym palu, to okazywało się, że nie da się skoczyć wystarczająco daleko; kiedy z kolei wydawało się, że następny pal jest w odległości będącej w zasięgu skoku w dal, jego wysokość sprawiała wrażenie, że jest nieosiągalny. Dla instruktorów ten tor przeszkód był sposobem na wyselekcjonowanie spośród nas tych, którzy są na tyle zmotywowani, by wykrzesać z siebie dodatkową energię lub adrenalinę niezbędne do ukończenia trasy. Dla nas motywacja zasadzała się na tym, by przedostając się z jednego pala na drugi, starać się nie połamać karku ani nóg i by w wyniku oddania zbyt krótkiego skoku na krawędź pala nie powbijać sobie drzazg.

Instruktorzy wzmacniali również współzawodnictwo między załogami poszczególnych łodzi. Ścigaliśmy się w sztafetach pływackich, wyścigach łodzi i biegach. W odróżnieniu od plutonów SEALsów, które liczą czternastu ludzi, Underwater Demolition Teams składały się z plutonów dwudziestoosobowych. Dwudziestka tłumaczy się tym, że tylu ludzi potrzeba było do utworzenia długiej na 1000 jardów (niecały kilometr) rozciągniętej linii zwiadowczej na brzegu przeznaczonym do desantu jednego batalionu korpusu piechoty. Dwudziestoosobowy pluton został wymyślony latem 1943 roku, kiedy kompletowano pierwsze załogi UDT w Fort Pierce na Florydzie. Plutony te istniały do

70

ROZDZIAŁ

roku 1983, kiedy ostatecznie przestały istnieć jednostki płetwonurków (frogmenów) i wszyscy zostali włączeni do SEALsów.

SEALsi są lżejsi: pluton SEALsów składa się z dwóch drużyn po siedmiu ludzi - w każdej jest sześciu członków załogi (marynarzy i podoficerów) i jeden oficer. Siódmkę wybrano dlatego, że jeden z najbardziej podstawowych środków transportu w SEAL, łódź IBS, mieści siedmiu ludzi z wyposażeniem bojowym. IBS-y można zrzucić do wody z samolotów jak gumowe kaczki albo wypuszczać pod powierzchnią z okrętów podwodnych, dlatego są praktyczne podczas dyskretnych albo tajnych operacji. Pozostałe główne środki transportu w SEAL to: taktyczna łódź szturmowa SEAL (STAB), czyli ośmio-ipółmetrowa łódź z kadłubem z włókna szklanego napędzana dwoma silnikami Mercury o mocy stu dziesięciu koni mechanicznych i uzbrojona w karabinyjnaszynowe kalibru .50 cala oraz inne śmiertelnie niebezpieczne zabawki; Boston Whaler, pięciometrowa łódź motorowa, której używaliśmy także w SEAL Team Six; oraz średnia barka desantowa (LCM), czyli niespełna czternastometrowa barka, która mogła być uzbrojona w moździerz i była bardzo przydatna w Wietnamie.

Niemniej jednak najprostszy środek transportu, IBS, oraz podstawowa drużyna SEAL, czyli siedmioosobowa załoga łodzi, są elementami, które od czasu powołania SEALs w roku 1961 nigdy się nie zmieniły; nadal obowiązują w SEAL Team Six. Zapamiętajcie te liczby. Będziemy o nich jeszcze mówić.

W piątym tygodniu szkolenia w niedzielę dało się odczuć pewną zmianę nastrojów w koszarach. W niedzielę zwykle leżeliśmy z MacDonal-dem na plaży i piliśmy piwo. Ale ten dzień był inny. Zostaliśmy w koszarach, obserwując, jak dwóch gości, którzy kończyli już wcześniej to szkolenie, ale odpadli, z jakiegoś powodu ogoliło głowy i malowało je sobie właśnie na czerwono.

- Ciekawe, u licha: co takiego wiedzą, czego nie wiemy my? - powiedziałem do Kena.

71

CZEŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

Co takiego wiedzieli, okazało się krótko po północy. Zostaliśmy wyciągnięci z łóżek przez instruktorów, którzy dmuchali w gwizdki i walili nas wiosłami, a przez kolejne sześć dni nie spaliśmy dłużej niż dwie godziny na dobę. Witajcie w heli weeku - zaczął się piekielny tydzień.

Z tym heli weekiem miałem pewien problem: właśnie dostałem biegunki. Dzisiaj marynarka uznałaby pewnie, że to zwalnia mnie z ćwiczeń. Ale nie w roku 1961. Wtedy nic ich nie powstrzymywało. Rozwiązałem ten problem inaczej - dzięki szybkości: kiedy gnali mnie tam i z powrotem po plaży, zauważyłem, że jeśli biegnę wystarczająco szybko, to smród tego, co ścieka mi po nogach do butów, zostaje za mną i upaja się nim załoga następnej łodzi.

Instruktorzy mieli prezent dla każdego z nas na heli week. Każda załoga na ten tydzień otrzymała duży ponton (IBL). Mieliśmy go używać podczas codziennych „rejsów dookoła

świata". Ależ to było zabawne! Zaczynaliśmy od tego, że nieśliśmy na głowach IBL (ci, którzy byli niżsi, stawiali na hełmie puszkę, żeby też podtrzymywać ciężar), podczas gdy instruktorzy jechali wygodnie na górze i dodawali nam zapału, okładając nas wiosłami. Biegliśmy, rzucaliśmy łodzie do rowów melioracyjnych, które przecinały rozległy teren bazy, wiosłowaliśmy, wyjmowaliśmy łodzie z powrotem i biegliśmy jeszcze kawałek od bramy numer 5 do bramy głównej, a stamtąd do położonych 3 kilometry od bazy podmokłych bagien. Tam spuszczaaliśmy łodzie do wody i wypływaliśmy przez kanał promowy równolegle do brzegów Zatoki Chesapeake. Wiosłowaliśmy dobrą chwilę, po czym obieraliśmy kurs pod prąd i płynęliśmy do brzegu, przybijaliśmy, podnosiliśmy swoje ukochane IBL i instruktorów, po czym biegliśmy obok gapiących się turystów, wracając brzegiem zatoki aż do Little Creek. W sumie pletwonurkowie pokonywali jakieś 34 kilometry, płynąc wplaw, biegnąc, utykając i wlokąc się. Te wyścigi też opłacało się wygrywać. Załoga łodzi, która kończyła pierwsza, mogła odpocząć przed kolejnymi ewolucjami. Ostatni musieli uczestniczyć w jedynej w swoim rodzaju zabawie, którą nazywano Circus (Cyrk). Circus był to trening fizyczny prowadzony do momentu, aż ktoś odpadał. Odpadało się na trzy

72

ROZDZIAŁ

sposoby: można było oddać czerwony hełm, paść z nóg albo umrzeć. Najlepiej było umrzeć - był to jedyny sposób, żeby instruktorzy przestali dręczyć żołnierza.

A dręczenie było nieustanne. Jeśli ktoś zasypiał, polewali go wodą. Z rzadka zdarzało się, że mogliśmy wpaść do mesy coś przegryźć, ale musieliśmy wtedy stawiać wartę przy IBL, bo inaczej instruktorzy spuszczaali nam z łodzi powietrze (i musieliśmy pompować je ręcznie). Wpadaliśmy więc w pośpiechu: niechlujna, głośna, ohydna grupa obrzydliwych, brudnych, cuchnących marynarzy - i jedliśmy bez używania sztucców (to pewnie stąd wzięło się powiedzenie „napchać się do nieprzytomności”), po czym biegliśmy zmienić wartowników przy IBL, żeby oni też mogli coś połknąć i chwilę odpocząć, zanim cały ten przykry cykl zacznie się znowu.

Instruktorzy d^ali, żeby zawsze było nam zimno, żebyśmy byli mokrzy, zmęczeni albo pokaleczeni. Trzeciego dnia moje stopy były w oplakanyim stanie: popękane paznokcie, pęcherze zaognione przez piach i słoną wodę. Z kolei w dłoniach miałem pełno drzazg od skakania po palach. Rany miałem nawet na głowie, bo musieliśmy przez cały czas nosić te czerwone stalowe hełmy (mniej więcej drugiego dnia wpadłem na to, po co tamci goście pomalowali sobie głowy na czerwono). Czołgaliśmy się w błocie, wśród prawdziwych ładunków wybuchowych, które eksplodowały w odległości paru metrów od nas. Na torze przeszkód towarzyszył nam ogień prowadzony ostrą amunicją. A za każdym razem kiedy myśleliśmy, że kończymy ostatni etap biegu na 8 albo 13, albo 16 kilometrów, kazano nam podnosić IBL i biec dalej. Nikt nie zginął i nikt nie trafił do szpitala, chociaż mnóstwo było skręconych kostek, rozbitych kolan, łokci, poobijanych pleców i powybijanych barków.

Najgorszy był ostatni dzień - piątek. Nazywali go „So-Solly Day”, jak „So solly, sailor”*. Jeszcze więcej rejsów dookoła świata, biegów,

* Aluzja do charakterystycznej dla amerykańskiej kultury masowej połowy XX wieku karykatury dalekowschodnich marynarzy, ośmieszającej azjatycką wymowę „So sorry” („Bardzo mi przykro”). „So solly, sailor” oznacza „Bardzo mi przykro, marynarzu”, a „So-Solly Day” - „Dzień »Bardzo mi przykro«” (przyp. tłum.).

73

CZEŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

tor przeszkód okraszony najsilniejszymi z dotychczasowych ładunków wybuchowych, ostre pływanie, a na koniec ostatnia kolejka po brzegu w pełnym umundurowaniu, w stalowym hełmie i mokrym kapoku. Mam zdjęcie zrobione mi podczas So-Solly Day - najwyraźniej czegoś się nauczyłem, bo widać mnie na samym przedzie grupy, jak biegnę obok instruktora.

W sobotę pojawił się kontradmirał John S. McCain z dowództwa sił desantowych US Navy i niewielu ponad trzydziestu z nas, którzy przetrwali heli week, dodał trochę otuchy. Jego słowa trafiły nam do serca. (Najwyraźniej również w domu był natchnionym mówcą - jego syn John, w późniejszym okresie senator z Arizony, był w latach 1967-1973 jeńcem wojennym w Wietnamie, gdzie dał dowody odporności i ducha walki w warunkach cięższych niż te, których doświadczył ktokolwiek z nas).

Stanowiliśmy ciekawą grupę - ci, którzy ukończyli heli week. Ciężkie próby nas zahartowały; zyskailiśmy pewność, że nie ma właściwie żadnego zadania, któremu byśmy nie sprościli. Piekący ból naszych ran zmienił się w radosne ciepło dumy, że nie zrezygnowaliśmy. Widzieliśmy, jak siedmiu na dziesięciu rezygnuje - a my nie zrezygnowaliśmy. Było to trochę tak, jakbym nagle został przyjęty do jakiegoś ekskluzywnego klubu, w którym obowiązuje umówiony tajny uścisk dłoni i pierścień szyfrujący. Bo teraz, po przejściu otrzęsin i rytów inicjacyjnych, wybierałem się do Puerto Rico i na wyspę Saint Thomas, gdzie miałem poznać tajemnice świątyni: umiejętności nurkowania głębinowego i techniki wysadzania podwodnego, które miały uczynić ze mnie prawdziwego frogmana.

Kiedy patrzyłem, kto przetrwał, uświadomiłem sobie coś, co miałem zachować na całe życie. To była prosta, ale ważna prawda: nigdy nikogo nie szufladkuj. Nigdy na podstawie rzutu oka nie zakładaj, że ktoś się do czegoś nadaje. Na przykład nie ma żadnego z góry określonego wzorca budowy fizycznej człowieka, który może zostać frogmanem - albo obecnie SEALsem - mimo że przypuszczalnie funkcjonuje taki stereotyp: miały to być wielki, potężnie umięśniony facet pokroju Arnolda Schwarzeneggera.

74

ROZDZIAŁ

Jeśli o mnie chodzi, to miałem posturę futbolisty. Ale już mój partner Ken MacDonald był chudy jak szczapa. Tak samo jak wtedy w UDT było również dwadzieścia lat później, kiedy tworzono najbardziej elitarną jednostkę w US Navy. „Bliźniaki” z SEAL Team Six, Gold Dust Frank i Gold Dust Larry, miały zaledwie po metr siedemdziesiąt, Snake trochę poniżej metra osiemdziesięciu, Indian Jew jakieś metr osiemdziesiąt pięć, podczas gdy Aussie Mick i

Horseface przypominali już spore szafy. Jeśli członkowie Teamu Six mieli coś wspólnego, to były to szerokie klatki piersiowe i potężne mięśnie rąk wyrobione w wyniku długich ćwiczeń na ławce w siłowni, wykonywanych dla uzyskania ogromnej siły ramion potrzebnej do wspinania się po linach w trakcie tajnych operacji prowadzonych z morza. Ogólnie rzecz biorąc, SEALsi spoza Teamu Six reprezentują najróżniejszą budowę ciała. Jednak w warunkach bojowy^{<^i} wszyscy są równie niezawodni.

W grupie 26 UDT także byliśmy przeróżnej budowy i wzrostu. A nasze osobowości były równie odmienne jak typy fizyczne. Niektórzy z nas, jak ja, byli od czasu do czasu hałaśliwi - ktoś mógłby nawet powiedzieć, że nie do zniesienia. Jeśli w okolicy był czynny jakiś bar, to zwykle bawiłem się tam po godzinach aż do zamknięcia. Inni byli spokojni, zamknięci w sobie, a w wolnym czasie lubili czytać.

Gdybym miał znaleźć jakąś kategorię łączącą tych z nas, którzy ukończyli szkolenie UDT, za taką wspólną cechę uznałbym to, że byliśmy outsiderami, ludźmi o mentalności całkowicie przeciwnej mentalności urzędniczej. Ktoś mógłby powiedzieć, że byliśmy społecznie nieprzystosowani, ale to by było nadużycie. Byliśmy rozrabiakami, zgadza się. Tak, szukaliśmy zaczepki i lubiliśmy się pokazać. Boże, miej w opiece żołnierza piechoty morskiej albo marynarza, który by postanowił pokazać, jaki jest twardy, i porwał się na frogmana, bo prędzej dalibyśmy się zabić, niż pobić. Jednak poza tym szukaniem zaczepki, szpanowaniem, poza wszystkimi tymi bzdurami na temat macho - we wszystkich nas tkwiło coś, co popychało nas dalej, niż inni ważyli się pójść. Byliśmy zorientowani na zadanie i potrafiliśmy zrobić to, co trzeba, by je zrealizować. Instruktorom udało się wpoić nam przekonanie - albo

75

CZĘŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

może sami je sobie wpoiliśmy - że nie ma rzeczy, których byśmy nie potrafili. Zasady, których nauczyłem się podczas heli weeku, miałem stosować nieustannie przez kolejne dwadzieścia pięć lat, udowadniając ludziom, którymi dowodziłem, że nie ma niczego, czego by nie potrafili dokonać. Moi ludzie nie musieli lubić wszystkiego, co robią - ale musieli to zrobić do końca.

Byliśmy prawdziwą dziką bandą: te trzy tuziny, które dotarły do końca heli weeku. Jak dziwki za 500 dolarów - ochoczy, pełni zapału i pewni siebie. Dokładnie ten typ swawolnych młodych kijanek, na które amerykańscy podatnicy powinni wydawać setki tysięcy dolarów, by nauczyć je, jak wysadzić w powietrze niemal wszystko, co tylko się da. I tak właśnie potem to wyglądało.

Wyobraźcie sobie miejsce z niezliczoną rzeszą kobiet, niekończącymi się zapasami sezonowanych alkoholi i świeżych homarów oraz wszelkiego rodzaju śmiertelnych zabaweczek, jakimi kiedykolwiek moglibyście chcieć się pobawić.

Nierealne, prawda? Wcale. Takie miejsce istnieje: nazywa się wyspa Saint Thomas i to właśnie tam zostali wysłani ci, którzy przetrwali heli week - na dziesięć wspaniałych tygodni szkolenia.

Naprawdę się szkoliliśmy. Uczyliśmy się odnajdywać drogę pod wodą, posługując się tylko kompasem, sondą i głębokościomierzem. Wymaga to niemałego skupienia, bo pod powierzchnią łatwo stracić rozeznanie. Pewnego razu rozluźniliśmy się obaj z Makiem i zgubiliśmy się - mieliśmy szczęście, że się nie utopiliśmy. Nasz mały wyskok niesamowicie wkurzył oficerów odpowiedzialnych za szkolenie, ale dostaliśmy też cenną lekcję: jeśli się opieprzasz, możesz zginąć. Wcześniej naprawdę nigdy nie przyszło mi to głowy.

Wysłano nas na pływanie z bazy marynarki wojennej Roosevelt Roads w Puerto Rico na wyspę Vieques, 11 kilometrów na wschód. (Roosevelt Roads nazywaliśmy „Roosy Roads”. „Roads” było skrótem od „Retired On Active-Duty Sailors”, czyli „marynarze w czynnej

76

ROZDZIAŁ

służbie na emeryturze” - na cześć tych, którzy mieli tyle szczęścia, że pełnili tu służbę na stałe). Podczas naszego pobytu na Saint Thomas i w Puerto Rico zdanie: „Czułaś, jak ziemia się poruszyła?”, nabrało całkiem nowego znaczenia. Do perfekcji opanowaliśmy sztukę umieszczania ładunków wydłużonych w taki sposób, żeby wybuchając, powodowały ogromne wyrwy w grodzonych koncertiną liniach obronnych. Ćwiczyliśmy niszczenie betonowych bunkrów ładunkami wybuchowymi. Nabraliśmy wprawy w wysadzaniu raf, by torować drogę dla barek desantowych. Poznałem radość używania dynamitu, nitrogliceryny i plastiku oraz udało mi się przy tym zachować komplet palców u rąk. Nauczono nas podstaw nurkowania w akwalungu i po raz pierwszy używaliśmy pracującego w obiegu zamkniętym bezpęcherzykowego niemieckiego aparatu do oddychania pod wodą Dragera.

I pływaliśmy! Ależ myśmy pływali! Jeden z naszych jowialnych instruktorów, dobroduszny, przemądrzały dupek, porucznik z Nowej Anglii o nazwisku Aliotti, zarządzał nam dodatkowe pływanie w soboty, żeby ustrzec nas od złego wpływu szatańskiego rumu i rozwiązłych kobiet. Co gorsza, kazał nam holować za sobą przypominającą pęcherz dryfkotwę, podczas gdy on razem ze swoją dziewczyną wylegiwali się na tratwie i przyglądali się, jak się mordujemy. Kiedy narzekaliśmy, mówił:

- To po to, żebyście byli silniejsi i bardziej męscy jako frogmeni.

Po niedługim czasie czuliśmy się w wodzie absolutnie swobodnie; nauczyliśmy się radzić sobie z nieoczekiwanymi sytuacjami (kiedy na przykład 15 sążni pod wodą z powodu pęknięcia zatok zaczyna krwawić nos, robi się kłopot. Maski wypełnia się krwią i trzeba zdecydować, czy oczyścić ją z krwi, czy nie - bo w pobliskich wodach pływają barrakudy, mureny i rekiny. W końcu płucze się maskę. I się przeżywa). Tak więc wysadzaliśmy różne rzeczy i pływaliśmy, i strzelaliśmy ze smarownic kalibru .45 cala oraz pistoletów kalibru .38 cala - była to w tamtych czasach broń z wyboru dla UDT - i opalaliśmy się na słońcu.

Najwięcej jednak się bawiliśmy. Pokazywaliśmy nasze piękne ciała, parując w sandałach z bawolej skóry, szortach i obcisłych koszulkach

77

CZEŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

polo, ilekroć zabłąkaliśmy się do Charlotte Amalie, stolicy wyspy Saint Thomas - co zdarzało się nam praktycznie co wieczór. Mac poznał pewną damę z Nowego Jorku, która projektowała biżuterię; ja przeprowadziłem rozpoznanie pewnej nauczycielki z New Jersey. Całą czwórką wpadaliśmy około dziewiątej do jakiegoś klubu i tańczyliśmy, piliśmy rum z colą do jakiejś pierwszej, po czym szliśmy na plażę albo do dziewczyn, gdzie uprawialiśmy pewną wyjątkową postać heteroseksualnego treningu fizycznego, Myślę, że można by go nazwać „intensywnymi pchnięciami bioder w kierunku poziomym”, wykonywanymi jedne po drugich. Mniej więcej o piątej wstawaliśmy i biegliśmy z powrotem do bazy okrętów podwodnych na skraju Charlotte Amalie, łapaliśmy kilka szybkich łyków czystego tlenu dla dodania energii, po czym udawaliśmy się prosto na gimnastykę. Musieliśmy: gdybyśmy nie przyszli na poranne ćwiczenia, nie cieszylibyśmy się wolnością wieczorem. A uchowaj Boże, byśmy mieli opuścić choćby jeden nocny wypad!

Po pierwszym zasmakowaniu tropikalnych rozkoszy wróciliśmy do rzeczywistości - Little Creek - i wzięliśmy udział w ćwiczeniach nazywanych Zulu 5 Oscar. Chodziło o umiejętności z zakresu E&E -uczyliśmy się podpływać pod okręty, mocować im do kadłubów miny dywersyjne i ułatwiać się niepostrzeżenie. Nabyłem też doświadczenia w zakresie pływania pod promami podczas E&E. Rolą marynarzy w czasie ćwiczeń Z/5/O było przyłapać nas na gorącym uczynku. Rzadko kiedy im się udawało.

W październiku 1961 roku dostałem przydział do UDT-21 z bazą w Little Creek - w końcu zostałem pełnoprawnym frogmanem. Dla ścisłości trzeba zaznaczyć, że byłem dopiero młodszym frogmanem, niemającym żadnej konkretnej specjalności pływaka. Jeszcze nie miałem uprawnień nurka ani nie odbyłem szkolenia dla skoczków. Ale to nie miało dla mnie znaczenia. Czułem się, jakbym żył we śnie. Marynarka mnie karmiła, ubierała, dawała mi cudowne zabawki, a kiedy nie pływałem i niczego nie wysadzałem, mogłem pójść się napić z kolegami w barze i spuścić łomot, komu chciałem. Wcale nie zaczynaliśmy, ale jakoś tak zawsze się składało, że najpotężniejsi marines i marynarze

78

ROZDZIAŁ

brali się z nami za łby. Może winne temu były nasze zwężane mundury z niezgodnymi z przepisami plakietkami wyszytymi od wewnętrznej strony rękawów bluzy. A może chodziło o nasze nastawienie. Delikatnie mówiąc: było zaczepne. Wychodziło na to, że zawsze wdawaliśmy się w bójki. Lepiej: zawsze wdawaliśmy się w bójki - i zwyciężaliśmy. Coś takiego doskonale wzmacnia pewność siebie.

Najpierw przyszła pora na zdobycie uprawnień nurka. Wróciłem na wyspę Saint Thomas na sześć tygodni skorupiaków, ciepłej wody, gorących kobiet i rumu. Pod koniec tej sesji byłem opalony, wysportowany, wypoczęty - i nosiłem zegarek do nurkowania marki Tudor ze stali nierdzewnej, który otrzymywało się wraz z uprawnieniami („wielki tik-tak, mały ptak" - jak mówiono o takim sprzęcie).

Potem przyszedł czas na skoki spadochronowe. Zostałem odkomenderowany do Fort Benning w Georgii na szkolenie powietrznodesantowe. Pojechałem tam jako członek plutonu zoo. „Zoo” dlatego, że należeli do niego Rabbit, Byrd i Fox (czyli Królik, Ptaku i Lis), a wszyscy byliśmy zwierzętami imprezowymi, zajętymi ciągłym polowaniem na kociaki i ich milutkie myszki.

Kiedy zdobyłem już uprawnienia, odkryłem, że skakanie podoba mi się tak bardzo, że w weekendy zacząłem wykonywać skoki akrobatyczne, eksperymentując z nowymi w owych czasach „płaskimi” spadochronami. W UDT mieliśmy tylko skoki z liną desantową, a używaliśmy staromodnych regulaminowych dziesięciopółmetrowych spadochronów z paraboliczną czaszą. W branży nazywa się to skokami na linie. Zawsze uważałem, że ta technika przypomina wieszanie małpy na sznurku.

Byłem zafascynowany nowszymi, ośmiopółmetrowymi płaskimi czaszami-skrzydłami. W tamtym czasie używano ich głównie jako spadochronów ratowniczych dla pilotów, ale ja byłem przekonany, że tkwi w nich prawdziwy potencjał do zastosowania w sytuacjach bojowych. Były zaprojektowane w taki sposób, że zapewniały lepszą zwrotność niż dziesięciopółmetrowe półkule do skoków na linie. Spadochrony skrzydłowe zrobiły się jeszcze bardziej sterowne, kiedy w czaszy

79

CZEŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

wykroiliśmy nowo zaprojektowane otwory i przymocowaliśmy dodatkowe linki, tak by móc rzeczywiście sterować sobą w powietrzu.

Podobał mi się też pomysł z samodzielnym uruchamianiem spadochronu własną linką wyzwalającą zamiast skakania na linie desantowej, która sama wykonuje całe zadanie. Własna linka oznaczała, że mogę spadać swobodnie. Myśl o spadaniu swobodnym była cudowna. Robienie tego było jeszcze lepsze. Poczucie wolności, gdy się tak leci z wysoka, bezgłośnie - tylko wiatr świszczę wokół ciała - było doświadczeniem, jakiego nie zaznałem nigdy przedtem. Podobną wolność odczuwałem pod wodą, jednak unoszenie się w powietrzu prawie 2 czy 3 kilometry nad ziemią było jeszcze lepsze: tu mogłem oddychać i widziałem wszystko wokół na odległość dziesiątków kilometrów. Wzbijałem się w powietrze tak często, jak tylko mogłem, i skakałem z coraz większych wysokości, pozwalając sobie spadać na coraz niższy pułap, zanim „pociągnę”, czyli otworzę spadochron. Instruktorzy się na mnie wściekali, ale doszedłem do wniosku, że podczas walki skoczek jest w mniejszym stopniu narażony na zestrzelenie, jeśli spada swobodnie, niż jeśli leniwie się unosi. Wobec tego po co otwierać czaszę na wysokości 1500 metrów i pozwolić jakiemuś nieprzyjacielskiemu plutonowi wziąć się na celownik, skoro można otworzyć spadochron na 150 metrach i pozostać przy życiu?

Nauczyłem się składać spadochron. Zdobyłem dla siebie sportowy, „płaski”, który zmodyfikowałem, żeby uczynić go bardziej sterownym. Nakupiłem mnóstwo książek na temat akrobacji spadochronowych i zgłębiałem zawilóści związane z przygotowaniem skoku

tak, by wylądować dokładnie tam, gdzie się chce, bez względu na termikę, prądy zstępujące, uskok wiatru i tysiące innych drobnych zmiennych, które mogą być przyczyną połamania kości albo pęknięcia czaszki.

Mimo że mieliśmy zdobywać kwalifikacje do skakania, w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych w żadnym z zespołów UDT nie było intensywnego programu spadochronowego: całość szkolenia skoczków prowadziły wojska lądowe. W praktyce jeżdżenie tam i z powrotem w celu odbycia jednego marnego skoku szkoleniowego mogło zabrać

80

ROZDZIAŁ

cały dzień. Nie było odpowiednich obiektów w pobliżu Little Creek, dlatego musieliśmy przekonywać pilotów z bazy lotniczej z Langley -po drugiej stronie Norfolk Bay - by wylatywali z nami jakieś 150 kilometrów na zachód do Fort Lee w Petersburgu w Wirginii albo mniej więcej tak samo daleko na północny wschód do Fort A.P. Hill, gdzie znajdowały się zatwierdzone strefy zrzutów. Znalezienie pilotów nie było trudne, bo wszyscy „kierowcy” - piloci transportowi - z US Air Forces musieli regularnie zaliczać w trakcie latania wykonywanie CARP, czyli computed air release point (obliczony punkt zrzutu z powietrza).

W ramach ćwiczenia CARP, jeśli piloci wykonywali je poprawnie, dokonywano zrzutu 82. Dywizji Powietrznodesantowej dokładnie na ustalony cel. Jeśli piloci się pomylili, dolatywali do Grenady, gdzie nie było stref zrzutu, cały harmonogram skoków się walił, a spadochroniarzom groził/niebezpieczeństwo. Na ogół piloci się mylili.

My w każdym razie lataliśmy do Fort Lee albo do Fort A.P. Hill, wykonywaliśmy jeden skok, po czym dzwoniлиśmy do domu jak E.T. i czekaliśmy, aż z Little Creek przyjedzie po nas autobus. Lwią część tego czekania spędzaliśmy w tym czy innym przybytku oferującym napoje barowe. Czasami miewaliśmy gości - dżentelmenów ubranych w wojskowe khaki, którym po wymianie stosownych uprzejmości spuszczałiśmy stosowne manto.

Mniej więcej w pierwszym roku bycia pletwonurkiem moim udziałem stały się dwa niezwykle doświadczenia. Jednym było to, że się ożeniłem. Wybranką mojego serca była Kathy Black, którą latem 1958 roku tak zawzięcie próbowałem zepchnąć do basenu przy Livingston Ave-nue w New Brunswick. Od tamtego czasu randkowaliśmy. Widywałem się z nią, ilekroć odwiedzałem dom, i wówczas wydawało się to dobrym pomysłem. Na początku lat sześćdziesiątych nie żyło się bez ślubu - jeśli pochodziło się z dobrej katolickiej rodziny (ani nawet jeśli pochodziło się - jak ja - ze złej katolickiej rodziny). Wobec tego sformalizowaliśmy nasz związek.

81

CZEŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

Kathy mówiła, że wytrzyma, jeśli czasem przez długie miesiące nie będzie mnie w domu. Naprawdę ją lubiłem i stanowiliśmy ładną parę. Ceremonia ślubna nie była wystawna, ale przyjemna. Potem pojechaliśmy na krótki miesiąc miodowy, Kathy zaszła w ciążę, a ja wypłynąłem na sześciomiesięczny rejs na Morze Śródziemne. Klasyczne małżeństwo marynarza.

Druga rzecz, jaka mi się przydarzyła, to awans na zwierzątko doświadczalne. Była w tym pewna historyczna sprawiedliwość. Jakie gatunki można spotkać w laboratoriach? Szczury, małpy i żaby, zgadza się? Trudno więc o lepsze zwierzę do testowania nowego powietrznodesantowego systemu przechwytywania niż frogman, człowiek żaba.

Nazywało się to Fulton skyhook recovery system - system odzyskiwania przy użyciu podniebnego haka opracowany przez Roberta Edisona Fultona - i zgłosiłem się do niego na ochotnika jako żaba doświadczalna w ramach TAD, czyli temporary additional duty (co tłumaczyło się jako „tymczasowy przydział dodatkowy”; ten skrót zawsze jednak kojarzył mi się z traveling around drunk - „podróżowanie po pijanemu”). Z wyspy Saint Thomas pojechałem do Panama City na Florydzie. Skyhook został wymyślony do podejmowania operatorów sił specjalnych lub agentów CIA z za linii wroga, do skutecznego i potajemnego chwywania VIP-ów lub przejmowania uwięzionych (i poddanych działaniu środków uspokajających) wrogów schwytanych przez nasze oddziały.

Zasada działania była prosta. Osobę przechwytywaną pakuje się do kostiumu królika, który jest wzmocnionym jednocześnie kombinezonem z kapturem, mającym wewnątrz wbudowaną ciężką nylonową uprzęż, przewód radiowy, a w kapturze mikrofon. Do upręży dopina się elastyczną linę długości jakichś 250 metrów, do której z kolei uwiązuje się unoszący się w górę balon z helem.

Wtedy z prędkością jakichś 240 kilometrów na godzinę nadlatuje poruszający się na niskim pułapie samolot wyposażony w wysięgniki oraz pręty chwytające i łapie nimi linę pod balonem. Lina mocuje się

82

ROZDZIAŁ

automatycznie we wciągarkę dzięki zastosowaniu ładunków wybuchowych. Następnie osoba przechwytywana zostaje wciągnięta - w zależności od rodzaju samolotu przeprowadzającego przechwyty - albo przez właz w podwoziu, albo przez rampę ogonową, no i aloha, bon voyage, a tym, co na ziemi, mówimy: sajonara.

System był wcześniej testowany głównie na workach z piaskiem, ale udział z programie wzięły też dwadzieścia dwa ludzkie szczury laboratoryjne - przedstawiciele producenta i operatorzy sił specjalnych wojsk lądowych. Ja byłem pierwszym ochotnikiem z marynarki i pierwszym człowiekiem, którego próbę podjęcia miano przeprowadzić bez żadnego systemu zabezpieczeń w postaci zapasowego spadochronu.

Pojawiłem się na lotnisku w pobliżu Panama City, przebrałem się w króliczy kombinezon, pozapinałem, kucnąłem, objąłem się za kolana i patrzyłem, jak mający mnie podjąć samolot, grumman S-2 tracker z floty powietrznej marynarki, wchodzi w przechył i na wysokości jakichś 150 metrów leci prosto na mnie.

Przeleciał nade mną i chwycił linę, do której był uwiązany balon. Poczułem, jak lina się wyciąga, zrobiłem jakieś półtora kroku, po czym -wzzz! - ależ wyrwało mnie z miejsca!

Czułem się, jakbym leciał uwiązany do ogromnej recepturki z prędkością 240 kilometrów na godzinę. Musiałem chyba doznać przeciążenia wielkości 6 g - porwany w powietrze jak postać z kreskówki, która próbuje trzymać się parapetu albo drzewa wydłużającymi się do 100 metrów rękami. Ziemia znikła mi z oczu. Lina wyciągnęła mnie wyżej niż samolot - uniosłem się ponad linię horyzontu - po czym zacząłem opadać.

W tym momencie przyszło mi do głowy, że może powinienem zabrać spadochron. Myśli przebiegające przez mój mały mózg układały się mniej więcej tak: „Dobra: lina mnie pociągnęła. No i lecę z prędkością jakichś 220 kilometrów na godzinę, obrócony plecami do dołu. Ale czy lecę dlatego, że mnie coś ciągnie, czy lina się zerwała i poruszam się siłą bezwładu - i zaraz się rozbryzgam?”. Rozstrzygnąć to mogłem

83

CZEŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

tylko w jeden sposób: musiałem sprawdzić sam. Wobec tego zrobiłem nożyce nogami i obróciłem się na brzuch.

Widok był niesamowity. Teraz, wyciągając szyję pod wiatr, zobaczyłem samolot - i linę - i wiedziałem, że nic się nie stało. Chciałem połączyć się z załogą, ale podczas obrotu zerwałem przewód radiowy i mikrofon był bezużyteczny. W tej sytuacji postanowiłem trochę się zabawić.

Rozpostarłem ramiona i stawiałem opór powietrzu dłońmi - jak to się robi podczas spadania swobodnego, żeby móc przemieszczać się na boki - po czym wyrównałem swój poziom z górą kadłuba. Wtedy odkryłem, że mogę wychylać się na lewo i prawo dzięki ruchom dłoni w pozycji pionowej.

Zacząłem jazdę na nartach wodnych za samolotem, przecinając strumień zaśmigłowy w lewo i w prawo. Chciałem pomachać pilotom, ale zauważyłem (jak to później opisałem w sprawozdaniu), że zbyt drastyczne angażowanie którejkolwiek z kończyn prowadzi do turbulencyjnych reperkusji, a mówiąc prościej, jeśli za bardzo się ruszałem, zaczynałem wpadać w korkociąg. Nie było to miłe doznanie. W związku z tym kolejne piętnaście minut spędziłem na leniwym przechylaniu się w lewo i w prawo, podczas gdy załoga samolotu wciągała mnie, zastanawiając się, co ja wyprawiam.

Kiedy byłem już blisko, obróciłem się z powrotem na plecy, sięgnąłem w dół, chwyciłem się za kostki i mocno zwinąłem się w kulkę. Dzięki temu opadłem i bujałem się jak wahadło, co

pozwoili im llatwiej podciagnac mnie do brzucha samolotu. Kiedy glowa siegalala mi juz do poziomu pokladu, siegnalem w gore i wciagnalem sie przez wiaz, usmiechajac sie do najwyrazniej spiętego dowodcy zalogi, który obslugiwal wciagarkę.

- Dzień dobry, panie dowódco.
- Co tam się, u licha, działo, marynarzu? Ta cholerna lina huśtała się we wszystkie strony. Myśleliśmy, że jesteś nieprzytomny, ranny - że już po tobie.
- To były tylko takie narty wodne, panie dowódco.

84

ROZDZIAŁ

- Nie chrzań mi tu! Gównu masz zamiast mózgu, ty tępy dupku.
- No dobrze, ma pan rację, panie dowódco. To nie były narty wodne.

Uśmiechnął się triumfująco.

- Pieprz się - to był bodysurfing.

Kiedy wylądowaliśmy, złożyłem meldunek przed gronem oficerów i przedstawicielei producenta na temat tego, co się wydarzyło, i na temat tego, co myślę o tym systemie. Nie powiedziałem im o nartach wodnych w powietrzu, chociaż zasugerowałem, że jeśli osoba podejmowana z ziemi nie ma przygotowania spadochronowego, to lepiej by było unieruchomić jej ręce, żeby nie doznała turbulentnych reperkusji.

Po odprawie j^den z oficerów, kapitan, wziął mnie na bok i powiedział, że złożyłem profesjonalny meldunek. Z uznaniem wypowiadał się na temat moich zdolności opowiadania i dodał, że najwyraźniej wykazuję własną inicjatywę.

- Marcinko, a nie chcielibyście złożyć papierów do Szkoły dla Kandydatów na Oficerów? - zapytał. Powiedział mi, że rokrocznie marynarka przyjmuje pięćdziesięciu kandydatów spośród marynarzy w ramach tak zwanego programu integracji oficerów, a ja wydaję się idealny z punktu widzenia ich potrzeb. - Z chęcią napiszę wam list polecający.
- No cóż, panie kapitanie - powiedziałem - chodzi tylko o to, że nie wiem, czy to dla mnie. Wolałbym być raczej chorążym w drużynie niż szefem operacji morskich całej marynarki.
- Jak to?
- Wie pan, jacy są chorążowie, kapitanie: jak coś powiedzą, to tak jest. To oni mają prawdziwą władzę w marynarce. Nikt się nie ruszy, póki mu nie pozwoli chorąży - nawet admirał.
- Możesz być taki sam jako oficer.

- Nie jestem pewien, panie kapitanie.
- Dlaczego, Marcinko?
- Najpierw, panie kapitanie, dlatego, że rzuciłem szkołę, a tam są wszyscy ci oficerowie po akademii, z którymi musiałbym rywalizować,

85

CZEŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

więc sam pan widzi, że już od początku jestem w niekorzystnej sytuacji. Więc czego mógłbym się spodziewać? Że kim zostanę? Pewnie jakimś oficerem z okrojonym zakresem odpowiedzialności na jakimś okręcie nie wiadomo gdzie. A szczerze mówiąc, jak mam być jakimś rzygowinami niższego stopnia - za przeproszeniem pańskich uszu -i nadzorować parę obdartych marynarskich tyłków... to chyba lepiej mi będzie w teamach. My pływamy, nurkujemy, skaczemy - ciągle jesteśmy w ruchu.

Przez chwilę pogryzł fajkę i pokiwał głową, jak to robią oficerowie tuż po wyłączeniu wszystkich systemów.

- Dobrze, ale dajcie mi znać, gdybyście zmienili zdanie.

Rozdział 5

;

W końcu zmieniłem zdanie w sprawie złożenia papierów do Szkoły dla Kandydatów na Oficerów. Nie skłoniła mnie jednak do tego żadna zachęta jakiegoś kapitana, że napisze mi list polecający. Powodem zmiany decyzji był młodszy chorąży z niewyparzoną gębą, Everett E. Barrett. Barrett był specjalistą od unieszkodliwiania i niszczenia materiałów wybuchowych (EOD) oraz specjalistą od uzbrojenia ze specjalnością: działa (GM/G). Właśnie dostał awans na młodsze chorążego, kiedy dostałem przydział do 2. (my mówiliśmy o nim: „drugi po Bogu”) plutonu UDT-21.

Jeśli kiedykolwiek miałem na morzu ojca, to był nim Ev Barrett. I jak tu nie szufladkować ludzi? Barrett był idealną filmową wersją młodsze chorążego - mógłby go zagrać ktoś w rodzaju Warda Bonda, gdyby William Holden nie rzucił się pierwszy na tę rolę.

Kiedy go poznałem, uważałem go za starszego gościa, chociaż pewnie nie miał wtedy jeszcze czterdziestki: był to żyłasty szarooki mężczyzna o ostrych rysach. Mierzył niecałe metr osiemdziesiąt, włosy miał bardzo krótko przystrzyżone - po bokach i z tyłu do gołej skóry. W lewej ręce nie miał serdecznego palca - stracił go, bo za dużo bawił się

87

CZEŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

materiałami wybuchowymi. Jego chropawy, skrzeczący głos wyprzedzał go o jakieś piętnaście sekund (to znaczy zawsze najpierw go było słychać, a potem dopiero widać), kiedy Ev Barrett rzucał niekończące się serie niecenzurowanych przekleństw w najbardziej pomysłowych kombinacjach - a wszystko to z charakterystycznym dla mieszkańców Nowej Anglii spłaszczającym samogłoski akcentem. Angielskie powiedzenie „klnie jak marynarz” powstało przypuszczalnie w związku z dokonaniem Everetta E. Barretta.

Nie był szczególnie wykształcony - a przynajmniej nie w sensie formalnym. Czytał z trudem i literował fonetycznie. Na przykład: N-A P-SZ-Y-K-Ł-A-T. Nieraz przyuważyłem, że czyta nam jakieś nowe przepisy, trzymając dokument do góry nogami. Do góry czy do dołu, potrafił jednak spojrzeć w papier, stanąć nos w nos z jakimś biednym kapitanem i wyrecytować mu kupę urzędowo brzmiących paragrafów. Po takim przedstawieniu w wykonaniu Barretta pod większością oficerów zwykle ugięły się lekko kolana, mówili: „Tak, oczywiście, jak pan sobie życzy, szefie” - i tyle było dyskusji. Barrett potrafił napędzić pietra oficerom.

Ale trzeba przyznać, że był dobry. Pietra napędzał nie tylko oficerom, ale nam wszystkim - mnie też. W czasie mojego pierwszego w UDT-21 rejsu po Morzu Karaibskim na jednej z łodzi tuż przed rozpoczęciem manewrów desantowych zepsuła się radiostacja. Może i byłem łącznościowcem, ale nie technikiem elektronikiem. Dla Barretta nie miało to znaczenia.

- Marcinko, ty ***** synu, rusz to swoje *****
***** dupsko i chodź no tu - rzucił mi standardową wiązkę.

Oczywiście biegiem ruszyłem swoje ***** dupsko. Kiedy Barrett wzywał, dupsko należało ruszać biegiem.

- Masz, do ***** nędzy, w *****
***** radiostację, ***** jego mać, zanim jutro załadujemy się w ***** na tę ***** łódź, albo będę cię, ***** w dupę *****
kopał w tę twoją ***** dupę aż do, ***** twoja mać, następnego *****
***** tygodnia.

- Tak jest, ***** jego mać, szefie.

88

ROZDZIAŁ 5

Nie odróżniałem wtedy tranzystora od rezystora ani filtra od lampy. Rozgryzłem jednak schematy i pracowałem całą noc, a następnego ranka jakimś cudem (do dziś nie wiem, co zrobiłem) cholerna radiostacja była naprawiona i działała.

I stało się tak nie dlatego, że bałem się, żeby Barrett nie kopał mi dupy do następnego tygodnia - chociaż z pewnością był zdolny robić to z niezmienną siłą i nienaganną precyzją przez czterdzieści osiem godzin. Zrobiłem to dlatego, że młodszy chorąży miał niezwykłą zdolność skutecznego mobilizowania ludzi, by robili więcej, niż wydaje im się, że potrafią.

Ilekróć ktoś powiedział Evowi Barrettowi: „Ale, szefie, to jest niemożliwe”, Barrett lustrował go wzrokiem z góry na dół, po czym mówił:

- Po prostu to, ***** twoja mać, zrób i się, do ***** , zamknij.

Barrett Chwytał mnie jak wyćwiczony w chwytaniu za krocze pies

łapie za jaja włamywacza - i po prostu nie puszczał. Zawsze było to tak:

- Marcinko, ty ***** , zrób to.

Albo:

- Marcinko ty ***** warty ***** j-yg^aj swój ***** tyłek, i to, ***** twoja mać, biegiem.

Kiedy wysłano nas na wyspę Vieques na manewry i spaliśmy w namiotach na plaży, kazał nam dwa razy dziennie patrolować teren i grabić piach. Wszyscy zawsze uważali, że Vieques to wakacje dla plutonów UDT. Nurkowało się po muszle i skorupiaki, popijało się piwko i rum, wylegiwało się na plaży i pracowało nad opalenizną.

Ale pod Evem Barrettem tak nie było. Pewnego dnia kazał mi zbierać po całym plutonie puszki po piwie: miałem napełnić je piaskiem i budować z nich ściany wokół małego patio przed namiotami. Zaprojektował dla tych patio dachy z liści palmowych i dzwonki wietrzne z butelek po piwie (a myje wykonaliśmy). W pewnym momencie usadził cały pluton i uczył nas pleść kapelusze z liści palmowych, bo uważał, że brakuje nam zajęcia.

Frogmeni robiący kapelusze z liści palmowych? No tak, zapomniałem dodać, że dla Barretta robienie ***** kapeluszy z liści

89

CZEŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

palmowych oznaczało tyle, że musieliśmy wspinać się na najwyższe ***** palmy, żeby zdobyć najbardziej miękkie, zielone i dorodne ***** liście palmowe na całej ***** wyspie. Ev Barrett nie uznawał żadnych liści z odzysku. A gdyby ktoś nie wiedział z doświadczenia, to wyjaśniam, że wspinięcie się na czternastometrową palmę to jest praca.

Rzecz w tym, że wszystkie te próby i wrzaski, i ciągle pilnowanie wcale mi nie przeszkadzały. Wcześniej się zorientowałem, że im bardziej po kimś Barrett jeździ, tym bardziej o niego dba. Na przykład tak długo kopał mnie w tyłek, aż zdałem egzamin wyrównujący z zakresu szkoły średniej. Podobnie doprowadził do tego, że ukończyłem kurs spadochronowy na poziomie zaawansowanym. Doskonalił też moje zdolności administracyjne, każąc mi pisać na maszynie wszystkie te jego ***** raporty na temat plutonu. I w końcu to on namawiał mnie i zachęcał, i terroryzował, i popychał, i zmuszał siłą, aż przystąpiłem do testu kwalifikacyjnego do Szkoły dla Kandydatów na Oficerów - i zdałem go.

Kiedy wróciliśmy do Little Creek, zabierał mnie do domu na obiad i całymi wieczorami przesiadywałem z nim i jego żoną Delią, pijąc piwo i słuchając jego opowieści o dawnej marynarce. Do dziś nie wiem, dlaczego mnie adoptował - bo tak właśnie trzeba nazwać to, co zrobił. Nie byłem pierwszym marynarzem, którego przygarnął pod swoje skrzydła, i nie byłem ostatnim. Cieszę się jednak, że to zrobił, bo w latach 1961-1965 spędził ze mną chyba więcej czasu - zarówno w UDT-21, jak i później w UDT-22 (była to utworzona w 1963 roku nowa jednostka, do której w całości przeniesiono drugi po Bogu pluton Barretta) - niż mój własny ojciec spędził ze mną przez całe życie. I mówiąc całkiem szczerze, jeśli było się młodym rozrabiaką po dwudziestce (a ja byłem) i jeśli szukało się pozytywnego wzorca męszczyzny (a ja prawdopodobnie szukałem), to można było trafić o wiele gorzej niż na starszego bosmana Everetta E. Barretta, UDT, EOD, GM/G.

A rozrabiaką to ja byłem. Kiedy na przykład 2. pluton wysyłano w jakiś rejs, razem z jednym kolegą zajmowaliśmy się opróżnianiem mesy marynarskiej.

90

ROZDZIAŁ

W tym miejscu warto dodać pewne wyjaśnienie. Na pokładzie statku istnieje sztywny system kastowy. Oficerowie mieszkają w officer country, gdzie marynarskie wymiociny nie ważą się, ***** wasza mać, wchodzić, jeśli nie mają poważnego powodu. Zazwyczaj kadra oficerska ma własną część statku - swój kambuz i mesę - a reszta załogi okrętu je w mesie pokładowej. W tak ustawionej hierarchii my oraz marines znaleźliśmy się na samym dole, przy zęcie. Uznawano nas za wojska lądowe, a nie za część załogi okrętu, wobec czego byliśmy poddani systemowym zależnościom. Jedliśmy ostatni. Ostatni braliśmy prysznic. Ostatni sraliśmy. A w sytuacjach kryzysowych mieliśmy ginąć pierwsi.

Jednak plutony UDT to silne, małe kliki. Razem kładliśmy się spać, razem dzieliliśmy wspólne obowiązki, pływaliśmy w parach - więc i jeść chcieliśmy w grupie, a nie musieć przychodzić do mesy i wciskać się pojedynczJ między obcych marynarzy albo (co gorsza) marines.

W tamtych czasach mówili na mnie Geek, czyli Świr. Świr, bo byłem do tego stopnia szurnięty, że czyściłem do połysku nie tylko cholewki butów, ale i ich podeszwy. Mój kumpel Dan Zmuda - naprawdę miał na nazwisko Zmudadelinski - ksywa Mud (Błoto), wymyślił razem ze mną metodę, dzięki której opróżnialiśmy mesę z wystarczającej liczby marynarzy, żeby 2. pluton mógł jeść przy jednym stole.

Opracowana przez nas technika była prosta i skuteczna. Najpierw wchodziliśmy do mesy i ładowaliśmy sobie tace żarciem po brzegi. Na jednej tacy mieliśmy wszystko: od zupy po orzeszki. Potem usadowialiśmy się pośrodku grupy czystych, schludnych, dobrze wychowanych marynarzy i witaliśmy się z nimi.

- Dzień dobry, panowie - mawiałem, kłaniając się uprzejmie.

Wtedy Mud ładował się z hukiem na sąsiednie krzesło.

- Witam towarzyszy stołu - dodawał z wytwornością podoficera.

Z tym serdecznym powitaniem klócił się wygląd i postura Muda.

Zbudowany był jak potężny hydrant przeciwpożarowy, a poruszał się tak, jakby cały siedł pod wiatr. Jego zaokrąglona szczeka buldoga wystawała wyzywająco, wielki słowiański nos (noszący ślady wielu bójek) był lekko przekrzywiony. Reszta twarzy tego Polaczka wyglądała,

91

CZEŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

jakby została wypiaskowana. Nawet kiedy się uśmiechał, w jego oczach widać było to cudownie dzikie spojrzenie: „uwaga, ludziska, zaczyna się” - w rodzaju uśmiešku, jakim Hulk Hogan zaszczycił Andre the Gianta tuż przed tym, jak zrobił z niego miazgę.

Maskotką Underwater Demolition Teams jest żaba o imieniu Freddie uwieczniona ze złowrogim grymasem ust. Freddie nosi zawadiacko przekrzywioną czapkę marynarską przypominającą papierowy kubek. W kąciку ust mocno zagryza koniec cygara. W prawej ręce trzyma zapaloną laskę dynamitu, a w oczach ma błysk szaleństwa. Mud prezentował to samo spojrzenie i większość marynarzy była tym zdecydowanie podenerwowana. Idealnie nadawał się do roli Huntza Halla przy Leo Gorceyu, którego grałem ja.

Następnie Mud, który jak zwykle jadł deser przed daniem głównym, brał sobie nóż z czyjejs tacy, smarował kotlety grubą warstwą lodów (smak nie miał znaczenia), dodawał do tego pół butelki sosu AI i brał się do jedzenia. Mud jadł bardzo szybko i nie używał sztucców. Było to jak powtórka z mesy podczas heli weeku - tyle że przy stole z tamtej ekipy siedzieliśmy tylko ja i Mud.

Ja zaczynałem posiłek zawsze od groszku. Jadłem pojedyncze groszki, wciągając je przez nos. Po wessaniu kilku pierwszych ziarenek rozglądałem się dokoła i cmokałem:

- Mmmmmmm. Pycha!

Jeśli danego dnia nie było groszku, zazwyczaj podawano spaghetti. Spaghetti również zasysałem przez nos, chociaż zauważyłem, że jeśli sos marinara był zbyt ostry, ciekło mi z oczu.

Kiedy subtelne zagrywki nie dawały efektu, zaczynaliśmy być obrzydliwi.

- Kawy, panie Mud? - pytałem.

- Z miłą chęcią, panie Świr.

- Śmietanki?

- Nie, uprzejmie dziękuję, panie Świr.

- Cukru?

- Raczej nie.

92

ROZDZIAŁ

- Gluta? - I wydmuchiwałem nos do jego kubka.

Mud wypijał kawę duszkiem:

- Wspaniała.

Zauważyliśmy, że po jakichś trzech dniach takich pokazów wszyscy wiedzieli już, o co chodzi. Pod koniec pierwszego tygodnia na morzu wystarczało, żebyśmy z Mudem pojawili się w mesie, załadowali tace i ruszyli do jakiegoś stołu. Zanim do niego dochodziliśmy, już był kompletnie pusty.

Kiedy Barrett usłyszał, co robimy z Mudem, wściekł się.

- Niech to szlag, Marcinko - bluzgał. - Nie mogę cię, ***** twoja mać, zostawić, ***** jeden, samego na pięć ***** minut, żebyś, ***** ***** , po raz, k****a, kolejny nie ***** ***** ***** swojego dupska w jakieś ***** gównno.

Oprócz bóhjjuszu Barrett zafundował Mudowi i mnie dodatkową służbę. W ten szczególny sposób wyraził nam wdzięczność za przedstawienie, które pozwoliło plutonowi jeść przy jednym stole. Cierpieliśmy z Mudem w milczeniu. Wiedzieliśmy, dlaczego chorąży to zrobili: gdyby nam odpuścił, inni szefowie by mu nie darowali, więc dla zachowania pokoju musieli nas zgnoić.

O tym, że zostałem przyjęty do Szkoły dla Kandydatów na Oficerów, dowiedziałem się tuż przed wypłynięciem w sześciomiesięczny rejs na Morze Śródziemne na pokładzie USS Rushmore. Był to pochodzący z okresu drugiej wojny światowej okręt desantowy (LSD), który został pierwotnie zbudowany dla Royal Navy. To był dla mnie rejs pożegnalny. Wykonywałem wszystkie normalne prace w plutonie: prowadziłem zwiad na brzegu przed manewrami desantowymi, ćwiczyłem niszczenie materiałów wybuchowych i uczestniczyłem w Z/5/O - wszystko to było częścią stałych ćwiczeń UDT-22. Poza tym miałem trywialne zajęcia: pisanie na maszynie raportów i notatek służbowych Barretta, przegląd wyposażenia i dbanie o podtrzymywanie swoich kwalifikacji nurkowych i spadochronowych UDT.

93

CZĘŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

Nade wszystko jednak zacząłem spędzać coraz więcej czasu w officer country, przyglądając się, jak zachowują się oficerowie, jak wykonują swoją pracę, jak żyją w mesie oficerskiej. Od czasu do czasu wchodziłem na mostek, gdzie kapitan naszego LSD komandor B.B. Witham pozwolił mi nawet raz czy drugi sterować, kiedy Barrett wspominał o tym, że zostałem przyjęty do Samych Kup i Odchodów, jak mówiono we flocie o SKO. Pochodzący z Nowej Anglii skipper Witham palił jak lokomotywa i zadbał o to, bym zapoznał się z podstawami

bycia oficerem. Wiedział na mój temat nawet wystarczająco dużo, by poprawnie się do mnie zwracać: marynarzu Świr.

Oczywiście, skoro miałem niebawem zostać oficerem i dżentelmenem, razem z panem Mudem zmuszeni byliśmy całkowicie zarzucić nasze stałe występy w mesie. Było to wspaniałe dokonanie, jednak nawet wspaniałe dokonania muszą czasem się kończyć. Poza tym kto by chciał, żeby na niego mówili chorąży Świr?

Ale też nie zacząłem się zachowywać całkowicie nienagannie. Ilekroć na przykład zawijaliśmy do Neapolu po zaopatrzenie, siadałem za kierownicą ciężarówki, którą dostawaliśmy. Rozumowałem prosto: miałem zostać oficerem, który kieruje okrętem; kierowanie to kierowanie; więc czemu nie wykorzystać każdej nadarzającej się okazji, by ćwiczyć? Neapol to miasto położone wśród wzgórz: są tam długie tunele, w których chodniki dla pieszych biegną obok jezdnii (tylko idioci chodzą tymi wąskimi chodnikami w tunelach, bo neapolitańczycy prowadzą podobnie do dzikusów z Bejrutu).

Więc kiedy byliśmy zmotoryzowani, mogliśmy się nie spieszyć i zatrzymać się raz czy dwa na kielicha po drodze do magazynu, w związku z czym zwykle byliśmy nieco spóźnieni. Często postanawiałem nadrobić to opóźnienie, więc wjeżdżałem dwoma kołami naszej dwutonowej ciężarówki z platformą na chodnik i ocierałem się o ściany tunelu, żeby wyprzedzić powolny sznur samochodów. Ta technika nie podobała się za bardzo ani dowódcy, ani ośmiu frogmenom jadącym na pacy, ani oficerom z parku maszynowego floty.

94

ROZDZIAŁ

Barrett w typowy dla siebie przyjemny sposób próbował raz skorygować mój styl prowadzenia samochodu, wyjaśniając mi drobiazgowo, że tych ***** chodników ciężarówek nie zrobiono, do ***** nędzy, żeby jeździć nimi po ***** chodnikach. Przytaknąłem i jechałem dalej:

- Przyjąłem, szefie, zrobi się.

I „się” robiło, fakt. Barrett nie narzekał na brak wrażeń. „Się” zrobiło po raz ostatni na tydzień przed moim odejściem do Szkoły dla Kandydatów na Oficerów. Mieliśmy zaplanowane wykonywanie skoków spadochronowych. Już wcześniej ściągnąłem na siebie pełną niepokoju troskę nieszczęśliwego komandora Withama, ponieważ otwierałem spadochron nisko: czekałem z pociągnięciem linki, aż będę poniżej 300 metrów. Witham czuł się pewniej, jeśli przez lornetkę widział, że otwieramy spadochrony. Na myśl o skokach HALO - duża wysokość, niskie otwarcie - aż się pocił. Postanowiłem pomóc mu wypocić kanister wody

Mój ostatni skok miał być skokiem do wody: spaść miałem tuż obok prawej strony LSD. Maszt LSD wystaje 42 metry ponad pokład. Powiedziałem całemu plutonowi, że wypnę się tak nisko, żeby czasza otworzyła się dopiero, gdy będę na poziomie masztu. Właściwie to o tym, że zamierzam dolecieć swobodnie do 42 metrów, powiedziałem wszystkim, których udało mi się znaleźć - z dwoma godnymi uwagi wyjątkami: komandora Withama i młodszego

chorążego Barretta. Ustawiłem nawet na pokładzie chłopaka nazwiskiem Bob Clark z kamerą na taśmę filmową 16 mm ze ścieżką dźwiękową.

Samolot wystartował, osiągnął zadaną wysokość, dotarł do strefy zrzutu i wyskoczyliśmy. Kiedy później oglądałem film, wyglądało to wspaniale. Najpierw, wysoko, pootwierały się wszystkie inne spadochrony. A potem ja: spadam, spadam, spadam. Kamera śledziła mój lot w stronę wody, a ścieżka dźwiękowa rejestrowała w tle doskonale zrozumiały głos Barretta-
Ty ***** Ty ***** ***** "jy ***** ***** *****". Pociągnij tę ***** ,
***** linkę. Marcinko, ty *****

95

PIERWSZA. ŚWIR

***** ^wjrze> pociągnij tę ***** linkę!!!".

Widać wyczułem jego aluzje, bo pociągnąłem linkę. Wcześniej odpowiednio przygotowałem spadochron do niskiego otwarcia. Rozpostarł się w jednej chwili. Zdążyłem jeszcze bujnąć się raz w wyniku szarpnięcia po otwarciu, w tym momencie zrównałem się z masztem, po czym: chlup! - wpadłem do morza. Pod wodą uwolniłem się od uprzęży i wynurzyłem się uśmiechnięty.

Mój wyczyn kaskaderski nie ubawił Eva Barretta ani B.B. Withama. Komandor nie czekał nawet, aż wyjdę na pokład.

- Słuchaj no, Marcinko: masz, k***a, przesrane - wołał przez megafon.

Barrett uznał najwyraźniej, że mam za płytki odbyt, więc urządził mi stosowną o-pe-erację na miejscu.

Jakiś tydzień później ruszałem do Stanów. Dzień wcześniej bosman Barrett wezwał mnie na górę do części oficerskiej i kazał mi siadać. Przyniósł dwie puszki piwa, otworzył je i podał mi jedną.

- Dick - powiedział - myślę, że pójdziesz ci dobrze. Będziesz dobrym oficerem - jeśli nie będziesz się za bardzo opieprzać i jeśli podejdziesz do tego poważnie.

- Dzięki, szefie. Tak będzie.

Kiwnął głową.

- Wiem. Dobry z ciebie chłopak. Pracowity. Twardy. To też dobrze. Będziesz tego wszystkiego potrzebował, kiedy staniesz naprzeciwko tych wszystkich pieprzonych wymiocin z akademii. - Pociągnął łyka. - Te wymiociny z akademii nie wiedzą oczywiście za wiele o tym twoim cholernym otwieraniu spadochronu na poziomie pieprzonego masztu, nie?

Roześmialiśmy się.

- Ale mam coś, co chcę ci powiedzieć...
- Niech pan mówi, szefie.
- Widzisz - powiedział - nauczyłeś się już mnóstwo. A jeszcze więcej się nauczysz.

96

ROZDZIAŁ

Przytaknąłem.

-Tak?

- Więc chcę, żebyś mi coś obiecał. Daj mi słowo, że będziesz przekazywał innym to, czego będziesz się uczył.
- Jasne. - Nie byłem pewien, czy wiem, o co mu chodzi.
- Zastanawiasz się, o czym ja, k***a, mówię, co?
- Yhy.
- Dick, nie patrz na to, czy pracujesz z kimś po raz pierwszy, czy służycie razem od lat: masz go traktować jednakowo. Masz mu pomagać wykonać zadanie. Tak jak ja pomagałem tobie. Teraz twoja kolej, żeby to przekazywać dalej. - Dopił piwo. - Daj mi słowo.

Spojrzałem na niego. Mówił absolutnie poważnie.

- Słowo, szefie.

Kiwnął głową i rzucił mi krótki uśmiech.

- Potraktuj to jako pierwsze prawo morskie Eva Barretta. Bo tak się robi w marynarce, Dick.

W tamtym czasie byłem naiwny - wierzyłem mu. Nie: to nie całkiem tak. Wtedy rzeczywiście prawo Eva Barretta wyrażało to, jak się robiło w marynarce.

Rozdział 6

Szkołę dla Kandydatów na Oficerów w Newport w stanie Rhode Island przeszedłem gładko, kończąc ją w grudniu 1965 jako podporucznik. Nie dlatego szło mi tam tak dobrze, że byłem bystrzejszy od innych, którzy wstąpili razem ze mną, ale dlatego, że w marynarce siedziałem od ponad siedmiu lat, z czego ponad trzy spędziłem na okrętach, w związku z czym wiedziałem, jak to wszystko działa. Kiedy instruktorzy - w większości chorążowie - mówili w trakcie wykładu: „Będziemy o tym jeszcze mówić”, zapisywałem, co mówią, bo wiedziałem że pojawi się to na teście. Wiedziałem, że tak trzeba robić, bo tak działali chorążowie. Do inspekcji klarowałem koję tak ciasno, że ćwierćdola-rówka odbijała się od koca na stopę w

górze, a kajutę polerowałem tak dokładnie jak podeszwy butów (nie bez powodu byłem Świrem). Podczas musztry maszerowałem, jakbym był członkiem kompanii reprezentacyjnej. Na strzelnicę trafiałem niekończące się serie dziesiątek.

Bardzo wcześnie zdałem sobie sprawę, że żaden z uczących nas, musztrujących, dręczących i przeprowadzających nam inspekcje oficerów ani chorążych nie jest w stanie choćby zbliżyć się do tego rodzaju zastraszenia, jakie przetrwałem w UDT podczas heli weeku. Wobec

98

ROZDZIAŁ

tego robiłem, co do mnie należało, cokolwiek mi kazali, wykonywałem rozkazy bez narzekania - i przeszedłem całą tę Szkołę dla Kandydatów na Oficerów, jakby to były kolonie letnie. Chłopaki z floty miały rację: SKO to rzeczywiście skrót od Samych Kup i Odchodów. Bo gdyby bohater, którego w filmie Oficer i dżentelmen grał Richard Gere, był frogmanem, to skasowałby sierżanta granego przez Lou Gossetta już pierwszego dnia. Frogmeni zjadają instruktorów musztry na przystawkę. Umieją też znosić dręczenie i nie przestawać bez słowa skargi wykonywać swojego zadania.

Kiedy zostałem wybrany na prowadzącego sekcji, a następnie na dowódcę batalionu mojej klasy szkoleniowej w SKO, traktowałem prawo Eva Barretta poważnie. Pomagałem najślabszym w klasie wykonywać fizyczne etapy szkolenia, pokazywałem molom książkowym, jak działa broń, a jeśli ktoś miał słabe stopnie, mówiłem mu, żeby zanim cokolwiek zanotuje, nasłuchiwał kluczowych słów: „Będziemy jeszcze o tym mówić”. Sto procent mojej sekcji ukończyło SKO. Inne sekcje miały całkiem spory odsetek odejść - w jednej zdarzył się nawet samobójca. Podczas uroczystości wręczenia dyplomów był marynarz Świr razem z belką podporucznika otrzymał nagrodę dla prowadzącego klasy. Moja żona Kathy, w ciąży z naszym drugim dzieckiem, patrzyła na mnie z dumą.

Po SKO dostałem przydział na niewielki niszczyciel USS Joseph K. Taussig. Miałem tam być oficerem mechanikiem, który zarządza maszynownią, gdzie mieszczą się okrętowe kotły. Z pewnością na pokładzie Taussiga byłem pierwszym oficerem maszynowni, który sam przeprowadzał inspekcje kadłuba (nurkowałem osobiście) i w zielonym mundurze polowym czołgał się po kotle i systemie napędowym, pod nimi, wokół nich i na przestrzał, zanim swoim podpisem potwierdził wykonanie jakiegokolwiek konkretnej pracy.

Sześć miesięcy na pokładzie Taussiga stanowiło w moim życiu ważny okres przejściowy. Mieszkałem teraz w officer country i jadałem w mesie oficerskiej, ale tak naprawdę zmieniło się tylko tyle, że nosiłem naszywki z pojedynczą belką na kołnierzyku i jasnobrązowy

99

CZEŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

mundur - no i że wielu marynarzy mówiło do mnie „panie Rick” (wolałem to niż „panie Dick”).

Podporucznik czy nie, myślałem nadał jak szeregowy. A to pomagało mi w pracy. Znałem wszystkie wymówki marynarzy, bo wcześniej sam je stosowałem. Umiałem odróżnić dobrego chorążego od złego. Od dnia, w którym zostałem mianowany oficerem, wiedziałem, że w dowodzeniu ludźmi nie mogę przyjąć stylu absolwentów akademii: często obojętnego, chłodnego i zdystansowanego - nie mogę, bo nie jestem typem obojętnym, chłodnym ani zdystansowanym. Z drugiej strony, nie byłem też już zwykłym marynarzem, szeregowym, i musiałem nauczyć się dowodzenia - nawet jeśli dowodzenie oznacza dokonywanie trudnych wyborów.

Taussig stał się zatem moim laboratorium. Starłem się zrozumieć, w jaki sposób mogę wykorzystać system marynarki do celów, które realizuję, a kiedy mogę go trochę zmienić. Z pewnym zaskoczeniem odkryłem, że dowodzenie nie jest łatwe. Wydanie komuś rozkazu zrobienia czegoś, co może okazać się dla niego fatalne w skutkach - oraz wyegzekwowanie od niego, by natychmiast i bez dyskusji ten rozkaz wykonał - wymaga tego samego rodzaju pewności siebie, jakiego potrzeba do skoczenia z samolotu.

Na bardziej prozaicznym poziomie dowodzenie polega na uczeniu się, jak podjąć decyzję, a następnie na trzymaniu się jej, nawet jeśli napotyka się przeszkody, zrządzenia, błagania i pochlebstwa, by ją zmienić. Pamiętam jedną z najcięższych decyzji, jakie musiałem podjąć w tym okresie. Było to wtedy, kiedy po raz pierwszy cofnąłem załodze pozwolenie zejścia na ląd, bo trzeba było jeszcze coś zrobić przy kotłach. Dlaczego to było takie trudne? Bo sam byłem marynarzem i wiedziałem, jak wiele znaczy dla nich noc na lądzie.

Moje pochodzenie i przygotowanie dało mi sporo atutów. Podejmowałem pracę z fizyczną pewnością siebie znamionującą frogma-na: wiedziałem na przykład, że potrafię walczyć, pływać czy skakać ze spadochronem lepiej niż ktokolwiek na pokładzie Taussiga. Nie wspominając już o tym, że każdemu, kto by próbował mi się postawić,

100

ROZDZIAŁ

umiałbym również spuścić solidny łomot. To bardzo upraszczało mi życie i kontakty z załogą.

To, że byłem w UDT, pomagało mi także tworzyć dobre relacje zawodowe z innymi oficerami. Większość wiedziała, co potrafią frogme-ni, i czułem, że oficerowie mnie szanują, nawet jeśli nie mieli zamiaru pójść w moje ślady (wiadomo, że były to ślady płetw). Byłem też w dobrych stosunkach z Earlem Numbersem, kapitanem Taussiga, a moje notowania były dużo wyższe niż przeciętne.

Jednak nie miałem przed sobą perspektyw jako kapitan okrętu i byłem tego świadomy. W kolejce przede mną czekało za dużo absolwentów akademii. W US Navy w latach sześćdziesiątych stowarzyszenie studenckie Akademii Marynarki Wojennej było bardzo silne. Sygnet absolwenta był talizmanem zapewniającym sukces - a ja miałem gołe pięści. Na moim4ioryzoncie nie było żadnego lotniskowca ani fregaty rakietowej - nie widziałem na nim nawet USS Taussiga.

Mimo to, kiedy dostałem belkę podporucznika, związałem się na stałe z marynarką. Postanowiłem, że to będzie mój zawód. Co będę robił, było jednak inną kwestią. Chociaż właściwie to nie było dokładnie tak. Wiedziałem, czego chcę - pytanie tylko brzmiało: jak to osiągnąć?

A chciałem zostać jednym z SEALsów. O SEALsach wiedziałem już od czasu, kiedy w roku 1962 tworzono pierwsze teamy. Zobaczyłem ich w Little Creek zaraz po powrocie z jednego z pierwszych rejsów po Morzu Karaibskim, bo kwatera główna Teamu Two położona była naprzeciwko UDT-21, po drugiej stronie boiska. Wyglądali na pewno inaczej. Przede wszystkim dbali o ubiór. Nosili błyszczące czarne buty dla skoczków Cochran i marszczone spodnie, natomiast frogmeni nosili zwykłe trapery, a spodnie mieli bez zakładki. Część wyposażenia używanego przez frogmenów pochodziła z drugiej wojny światowej. SEALsi mieli same najlepsze zabaweczki. Wszystko w ogóle było u nich nowe: nowe śmiertelne rodzaje broni, nowe eksperymentalne wyposażenie, a nawet nowe techniki operacyjne oraz strategię oddziałów specjalnych.

A najlepsze w tym wszystkim było to, że ciągle jeździli gdzieś na ćwiczenia. Mógł to być miesiąc skoków spadochronowych albo sześć

101

CZEŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

tygodni działań wojennych w dżungli, albo sesja w szkole przetrwania w warunkach arktycznych: ciągle byli w ruchu. Kursy obsługi broni, kursy językowe - robili wszystko. Oczywiście bardzo podobało mi się bycie frogmanem, ale niczym marzący o aktorstwie dzieciak, który pierwszy raz trafił na Broadway, popatrywałem zazdrośnie przez siatkę. Obserwując, jak SEALsi wchodzą i wychodzą, poprzysiągłem sobie, że jakoś to zrobię i też kiedyś zostanę jednym z nich. Okazja trafiła się w związku z wojną w Wietnamie, kiedy oba zespoły SEALsów rozrosły się mniej więcej dwukrotnie.

Pierwsze amerykańskie jednostki bojowe dotarły do Wietnamu 8 marca 1965 roku. W tym dniu oddziały 3. Pułku 3. Dywizji Korpusu Piechoty Morskiej wylądowały na wybrzeżu w pobliżu Da Nang. Amerykańską piechotę morską powitał napis: „Witamy US Marines - UDT-12”. Frogmeni znajdowali się w grupie pierwszych amerykańskich żołnierzy wysłanych do Wietnamu. SEALsi przybyli tam później. Byłem na pokładzie Taussiga, kiedy w lutym 1966 roku dowiedziałem się, że pierwszy ich oddział, z SEAL Team One w San Diego, wyruszył do Wietnamu. Miałem mocne przeczucie, że skoro zaangażowane są już jednostki z Zachodniego Wybrzeża, to niedługo przyjdzie czas i na SEAL Team Two. Dlatego robiłem, co tylko mogłem, żeby mnie tam przeniesiono.

Na moją korzyść przemawiało to, że byłem młodym (miałem dwadzieścia pięć lat), bojowym i doświadczonym frogmanem. Wtedy nie było wielu oficerów, którzy by mieli takie kwalifikacje. Trzy miesiące zajęło mi prowadzenie na odległość subtelnych podchodów, przypo-chlebianie się, namawianie i grożenie, aż w końcu w maju zostałem ponownie

odkomenderowany do Little Creek i przydzielony do SEAL Team Two jako dowódca drużyny.

Kiedy w czerwcu 1966 roku przejeżdżałem przez bramę numer 5, oddałem wartownikowi salut i pomyślałem o dniu, kiedy przybyłem do Little Creek po raz pierwszy. Przechodziłem wtedy przez tę bramę razem z Kenem MacDonaldem. „Kolego, w życiu tego nie

102

ROZDZIAŁ

przejdiesz" - tak powiedział mi pięć lat temu. No i obaj przeszliśmy. On ciągle był w UDT-22, teraz w rejsie gdzieś na Morzu Śródziemnym.

Przejechałem obok kwatery UDT i zaparkowałem na miejscu dla gości, włożyłem bluzę od dresu i wyprasowane spodnie khaki, zamknąłem samochód i poszedłem na pokład rufowy (czyli do części oficerskiej) SEAL Team Two.

Przed tablicą informacyjną stali Bill i Jake, dwaj frogmeni, których poznałem w UDT. Kiedy wszedłem, odwrócili się i zasalutowali, nie patrząc mi w twarz. Byłem dla nich kolejnym dupkiem z belką. Dopiero po chwili zobaczyli, że to ja.

- Nie no, cholera, Świr!

Wyciągnąłem rękę i przywitałem się.

e od góry do dołu.

- No to widzę, że zwiąłeś do officer country.

- Lepsze żarcie. I kobiety wytworniejsze.

Roześmialiśmy się.

- Co u was? - zapytałem.

- Właśnie wróciliśmy z kursu językowego - powiedział Jake. - Dwa tygodnie hiszpańskiego, na wypadek gdyby Wietkong zajął Honduras. Dick, będziesz tu z nami czy wracasz do dwudziestki dwójki?

- Będę tutaj. Powiedziałem, że chcę skopać dupę Wietkongowi, więc zezłomowali moje biurko i wysłali mnie tam, gdzie moje miejsce. - Wskazałem w stronę drzwi z napisem „Szef sztabu”. - Jest Joe D.?

- No to pójde się grzecznie zameldować. Spotkajmy się później: wypijemy jakieś piwo albo co.

Bill rzucił mi szykowny salut.

- Tak jest, poruczniku Rick. - Mrugnął wesoło, po czym wyszczerzył się w pełnym uśmiechu. - Cholera, nie wierzę. Ty - oficerem. W końcu mamy kogoś, kto nas rozumie.

Odwróciłem się i poszedłem w stronę gabinetu szefa sztabu. W pewnym sensie Bill i Jake mieli rację: rozumiałem ich, a oni wiedzieli, że

- Jest.

103

CZEŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

jakiś czas w tym miejscu zostanę; nie byłem jednym ze zwykłych oficerów SEAL, którzy mają patent oficera rezerwy, odbywają jeden okres służby, a potem odchodzą. Z drugiej strony, widziałem pewne problemy wiążące się z tym, że wracam do Little Creek ledwo dziesięć miesięcy po tym, jak to miejsce opuściłem. W pamięci wielu marynarzy, z którymi miałem służyć, wciąż miałem pozostać Świrem, gościem, który wciągał groszek i spaghetti przez nos. Nadal byłem dla nich tym nieokiełznanym bosmanmatem frogmanem, który wyrobił sobie reputację zwierzęcia. To był Marcinko z Neapolu: „Pojeździmy sobie ciężarówką po chodnikach w tunelu?” Wiedziałem, że będę musiał zmienić ich nastawienie.

Wzięłem głęboki wdech i wszedłem do gabinetu szefa sztabu. Joe DiMartino podniósł się, by mnie powitać.

- Witaj na pokładzie, Dick.

- Dzięki, Joe. Cieszę się, że wracam.

Mocno uściśnął mi dłoń i klepnął mnie w plecy. Był na pewno z dziesięć lat starszy ode mnie - i był kapitanem. Joe uczestniczył w działaniach w Korei, był też w Zatoce Świń, kiedy przed nieudaną inwazją CIA wykorzystywała frogmenów do szkolenia kubańskich szpiegów mających operować od strony morza. Był jednym z tych, którzy „wodowali” SEAL Team Two - z tych sześćdziesięciu oficerów i marynarzy, których wybrano do stworzenia jednostki w jej pierwotnym kształcie w styczniu 1962 roku.

DiMartino wyglądał tak, jak się nazywał: włoskość miał wypisaną na pobrużdżonej twarzy - od oliwkowej cery i ciemnych oczu po ostry nos i nierówne białe zęby, które pokazywał w uśmiechu. Jego mundur był zaprzeczeniem oficjalności: krótkie spodenki khaki i błękitno-złoty T-shirt, w którym wszyscy SEALsi odbywali poranny PT.

- Teraz takie mundury?

Joe D. kiwnął głową potakująco.

- Tak jest. Niepotrzebnie się tak wystroiłeś, Marcinko.

- Od jutra będę pamiętał.

- Kawy?

ROZDZIAŁ

- Jasne.
- Weź sobie.

Wziąłem papierowy kubek, nalałem sobie kawy z termosu, który stał na oliwkowozielonym segregatorze z dwiema szufladkami, i w milczeniu podniosłem parujący napój w stronę Joego w geście toastu.

- Co u ciebie?
- Zwykle pierdoły. Jesteśmy w połowie cyklu ćwiczeń, więc będziesz musiał nadrobić zaległości. Jak tylko wszystko zaliczysz, chcę cię wysłać do dowodzenia drużyną Bravo w 2. plutonie.
- Tak jest. Co u dowódcy?
- TNT? W porządku, ale jest przepracowany. Chętnie by poskakał i postrzelał, ale sukinkot jest przywalony tonami roboty papierkowej. Bywa drażliwy, ale nie bierz tego do siebie. Właściwie to powinniśmy od razu do niego pójść, bo później będzie za bardzo zajęty. Ma ci parę rzeczy do powiedzenia.
- No to chodźmy.

Wyszliśmy na korytarz. Pomalowane na szaro jak na okręcie ściany niskiego budynku od jakiegoś czasu nie były odmalowywane, a podłogi były zdarte i brudne. Czuło się tam jednak jakąś dobrą, przytulną atmosferę. Poza tym regulacje dotyczące stroju i czystości były zarówno nieformalne, jak i nieprzesadne, co bardzo mi odpowiadało.

Joe D. zapukał do drzwi dowódcy. Ze środka dobiegło nas wyraźne warknięcie:

- Wejść.

Weszliśmy do gabinetu i zaszalutowaliśmy. Komandor podporucznik Tom N. Tarbox uniósł swoje niskie, zwaliste ciało zza biurka i oddał honory. Inicjały TNT używane zamiast nazwiska dobrze oddawały jego naturę: często bywał zbyt niebezpieczny, jak trotyl. Nie tolerował wciskania kitu.

TNT kazał mi usiąść i zrobił mi wykład. Zapytał o żonę. Powiedziałem, że za miesiąc urodzi drugie dziecko. Pokiwał głową i kazał mi jak najszybciej zająć się Kathy, bo jeśli rodzina nie czuje się bezpieczna i spokojna, jest dla oficera kulą u nogi. Miałem zostać przydzielony

do pracy przy operacjach zanurzeniowych - czyli przy nurkowaniu -do czasu aż zdobędę wszystkie kwalifikacje SEALsa. Miałem pójść do szkoły wsparcia ogniowego, gdzie miałem się nauczyć, jak sprowadzić uderzenie artyleryjskie z okrętu na morzu. Będę musiał przejść kurs językowy - hiszpańskiego - i ponownie zaliczyć szkolenie spadochronowe HALO - i czy to wszystko zrozumiano, podporuczniku Marcinko? Miałem szybko zapoznać się z używaną przez SEALsów bronią i ich taktyką, a niech Bóg ma mnie w swojej opiece, gdybym nie był w formie, bo Tarbox wymagał, żeby oficerowie prowadzili z przodu, a nie od tyłu - i czy pan zrozumiał wszystko do ostatniego słowa, podporuczniku?

- Tak jest, sir.

Uściskał mi rękę, powiedział, że cieszy się, że jestem na pokładzie, i wykopał nas z gabinetu.

- Za dużo mam cholerniej papierkowej roboty, żeby się bawić w nianię. Zobaczymy się później w klubie oficerskim przy piwie. A teraz, podporuczniku, zbierajcie dupę.

Między UDT a SEALsami jest kolosalna różnica. Jako frogman byłem żołnierzem konwencjonalnym, dla którego działań granicę stanowił poziom wody wysokiej na danym brzegu, gdzie miałem prowadzić rozpoznanie. Kiedy byłem SEALsem, moje prawdziwe zadanie dopiero zaczynało się przy tym poziomie - i mogło sięgać tak daleko w głąb lądu, jak długo mi to odpowiadało. Nie byłem już tylko frogmanem, ale komandosem wodno-lądowym, który prowadził działania zaczepne wobec nieprzyjaciela, zastawiał misterne zasadzki mające zdezorientować i sterroryzować przeciwnika, przerywał linie zaopatrzenia, chwycił więźniów, by ich przesłuchiwać, i pomagał szkolić partyzantów.

W żargonie Spec War mówiło się, że kiedy człowiek zostaje SEALsem, zostaje czynnikiem zwielokrotniającym siłę bojową. Działa tu prosta zasada: wystarczy wysłać 2 SEALsów, a wyszkolimy 12 partyzantów, którzy wyszkolą 72 partyzantów, którzy wyszkolą 432, którzy wyszkolą 2592 - i w krótkim czasie ma się do dyspozycji ruch oporu o maksymalnym potencjale.

106

ROZDZIAŁ

Można spojrzeć na to inaczej: operatorzy Spec War, tacy jak ja, mogą pomóc w usunięciu problemu, jaki ma rząd - albo mogą pomóc w usunięciu problemu, jakim jest rząd. Wszystko zależy od tego, jaką politykę chce się realizować. SEALsi nie uprawiają polityki. To zadanie polityków. Kiedy jednak prowadzona polityka pozwala nam działać, wówczas potrafimy rzucić się w wir naszej śmiertelnej pracy z niesłychaną pomysłowością, gorącym entuzjazmem i zadziwiającą gorliwością.

Tak właśnie stało się we wrześniu 1966 roku, kiedy marynarka wydała rozkaz, by kontyngent wyselekcjonowany z SEAL Team Two był gotów wyruszyć do Wietnamu krótko po Bożym Narodzeniu.

Wracalem razem z druzyzna - Bravo z 2. plutonu - z sesji cwiczen w Puerto Rico i wlasnie przylecieliśmy do bazy lotniczej marynarki w Norfolk, kiedy zobaczylem na plycie nowego dowodce SEAL Team Two, komandcia podporucznika Billa Earleya. Zamachal do nas, kiedy zeslizmy z drabinki. Pochodzacy z SEALsow z Zachodniego Wybrzeza Earley mial zwyczaj ciagle wiercic sie na krzesle, kiedy sadzal na nim swoje wielkie ciało (mial prawie 190 centymetrow wzrostu), w związku z czym zdazyliśmy juz przezwac go Squirrelly (Zwariowany). Zebrał naszą szóstke oficerow w ciasnym kręgu wokół siebie i przekazal nam dobre wieści.

- Mamy upowaznienie na wyjazd do Wietnamu. Dwa okrojone plutony, w sumie dwudziestu pieciu ludzi - przekrzykiwal studecybe-łowy ryk niczym nieosloniętych silnikow odrzutowych. - Dwudziestu szeregowych i pieciu z was.

Nigdy nie bylem nieśmiały. Nie czekalem, az Squirrelly skonczy nastepne zdanie. Chwycilem go za łokiec i szedlem z nim w dol rampy, zeby móc powiedziec, o co mi chodzi. Był wyzszy ode mnie, ale ja bylem silniejszy, wiec trzymalem go za reke i nie zamierzalem puścić, póki nie da mi odpowiedzi, jaka chce uslyszec.

Trzeba mu przyznac, ze nie wysmial mnie, póki nie wysluchal, co mam do powiedzenia. Potem uwolnil sie z mojego uscisku, powiedzial mi, ze jestem wstrętnym sukinsynem, ze mam nie pieprzyc i ze przekret sie nie udal.

107

CZEŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

Kiedy juz skonczył spuszczac mi wiatr z zagli, dodal:

- Marcinko, powód, dla ktorego wysle cie do Wietnamu, nie ma nic wspólnego z logika ani z zalosna przyczyna tego popisu zebractwa, który wlasnie dales. Chce cie wyslac na tych nedznych wietnamskich lajdkow z dwuch powodow. Po pierwsze, pozbawi cie to pieprzenia. A to sprawi, ze staniesz sie wyjątkowo podly, czego skutkiem bedzie wysoka liczba ofiar Wietkongu - a skutkiem tego ja dobrze na tym wyjde. Po drugie, jestes tu najmłodszy, wiec mozesz zostac spisany na straty jako mieso armatnie: jesli wejdiesz na mine albo zostaniesz zastrzelony, nie stracimy nikogo szczegolnie doswiadczzonego - i ja nadal dobrze na tym wyjde. Wiec pakuj manele.

Az do tej chwili nigdy powaznie nie bralem pod uwage pocałowania mezczyzny.

Nadal nie pamietam dokladnie tygodni dzielacych wrzesien od Bozego Narodzenia. Dowodca plutonu, dowodzacym rowniez druzyzna Alpha, byl kapitan Fred Kochey. Mieliśmy jakies osiem tygodni, zeby dobrać sobie dwunastu SEALsow i stworzyc twardy, skuteczny, niezawodny zespól bojowy.

Moja druzyzna, Bravo, miala w sobie prawdziwy potencjal. Ron Rodger mial indiańskich przodkow: byl to silny mlody chlopak o potwornie mocnych pieściach - potrafil przylozyc. Ron obslugival karabin maszynowy. Z niego tez potrafil przylozyc, i to jak! Człowiek od

wszystkiego, Jim Finley, to był gość, którego można było wysłać wszędzie, do dowolnego obcego kraju, a on potrafił się dogadać, nawet jeśli nie znał ani słowa w tamtejszym języku. Nazwaliśmy go Mayor (Burmistrz), bo gdziekolwiek się zjawił, już po chwili wszystkim wkoło ścisłał ręce, zupełnie jak jakiś pieprzony polityk.

Łącznościowcem był Joe Camp, prawdziwy kanciarz: grał w pokera i potrafił w ten sposób podwoić swój żołąd. Bob Gallagher, Irlandczyk o ciemnej karnacji, którego nazywaliśmy Eagle (czyli Orzeł - bo był łysym, ambitnym sukinsynem obdarzonym świdrującym spojrzeniem), uwielbiał się awanturować w barach, strzelać i ogólnie lubił narozrabiać. Gość w moim typie. Mianowałem go zastępcą dowódcy

108

ROZDZIAŁ

drużyny i wyznaczyłem mu zadanie osłaniania tyłów. Na szpicy szedł Jim Watson, zwany Patches (Naszywki - bo poprzyszywał sobie na mundurze tyle naszywek różnych szkół, że wyglądał jak chodzący słup ogłoszeniowy zachęcający do wstępowania do marynarki). Jim był jednym z tych, którzy „wodowali” SEAL Team Two - najpierwotniejszym SEALsem. Słusznie został wysunięty szpicą drużyny Bravo. W naszej drużynie nie mieliśmy sanitariusza. Powiedziałem chłopakom, że to dlatego, że młodzi mężczyźni nie umierają - latać trzeba będzie tylko starych, na przykład te stare próchna Kocheya w drużynie Alpha.

Za tym czarnym humorem kryła się rzeczywistość. Bo tak naprawdę moje zadanie miało polegać na tym, żeby drużyna Bravo wróciła w komplecie. Kluczem do tego, by pozostać przy życiu, miało być maksymalne zintegrowanie zespołu. Nieustannie ćwiczyliśmy: najpierw w Camp Pickett w Blacatone w Wirginii, potem w Camp Lejeune w Karolinie Północnej. Wydawało się, że problemom nie ma końca. Najrozmaitsze przyziemne sprawy związane ze sztuką wojenną, nad którymi nigdy za wiele się nie zastanawiałem, teraz stały się poważnymi przeszkodami taktycznymi. Jak poruszać się w grupie 5 +1 albo 10 + 2? Jak wyszukiwać miny pułapki? Jak ma się zachowywać żołnierz idący na szpicy - i jak zabezpieczać tyły? W którym miejscu drużyny ma iść łącznościowiec? Albo strzelec mający karabin maszynowy? Jeśli wpadniemy w zasadzkę, która część drużyny ma rozbiec się w prawo, a która w lewo?

Bez ustanku ćwiczyliśmy zajmowanie wycinków pola ogniowego: przepisy BHP nie obejmują kluczenia po dżungli z bronią gotową do strzału. Dupek, który się potknie i strzeli koledze w plecy, może narobić mnóstwo szkód. Trzeba przyjąć zasadę, że każdy musi wiedzieć, w jaki sposób noszą broń jego koledzy i za jaki wycinek tarczy zegarowej pola ogniowego każdy z nich odpowiada. Na przykład zwiadowca może operować w szerszym polu ogniowym niż czwarty, który może strzelać tylko w zakresie od drugiej do pół do piątej po prawej, a od ósmej do dziesiątej po lewej.

Pytań było wiele, a czasu na znalezienie odpowiedzi - bardzo mało. Na przykład kwestia strzelców praworęcznych: w mojej drużynie

109

CZEŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

wszyscy byli praworęczni. W związku z tym wszyscy nosiliśmy broń przewieszoną przez prawe ramię i skierowaną w lewo - więc z jednej strony nie byliśmy chronieni. Postanowiłem, że połowa z nas będzie nosić broń tak, jakby byli leworęczni.

Po stronie plusów mieliśmy panującego w drużynie ducha. Chłopaki były prawdziwymi buntownikami - byli żądni wyzwań. Mogłem obsadzić ich na jakiejś linii i skierować na nich ogień, a prędzej by im się lufy stopiły, niżby ustąpili choćby o centymetr. Tak naprawdę jednym z najtrudniejszych problemów, z jakimi musiałem sobie poradzić na początku, było powstrzymanie ich od ścigania nieprzyjaciela i wpadnięcia w zasadzkę. Bo kiedy ktoś strzelał do tych skurczybyków z drużyny Bravo, oni chcieli zemsty.

(Ta zaczepność miała się utrzymać także w Wietnamie, gdzie już podczas pierwszego okresu naszej służby cała piątka moich ludzi: Rodger, Finley, Watson, Camp i Gallagher, miała zostać odznaczona Brązową Gwiazdą albo Medalem Pochwalnym Marynarki. Bob Gallagher odbył w Wietnamie cztery okresy służby. Podczas trzeciego, mimo że został tak ciężko ranny, że ledwo mógł utrzymać się na nogach, uratował swoją drużynę - pod ciężkim ostrzałem wyprowadził ich wszystkich w bezpieczne miejsce, w tym dowódcę drużyny, którego sam wyniósł. Za to dokonanie Eagle otrzymał Krzyż Marynarki Wojennej, drugie co do rangi odznaczenie wojskowe w Stanach Zjednoczonych).

Jednak sam duch bojowy nie utrzymał jeszcze nikogo przy życiu. Musieliśmy umieć zabić nieprzyjaciela, zanim on zabije nas. To dużo trudniejsze, niż się wydaje. Jak trudne to będzie, zdałem sobie sprawę po raz pierwszy w Camp Pickett, w samym środku jesiennej nocy. Prowadziłem ćwiczenie nocnej zasadzki z użyciem ostrej amunicji. Rozstawiłem nas parami wzdłuż grzbietu wydm, niecałe 40 metrów powyżej sztucznego kanału. Sytuacja miała przypominać deltę Mekongu, region, do którego mieliśmy zostać przydzieleni. Jednak zamiast do sampana pełnego żołnierzy Wietkongu i towarów mieliśmy strzelać do ciągniętej za jeepem płyty sklejkowej o wymiarach 1,8 na 2,5 metra.

110

ROZDZIAŁ

Rozstawiliśmy się gładko i cicho - zdążyliśmy się już nauczyć, jak przemieszczać się bez poruszania liści i gałęzi, więc spokojnie zajęliśmy pozycje i okopaliśmy stanowiska strzeleckie. Broń mieliśmy gotową do strzału. Leżeliśmy parami, czekając, aż będzie przepływał „sam-pan”. Wróciły naturalne odgłosy lasu: słyszeliśmy jedynie ptaki i insekty.

Mieliśmy na sobie pełne wyposażenie bojowe. Zielone mundury, kamizelki taktyczne wypakowane trzydziestonabojuowymi magazynkami do naszych M16, podwójne manierki - wszystko. Widziałem same problemy. Trzeba było zrezygnować z zielonych mundurów. Nie zapewniały żadnego kamuflażu: na tle liści byliśmy zawsze widoczni. Musieliśmy przeprojektować kamizelki, bo te, które mieliśmy, robiły za dużo hałasu: nie trzeba nam było dżingli w dżungli. Nasze buty zostawiały na ścieżkach nieomyłne znaki, że szli tędy jacyś gringo. Trudno bardziej ułatwić życie wietnamskim partyzantom, którzy chcieliby zrobić

kuku jakiemuś jankesowi. Woleliśmy uniknąć złośliwych komentarzy Wietkongu w rodzaju: „Umarł w butach”.

Zasygnalizowałem ręką: „Nieprzyjaciół nadciąga. Przygotować się”. Drużyna przywarła do ziemi. Jeep ruszył. „Gotowi”. Czekałem. „Teraz!”

Z grzbietu wydmy buchnął zgodnie ogień z sześciu opróżnianych trzydziestonabojowych magazynków. Rozbłysk z lufy oślepił mnie i straciłem z oczu cel, ale nie przestałem strzelać. Wypiąłem z mojego M16 pusty magazynek, załadowałem nowy z kolejnymi 30 nabojami i wystrzelałem go do końca. Tak samo zrobili wszyscy.

- Cholera jasna, ty przeklęty sukinsynu! - dotarł z dalszej pozycji głos Gallaghera, a zaraz później zobaczyłem jego samego, jak wyskakuje ze swojej kryjówki 1,5 metra w górę.

Wylądował na plecach swojego partnera Watsona i od razu rzucił się na niego z pięściami.

- Ty dupku! Ty kanalio!

Podbiegłem do ich pozycji i rozdzieliłem walczących.

- Co jest?!

- To przez niego, panie Rick. - Gallagher zdarł z siebie bluzę od munduru. Na plecach miał okropne czerwone pęcherze. - To pieprzone łuski Patchesa. Ten sukinsyn strzelał tak, że leciały mi na kark.

111

CZEŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

- Przecież nie specjalnie.

- Ty gówniany...

Chwyciłem ich za karki i potrząsałem.

- No to, k***a, pięknie. Podobno mamy tu pie***loną zasadzkę, a wy mi tu, gównomózgi jedne, kłóćcie się o to, gdzie wam lecą łuski. W tym czasie wasz kochany pie***lony nieprzyjaciół podrzyna wam gardło.

Wkurzony poszedłem w stronę ścieżki jeepa, żeby sprawdzić cele.

- Nie ma mowy, żebyśmy pojechali na tę pie***loną wojnę.

To, co zobaczyłem, jeszcze bardziej mnie dobiło. Było nas sześciu. Każdy z nas opróżnił dwa magazynki po 30 naboju, mierząc z odległości 35 metrów do celu o wymiarach 1,8 na 2,5 metra, który to cel poruszał się z prędkością niecałych 10 kilometrów na godzinę.

Wystrzeliliśmy 360 pocisków. A w celu były dokładnie 2 dziury po kulach.

Wezwałem drużynę. Włożyłem długopis w jeden i drugi otwór.

- I to ma być wszystko, co potrafi niezwykle wyszkolona, doskonale zmotywowana pi***olona drużyna zabójców, jak się bardzo, k***a, postara? Tak??? - bluzgałem, dość udanie parodiując Eva Barretta.

Poczekalem, aż moja złośliwość porządnie im dopiecze. Wodziłem wzrokiem po twarzach przybitych żołnierzy.

- Nie chodziłeś ty czasem do szkoły dla strzelców wyborowych? - przytknąłem palec wskazujący do serca Patchesa Watsona. - Nie powiesiłeś sobie pie***lonej naszywki wytrawnego strzelca wyborowego na tym swoim billboardzie, który nazywasz kombinezonem skoczka?

Ze wstydem zwiesił głowę.

- Tak jest, podporuczniku Rick.

Opanował mnie duch Barretta.

- No to chyba, do k***y nędzy, nie wystarczy nosić tę popie***loną naszywkę wyszczeka wyjeborowego i zrobić tylko dwie pie***lone dziureczki w tej je***ej dykie! Albo może czegoś tu nie rozumiem, panowie?

Nikt mi nie odpowiedział.

- Chłopcy - powiedziałem łagodnie - rachunek, k***a, prawdopodobieństwa i statystyka ani trochę mnie nie podniecają.

112

ROZDZIAŁ

Cisza.

- To teraz coś wam powiem: wszyscy daliśmy dupy. Bo ile razy ja trafiłem w cel? Czyli co? Mamy tu problem do rozwiązania. Więc go rozwiążmy. Prowadzimy cel za bardzo z przodu? Prowadzimy go za bardzo z tyłu? Ustalmy, co się dzieje.

Zrobiliśmy to, co trzeba było zrobić: ćwiczyliśmy raz i drugi, i kolejny - tak długo, aż potrafiliśmy podziurawić sklejkę jak sito bez względu na to, czy poruszała się z prędkością 5, czy 25 kilometrów na godzinę. Ćwiczyliśmy strzelanie w dwójkach z ograniczonej przestrzeni, na przykład z zamaskowanej kryjówki, albo spomiędzy drzew. Każdy z nas uczył się, jak prowadzić ogień w bliskim kontakcie, a jednocześnie nie obsypywać partnera gorącymi łuskami.

Nasze ćwiczenia trwały od jesieni do wczesnej zimy. Na Halloween udaliśmy się wioski Wietkongu w Camp Lejeune, gdzie ubrani w czarne piżamy z dodatkiem karykaturalnych akcentów azjatyckich marines nosili AK-47 i próbowali bawić się z nami w święto duchów. Marines nie powinni nigdy prowadzić gier wojennych z SEALsami. Nazwaliśmy udawanych partyzantów Wietkongu So-Solly US Maleen, podkładaliśmy miny pułapki pod ich miny

pułapki, bawiliśmy się z nimi w chowanego podczas ich zasadzek i przeprowadzaliśmy własne ataki z zaskoczenia na ich „chronioną” osadę Wietkongu. Wyglupialiśmy się i mieliśmy świetny ubaw. Wędrowaliśmy z miejsca na miejsce. Rozbijaliśmy obozy. Strzelaliśmy do mnóstwa celów. W wolnych chwilach robiliśmy wypad do Virginia Beach, żeby trochę porozrabiać w barze - ale już w pełnym kontakcie.

Tu dwa słowa komentarza. Zawsze byłem przekonany, że jeśli ktoś jest SEALsem - tak samo jak wspomagającym w NFL - to potrzebuje pewnej dawki agresywnego, bliskiego kontaktu fizycznego z innymi ludźmi. Ktoś może się ze mną nie zgodzić. Uważam jednak, że naprawdę warto stanąć ramię w ramię z kimś, komu powierza się własne życie, i stawić czoła każdemu, kto podejdzie. Oczywiście, poszukując tego rodzaju pozaregulaminowych działań, można narazić się na pewne nieprzyjemności. Jednak jestem przekonany, że na dłuższą metę się

113

CZEŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

to opłaca. A skoro moim najważniejszym zadaniem jako oficera jest umacnianie integralności oddziału, to niewiele jest lepszych na to sposobów, niż stanąć razem z pięcioma ludźmi w nocnym barze przeciwko reszcie świata. Koniec kazania.

Na początku grudnia wysłali nas do szpitala, żebyśmy się doszczepili. Rozcieraliśmy jeszcze ramiona i pośladki po zastrzykach, kiedy prawnik bazy usadził nas przy stole i sporządził testamenty dla tych, którzy wybierali się za granicę. Potem przyszli podoficerowie z BUPERS -biura personalnego - i opowiedzieli nam o dodatkowym świadczeniu ubezpieczeniowym na wypadek śmierci, jakie możemy sobie zapewnić. Poza tym podpisaliśmy stałe zlecenie wypłaty naszych poborów na rachunek bieżący.

Skończyły się pierdoły. To było naprawdę. Moje dzieci: Richie, który miał trzy latka, i mała Kathy - nazywałem ją Kat - która urodziła się 5 lipca, przed niespełna sześcioma miesiącami, nie mogły wiedzieć, co się dzieje. Ale moja żona Kathy-Ann wiedziała i - podobnie jak inne żony SEALsów - bała się. Denerwowała się, ilekroć skakałem z samolotu albo wyjeżdżałem nurkować. Nie podobało jej się, że byłem poza domem przez poprzednie pięć czy sześć miesięcy na ćwiczeniach i szkoleniach SEALsów. Teraz myśl o tym, że spędzę sześć miesięcy w Wietnamie ze złymi małymi żółtymi ludźmi, którzy będą do mnie strzelać, ani trochę jej nie pomagała. Zdawałem sobie sprawę z jej niepokojów, nie potrafiłem ich jednak zrozumieć. Odkąd wstąpiłem do teamów, szkoliłem się do wojny i nic nie mogło mnie powstrzymać od walki.

Były łyzy, siąkanie nosem, mnóstwo całusów i przytulania, po czym tuż przed Bożym Narodzeniem nasz oddział SEALsów wspiął się na pokład wypchanego pod sam sufit sprzętem C-130 Herculesa. Zamiast foteli były w nim długie zabrudzone smarem płócienne siedzenia rozpięte na pałkach wzdłuż obu boków kadłuba. W szerokim korytarzu pośrodku stały spiętrzone w górę, owinięte siatką ładunkową palety

114

ROZDZIAŁ

z najrozmaitszymi śmiertelnymi zabawkami, jakich SEALsi potrzebują na pół roku igraszek. To były prawdziwe tanie linie lotnicze: nie było foteli ani pasów bezpieczeństwa, nie było stolików na jedzenie, nie było też jedzenia, nie było stewardes, które poprawią człowiekowi poduszkę na zagłówku. Nie było zresztą żadnych zagłówek - była tylko rura przy rampie ogonowej, gdzie mogliśmy się odlać.

Przez kolejne siedem dni samolot błędził na zachód, żeby dostać się na Wschód, a my szukaliśmy na pokładzie miejsc, gdzie moglibyśmy się wyciągnąć i złapać trochę snu. Było to trudniejsze, niż się wydaje. C-130 to głośny samolot (jest łatwiej, jeśli ma się zatyczki do uszu), a do tego samolot niewygodny, bo nie ma w nim nic miękkiego, na czym można by się położyć. Pamiętam też, że wydawało nam się wtedy, jakbyśmy lądowali na każdej przeklętej skale na Pacyfiku, żeby zatankować. Mi[^]way, Wake, Saipan, Guam, Filipiny - byliśmy na każdej z tych wysp. Potem leciliśmy nad Morzem Południowochińskim, na południe od Sajgonu, by długim, powolnym podejściem dotrzeć w końcu nad Wietnam.

Wspiąłem się po drabince do kokpitu i popatrzyłem przez przednią szybę. Spodziewałem się bezkresnego przepychu bujnej tropikalnej dżungli. Zamiast niej zobaczyłem matową zieleń i plamisty brąz oraz wielkie na całe kilometry kwadratowe wycinki terenu z kraterami jak z Księżyca, pstrzące ziemię plamami w kolorze zaschniętej krwi.

- Gdzie się, u licha, podziąła ta dżungla?
- Znikła. Ataki B-52. Defolianty. Napalm - wyjaśnił pilot.

Zastanawiałem się nad tym, co mi powiedział.

- Gdzie lądujemy?
- Binh Thuy.
- Duże lotnisko?
- Nie za bardzo. Poza tym zawsze tu do nas strzelają, więc zrobimy szybkie podejście. Jak już będziemy na ziemi, to chcemy to szybko załatwić, więc jeśli moglibyście pospieszyć się z wyjściem i zabranieniem swoich rzeczy, to byłibyśmy wdzięczni.

115

CZĘŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

- Przyjąłem. - Pognałem w dół drabinki i znalazłem Kocheya. - Pilot mówi, że siadamy w zagrożonej strefie. Może byśmy trzymali broń gotową do strzału?

Kochey masował sobie podbródek i zastanawiał się.

- Regulamin mówi, że nie możemy. Lotnicy tego nie lubią.
- Myślisz, że Charlie* czytał regulamin?

Kochey myślał przez jakieś pół sekundy. Potem klepnął mnie po ramieniu.

- Dobra. Powiedz, że kto chce, może przygotować broń do strzału.

Zebrałem drużynę i wyciągnęliśmy z płóciennych toreb M16 oraz

magazynek. Zamocowaliśmy magazynki w broni, po czym, kiedy załoga samolotu nie patrzyła, każdy odciągnął rączkę zamka w tył - za-padka-klik! - i wprowadził nabój do komory. Potem przestawiliśmy przełączniki bezpieczeństwa M16 w położenie poziome, ON.

Hercules już krążył: obniżał lewe skrzydło, schodząc coraz bliżej ziemi. Do naszych uszu docierało pojękiwanie hydrauliki wysuwania lotek, po czym usłyszeliśmy dudnienie podwozia i: ba-bam-ba-bam -znaleźliśmy się na płycie. Po zakończeniu kołowania jęknęła tylna rampa, powoli opadając na ziemię. Wszystkie myśli o domu uleciały. Serce waliło mi w tempie jakichś 120 uderzeń na minutę miarowym: bum--bum, bum-bum. Ależ to miała być zabawa!

* Słowem „Charlie” określano zbiorowo partyzantów Wietkongu. Nazwa ta pochodzi stąd, że skrót sylab Viet-Cong to w alfabecie fonetycznym Yictor Charlie (przyp. tłum.).

Rozdział 7

;

Pachniało ciepłem i wilgocią: przyjemny świeży sielski-wiejski zapach -jak świński obornik. Znacie to wrażenie, kiedy wychodzicie z samolotu i uderza was w nozdrza ta pierwsza woń dziwnego nowego powietrza, która od razu mówi wszystko o tym, gdzie jesteście? Pierwszy zapach, jaki poczułem od strony opuszczonej rampy, przywiódł mi na myśl Puerto Rico. W tej jednej chwili wiedziałem już, że bardzo polubię Wietnam.

Rozejrzałem się wokół. Zobaczyłem worki z piaskiem i umocnienia lotnicze. Unoszące się tuż nad płytą lotniska hueye robiły: łup-łup-łup. Ale widziałem też palmy i pola ryżowe, a za ogrodzeniem z drutu kolczastego i polami minowymi można było dostrzec dachy chałup, biegające po obejściach kury i świnię taplającą się w błocie za prymitywnymi drewnianymi ogrodzeniami.

Rozprostowałem się, unosząc M16 nad głową jak sztangę, i wziąłem głęboki haust cudownie wilgotnego tropikalnego zalatującego ropą powietrza. Tak. Puerto Rico. Panama. Ten aromat oznaczał niewątpliwie Trzeci Świat. Jak dla kogoś, kto nie spędził w krajach Trzeciego Świata zbyt wiele czasu, to było niesamowicie dziwne wrażenie - jakbym wrócił do domu.

117

CZEŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

Po paru godzinach znaleźliśmy się w Tre Noc, jakieś 2 kilometry od bazy lotniczej Binh Thuy. Tre Noc leży nad rzeką Bassac (w Wietnamie zwaną Hau Giang), jedną z pięciu głównych dróg wodnych, które biegną przez region Deltę Mekongu. (Oprócz Bassacu i Mekongu są to: Co Chien, Ham Luong oraz Song My Tho. Wszystkie płyną zasadniczo z

zachodu, z terytorium Kambodży, na wschód, do Morza Południowochińskiego). W Tre Noc marynarka miała nadrzeczną kwaterę główną PBR-ów, rzecznych łodzi patrolowych: Task Force 116.

Zostaliśmy przydzieleni do TF 116 jako wsparcie operacji rzecznych w tym rejonie. Działaniom tym nadano adekwatnie brzmiący kryptonim „Game Warden” („Strażnik Łowiecki”). Naszym zadaniem było wspomóc PBR-y i odciąć Wietkongowi dostawy zaopatrzenia dostarczane na sampanach albo przenoszone po płycznach przez tragarzy. Mieliśmy też przechwytywać kurierów Wietkongu, zabijać ich lub chwycić i przekazywać wszelkie znalezione przy nich informacje wywiadowi marynarki.

Przemierzając te 2 kilometry dzielące Binh Thuy od Tre Noc, spodziewaliśmy się raczej, że na miejscu ujrzymy namioty i polowe latryny. Przed wyjazdem ze Stanów słyszeliśmy plotki, że warunki życia w nadrzecznym kwaterze głównej są prymitywne. Okazało się, że nie. Zbliżając się do celu, zobaczyłem betonowe budynki (w kilku oknach były zamontowane klimatyzatory), sporą kantinę, szerokie nabrzeże i stanowisko mechaniczne oraz kompleks kwatery głównej. Nie było to wprawdzie Little Creek, jednak standard był dużo wyższy, niż ktokolwiek się spodziewał.

Gdy tylko zajechaliśmy na miejsce, czterech kapitanów - Jake Rhinebolt, Larry Bailey, Bob Gormly i Fred Kochey - oraz ja zostawiliśmy nasze dwa plutony na zewnątrz i weszliśmy do parnej kwatery głównej Task Force 116. Dowodził tam oficer wyższej rangi noszący tytuł komodora. dopełniliśmy papierkowych formalności, po czym poszliśmy w głąb korytarza i zapukaliśmy do drzwi gabinetu komodora.

- Wejść.

118

ROZDZIAŁ

Znaleźliśmy się w pokoju, w którym gęsto było od dymu papierosowego. Komodor w brudnobrazowej koszuli z rękawami podwiniętymi do bicepsów machnął do nas ręką, nie podnosząc wzroku. Bezceremonialnie zaszalutowaliśmy w jego stronę. Spojrzał w górę. Jego oczy powędrowały w naszym kierunku, po czym zatrzymały się na mnie.

- Oż, k***a. Ciągłe otwierasz spadochron tak nisko, ty świrze Marcinko?

Był to mój kapitan z LSD-114 USS Rushmore, na którego pokładzie odbyłem ostatni rejs jako szeregowy frogman. B.B. Witham rozgniół swój nieodłączny papieros w upiłowanej łusce, której używał jako popielniczki, wyskoczył zza biurka, strzelił mnie po ramieniu i energicznie potrząsnął moją prawą ręką.

- Ty sukins;

Witham przął się naszywkom z pojedynczą belką na moim kołnierzyku. Sięgnął i dotknął, żeby się przekonać, czy są prawdziwe. Kurze łapki wokół oczu ułożyły mu się w znajomy kształt: na ogorzalej twarzy pojawił się uśmiech.

- Nigdy bym nie uwierzył, że skończysz SKO.

W końcu zwrócił uwagę na pozostałych gości, powiedział im „spocznij”, po czym przyjaźnie trzasnął mnie w klatkę piersiową.

- Ten sukinsyn przyprawił mnie prawie o atak serca, kiedy był marynarzem, a ja dowodziłem LSD - wyjaśnił, wesoło waląc mnie w ramię.

- Ale, panie komodorze - powiedział poważnie Rhinebolt, który był starszy stopniem w SEALsach - on dalej tak robi. Na przykład jak byliśmy na szkoleniu, to on...

- I bardzo dobrze - przerwał mu komodor. - Słuchaj no, u oficera podoba mi się jedno: stałość. - Popatrzył na mnie jak na syna marnotrawnego. - Zgadza się, ty poświrowany dupku?

Cóż mogłem powiedzieć. Ten człowiek był tu księciem.

Potem Witham kazał nam siadać i opowiedział trochę, jak w najbliższym czasie będzie wyglądać nasze życie. Mieliśmy mieszkać w jednym z kilku jednopiętrowych betonowych budynków z płaskim dachem, które podzielono na czteroosobowe kwatery z piętrowymi

119

CZĘŚĆ PIERWSZA ŚWIR

łózkami. Mieliśmy mieć kantynę, prysznice - wszelkie udogodnienia, nawet pokojówkę do baraków, która miała prać nasze rzeczy. A miała mieć ręce pełne roboty, bo Witham przygotował nam masę zajęć.

- Mnóstwo czasu będziecie spędzać w błocie, więc mam nadzieję, że brud wam nie przeszkadza.

W końcu wykopał nas z gabinetu, kazał uwinąć się ze wszystkim w parę godzin, po czym mieliśmy spotkać się z nim przy piwie.

B.B. Witham lekko nie doszacował naszego wyposażenia. Uwinięcie się ze wszystkim zajęło nam prawie tydzień. Trzeba było zrobić skład amunicji, posortować i porozkładać sprzęt i wyczyścić broń. Szybko zostałem maniakiem na punkcie czystości broni, bo zauważyłem, że tutejszy klimat w parę godzin zaczyna ją niszczyć. Wilgoć, rdza, błoto, pył - ciągle z tym walczyliśmy.

Pod koniec trzeciego dnia zacząłem się niecierpliwić. Czterech kapitanów - Rhinebolt, Kochey, Bailey i Gormly - poleciała śmigłowcem na północ do specjalnej strefy Rung Sat, zabójczych bagien namorzy-nowych o powierzchni 1500 kilometrów kwadratowych, które rozciągały się już od południowo-wschodnich krańców Sajgonu do Morza Południowochińskiego. Mieli odwiedzić SEAL Team One i zobaczyć, jak prowadzi się tam wojnę. Chcieli kopiować technikę Teamu One -urządzać statyczne zasadzki i czekać, aż nieprzyjaciel się pokaże.

A młodzika podporucznika i jego wesołą gromadkę początkujących idiotów zostawiono tymczasem w domu. Byliśmy za mali i wleklibyśmy się z tyłu - powiedzieli dorośli.

- Odpocznijcie sobie - poradził mi Jake Rhinebolt. - Pobawcie się trochę.

Wobec tego siedziałem nadąsany i przez pół dnia się opalałem. To jakaś porażka. Nie przyjechałem tu, żeby się plażować. Zajrzałem do pracowni wywiadu: popytałem tam tych, co wróżą z fusów, jak na tym terenie działa Wietkong i gdzie są największe szanse, żeby go spotkać. Wieczorem sześciu szczeniaków z drużyny Bravo spiskowało nad skrzynką piwa. Kiedy dorośli wychodzą i zostawiają dzieci bez opieki, mogą się wydarzyć najróżniejsze nieprzewidziane przygody.

120

ROZDZIAŁ

Następnego ranka przespacerowaliśmy się z razem z Eagleem na nabrzeże i wkręciliśmy się na pokład PBR-a na poranny patrol. PBR to cudowna łódka. Ma 9,5 metra długości, a napęd zapewnia jej system jacuzzi, co oznacza, że ma niewielkie zanurzenie i jest szybka - osiąga prędkość 28-29 węzłów - i bardzo zwrotna. PBR-y były uzbrojone w dwa karabiny maszynowe kalibru .50 cala na dziobie, zamontowane na rufie moździerz 81 mm oraz działko Honeywell 40 mm Gatling nad osłoną silnika. Cztero- lub pięcioosobowa załoga była wyposażona w M16, karabiny maszynowe M60, a także colty kalibru .45 cala i sporadycznie .38 cala. Tak więc oprócz tego, że PBR-y były szybkie, były też śmiertelnie niebezpieczne.

Załoga oddała cumy i wypłynęliśmy na mętne zielono-brązowe wody. Było jeszcze przed ósmą, a temperatura podniosła się już do ponad 30 stopni. Wilgotność była niesamowita miało się wrażenie, że widać ruch powietrza, kiedy się je przecinało szybkim ruchem dłoni. Przekrzykując ryk silnika, spytałem jednego z członków załogi, czy mogę stanąć obok steru, a kiedy uzyskałem potwierdzenie, wspiąłem się do kokpitu i podszedłem do sterującego chorążego.

Był to klasyczny typ. Wyglądał na niecałe czterdzieści lat, rzednące jasnobrązowe włosy miał przystrzyżone płasko na czubku głowy i prawie do gołej skóry po bokach. Uszy odstawały mu jak u garnka. Umięśnione przedramiona pokrywały tatuaże, które znikły pod starannie podwiniętymi rękawami podniszczonej niebieskiej koszuli. Większość marynarzy, którzy pływali PBR-ami, ubierała się na zielono albo na jasnobrązowo. Ale nie on. Ten gość był staroświecki i wcale tego nie krył.

- Dobry, szefie.

Posterował na zewnątrz i łódź dostała się w obręb nurtu. Dodał trochę więcej gazu, pokonując prąd. Nie powiedział słowa, dopóki nie znaleźliśmy się dość daleko od nabrzeża. Wtedy wydał rozkaz artylerzystom, żeby wyczyścili broń. W końcu zwrócił się do mnie:

- Dobry... sir. - Można było liczyć upływające sekundy między pierwszym a drugim słowem: 121,122,123.

CZEŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

Patrzyłem na zielone zarośla, które schodziły do wody jakieś 50 metrów przed nami.

- Miły dzień na wycieczkę, szefie.

- Skoro pan tak mówi... sir. - Odwrócił się i krzyknął jakąś niecenzuralną, ***** komendę do jednego ze swoich ***** załogantów na pokładzie rufowym.

Wiedziałem, co sobie myśli. Oto jeszcze jeden napalony, gówniany, porzygany chorąży chce zaliczyć służbę, zagrać raz czy dwa w jakąś gierkę wojenną i wrócić do domu.

Poczekalem, aż odwróci się z powrotem do steru, i pozwoliłem mu ignorować mnie jeszcze jakieś półtorej minuty.

- Pieprz się, szefie.

To zwróciło jego uwagę.

- Co pan powiedział?

- Powiedziałem: „Pieprz się, szefie”. Chcę się tu czegoś nauczyć, więc niech mi pan coś powie. Jakiś pier***ony konkret. Coś, k***a, praktycznego. Niech mi pan opowie, jak to wszystko tu, do ch**a, wygląda tak naprawdę!

Znowu posterował łodzią, przesuując ją w stronę środka toru wodnego. Zmniejszył prędkość, tak żebyśmy nadal się poruszali, ale bardzo powoli. Sięgnął pod kamizelkę kuloodporną, wyciągnął lucky strikea z kieszeni koszuli, postukał nim o dekiel zegarka, zapalił, głęboko się zaciągnął, po czym wydmuchał dym przez nos.

- Przemądrzały pier***ony dupek z pana... sir.

- W teamach też tak o mnie mówili.

Zareagował lekko zdziwionym zmarszczeniem brwi.

- Jest pan z teamów?

- UDT-21 i 22. Pięć lat.

- Gdzie pan pływał?

Pokazałem kciukiem za plecy, w stronę Tre Noc.

- Ostatnie dwa rejsy z samym starym B.B. Withamem na Śródziemnym, na pokładzie Rushmorea.

- Na 114? Bez jaj.

ROZDZIAŁ

- Bez jaj.

Skupił się na rzece, zmniejszając obroty tak bardzo, że łódź ledwo posuwała się pod prąd. Jest to sztuka, która wymaga treningu i doświadczenia - podobnie jak utrzymywanie helikoptera w zwisie. Wskazał w prawo.

- Tam jest łacha. Niech pan na nią uważa, jak pan będzie tędy pływał.

- Przyjąłem, szefie.

- Papierosa?

Pokręciłem głową.

- Cumował pan kiedyś w Neapolu?

- Jaja pan sobie robi, szefie? Przy każdym pier***onym rejsie. A przedtem byłem tam przez rok: pracowałem tam w łączności od sześćdziesiątego do sześćdziesiątego pierwszego.

- Jaki miał \$an stopień?

- W Neapolu? E-3, szefie: „zakwalifikowany do specjalności”.

Zaciągnął się i wypuścił idealne kółko. Wydawało się, że wisi ono w wilgotnym powietrzu całą wieczność.

- Zawsze podobało mi się w tym kł**wskim Neapolu. Byłem tam pięć lat, od pięćdziesiątego piątego do sześćdziesiątego. Utyłem od jedzenia makaronu i mnóstwo się naje**łem: mieszkałem z pier***oną bella ragazza - i poznałem się z niektórymi sk***ielami oficerami. To była świetna, k***a, służba.

- W sześćdziesiątym i sześćdziesiątym pierwszym tym naszym popier***onym centrum łączności w k***wskim Neapolu dowodziła najbrzydsza pier***ona kobieta oficer, jaką kiedykolwiek znałem.

- Słyszałem o niej. Dziewięćdziesiąt kilo mięsa.

- Nazywałem ją Big FUC: Big Female Ugly Commander.

Lekko się uśmiechnął, ale nie pozwolił sobie na nic więcej.

- Bez jaj.

Zmierzył mnie wzrokiem z góry na dół, dokładnie tak, jak to kiedyś robił Ev Barrett. Zaciągnął się znowu, wypuścił dym, po czym pstryknął niedopałek, który zatoczył idealną parabolę i wpadł do Bassacu. Popatrzył, jak pet syknął i znikł w brązowej wodzie.

CZEŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

- Jak ty się, k***a, nazywasz, synu?

Moją twarz rozpromienił uśmiech nowo błogosławionego.

- Marcinko, szefie. Marcinko. Ale proszę mi mówić Rick.

Oficerowie najczęściej za mało słuchają podoficerów. Ja słucham. Nabrałem takiego nawyku. I mnóstwo się nauczyłem. Na przykład od nowo znalezionej ojca-chorążego na PBR-ze dowiedziałem się, że Charlie ma zwyczaj dostosowywać swoje operacje do patroli PBR-ów. Oficerowie w TF 116 sformatowali wojnę. Operacje wykonywano według podręcznika: w stały i jednolity sposób. Skutkiem tego, jak mówił bosman, Charlie wiedział dokładnie, w jaki sposób działamy.

Wystarczyło, że Charlie poczekał, aż przyplynie PBR. Wtedy wysyłał kogoś jako wabik - mógł to być cywil, może ochotnik - kto przepływał rzekę w sampanie albo na tratwie. Jeśli biedny bęcwał dostał kulę albo został schwytany - cóż, szkoda. Ale Charlie domyślił się również, że zgodnie z oficjalnymi metodami operacji naszej US Navy, kiedy jakąś akcję się rozpoczęło, wykonało i zakończyło, to na tym koniec - i PBR odpływa. Jak tylko milkł w oddali odgłos silników, Wietkong uruchamiał swoje główne konwoje z dostawami albo oddziały, albo co tylko chciał, i przepływał przez rzekę.

Podstęp z wabikiem działa najlepiej, jeśli można wyregulować sobie zegarek na podstawie czasu operacji nieprzyjaciela, a Wietkong potrafił dostosować swoje zegarki do US Navy. Postanowiłem wszystko to zmienić.

Po pierwsze, musiałem się przekonać, jaką siłą ognia dysponuję. Jakies 13 kilometrów na zachód od Tre Noc znajdowało się miejsce zwane Juliet Crossing, centrum aktywności Wietkongu. Prosto w dół rzeki od Juliet znajdowała się wysepka - jakies 300 metrów na 100. Była to strefa swobodnego ostrzału: nigdzie na niej nie było sił sprzymierzonych.

Wieczorem tego dnia, kiedy mieliśmy wycieczkę PBR-em, zebrałem drużynę Bravo i załadowałem dwie łodzie STAB. Są to wykonane z włókna szklanego cudeńka z podwójnymi studziesięciokonnymi

ROZDZIAŁ

silnikami zaburtowymi Mercury. Są szybkie. Na śródkręciu mają zamocowany na trójnożu karabin maszynowy kalibru .50 cala. Na górnych częściach obydwu nadburci z przodu mają otwory na osie obrotowe dla dwóch karabinów maszynowych M60. Zabraliśmy też bezodrzutowe ręczne granatniki 57 mm i 90 mm, które odpalają zarówno pociski z kruszącym materiałem wybuchowym, jak i pociski typu „ul” (te ostatnie, niczym dawne kartacze, wypełnione były kulkami i jeśli kogoś trafiły, powodowały rozległe obrażenia).

Nabraliśmy tyle amunicji, że STAB-y zanurzyły się 15 centymetrów, po czym około 18.30 ruszyliśmy na krótką, przyjemną wycieczkę do Juliet Crossing. Patches Watson sterował moją łodzią STAB One, a Bob Gallagher STAB Two, płynącą w odległości niespełna 100 metrów po naszej lewej stronie.

Byliśmy już p/awie na wysokości Juliet, kiedy Gallagher wezwał mnie przez radio.

- Panie Rick?
- Odbiór, Eagle.
- Widzi pan, jak skaczą te ryby za nami?

Obejrzałem się za siebie. Rzeczywiście, była tam ławica małych fosforyzujących rybek, które skacząc, burzyły spokojną ciemną powierzchnię rzeki. Spojrzałem jeszcze raz.

- Cholera, Eagle, to nie ryby, to ostrzał z pie***lonego automatu.

Walnąłem Patchesa w bark.

- Zawracaj.

Patrzyłem, jak kule idą naszym śladem: plum-plum-plum. Nic nie słyszeliśmy z powodu hałasu silników. Ale posrany Charlie do nas strzelał: to było pewne - a ogień musiał być prowadzony z wyspy.

Sparaliżowani przypatrywaliśmy się, jak kule uderzają w wodę. Harry Mattingly, który też wybrał się na tę przejażdżkę, stał obok mnie. Nagle zawołał:

- Cholera, dostałem!

Powaliłem go na pokład i obejrzałem. Jakaś kula musiała odbić się rykoszetem od wody i trafiła go dokładnie między oczy. Krwawił jak

125

CZEŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

cholera. Ale poza krwawieniem nic mu nie było: rana była powierzchniowa. Widziałem jego twarz z odległości 20 centymetrów: to się, k***a, działo naprawdę.

- Masz cholerne szczęście, sukinsynu - powiedziałem. - Wstawaj i strzelaj do tych gnojzków.

Patches zawrócił, jego śladem poszedł Gallagher i oba STAB-y obrały kurs na drugi brzeg rzeki. Chwyciłem radio.

- Będę płynął za wami. Kiedy zaczniesz do was strzelać, zobaczę, gdzie błyskają wystrzały, i pogonię go z granatnika. A potem się zmienimy.

Przez dwie godziny ostrzeliwaliśmy wyspę wszystkim, co mieliśmy, zamieniając kolejność STAB-ów Eaglea i mojego: ładowaliśmy amunicję, wystrzeliwaliśmy ją i zawracaliśmy. Na nasz ostrzał odpowiadał marny ogień, więc domyślałem się, że nie było tam więcej niż jeden albo dwóch żołnierzy Wietkongu. Ale nie liczba była ważna. Chodziło o to, że do nas strzelają, a my odpowiadamy ogniem.

Mniej więcej o 22.00 postanowiłem wezwać wsparcie powietrzne. Wziąłem radio i poprosiłem o Spookyego, co było sygnałem wywoławczym dla samolotu zwanego Puff the Magic Dragon (Magiczny Smok Pyk-pyk) - C-47 wyposażonego w cztery działka Vulcan Gatling, z których każde mogło wypluwać 6300 pocisków na minutę.

- Nie ma szans bez upoważnienia PROCOM-a, Silver Bullet - usłyszałem głos lotnika przez radio.

PROCOM był to komendant regionu wietnamskiego, a Silver Bullet (Srebrna Kula) to byłem ja - jedynie tak górnolotne hasło radiowe przyszło mi do głowy pod wpływem ostatnich wydarzeń. Upoważnienie? Nie ma sprawy. Po prostu obudziłem PROCOM-a i poprosiłem o wsparcie ogniowe.

- Robi się tu gorąco, panie komendancie.

- Z kim mówię?

Przedstawiłem się.

Słyszałem, jak jęknął.

- Ech, wy, amerykańskie dupki, same z wami kłopoty.

Ale dał mi upoważnienie do użycia Spookyego.

126

ROZDZIAŁ

Patrzyliśmy, jak krąży na wysokości 100 metrów nad wyspą z prędkością jakichś 180 kilometrów na godzinę. Nawet w ciemności widzieliśmy wylatujące w powietrze drzewa, krzaki i ziemię, kiedy vulcany ryły grunt. Spooky zrobił pięć powolnych śmiertelnych okrążeń, po czym machnął nam skrzydłami, wszedł w przechył i odleciał na północ. Wywołałem go przez radio.

- Dzięki, chłopaki. Silver Bullet, bez odbioru.

Połączyłem się z Gallagherem.

- Niezłe, co?

- Jasne, poruczniku Silver Bullet. - Słyszałem, jak Eagle rechocze do radia. - Dlaczego nie nazwałeś się po prostu Hot Cock?

- Na pewno bym tak zrobił, ale jakoś nie pomyślałem. - Wykręciłem swoim STAB-em w lewo. - Wracamy.

Mieliśmy za sobą cztery godziny zabawy i była już 22.30 - czas najwyższy na parę browarów.

- Pora na piwko - przekazałem przez radio Gallagherowi.

Zawróciliśmy STAB-y i biorąc kurs w dół rzeki, pomknęliśmy

jak pieprzona dwudziestowieczna armada. Uśmiech nie zniknął mi z twarzy. Wystrzelaliśmy się ze wszystkich pieprzonych pocisków, jakie mieliśmy na pokładzie, i cuchnęliśmy prochem i potem. Był to zapach żołnierzy, którymi zawsze chcielibyśmy być. Wojna to coś wspaniałego!

Ta naturalna euforia trwała do chwili, kiedy dotarliśmy do nadbrzeża. Już z oddali widziałem, jak jakiś narwany dupka podskakuje tam jak mała na smyczy, a gęba pracuje mu w metrum cztery czwarte.

Kiedy podpłynęliśmy bliżej, rozpoznałem go. Był to szef operacji, komandor podporucznik o nazwisku Hank Mustin. Dotychczas nie zdążyłem go poznać - wiedziałem o nim tylko tyle, ile słyszałem: był absolwentem akademii, a jego ojciec i dziadek byli admirałami. Już samo to powinno sprawić, że taki mały arogant jak ja powinien posrać się ze strachu.

Kiedy od brzegu dzieliło nas kilkanaście metrów, usłyszałem, jak Mustin przekrzykuje gardłowy warkot naszych podwójnych mercurych:

127

CZEŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

- Co ty sobie myślisz, do k***y nędzy?! Żeby zaczynać operację lotniczą bez mojego upoważnienia? Kto ci, k***a, dał pieprzone prawo wyciągać pieprzonego PROCOM-a z łóżka? Kto ci dał zgodę na użycie hasła wywoławczego tej pieprzonej latającej armaty?

Szczerze mówiąc, nigdy ani przez chwilę nie zastanawiałem się nad tymi sprawami. Trwa wojna - i tyle. Nie będę zdejmował czapki i pytał: „Mogę?”. Więc odpowiedziałem mu tak samo:

- Słuchaj no, dupku, przyjechałem tu rozwalać pie***lony Wietkong i właśnie to robiłem tej pier***onej nocy. A jak ci się to, k***a, nie podoba, to wypie***laj stąd z tymi swoimi pie***lonymi kołesiami, co mają gówno zamiast mózgu, lachociągi jedne, kutasy-urzędasy, dupki je***e.

Zbladł jak ściana, krzyknął:

- Będzie pan miał kłopoty! - i wściekły odszedł z nadbrzeża.

Jeśli o mnie chodzi, to całkiem zapomniałem o tym incydencie aż

do następnego popołudnia.

Codziennie tuż po południu komandor B.B. Witham kładł się w hamaku, który rozwieszał obok swojej komodorskiej chaty, po czym czytał, palił, sączył kawę i się opalał. Następnego dnia po naszej eskapadzie przechodziłem obok niego w drodze na zarcie, kiedy zawołał mnie do siebie.

Gwałtownym ruchem zdjął niebieską baseballówkę, która przykrywała mu gęste krótko przyszczyżone szaroblond włosy, podniósł sobie kciukiem na czoło okulary przeciwsłoneczne i spojrzął na mnie spod przymrużonych powiek.

- Dick, zaczynasz. - Sięgnął po papierosa, zapalił i dmuchnął dymem w moją stronę. - Już narobiłeś sobie kłopotów.

-Moi?

- Oui, toi, mon petit phoc*.

Dlaczego, u diabła, zaczął przemawiać językami?

- Co takiego zrobiłem?

Naprawdę nie wiedziałem.

* „Ja? - Tak, ty, moja foczko" (przyp. tłum.).

128

ROZDZIAŁ

Witham odłożył papierosa, wziął kawę, wypił łyżeczek, odstawił kubek na stolik ze skrzynki amunicji i podniósł z powrotem marlboro.

- Mówią ci coś takie słowa: „Hank" i „Mustin"?

- Ach, to...

Poirytowany Witham pocierał sobie blond wąsy.

- Ty mi tu nie achuj. Równie dobrze mógł cię postawić przed cholernym sądem polowym. To oficer wyższej rangi. Ma chody w Waszyngtonie. Jest absolwentem akademii. I wcale nie jest zły. Tak naprawdę, podporuczniku Świr, gdybyś poznał się z nim bez tej pyskówki, po której ma ochotę urwać ci jaja i powiesić je na pieprzonym maszcie zamiast flagi, to mógłby ci sporo pomóc.

- Tak jest.

- Przestań mi z tym gównianym „tak jest", Dick. Mówię poważnie, że Hank może ci pomóc. On pisze plany operacji.

- No to co? Wielki mi problem.

- Jesteś najbardziej aroganckim sk***yśńskim podporucznikiem, jakiego spotkałem. - Witham zaciągnął się marlboro. - Słuchaj no, Dick. To on wymyślił, żeby rozmieścić tu SEALsów.

- Ale nie jest SEALsem, panie komandorze. To jakiś cymbał z akademii, który mówi tak: „Jak się natkniesz na nieprzyjaciela, to musisz mnie zapytać: »Mogę?«, zanim wystrzelisz choć jeden cholerny pocisk”.

- Tak nie powiedział.

- Ale tak to odebrałem.

- Nikomu nic nie mówiąc, jedziesz sobie postrzelać do strefy swobodnego ostrzału. Wyrwasz z łózka PROCOM-a, żeby dał ci wsparcie ogniowe i zatwierdził je, a używasz do tego sygnału wywoławczego Task Force 116 - którego ja, do cholery, jestem komandorem. I ty mi mówisz, że Hank Mustin to dupek, bo się wkurzył? Pieprzyć go, Dick -to ja się wkurzyłem.

- No dobrze, może ja też byłem wczoraj trochę wkurzony.

- Słuchaj no. Przestań. Proszę cię, przestań. Jak będziesz mówił każdemu spotkanemu komandorowi podporucznikowi, żeby wypier***ał, tak jak zrobiłeś wczoraj, to wylecisz stąd w kajdankach.

129

CZĘŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

- Okej, dobra. Zrozumiałem.

Witham pokręcił głową.

- Dobrze. - Przerwał na chwilę i wypił łyk kawy. - Chodzi o to, że musi tu panować jakiś porządek, Dick.

- Zgadza się. Ale z tego, co widzę, szefie, wszyscy tu myślą bardzo konwencjonalnie. Pływamy łódkami, słuchamy dowódców. Słyszałem, że Charlie wie, co będziemy robić, bo wszystko robimy według książki.

- No to co?

- No to to, że czas na nową książkę, na coś, czego jeszcze nie czytał.

Witham pokręcił głową.

- Już mamy nową książkę. I napisał ją Hank Mustin: SEALsi będą wspierać operacje rzeczne i...

- Szefie, to my powinniśmy napisać sobie własny nowy plan. Hank Mustin uważa SEALsów za oddziały pomocnicze. Do k***y nędzy, szefie! Może to i świetny gość, ale jego

plany to myślenie konwencjonalne, jak to u dupków z akademii. Szefie, SEALsi mają być niekonwencjonalni. A to znaczy, że nie mają działać według książki. - Zaczekałem chwilę, żeby napił się kawy. - Nie przyjechałem tu siedzieć i czekać, aż mnie Charlie znajdzie, szefie. Chcę skopać Charliemu dupę na jego własnym terenie. To właśnie jest niekonwencjonalne.

- Tak jak to zrobiłeś wczoraj?

- No nie, to była tylko próba. Chciałem pozwolić chłopakom trochę poćwiczyć, zanim zrobimy prawdziwą wyprawę.

Witham westchnął.

- Coś ci powiem, Dick. Tu nie ma ćwiczeń ani prób. Każdy cholerny dzień jest prawdziwy. Jak chcesz wystrzelać mi zapas amunicji na cztery godziny, to przywieź mi z powrotem jakiegoś jeńca Wietkongu albo coś dla wywiadu, albo cokolwiek, co mi się przyda.

Miał rację. Cholera - miał rację. Ton jego głosu złagodniał.

- Przynajmniej kogoś stamtąd wykurzyliście?

- Szefie, jeśli na tej wyspie ktoś był, to już się więcej nie poruszył, jak skończyliśmy. Nawet nie wychodziliśmy z łodzi. Nie została nam ani sztuka amunicji, poszło wszystko, z M16 też.

130

ROZDZIAŁ 7

- Ale ty lubisz ryzyko, chłopaku. - Pokręcił głową. - Słuchaj, przez parę tygodni nie wchodź w drogę Mustinowi. Załagodzę sprawę i jeszcze zostaniecie przyjaciółmi. Ale, Jezu! Co za początek!

Zsunął okulary przeciwsłoneczne, włożył czapkę z daszkiem i wziął do ręki książkę.

- Odmaszerować, podporuczniku Świr.

;

Rozdział 8

Przez jakiś tydzień po mojej małej eskapadzie drużyna Bravo nie wzięła udziału w żadnej akcji. Byłem oficerem niższego stopnia, a kapitanowie postanowili, że patrole bojowe będą wyznaczane w porządku starszeństwa. Bravo musiało czekać na sam koniec. Wreszcie, po ciągnącym się dla nas w nieskończoność zastoju, mieliśmy wyruszyć.

Wywiad donosił o planowanych ruchach Wietkongu przy Juliet Crossing, w pobliżu wyspy ze strefą swobodnego ostrzału, gdzie sprawdzaliśmy siłę ognia. Teraz Bravo miało znowu spróbować tam szczęścia, ale tym razem mieliśmy nadzieję stanąć twarzą w twarz z panem Charliem. Zaplanowaliśmy podręcznikową rzeczną operację.

- Potraktujcie to jak misję KISS, keep it simple, stupid: nie komplikuj, głupku - powiedziałem chłopakom.

I rzeczywiście, plan był jak z elementarza: mógłby go opracować Hank Mustin. Mieliśmy przedostać się na wysunięty najdalej na zachód koniec wyspy swobodnego ostrzału, skąd widać było całe Juliet Crossing, główny punkt przerzutowy Wietkongu z północy na południe na rzece Bassac. Mieliśmy tam czekać, aż kurier Wietkongu sam się pokaże. Mieliśmy wciągnąć go w zasadzkę i zabić, zdobyć tyle

132

ROZDZIAŁ

danych wywiadowczych, ile będzie się dało, przywieźć je komandorowi Withamowi, dostać pochwałę i usłyszeć: „Brawo!”, po czym pójść na piwo i imprezę.

Zabicie kuriera było ważnym elementem planu z dwóch powodów. Po pierwsze, byliśmy w Wietnamie po to, żeby zabijać. Po drugie, nigdy nie wiadomo, czy ktoś potrafi zabić człowieka, dopóki tego nie spróbuje. Chciałem się upewnić, że każdy członek drużyny Bravo jest w stanie to zrobić. Gdyby chociaż jeden człowiek miał z tym problem, mogłoby się to okazać śmiertelnie niebezpieczne dla całej drużyny.

Wypłynęliśmy z Tre Noc tuż po zachodzie słońca, wszyscy w jednym STAB-ie. Poczerniliśmy sobie twarze i dłonie, ubrani byliśmy w myśliwski kamuflaż, buty jungle, miękkie czapki i parcianą uprząż ze sprzętem, a każdy miał ze sobą manierkę, nóż szturmowy i całe mnóstwo amuniji i granatów.

Stanowiliśmy część miniflotylli. Jeden z kapitanów SEAL Team Two Larry Bailey dowodził mike boatem - opancerzoną średnią barką desantową (LCM) - który miał na pokładzie 81-mike-mike (moździerz 81 mm) plus po dwa karabiny maszynowe M60 i kalibru .50 cala. Oprócz tego płynął z nami jeden z PBR-ów z TF 116, wyposażony w karabiny maszynowe i gatlinga 40 mm. W razie gdybyśmy już na wyspie wpadli w tarapaty, Larry miał odegrać rolę Johna Waynea - walić w Char-liego, ile wlezie, podczas gdy STAB miał dostać się do linii brzegowej i szybko nas ewakuować.

Larry wydawał się idealnie wybrany do roli Johna Waynea. Ten ciemnoskóry chudy chłopak z Teksasu o oczach kobry w czasie naszego szkolenia przed misją był najbardziej wojowniczy spośród kapitanów. Było z góry przesądzone, że będzie tygrysem SEAL Team Two w Wietnamie. Tymczasem jego służba nie zaczęła się najlepiej: wraz ze swoją drużyną w czasie pierwszego patrolu bojowego dał pokaz impotencji - nie oddali ani jednego strzału i nie zabili żadnego partyzanta.

Łodzie dotarły na wysokość naszego obszaru docelowego. STAB popłynął z prędkością 6 węzłów w stronę wyspy, natomiast PBR i mike boat trzymały kurs w górę rzeki. Warkot ich potężnych silników, jak

133

CZEŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

również napędu STAB-a miał zagłuszyć plusk towarzyszący naszemu wyskoczeniu do wody, a jednocześnie dwie większe łodzie miały uniemożliwić dostrzeżenie tego manewru ewentualnym partyzantom Wietkongu znajdującym się na Juliet Crossing lub wypatrującym z brzegu. Znajdowaliśmy się już jakieś 50 metrów na południe od wyspy, dokładnie na wschód od jej koniuszka. Klepnąłem Patchesa Watsona. Przeszedł przez nadburcie i wskoczył do ciepłej wody. Potem poszedł Ron Rodger. Później ja, Joe Camp, Jim Finley, a na końcu Eagle Gallagher.

STAB płynął dalej w górę rzeki i po chwili znikł w ciemnościach. Z twarzami zanurzonymi do połowy w wodzie płynęliśmy powoli pieskiem w stronę wyspy, poruszając się jak najciszej. W odległości jakichś 7 metrów od południowego brzegu opuściłem stopy: buty natychmiast ugrzęzły mi w mule. Uwolniłem się energicznym wierzgnięciem i płynąłem pieskiem dalej, aż dotknąłem kolanami błotnistej dna. Ostrożnie podciągnąłem się na zarośnięty roślinnością brzeg, przesunąłem M16 powyżej głowy i odbezpieczyłem broń.

Czekałem. Plusk wody przerywały odgłosy wydawane przez pozostałych przybywających po kolei SEALsów. Przyglądałem się uważnie. Byliśmy wszyscy w komplecie. Dałem sygnały ręką: przesunąć się w górę brzegu; rozejść się w ustalone miejsca; zająć pozycje obronne. Warkot łodzi dochodził już z bardzo daleka. Od chłodnego wieczornego powietrza przeszły mi dreszcze. Nigdy bym nie pomyślał, że będę dygotał w Wietnamie, ale było mi zimno.

Podczołgaliśmy się w górę, posuwając się po parę, paręnaście centymetrów w głąb szerokiego na jakieś 50 metrów cypla wyspy, aż usadowiliśmy się w zasadzce za pnieniem zwałonego drzewa. Czterech z nas - Patches Watson, łącznościowiec Camp, Ron Rodger ze swoim karabinem maszynowym Stoner i ja - rozdzieliło się na dwie pary w odległości 7 metrów od siebie i obserwowało południowy brzeg rzeki, odległą o niespełna 150 metrów piaszczysto-błotną mierzeję, wypatrując jakiegokolwiek ruchu. Jim Finley i Eagle Gallagher objęli tylną straż, kilkanaście metrów w głąb wyspy, i osłaniali nam tyłki.

134

ROZDZIAŁ

Teraz przestałem już całkiem słyszeć łodzie mające wspierać naszą operację i nagle owładnęło mną niesamowite poczucie osamotnienia. Jednocześnie w niespotykanym dotychczas stopniu ogarnęła mnie paranoja. Cholera - naprawdę jesteśmy sami w dżungli, z ostrą amunicją, czekając na ludzi, którzy chcą nas zabić. Jeśli to pułapka, jeśli Charlie się na nas zasadził - Jezu! Otrząsnąłem się z tych myśli. Parę razy zacisnąłem mocno i otworzyłem powieki, żeby opanować podekscytowanie i podnoszące się ciśnienie. Spróbowałem ćwiczeń kontrolujących oddech. Podziałało. Odprężyłem się.

Na tarczy zegarka widziałem 21.40. Czołganie się przez 20-25 metrów do naszej zasadzki przez busz i nadrzeczną trawę zajęło nam mniej więcej dwadzieścia minut. Na pozycjach byliśmy już jakieś pół godziny. Wyspa pogodziła się z naszym przybyciem i znów ożyła, wypełniając się dźwiękami nieznanymi stworzeń, które cykały, świstały i brzęczały wokół.

Otoczające nas odgłosy wydawały mi się głośnie - przypisałem to wrażenie potęgującemu doznania stanowi podwyższonej gotowości.

Odkąd opuściliśmy STAB-a, nie zamieniliśmy ani słowa. Nie musieliśmy.

Spojrzałem w górę. Nigdy w życiu nie widziałem równie przejrzystego nieba. Gwiazdy - całe miliony - świeciły tak jasno, jakby to była rześka jesienna noc w Nowej Anglii. Powietrze zrobiło się zupełnie chłodne i zacząłem szczekać zębami. Zacisnąłem szczęki, żeby to powstrzymać. Co za cholerny absurd: marznąć w tropikalnej dżungli. Pomyślałem o Evie Barretcie i Mudzie, i o niskim otwarciu spadochronu w czasie ostatniego rejsu po Morzu Śródziemnym. Pomyślałem o wyspie Saint Thomas - rum z colą i ta cudowna biuściasta nauczycielka z New Jersey. Pomyślałem, że może jutro napiszę kartki pocztowe dla dzieciaków. Będą miały pamiątkę, jak już nauczą się czytać. Przypomniałem sobie, jak bardzo się bałem, kiedy pierwszy raz pociąg towarowy wcisnął mnie w ścianę tunelu do Hauto, kiedy miałem siedem lat.

I wtedy to usłyszałem: skrzyp-skrzyp.

Zjeżyły mi się włosy na karku. Dostałem gęsiej skórki.

135

CZEŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

Skrzyp-skrzyp. Drewno o drewno. Wiosło w dulce. Skrzyp-skrzyp.

Na wolno płynącej rzece od strony piaszczystej mierzei naprzeciwko naszej kryjówki pojawił się dziób małego sampana.

Powoli podniosłem palec. Czekać. Jest 150 metrów od nas. Podpłyń bliżej. Nie zepsuć zbyt szybkim wejściem. Wstrzymałem oddech. Żaden z moich ludzi nawet nie drgnął, mimo że cztery karabiny śledziły sampana.

Płynął powoli, powoli, makabrycznie powoli. Jeden Wietnameczyk w czarnej piżamie, bez nakrycia głowy, bez widocznej broni - azjatycki gondolier, którego pojedyncze wiosło poruszało się skrzypiącymi, miarowymi pociągnięciami w kształcie litery „J”, pokonując ospały nurt Bassac. Podpływał prosto do nas.

Pierwszy strzał oddałem, kiedy był w odległości niecałych 6 metrów. Pozostali wypalili tak szybko po mnie, że biedakowi musiało się wydawać, jakby zajrzał w jedną wielką czterdziestocentymetrową lufę. Cokolwiek sobie pomyślał, była to jego ostatnia myśl. Wszyscy równocześnie wystrzeliliśmy w niego pełne magazynki po 30 nabojów. Jednak prawdziwe spustoszenie było dziełem Rona Rodgera i jego stonera -150 pocisków kalibru .223 cala, a co dwudziesty był smugowy.

- Idziemy. - Podniosłem się i ruszyłem pędem do brzegu.

Rzuciłem się w dół, żeby znaleźć ciało partyzanta i zabrać ze zniszczonej łódki, co tylko mi się uda, zanim zatonię.

Patches był tuż za mną. Ron Rodger niedaleko za nami. Biegłem z chlupotem przez wodę, a stopy grzęzły mi w błotnistym dnie. Sam-pan zaczynał znikać w wodzie. To był wyścig z czasem. Już płynąłem.

- No, dalej!

Patches i ja dotarliśmy do sampana pierwsi. Wskoczyłem przez nad-burcie. Na pokładzie zobaczyłem krew, fragment kości i strzępy czarnej piżamy. Ale poza tym nie było tam nic - oprócz małej płóciennej torby, którą zabrałem.

- Szukaj go! - krzyknąłem.

Patches zanurkował. Ja za nim. Wynurzyliśmy się z pustymi rękami. Pewnie pociski ze stonera rzuciły go w tył do wody. Cholera.

136

ROZDZIAŁ

Płynęliśmy obok sampana, wlokąc go do brzegu, kiedy woda wokół mojej głowy zaczęła się burzyć. Na brzegu Joe Camp pokazywał:

- Strzelają z automatu, na jedenastej. - Padł na ziemię i wypakował nad naszymi głowami cały magazynek, zapewniając nam osłonę ogniową. - Zabierajcie dupy na brzeg!

Obaj z Patchesem płynęliśmy jak szaleni, ciągnąc sampan, i dotarliśmy do brzegu. Wdrapaliśmy się na górę i ukryliśmy się z powrotem na pozycjach strzeleckich, a ja zanurkowałem po radiostację. M16 i sto-ner nie miały zasięgu, jakiego potrzebowaliśmy. Pora wezwać kawalerię - PBR-a i mike boata, które miały kalibru .50 cala, bezodrzutowe granatniki 57 mm i moździerz.

Chwyciłem słuchawkę od Joego Campa. Podałem nasz sygnał wywoławczy i współrzędne. Bez odpowiedzi. Tylko zakłócenia. Próbowałem wciąż na Jowo - bez powodzenia.

Przez strzelaninę przebił się ponagląjący głos Eaglea Gallaghery:

- Zbliżają się od tyłu, panie Rick.

Wietkong jest na wyspie? Nie zamierzałem ryzykować życia swoich ludzi.

- Użyjcie granatów. Odłamkowych i WP.

WP to skrót od white phosphorus, czyli biały fosfor. To granaty zapalające. Płoną jasnym płomieniem i niech Bóg ma w swojej opiece tego, kto takim granatem dostanie.

Byliśmy ostrzeliwani przez jakieś osiem albo dziesięć minut - wieczność - a ja cały czas próbowałem wezwać PBR-a albo mike boata. W końcu pokazał się jeden ze STAB-ów. Ruszyliśmy w stronę brzegu, krzycząc, żeby osłaniali nas ogniem. Pokonywaliśmy kolejne metry przez zarośla, czołgając się, robiąc uniki i turlając się, by dostać się do STAB-a, podczas gdy kule Wietkongu przebijały liście tuż nad naszymi głowami i wyrzywały kawałki

darni niebezpiecznie blisko nas. Kiedy doskoczyłem do łodzi, okazało się, że oprócz dwuosobowej załogi siedzi już w niej trzech marynarzy z PBR-a. STAB-y mieszczą normalnie dziewięć osób. Na tym miało być nas jedenastu, co było znacznym obciążeniem.

137

CZEŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

Dałem znak drużynie, żeby wchodziła na pokład. Na wstecznym biegu swoich podwójnych silników Mercury STAB odbił od wyspy -i osiadł na łasze. Podczas gdy marynarze prowadzili ogień nad naszymi głowami, Patches, Finley i ja wskoczyliśmy z powrotem do wody, zepchnęliśmy łódź z mielizny, wróciliśmy na pokład i zaczęliśmy wreszcie stamtąd spieprzać.

Byłem wściekły. Nie, to mało powiedziane: chciałem kogoś zabić.

- Gdzie mike boat? Gdzie PBR? Co tu robią ci załoganci?

Jeden z marynarzy powiedział:

- Kapitan Bailey zobaczył sampana i ruszyli w pościg. Nie spodziewał się, że będzie pan miał jakieś problemy, więc wziął tamte dwie łodzie, a nas odesłał z powrotem do pana.

Chryste! On miał być wsparciem dla mojej misji, a nie ścigać sampana Wietkongu. Gdyby Charlie skierował na nas jakiś znaczny kontyngent, dzięki Larry emu Baileyowi z drużyny Bravo zostałyby teraz miazga. Do ciężkiego licha! Sprawdziłem chłopaków, żeby się upewnić, czy nikomu nic nie jest, po czym podniosłem głowę i zauważyłem, że oddaliśmy się od Tre Noc, bo płyniemy w górę rzeki.

Chwyciłem marynarza za kamizelkę kuloodporną.

- Co tu się dzieje, do diabła?

- Kapitan Bailey pana potrzebuje.

- Zaraz! Moi chłopcy są wyziębieni i mokrzy. Zawracamy.

- Nie ma szans, sir.

Zastanawiałem się, co się mogło stać. Może Larry miał kłopoty i potrzebował nas, żebyśmy to my pomogli ratować jego tyłek. To było mało prawdopodobne, ale nie całkiem niemożliwe. Siedzieliśmy w kucki na pokładzie i pruliśmy tak przez kwadrans, aż dogoniliśmy mike boata, który posuwał się powolutku pod prąd. Przycumowaliśmy do niego od strony środka rzeki, po czym wspiąłem się na górę i znalazłem Bailey'a.

- Co jest, u licha, Larry? Masz kłopoty?

Pokręcił głową.

138

ROZDZIAŁ

- Nie. Jakies dwa kilometry stąd mamy placówkę pod ostrzałem. Chcę popłynąć im na pomoc.

- Pieprz to. Zabieram chłopaków i wracam do bazy.

Przytrzymał mnie za szelki uprzęży.

- Nie, Dick. Możesz mi być potrzebny. Lepiej, żebyś popłynął ze mną mike boatem. STAB jest za mały, a poza tym nieopancerzony.

Delikatnie odsunąłem jego rękę.

- Słuchaj, palancie, jest prawie dwudziesta trzecia. Moi ludzie przeszli dziś chrzest bojowy: zastrzeliliśmy kuriera Wietkongu i było z tym trochę zabawy. To może pora odłożyć zabawki i wracać do domu? Pobawimy się z tobą innym razem.

- Pobawimy? - Oczy kobry zbliżyły się do mnie. - Co ty sobie myślisz, Marcinko, że to jakaś zabawa?

- Nikt tu się* w nic nie bawi, dupku. To ty próbujesz się ze mną w coś bawić.

- To znaczy niby w co?

- To znaczy niby w to, że mnie, k***a, tam zostawiłeś. Miałeś zapewniać mi wsparcie, a nie robić pościgi za Wietkongiem, żeby też sobie postrzelać.

- Gdyby było naprawdę źle, tobyśmy przyплыnęli.

- Naprawdę?

- Przecież to jasne, Dick, wiesz o tym.

- Nie wiem, co byście zrobili, a czego nie. - Chwyciłem oburącz Larry ego za bluzę i przyciągnąłem jego twarz do swojej. - Słuchaj, gówniany dupku, szcurze kanałowy: strzelali do nas z automatów, z dwóch stron! I to dla ciebie nie jest jeszcze „naprawdę źle”? Na STAB-ie, którego w końcu wysłałeś, żeby nas przejął, była wycieczka pieprzonych marynarzy i utknęliśmy na cholernej mieliźnie, a Charlie walił do nas jak do kaczek. To też nie jest jeszcze „naprawdę źle”? Potrzebowałem wsparcia ogniowego, a ty byłeś tak k***wsko daleko w górze rzeki, że byłeś poza pie***lonym zasięgiem je**nego radia. To co, może to już jest dla ciebie „naprawdę źle”, ty pi**o?

139

CZĘŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

Przygwoździłem go do grodzi kokpitu, wgniatając go plecami w szary metal w rytm akcentowanych słów

- No, PO-wiedz, LAR-ciu, mój stary KUM-płu, jak, do K**-*y nędzy, rozumiesz „na-PRAW-dę ŻLE”?

Osunął się do pozycji siedzącej i został tak z mętym wzrokiem. Myślałem, że złamię sukinsynowi kark, ale zamiast tego wróciłem na tę część pokładu, gdzie była teraz moja drużyna. (Pytany dzisiaj o ten incydent Larry mówi, że nic takiego nie miało miejsca).

Przemoczeni, zziębnięci i nieszczęśliwi patrzyliśmy, jak Larry zarządza zajęcie przez mike boata pozycji do strzału. Niesamowita euforia, której doświadczyliśmy jeszcze parę minut wcześniej, całkiem wyparowała. Ten bezduszny dupek, który nie zdążył jeszcze się sprawdzić, z wojowników zmienił nas w widzów. Spartaczył swój pierwszy patrol. Teraz próbował zaliczyć śmiertelne trafienie, ale robił to kosztem moich ludzi i wcale mi się to nie podobało.

Jakby tego było mało, kiedy zaczął strzelać, zobaczyłam, jak rozgrzane do czerwoności łuski z jego karabinu maszynowego kalibru .50 cala spadają do mojego STAB-a, który miał otwarty kokpit i nieosłonięte zbiorniki paliwa. Co gorsza, ponieważ STAB został przycumowany do tej strony mike boata, która była skierowana do środka rzeki, znalazł się w polu rażenia wroga. Mike boaty są opancerzone, STAB-y to łodzie z włókna szklanego.

Po jakichś pięciu minutach uprawianej przez Larryego Baileya fuszerki nie wytrzymałem.

- Chodźcie, chłopaki, wracamy do bazy.

Przeszliśmy przez burtę, nie przejmując się, że do nas strzelają ani że mike boat sypie deszczem gorących łusek kalibru .50 cala, ani że w wodzie nieustannie eksplodują pociski z moździerzy Wietkongu. Wskoczyliśmy do STAB-a. Gallagher włączył rozrusznik, Jim Finley i Patches Watson przecięli liny cumownicze, a Joe Camp i Ron Rodger zapewniali w tym czasie osłonę ogniową.

Chwyciłem kierownicę, odbiłem w bok i wcisnąłem gaz do dechy. Podwójne silniki Mercury bez trudu poprowadziły nas slalomem

140

ROZDZIAŁ

między gejzerami, jakie wzbudzał nieprzyjacielski ogień. Wykręciłem ostro, zawinałem się eleganckim kadłubem STAB-a wokół rufy mike boata i na pełnej prędkości pomknąłem w dół rzeki. Mignęła mi twarz Larry ego Baileya: krzyczał coś do mnie, ale nic nie było słyhać, bo wszystko zagłuszał ryk mercurych. Zasalutowałem mu środkowym palcem.

W następnym tygodniu drużyna Bravo i ja niezbyt czule pożegnaliśmy Tre Noc. Komandor Witham nie był głupi i zdawał sobie sprawę, że zabiję Larryego Baileya albo że Hank Mustin wyekspeduje mnie w łańcuchach do więzienia w Fort Leavenworth.

Postanowiono więc, że Wesoła Banda Dzikich Rozbójników Marcinki przeniesieJ>ię 40 kilometrów na północny wschód, do My Tho. Stacjonowała tam nadrzeczna flotylla PBR-ów

marynarki. Komodor Witham zarządził, że będę tam mógł poszerzać horyzonty w zakresie rozmieszczenia SEALsów w Deltcie Mekongu - bezpieczny z dala od Hanka Mustina i nie ulegając pokusie zabicia przy okazji gołymi rękami któregoś z bądź co bądź sprzymierzonych amerykańskich oficerów.

Dowódcą w My Tho okazał się wspaniały oficer o nazwisku Toole, komandor porucznik, który wcześniej nigdy nie pracował z SEALsami, ale miał na tyle zdrowego rozsądku, by dać mi wolną rękę, pod warunkiem że będą jakieś wyniki. Toole był rzadkim w US Navy typem szefa: szczupły, wredny, zjadliwy, cierpki zrzęda, którego zaczepność ogromnie podtrzymywała morale Bravo w My Tho. Nosił oliwkowo-bury mundur połowy typu jungle zamiast munduru oficerskiego: jas-nobrazowych spodni i bluzy. Ufał swoim chorążym. Krzątał się przy PBR-ach i majstrował przy karabinach kalibru .50 cala. Nawet wypływał z załogami, żeby zobaczyć, jak wygląda akcja.

A co najlepsze, nie krytykował mnie ani nie wyznaczał nam kryteriów, które nas ograniczały. Instynktownie uświadamiał sobie, że SEALsi to niekonwencjonalni żołnierze, i zachęcał mnie, bym był tak

141

CZĘŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

niekonwencjonalny, jak tylko uznam to za rozsądne i skuteczne. Drużyna Bravo była odpowiedzialna za blisko stukilometrowy odcinek rzeki wraz z jej niezliczonymi kanałami, dopływami, terenami zalewowymi, potokami, potoczkami, strumieniami, strumyczkami i rowami.

My Tho miało bardziej wiejski charakter niż Tre Noc. Przystań dla PBR-ów była sklecona naprędce - zwykle deski na pływających dwustulitrowych beczkach po ropy, umocowane do podwójnego lichego palowania. Biura, warsztaty i magazyny były położone wzdłuż brzegu rzeki w halach Butlera (skonstruowanych z betonowych płyt i pokrytych aluminiowym sidingiem) albo w barakach z blachy falistej. Zdecydowanie nic nadzwyczajnego. Jednak warunki mieszkaniowe mieliśmy dobre. Dwie przecznice od rzeki stał stary hotel w europejskim stylu - wyglądał, jakby go przeniesiono z Paryża z okresu Hemingwaya - i tam spali wszyscy Amerykanie. U wysokich sufitów wisiały skrzypiące wentylatory, w oknach były żaluzje, a meble były francuskie.

Na tym etapie zdążyliśmy się już przyzwyczać do wietnamskiej kuchni i mimo że zarówno w hotelu, jak i w obiektach marynarki podawano jedzenie w stylu zachodnim, codziennie po drodze do portu i z powrotem zaglądaliśmy na niezliczone stragany, próbując sprzedawanego tam jedzenia i eksperymentując. Tak naprawdę to Jim Finley - nasz Burmistrz - już w ciągu paru godzin od naszego przybycia wymknął się z hotelu i wynalazł najlepsze kramy z jedzeniem. Kiedy reszta z nas uwinęła się wreszcie ze wszystkim i mogła ruszyć się rozejrzeć, Jim oprowadzał nas od straganu do straganu i witano nas jak dawno niewidzianą rodzinę.

Patrole zaczęliśmy powoli: pływaliśmy po rzece PBR-ami, rozmawialiśmy z chorążymi, poznawaliśmy trasy Charliego, pory, w których przekraczał rzekę, miejsca, w których

organizował przeprawy, i powody jego ruchów. Potem przyszła pora na krótkie patrole - nocne zajmowanie pozycji, tak jak to robiliśmy w czasie wypadów z Tre Noc -i statyczne zasadzki. Nazywałem te patrole „mustinami”, bo właśnie tak Hank wyobrażał sobie użycie oddziałów SEALsów: jako wsparcie

142

ROZDZIAŁ

pełnego spektrum operacji rzecznych. Ale ja chciałem pójść dalej, wyjść poza „mustiny” - do „marcinków”.

„Marcinki” wiązały się z dłuższymi patrolami - dwanaście, osiemnaście, a nawet dwadzieścia godzin gdzieś w Deltcie Mekongu - i z inną taktyką. Agresywną. Przekonywał mnie argument, że im bliżej rzeki Charlie się znajdował, tym czujniejszy się robił. Dlaczego? Bo tam były PBR-y, mike boaty i SEALsi. Ale kiedy Charlie dopiero przygotowywał konwoje - 300, 500, 700 metrów od rzeki - czuł się rozluźniony: był przecież na własnym terenie.

Instynktownie przeczuwałem, że im wcześniej uda mi się uderzyć na Charliego, tym więcej szkód mu zadam. Wiedziałem jednak, że jeszcze nie możemy iść na całość. Byliśmy ciągle niedoświadczeni, wciąż uczyliśmy się praw dżungli. Więc podobnie jak w pierwszych dniach szkolenia UI[^]T nie pozwalałem sobie na żadne ekstrawagancje. Zająłem się za to budowaniem pewności siebie drużyny dzięki „miękkim trafieniom” - były to patrole, o których wiadomo było, że zakończą się zabiciem partyzantów Wietkongu bez ryzyka dla Bravo. Jednak z każdym patrolem wypuszczaliśmy się coraz dalej w górę kanałów. Kiedy drużyna czuła się już pewnie w kanałach, poszerzyliśmy obszar działania na nadrzeczne wały. Zaczynaliśmy od odcinków mierzonych w metrach, aż czuliśmy się na tyle pewnie, by pójść kilometr lub dwa. Schwytaliśmy pierwszego więźnia - Patches Watson i Eagle Gallagher wyskoczyli na niego z kępy trzciny, o mało nie przyprawiając biednego dupka o atak serca - i przesłuchaliśmy przed przekazaniem go Armii Republiki Wietnamu, której skrót wymawiałem najczęściej jako Marvin ARViN*.

Po jakimś miesiącu zacząłem bardziej brać chłopaków do galopu. Prowadziliśmy działania nocą: wyskakiwaliśmy ze STAB-a, podpływaliśmy do kanału, wspinaliśmy się na jakiś wał albo dróżkę i urządzaliśmy

* Amerykanie powszechnie nazywali żołnierzy ARVN (Army of the Republic of Vietnam) i samą tę armię imieniem Marvin - ze względu na podobieństwo brzmienia: Marvin the ARVN, czyli Marvin ARViN, lub Marvelous Marvin, czyli Cudowny Marvin (przyp. tłum.).

143

CZEŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

zasadzkę 300 czy 400 metrów dalej w głąb lądu, niż mógł się tego spodziewać Charlie. W miarę jak nabieraliśmy pewności siebie, posuwaliśmy się coraz dalej od rzeki w głąb kraju, przemierzając biegnące po wałach szlaki, którymi kurierzy Wietkongu przynosili dane

wywiadowcze, oraz urządzając zasadzki na konwoje sampanów załadowanych towarami dostarczonymi przez Kambodżę z Hanoi wzdłuż Szlaku Ho Chi Minha.

Dowiedzieliśmy się sporo na temat wywiadu i na temat tego, czego należy szukać. Wcześniej nie zabieraliśmy części rzeczy osobistych zabijanych wietnamców. Teraz zdawaliśmy już sobie sprawę, że jest to ważny materiał źródłowy, więc braliśmy wszystko, co wpadło nam w ręce. I w niczym nie przypominało to tych wszystkich scen z filmów, w których jakiś żołnierz znajduje zdjęcie dzieci i żony poległego partyzanta Wietkongu, po czym rozkleja się, bo uświadamia sobie, że właśnie zabił bliźniego. Takie sceny piszą prawdopodobnie ludzie, do których nikt nigdy nie strzelał.

Chodzi o to, że towarzysz Victor Charlie chciał, żebyśmy byli tak martwi, jak martwy nie był jeszcze żaden martwy. Więc jeśli znalezienie przy zwłokach partyzanta Wietkongu jakiegoś ckliwego zdjęcia albo listu mogło w jakikolwiek sposób pomóc nam dopaść go wcześniej, to tym gorzej dla pana Charliego, pani Charlie i wszystkich małych Charliątek.

Miałem też zwyczaj podkładania min pułapek pod zabitych partyzantów Wietkongu. Nieprzyjaciel sam często podkładał miny pod własnych poległych, więc i my to robiliśmy. Dobrze było usłyszeć eksplozję chwilę po opuszczeniu terenu. Co najmniej o jednego Charliego mniej do strzelania do nas.

Brzmi to prawdopodobnie tak, jakbym w Wietnamie był zimnym, bezdusznym, niczym się nieprzejmującym facetem. To fakt: na polu bitwy jest bardzo mało czasu na introspekcję. Codziennie z bliska i osobiście widzieliśmy nieprzyjaciela, a czasami musieliśmy patrzeć mu w oczy, kiedy go zabijaliśmy. To zmienia perspektywę.

Jednej rzeczy człowiek uczy się bardzo prędko: że jego ludzie - jego oddział - są wszystkim. Dowódca, niczym mafioso, składa wraz ze

144

ROZDZIAŁ

swoimi żołnierzami przysięgę krwi. Otacza ich opieką, czuwa nad nimi, broni ich. Godzi się na ich dziwactwa. Musi być im całkowicie wierny - a wtedy oni będą tak samo wierni jemu.

Swój pierwszy okres służby w Wietnamie uważam za swego rodzaju Księgę Rodzaju Spec War, w której zostałem stworzony na nowo z pierwotnego błota Deltę Mekongu i oczyszczającego ognia naszych karabinów. Na początku byłem niedoświadczonym podporucznikiem, który przez całe życie mówił, jak by to skopał komuś dupsko, ale nigdy tego naprawdę nie zrobił.

Potem nadszedł wieczór i poranek mojego dnia pierwszego: wyspa swobodnego ostrzału, dokąd przybyłem narozrabiać i wypróbować swoje zabawki.

Wieczór i poranek mojego dnia drugiego to była zasadzka na kuriera, kiedy nauc[^]łem się, jak wykorzystywać wodę i ląd i jak zabijać mojego nieprzyjaciela.

W wieczór i poranek mojego dnia trzeciego nauczyłem się cenić owoce wywiadu i zacząłem zbierać każdy skrawek papieru, żebyśmy mogli się dowiedzieć, jak się ma Charlie.

W wieczór i poranek mojego dnia czwartego nauczyłem się nie ustalać żadnych schematów, dlatego zacząłem prowadzić patrole i dzienne, i nocne, wybierając nowe cele, zamiast ciągle wracać w te same miejsca.

W wieczór i poranek mojego dnia piątego zacząłem zachęcać nasze siły wspierające, by były „płodne i mnożyły się”. I zaiste, powstały helikoptery i spooky, jak również mike boaty i PBR-y, i były dobre, i były śmiercionośne, i pomagały mi zabijać nieprzyjaciół moich.

W wieczór i poranek mojego dnia szóstego zacząłem stwarzać operacje na swój własny obraz - poszerzając ich zakres i ich brutalność, i ich siłę przez łączenie rezultatów rozbieżnych dotąd działań. Oprócz naszego wywiadu zacząłem słuchać też wywiadu Marvina ARViN-a, zacząłem brać na patrole chu-hoi (zbiegów z Wietkongu), patrzeć, jak poruszają się po szlakach, uważnie przysłuchiwać się, jak rozmawiają z miejscowymi i szukają min pułapek czy

145

CZĘŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

ukrytych bunkrów - żeby móc uczyć SEALsów, jak naśladować ich metody.

Wietkong naprawdę zmienił mój sposób patrzenia na prowadzenie wojny. Charlie był w tym całkiem dobry - ja musiałem być lepszy. Kradłem więc to, co się sprawdzało, a wyrzucałem to, co nie. Dokonywałem zmian w tak podstawowych sprawach, jak sposób prowadzenia patroli: nauczyłem się na przykład od Charliego podróżować bez zbędnego bagażu. Wczesną wiosną 1967 roku zabieraliśmy ze sobą jedną manierkę zamiast regulaminowych dwóch, a w wolne miejsce wkładaliśmy magazynki i granaty. Nie zabieraliśmy jedzenia - zostawianie po sobie śmieci nie było wskazane, a poza tym nigdy nie byliśmy w terenie na tyle długo, byśmy potrzebowali racji żywnościowych. Zmodyfikowaliśmy ekwipunek polowy, porzucając plecaki na korzyść kamizelek oporządzeniowych, w których zrobiliśmy dziury, żeby błoto i woda od razu wydostawały się z kieszeni. Nie zabieraliśmy ubrań na zmianę ani pałatek. Spaliśmy na świeżym powietrzu, maskując się wszystkim, co tylko znajdowaliśmy wokół. Zamiast działać jak najeźdźcy, staliśmy się partyzantami tak jak Wietkong - utrzymywaliśmy się dzięki temu, co zdobyliśmy.

Te metody się sprawdzały. Poza paroma zadrapaniami, siniakami i drobnymi ranami drużyna Bravo nie doznała uszczerbku. Żadnych poważnych strat bojowych, żadnych poległych w walce. W miarę jak coraz lepiej poznawaliśmy terytorium, nasza śmiertelna skuteczność rosła. Byłem szczęśliwy. Komandor Toole był zachwycony.

A kiedy nauczyłem się wszystkich tych rzeczy i nabrałem biegłości w sztuce tropienia i zabijania, nastał wieczór i poranek mojego dnia siódmego.

Według Biblii siódmego dnia Bóg odpoczął. Ale dla SEALsów wieczór i poranek dnia siódmego była to chwila, kiedy trzeba było ruszyć, by unicestwić nieprzyjaciela. Bóg SEALsów to w końcu Jahwe, Bóg Starego Testamentu - twarde, surowe, srogie, mściwe, wyznające zasadę „oko za oko” bóstwo pustynne. To Bóg, który powiedział: „Idź, a pobij Amaleka i zburz wszystko jego; nie przepuszczaj mu...”

146

ROZDZIAŁ

Może ujmę to inaczej: każdy z nas ma własne, osobiste wyobrażenie Najwyższego Bytu. W mojej wyobraźni Bóg to starszy chorąży sztabowy z UDT. Jego głos brzmi dokładnie jak głos Eva Barretta. I nie daje urlopu za dobre zachowanie.

Wieczór i poranek mojego dnia siódmego przypadł na 18 maja 1967 roku, a było to u ujścia jednej z odnóg Mekongu, w gęstej dżungli porastającej nieruchomość o nazwie wyspa Ilo-Ilo.

;

Rozdział 9

W połowie kwietnia Fred Kochey i jego drużyna Alpha opuścili Tre Noc i dołączyli do mnie w My Tho. Było tu dość duże pole do działania dla dwóch drużyn, a Fred podobnie jak ja wolał agresywny styl patrolowania. W maju do końca naszego półrocznego okresu służby brakowało nam paru tygodni, a bliski koniec służby oznaczał, że patrole się skończą. Zamiast nich nasz czas miało zajmować pakowanie sprzętu, z którego część miała zostać odesłana razem z nami do Little Creek, natomiast reszta miała tu zostać w kontenerach dla następnego kontyngentu SEAL Team Two.

Miałem mieszane uczucia w związku z wyjazdem. Uważałem, że moja służba tutaj była udana. W ciągu pięciu i pół miesiąca pobytu w Wietnamie Bravo wykonało jakieś pięćdziesiąt patroli. Nauczyliśmy się wykorzystywać atuty dżungli. Dopracowaliśmy stosowane metody - integralność oddziału, o której tak perorowałem podczas szkolenia, naprawdę zaczęła owocować. Potrafilismy się teraz poruszać, myśleć i walczyć jak jeden człowiek. Nie mieliśmy jednak za sobą jakiegś jednej operacji, która sprawdziłaby wszystko, czego się nauczyliśmy. Dręczyliśmy Charliego: chwytaaliśmy więźniów, wysadzaliśmy

148

ROZDZIAŁ

mu sampany i popalaliśmy dostawy. Czasami go zabijaliśmy - kiedy wyjeżdżaliśmy, drużyna Bravo miała na koncie osiemnastu potwierdzonych i pięciu prawdopodobnych zabitych partyzantów Wietkongu (a moim zdaniem liczba „prawdopodobnych” była bardzo zaniżona).

Mimo to nie przeprowadziliśmy akcji, którą uznałbym za poważniejszą operację - czegoś, co naprawdę zaszkodziłoby panu Charliemu. I wtedy pojawiła się wyspa Ilo-Ilo.

Przez całe miesiące dochodziły mnie słuchy o Ilo-Ilo. Oficer łącznikowy wywiadu marynarki w My Tho nic na jej temat nie wiedział, ale w tamtym czasie dane wywiadu marynarki (nie brakuje opinii, że sama ta nazwa to oksymoron) miały zazwyczaj już jakieś dziewięćdziesiąt dni, kiedy w końcu udawało im się dotrzeć na poziom drużyny. Zawsze miałem poczucie, że marynarka nie ma przekonania, by dane wywiadowcze mogły być równie użyteczne dla jednostek polowych jak dla admirałów. Dlatego o ile oficerowie wywiadu byli świetni w zbieraniu swoich faktów (jak wiewiórki w zbieraniu orzechów) oraz analizowaniu posiadanego materiału i o ile zapisywali całe rzyzy papieru meldunkami i notatkami służbowymi, o tyle prawie nigdy nie przysyłali nam żadnych informacji zwrotnych. To wiele mówi o sposobie, w jaki marynarka - mimo wszystko - prowadziła wojnę.

Problem z gromadzeniem danych wywiadowczych w tamtych czasach polegał na tym (a w znacznej mierze również dzisiaj na tym polega), że praktycznie każdy zbiór wojskowych danych wywiadowczych ma na celu wspieranie działań wielkich jednostek - a zatem i dotyczy doniesień na temat wielkich jednostek. Tymczasem dla SEALsów nawet stuosobowa kompania jest znacznym przeciążeniem, jeśli napotka się ją na wąskiej ścieżce w dżungli.

Chociaż marynarka nic nie wiedziała o Ilo-Ilo, my ciągle i wszędzie słyszeliśmy nazwę tej wyspy. Wspominali o niej przywódcy wioski położonych w górze i w dole rzeki. Mówili o niej jeńcy z Wietkongu. Plotkowali o niej chu-hoi. Gryzonie z wywiadu Marvina ARViN-a

149

CZĘŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

potrafiły piszczeć o niej bez przerwy. Marvin uważał, że jest tam wielki ośrodek wypoczynkowy Wietkongu, do którego Charlie posyła swoich żołnierzy, kiedy już trochę nas ponękają. Zdaniem chu-hoi był to punkt przerzutowy służący przygotowywaniu ataków Wietkongu w kierunku północnym w głąb strefy Rung Sat, czyli północno-wschodniej części Deltę Mekongu. Czymkolwiek była ta wyspa, uznałem, że warto się tam przejechać, by się o tym przekonać.

Ilo-Ilo znajduje się na samym krańcu Deltę Mekongu, gdzie rzeka My Tho wpada do Morza Południowochińskiego. Wyspa miała kształt gałki muszkatołowej i leżała w odległości 600 metrów od każdego z brzegów rzeki. Nie była zbyt duża - może 800 metrów długości i 300 metrów szerokości. Na zachodnim krańcu znajdował się szeroki kanał, który biegł na wschód, wijąc się w esowatych zakrętach i przecinając niesamowicie gęsto porośnięty teren, by w końcu gdzieś się urwać. Po przeciwnej, położonej najdalej na wschód stronie do morza wpadała cała sieć mniejszych kanałów. Z powietrza wyglądały jak pajęczyny, rozchodzące się na północ i południe i tworzące przypadkowe wzory geometryczne.

Moim zdaniem Ilo-Ilo była idealnym miejscem dla jakiegoś ważnego obozu Wietkongu. Miała te same trzy cechy, które musi mieć każda dobra nieruchomość inwestycyjna na całym świecie: lokalizacja, lokalizacja i lokalizacja. A co najważniejsze, było to terytorium dziewicze: nigdy nie było tam żadnych działań amerykańskich. Przedstawiłem swój pomysł

komandorowi Tooleowi. Zgodził się na operację za dnia. Powiedziałem też o tym Fredowi Kocheyowi.

- Zapowiada się zabawa, Rick. Masz coś przeciwko temu, żeby też się przejechał?

Nie miałem. Lubiałem Kocheya. Tak jak ja był chłopakiem z Pensylwanii. W odróżnieniu ode mnie należał do osób, które nieustannie zachowują niewzruszony spokój. Po wspólnym biegu na 5 kilometrów ja wylałbym z siebie wiadra potu, a Kochey - facet drobnej budowy, mierzący jakieś 180 centymetrów - wyglądałby równie świeżo jak na starcie. Metodycznie i dokładnie wszystko planował. A co najważniejsze,

150

ROZDZIAŁ

można było na nim polegać w boju - tak naprawdę była to jedyna sytuacja, kiedy Fred rzeczywiście się zapalał.

- Nie ma sprawy. Jak chcesz, to fajnie będzie, jak pojedziesz z nami pohasać. Ale musisz zabrać własne zabawki.

Ilo-Ilo leżała jakieś 60 kilometrów w dół rzeki od My Tho, co było zbyt długą trasą dla STAB-ów. Wobec tego 18 maja wczesnym rankiem przywiązaliśmy STAB-a do burty naszego mika boata, załadowaliśmy tyle amunicji, ile mogliśmy zabrać bez ryzyka zatonięcia, po czym poper-kotaliliśmy w dół rzeki w równym tempie 8 węzłów.

Był to typowy wiosenny wietnamski dzień w Delcie Mekongu: 32 stopnie, 100 procent wilgotności. Mając uczernione twarze i kamuflaż w tygrys^ paski, oblewaliśmy się potem. Droga w dół rzeki zajęła nam cztery godziny, które wydawały się nie mieć końca. Tuż przed 12.00 dotarliśmy na miejsce, gdzie czekała nas przykra niespodzianka - olbrzymie ilości błota z delty. Kiedy zbliżaliśmy się do Ilo-Ilo, mika boat niemal ugrzązł na mieliźnie na ciągu łańcuchów blokujących tor wodny. Problem stanowił muł, który przywędrował tu prawdopodobnie aż z Kambodży. Ale skądkolwiek pochodził, był absolutnym koszmarem. Nie było możliwości wykonania bezpośredniego podejścia, co na podstawie mapy wydawało się najskuteczniejszym sposobem dostania się na wyspę.

Kiedy nie wiadomo, co robić, trzeba improwizować. Wobec tego drużyna Bravo, Kochey i ja wskoczyliśmy do STAB-a i zostawiając perkoczącego mika boata na morzu, popłynęliśmy zobaczyć, czy jest inny dostęp od tej strony.

Opłynęliśmy południowo-zachodni kraniec wyspy, wykonaliśmy parę manewrów, by zmylić ewentualnych obserwatorów, po czym ześliznęliśmy się do wody ze STAB-a od strony lądu i wpłynęliśmy do najszerszego z kanałów. Nawet kiedy płynęło się wplaw, błoto dawało się we znaki, bo woda była zamulona. Gdy znaleźliśmy się w kanale na tyle daleko, że woda sięgała nam do klatki piersiowej, zrobiło się

151

CZEŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

jeszcze gorzej. Dno było lepkie jak smoła, co spowalniało posuwanie się w przód, a co gorsza, utrudniało zachowanie ciszy.

Błoto dostawało się wszędzie: do kieszeni, butów, broni, magazynków. Po 200 metrach brnięcia wzdłuż kanału wywlekliśmy się na brzeg, zajęliśmy pozycje obronne i spędziliśmy pół godziny na czyszczeniu broni. Muł był tak dokuczliwy, że musieliśmy rozebrać trzydziestonabojowe magazynki do M16 i przemyć sprężyny i dosyłacze. Na dnie każdego magazynka były dwa centymetry mułu - co w zupełności wystarcza, żeby magazynki stały się kompletnie bezużyteczne.

Temperatura wzrosła do jakichś 38 stopni. Ludzie zaczęli już przeklinać. Usłyszałem, jak Eagle Gallagher przebąkuje coś do Freda Kocheya na temat szalonych pomysłów pana Ricka i jego porąbanych poglądów w sprawie patroli. Mogłem też poznać opinię Gallaghera na temat jakości błota w kanale. Patches Watson spojrział w niebo i zapytał, co takiego zrobił, że Bóg skazał go na tak nędzny los.

Ron Rodger wziął na siebie rolę Najwyższego:

- Albowiem wkurzyłeś mnie ogromnie, synu mój - powiedział tubalnym basso profundo.

Zawsze byłem zdania, że marynarz, który przeklina, to szczęśliwy marynarz, więc postanowiłem zostawić pomniejsze kanały i dać ludziom prawdziwy powód do radości: zaczęliśmy przecierać szlak przez gęste, porośnięte ciernistymi krzakami zarośla ku środkowi wyspy. Miałem nadzieję, że dotrzemy w ten sposób do głównego kanału i pójdziemy wzdłuż jego wijących się esowatych zakrętów na zachód. Jeśli na Ilo-Ilo byli jacyś partyzanci Wietkongu - a byłem przekonany, że są - musieli być gdzieś przy tym głównym kanale.

Ruszyliśmy przy pierwszych pomrukach burzy i SEALsów. Patches Watson szedł na szpic. Za nim Ron Rodger i karabin maszynowy stoner. Potem ja, a za mną Camp, Finley, Kochey i Eagle Gallagher. Znajdowaliśmy jakieś ścieżki, chociaż widać było, że od dłuższego czasu nie były używane. Mimo to trzymaliśmy się od nich z daleka - nie chcieliśmy wpaść na wrogo nastawionych nieznajomych - i przecieraliśmy nowy szlak, idąc w cztero-, pięciometrowych

152

ROZDZIAŁ

odstępach i bacznie wypatrując wszelkich oznak obecności pana Charliego.

Była to ciężka praca i nasze postępy mierzyliśmy w stopach, nie w metrach. Największy ciężar spoczywał na Patchesie Watsonie, który szedł na szpic. To on najwięcej się namachał, wyrabując przejście maczetą, a równocześnie zwracając baczna uwagę na ewentualne druty rozciągnięte wśród poszycia, miny pułapki i dołki z bambusowymi szpikulcami.

Ilo-Ilo różniła się od innych miejsc, które widziałem w Wietnamie. Roślinność przypominała bardziej to, co można spotkać na przybrzeżnych wyspach Wirginii albo Karoliny Północnej,

niż dżunglę Azji Południowo-Wschodniej. Przy linii brzegowej nie było palm - zamiast nich napotkaliśmy gęste, mocne drzewka, cierniste krzaki i ciężkie pnącza, które trzeba było ciąć maczetami. W miarę jak posuwaliśmy się w głąb wyspy, roślinność stawała się bardziej tropikalna: pojawiły się palmy, typowe dla dżungli rośliny z wielkimi liśćmi oraz wysokie trawy bagienne, do jakich byliśmy przyzwyczajeni w Delcie Mekongu. Tuż przed 14.00 zaczęło padać. Byliśmy spragnieni ochłody - unosiła się z nas para, kiedy woda spływała na nas strumieniami przez jakiś kwadrans, a potem deszcz osłabł do mżawki. W końcu ustał. My nie.

Patches Watson uniósł rękę. Dałem sygnał do przerwy. Watson wsunął maczetę do pochwy, wrócił do miejsca, w którym przykucnąłem, i ciężko usiadł, wspierając się na swoim karabinie CAR-15. Od wody z delty, deszczu i potu jego mundur był trzy razy cięższy niż zwykle.

- Panie Rick...
- Taaa?
- Pieprzyć to gówno. Mam dość.
- Jesteś zmęczony?
- Zmęczony? Jestem złachany jak szmata. Tu nic nie ma!
- Kto ci tak powiedział?
- Ta cholerna dżungla, panie Rick, słyszałem wyraźnie. Ta operacja to kompletna kłęska, jak u Larryego Baileya: wrócimy z niczym. Widzę niecałe 2 metry przed sobą. Wracajmy do łodzi.

153

CZEŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

Pokręciłem głową.

- Patches, jesteś kochany, ale wypadasz. Skoro myślisz, że nic tu nie znajdziemy, to może ci zabraknąć bystrości wzroku. Potrzebujemy na szpicy świeżego człowieka, bo gdzieś tu są wietnamcy. Czuję ich zapach.

Zamachałem do Campa.

- Joe, odpocznij jeszcze chwilę, a potem zmienisz Patchesa.

Camp kiwnął głową. Ledwie wstaliśmy i Camp nie uszedł nawet

3 metrów, kiedy uniósł rękę, dając mi sygnał, żebym podszedł.

Zatrzymałem kolumnę, po czym podszedłem do pozycji Campa. Wskazał mi kierunek. Popatrzyłem: był tam kanał, szeroki na jakieś 3 metry. Po drugiej stronie stała spora

bambusowa chata, dla ochrony przed przypływami postawiona na palach wystających nad ziemię jakieś 1,5 metra, może trochę więcej. Eureka! Trafiliśmy na żyłę złota. Zamachałem na Patchesa Watsona i pokazałem mu to.

- Oż, k***a. No to niech mnie pan utopi w błocie, panie Rick.
- Skoro sam prosisz...

Dałem sygnały drużynie. Dwóch ludzi oskrzydliło cel z prawej, nasza trójka wzięła środek, a dwóch oskrzydliło z lewej. Poruszając się cicho, prześliznęliśmy się przez niską roślinność, pokonaliśmy wał i zesłiliśmy do kanału, zanurzyliśmy się po szyje i przepłynęliśmy pieskiem na drugą stronę. Na przeciwległym brzegu położyliśmy się na plecach, osłonięci naturalnym wybrzuszeniem terenu ponadmetrowej wysokości. Broń trzymaliśmy na klatce piersiowej.

Dałem sygnał Gallagherowi i Patchesowi. Wspięli się na wał i rzucili się w stronę chaty. Chwilę później sturlali się z góry i wskoczyli do kanału, niezwykle podekscytowani. Gallagher po prostu wychodził z siebie:

- Pusta, panie Rick, ale Charlie tam był. Był tam. I to ledwie parę godzin temu. Jest palenisko, jeszcze ciepłe.
- Świetnie.

Narysowałem palcem wskazującym okrąg w powietrzu. Wspięliśmy się na brzeg, wystawiliśmy strażę na obwodzie i przeszukaliśmy chatę. Znaleźliśmy tam wielkie puszki ze sprzętem medycznym,

154

ROZDZIAŁ

trochę dokumentów i parę drobiazgów. Zabraliśmy to, co dało się zabrać, a resztę podpaliliśmy. Połączyłem się przez radio z mike boatem.

- Bravo do Docksidera.
- Tu Docksider.
- Znaleźliśmy żyłę złota, więc nie opalajcie się za długo.
- Przyjąłem, Bravo. Gdzie jesteście?
- Idziemy dużym kanałem w stronę głównego ujścia.
- Przyjąłem, Bravo. Będziemy czekać.

Podzieliliśmy łupy zdobyte na Wietkongu, upychając go po kieszeniach mundurów. Potem zaczęliśmy się przemieszczać na zachód kanałem, powoli i spokojnie. Poruszać się w wodzie było na pewno łatwiej, niż wyrąbywać sobie drogę wśród bujnej roślinności, ale nigdzie nie było napisane, że Charlie nie podkłada min pułapek w kanałach tak samo jak na ścieżkach w

dżungli, więc mieliśmy oczy szeroko otwarte. Poruszaliśmy się w kucki i unikaliśmy pokazywania się, wykorzystując jako osłonę dla naszych ruchów wodę i wał ziemny, który wystawał na jakiś metr w górę.

Nie przebyliśmy nawet 300 metrów, kiedy wyszliśmy z ostrego zakrętu w lewo i uderzył nas silny zapach dymu. To niewiarygodne, jak często w Delcie Mekongu zdarzało się coś takiego: nie słyszeliśmy, nie widzieliśmy ani nie czuliśmy zapachu czegoś aż do chwili, gdy prosto na to wychodziliśmy. To tak, jakby dżungla była podzielona na pomieszczenia oddzielone niewidzialnymi ścianami.

Patches dał sygnał: „Nieprzyjaciel z przodu”. Przesuwaliśmy się bardzo ostrożnie, aż usłyszeliśmy głosy - wtedy pełzaliśmy jeszcze wolniej, trzymając się za osłonę brzegu kanału oddzielającego nas od głosów Wietnamczyków.

Wysunąłem nos ponad linię wału. Kilkanaście metrów dalej była duża wycinka - mogła mieć 20 na 25 metrów - z trzema barakami na palach i sporą wiatą z paleniskiem. Przed barakami przy ognisku siedziało w kucki pięciu partyzantów Wietkongu w bokserkach i luźnych czarnych górach od pizamy. Trajkotali jak skauci, pilnując czegoś, co

155

CZEŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

gotowało się w garnku. Swoje AK-47 mieli oparte o baraki, sandały zdjęte z nóg. Trzech paliło.

Z oddali dobiegał warkot silników diesla miko boata. Charlie też go słyszeł. Ale najwyraźniej ten odgłos ich nie niepokoił. Obok Ilo-Ilo przepływały prawdopodobnie setki perkoczących łodzi i nigdy nie mieli tu nieproszonych gości. Więc się nie martwili. Nie wystawili żadnej czujki. Nie było to potrzebne: wiedzieli, że Amerykanów można czytać jak otwartą księgę.

Cofnąłem się w dół, ledwie powstrzymując cisnący się na usta uśmiech. Właśnie mieliśmy dopisać im nowy rozdział - i zamierzałem nadać mu niespodziewane zakończenie.

Przy użyciu sygnałów ręcznych rozesłałem drużynę i zajęliśmy pozycje strzeleckie. Kanał otaczał baraki jak podkowa, co z taktycznego punktu widzenia oznaczało dla nas dwie wspaniałe rzeczy. Po pierwsze, podczas wykonywania manewru oskrzydającego wokół niczego niepodajejrzejających partyzantów Wietkongu cały czas byliśmy zasłonięci. Po drugie, zakręt dawał nam naturalną strefę rażenia: nasze poszerzone dzięki temu pole ogniowe mogło objąć obszar baraków z trzech stron zamiast tylko od frontu.

Na mój sygnał wysunęliśmy karabiny M16 i stonera na szczyt wału i zaczęliśmy ostrzał ogniem ciągłym. Szło gładko do momentu, gdy ktoś - później nikt nie chciał się do tego przyznać - postanowił pomóc jeszcze bardziej i rzucił granat odłamkowy. Granat odbił się od pnia drzewa i - widzieliśmy to jak w zwolnionym tempie - odkoziółkował z powrotem w naszą stronę, odbijając się i tocząc niepowstrzymanie coraz bliżej naszych pozycji strzeleckich.

- K***aaaaa! - donośny głos Freda Kocheya przedarł się przez strzelaninę. - Graaaanat!
Padnij!

Siedmiu ludzi sturlało się i zanurkowało pod wodę jak jeden mąż, a w ślad za nimi poleciała fala uderzeniowa wybuchu i śmiercionośne odłamki metalu.

Wynurzyłem się, kaszląc i wyrzucając z siebie słonawą wodę z kanału jak posąg w fontannie.

156

ROZDZIAŁ

- Wszyscy cali?

Najmniejszego draśnięcia. Nie kontynuowaliśmy ostrzału. Jim Finley zajrzał za wał.

- Już po nich.

Patches i Eagle rzucili się na skarpe, za nimi Kochey, ja i reszta. Patches poodwracał zwłoki, chcąc zobaczyć, jak nam poszło, i upewnić się, że żaden z Wietnamczyków nie udaje martwego.

Nasze strzały były celne: mnóstwo trafień w głowę i ran w obrębie klatki piersiowej. Zebraliśmy broń. Rzuciłem na nią okiem. To były chińskie AK-47. Zabrałem jeden i przewiesiłem sobie przez ramię, a po jednym rozdałem Patchesowi, Gallagherowi i Kocheyowi. Takie AK należały do rzadkości. Potem dokładnie przeszukaliśmy teren, zabierając wszystko, co udało nam się znaleźć. Ogarnęła mnie euforia. Natrafiliśmy dokładnie na to, co spodziewałem się znaleźć: ważny punkt przerzutowy Wietkongu, przystanek dla kurierów w ich drodze z południa na północ i z powrotem, z Sajgonu lub do niego, lub na zachód do granicy z Kambodżą. Był to największy obóz wietnamców, jaki dotychczas widziałem.

Za barakami znajdowały się dwa zamaskowane bunkry. Wysadziliśmy je granatami. Zabraliśmy płócienne torby, których Wietkong używał zamiast aktówek, i wszystkie dokumenty, jakie udało nam się zgarnąć. Znaleźliśmy kanister nafty, polaliśmy nią zapasy medyczne i żywność, po czym wszystko podpaliśmy.

Ułożyliśmy partyzantów Wietkongu w równym rzędzie, żeby kumple nie mieli kłopotów z ich odnalezieniem. Potem podłożyliśmy pod zwłoki miny pułapki. Prima aprilis, panie Charlie!

Dokonałiśmy też pewnego odkrycia. Przed barakami stały trzy pary czegoś, co wyglądało jak gumowe rakiety śnieżne wykonane ze starych opon i brezentu. Ron Rodger znalazł je i przyniósł mi jedną.

- Co to, u licha?

Podrapałem się w głowę.

- Niezła zagadka.

Kochey wziął to coś do ręki.

157

CZEŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

- Wygląda jak rakieta śnieżna.

Eagle Gallagher przytaknął.

- Rakieta błotna - powiedział. Wskazał na zwłoki Wietnamczyków. - Żaden z nich nie waży więcej niż trzydzieści pięć kilo, nawet jak zje obiad. Wkładają toto i chodzą po wodzie, utrzymując się na powierzchni błota. My, wielcy gringo, w naszych cholernych buciorach idziemy na dno jak kamienie. A Charlie się ślizgają - tu zrobił parę ruchów naśladowujących jazdę na łyżwach - i nie zostawiają śladów.

Kochey przytaknął.

- Ja bym się zgodził. - Rozejrzył się. - Dick, co myślisz?

- Przebiegłe małe sukinsyny, co? - Spojrzałem na zegarek: 16.55. Prawie pięć godzin w terenie. - Chyba powinniśmy się odmeldować.

- Raczej nie mamy już miejsca na więcej pamiątek.

- No to spierniczamy.

Ustawiliśmy drużynę i wróciliśmy do kanału obładowani łupami. Przyjeliśmy szyk naprzemienny: dwóch strzelców, za nimi jeden z pamiątkami. Potrzebna była też dodatkowa ostrożność, bo Charlie nie mógł już teraz nie wiedzieć, że ma gości.

Spojrzałem do tyłu na pięć ciał. Żałosne dupki nawet się nie dowiedziały, jak to się stało, że dostały. I dobrze, i tak powinno być.

Tu konieczna jest uwaga na temat tego, jak Amerykanie traktują na ogół akt zabijania. Podobnie jak większość mojego pokolenia wyrosłem na westernach, których bohaterzy - Hopalong, Roy czy Gene - po rycersku rzucają strzelbę na bok, kiedy typowi spod ciemnej gwiazdy kończy się amunicja, po czym pokonują drania gołymi pięściami. Może tak bywa w filmie, ale nie w rzeczywistości. W rzeczywistości strzela się do sukinsynów i się ich zabija - nie patrzy się, czy mają broń, czy nie, czy po nią sięgają, czy nie, czy wyglądają na niebezpiecznych, czy wydają się łagodni. W ten sposób zachowuje się przy życiu siebie i swoich ludzi. Wielu naszych oficerów wyższego szczebla ma inne zdanie. Woleliby raczej, żebyśmy to my dali się zabić, niż żeby dali się zabić nasi wrogowie. Ta postawa jest głupia i niewłaściwa.

158

ROZDZIAŁ

W Wietnamie widziałem na własne oczy wielu oficerów wyższego szczebla, którzy dużą część swojej służby spędzili za biurkiem, pisząc nawzajem do siebie wnioski o własne medale - a mowa tu o Brązowych i Srebrnych Gwiazdach - tylko dlatego, że raz czy dwa przepłynęli się PBR-em albo mike boatem. Ci sami ludzie czepiali się mnie, bo moje metody przesłuchiwania więźniów bywały czasem odrobinę brutalne - nie wahałem się poniewierać partyzantów Wietkongu albo bić ich, by wydobyć potrzebne informacje. Albo też oficerowie ci wściekali się na mnie, bo pozwalałem swoim dzikim rozbójnikom przerobić na kotlety dwóch czy trzech młodych, niewinnie wyglądających, niczego niepodejrzewających partyzantów Wietkongu. Cóż, nie miałem zamiaru przejmować się tym, czy zabijam żołnierzy Wietkongu w sposób właściwy (nie bardzo wiem, na czym polega zabicie w sposób niewłaściwy). Moi ludzie i ja przynajmniej wychodziliśmy w nieprzyjazne okolice i w ogóle zabijaliśmy wrogów, a nie siedzieliśmy w ciepłych pantoflach za jakimś biurkiem, gdzieś na tyłach, w przytulnym bunkrze.

W czasie amerykańskiej inwazji na Panamę pewien sierżant US Army zmiotł z powierzchni ziemi kilku panamskich cywili - „cywili”, którzy na blokadzie drogowej zaatakowali granatami ręcznymi amerykańskich żołnierzy. Za to, że prawdopodobnie uratował życie swoim towarzyszom, jego przełożeni nagrodzili go sądem polowym. Nie tylko podkopali w ten sposób morale wojska, ale wyrządzili temu sierżantowi ogromną krzywdę. Na szczęście uznano go za niewinnego, trudno jednak nie dostrzec studzącego zapal bojowy oddziaływania takich działań na wojsko.

Odwrotna sytuacja miała miejsce latem 1990 roku, kiedy pewien kapitan izraelskiej marynarki wojennej dowodzący łodzią patrolową zastrzelił z karabinu maszynowego czterech palestyńskich terrorystów unoszących się na falach po zatopieniu przez niego gumowego pontonu, w którym próbowali się dostać na izraelskie wybrzeże. Usprawiedliwił swój czyn, wyjaśniając, że nie wiedział, czy Palestyńczycy nie mają przy sobie ukrytych granatów ręcznych, których mogliby użyć

159

CZĘŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

przeciwko jego jednostce i załodze. Kapitan ten otrzymał z miejsca awans do stopnia komandora z rąk głównodowodzącego izraelskiej marynarki wojennej. Jasny i wyraźny komunikat, jaki dano w ten sposób młodemu izraelskiemu oficerom, był właściwy: opłaca się przedkładać życie własnych żołnierzy nad życie wrogów.

Moim zdaniem Purpurowe Serce nie jest żadnym zaszczytnym odznaczeniem. Mówiąc całkiem szczerze, zawsze uważałem, że to raczej medal uznania dla umiejętności strzeleckich nieprzyjaciela, i bardzo się cieszę, że nigdy takiego wyróżnienia nie „zdobyłem”.

Moja filozofia walki sprowadzała się więc zawsze do tego, żeby zabić nieprzyjaciela, zanim on zdąży mieć szansę zabić mnie, i używałem w tym celu wszelkich potrzebnych środków. Nigdy nie dawałem Charliemu równych szans. Strzelałem z zasadzki. Wykorzystywałem przewagę ogniową. Nigdy nie wdawałem się w walkę wręcz, o ile nie było absolutnie żadnej

innej możliwości. Moim zdaniem nóż szturmowy powinien być narzędziem, a nie orężem. Wszystkie te petardy, walki na noże, karate, judo, kung-fu i inne pierdoły, które się ogląda w filmach z gatunku „zabili go i uciekł” i innych Rambo-Jambo, to właśnie nic innego jak tylko pierdoły.

Zasady wojenne obowiązujące w rzeczywistości są proste i skuteczne: kiedy to tylko możliwe, zachowuj bezpieczną odległość i wpakuj nieprzyjacielowi w dupę tyle kul, ile zdołasz, zanim cię zobaczy. Więc w tym, że nasza siódemka właśnie zrobiła krwawą miazgę z pięciu niedożywionych, niczego niepodjęwających, nieuzbrojonych Wietnamczyków, nie widziałem niczego szokującego bezwzględnością, nie-moralnością czy niesprawiedliwością. Wszyscy moi SEALsi nadal żyli i było o pięciu nieprzyjaciół mniej.

Posuwaliśmy się na zachód, wykorzystując kanał jako osłonę. Jakies pół kilometra od baraków Wietkongu zdobyliśmy kolejne punkty: sampany. Było ich kilka, powiązanych razem i przycumowanych do brzegu. Nie było widać żadnego ruchu, ale podchodziliśmy ostrożnie:

160

ROZDZIAŁ

trzech z nas podpłynęło pod wodą, oskrzydłając łódki Wietkongu, po czym wynurzyło się tuż przy nich i weszło przez burty, po tym jak tylko dokładnie sprawdziliśmy, czy nie ma tam żadnym min pułapek.

Sampany były puste. Zatopiliśmy je i jak najszybciej się stamtąd oddaliliśmy. Nim pokonałszy 50 metrów z biegiem kanału, Patches Watson uniósł rękę, przywołując mnie do siebie.

- Panie Rick...

Zobaczyłem.

- Jezu!

Przez całą szerokość kanału rozciągnięty był pięciometrowy drut, prawie niezauważalny - jak pojedyncza nitka pajęczyny. Cofnęliśmy się.

- Sprawdźmy to.

Razem z Patjhesem ruszyliśmy do przeciwnych brzegów kanału. Mój koniec drutu prowadził w górę ku wałowi, przechodząc przez kępę ciernistych krzaków, a potem aż do grubego pnia, gdzie przywiązany był do profilowanego ładunku wybuchowego.

Nieźle te sukinsyny. Zagwizdałem na Eaglea Gallaghera, eksperta od EOD w Bravo. Eagle powoli rozbroił ładunek, po czym wszyscy znów ruszyliśmy do przodu. Parę metrów dalej odkryliśmy następny zestaw min pułapek. Tym razem Wietkong umieścił ładunki w samym kanale i poprowadził druty, a także ręczne detonatory wśród bujnej roślinności, która sięgała

pod wodę. Szlag! Gdybyśmy weszli od frontu, zostalibyśmy poszatkwani. Nic dziwnego, że partyzanci w punkcie przerzutowym niczym się nie przejmowali.

Spocilem się jak mysz, więc zanurzyłem się w kanale, by ochłonać. Dla utrzymania równowagi chwyciłem się zwieszającego się konaru. Zaliczyliśmy kolejną lekcję: powinniśmy z zasady wybierać wejście od tyłu. Może w przyszłości należałoby poświęcać więcej czasu na szukanie tylnych drzwi, kiedy będziemy wybierać się do pana Charliego.

W zamyśleniu spojrzałem na gałąź, której się trzymałem. Chciałem przesunąć rękę i podciągnąć się w górę. Jakies 7 centymetrów od

161

CZEŚĆ PIERWSZA ŚWIR

mojego palca na konarze opierała się głowa żmii z charakterystycznym wzorkiem lilii widocznym na ciemnym tle kory.

Cholera. To był ciężki dzień w dżungli dla Dickiego. Najpierw to błoto. Potem za plecami wybuchł mi granat. Niewiele brakowało, a wyleciałbym w powietrze na minach pułapkach. A teraz jeszcze ten wąż, którego ukąszenie potrafi zabić w dziesięć sekund.

Patrzyłem w częściowo zakryte powiekami oczy żmii. Moje oczy mówiły: „Ty suko, jak mnie nie siekniesz, to i ja cię nie sieknę”.

Powoli, powolutku, powolusieńku zagłębiałem się w wodę, aż... wreszcie... puściłem... palcami... konar. Będąc pół metra dalej, już poza zasięgiem drapieznika, wskazałem w stronę gałęzi.

- Żmija. Tam.

Cięcie maczety Jima Finleya przepołowiło trzydziestocentymetrowego węża. Z uśmiechem podał mi wciąż poruszającą się porcję mięsa.

- Ma pan ochotę, panie Rick?

Przedarcie się do ujścia kanału zajęło nam jeszcze dwie godziny. Mogliśmy poruszać się szybciej, ale obawiałem się min pułapek - nie mówiąc o żmijach. Poza tym spowalniał nas też ciężar łupów zdobytych na Wietkongu: AK, artykuły medyczne, dokumenty, notesy, terminarze i inne zapiski.

Zbliżał się już wieczór, kiedy wezwałem przez radio STAB-a, żeby nas ewakuował. Dotarliśmy do mike boata, wspięliśmy się na pokład i popłynęliśmy w górę rzeki, wyczerpani i upojeni sukcesem. Mieliśmy powody i do jednego, i do drugiego. Spędziliśmy na tej operacji cały dzień i dotarliśmy tam, dokąd nie dotarł dotychczas żaden Amerykanin.

Wyprawa Bravo na wyspę Ilo-Ilo została później nazwana przez US Navy „najbardziej udaną operacją SEAL w Delcie Mekongu”. Za jej poprowadzenie zdobyłem pierwszą ze swoich czterech Brązowych

ROZDZIAŁ 9

Gwiazd, jak również wietnamski Krzyż Walecznych ze Srebrną Gwiazdą od ARViN-a.

To był długi wieczór i poranek mojego siódmego dnia. W drodze powrotnej do My Tho zdrzemnęliśmy się. Gniewny Bóg SEALsów w końcu pozwolił odpocząć swoim siejącym śmierć dzieciom. Śniłem o gorących kobietach i zimnym piwie.

;

Rozdział 10

Po pierwszym okresie służby w Wietnamie wróciłem do Stanów z mieszanymi uczuciami. Pozytywne wiązały się z tym, czego dokonała moja drużyna. Staliśmy się oddziałem absolutnie zintegrowanym - myśleliśmy i działaliśmy jak jeden człowiek - którego członkowie potrafili bronić się nawzajem zarówno przed wietnamskim nieprzyjacielem, jak i amerykańską biurokracją. Byłem zadowolony, że chociaż przywożę ich do kraju poobijanych i podrapanych, to żaden nie odniósł poważnych ran. Ogromną radość odczuwałem na myśl o tym, że każdy członek drużyny Bravo miał otrzymać odznaczenie za swoje dokonania w Wietnamie. Cieszył mnie również mój własny rozwój. Sprawdziłem się w walce, a wkrótce po powrocie do Stanów zostałem awansowany na porucznika.

Medale i raporty z pochwałami były zewnętrznym potwierdzeniem czegoś dużo ważniejszego. Wierzyłem teraz, że potrafię być dowódcą. Moje instynktowne przekonania dotyczące walki okazały się solidne i w przeważającym stopniu godne zaufania. Poza tym umiałem wynajdywać sposoby, żeby wygrywać z systemem, który nas obciążał, albo przynajmniej wykorzystywać go dla naszego dobra.

ROZDZIAŁ 10

Po stronie minusów było uczucie zniechęcenia z powodu dającego się we znaki złego zarządzania i ogłupiającego myślenia, na jakie wydawały się ciągle natykać nasze działania w Wietnamie. Zdecydowanie za często nas, SEALsów, wysyłali do boju oficerowie marynarki

o ograniczonej wyobraźni, którzy nie mieli pojęcia o naszych możliwościach ani pomysłu, jak je wykorzystać. W związku z tym dawali nam te same zadania co oddziałom regularnym. To może się sprawdzać, kiedy ma się do czynienia z batalionem pozbawionych motywacji żołdaków. Ale nie sprawdza się, kiedy wysyła się do akcji małe, zabójcze oddziały świetnie wyszkolonych ludzi, którzy sami potrafią myśleć i są dumni z tego, że przejawiają inicjatywę.

Wśród swoich kolegów w Wietnamie miałem zarówno oficerów najlepszych, jak i najgorszych. Po stronie tych pierwszych byli tacy jak Fred Kochey, którzy potrafili poprowadzić swoich ludzi do piekła

1 z powrotem, jeśli była szansa przejścia konwoju Wietkongu albo zatopienia paru sampanów. Ale byli też tchórze, którzy wysyłali swoich ludzi, by robili to, czego oni sami albo by nie chcieli, albo nie potrafili zrobić. Byli też biurokraci, którzy zajmowali się robotą papierkową zamiast dowodzeniem swoimi ludźmi w polu, po czym pisali sobie sami wnioski o przyznanie Srebrnej Gwiazdy, bo raz im się zdarzyło słyszeć strzelaninę. I byli złodzieje - oficerowie, którzy wyróżnienia dla siebie zwyczajnie wykradali innym.

Pamiętam pewnego komandora (nazywał się Eagle, ale tak naprawdę żaden był z niego orzeł, tylko co najwyżej indor), który ukradł Srebrną Gwiazdę podoficerowi. Ni mniej, ni więcej, tylko własnoręcznie zarekwirował ten cholerny medal, ponieważ do zatoki Cam Ranh przyjeżdżał Lyndon Johnson, a komandor chciał mieć odznaczenie wręczone przez samego prezydenta.

Czy komandor brał udział w walkach? Powiedzmy tak: co sześć czy siedem dni pływał PBR-em. Przez resztę czasu przekładał papiery. Czy do niego strzelano? Może raz czy dwa. A ten okradziony podoficer, chorąży, dowodził PBR-em i całe miesiące był w samym centrum walk. Ale okantowano właśnie chorążego. Oczywiście, w końcu dostał

165

CZĘŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

swój medal, tyle że prezydent powinien przypiąć go właśnie do jego munduru, a nie do munduru jakiegoś zarozumiałego gnojka.

Jeśli chodzi o medale, to tego rodzaju zachowanie było typowe. Hank Mustin niemal postawił mnie przed sądem polowym z powodu pierwszej nocy drużyny Bravo na rzece - tej nocy, kiedy wzywałem Spookyego, kiedy ostrzeliwaliśmy wyspę swobodnego ostrzału i wróciliśmy do bazy bez sztuki amunicji w magazynkach. Tymczasem nim Hank zdążył wsadzić mnie do paki, zdarzyła się zabawna rzecz: okazało się, że ślepym trafem Bravo udaremniło coś, co wywiad marynarki opisał później jako znaczny przerzut z Wietnamu Północnego. Trafiliśmy dokładnie na sam środek ich akcji i czystym przypadkiem spuściliśmy nieprzyjacielowi arcyłomot.

Zgadnijcie, kto zgłosił swój wniosek o odznaczenie Brązową Gwiazdą za misję, którą nazywano teraz pierwszą zakończoną powodzeniem operację SEAL w Delcie Mekongu? Komandor podporucznik Hank Mustin. To co, że jego wkład w zabawę tamtego wieczora był mniejszy niż żaden?

W związku z tym, kiedy wróciłem do Stanów na początku czerwca, wybrałem się do wydziału odznaczeń w głównym budynku Marynarki Wojennej w Waszyngtonie i złożyłem skargę w tej sprawie. Nie wiem, czy zabrano Mustinowi Brązową Gwiazdę - zależało mi tylko na tym, żeby moje zastrzeżenia zostały zapisane w aktach. Ale jedno jest pewne: ze spojrzeń, jakimi mnie tam obdarzano, wiem, że nigdy wcześniej żaden podporucznik nie przyszedł kwestionować odznaczenia medalem komandora podporucznika.

W Wietnamie zyskałem sobie reputację buntownika, indywidualisty i samotnika. Część tych opinii była zasłużona - zawsze miałem kłopot z przyjmowaniem rozkazów od ludzi, których nie szanuję, i dawałem im to odczuć. Moja obrazoburcza postawa znajduje odzwierciedlenie w opiniach służbowych na mój temat z roku 1967. Zostałem tam oceniony jako „wybitny - jeden na stu” w takich dziedzinach, jak

166

ROZDZIAŁ 10

wyobraźnia, pracowitość, inicjatywa, siła („wypełnia swoje obowiązki w pozytywny i entuzjastyczny sposób”) oraz fachowa wiedza. Ale w dziedzinach: niezawodność, sposób zachowania i współpraca, dostałem jedynie notę „wyjątkowy”.

„Wyjątkowy” może wydawać się dobrą oceną, ale - jak mi wtedy mówiono - taka nota nie bardzo pomaga na usankcjonowanych od dawna ścieżkach kariery. A najniższe oceny uzyskałem w tych właśnie dziedzinach, które najbardziej bolały moich przełożonych. Miałem agresywny i szorstki sposób zachowania. Kłamię jak marynarz. Dopuszczałem się rękoczynów wobec ludzi, którzy mnie wkurzali. Byłem skłonny do współpracy, kiedy uważałem, że będzie to w jakiś sposób dobre dla moich ludzi, ale nie miałem zahamowań, żeby komuś powiedzieć „spier***aj”, i nie miało znaczenia, ile belek ten ktoś ma na rękawie. A nieświadomy byłem wobec swojej drużyny, wobec plutonu i wobec SEAL Team Two - w tej właśnie kolejności. To były moje priorytety. Osoby postronne powinny polegać same na sobie - takie było moje zdanie.

Tak więc te opinie służbowe stanowiły rzetelne odzwierciedlenie tego, kim byłem w tamtym czasie. Jako szeregowy i podoficer nienawidziłem biurokracji, ale nie bardzo byłem w stanie cokolwiek z nią zrobić. Dlatego zawsze chciałem zostać chorążym. Moim zdaniem to chorążowie, a nie oficerowie, rządzą marynarką. Dlatego powiedziałem kapitanowi, który chciał, żebym poszedł do SKO, że wolałbym być chorążym w drużynie niż admirałem. Jednak jako podporucznik miałem nadzieję, że będę mógł zmienić system - poruszyć go choćby odrobinę. Okazało się, że jest inaczej.

Bo rzeczywiście, kiedy zostałem podporucznikiem, moja podległość wobec liczykrup i urzędasów stała się jeszcze bardziej dokuczliwa niż to, z czym stykałem się jako szeregowiec czy podoficer. Będąc marynarzem w UDT, miałem nas sobą chorążego Barretta, który chronił mnie przed głupotą oficerów. Będąc oficerem, musiałem stawiać czoła chronicznej dupkowatości moich kolegów dzień po dniu - a nawet godzina po godzinie.

167

CZEŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

Na przykład w trakcie naszych misji bywaliśmy na patrolu dwa, a nawet trzy dni poza bazą i nikt w Bravo się nie skarżył. Natomiast kiedy zdarzało nam się wyjechać po coś do centrum dowodzenia miejscowym personelem, to stanowiący załogę całej dywizji biurek okularnicy, wazelinierscy formalisci, kazali nam czekać, aż skończą przysługującą im przerwę na kawę, a

niech Bóg ma w swojej opiece tego, kto by ich poprosił, żeby poświęcili mu dodatkowe dziesięć sekund swojego czasu.

Teraz drużyna Bravo była oddziałem bojowym - i tak też wyglądała. Dojrzałem do tego, by reagować na uśmiezki i kpiny, którymi nas witano, kiedy wchodziliśmy do jakiegoś urzędu, nie mając wyprasowanych mundurów polowych albo nienagannie podwiniętych rękawów. I nieraz narobiłem sobie kłopotów, wyciągając jakiegoś nadgorliwego sukinsyna za kłapy i każąc mu odpowiedzieć na cholerne pytanie mojego marynarza albo pomóc nam wypełnić jakieś przekłete formularze - natychmiast, w tej chwili - bo inaczej połamałbym mu kości albo mogłoby to się dla niego skończyć jeszcze gorzej.

Poza tym był ten system kastowy. Kiedyś na początku 1967 roku byliśmy z Patchesem Watsonem w Sajgonie po jakiś sprzęt i pomyśleliśmy, że miło by było dopaść gdzieś prawdziwy amerykański stek z browarkiem albo dwoma. Więc pomaszzerowaliśmy do najbliższego obiektu zbiorowego żywienia - trafiliśmy akurat na klub oficerski -i weszliśmy do środka.

Tuż za drzwiami stał żołnierz żandarmerii wojskowej na służbie. Spojrzał na moje naszywki podporucznika i skinął głową. Po czym położył dłoń na klatce piersiowej Patchesa. To było ryzykowne zachowanie.

- Pan wybaczy - powiedział do mnie. - Wstęp tylko dla oficerów.

Chwyciłem Patchesa, zanim dopuścił się przemocy fizycznej. Następnie opuściliśmy klub i poszliśmy za róg budynku. Nosiliśmy zielone mundury polowe i czapki korpusu piechoty morskiej, więc wziąłem swoje belki podporucznika, przymocowałem jedną pionowo na środku swojej czapki, a drugą na czapce Patchesa, tak jak noszą swoje belki porucznicy piechoty morskiej. Potem weszliśmy znowu do środka klubu, zaszalutowaliśmy żandarmowi - i dostaliśmy swoje steki.

168

ROZDZIAŁ 10

Pieprzyć regulaminy: zawsze uważałem, że jeśli uznajemy jakiegoś człowieka za kogoś, z kim razem można zginąć, to powinniśmy też uznać, że można razem z nim jeść. Ale wielu moich kolegów oficerów uważa, że jest inaczej. Mają do tego prawo. Tylko nie proście mnie, żebym z nimi służył.

Być może ja nie potrafiłem robić interesów z biurokracją, ale ona na pewno robiła interesy ze mną. Pod koniec czerwca 1967 roku, zaledwie dwa tygodnie po powrocie do kraju, zostałem wyznaczony do PR-owskiego tournee. SEALsi zawsze byli ściśle tajną jednostką. W Wietnamie nie nosiliśmy nawet naszywek z nazwiskiem. Zamiast nich mieliśmy numery - ja byłem 635. A teraz ni stąd, ni zowąd marynarka zdecydowała, że chce rozreklamować swoje siły specjalne. Nie podano nam powodu tej nagłej wolty, chociaż jak głosiła plotka, stało się tak dlate^b, że szef operacji morskich miał już powyżej uszu czytania o zielonych beretach US Army. Tak czy owak, zostałem odkomenderowany na PR-owskie tournee i miałem

tłumaczyć, kim są SEALsi, jak działamy i co zrobiliśmy w Wietnamie. Punktem kulminacyjnym tej trasy była wycieczka do Nowego Jorku, gdzie udzielałem wywiadów prasie i demonstrowałem broń SEALsów na okręcie cumującym w nowojorskiej przystani - a nazajutrz znalazłem swoje nazwisko i zdjęcie w tamtejszych „Daily News”. Autor tekstu towarzyszącego fotografii felietonista Sidney Fields powiedział, że mam „hollywoodzką urodę”. (Zawsze byłem zdania, że Fields powinien dostać za ten artykuł Pulitzera).

Efekt ubocznym moich piętnastu minut gwiazdorstwa było to, że pięć miesięcy później zobaczyłem swoje nazwisko na okładce magazynu „Małe”. Kiedy otworzyłem pismo, nie mogłem uwierzyć w to, co czytam. Była to okropnie nieudolnie sklecona fikcyjna opowieść o tym, jak to skaczę z samolotu z wysokości 7500 metrów nad Deltą Mekongu z bezodrzutowym granatnikiem 57 mm na plecach! Nagłówek brzmiał: „Por. »Dick Demolka« Marcinko - najbardziej zabójczy człowiek rekin marynarki w Wietnamie”. Autor artykułu nigdy ze mną nie rozmawiał. Część swojego materiału ukradł z mojej

169

CZĘŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

sylwetki przedstawionej w nowojorskich „Daily News”, a resztę musiał zmyślić.

Nawiasem mówiąc, skutki mojego reklamowego tournée utrzymywały się dłużej, niż mogłem się spodziewać. Po pierwsze, po publikacji tamtej opowieści w „Małe” nikt już nie mówił do mnie „panie Rick”. Mówili albo Demo, albo Dick, albo Demo Dick. Dużo później dowiedziałem się, że tekst ten został jeszcze wskrzeszony na nowo: okazało się, że Wietkong i Wietnamczycy z Północy też czytają „Małe”.

Kiedy wróciłem do Little Creek, przekonałem dowódcę SEAL Team Two Squirrelly ego Earleya, żeby przydzielił mi drugi okres służby w Wietnamie. Jako chorąży spełniałem wymagane warunki, by móc dowodzić własnym plutonem. Za pierwszym razem byłem podporucznikiem, najniższym rangą oficerem marynarki, i mimo że Fred Kochey najczęściej popuszczał mi cugli, nie mogłem posunąć się tak nieprzyzwoicie daleko, jak bym chciał. Poza tym uważałem, że jeśli dostanę cały pluton, będę mógł wykorzystać ten większy, czternasto-osobowy oddział do tego, by ustawić poprzeczkę działań SpecWar marynarki wyżej, niż kiedykolwiek ją stawiano - chociaż na pewno nie mówiłbym o tym nikomu ze struktury dowodzenia.

Musiałem nieustannie lobbować przez jakieś dwa tygodnie, ale po pewnej dawce obowiązkowego wiercenia się na krześle Earley w końcu powierzył mi 8. pluton. Było to dla mnie jak wcześniejszy prezent na Gwiazdkę - coś w rodzaju kolejki elektrycznej dla dorosłych.

Moje pragnienie kolejnego wyjazdu na wojnę nie zostało dobrze przyjęte w domu. Jeśli zsumować okres szkoleniowy SEALsów, półroczny pobyt w Wietnamie oraz jego trzytygodniowe przedłużenie w Binh Thuy w celu przekazania instrukcji nowym SEALsom, no i trasę reklamową, nie było mnie w domu prawie przez okrągły rok. A teraz miałem

wyjechać znowu i nie wiadomo było, kiedy wrócę. Byłem obcym człowiekiem dla własnych dzieci - i dla własnej żony. Ale trudno:

170

ROZDZIAŁ 10

chciałem pojechać, przywykłem, że dostaję to, czego chcę, a Kathy zaciągnęła się na żonę marynarza - na dobre i złe.

Na pewno było jej ciężko, ale jej los nie różnił się od losu tysięcy innych marynarskich żon mieszkających na obszarze jakichś 250 kilometrów kwadratowych, który obejmował miasta Virginia Beach i Norfolk. Każda rodzina, z której ktoś wyjeżdża na misję zagraniczną, musi uporać się z rozstaniem i związanymi z tym niedogodnościami.

Poza tym role męskie i kobiece pod koniec lat sześćdziesiątych były dużo dokładniej określone, niż jest obecnie. W tamtych czasach zadaniem Kathy było opiekowanie się dziećmi; moim zadaniem było opiekowanie się chłopakami. Będąc w terenie, odkryłem, że kiedy człowiek czołga się w środku nocy przez pole ryżowe otoczony przez czyhających na jego życie wrogów, to nie spędza długich godzin na rozmyślaniu o domu i rodzinie. Tak naprawdę to nie spędza na podobnych rozmyśleniach ani chwili - bo jeśli się nie skupisz na zabiciu nieprzyjaciela, on zdąży to zrobić wcześniej. Więc w tamtym czasie życie rodzinne było dla mnie mniej ważne niż praca. I tyle. Wiem, że ktoś, kto dzisiaj mówi takie rzeczy, może wydawać się nieczuły, bezduszny i ograniczony. Cóż, może byłem nieczuły, bezduszny i ograniczony. Ale tak żyła większość nas, SEALsów. I prawdę mówiąc, czułem większą bliskość wobec ludzi, z którymi służyłem, niż wobec żony i dzieci. Przeszliśmy wspólnie w drużynie dużo więcej, niż większość mężów i żon przechodzi przez całe życie.

Z ogromnym zapałem wziąłem się do szkolenia 8. plutonu. Postanowiłem ruszyć z kopyta od razu po przybyciu do Wietnamu i chciałem przygotować ludzi na to, co ich tam czeka. Dałem im maksymalny wycisk. Zabrałem ich do Panamy, żeby przywykli do pracy w tropikalnym klimacie. Pozwoliłem specom z US Army szkolącym siły specjalne dla Ameryki Łacińskiej wykonać ich numer „dżungla twoim przyjacielem”. Potem zgłosiłem swój pluton na ochotnika do odegrania roli oddziału agresora podczas kilku sesji ćwiczebnych zielonych беретów. Patrzyłem z zadowoleniem, jak spuszcza my łomot wojskom lądowym. Podchodziliśmy ich na najrozmaitsze sposoby: podkradaliśmy się nocą

171

CZEŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

i związywaliśmy ich w hamakach. Kradliśmy im żywność i broń. Wyjmowaliśmy im portfele z mundurów i pisaliśmy sprośne listy do ich żon i dziewczyn. Paru oficerów sił specjalnych zarzuciło nam, że gramy nie fair.

- Powiedźcie to Wietkongowi, jak będziecie siedzieć na granicy z Kambodżą - odpowiedziałem. - Po prostu wejdźcie w dżunglę, mocno zaciśnijcie kciuki i krzyczcie:

„Gramy fair!“. Na pewno się tym przejmą. Po prostu uwielbiają grać uczciwie. Każdy partyzant, którego zabiłem, nosił na piersi oprawione w skórę wydanie reguł markiza Queensberygo razem ze zdjęciem Ho Chi Minha.

Reguły? Łamałem ich mnóstwo podczas szkolenia. Ale bardziej obchodziło mnie to, żeby sytuacja była realistyczna dla żołnierzy, niż żeby nie zranić ego jakiegoś oficera. Na przykład wbrew regulaminowi kładłem nacisk na sesje z użyciem ostrej amunicji symulujące różne sytuacje, z jakimi zetknąłem się w Wietnamie. Bezpieczne, łatwe ćwiczenia nie przygotowują nikogo do tego, że ktoś do niego strzela. Kiedy chodziliśmy ścieżkami w Camp Pickett albo Fort A.P. Hill, nosiliśmy broń gotową do strzału - tak jak się chodzi po ścieżkach w Wietnamie. Pamiętałem, jak źle szło 2. plutonowi ze strzelaniem do ciągniętych celów, dlatego ćwiczyliśmy całymi tygodniami, aż potrafiliśmy trafić we wszystko, w co celowaliśmy - za dnia i w nocy. Pracowaliśmy nieustannie nad metodami infiltracji i ewakuacji, aż umieliśmy szybko i cicho urządzać zasadzki i się z nich ulatniać, bo nauczyłem się pod nieprzyjacielskim ostrzałem, że to w tych momentach oddział jest narażony na największe niebezpieczeństwo.

Pomogłem członkom 8. plutonu wyostrzyć instynkty i nauczyłem ich reagować natychmiast.

- Nigdy niczego nie zakładajcie - mówiłem im ciągle. - Nawet wtedy, kiedy wydaje się wam, że jesteście całkiem bezpieczni.

Bez przerwy powtarzałem, że integralność oddziału jest najważniejsza. I ćwiczyliśmy to, o czym mówiłem. Jedliśmy i piliśmy, i bawiliśmy się jako grupa. Rozbijaliśmy się po barach w całej Virginia Beach, a kiedy kończyliśmy tłuc wszystkich obcych, braliśmy się sami za łby.

172

ROZDZIAŁ 10

Był to niekonwencjonalny ryt inicjacji dla tych czternastu ludzi, którzy szkolili się na wojowników, ale z paroma wyjątkami nie zaznali jeszcze widoku własnej krwi w boju. A sposób, w jaki ich do tego przygotowywałem, miał stać się moim zwyczajem: zastosowałem go ponownie, kiedy dowodziłem SEAL Team Two, i zastosowałem go też do scalenia w jedno SEAL Team Six.

Wtedy, w roku 1967, robiłem wszystko na wyczucie. Ale moja intuicja była dobra. Nieprzerwana styczność wszystkich ze wszystkimi sprawiła, że pluton myślał jak jedna całość. Każdy czuł się dobrze ze wszystkimi pozostałymi, a ostre kany i denerwujące zwyczaje tępiły się w codziennym ocieraniu się ciał i osobowości. Zaczęliśmy myśleć jak rodzina, przedkładając potrzeby grupy nad własne, osobiste pragnienia.

Ważnym elementem tego procesu stapiania się w jedno było picie. I nie było to zwykłe bezsensowne bawienie się gównianych macho ani studenckie popijawy. Zawsze byłem wyznawcą zasady in vino veritas. Pięć czy sześć godzin mocnej balangi po dwunastogodzinnym dniu ostrego szkolenia pokazywało mi, jak moi ludzie funkcjonują, kiedy są wykończeni, kiedy przestają panować nad sobą i zaczynają mieć zwidy - i jak sobie

radzą następnego ranka, kiedy mimo pękającej głowy i przekrwionych oczu trzeba znowu przepłynąć 10 kilometrów, przebiec 15 albo strzelać do celu na punkty. Naprawdę wiele można powiedzieć

0 człowieku, patrząc, jak sobie radzi z alkoholem.

Czas spędzany w barach przyspieszał też scalenie się grupy. Im więcej razem pili, tym silniej potrafili zewrzeć się w obronie przed obcymi, tym ściślej byli związani. Nigdy nie uważałem, że mężczyzna powinien pić, żeby się sprawdzić, ale uważam, że oddział tak mały

1 tak mocno zjednoczony jak pluton SEALsów powinien bawić się regularnie - nawet co noc - żeby osiągnąć ten rodzaj scalenia, który może wytworzyć tylko więź koleżeństwa utrzymywana po godzinach. Ta jedyna w swoim rodzaju postać formowania integralności oddziału się sprawdziła. Pod koniec listopada miałem czternastu bezwzględnych sukinsynów, ludzi, z których każdy mógł wypić mocz drugiego

173

CZEŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

(i pił), ludzi, co do których byłem pewien, że w tropieniu i zabijaniu potrafią dorównać najlepszym.

Tak więc na początku grudnia 1967 roku w dwutygodniową odyseję, która miała zakończyć się w Binh Thuy, wyruszyła pierwszorzędna grupa. Zatrzymaliśmy się w Kalifornii na parę dni wypoczynku. Przekonałem się wówczas, że szkolenie plutonu zostało zakończone, kiedy zajechaliśmy do Tijuany na dwa solidne dni balowania i większość moich ludzi wołała wrócić do Stanów przez pilnie strzeżoną zieloną granicę niż zwykłą drogą przez przejście graniczne.

Moim zastępcą był podporucznik Frank G. Boyce zwany Gordy, całkiem niezły bysior. Prawdziwy człowiek rakiet: arogancki, impulsywny, dożarty, pyskawy - miał wszystko, co lubię u faceta. Młodszy ode mnie, był oficerem rezerwy, a pochodził z rodziny właścicieli majątków w Nowej Anglii. Jego ojciec był kumplem Ellswortha Bunkera, wysokiego siwowłosego arystokratycznego amerykańskiego ambasadora w Wietnamie. Ale Gordy nigdy nie robił sprawy ani ze swojego bogactwa, ani z pochodzenia. Tak naprawdę to był tak popaprany, że aż było to nienormalne. Nie pił na przykład alkoholu. Ale potrafił kompletnie schlać się wodą z kranu czy coca-colą - zupełnie jakby wlał w siebie kratę piwa. Wszyscy wiedzieli, że to chodząca jednoosobowa balanga.

Miałem również w plutonie Harry ego Humphriesa. Harry pochodził z bliskiego mi New Jersey: wielki Irlandczyk, ciemnowłosy kawał chłopca, ponad metr osiemdziesiąt i 90 kilogramów. Ale najważniejsze, że był to prawdziwy buntownik. Jego zamożna rodzina mieszkała w Jersey City, a Harry studiował na Rutgersie, tyle że życie studenckie mu nie wystarczało, więc w poszukiwaniu ciekawych doświadczeń zaciągnął się do marynarki i przeszedł szkolenie UDT. Pierwszy raz spotkałem go w 4. plutonie Teamu 22 UDT. Kiedy wróciłem do kraju po pierwszym pobycie w Wietnamie, Harryemu skończył się już okres

służby. Wrócił do Jersey City, gdzie matka zmusiła go, by zajął się prowadzonym przez rodzinę biznesem - zakładem przetwórstwa

174

ROZDZIAŁ 10

tłuszczów. Moim zdaniem robienie smalcu było czystym marnowaniem jego prawdziwych talentów.

Z drugiej strony, warunki, w jakich się Harry marnował, były luksusowe. Marynarskie kwatery zamienił na rodzinną posiadłość miejską Humphriesów - otoczony trzymetrowym murem kwartał Jersey City. Na kwadratowym terenie za bramami z kutej stali, niczym w mafijnej posiadłości z Ojca chrzestnego, stało siedem niemal identycznych domów z cegły. Harry emu dostał się jeden, w którym mieszkał ze swoją żoną Pat, była modelką, poznaną na wyspie Saint Thomas. Mieli małe dziecko. Sielanka.

Jersey City leży niezbyt daleko od New Brunswick, więc podczas wyprawy w odwiedziny do własnych krewnych wpadłem do Humphriesów. Wyszliśmy z Harrym na piwo i chwilę razem pogadaliśmy.

Po kilku kuflach Harry powiedział mi, że nudzi go wyrabianie smalcu i łoju.

- Szkoda, że nie zostałem w teamach, Dick. Już bym na pewno pojechał do Wietnamu tak jak ty.

Nie dałem nic po sobie poznać. Opowiedziałem Harryemu, jaki ubaw miałem podczas pierwszego wyjazdu. Opowiedziałem mu, co robiła drużyna Bravo i w co się mogliśmy tam pobawić.

- Będę też tam wracał. Zabieram własny pluton.

- Bez jaj. Super, Dick!

- Super? Har, to dopiero będą wakacje, mówię ci. Super jazda, cholerny ubaw. Taplanie się w błocie. Kule wszędzie dookoła. Strzelanie do żółtków. Zaj**ista sprawa.

Humphries trzymał szklankę przed oczami i wpatrywał się przez piwo w lustro nad barem. Wiedziałem, o czym myśli. Zarzuciłem wędkę.

- Masz rację. Strasznie szkoda, że zrezygnowałeś. Moglibyśmy naprawdę nieźle razem się zabawić.

Kiwnął głową.

- No pewnie. - Łyknął piwa. - Wiesz, odszedłem niedawno, łatwo mógłbym odnowić uprawnienia, gdybyś mógł mnie wciągnąć do SEALsów.

175

CZEŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

- No co ty? Zamieniłbyś to, co tu masz, na kwatere marynarza?
- Dick, to, co tu mam, to pieprzony tłuszczowy biznes i wcale mi się to nie podoba.

Postawiłem szklankę na barze.

- Coś ci powiem. Jak chcesz się zaciągnąć, to pewnie uda mi się wepchnąć cię do SEALsów. Masz uprawnienia skoczka i nurka. W dwa miesiące możemy zrobić resztę.

Namyślał się chwilę. Twarz rozciągnęła mu się w uśmiechu.

- Pat mnie zabije - powiedział.
- Nie no...
- Zakład? Ona jest wniebowzięta, że robię w biznesie. Uwielbia nasz rodzinny kwartał, zwłaszcza że jest w ciąży z drugim dzieckiem. Mamy wszystko, czego potrzeba. A co ona będzie miała w Virginia Beach? Szeregówkę? Domek kempingowy?
- Przyzwyczai się.
- Dupa, nie się przyzwyczai. Może i się przeprowadzi, ale nigdy się nie przyzwyczai. - Pociągnął łyk piwa. - A jak rodzina się dowie, że odchodzę, to będę miał przesrane.

Walnąłem go mocno w ramię.

- Co znaczy, że odchodzisz?
- Z biznesu.

Walnąłem go drugi raz.

- Pieprzyć biznes. Jak będziesz miał czterdzieć, to możesz robić biznes. Ile masz teraz? Dwadzieścia sześć? Dwadzieścia siedem? Zabaw się trochę. Poskacz z samolotu. Strzelaj i napierdzielaj. Potem dopiero wróć tu i przez resztę życia paraduj w szarym gaj erze, a nikt ci słowa nie powie.

Dopiłem piwo, zamówiłem jeszcze jedną kolejkę i wysunąłem szkło w stronę Humphriesa.

- Dawaj, Harry, wypijmy za to. Za to, dla czego przede wszystkim wstąpiłeś do teamów: żeby być łowcą.

Nie musiałem go bardzo przekonywać, bo był już zdecydowany, na długo zanim poszliśmy wtedy się napić. Ale nie sposób było tego

wytłumaczyć jego żonie ani matce, które były przekonane, że ponowne zaciągnięcie się Harryego do marynarki to całkowicie i wyłącznie moja wina. Najbardziej wkurzona była starsza pani Humphries. Gdy Harry i Pat przeprowadzili się na południe do Virginia Beach, Pat miała już drugie dziecko. Kiedy znaleźli mieszkanie (rzeczywiście była to szere-gówka), matka Harryego pojechała z nimi opiekować się niemowlęciem.

Kiedy spotkałem ją po raz ostatni, podetknęła mi pod nos brudną pieluchę i zaskrzeczała jak pomarszczona irlandzka kostucha:

- Cholera jasna by cię wzięła! Do diabła z tobą, Richardzie Marcinko! Przez ciebie mój syn się zaciągnął, teraz zabierasz go do Wietnamu, gdzie mogą go zabić, a nas zostawiacie z tym!

Spojrzałem na Harryego i zobaczyłem w jego oczach pełen ulgi uśmiech: „Lepiej, że to spadło na nią, a nie na nas”.

Moim sanitariuszem był Doc Nixon. Jednen z tych, którzy „wodowali” SEAL Team Two - jeden z pierwszych SEALsów na Wschodnim Wybrzeżu. Na pierwsze imię miał Guy, a na drugie Richard, ale nie przypominam sobie, żeby ktokolwiek nazywał go inaczej niż Doc. Był to straszny błękitnooki wojownik. I prawdziwy niewolnik własnego fiuta - bardzo niebezpieczny dla kobiet.

Pierwszy stoner był w rękach Rona Rodgera, który wiedział już, czego może się po mnie spodziewać, bo był ze mną w drużynie Bra-vo podczas poprzedniego wyjazdu. Eagle Gallagher i Patches Watson też wracali do Wietnamu, ale tym razem mieli zostać przydzieleni do 7. plutonu. Rodger natomiast miał jechać ze mną. Bardzo byłem z tego zadowolony. Ten sukinsyn wciąż świetnie się bił - i potrafił zrobić wszystko, jeśli się go poprosiło.

Był też Louis Kuciński - kolejny z tych, którzy „wodowali” SEAL Team Two. Nazywałem go Hoss (od bohatera serialu Bonanza) albo Ski. Był to typowy wielki bosmanmat, Polak z uszami jak u garnka, silny i milczący. Twarz miał tak chropowatą i dziobatą, jakby właśnie mu ją wypiaskowano. I był bystry - nigdy nie trzeba mu było niczego mówić dwa razy. Tak naprawdę rzadko trzeba było Hossowi mówić cokolwiek choćby raz.

177

CZEŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

Kuciński miał żonę: piękną, długowłosą, drobniutką jak komar kobietę, którą nazywał Tiger i która kochała go tak zupełnie i całkowicie, że ilekroć wypili parę piw, potrafiła rzucić się na niego i ładować, ile tylko miała siły. Machała rękami, a on tylko coraz bardziej się śmiał, podnosił ją i zacałowywał na śmierć.

Kolejny z moich SEALsów, Frank Scollise, był niskim, chudym jak astmatyk nałogowym palaczem z Blacksburga w Wirginii, zabitej dechami wiochy położonej na pogórzu Appalachów, jakieś 40 kilometrów na zachód od Roanoke. Był to traper - myśliwy, który za każdym razem, kiedy wyjeżdżaliśmy na manewry do Camp Pickett czy Fort A.P. Hill, zawsze zadbał, żebyśmy zjedli pieczoną wiewiórkę albo jelenia, a poranną kawę potrafił nam

zaparzyć ze skorupkami jaj i brudną skarpetą w dzbanku. Był drobnym facetem - nawet po dużym obiedzie nie ważyłby więcej niż 65 kilo - z gęstym zarostem, który musiał golić dwa albo trzy razy dziennie. W ogóle wyglądał jak górnik, bo można go było nie wyjmować spod prysznicą i myć, czym tylko się dało, a on cały czas miał szary smolisty nalot na skórze. Mógł całymi tygodniami siedzieć na słońcu, a i tak wyglądał, jakby był chory.

Nazywałem go Slow Frank (Wolny Frank), bo tak właśnie się poruszał: mdło i bez werwy. Nigdy nie na tyle szybko, żeby wywołać powiew powietrza własnym ruchem. Był staroświeckim marynarzem. Zwykle nosił burbon w manierce, a z kącika ust zawsze zwisał mu papieros bez filtra. Scollise cierpiał na ciągły, irytujący kaszel nałogowego palacza, który jakimś cudem udawało mu się tłumić, ilekroć wyruszaliśmy na patrol. Nienawidził pływać, ale trudno byłoby mi sobie wymarzyć lepszego człowieka do lutownicy - albo karabinu.

Freddie Toothman był Panamczykiem: ten spokojny hiszpańsko-języczny ciemnoskóry gigant okazał się bardzo przydatny do współpracy z Wietnamczykami. Może była to kwestia podobnego temperamentu, może podobało mu się urządzenie łowów na Wietkong. Tak czy owak, sprawiało mu prawdziwą radość prowadzenie wypadów przygotowanych przez miejscowe jednostki zwiadowcze złożone ze zbiegów z Wietkongu, w ramach programu Phoenix.

178

ROZDZIAŁ 10

Za drugiego stonera odpowiadał Clarence Risher, który był naszym Jamesem Deanem. Tyczkowaty kędzierzawy młody buntownik, potrafiący rzucić urok swoimi ciemnomigdałowymi oczami, dorastał w kolejnych bazach wojskowych, w których służył jego ojciec, podpułkownik piechoty morskiej. Risher był najmłodszym żołnierzem w plutonie - nie pod względem daty urodzin, ale pod względem zachowania. Robił się milczący, ponury i drażliwy, kiedy nie dostawał tego, czego chciał. Lubił popsocić, ale nie był przy tym rozrabiaką jak większość dawnych chłopaków z UDT. Frank Scollise albo Ron Rodger na przykład potrafili rzucić człowiekiem o ścianę i spuścić mu nieziemski łomot, kiedy mieli ochotę się zabawić. Risher był bardziej przywiązany do zagrywek werbalnych - młodzieńczych przepychanek z boiska szkolnego, które w sumie sprowadzały się na ogół do odzywek typu: „Możesz mi nasko[^]yć” i „Sam sobie możesz naskoczyć”.

Zawsze uważałem, że SEALsi nie powinni bawić się w tego rodzaju dziecinne gierki, i martwiło mnie to u Rishera. Najwyraźniej wychodziło to, kiedy pił. Upijał się na wesoło i rozgadywał. Ale po paru piwach wpadał na ogół w monolog o tacie pułkownika. Po chwili stawało się to operą mydlaną. Clarence wstąpił do marynarki, bo tata był marinę. Był podoficerem, bo tacie udało się jakoś wpoić mu przekonanie, że nie jest dość dobry, żeby zostać oficerem. Został SEALsem, bo uznał to za najlepszy sposób, żeby udowodnić tacie, że też jest mężczyzną.

Tuż przed wylotem do Wietnamu Risher się ożenił. Nie dlatego, że się bez pamięci zakochał, ani nie dlatego, że bał się stracić dziewczynę. Zrobił to, bo miał jakieś takie przekonanie, że

należyto zrobić. Ale przy całej swojej dziecinności Risher miał autentyczny talent do karabinu maszynowego Stoner. Był wysoki (grubo ponad metr osiemdziesiąt) i silny (jakieś 90 kilogramów) - i potrafił unieść tyle amunicji, że ważył prawie o połowę więcej. Ten dzieciak był być może niedojrzały i dokuczliwy jak wrzód na dupie, ale zawsze robił, co do niego należało.

Dennis Drady to był następny niechluj z dawnych czasów. Etatowy mękoła naszego plutonu: ciągle komuś przynudzał. Zazwyczaj zrzędził tak długo, aż ktoś mu przypieprzył.

179

CZEŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

- Wzięłeś wystarczająco dużo amunicji? - pytał Hossa.
- Pamiętałeś rano, żeby wyczyścić karabiny maszynowe? - wiercił dziurę w brzuchu Ronowi Rodgerowi albo Clarenceowi Risherowi.
- Dostałeś jakieś świeże dane z wywiadu? - wypytywał mnie.

Drady był niskim facetem z długim nosem. Jego małe ciemne oczy,

wielkie jak u szczura przednie zęby i spłaszczona twarz nadawały mu wygląd złośliwego gryzonia. Podobieństwo do fretki wzmacniały my-siobrazowe proste włosy i szybkie, nerwowe ruchy.

Ciągle musiałem w sobie walczyć z chęcią uduszenia go, bo naprawdę był jak wrzód na dupie. Z drugiej strony, bez Dennisa zapomnielibyśmy kiedyś prawdopodobnie własnych głów. Miał świetną pamięć do szczegółów. Był uzdolnionym zwiadowcą i jego talenty bardzo się przydawały, gdy szedł na szpicy. Mękolił, to prawda, ale zdarzało się, że kiedy byliśmy oddaleni o jakieś 30 czy 40 kilometrów od swoich i odkrywaliśmy, że zapomnieliśmy zapasowych iglic do AK-47 albo że zginęła nam rolka drutu, najczęściej to właśnie Drady sięgał wtedy do kieszeni z zadowolonym uśmiechem, wyjmował brakujący element wyposażenia i mówił:

- Mówicie, panie, żeście tego, o tu, też nie wzięli?

Może i wymawiał to jak „panie”, ale brzmiało jak „chamie”. Uwielbiałem to.

Było nas w sumie czternastu - a jeden lepszy od drugiego, co pokazały statystyki plutonu. Dotarliśmy do Binh Thuy 17 grudnia 1967 roku, a wyjechaliśmy stamtąd 20 czerwca 1968 roku. W ciągu tych sześciu miesięcy przeprowadziliśmy sto siedem patroli bojowych. Zabiliśmy stu sześćdziesięciu pięciu partyzantów Wietkongu, których śmierć udało się potwierdzić, plus kolejnych mniej więcej sześćdziesięciu, których śmierć została uznana za prawdopodobną. Pojmaliśmy ich niewiele poniżej stu, zniszczyliśmy 5 ton ich ryżu i 11 ton lekarstw, zagarnęliśmy masę broni, granatów, materiałów wybuchowych i innych śmiercionośnych zabawek, zatopiliśmy mnóstwo sampanów

180

ROZDZIAŁ 10

i wysadziliśmy więcej baraków, bunkrów i blokad kanałów, niż chciałoby mi się spamiętać.

Nie zrobiliśmy też tego, siedząc na dupie w statycznych zasadzkach. To była bierna taktyka, jaką wymyślił Hank Mustin, kiedy byłem tu pierwszy raz. Wyluzowani jak surferzy SEALsi z Teamu One z Zachodniego Wybrzeża siedzący w strefie Rung Sat nadal posłusznie wypływali co wieczór i zasadzali się gdzieś w dżungli, czekając, aż akurat będzie ich mijał Wietkong - i regularnie ginęło przy tym całkiem sporo chłopaków.

Na tym polegało sedno problemu: rola SEALsów w Wietnamie została sformułowana, określona i wyreżyserowana przez nie-SEALsów. To był błąd. Wojna wietnamska była pierwszym konfliktem, w którym walczyli SEALsi. I nie wolno nam było robić tego wszystkiego, do czego byliśmy szkolili. Dlaczego? Odpowiedź jest prosta: bo dowodzili nami oficerowie, którzy byli szkoleni na kapitanów okrętów - nawet kapitanów atomowych okrętów podwodnych - albo na lotników, a nie na pełnych zapału, ochoczych, pieprzonych wojowników z dżungli. Potrzebowaliśmy walecznych żołnierzy z jajami jak granaty, a dostaliśmy złamasów urzędasów.

O wojnie myśleli w sposób konwencjonalny: jak o jakimś statycznym wydarzeniu, podczas którego linie nie zmieniają się za bardzo. O Wietnamie myśleli tak, jakby to była Korea albo Europa z czasów drugiej wojny światowej: wojna, podczas której jedna strona atakuje drugą, zajmuje pewne terytoria - i wojna zostaje wygrana. Nie mieli pojęcia na temat operacji partyzanckich ani wojen, które się wygrywa albo przegrywa na poziomie drużyny. A co najgorsze, chcieli, żeby SEALsi zachowywali się biernie. O, nie: nie ja. Ja tu, k***a, chciałem polować. CZĘŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

- Wziąłeś wystarczająco dużo amunicji? - pytał Hossa.
- Pamiętałeś rano, żeby wyczyścić karabiny maszynowe? - wiercił dziurę w brzuchu Ronowi Rodgerowi albo Clarenceowi Risherowi.
- Dostałeś jakieś świeże dane z wywiadu? - wypytywał mnie.

Drady był niskim facetem z długim nosem. Jego małe ciemne oczy,

wielkie jak u szczura przednie zęby i spłaszczona twarz nadawały mu wygląd złośliwego gryzonia. Podobieństwo do fretki wzmacniały my-siobrazowe proste włosy i szybkie, nerwowe ruchy.

Ciągle musiałem w sobie walczyć z chęcią uduszenia go, bo naprawdę był jak wrzód na dupie. Z drugiej strony, bez Dennisa zapomnielibyśmy kiedyś prawdopodobnie własnych głów. Miał świetną pamięć do szczegółów. Był uzdolnionym zwiadowcą i jego talenty bardzo się przydawały, gdy szedł na szpicy. Mękołił, to prawda, ale zdarzało się, że kiedy byliśmy oddaleni o jakieś 30 czy 40 kilometrów od swoich i odkrywaliśmy, że zapomnieliśmy zapasowych iglic do AK-47 albo że zginęła nam rolka drutu, najczęściej to właśnie Drady

sięgał wtedy do kieszeni z zadowolonym uśmiechem, wyjmował brakujący element wyposażenia i mówił:

- Mówicie, panie, żeście tego, o tu, też nie wzięli?

Może i wymawiał to jak „panie”, ale brzmiało jak „chamie”. Uwielbiałem to.

Było nas w sumie czternastu - a jeden lepszy od drugiego, co pokazały statystyki plutonu. Dotarliśmy do Binh Thuy 17 grudnia 1967 roku, a wyjechaliśmy stamtąd 20 czerwca 1968 roku. W ciągu tych sześciu miesięcy przeprowadziliśmy sto siedem patroli bojowych. Zabiliśmy stu sześćdziesięciu pięciu partyzantów Wietkongu, których śmierć udało się potwierdzić, plus kolejnych mniej więcej sześćdziesięciu, których śmierć została uznana za prawdopodobną. Pojmaliśmy ich niewiele poniżej stu, zniszczyliśmy 5 ton ich ryżu i 11 ton lekarstw, zagarnęliśmy masę broni, granatów, materiałów wybuchowych i innych śmiercionośnych zabawek, zatopiliśmy mnóstwo sampanów

180

ROZDZIAŁ 10

i wysadziliśmy więcej baraków, bunkrów i blokad kanałów, niż chciałoby mi się spamiętać.

Nie zrobiliśmy też tego, siedząc na dupie w statycznych zasadzkach. To była bierna taktyka, jaką wymyślił Hank Mustin, kiedy byłem tu pierwszy raz. Wyluzowani jak surferzy SEALsi z Teamu One z Zachodniego Wybrzeża siedzący w strefie Rung Sat nadal posłusznie wypływali co wieczór i zasadzali się gdzieś w dżungli, czekając, aż akurat będzie ich mijał Wietkong - i regularnie ginęło przy tym całkiem sporo chłopaków.

Na tym polegało sedno problemu: rola SEALsów w Wietnamie została sformułowana, określona i wyreżyserowana przez nie-SEALsów. To był błąd. Wojna wietnamska była pierwszym konfliktem, w którym walczyli SEALsi. I nie wolno nam było robić tego wszystkiego, do czego byliśmy szkoleni. Dlaczego? Odpowiedź jest prosta: bo dowodzili nami oficerowie, którzy byli szkoleni na kapitanów okrętów - nawet kapitanów atomowych okrętów podwodnych - albo na lotników, a nie na pełnych zapału, ochoczych, pieprzonych wojowników z dżungli. Potrzebowaliśmy walecznych żołnierzy z jajami jak granaty, a dostaliśmy złamasów urzędasów.

O wojnie myśleli w sposób konwencjonalny: jak o jakimś statycznym wydarzeniu, podczas którego linie nie zmieniają się za bardzo. O Wietnamie myśleli tak, jakby to była Korea albo Europa z czasów drugiej wojny światowej: wojna, podczas której jedna strona atakuje drugą, zajmuje pewne terytoria - i wojna zostaje wygrana. Nie mieli pojęcia na temat operacji partyzanckich ani wojen, które się wygrywa albo przegrywa na poziomie drużyny. A co najgorsze, chcieli, żeby SEALsi zachowywali się biernie. O, nie: nie ja. Ja tu, k***a, chciałem polować.

Rozdział 11

;

Kiedy dotarłem do Binh Thuy, poczułem się, jakbym wrócił do domu -tyle że w ciągu tych sześciu miesięcy, kiedy mnie nie było, wprowadzono sporo ulepszeń. Cały kompleks marynarki został przeniesiony parę kilometrów wzdłuż drogi i poszerzony, tak że zrobił się ponad dwa razy większy niż pierwotnie. Kiedy 17 grudnia wylądował tam 8. pluton, nowe obiekty pozbawione już były poprzedniego klimatu przypominającego czasy gorączki złota: z błotem na ulicach i wszystkim, co typowe dla dynamicznie rozbudowującego się miasta. Prawie jakbyśmy wrócili do Little Creek.

Nie było już rozklekotanych doków z chwiejącymi się palami i pływającymi beczkami. Nowe pomosty wykonano z żelbetu i drewna. Drewniane budynki baraków miały klimatyzatory w oknach i łazienki w amerykańskim standardzie z prysznicami z wodą (pod standardowym amerykańskim ciśnieniem). Znikły biura w barakach z blachy falistej. Zbudowano nowy kompleks magazynów i warsztatów naprawczych: konstrukcje oparte na stalowych szkieletach o przekroju litery A, które umocowano na masywnych wylewanych płytach z żelbetu. Znalazło się nawet miejsce na małe lądowisko.

185

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

Był klub oficerski, klub dla podoficerów i szeregowych, siłownia, składy na nasze wyposażenie i sprzęt i mnóstwo klimatyzowanych pomieszczeń administracyjnych. Te ostatnie były przeznaczone dla wiewiórek wywiadu, by mogły w nich tworzyć niekończące się maszynopisy raportów, które rozpląwały się gdzieś w powietrzu - prawdopodobnie lądowały w opasłych teczkach jakiegoś admirała na Hawajach albo i w Pentagonie.

Posadziłem ludzi i zameldowałem się u Hanka Mustina, który nadal był tam szefem operacji (choć za parę tygodni miał dostać zmiennika i wrócić do kraju). Przywiozłem mu kilka paczek z domu i najwyraźniej ucieszył się na mój widok. Jego przyjazny wyraz twarzy kazał mi się domyślać, że moja skarga w sprawie jego Brązowej Gwiazdy nie wyszła poza akta sprawy.

Mustin przypomniał mi, że jestem w Wietnamie po to, żeby być częścią zespołu, a nie odgrywać samotnego strażnika. Powiedział, że oczekuje się ode mnie, że będę dostarczał plany operacyjne, tak by kwatera główna wiedziała, co szykuje 8. pluton, i że będę poświęcał większość czasu na wsparcie operacji rzecznych.

- Sporo się tu zmieniło, Dick. Daj sobie parę tygodni na zapoznanie się z bieżącymi procedurami i do roboty.

Uścisnąłem mu dłoń, potrząsnąłem nią i zsalutowałem energicznie, mówiąc:

- Jak pan sobie życzy, sir.

Tak powiedziałem. Jednak już sześć dni po przyjeździe 8. pluton się wymknął. Nie krępując sobie swobody ruchów takimi konwenansami jak hierarchia służbowa, nie tracąc czas na

jakieś tam: „Za pańskim pozwoleniem”, Mordercze Osilki i Weseli Rozbójnicy Marcinki zaplanowali sobie swój własny, niepowtarzalny rodzaj wsparcia operacji rzecznych.

Na pierwszy patrol wybraliśmy się 26 grudnia, niosąc Wietkon-gowi złą nowinę o śmierci i braku pociechy, i żadnej w ogóle radości. Moje elfy dokonały nocnego lądowania na wyspie Tan Dinh na jednym z ujść Mekongu w prowincji Vinh Long, poszły na polowanie i zabiły

186

ROZDZIAŁ

panu Charliemu pięciu ludzi. Najszczęśliwsze amerykańskie życzenia: wesółych, kulwa, świąt.

Kiedy w kwaterze głównej odkryto, że na tę noc nie było żadnych działań, które bym mógł wspierać, próbowano ściągnąć nas z powrotem przez radio. Z kamienną twarzą wyjaśniłem później, że jakimś cudem sygnał docierający z Binh Thuy do naszego PBR-a był po prostu za słaby, żeby cokolwiek dało się odebrać. A kiedy już byliśmy na miejscu - cóż, obowiązywała nas cisza radiowa, więc wyłączyliśmy odbiorniki. Poza tym zgłosiłem im przecież, co będę robił. Złożyłem plan operacji, dokładnie tak, jak mi to nakazano.

„UNODIR (unless otherwise directed, w razie braku innych rozkazów) - napisałem - 8. pluton dokona potajemnego lądowania na wyspie Tan Dinh w celu przeprowadzenia rozpoznania terytorium i odszukania rrejsce koncentracji wojsk nieprzyjacielskich, sieci kurierskich oraz infrastruktury Wietkongu, ze szczególnym uwzględnieniem infrastruktury komunikacyjnej”. To co, że ani Hank Mustin, ani dowódca TF116, jakiś gówniany komandor, nie mieli akurat w toku żadnych operacji rzecznych w promieniu 20 kilometrów od Tan Dinh? Sporządziłem plan, zostawiłem go w centrum łączności i kazałem łącznościowcowi odczekać dwie godziny przed przekazaniem go Musti-nowi. Nikt nie wydał mi innych rozkazów, więc zrobiliśmy dokładnie to, co chcieliśmy. Kiedy wróciliśmy, Hank był wściekły. Ale co mógł zrobić? Mielśmy pięciu potwierdzonych zabitych partyzantów i trzech przypuszczalnych: całkiem niezły nocny urobek - jakbyśmy byli zaprawionym w boju plutonem, a nie zieloną bandą nowicjuszy. Mustin pokręcił tylko głową, objechał mnie bez przekonania, po czym zostawił nas w spokoju.

W ten sposób ustaliliśmy stały sposób postępowania. Następnej nocy - UNODIR - polowaliśmy na południowym wschodzie, na wyspie Dung, prawie na Morzu Południowochińskim, i zabiliśmy trzech wietnamców.

Sześć dni później, 2 stycznia 1968 roku, uczciliśmy dzień Narodów Zjednoczonych polowaniem na Wietkong w Ke Sach, w prowincji

187

CZĘŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

Ba Xuyen, na południowy wschód od Binh Thuy. Tej nocy doszliśmy do sześciu. Zachwycony Frank Scollise powiedział mi, że chyba przekroczyliśmy dopuszczalny limit.

- Pod koniec to już było na pewno kłusownictwo, szefie - mówił ze śmiechem, kiedy siedzieliśmy ściśnięci na pokładzie przysłanego nam do ewakuacji PBR-a, obalając parę browarów.

Czterdzieści osiem godzin później zniknęliśmy w trybie UNODIR, udając się do prowincji Phong Dinh w pobliżu Can Tho. Schwytaliśmy pięciu partyzantów Wietkongu, zabierając ich w środku nocy z baraków. Tuż obok spało prawdopodobnie z dziesięciu wrogów, ale nikt nie usłyszał, jak wchodzimy i wychodzimy.

9 stycznia znikliśmy na dwudniowy patrol znowu w prowincji Phong Dinh. Wietnamcy wzmocnili na tym terenie strażę, bo porwanie pięciu żołnierzy odebrali jako zniewagę. Więc znieważyliśmy ich znowu: raniliśmy dwóch i wyrwaliśmy kolejnych sześciu prosto z baraków. Zaczynało się robić zabawnie.

Po pierwszych dwudziestu pięciu dniach mieliśmy już na koncie tuzin patroli, dwa tuziny zabitych partyzantów, kolejny tuzin pojmanych, zniszczenie 49 baraków, 64 bunkrów i prawie 1,5 tony ryżu, spalenie dwóch przystani rybackich i zatopienie całej masy sampanów. Słyszałem trochę narzekania na nasze metody, ale nikt, z Hankiem Musti-nem włącznie, nie mógł się skarżyć, bo byliśmy po prostu za bardzo cholernie skuteczni. Pan Charlie z pewnością dowiedział się, że w sąsiedztwie zamieszkał właśnie ktoś baaardzo zły. Nie wiedział tylko dokładnie, kim jesteśmy - a my ani myśleliśmy mu to zdradzać.

Jedną z przyczyn zakłopotania Wietkongu było to, że zaczęliśmy już działać jak miejscowi. W czasie pierwszego pobytu w Wietnamie zrezygnowałem z noszenia amerykańskich butów wojskowych, zamieniając je na przypominające tenisówki buty beta, jakie nosili żołnierze południowowietnamscy z ARVN-u. Nie było sensu zostawiać śladów jak traktor - w rozmiarze gringo 45, zgodnych z amerykańskimi normami - żeby pan Charlie mógł nas wytropić. W ciągu pierwszego miesiąca w Wietnamie zaczęliśmy pozbywać się swoich butów beta od

188

ROZDZIAŁ 1

Marvina, a nosić sandały ze spodami jak z opony, ulubione buty Wiet-kongu. Nie wkładaliśmy ich na każdy patrol - tylko wtedy, kiedy wybieraliśmy się daleko w głąb wąskich kanałów i dopływów, gdzie całymi kilometrami musieliśmy chodzić po groblach i przeprowadzać zwiad w wioskach Wietkongu, zanim się do nich zakradliśmy i porwaliliśmy jeńców. W miarę jak posuwaliśmy się groblami coraz dalej i w głąb dżungli, zacząłem nawet chodzić po ścieżkach boso. Łatwiej było wy-macywać miny pułapki bez butów - a znajdujący odciski moich stóp wietnamcy naprawdę musieli drapać się w głowę.

Część chłopaków zaczęła zostawiać M16 w bazie, a zamiast nich zabierać ze sobą zdobyte AK-47. Amunicji do AK nigdy nie brakowało, bo zabieraliśmy ją zabitym partyzantom - w okolicy było więcej żołnierzy Wietkongu niż białasów - a karabiny te miały charakterystyczny dźwięk, zupełnie inny niż trzeszczący świst M16 strzelających amunicją kalibru .223 cala o wysokiej prędkości.

Ale chodziło o coś więcej niż sama podmiana butów i broni. Zaczęliśmy myśleć jak partyzanci, posuwając się do coraz straszniejszych i brudnych metod. Hoss Kuciński nosił zawsze dwa albo trzy LAW-y, jednorazowe jednostrzałowe lekkie granatniki przeciwpancerne. Przydawały się do wysadzania baraków i zawalania tuneli. Rury po LAW-ach zostawialiśmy na miejscu, zawsze z miną pułapką. Przygotowywaliśmy też w specjalny sposób amunicję Wietkongu. Kiedy znajdowaliśmy jakiś duży tajny skład, zabieraliśmy ze sobą parę skrzynek, po czym tak preparowaliśmy łuski, żeby eksplodowały podczas strzału. Kiedy jechaliśmy na kolejny patrol, zabieraliśmy skrzynki ze sobą i zostawialiśmy je na miejscu. Chrząń się, Charlie.

Odkryłem nowe wspaniałe sposoby kantowania pana Charliego. Wkładaliśmy na przykład swoje buty gringo i szliśmy w nich na tyle daleko, żeby zostawić zauważalny trop - ślady tak szerokie i głębokie, że świeciły jak neon. Po czym zdejmowaliśmy amerykańskie buciory, a wkładaliśmy buty beta albo sandały, albo szliśmy boso, wycofując się ostrożnie, i właśnie tam, gdzie ślady gringo robiły się najwyraźniejsze, ukrywaliśmy na ścieżce maty reagujące na nacisk. Były w nich

189

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

ukryte detonatory, które podłączaliśmy do min przeciwpiechotnych Claymore - śmiertelnych profilowanych ładunków wybuchowych. Był to ujmujący sposób, w jaki 8. pluton mówił Wietkongowi: „Cześć, chłopaki, jesteśmy tuuu! Tut-tu-tu!”.

W pierwszym tygodniu stycznia wpadłem na jednego z moich kumpli z SEALsów, Josego Taylora, którego przydzielono do MIKE Force, powstałych z inicjatywy CIA elitarnych jednostek specjalnego reagowania. Drużyny MIKE Force współpracowały z grupami miejscowego plemienia Montagnardów, przeprowadzając szybkie, skuteczne ataki na silne pozycje Wietkongu i Armii Wietnamu Północnego oraz spiesząc z pomocą znajdującym się w niebezpieczeństwie oddziałom sił specjalnych. Część żołnierzy MIKE Force zaczęła nosić podczas akcji ubiór przypominający używane przez partyzantów Wietkongu czarne piżamy. Uznałem, że to dobry pomysł, i zapytałem, czy Jose mógłby znaleźć dla mnie parędziesiąt takich czarnych strojów w dużym rozmiarze. Dostałem je następnego dnia. Z innego źródła wytrzasnąłem trochę starych mundurów polowych z francuskim kamuflażem, które dodaliśmy do naszych zapasów.

Chodziło mi o to, żeby zdezorientować Wietkong, żeby jego żołnierze nie wiedzieli, kim naprawdę są napadający ich zamaskowani ludzie. Czy są to duchy ubrane w czarne piżamy, czy może pozostałości francuskiej Legii Cudzoziemskiej, czy jakiś inny czort? Czy to czternastu ludzi - czy stu czternastu? Im większą niepewność udawało nam się wzbudzić w Wietkongu, tym lepiej było dla moich SEALsów.

Miałem również mocno ugruntowane przeświadczenie, że powinniśmy poszerzać obszar naszych operacji. Chociaż część oficerów wyższego stopnia uważała, że moje wypady w trybie UNODIR są skandaliczne, ponieważ nie były przeprowadzane w ramach zapewniania

bezpośredniego wsparcia żadnej większej operacji, ja jednak byłem przekonany, że to, co robię, mieści się w kategorii konwencjonalnych operacji SEALsów: infiltracji, zasadzek i uprowadzeń. Poza tym wszystkie te działania wiązały się z wodą: czy były to rzeki, kanały, czy pola ryżowe.

190

ROZDZIAŁ 1

Podczas pierwszego okresu służby w Wietnamie zacząłem atakować Wietkong z zaskoczenia. Robiłem to, uderzając z rzeki oraz z miejsc położonych w głębi mniejszych kanałów i dopływów, docierając do przeciwnika po groblach, by móc uderzyć na niego, zanim zdąży przejść w stan pogotowia i zorganizować obronę.

Teraz chciałem dostać się bliżej głównych tras zaopatrzeniowych, by ukręcić panu Charliemu łeb, zanim jeszcze zacznie organizować punkty przerzutowe. Na ile potrafiłem to określić, najlepszym miejscem do takich operacji wydawała się granica z Kambodżą i przebiegająca przez nią cała sieć prowadzących z północy dróg, które razem tworzyły Szlak Ho Chi Minha. Regularnie przybywały tamtędy setki - a nawet tysiące - Wietnamczyków z Północy wraz z konwojami zaopatrzenia.

Stolicą prowincji położoną najbliżej Kambodży było miasto Chau Doc, które leży niecałe 5 kilometrów od granicy. Problem polegał na tym, że chociaż Chau Doc znajdowało się na samym brzegu rzeki Bassac, która biegła dalej z północnego zachodu, od Phnom Penh, to jednak dzieliło je od Binh Thuy jakieś 120 kilometrów, a marynarka nie prowadziła nigdzie w pobliżu żadnych operacji rzecznych. Ani też, co sprawdziłem, nie miała żadnych takich operacji w planach. Co gorsza, siły specjalne US Army uważały, że Chau Doc to ich własne królestwo, i kadra oficerska marynarki nie zamierzała działać na nerwy wojskom lądowym.

Nadeszła więc pora na kolejny wypad typu UNODIR. Temat Kambodży poruszyłem z Gordym, kiedy siedzieliśmy w klubie oficerskim przy paru browarach. Był gotów na wszystko, bo właśnie przed chwilą skończył galowe przedstawienie swojego numeru popisowego, tańca płonącej dupy, po którym zawsze trzeba było pomagać publiczności zbierać się z podłogi.

Co to takiego ten taniec płonącej dupy? Była to zabarwiona silnym ładunkiem emocjonalnym forma ekspresji Gordyego: najpierw artysta wprawiał się w stan kompletnego odurzenia przy użyciu wody mineralnej, a może nawet czegoś mocniejszego, na przykład gazowanego napoju imbirowego, po czym wskakiwał na stół, zrzucał spodnie

191

CZĘŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

i majtki, wtykał sobie papier toaletowy między pośladki, odwijał prawie 2 metry, a wtedy ktoś mu to zapalał. Celem przedstawienia było przekonanie się, jak blisko będzie potrafił dopuścić

plomień do odbytu, zanim urwie płonąca końcówkę. Był to jeden z tych wspaniałych klasycznych numerów w stylu SEALsów.

Gordy ego trochę piekło, bo tego wieczora za długo czekał z urwaniem taśmy.

- Ty to masz jednak równo nasrane pod sufitem - powiedziałem. -Ale wiesz? Mam świetne lekarstwo na ból zwieracza.
- Co takiego, szefie?
- Mała wycieczka krajoznawcza na święta. - Zbliżał się wietnamski księżycowy Nowy Rok, święto Tet, kiedy wszystko spowalniało.
- Gdzieś konkretnie?
- Myślałem o Chau Doc.
- Chau Doc na święto Tet. - Gordy myślał o tym parę sekund.
- Pozwiedzamy, a potem tuż przed zawieszeniem broni pójdziemy do lasu i urządzimy posterunek obserwacyjny.

Jego twarz przybrała wyraz nieopisanej błogości. Gordy wiedział, co się szykuje. Była to technika, którą opracowałem podczas pierwszego pobytu. Kiedy kazano mi nie nawiązywać kontaktu z nieprzyjacielem, robiłem po prostu tak: urządzałem posterunek obserwacyjny tak daleko za liniami Wietkongu, że musieli się na mnie natknąć i zacząć strzelać. Wtedy wolno mi było odpowiedzieć ogniem.

- To już naprawdę wszyscy się wk***ią - powiedział.
- Też tak myślę.
- Jak to zrobimy?
- Po prostu popłyniemy.
- UNODIR?
- Może być. Niech się wałą. Jak się ktoś będzie pytał, zabieramy pluton na wypoczynek.

Tak więc w drugim tygodniu stycznia zarekwirowałem marynarce parę helikopterów Seawolf, zabrałem na wycieczkę cały pluton i poleciliśmy w górę rzeki, śpiewając w drodze I Cant Get No Satisfaction.

192

ROZDZIAŁ 1

Pilotom też udzielił się dobry nastrój, bo przelatywali tuż nad wioskami i nurkowali w kierunku lustra wody, aż zanurzały im się płozy, kiedy wchodziliśmy w zakręty. Lecieliśmy w górę rzeki Bassac, na północny zachód, do Chau Doc, do pokrytego warstwą pyłu

kompleksu US Army Special Forces na skraju miasta. Był to stary francuski hotel, który umocniono workami z piaskiem, dostawiono do niego baraki z blachy falistej dla łącznościowców, żelbetowe bunkry na amunicję, wszystko ogrodzono koncertiną i postawiono wieże strażnicze.

Byliśmy ubrani jak przystało na turystów: na twarzach pełen kamuflaż, na głowach bandany, poza tym nasze nowe czarne piżamy i buty beta. Przez szyje mieliśmy jak Pancho Villa przewieszane pasy z amunicją i taszczyliśmy ze sobą spory wybór specjalistycznych środków ochrony osobistej, które mogły nam się przydać, gdyby ktoś poprosił nas o lekcję poką^ową. Mój ulubiony kalibru 9 mm z tłumikiem trzymałem w kaburze, a pistolet maszynowy Swedish K przewiesiłem sobie przez ramię. Gordy Boyce zabrał swojego shotguna ze stali nierdzewnej - obrzyna kalibru 12 z ładowaniem typu pump-action i z rozpylaczem poziomym. Ta broń kosiła wroga płaską smugą grubego śrutu i była szczególnie skuteczna na polach ryżowych. Hoss Kuciński dźwigał na plecach cztery LAW-y. Ron Rodger i Clarence Risher mieli swoje stonery i cali byli opasani amunicją. Doc Nixon i paru innych miało AK-47. Nie nosiliśmy ani nieśmiertelników, ani żadnych oznaczeń stopnia czy oddziału.

Sześciu z nas wyskoczyło z pierwszego śmigłowca, który momentalnie odleciał, robiąc miejsce drugiemu. Ten wypłuł resztę plutonu, uniósł się w niebo, odwrócił i poleciał na południe.

Z kwatery głównej wypadł z podskokach niczym królowa poranka starszy sierżant sztabowy sił specjalnych. Z wybałuszonymi oczami wpatrywał się w nas przez unoszący się jeszcze pył, a wyraz jego twarzy kazał mi się domyślać, że nie podoba mu się to, co widzi.

- A wy kto, do licha?

- Marcinko - powiedziałem z uśmiechem. - Porucznik Marcinko, SEAL Team Two, sierżancie.

193

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

Zasalutowałem. On też - po chwili wahania.

- Jesteśmy z posterunku rzecznoego w Binh Thuy.

Patrzył na mnie w osłupieniu. Staralem się mówić powoli.

- SEALs: słyszał pan o nas? Oddział SpecWar przydzielony przez marynarkę do Task Force 116? - Zero reakcji. - Chcielibyśmy przyjrzeć się, jak tu w regionie Chau Phu wygląda ryzyko narażenia na atak nieprzyjaciela, i rozciągnąć nasze operacje wodne na wasz teatr działań.

- Nie jesteśmy tu narażeni na atak nieprzyjaciela, poruczniku.

Mrugnąłem do niego spod kamuflażu.

- Miło mi to słyszeć, sierżancie. - A poza tym wal się pan na ryj.

Poprosiliśmy z Gordym o zaprowadzenie nas do dowódcy. Nieskazitelnie czyste biuro pułkownika zielonych beretów było udekorowane olbrzymią amerykańską flagą na dwumetrowym drzewcu umieszczonym za spizowoszarym metalowym biurkiem. Pułkownik wyglądał jak z plakatu werbunkowego: siedział wyprostowany w wykrochmalonym mundurze ze skórzanym pasem i wytwornym coltem kalibru .45 cala ze stali nierdzewnej. Pedantycznie podwinęte rękawy odsłaniały opalone bicepsy, a stalowoszare włosy miał przystrzyżone dokładnie i krótko na jeża. Kanty były zaprasowane na żyłkę. Zsalutował tak nienagannie, jakby pół życia spędził w kompanii reprezentacyjnej.

Ale to wszystko było tylko przykrywką. Stojąca na biurku piękna ręcznie wypisana tabliczka „Główny doradca sektora” nie była wystarczającą barierą, by powstrzymać odór stęchłej whisky, jakim zalatywało od siedzącego za nią pułkownika Spit and Polish (Pedancika). Olśniewające lotnicze okulary w złotych oprawkach też na nic się zdały, bo zdradzały go widoczne za nimi gałki oczne: można na nich było dostrzec charakterystyczne dla alkoholików czerwone żyłki. Za całym tym blichтром skrywała się przerażona dusza manekina, który boi się odgłosu wystrzału, dusza człowieka, który stracił wszelką ochotę do walki. Czytałem w nim jak w otwartej księdze - i muszę powiedzieć, że nie spodobało mi się w niej ani jedno zdanie.

Pułkownik powitał Gordy ego i mnie wyrażającym obrzydzenie i odrazę grymasem wygiętych brwi, jakim wytworne damy z Park

194

ROZDZIAŁ 1

Avenue obdarzają wchodzących im w drogę zaślinionych bezdomnych. Zapytał, dlaczego nie mam żadnych oznaczeń stopnia ani oddziału, ani nieśmiertelnika i dlaczego noszę nieregulaminową broń. A przede wszystkim chciał wiedzieć, kto, do diabła, przysłał mnie na jego nienaruszalne terytorium bez pisemnego zezwolenia.

Wy tłumaczyłem swoje przybycie, starając się nie powiedzieć nic głupiego. Powiedziałem jego wyniosłości, kim są SEALsi i w jaki sposób moglibyśmy mu pomóc dzięki umiejętnościom, jakich nie mają jego chłopcy w zielonych beretach. Kiedy mówiłem, patrzył przeze mnie na wylot, jakbym był powietrzem, ale we właściwych momentach kiwał głową. Następnie poprosiłem go o wytyczne dotyczące sytuacji w terenie.

- Co do działań w terenie, to sytuację mamy opanowaną, poruczniku.

Prowadz regularne patrole, które śledzą wszelkie nieprzewidziane ruchy nieprzyjaciela. Mamy tu liczne oddziały Wietkongu i Armii Wietnamu Północnego, ale powstrzymujemy je dzięki stałej wysuniętej działalności patrolowej. Więcej: powiem panu, że jestem bardzo zadowolony z dobrej współpracy ze strony naszych walecznych partnerów z sił specjalnych Wietnamu Południowego.

Był to oczywiście standardowy zestaw oficerskich budżetów. Jednak podtekst słów pułkownika był jasny. Ani trochę mnie tu nie potrzebował - ani mnie, ani tego, co mu proponowałem. Podkreślał, że ma tu rozsiadane po całym terenie dwunastoosobowe oddziały amerykańskie, że dobrze i ściśle współpracuje z Marvinem ARVN-em oraz koordynuje swoje działania z regionalnymi oddziałami rekrutującymi się z miejscowej ludności, których zadaniem miało być wykrywanie działalności Wietkongu i Armii Wietnamu Północnego na poziomie wiosek.

- Jeśli o mnie chodzi, to wszystko idzie gładko... poruczniku. Nie jestem pewien, czy pańskie wyjątkowe umiejętności mogłyby nam się tu do czegoś przydać. A w każdym razie zdaje się, że z Binh Thuy mielibyście tu strasznie długą drogę zaopatrzenia.

- To tylko pół godziny lotu helikopterem plus wyskok, panie pułkowniku. Naprawdę: szybki wyskok, i już.

195

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

Kiwnął głową.

- Dobrze wiedzieć, synu. Gdyby pojawiło się coś nowego, dam znać.

Zasalutował, po czym odwrócił doskonale naoliwiony fotel z powrotem w stronę swojej papierkowej roboty. Mogliśmy odmaszerować.

Wyszliśmy z Gordym na zewnątrz.

- Do diabła z nim. Nie potrzebuje tu nikogo, kto mógłby mu zburzyć ten jego pieprzony domek z kart. Za słodko tu i za cicho.

Zebrałem pluton.

- Idziemy na spacer.

Jako SEALsów interesował nas kierunek na środowisko wodne i generalnie substancje płynne. Trochę wałęsaliśmy się po nadbrzeżu, zatrzymaliśmy się gdzieś na parę piw i sajgonek. Włócząc się tak po tym dawnym francuskim mieście kolonialnym, paręset metrów od nabrzeża natknęliśmy się na wielki biały dom, którego tyły wychodziły prosto na rzekę Bassac. Była to nie lada rezydencja: ogrodzenie miała z kon-certiny, a na zewnątrz siedzieli uzbrojeni po zęby strażnicy w podobnych do naszych czarnych piżamach. Przyglądali się nam podejrzliwie, kiedy wolnym krokiem szliśmy w ich kierunku.

Ja też się im przyjrzałem. Nie byli to Wietnamczycy, tylko Nungo-wie - pieprzeni wredni chińscy najemnicy. Jedli najbardziej pikantne żarcie, jakie kiedykolwiek miałem w gębie. Potrafili zabić człowieka, jak tylko go zobaczyli - a zabijać lubili powoli. Goście w moim typie. Pracowali dla moich towarzyszy broni z organizacji, którą nazywaliśmy czule Christians In Action, Chrześcijanie w Akcji - CIA.

Weszliśmy na werandę i zadzwoniliśmy.

Do drzwi wyszedł ubrany w pomięte przewiewne spodnie, sandały i jasnoniebieski barong (filipińską koszulę przypominającą gua-yabere, ulubiony strój wielu Amerykanów w Wietnamie) opalony ciemny blondyn w wieku jakichś dwudziestu pięciu lat z coltem kalibru .45 cala.

- Cześć - powiedział bez chwili wahania. Głos miał dość piskliwy. - Nazywam się Drew Dix i jestem regionalnym doradcą CORDS-u. A wy to kto, u licha?

196

ROZDZIAŁ 1

- Cześć, Drew - odpowiedziałem. - Nazywam się Dick Marcinko, jestem SEALsem i robię głupie rzeczy. Potrzebuję trochę wina dla swoich ludzi, trochę siana dla koni i jakiejś jamki dla swojego węża.

Ryknął ze śmiechu:

- Ja pie***lę! - i szeroko otworzył drzwi. - Dwie z tych rzeczy powinienem znaleźć. Witajcie w Białym Domu! Chodźcie, chodźcie, przyniesiemy parę browarów i pogadamy, jakie to głupie rzeczy można tu robić.

Uśmiechnąłem się pod kamuflażem.

- Louis, myślę, że to jest początek pięknej przyjaźni.

Jako PSA, czyli province senior adviser, starszy doradca prowincji w ramach CORDS-o (to z kolei akronim od Civil Operations and Revo-lutionary Development Support, stworzonego w 1967 roku programu pokojowego), Drew Dix koordynował programy obejmujące ludność cywilną z operacjami wojskowymi przeprowadzanymi przez Amerykanów i Wietnamczyków z Południa. Było to ciężkie zadanie. Drew był sierżantem sił specjalnych przydzielonym do CORDS-u. Wykonywał świetną robotę: rozwinął na tym terenie siatkę wywiadowczą i ściśle współpracował z Wietnamczykami, ale jak nam powiedział, ciągle czuł niedosyt. Jego przyczyną była sama struktura wietnamskiego społeczeństwa, ale także głupota i ośli upór, jakie nasz nowy znajomy napotykał w sąsiedztwie - w kompleksie wojsk lądowych, gdzie rządził pułkownik Spit and Polish.

Podobnie jak w czasie każdej wojny domowej, mówił Drew, w Wietnamie nastąpił podział wielu rodzin wynikający i z przyczyn geograficznych, i ideologicznych. Całkiem więc możliwe, że kuzyn lub wujek, a nawet brat oficera ARVN-u jest żołnierzem Wietkongu - tego samego, przeciwko któremu ten oficer walczy. Często zdarza się, że żołnierze przeciwnych oddziałów dorastali razem, więc kiedy któraś ze stron przygotowuje jakąś operację, wiadomość na ten temat przenika do strony przeciwnej.

197

CZĘŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

- No i mamy taką sytuację - powiedział Drew - że Charlie przygotowuje operację, więc Marvin rusza na niego, jest potworna strzelanina, ale nikt nikogo nie trafia, po czym obie strony się wycofują i idą na noc do domu. Naprawdę, Marcinko, do dupy z taką wojną.

- No a pułkownik Spit and Polish?

- Ale co?

- Czy on by...

- Dupa, nie żadne „czy on by”. Od tygodni nie wyszedł z tego swojego cholernego kompleksu. My tu zbieramy wywiad i podajemy mu na tacy, a on to wszystko przetrzymuje tak długo, aż jest za późno, żeby cokolwiek zrobić, no i wtedy wysyła jakiś symboliczny oddział. On jest gorszy niż ci pieprzeni Wietnamczycy.

To, co mówił Dix, potwierdził jego kolega z CLA, Westy.

- Ten żaloszny sukinsyn nie kiwnął palcem, żeby nam pomóc, odkąd mamy tu tę placówkę - powiedział, wyraźnie przeciągając samogłoski w sposób typowy dla mieszkańców Luizjany.

Wytań okągłą jak księżyc, czerwoną twarz błękitną bandaną, którą nosił w tylnej kieszeni.

- Bezużyteczne dupki - warknął jeszcze, wskazując nosem w kierunku włości pułkownika.

Westy mi się podobał. Był to przydzielony do Langley oficer - chyba major - sił specjalnych w okolicach trzydziestego piątego roku życia, niespieszny w ruchach miłośnik Jacka Daniela. Porzucił skradanie się po dżungli i spędzał teraz czas, siedząc w fotelu na biegunach w Białym Domu, całkiem zadowolony, że to Drew zajmuje się całym działaniem.

Zjedliśmy obiad z kuchni Nungów, po którym spociliśmy się jak rude myszy. Potem Drew i Westy opowiedzieli nam trochę o tym, jak wygląda sytuacja na granicy z Kambodżą.

- Tylko pamiętajcie, że za miastem wszystko należy do Wietkongu. W Kambodży mają wielki ośrodek szkoleniowy. Na południowy zachód od Chau Doc, przez Siedem Gór, prowadzi szlak zaopatrzeniowy, który idzie dalej na południe do Delty Mekongu.

- Sporo wiecie o Charliem - powiedział Gordy.

198

ROZDZIAŁ 1

Drew przytaknął.

- Mamy świetny wywiad. Problem w tym, że nic z tym nie możemy zrobić. - Osuszył jedno piwo, otworzył następne i porządnie pociągnął z puszki. - Nungowie nie mogą wychodzić codziennie, a pułkownik to cykor.

Podniosłem puszkę w stronę agenta CIA.

- My na pewno byśmy w to weszli. Do diabła, Westy, wy macie swój wywiad, ja mam swoje zwierzaki. Chyba moglibyśmy zrobić dobry interes.

Westy nabrał sobie pałeczkami odrobinę czerwonej papryki chili, gryzł ją przez chwilę, przetarł czoło wielką błękitną bandaną, której używał jako chustki, i pociągnął łyk piwa.

- Cholera, Marcinko, jak chcesz strzelać do żółtków, to po prostu idź, chłopie. Akirat teraz nikt na pewno im nie siedzi na karku.

Następnego dnia rano wziąłem radio, wezwałem seawolfy i odlecieliśmy z powrotem do Binh Thuy. Jak tylko tam dotarliśmy, uzgodniłem z kim trzeba, żeby wysłać dwa PBR-y w górę rzeki do Chau Doc. Pogadałem z paroma chorążymi i zadbałem o to, żeby były załadowane świetnymi wojskowymi stekami, doskonałą wojskową amunicją i wspaniałym cywilnym piwem. Potem uciąłem sobie pogawędkę w sąsiadującej z nami eskadrze seawolfów i powiedziałem pilotom, że według moich informacji w górze rzeki, w Chau Doc, rozpoczyna się sezon na Charliego. Piloci bardzo się ucieszyli i zapewnili, że dostaniemy wsparcie z powietrza, kiedy tylko będziemy potrzebowali.

W czasie gdy trwało tasowanie, przekładanie i rozdawanie całej ryzy papieru potrzebnego do przydzielenia nam PBR-ów, zapisaliśmy na swoje konto kilka następnych patroli z Binh Thuy. Wreszcie 28 stycznia złożyłem UNODIR-a u Hanka Mustina i pojechaliśmy na polowanie.

Chau Doc opuściliśmy wieczorem w wigilię święta Tet. Mój pomysł polegał na urządzeniu posterunku obserwacyjnego powyżej kanału Vinh Te, niecałe 1,5 kilometra na północ od miasta. Kanał przebiegał

199

CZĘŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

niewiele ponad 150 metrów na południe od granicy z Kambodżą i całymi kilometrami biegł równoległe do niej. Siedząc tam, stanowilibyśmy kuszący cel dla wietnamców - a gdyby tylko się ruszyli, żeby nas zaatakować, spuścilibyśmy im łomot.

Pułkownik Spit and Polish (zacząłem już mówić o nim „pułkownik Shit and Polish”) nakazał mi dostarczyć przed wyjściem plan ostrzału artyleryjskiego. Nigdy dotychczas nie zdarzyło mi się robić czegoś takiego. Plan ostrzału miał w zasadzie zawierać wskazane na mapie współrzędne mojej pozycji, tak by pułkownik mógł skierować we właściwe miejsce wsparcie artyleryjskie, gdybym go potrzebował. Plan ostrzału sprawdza się być może, kiedy ma się w dżungli całą dywizję wojska. Ale SEALsi ani nie chcą, ani nie potrzebują potężnego wsparcia artyleryjskiego z ziemi, ze stanowisk ogniowych odległych o 30 kilometrów. SEALsi sami noszą ze sobą własne wsparcie ogniowe - a jeśli potrzebują go więcej, to mogą wezwać moździerz na mike boatach albo bezodrzutowe granatniki i karabiny maszynowe na PBR-ach.

Poza tym plany ostrzału ograniczają swobodę ruchu. Po pierwsze, dają mniejsze możliwości wyboru. Mogliśmy działać tylko w trzech niewielkich obszarach, ponieważ nieudacznicy odpowiedzialni za artylerię albo nie chcieli, albo nie potrafili wykreślić na swoich mapach więcej niż trzech par współrzędnych. Wobec tego jeśli nie znajdowalibyśmy się dokładnie na pierwszej, drugiej albo trzeciej bazie, to nie dostalibyśmy wsparcia artylerii. To akurat mi nie przeszkadzało. Natomiast naprawdę wkurzało mnie, że moi ludzie i ja bylibyśmy narażeni na ogień swoich, gdybyśmy oddalili się od terenów, na których bylibyśmy zobowiązani się znajdować. Kolejnym problemem związanym z planami ostrzału było bezpieczeństwo operacji. Im więcej osób wiedziało, gdzie będę, tym większe było prawdopodobieństwo, że ktoś da o tym znać panu Charliemu. Pułkownik Shit and Polish utrzymywał ścisły kontakt z Marvinem ARVN-em. A mnóstwo marwinów miało krewnych w szeregach Wietkongu.

Zastanawiałem się, czy nie powiedzieć pułkownikowi półgłówkowi, żeby się walił, ale Drew i Westy ostrzegli mnie przed zbytnią

200

ROZDZIAŁ 1

swawolnością, wykonałem więc tę papierkową robotę. Dla potrzeb komunikacji radiowej nadałem sobie dyskretny, nierzucający się w oczy, skromny sygnał wywoławczy Sharkman One (Człowiek Rekin Jeden). Potem wzięliśmy PBR-a i ruszyliśmy w górę rzeki.

O zmierzchu wyruszyliśmy w jedenastu w łodzi załadowanej taką ilością śmiertelnych prezencików, jaką tylko mogliśmy zabrać. Hoss Kuciński, nasza tylna straż, zabrał kilka LAW-ów. Ja wziąłem pistolet kalibru 9 mm z tłumikiem oraz M16 i mnóstwo zapasowej amunicji. Risher miał stonera, do którego zapasowe magazynki nieśli Dennis Drady i Frank Scollise. Doc Nixon dźwigał radio, a do toreb sanitariusza poupychał masę granatów odłamkowych. Mogło nas nie być przez dwa albo trzy dni (kto wie, jak długo może potrwać zawieszenie broni) i chcieliśmy być przygotowani.

Drew Dix, Vjesty i Nungowie patrzyli, jak odbijamy od pomostu za Białym Domem. Płynęliśmy powoli, bo załoga naszego PBR-a nie знаła tego odcinka rzeki. Zostawiliśmy Chau Doc za sobą i ruszyliśmy na północ. Stałem w kokpicie z dowódcą pierwszego PBR-a, doświadczonym chorążym o imieniu Jack.

Wyregulował moc silnika i lustrował rzekę, uważnie wypatrując łach.

- Będzie zabawa, panie Dick?
- Mam nadzieję, szefie.
- Długo was nie będzie?
- Jak się nam poszczęści, to dwa dni.

Kiwnął głową. Sięgnął do kieszeni, wyjął papierosa i zapalił.

- Zapowiada się nieźle. - Zaciągnął się mocno i wypuścił dym przez nos. - Dziś w nocy będziemy się kręcić w pobliżu - powiedział. - Jutro nie ma za bardzo sensu pokazywać się tu za dnia, ale wrócimy na miejsce na noc.

- Mnie to odpowiada, szefie. - Przerwałem na chwilę. - Tej części rzeki pan nie zna?

Pokręcił głową.

- Nikt jej nie zna. Tu musimy być naprawdę ostrożni.

201

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

Wiedziałem, o czym mówi - i nie chodziło mu tylko o łachy. Na północ od Chau Doc rzeka się zwężała i pojawiały się na niej coraz liczniejsze zakręty pod kątem prostym. Wiele z tych zakrętów przekraczało czerwoną linię - niewidzialną granicę oddzielającą Wietnam od Kambodży. Dzisiejsza nocna misja miała rozpocząć się w Wietnamie, ale tak naprawdę trudno było przewidzieć, gdzie się zakończy. Chodziło nam o to, żeby podejść z północnej strony kanału Vinh Te - ze strony, od której najmniej można się było spodziewać Amerykanów - i urządzić zasadzkę, która wyglądałaby jak posterunek obserwacyjny. Gdyby mi się udało, przyłapałibyśmy pana Charliego na próbie złamania zawieszenia broni obowiązującego w czasie święta Tet i spuścilibyśmy mu łomot. Gdyby podstęp się nie udał, spędzilibyśmy dwa piękne, spokojne dni na wsi i wrócilibyśmy do domu, nawet się specjalnie nie spociwszy.

Jakieś 8 kilometrów od miasta, tuż poniżej czerwonej linii, Jack rozpoczął serię łuków, które raz po raz podprowadzały PBR-y w pobliże linii brzegowej. Po trzech czy czterech takich manewrach mylących zsunęliśmy się niezauważalnie do wody, zostawiając Jacka i załogi PBR-ów, które kontynuowały swój slalom. Jeśli przypatrywał się temu Charlie, nie miał pojęcia, co się dzieje, bo nigdy wcześniej żaden PBR nie dopłynął jeszcze tak wysoko w górę rzeki Bassac.

Kiedy ześliznęliśmy się z burty do brązowej wody, okazało się, że jest ciepła. Szybko dopłynęliśmy do brzegu, wczółgaliśmy się w zarośla, zdjęliśmy zatyczki z luf karabinów i ruszyliśmy w głąb łądu. Krajobraz przypominał raczej Wirginię niż Wietnam: pełno było wysokich trzciny i gęstych zielonych krzewów, które drapały nas jak ostrokrzewy, kiedy pod nimi pełzaliśmy.

Od momentu kiedy przebyliśmy jakieś 20 metrów od rzeki, grunt zaczął być twardy i płaski, a roślinność zrobiła się kłująca. Jakieś 8 czy 10 kilometrów przed sobą widzieliśmy górę. Z mapy wiedziałem, że to już Kambodża. Z drugiej strony, my też byliśmy już w Kambodży. No i co z tego?

Ustaliliśmy swoje położenie i zaczęliśmy przemieszczać się na południowy zachód wzdłuż szlaku, w jaki układały się groble biegnące

202

ROZDZIAŁ 1

wśród zmeliorowanych pól ryżowych pooddzielanych niewielkimi rowami. Za tymi płaskimi polami czekała nas linia drzew. Gdzieś na południu, tuż za tą linią drzew, leżał kanał Vinh Te. Chciałem przeciąć płaski teren, przejść przez linię drzew, pójść w stronę kanału i urządzić zasadzkę. Wietkong musiałby nadejść od strony Kambodży, gdzie miał swoje szlaki i tajne składy zaopatrzenia. Czekalibyśmy, żeby im powiedzieć: gong hay fat choy - szczęśliwego Nowego Roku!

Była już mniej więcej 22.30. Ponieważ Nungowie donieśli nam, że Wietkong urządza pola minowe, posuwaliśmy się bardzo powoli, chociaż dotychczas na żadne się nie natknęliśmy. Pluton był rozciągnięty na jakieś 25 metrów. Moje króliki, Denny Yenta (Mękoła) Drady, Jack Saunders i John Engraft, szły przodem, wywążując ścieżkę przez pola ryżowe, którą miała iść reszta. Za nimi szedł Risher ze stonerem. Ja byłem za Rish^{em}, a za mną Doc Nixon, który niósł radio. Śladami Doca szedł Dewayne Schwalenberg. Na końcu byli Frank Scollise, Gordy Boyce, Harry Humphries i Hoss Kuciński. Wolałem, żeby starzy (nienawidzili, jak tak o nich mówiłem) szli za mną. Mieli doskonałe odruchy - nie musiałem nic mówić, a we właściwym momencie potrafili paść i strzelać.

Skręciliśmy na wschód. Miałem nadzieję, że noc będzie ciemna, i moje życzenie się spełniło. Zabraliśmy ze sobą celowniki noktowizyjne, urządzenia wykorzystujące oświetlenie o niskim natężeniu, które pozwalały nam widzieć w ciemności. Ja miałem jeden, podobnie Gordy Boyce i Denny Drady. Gdyby Wietkong gdzieś tu się ukrywał, zobaczylibyśmy ich pierwsi - a przynajmniej taką mieliśmy nadzieję.

Niebo nad naszymi głowami było czarne. Ale w Chau Doc pułkownik Shit and Polish najwyraźniej postanowił wypuścić flary. Horyzont na południu mieliśmy więc jasny - wyglądał prawie jak niebo nad Nowym Jorkiem, kiedy dojeżdża się do niego nocą autostradą z New Jersey. Za chwilę mieliśmy skrócić na południe i w tej sytuacji nasze noktowizory nie byłyby zbyt pomocne. Myślałem, że może pułkownik narobi tyle hałasu, że nikt nie zwróci uwagi na jedenastu SEALsów. Akurat.

203

CZĘŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

Ledwo dostrzegałem Denny ego Drady ego, który był jakieś 30 metrów przed nami i pomalutku posuwał się do przodu. Podniósł rękę. Wszyscy zastygliśmy w bezruchu. Nie przeszliśmy jeszcze nawet 20 metrów. Drady pomachał do mnie, żebym podszedł - powoli. Dotarłem do naszego drobnego zwiadowcy. Coś mi pokazywał, zaniepokojony jak pies, który wpadł na trop. Popatrzyłem w kierunku, który wskazywał jego drżący palec. Niełatwo było to wypatrzeć wśród plew na polu, ale wyostrzony wzrok Denny ego to wychwycił - przycisk detonatora miny przeciwpiechotnej Wietkongu.

- Cholera.

Byliśmy na początku, w środku czy na końcu pola minowego? Nie miałem bladego pojęcia. Dałem plutonowi sygnał, żeby nikt się nie ruszał.

- Pole minowe - szepnąłem.

Ostrzeżenie zostało przekazane do końca szeregu.

Zmysły miałem tak wyostrzone, że poczułem, jak pod ubraniem ścieka mi powoli kropla potu. Napięcie było niesamowite. Razem z Denny odkopaliśmy minę dookoła, powoli wyciągnęliśmy ją z dołu i ostrożnie ułożyliśmy na ziemi.

Uśmiechnąłem się i klepnąłem Denny ego po plecach.

- Dobra robota, Yenta. No to teraz szukaj ścieżki - powiedziałem.

Kiwnął głową, a jego świdrujące okrągłe oczka aż błyszczały z podniecenia.

- Tak jest, szefie. O, widzę jedną całkiem szeroką: to ta, którą przyszliśmy.

- Pieprz się, Yenta.

Posłał mi buziaka.

- Najpierw musiałbyś się ogolić.

Drady ukląkł, wyjął nóż i zaczął badać grunt przed sobą, posuwając się po parę centymetrów. W ten sposób wytaczał dla posuwającej się za nim reszty plutonu szeroką na jakieś 45 centymetrów ścieżkę. Podążaliśmy jego śladem, pełząc powoli w oczekiwaniu, aż Drady sprawdzi każdą grudkę i wybój.

204

ROZDZIAŁ 1

Prawie godzinę zajęło nam przemieszczenie się o niecałe 60 metrów. Bezpieczni poczuliśmy się dopiero po przejściu przez niewielki rów melioracyjny i skręceniu na wschód, bo zaczęliśmy oddalać się od obszaru, który zdaniem Denny ego wyglądał na pole minowe.

Drady rzucił się wykończony do rowu.

- Cholera, szefie, mam dość.

Nic dziwnego: był mokry od potu, mysie włosy zmierzwiły mu się i posklejały pod czarną chustką, którą przewiązał sobie czoło. Oczywiście miał przekrwione od zmęczenia i napięcia. Ale przeprowadził nas do końca. W połowie pola wyciągnął z ziemi drugą minę i prowadził nas bezpiecznie, zostawiając dyskretne oznakowanie, żebyśmy mogli znaleźć drogę z powrotem, gdyby zaszła taka potrzeba.

Walnąłem go w ramię.

- Zrób sobie p^{er}wę. Pójdę przez chwilę na szpicy.
- Dzięki, szefie.

Ruszyliśmy w stronę odległej linii drzew. Poruszałem się powoli, nadal zachowując ostrożność - min mogło być więcej. Dziwnie się czułem na szpicy plutonu. Zwykle nie brałem na siebie tej roli. Wolałem być w środku, skąd mogłem kontrolować i przód, i tył. Ale tej nocy Denny był wykończony i poczułem, że przyszła kolej na mnie.

Podczas pierwszego pobytu w Wietnamie za każdym razem, kiedy drużyna Bravo wyruszała na patrol, widziałem, jak Patches Watson tracił na wadze 2 albo 3 kilogramy z powodu samego napięcia fizycznego i psychicznego związanego z chodzeniem na szpicy. A Patches to wielki, silny kawał chłopca. Denny Drady był chudy już w punkcie wyjścia, a teraz zaczynało być widać, jakie spustoszenie wywołał w nim stres związany z przeprowadzeniem nas przez pole minowe: chłopak wyglądał dosłownie jak zmokła kura.

Nie ma dwóch zdań: bycie szpicą jest wyczerpujące. Nie powstał jeszcze film wojenny ani książka, które by wystarczająco dobrze przedstawiały te dojmujące doznania: to, czego doświadcza ludzki umysł i jak to wpływa na ciało, kiedy człowiek idzie na szpicy oddziału w sytuacji bojowej.

205

CZĘŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

Nie można sobie odpuścić, nawet na mikrosekundę. Każda cząsteczka ciała staje się anteną chłonącą niekończącą się serię bodźców zewnętrznych, które bombardują zmysły człowieka, każda cząsteczka dokonuje nieustannej oceny najdrobniejszych zmian zachodzących w otoczeniu. Wzrok, słuch, dotyk, węch, smak - każdy z tych zmysłów wykorzystuje się do maksimum. A jeśli się coś spieprzy, to się umiera.

Zbliżaliśmy się do linii drzew. Byłem jakieś 10, może 15 metrów przed Dennem. Przesuwałem powoli jedną stopę za drugą, posuwając

ROZDZIAŁ 11

się pomalutku wzdłuż

Omiatałem wzr spuszczając oczy. kim wypatrując grunt, by wy] rałem się wr nia, jak szf się zamk chu. wach*

poę> jS

^ego rowu melioracyjnego.

powyżej wału nad rowem, po czym śladów stóp, a przede wszyst-Hrutu. Palcami badałem - nin lądowych. Sta-"o odróżnie-"^acego

Zacz^ dem kul z Mu Nad moją głową en, się, żebyim się wycofał.

Kuśtykałem na dłoniach, kolanach i łokciach w stronę plutonu, strzelając na oślep przez ramię, podczas gdy 15 centymetrów nad moją głową trwała szalona wymiana ognia.

- Co to jest, k***a? - krzyknąłem do Gordyego Boycea.

Spokojnie wyrzucił magazynek, włożył nowy i omiół serią linię drzew.

- Wali do nas całe mnóstwo sukinsynów - ryknął do mnie. - Trzydziestu, może czterdziestu.

Spojrzałem na źródło ognia.

- Cholera. Może nawet więcej. Spadajmy stąd. - Sturlałem się głębiej do rowu.

- Hoss...

- Tak, szefie?

Pokazałem w stronę pozycji Wietkongu.

- Dawaj LAW-!, ski- Wal

w sukinsynów.

Potężny Polak załadował jeden z granatników przeciwpancernych, wycelował w stronę linii drzew i wypalił w miejsce największego skupiska wystrzałów. Nastąpiła eksplozja i podmuch, a potem dały się słyszeć krzyki.

Zrobiłem prawą ręką kółko w powietrzu.

- Ruszamy.

Cały czas się ostrzeliwując, rzuciliśmy się z powrotem drogą, któ--rliśmy. Nie osiągnęliśmy naszego celu, czyli nie dotarliśmy do Mórą miała być zasadzka. Ale przeszliśmy przez pierwszą , /yciłem radio od Doca Nixona i połączyłem się z puł-ć and Polish, żeby dał nam trochę swojego osławionego leryjskiego.

ory dotarł do mnie z drugiej strony słuchawki, brzmiał jak arodia jakiegoś filmu wojennego, .e ma szans, Sharkman One, odbiór.

Jlaczego, panie dowódco?

- Ponieważ mamy tu w ośrodku dowodzenia napiętą sytuację: atak ietkongu uniemożliwia nam przydzielenie wam jakichkolwiek środ-

ków bojowych. Jesteście zdani na siebie.

207

CZĘŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

Typowe. Dziękuję bardzo za pańską troskę i zainteresowanie, pułkowniku. Będę pamiętał, żeby zajrzeć do pana, jak się to wszystko skończy, a wtedy wyrwę panu obie pańskie obrsane ręce, będę nimi pana okładał do nieprzytomności, po czym wezmę to, co zostanie z tych kikutów, i wetknę to panu głęboko w dupę.

Zmieniłem częstotliwość na klawiaturze radiostacji i połączyłem

i

się z PBR-em.

- Jungle Gym, tu Sharkman One. Wychodzimy. Ściga nas cała wataha i kończy nam się amunicja. Potrzebuję wsparcia ogniowego w punkcie ewakuacyjnym Alpha.

Głos Jacka dotarł do mnie głośnie i wyraźny.

- Przyjąłem, Sharkman One. Zrozumiałem, będziemy czekać. Skopcie im jeszcze trochę dupę po drodze.

Musiałem się roześmiać. Niech Bóg błogosławi wszystkim chorążych bosmanów.

Okej, zamówiliśmy taksówki, ale najpierw musieliśmy dostać się do tej przeklętej rzeki. Widziałem, jak partyzanci ruszają się w mroku niecałe 50 metrów od nas. Było ich znacznie więcej niż nas - i oni o tym wiedzieli. Deptali nam po piętach: coś takiego nigdy wcześniej mi się nie zdarzyło.

Zobaczyłem wyraźnie jednego i potraktowałem go M16. Upadł, ale w miejscu po nim pojawiło się trzech następnych. Ich też skosiłem, odskoczyłem, by nie oberwać w punkcie, z którego strzelałem, i pobiegłem dalej.

Hoss ukląkł na jedno kolano i wypalił z LAW-a. Zostały mu dwa. Risher zawołał, żeby mu podać nowy pas z amunicją do stonera. Nie było już więcej. Harry Humphries krzyczał, że zostały mu ostatnie 3 magazynki do AK. Nie tylko jemu się kończyły. Wszystkim nam zaczynało brakować amunicji. Jeśli PBR spóźni się do punktu przejęcia, zostanie z nas miazga.

Denny Drady prowadził truchtem przez pole minowe. Biegliśmy jego śladami i modliliśmy się, żeby się udało. Najwyraźniej to działało,

208

ROZDZIAŁ 1

bo nie wysadziliśmy żadnej miny. Mogliśmy mieć nadzieję, że rozerwą paru wietnamskich sukinsynów, którzy biegą za nami.

Uciekaliśmy przez osuszone pola ryżowe, trzymając się nisko w rowach. Gałęzie, których wcześniej udawało nam się unikać, stały się teraz ostrą bronią, która cięła nas gdzie popadnie,

gdy się przez nie przedzieraaliśmy. Pnącza stały się rozciągniętymi nisko nad ziemią drutami. Wyrwy w ziemi tylko czekały, żeby skrócić któremuś z nas kostkę.

W ogóle nie przypominało to akcji z mojego planu. Nad brzeg rzeki dotarliśmy w pełnym biegu, a po piętach deptały nam zastępy Wietkongu.

PBR-y były na miejscu, ustawione dziobami do brzegu dokładnie tam, gdzie powinny być. Ich podwójne karabiny kalibru .50 cala i móżdżerze zapewniły nam osłonę ogniową, podczas gdy my wdrapywaliśmy się przez burty. Wtóry łódzie cofnęły się od brzegu na wstecznym biegu, dodały gazu, aż unfosły im się dzioby, i wykręciły w stronę środka rzeki.

Przeliczyłem ludzi, po czym siadłem z ulgą na pokładzie w kokpicie. Owionęła mnie cudowna zabójcza woń prochu, kiedy załoga omiatała ogniem linię brzegową. Jack przyspieszył i łódź pognęła w mrok, na południe. Widziałem, jak od linii brzegowej lecą ku nam pociski smugowe, ale szybko znaleźliśmy się poza ich zasięgiem.

Wstałem i strzeliłem chorążego po ramieniu.

- Dzięki, Jack. Uratowałeś nam dupy.
- Daj pan spokój. Ale jeszcześmy nie skończyli, panie Dick.
- Co się dzieje?
- Chau Doc: zostali zaatakowani. Wietkong rozpoczął wielki szturm na miasto, mając nadzieję, że nie będzie oporu z powodu zawieszenia broni na Tet.
- Nie! Bez jaj?
- Bez jaj, poruczniku. I wiesz pan co? Ten gówniany kutas-urzę-das, szczur kanałowy, zasyfiony dupek pułkownik trzyma wszystkich swoich ludzi w bazie. Westy i Drew mają naprawdę poważne kłopoty. Potrzebują nas.
- No to do domu, James, i nie zatrzymuj się na światłach.

Rozdział 12

Dotarliśmy do Chau Doc w kompletnych ciemnościach, ale na ląd zeszliśmy dopiero o pierwszym brzasku. Nie byłem dobrze obeznany z układem miasta, a poza tym bez odrobiny światła nie moglibyśmy odróżnić, do kogo strzelać, a do kogo nie. Siedzieliśmy więc w kucki przemarznięci do szpiku kości i słuchaliśmy odgłosów strzelaniny. Tuż przed 6.00 Jack powoli podpłynął pod szeroki pas kamiennych stopni, przybił do brzegu i wyszliśmy przez nadburcia tuż poniżej głównego miejskiego placu, jakieś 400 metrów na północ od Białego Domu.

Trwała spora strzelanina. Robiąc uniki przed rykoszetującymi kulami i wybuchami móżdżerzy, dobiegliśmy na złamanie karku do kompleksu sił specjalnych, gdzie wpadłem jak kula armatnia do taktycznego centrum operacyjnego, żeby się dowiedzieć, co się tu, u diabła, dzieje.

Słaniający się na nogach major sił specjalnych w nienagannym mundurze polowym przedstawił mi krótki obraz sytuacji. A sytuacja była zła, jak powiedział. Wietkong - ilu ich było, tego nie wiedział -zajął znaczną część miasta. Gdzieś zostali uwięzieni cywile - nie wiedział, ilu i gdzie. Major był wręcz skarbnicą przydatnych informacji.

210

ROZDZIAŁ 1

Wreszcie konspiracyjnym szeptem podał mi naprawdę dobre nowiny: pułkownik Shit and Polish nad niczym nie panuje. Zamknął się w pomieszczeniu radiostacji, gdzie nadal siedzi i słucha, co się dzieje w eterze. Ale formalnie rzecz biorąc, wciąż tu dowodzi. Poza tym zarządził, że amerykańskim żołnierzom nie wolno podejmować żadnych działań poza kompleksem - ten rozkaz major wypełniał z wyraźnym zadowoleniem.

Połączyłem się przez radio z Westym.

- Tu jest jakaś kompletna rozpierducha.
- Wiem. Ilu masz ludzi ze sobą?
- Jedenastu.
- Świetnie. Wysyłam moje trzy tuziny Nungów na południowy koniec miasta. Ty zeyswoimi chłopakami bierzesz część północną. Wymieciemy Wietkong z powrotem tam, skąd przyszli.
- Dobra. Masz tam u siebie amunicję?
- Ile tylko chcesz.
- Śmigłowce sanitarne?
- Mogę wezwać, jeśli będzie potrzeba.
- A pułkownik Shitface?

Westy prychnął.

- Pieprzyć go. Zabiję sukinsyna własnymi rękami, jak się to wszystko skończy.
- Już go sobie zaklepałem przed tobą.

Roześmiał się. Przez radio zabrzmiało to jak brzęczenie.

- Mamy jeszcze jeden problem.
- Co takiego?
- Trójka amerykańskich cywili: pielęgniarka i dwóch nauczycieli, odcięci parę przecznic od was.

- Nie mam transportu, Westy, i nie znam miasta. Poczekaj chwilę. -Zwróciłem się do majora: - Majorze, Westy mówi, że mamy odciętych cywili, kobiety. Możemy się do nich dostać?

Wzruszył ramionami.

- Nic nie mogę zrobić, poruczniku.

211

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

- Daj pan spokój, majorze...

- Chwileczkę, poruczniku: rozkaz pułkownika mówi, że nikt się stąd nie rusza. Dotyczy to także pana i pańskich ludzi, odkąd tu jesteście.

Podniósł filiżankę kawy i zaczął pić. Chwyciłem dupka za wyprasowane klapy munduru polowego. Filiżanka pofrunęła w powietrze, kawa rozbryznięła mu się po ubraniu. Uniosłem go 15 centymetrów w górę.

- Co pan powiedział, majorze?

- Okej, okej. Możecie wyjść. Ale nasi ludzie zostają.

- Jak dla mnie, to możecie się tu pieprzyć przez okrągłą dobę w okrągłą dupę, gówniane sukinsyny!

Rzuciłem nim przez pokój i popatrzyłem, jak wylądował na ścianie.

Wróciłem do radiostacji.

- Możesz tu po nas kogoś podesłać?

- Mamy jeepa z pięćdziesiątką. Pojedzie do was Drew, on wie, gdzie są ci cywile.

- Będziemy czekać.

Zarekwirowałem dziesięć radiotelefonów, sprawdziłem, czy mają dobre baterie, i ustawiłem je na częstotliwość Westy ego. Potem wyszliśmy wszyscy na słońce. Jakies sześć minut później zjawiał się Drew ścigany ogniem z broni automatycznej: wpadł do kompleksu na pełnym gazie, aż mu się uniół przód jeepa. Zapędziłem Harry ego i Doca Nixona do samochodu.

- Jedźcie pobawić się w kawalerię. Może będziecie mieli branie.

Harry podniósł kciuki.

- Mam nadzieję.

Siadł okrakiem z tyłu, złapał uchwyty karabinu maszynowego i wypalił krótką serię.

- Nieźle.
- To na razie.

Drew ruszył z piskiem opon. Kiedy wyjeżdżali, zapewnił im osłonę ogniową.

212

ROZDZIAŁ 1

Risher, Drady, Hoss Kuciński, Johnny Engraff i ja byliśmy jednym zespołem blokującym. Frank Scollise, Dewayne Schwalenberg, Gordy Boyce i Jack Saunders uformowali drugi i razem wyruszyliśmy w stronę Białego Domu.

Przypominało to serial Combat! - Chau Doc było miastem zaprojektowanym przez Francuzów: walczyliśmy od ulicy do ulicy od alei do alei, od domu do domu, w azjatyckiej wersji drugiej wojny światowej.

Zobaczyliśmy, że ktoś strzela z okna. Gwizdnąłem na Hossa.

- Tam.

Ustawił się z LAW-em, odpalił granatnik w ramę okna, po czym Drady i ja wywaliliśmy drzwi kopnięciem i wpadliśmy do środka, strzelając, żeby dobić wietnamców. Gdyby któryś wyszedł, Risher zabiłby go ze stonera. Mogliśmy przejść do następnego domu.

- Ogień z dachu - zawołał do mnie Drady.
- Widzę go. Risher!

Risher podniósł karabin maszynowy w górę. Kule przecięły krawędź dachu jak piła tarczowa. Partyzant spadł dwa piętra w dół na ulicę.

Posunęliśmy się znowu o kilkadziesiąt metrów i wyczyściliśmy dwa następne domy. Ciągłe ktoś strzelał do nas z góry. Wietkong miał dobry pomysł. Wskazałem ręką w stronę dachu.

- Weźmy ich od góry

Wywaliliśmy kopniakiem najbliższe drzwi i wspięliśmy się dwa piętra po schodach, po czym przez wyłaz wyszliśmy na dach. Domy stały równoległe do siebie i na tyle blisko, że mogliśmy przeskakiwać z jednego dachu na drugi. Niecałe 20 metrów od nas stał wietnamiak z granatem bez zawleczonej. Przyłożyłem do ramienia M16 i przeszyłem mu pociskami klatkę piersiową. Upadł na swój granat. Wybuch rozerwał go i zrzucił z dachu w trzech kawałkach.

Przemieszczaliśmy się po dachach wzdłuż jednej ulicy, robiliśmy zakręt i szliśmy do następnej, strzelając w dół w skupiska wietnamców. Była to wyczerpująca praca. Do przedpołudnia oczyściliśmy tylko trzy ulice.

213

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

Tymczasem Harry i Doc, jak się później dowiedziałem, mieli własną zabawę. Podjechali przed dom, w którym mieszkała pielęgniarka o imieniu Maggie. Z piętra dochodził ogień Wietkongu. Nie zwracając uwagi na kule, Drew wywalił drzwi kopnięciem, podczas gdy Harry ładował w napastników z pięćdziesiątki, a Doc Nixon omiatał okna ogniem z M16.

Kiedy Drew wszedł frontowymi drzwiami, z tyłu pojawiło się trzech wietnamców. Oddał do nich serię z M16 i skosił wszystkich. Kolejnych dwóch waliło do niego od góry z klatki schodowej. Ich też zastrzelił.

- Maggie! Maggie, to ja, Drew! Gdzie jesteś, do diabła?
- Tutaj! - odpowiedział mu drżący głos z kredensu w salonie.

Drew pobiegł i wyciągnął przerażoną pielęgniarkę z jej kryjówki.

Objął ją ramieniem i powiedział:

- Chodź.

Kiedy biegli, przez tylne drzwi wpadli kolejni partyzanci Wietkongu. Drew obrócił się, wypchnął Maggie za drzwi i otworzył ogień. Po chwili wybiegł, zatrzasnął za sobą drzwi frontowe, wrzucił pielęgniarkę do jeepa, gdzie wylądowała na Docu Nixonie, i wypruli z powrotem do Białego-Domu. Harry, Doc i Drew zrobili w sumie sześć takich wypraw i wydostali wszystkich cywili bez draśnięcia. Ale Doc Nixon podkreślał, że najlepszy był moment, kiedy wylądowała na nim Maggie.

- Co za kobieta - powiedział mi. - Figura w moim typie.

Wkrótce po południu Wietkong zaczął się wycofywać. Nie było ich zbyt wielu - nie więcej niż kilkuset. Ale my mieliśmy do walki z nimi mniej niż pięćdziesięciu ludzi, z Nungami włącznie. Mimo to do przedpołudnia zajęliśmy wiele ich pozycji, a oni poznikali w labiryncie ulic i alei Chau Doc albo poprzebierali się i stali się na powrót częścią wiernej, uległej, przyjaźnie nastawionej miejscowej ludności.

Dobłą wiadomością było to, że Nungom Westy ego udało się wyrzucić nieprzyjaciela z południowej części miasta i odepchnąć go na wschód, na tereny wiejskie. Złą wiadomością było to, że podczas

214

ROZDZIAŁ 1

walk doszło do wybuchu zbiornika paliwa i ugotowało się mnóstwo cywili. Gryzący smród przypalonego ciała czuć było wyraźnie prawie na kilometr. (Nazajutrz zaplanowaliśmy przylot helikopterów do ewakuacji tyłu poparzonych Wietnamczyków, ilu tylko się udało. Jack zabrał jeszcze dodatkową grupę na PBR-a i popłynął z nimi w dół rzeki do szpitala w Sa

Dec nad Mekongiem. Popłynęła z nim Maggie. Kiedy wróciła, jej ubranie śmierdziało, jakby właśnie spędziła osiem godzin przy grillu).

W pierwszych godzinach ataku Wietkong urządził sobie stanowiska strzeleckie w kościele i szpitalu w Chau Doc. Jest to taktyka partyzantów stosowana do dzisiaj. Zmusza ona atakujące ich oddziały do niszczenia obiektów cywilnych, co daje partyzantom zwycięstwo propagandowe, nawet jeśli przegrają samą bitwę.

Tak właśnie stało się w Chau Doc - wypchnęliśmy Wietkong z miasta, ale i kościół, i szpital zostały obrócone w ruinę. I już po paru dniach aktyw Wietkongu zaczął rozpuszczać po okolicy wiadomość, że biali bandyci (czyli my) bez powodu zniszczyli cele cywilne.

Inną rzeczą było to, że dopiero po 12.00 po raz pierwszy zobaczyliśmy, że jacyś żołnierze Marvina ARVN-a wytknęli nos ze swoich pozycji obronnych, które znajdowały się w pobliżu kompleksu wojsk lądowych. To było do przewidzenia: Marvin z zasady wolał chować głowę w piasek w czasie działań nieprzyjaciela - w końcu szkolił ich pułkownik Shit and Polish, a on ciągle siedział zamknięty w pomieszczeniu radiostacji. Ale kiedy było już po wszystkim, zawsze przychodzili posprzątać - nigdy nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że przyciągała ich możliwość znalezienia przy poległych partyzantach Wietkongu łupów, które sprzedawali na czarnym rynku. Ale nie tylko Marvin był tchórzem. Kiedy już opróżniliśmy miasto z Wietkongu, pułkownik Shitface prawdopodobnie włożył kamizelkę kuloodporną, przeprowadził inspekcję, po czym przedstawił samego siebie do odznaczenia. (Nie wiem, jak było z pułkownikiem, ale Drew Dix za swoje dokonania podczas bitwy w Chau Doc otrzymał Medal Honoru. Jedyne, czego w tym nie pojmuję, to że Harry i Doc Nixon byli cały czas razem

215

CZĘŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

z Drewem, a oni dostali tylko po Brązowej Gwieździe. Może kryteria dla SEALsów były wyższe niż dla zielonych beretów?)

Kiedy Wietkong zaczął się wycofywać, postanowiliśmy opróżnić jak największą część miasta, idąc od przecznicy do przecznicy. Rozdzieliliśmy się na dwójki i spacerowaliśmy chodnikami - zupełnie jak policjanci patrolujący swój rewir. Hoss Kuciński i ja szliśmy po jednej stronie ulicy, Scollise i Risher po przeciwnej. Ogień nieprzyjacielski był sporadyczny: przez minutę prawie nic, przez kolejną całą serię. Działaliśmy według ustalonej choreografii: podkładałem się pod drzwi, otwierałem je kopnięciem, wrzucałem granat i czekałem, czy coś się rusza. Jeśli było czysto, Hoss przeskakiwał przede mną i załatwiał następne drzwi. Jeśli coś słyszałem, czekałem, aż granat wybuchnie, po czym wbiegałem do środka i omiatałem pomieszczenie z M16. SEALsi po przeciwnej stronie ulicy robili tak samo. Idealny sposób na spędzenie ślicznego, słonecznego popołudnia w święto Tet w aglomeracji miejskiej Chau Doc.

W pewnym momencie z głębi ulicy zaczęły dobiegać strzały. Hoss i ja ukryliśmy się we wnęce drzwiowej. Tak samo zrobił Scollise, ale Risher nie. Ten dzieciak wyszedł ze swoim

stonerem na środek ulicy, krzycząc i strzelając, zupełnie jakby bawił się w Dodge City, miasto bezprawia - tyle że w Wietnamie. Pamiętam ten obraz: karabin maszynowy w jego rękach i ten zwariowany uśmiech na twarzy. Darł się:

- No, dalej, dupki! Chodźcie tu, dupki!

Strzelali do niego: nad ziemią wokół jego stóp unosiły się obłoczki pyłu po trafieniach kul. Nie zwracał na nie uwagi.

Hoss i ja darliśmy się na niego:

- Dupku głupi, spieprzaj z tej ulicy!

- Padnij, dupku!

A on się śmiał. Ten zwariowany sukinsyn naprawdę się śmiał.

I wtedy, w samym środku całego tego hałasu i zamieszania, nastąpiła ta niewiarygodnie krótka chwila ciszy.

Wiedziałem, co za chwilę się stanie. Ryknąłem na Rishera:

- Neeeeee!!!

Było za późno. Usłyszałem to. Jeden strzał. Jeden strzał snajpera.

216

ROZDZIAŁ 1

Trafił w sam środek czoła.

Risher upuścił stonera i runął na ziemię. Zdążyłem dobiec do niego, by go złapać. Hoss wystrzelił LAW-a w kierunku, z którego doszedł strzał. Nie wiem, czy w cokolwiek trafił. Byłem zajęty czym innym.

Ściągnąłem Rishera z ulicy. Podtrzymałem mu głowę od spodu. Na ręce czułem wilgoć: kula przeszła na wylot i mózg Rishera wylewał mi się na dłoń. Próbowałem wpychać go z powrotem do czaszki, ale to było niemożliwe.

Nafaszerowałem dzieciaka środkami przeciwbólowymi, ale i tak nic nie czuł. Hoss wezwał śmigłowiec sanitarny. Połączyliśmy się przez radio z Drew, Dokiem Nixonem i Harrym. Mimo ostrzału wyjechali po nas jeepem, żeby nas zawieźć na lądowisko dla helikopterów u Westyego, czyli jakieś sześć przecznic dalej. Dotarli po paru minutach. Prowadzili Drew. Harry wyskoczył z wozu i chwycił Rishera za nogi. Doc wziął go pod plecy. Ja podtrzymałem głowę.

- Cholera. - Harry ułożył ciało chłopaka z tyłu jeepa.

Z ponurą miną trzymał Rishera za rękę. Doc Nixon trzymał za drugą.

- Ty durna pało - powiedział Harry do Rishera. - U Westyego jest parę skrzynek zimnego piwa. Mógłbyś przynajmniej poczekać.

Doc przykrył Rishera kocem. Jakimś cudem wszystkim udało nam się wgramolić do jeepa i Drew ruszył.

Risher odchodził. Podałem mu od razu morfinę, więc nie czuł bólu. Ale odchodził. Widać to było w jego oczach. Były już martwe.

On też to wiedział. Patrzył na mnie jak pieprzony szczeniak.

Byłem wściekły na sukinsyna. Sam się o to prosił.

- Ty głupi pojebie, dupku popieprzony - mówiłem bez przerwy, podtrzymując mu dłońmi głowę i próbując wepchnąć kciukiem ten cholerny mózg z powrotem do roztrzaskanej czaszki.

Moja czarna piżama była cała mokra od krwi. Czulem, jak lepią mi się ręce. Końcami palców wyczuwałem fragmenty kości czaszki.

- Tu głupia, durna pało - tylko tyle umiałem powiedzieć, kiedy leżał i umierał na moich kolanach.

217

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

Ogarnęła mnie wtedy nieopisana wściekłość. Częściowo na samego Rishera. Gdyby nie to, że umierał, pewnie sam bym go zabił. Umierał, bo był głupi: spacerował sobie środkiem ulicy. Tak się nie robi - i on to wiedział, ale mimo to tak właśnie zrobił, więc był głupim dupkiem, cholernym durniem, który ma, na co zasłużył.

Tyle że wcale sobie na to nie zasłużył i kiedy tam leżał z głową na moich kolanach i z mózgiem w moich dłoniach, wiedziałem, że ani trochę sobie na to nie zasłużył.

Ogarnęła mnie wtedy nieopisana wściekłość, bo czulem, że to nie Risher powinien tam być. Byliśmy SEALsami. Żołnierzami szkolonymi do walki w dżungli, a nie gównianymi miejskimi policjantami. Na ulicach powinien być ten pieprzony pułkownik i jego zielone berety. To oni powinni iść na szpicy, zamiast siedzieć otoczeni sześcioma zwojami koncertyny i drutu kolczastego za trzymetrowym betonowym murem w tym swoim' pieprzonym kompleksie, schludnym jak trawnik na cholernej paradzie w West Point.

Ogarnęła mnie wtedy nieopisana wściekłość, bo mojego człowieka zabił jakiś przeklęty, cuchnący, gówniany, ważący trzydzieści pięć kilo z pełnym brzuchem snajper z Wietkongu pana Charliego. Nienawidziłem wtedy wszystkich Wietnamczyków, beznadziejnej klasy żłopiących nuoc mam podludzi, którzy potrzebowali dwóch patyków, żeby podnieść jedno ziarno ryżu, ale już do niesienia dwóch kubłów gówna używali tylko jednego.

I ogarnęła mnie wtedy nieopisana wściekłość, bo kiedy zastrzelono Rishera, nadszarpnięta została również moja własna nieśmiertelność. Podczas pierwszej nocnej akcji w Wietnamie kula z AK rykoszetowała od powierzchni rzeki i drasnęła między oczy gościa, który stał tuż obok mnie. Dlaczego jego, a nie mnie? Któregoś dnia przemierzałem boso ścieżki po wyspie Dung, a idący za mną żołnierz w butach beta szedł dokładnie po śladach moich stóp, kiedy - bum! - wybuchła mała mina lądowa i zerwała mu but ze stopy. Dlaczego jemu, a nie mnie? Już po obu stronach mnie ktoś dostał. Dlaczego oni obrywali, a ja - nie?

218

ROZDZIAŁ 1

Dlaczego? Bo ja byłem, k***a, nieśmiertelny. Dlatego.

Tak właśnie to czułem. Dlatego mogłem robić wszystko, iść wszędzie - wbrew wszelkim przeciwnościom - i mówić swoim ludziom, że ze mną nic im nie grozi, zawsze wszystko będzie okej. Draśnięcia mogą się zdarzyć. Zadrapania też - nawet od czasu do czasu tu i ówdzie jakiś postrzał. Ale z Marcinką się nie umiera.

Pieprzona integralność oddziału. Nikt nie umiera. Nic wam nie grozi, bo jest z wami porucznik Rick Marcinko, Demo Dick, Sharkman of the Delta. Słuchajcie: nikt nie umiera.

W ciągu ostatnich dwunastu godzin udało mi się uskoczyć przed serią z AK wystrzeloną prosto w moją twarz z dziesięciu kroków - i ocalałem. Poprowadziłem pluton nocą przez pole minowe - i przeszliśmy je bez zadrapania. Ścigała nas kompania Wietkongu - i nikomu nie stało się nic groźniejszego niż skręcenie kostki. W jedenastu stanęliśmy do walki z dwiema setkami wietnamców i wypchnęliśmy ich z północnej części Chau Doc, przecznica za pieprzoną przecznicą, i nawet się specjalnie nie spociliśmy. Nic.

Aż dotąd.

Nie wiem, kogo nienawidziłem bardziej: szczura kanałowego z Wietkongu, który zastrzelił Rishera, czy pułkownika Shit and Polish, który był takim gnojem, że sam nie zdobył się na to, by walczyć, czy przeklętych Wietnamczyków, którzy od pokoleń robili sobie samym to gówno. Na pewno nikt z nich nie chciałby wtedy zostać ze mną sam na sam. Mogłoby to okazać się dla nich niebezpieczne.

Pogłaskałem twarz umierającego Rishera.

- Tu głupia, durna pało.

Ze śmierci Rishera wyciągnąłem kilka gorzkich lekcji. Najważniejsza dotyczyła sposobu, w jaki od tej pory prowadziłem wojnę. Tak jak to teraz widziałem, moim głównym zadaniem było sprowadzić swoich ludzi z powrotem do kraju żywych. Jak tego dokonam - to mnie nie obchodziło. Jeśli oznaczało to, że miałem stać się twardszy, a nawet

219

CZĘŚĆ DRUGA UNOIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

brutalny wobec podejrzanych z Wietkongu podczas ich przesłuchiwania, to uznałem, że tak ma być. Jeśli oznaczało to, że musieliśmy stać się bardziej bezwzględni w walce, to tak właśnie robiliśmy. Bo jeśli faktycznie zachowanie nas przy życiu miało dla mnie najwyższy priorytet, to zabijanie żołnierzy Wietkongu było zaraz na drugim miejscu. A trzecie zajmował rozwój taktyki SEALsów - użycie wojny do znajdowania najskuteczniejszych sposobów wykorzystania SEALsów we wrogim otoczeniu. Te lekcje wryły mi się trwale na całą resztę kariery zawodowej. Są tacy, którzy uważają, że jestem krwiożerczy, zbyt „podły”, jeśli chodzi o taktykę. Tak: zrobię, co będzie trzeba, żeby zachować moich ludzi przy życiu, i zabiję tylu nieprzyjaciół, ilu zdołam.

Po Chau Doc uświadomiłem też sobie, że my, Amerykanie, nic nie znaczymy dla Wietnamczyków. Ani dla naszych rzekomych sojuszników z Południa, ani dla naszych przeciwników z Północy. To była ich wojna. Toczyli ją od stuleci. My byliśmy dla nich po prostu jedną więcej przeszkodą, jednym więcej ulotnym najazdem białoskórych duchów z okrągłymi oczami. Więc obchodzili się z nami, jak chcieli - zarówno nasi przeciwnicy, jak i sprzymierzeńcy.

Na przykład od czasu umieszczenia mnie na okładce magazynu „Małe” - z tytułem: „Por. »Dick Demolka« Marcinko - najbardziej zabójczy człowiek rekin marynarki w Wietnamie” - stałem się celem mnóstwa dowcipów i figlów ze strony innych SEALsów. Nie przejmowałem się tym - każdemu z żartownisiów umiałem się odpłacić. I potrafiłem przyjmować żarty jak każdy inny człowiek.

Ale nie byłem zachwycony, kiedy jakieś trzy miesiące po publikacji artykułu w „Małe” zobaczyłem poprzybijane przez Wietkong do drzew plakaty „Poszukiwany” i słyszałem, jak mówi się o tym w całej Deltie Mekongu. Pierwszy z tych plakatów głosił: „Nagroda 50 000 piasstrów dla każdego, kto zabije porucznika Demo Dicka Marcinkę, mordercę

0 szarej twarzy, który sprowadził śmierć i kłopoty na prowincję Chau Doc podczas księżycowego Nowego Roku”. To byłem ja, zgadza się.

1 w zasadzie nie przejmowałem się za bardzo tym, że nie tylko znają

220

ROZDZIAŁ 1

moje nazwisko, ale wiedzą też, że byłem w Chau Doc w czasie Tet. To tyle na temat bezpieczeństwa operacji.

Drugi plakat zdjąłem podczas jednego z wypadów, jakie przeprowadzaliśmy w Ke Sach w połowie maja: „Nagroda 10 000 piasstrów dla każdego, kto zabije przywódcę tajnej partii błękitnookiego mordercy, która dokonała masakry wielu rodzin [tutaj] podczas dnia Narodów Zjednoczonych 2 stycznia 1968 roku”. To też byłem ja. Tylko my prowadziliśmy operacje w Ke Sach 2 stycznia. Zabiliśmy sześciu, może nawet siedmiu partyzantów Wietkongu.

W sumie należało się spodziewać takiej taktyki Wietkongu, chociaż jeśli mam być szczery, to wydało mi się paradoksalne, że czytują tu „Małe”. Mnie natomiast więcej czasu zajęło nauczenie się, jak „czytać” sprzymierzonych Wietnamczyków. Mieli oni swoje sposoby zwodzenia ludzi. *

Kiedy pluton przechodził przez jakąś wioskę, zatrzymywaliśmy się tam często, żeby coś zjeść. Gordy i ja nosiliśmy wietnamskie piastry i zawsze płaciliśmy za ryż i ryby, które jedliśmy. Miało to podwójny cel. Po pierwsze, nie musieliśmy nosić jedzenia, co pozwalało nam zabierać więcej amunicji. Po drugie, zawsze byłem przekonany, że zbliża nas to do ludzi. Myślałem tak, bo wydawało mi się sensowne - mnie, białemu - że jeśli będziemy z nimi jeść i spędzać czas wśród nich, to zaczną nam ufać. I rzeczywiście, wieśniacy, wśród których bawiliśmy, zachowywali się przyjaźnie. Podchodzili do nas często i dotykali nas, kiedy kucaliśmy z miseczkami ryżu. Na początku myślałem, że to dlatego, że jesteśmy dla nich obcy i chcą poczuć dotykem nasze zrobione z nieznanego im materiału mundury, zobaczyć z bliska broń i przekonać się, czy nasza owłosiona biała skóra jest taka sama w dotyku jak ich gładka i żółta.

Później dowiedziałem się, co tak naprawdę robią, kiedy nas dotykają. Przekazywali nam swoje demony. Chronili samych siebie i swoje wioski, przenosząc swoje złe duchy przez dotyk na białych. W Wietnamie w ten sposób przekazuje się złe duchy.

221

CZĘŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

Więc zacząłem im je oddawać. Kiedy dzieci dotykały mnie, obejmując mnie za kolana, brałem je na ręce i wcierałem im w twarz i we włosy trochę swojego tłustego kamuflażu. Kiedy starsi ocierali się o moje ramiona, żeby poczuć porastające je włosy, ja ocierałem się o nich. Uśmiechałem się, chwytalem ich i mówiłem:

- Chao hom nay dep troi - czyli mniej więcej: „Miłego dnia”. Pieprzysz mnie, Charlie? Du ma nhieu - pieprz się sam! Wal się, Charlie.

Rozdział 13

;

Odleciałem do Virginia Beach na początku czerwca 1968 roku, by podjąć się zadania, które okazało się trudniejsze niż walka z Wietkongiem: stałem się pełnoetatowym mężem i ojcem. Mój syn Richie miał pięć lat, a moja córka Kathy - trzy. Żadne z nich nie widziało mnie wcześniej za dużo. (Przez pierwszych parę tygodni po moim powrocie do domu mała Kathy ciągle krzyczała, kiedy brałem ją na ręce). Jeśli chodzi o ścisłość, to nie widywałem się też za wiele z Kathy-Ann. Od czasu sesji szkoleniowych do końca dwóch okresów służby w Wietnamie byłem poza domem ponad dwadzieścia z minionych dwudziestu czterech miesięcy - a wizyty w domu w tych okresach były rwane, jedno-albo dwutygodniowe.

Było więc całkiem sporo rzeczy do uregulowania, nie mówiąc o dwustronicowej, gęsto zapisanej liście „kochanie, to, kochanie, tamto”, która czekała, aż wrócę z zagranicy: obowiązków związanych z domem i ogródkiem było mnóstwo. Byłem dumny z naszego maleńkiego domku z cegły położonego tuż obok centrum handlowego Princess Anne. Miał niewielką powierzchnię i był skromnie urządzony, ale był nasz - kupiliśmy go między moim pierwszym a drugim wyjazdem do

223

CZĘŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

Wietnamu. Już samo to odróżniało mnie od moich rodziców, którzy nigdy nie byli właścicielami domów, w których mieszkali.

Przez całe lato 1968 roku spędzałem dni z teamami, pracując jako oficer szkoleniowy z chłopakami, którzy mieli zostać wysłani do Wietnamu. Większość czasu przebywałem w miejscu, które nazywaliśmy Dismal Swamp (Ponure Moczary), w pobliżu granicy stanu Karolina Północna. Na jedną z wypraw zabrałem Richiego. Miał tam mnóstwo atrakcji. Spał ze mną w śpiworze i nauczył się strzelać do puszek po piwie z wiatrówki, którą mu kupiłem. Poznał kilku SEALsów z 8. plutonu i z otwartymi ze zdziwienia ustami patrzył, jak Freddie Toothman łapie gołymi rękami grzechotniki i tymi samymi gołymi rękami je uśmierca.

Po raz pierwszy mój synek jadł też wtedy mięso jelenia. Pewnej nocy jedno z tych pięknych zwierząt popełniło błąd i próbowało przepłynąć rzekę tuż poniżej naszego obozowiska. Chłopaki je zobaczyły, więc zeskoczyłem do rzeki z pomostu, poderżnąłem jeleniowi gardło krótką maczetą, wepchnąłem go pod wodę i utopiłem. Potem wyciągnąłem go na brzeg i Richie patrzył, jak go patroszę. Pokazałem mu nawet, jak podczas szkolenia technik przetrwania nauczyliśmy się wczoł-giwać się do wnętrza zabitego zwierzęcia, żeby zachować ciepło. Mój synek jadł wtedy swoje pierwsze grillowane kotlety z jelonka. Bardzo mu smakowały.

Trenowałem SEALsów do listopada. Potem zaproponowałem, że wrócę do Wietnamu. Uzasadniałem to tym, że nie będę mógł być naprawdę skutecznym szkoleniowcem, jeśli nie będę wiedział, co dzieje się na miejscu. Techniki, które sprawdzały się u mnie podczas pierwszych sześciu miesięcy 1968 roku, mogły okazać się nietrafione dla SEALsów podczas pierwszych sześciu miesięcy roku 1969.

Jednakże Marynarka Wojenna miała inne plany. W swej nieskończonej mądrości BUPERS - biuro personalne - przydzieliło mi wolne stanowisko doradcy do spraw operacji specjalnych w COMPHIB-TRALAN-cie. Niewtajemniczonym wyjaśniam, że w żargonie US Navy jest to skrót od: COMmander, AmPHIBious TRAnining

224

ROZDZIAŁ 1

Command AtLANTic, czyli Dowództwo Szkoleń Desantowych, Atlanty. Nadal miałem pracować w bazie morskiej w Little Creek -siedziba COMPHIBTRALANT-u znajdowała się faktycznie zaledwie dwie przecznice od kwatery głównej SEAL Team Two. Ale te dwie przecznice, które można było przejść chodnikiem, oddzielała olbrzymia przepaść: wynikała ona z tradycji, a wyrażała się w zachowaniu. Jako oficer SpecWar/COMPHIBTRALANT-u miałem zajmować stanowisko sztabowe.

W teamach wszystko kręciło się wokół tego, co fizyczne. Ćwiczyło się bez ustanku. Po nocach piło się z chłopakami. Świat rządził się brutalnymi, pełnymi bluzgów zasadami macho. Panowała postawa: „Ja tu, k***a mać, jestem najmocniejszy, sk***iele”. Naszym mundurem były T-shirty i krótkie spodenki, a nikt się nie przejmował takimi pierdołami jak to, że kjął ś nie ma idealnie uczesanych włosów.

A teraz miałem niespodziewanie zostać jednym z oficerów, których zawsze wyśmiewałem - sztabową wymiociną. Perspektywa przemiany w biurokratę, nieudolnego, skamlącego, wlokącego tylek urzędasa, w najmniejszym stopniu mnie nie podniecała. I nie miałem zahamowań, żeby powiedzieć, co myślę, jeśli ktoś mnie pytał.

- Po co mi, u diabła, ten gówniany sztab? - zapytałem któregoś wieczora Kathy-Ann.

Dzieciaki leżały już w łózkach, a my siedzieliśmy w salonie z piwem w ręku.

- Nie wiem. A po co może być?

To było słuszne pytanie. Pomyślałem o tym.

- Chyba to taka ścieżka kariery.

- No więc...?

- Ale tyle tam tego gówna - powiedziałem wymijająco.

Pociągnąłem łyk piwa, popatrując na żonę znad puszki. Tak

naprawdę wcale mnie nie martwiło całe to biurokratyczne gówno. Wiedziałem, że dam sobie radę. Moje obawy brały się z czegoś dużo bardziej zasadniczego i tkwiącego głębiej. Wiedziałem, że w COMPHIBTRALAN-cie będę musiał sprawdzić się na takim polu

225

CZĘŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

bitwy, na którym trudno mi będzie wykorzystać cokolwiek dla zdobycia przewagi.

W Wietnamie stawałem nos w nos z absolwentami Akademii Marynarki Wojennej albo oficerami rezerwy i wygrywałem. Byłem twardszym, bardziej zaradnym wojownikiem niż którykolwiek z nich i oni

0 tym wiedzieli. Byłem wcześniej szeregowym i podoficerem, więc potrafiłem gadać tym samym językiem co załogi łodzi albo obrzucić marynarza dwuminutowym potokiem

przekleństw równie dosadnych jak bluzgi miotane przez chorążych. Wiele czasu spędziłem na poszerzaniu granic technik SpecWar, więc nie było niczego takiego, czego bym nie zrobił na polu bitwy - ze zgodą dowódców lub bez niej. Wszystko było świetnie, dopóki byłem na misji zagranicznej. Ale wiedziałem, że chuligańska reputacja buntownika, którą zdobyłem w Wietnamie, nie przyczyni się do rozwoju mojej kariery w marynarce.

Zwykli oficerowie marynarki: kapitanowie okrętów, lotnicy czy kapitanowe podwodnych okrętów atomowych, nie ufają oficerom SpecWar. Tak to po prostu jest. Pamiętam, jak wiele lat później mając mleko pod wąsem podporucznikom prosto po akademii wystarczyło jedno spojrzenie na budweisera (noszony przez wszystkich SEALsów emblemat składający się z wizerunku orła, pistoletu, kotwicy

1 trójzębu) na bluzie mojego komandorskiego już wówczas munduru, żeby na ich twarzach pojawił się szyderczy uśmiezek. Oni wiedzieli, że w kastowym systemie marynarki ja byłem niedotykalny - takich jak ja traktowało się jak nieobliczalnych troglodytów. Chorążowie wiedzieli, że oni pójdą w admirały, a my, SEALsi - nie.

Poza tym moje powodzenie w COMPHIBTRALAN-cie miało zależeć od tego, jak będę się wyrażał i zachowywał, a szczerze mówiąc, nie miałem bladego pojęcia, czy sobie z tym poradzę. Mimo że dostałem właśnie awans na kapitana, ciągle miałem tak naprawdę niepełne wykształcenie średnie. Świadcstwo GED, odpowiednik dyplomu ukończenia szkoły średniej, zdobyłem podczas rejsu po Morzu Śródziemnym na rozkaz Eva Barretta, który miał problemy z literowaniem słów

226

ROZDZIAŁ 1

dłuższych niż trzysylabowe. Oczywiście w okresie służby w UDT-21 i UDT-22 zajmowałem się papierkową robotą Barretta i pisałem „zaproszenia na wiejskie zabawy” (czyli raporty z prowadzonych działań), a w Wietnamie opinie służbowe i pochwały do odznaczeń dla swojej drużyny i plutonu. Ale nie miałem doświadczenia w pisaniu raportów, nie zostałem poddany przeszkoleniu w zakresie makiawe-licznej sztuki sporządzania notatek służbowych. Jako oficer sztabowy w COMPHIBTRALAN-cie byłbym równie bezbronny i wystawiony na ostrzał biurokratyczny, jak narażony byłby na prawdziwy ogień każdy nieopierzony oficer łącznikowy wywiadu marynarki, gdyby znalazł się w Chau Doc podczas święta Tet.

Był jeszcze dodatkowy element mojego niepokoju: Kathy-Ann. Ona nigdy dotąd nie udzielała się w żadnej działalności społecznej czy życiu towarzyskim, cze^b oczekuje się od żon oficerów, jeśli chcą zapunk-tować. No bo niby jak i kiedy? Była uziemiona, mając dwójkę małych dzieci i dom na głowie, a w ciągu ostatnich dwóch lat męża przez większość czasu przy niej nie było. Do tego, jeśli chciałem, żeby marynarka była moim życiem - a chciałem - to oboje mieliśmy sporo ostrych kantów, które trzeba było w wielkim pośpiechu wygładzić. Ja musiałem zdobyć wyższe wykształcenie, a Kathy musiała zacząć zachowywać się jak żona młodszego oficera, jeśli planowaliśmy wspinać się po usankcjonowanych od dawna ścieżkach

kariery. Miałem większą treść z powodu tego nowego przydziału, niż kiedykolwiek zdarzyło mi się to w Wietnamie.

Sprawy potoczyły się w zdecydowanie dobrym kierunku w dniu, w którym po raz pierwszy w życiu spotkałem się z admirałem. Zostałem poproszony o danie galowego przedstawienia podczas audiencji wyznaczonej na pewien poranek w gabinecie kontradmirała Raya Peeta. W jego twarzy rzucały się w oczy przede wszystkim krzaczaste brwi. Ubierał się wręcz nieskazitelnie i w ogóle wyglądał, jakby do odegrania roli oficera przysłała go tu najlepsza amerykańska agencja cast-ingowa. Widywałem go wcześniej w bazie, jak wsiadał do samochodu albo z niego wysiadał. Na takim starym zjadaczu węży jak ja robił

227

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

kolosalne wrażenie. Ubranie zawsze miał jak spod igły. W jego błyszczących butach można się było przeglądać, paznokcie miał starannie wypielęgnowane, krawat zawiązany idealnie, a kanty spodni ostre jak brzytwa. Było to totalnie deprymujące. Przed spotkaniem z nim musiałem spędzić dwie godziny na doprowadzeniu się do porządku. Chyba nigdy tak ciężko się nie napracowałem przy pucowaniu wszystkiego do połysku - nawet w czasach, gdy jako Świr polerowałem sobie buty z wierzchu i od spodu.

Upstrzony baretkami odznaczeń adiutant wprowadził mnie do przestronnego, luksusowego gabinetu. Za biurkiem o rozmiarach niewielkiego lotniskowca admirał Peet odwrócił w moją stronę swój sędziowski fotel z wysokim oparciem. Oddałem honory. On również zaszalutował, patrząc na mnie groźnie, po czym na jego twarzy zajaśniał uśmiech - niczym wschód słońca w Wietnamie. Podniósł się, wyszedł zza biurka i uściśnął mi dłoń.

- Cieszę się, że mam cię na pokładzie, synu.
- Dziękuję, sir.
- Siadaj. - Wskazał mi fotel u końca długiego niskiego stolika z drewna wiśniowego.

Usiadłem wyprostowany. On zajął miejsce na skraju sofy w stylu królowej Anny, obok inkrustowanego narożnego stolika, na którym znajdowały się ozdobna mosiężna lampa wykonana z zabytkowej gaśnicy, wielka konsola telefoniczna z kilkoma wyjściami i trzydziesto-centymetrowa sterta raportów. Stos wyglądał jak tęcza: kolor okładki każdej teczki oznaczał poziom tajności zawartych w niej informacji.

- Więc, poruczniku, co sprowadza pana do COMPHIBTRA-LANT-u?

Przemyślałem wcześniej, co odpowiem, jeśli zostanę o to zapytany. Świr we mnie odpowiedziałby pewnie tak: „Ktoś uznał, że nadszedł dla mnie czas na misję dla nieudolnych sztabowych wymiocin, i te dupki, gównojady, popaprańcy w BUPERS-ie nie chcą mi pozwolić wrócić do Wietnamu”. Ale nie - popatrzyłem admirałowi Peetowi prosto w oczy i powiedziałem:

ROZDZIAŁ 1

- No cóż, sir, spędziłem ostatnie półtora roku w Wietnamie i pomyślałem, że czas dać szansę młodszym chłopakom, żeby trochę powalczyli, natomiast ja mógłbym skorzystać z okazji, by nabrać nieco biegłości w zadaniach sztabowych. - A mówiąc to, zachowywałem całkowitą powagę.

- Całkiem dobrze się pan tam spisał: Srebrna Gwiazda, cztery Brązowe Gwiazdy, dwa Medale Pochwalne Marynarki.

- Tak jest. Ale...

-Ale?

- To fakt, admirale: jestem piekielnie dobrym SEALsem i uwielbiam walczyć. Ale chcąc naprawdę uczynić z marynarki swój zawód, muszę rozumieć, jak marynarka funkcjonuje. A tego mogę się nauczyć tylko jako oficer sztabowy. Poza tym, sir, praca tutaj pozwoliłaby mi też przeznaczyć p/wien czas na szkołę wieczorową. Zna pan moje akta, sir: nie mam wyższego wykształcenia. Myślę, że powinienem zapisać się do szkoły wieczorowej, żeby móc ubiegać się o przyjęcie na studia licencjackie marynarki w Monterey.

Peet pokiwał głową.

- Sądzę, synu, że patrzysz na świat realistycznie - powiedział.

Rozmawialiśmy jeszcze przez jakieś dwadzieścia minut. Pytał mnie

o rodzinę, o to, dlaczego zostałem SEALsem, i jak było w Wietnamie. Powiedział mi, czego ode mnie oczekuje: że zacznę koordynować działania SEALsów w ramach dowództwa szkoleń desantowych i reprezentować w jego sztabie punkt widzenia niekonwencjonalnych działań wojennych. Nadszedł czas się pożegnać: do gabinetu wśliznął się adiutant i zakasłał dyskretnie.

- Pańskie kolejne spotkanie czeka, sir.

Wstałem i starannie zasalutowałem.

- Dziękuję za poświęcenie mi czasu, sir.

Już w drzwiach odwróciłem się do Peeta.

- Przy okazji, admirale - powiedziałem - gdyby kiedyś zechciał pan wybrać się postrzelać albo poskakać, albo popróbować wysadzania, na pewno mógłbym to zorganizować.

Brwi admirała podskoczyły o dobre dwa centymetry, jakby doznał wstrząsu elektrycznego, po czym głośno się roześmiał.

- Na pewno będę o tym pamiętał, poruczniku. Odmaszerować.

Parę miesięcy trwało, nim się do tego przystosowałem, ale z początkiem 1969 roku naprawdę zacząłem lubić pracę w sztabie. Jej część stanowiło wyzwanie, jakim było włączenie punktu widzenia SEALsów do doktryny desantowych działań wojennych - czegoś podobnego nie praktykowano w COMPHIBTRALAN-cie przed moim przybyciem.

Jeśli choć trochę mi się to udało, było to w dużym stopniu zasługą mojego pełnego zrozumienia i wsparcia szefa, admirała Peeta, oraz tyczkowatego komandora Boba Stantona, który pojawił się w sztabie parę tygodni po mnie. Bob został oddelegowany do COMPHIBTRALANT-u na czas potrzebny marynarce do podjęcia decyzji, czy awansować go do wyższej rangi. Dojeżdżał z Waszyngtonu fiatem 600, który wyglądał jak jeden z tych maleńkich samochodzików, jakie widuje się w cyrku. Widok Boba wydobywającego się ze środka przypominał magiczną rosnącą fasolę z bajki: wydawało się, że wysuwa się bez końca. Nigdy wcześniej nie spotkałem kogoś równie wysokiego - musiał mieć ze dwa dziesięć.

Stanton był wcześniej oficerem UDT, więc szybko znaleźliśmy wspólny język. Był to też ten typ oficera marynarki starej daty, który działał zgodnie z pierwszym prawem morskim Eva Barretta, więc wziął mnie pod swoje skrzydła. Uczył mnie misternej sztuki zdobywania akceptacji przełożonego dla projektów notatek, które w rzeczywistości wcale by się mu nie podobały. Zlecał mi zadania związane z koniecznością bliskiego zapoznania się z biblioteką. Poprawiał moje notatki i raporty, każąc mi wielokrotnie je przepisywać, aż brzmiały jak napisane po angielsku, a nie po urzędniczemu. Bronił mnie przed tym, co staje się rutyną we wszystkich sztabach - przed obgadywaniem za plecami i nieczystymi zagrywkami. Kiedy komandor Bob wyjeżdżał, potrafiłem już poruszać się w tej rzeczywistości samodzielnie.

230

ROZDZIAŁ 1

Może i była to ciężka robota, ale poczucie, że potrafię to robić równie dobrze jak każdy z moich świecących dyplomami kolegów, sprawiało mi niemałą satysfakcję.

W ciągu tygodnia pracy było dużo, ale dawało się wytrzymać. Meldowałem się przed 8.00, a kończyłem około 16.00, po czym jechałem prawie 50 kilometrów do College of William and Mary albo do Old Dominion University na pięć godzin nauki wieczorowej. Po szkole jechałem do domu, przyjeżdżałem tuż przed północą i zjadałem późną kolację. Parę chwil spędzałem z Kathy-Ann, siedziałem z nosem w książkach do 2.00, po czym spałem do 6.00.

Weekendy należały do mnie. Bawiłem się z dziećmi, nadrabiałem zaległości w obowiązkach domowych - jednego lata udało mi się nawet obsadzić ogród kwiatowy, który zdobył nagrodę. Raz w miesiącu musiałem ponownie zaliczać szkolenie z zakresu wysadzania, raz na kwartał miałem skoki zaliczeniowe, a raz na pół roku zaliczenia z nurkowania. Ale poza tym nie miałem praktycznie żadnych kontaktów z SEAL Team Two ani z żadnym z dawnych

kolegów z UDT. Jeśli pojawiała się jakieś konkretne pytanie związane z operacjami, dzwoniłem. Ale noce spędzane w miejscowych barach na picciu piwa i burdach odeszły do historii. Po raz pierwszy, od kiedy się ożeniłem, byłem pełnoetatowym mężem i ojcem. I nie było tak źle, jak myślałem.

Jakiś rok po moim przybyciu admirała Peeta zastąpił stary wilk morski o nazwisku Ted Snyder, lubiący dosadne wyrażenia były kapitan okrętów podwodnych. W sali rekreacyjnej miał klakson zanurzeniowy z okrętu podwodnego. Kiedy poprawiał sobie lekko nastrój przy użyciu whisky, można go było usłyszeć na kilometr: auuuuu, auuuuu, zanurzenie! zanurzenie!

Snyder i Peet stanowili przeciwieństwa prawie pod każdym względem. Peet był zawodowym urzędnikiem, którego orężem był papier. Snyder był marynarzem głębinowym i zawodowym kapitanem okrętu. Peet był niczym prezes banku: nienaganny w obejściu. Snyder - bardziej bezpośredni, a nawet od czasu do czasu po marynarsku wulgarny. Ale cieszę się, że miałem okazję służyć pod rozkazami ich obu. Od

231

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

Peeta nauczyłem się doceniać planowanie, które należy do dobrej pracy sztabu. Nie da się panować nad wielkimi jednostkami, podejmując decyzje na wyczucie. Metodyczny, oparty na liczbach styl dowodzenia Peeta nauczył mnie i taktyki, i wykonania. Od Snydera nauczyłem się rzeczy równie cennej: jak opiekować się oficerami flagowymi (czyli admirałami) i ich karmić.

Stary Snyder od razu mnie polubił. Przyprawdzał mnie ze sobą na posiedzenia i pozwalał mi brać w nich udział. Zabierał mnie na koktajle, podczas których puszczał do mnie oko, dając znać: „Postaw drinka temu gościowi” albo „Weź numer od tego gościa”. Wiele mi mówił o polityce rządzącej życiem oficerskim, ucząc mnie, jak można w najrozmaitszy sposób zapunktować: na przykład zostając drużynowym skautów albo wygłaszając prelekcje w miejscowym klubie ro-tariańskim - co bardzo doceniają odpowiednie komisje, podejmując decyzje w sprawach awansów.

Aby pomóc mi piąć się po usankcjonowanych od dawna ścieżkach kariery, umieścił mnie w zarządzie Planetarium - kwater dla oficerów flagowych przebywających gościnnie w Little Creek. (Nazwa „Planetarium” wzięła się stąd, że tam spały „gwiazdy”). To dopiero było nabieranie ogłady: przecież z personelem obsługującym VIP-ów nie rozmawia się w stylu Eva Barretta - ani też nie mówi się nadal tym jego pełnym k. i ch. językiem, kiedy ustala się z żonami admirałów kwestie wystroju. Pani trzygwiazdkowa admirałowa Jones z misternie ułożoną fryzurą nie życzy sobie słyszeć o innych trzech gwiazdkach, a już na pewno nie o tych, które w słowie „k***a” młody porucznik Dick chciałby zastąpić jakże soczyście brzmiącymi głoskami.

Nauczyłem się nowego słowa: subtelność. Odkryłem na przykład, że takie drobne szczegóły jak ładnie ułożone świeże kwiaty mogą zjednać dozągoną przyjaźń żony trzygwiazdkowego

admirała - a admirał Snyder przypominał mi, że jest to często równie ważne jak zaprzyjaźnienie się z samym trzygwiazdkowcem.

By jeszcze mocniej wyrobić mnie towarzysko (pomyśleć, że jeszcze tak niedawno wciągałem przez nos groszek i spaghetti!), zlecał

232

ROZDZIAŁ 1

mi organizowanie jego własnych koktajli. Uczyłem się więc, jak prowadzić kantinę w naszej bazie. Całe moje wcześniejsze doświadczenie związane z przygotowaniem posiłków sprowadzało się do podawania zapiekanek u Gussyego i pracy w piekarni za czasów UDT. Teraz zaczynałem być specem od przystawek gorących i zimnych, egzotycznych trunków i importowanych win. W procesie eliminacji odkrywałem nawet, które noże i widelce są odpowiednie do poszczególnych dań.

Ta sama energia, z którą szkoliłem drużynę Bravo i 8. pluton, została teraz ukierunkowana na nowy i niezbadany obszar gastronomii. Byłem wymagający jak skrupulatny maitre d' - upewniając się, czy wszystko zostało w porę dostarczone i przyrządzone. Co jednak bardziej znaczące, wraz z tym, jak na moich oczach rozgrywały się te przyjęcia dla cmcerów flagowych, unosiła się jednocześnie kurtyna zasłaniająca mi widok na styl życia, o którym dotychczas nic nie wiedziałem.

Będąc członkiem UDT, a nawet będąc już oficerem SEALsów, wyśmiewałem wszystko, co zalaływało wielkopańskimi manierami. Parodiowałem takie zachowanie, kiedy zamierzałem wyrzucić kogoś przez szybę. Teraz uzmysłowiłem sobie, że cała ta napuszoność, jak to nazywałem, jest elementem skomplikowanego społecznego rytuału. Okazało się, że to kod - kod, który zaczynałem rozgryzać. A jak pokazał mi to od razu admirał Snyder, kiedy już udało mi się ten kod rozgryźć, nie było przede mną takich szczytów kariery, na które nie mógłbym się wspiąć.

Więc jak dziecko się uczy? Dziecko uczy się przez naśladowanie. Regularne kontakty ze stewardami z mesy pozwoliły mnie i Kathy--Ann zacząć wydawać własne przyjęcia, aczkolwiek na miarę budżetu porucznika. Wybierałem się do Planetarium i mówiłem szefowi kuchni:

- Szefie, w sobotę wieczorem będzie trzydzieści osób. Budżet wynosi 60 dolarów.

Za te 60 dolarów mogliśmy dostać przekąski i tyle alkoholu, ile potrzebowaliśmy, jak również dwóch stewardów w wykrochmalonych

233

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

białych marynarkach do podawania tego wszystkiego w miły i kulturalny sposób. Otoczenie, w którym urządzaliśmy te przyjęcia, nie było może równie eleganckie jak dzielnica

Snydersów, ale znajdowaliśmy się zdecydowanie o parę stopni wyżej niż wtedy, kiedy za czasów UDT urządzałem grilla z piwem i preclami w ogródku. Przez ostatnie półtora roku mojej pracy w sztabie Snydera na stałe weszliśmy w rolę gospodarzy przyjęć, starając się urządzać koktajle co parę miesięcy. Lista gości się zmieniała - byli to różni oficerowie z COMPHIBTRA-LANT-u, a także starzy koledzy z SEAL Team Two, na przykład Fred Kochey i Jake Rhinebolt. Przychodził też Gordy Boyce. Ale nie zachęcaliśmy go już do wykonywania tańca płonącej dupy.

Admirał Snyder zmobilizował mnie też do tego, bym napisał opracowanie na temat wykorzystania teledetekcji w działaniach wojennych w terenach rzecznych. Artykuł ten krążył różnymi kanałami, aż został zaakceptowany jako taktyczna doktryna marynarki i dostałem za niego list pochwalny. Za namową admirała zrelacjonowałem też osobiście w obecności komisji do spraw działań desantowych swoje pomysły na temat tego, jak poprawić metody przemieszczania drużyn UDT i SEALsów na miejsce operacji. Zalecałem między innymi, żeby dokonać zmian w wyposażeniu atomowych okrętów podwodnych (i rzeczywiście później pomysł ten zastosowano), tak by mogły służyć jako środek podwodnego przemieszczania dla SEALsów i były w stanie współpracować z SDV-ami - submersible delivery vehicles, podwodnymi środkami transportowymi - oraz innymi środkami transportu SEALsów.

I tu ciężka praca też się opłacała. Snyder napisał mi niesamowity zestaw ocen w opinii służbowej: „Por. Marcinko jest jednym z najbardziej pełnych oddania, najciężej pracujących i posiadających największą wiedzę fachową oficerów, jakich miał okazję obserwować piszący niniejszą opinię, oficerem, którego najgłębsze nawyki dotyczące jedzenia, spania i myślenia przeniknięte są zagadnieniami związanymi ze Special Warfare, a zwłaszcza z działaniami SEALsów”. A jakby tego było mało, zadzwonił do wydziału studiów marynarki w Monterey

234

ROZDZIAŁ 1

w Kalifornii i praktycznie nakazał im przyjąć mnie na rok akademicki 1971/1972. Tak też zrobili.

Wybrałem się na poszukiwania i kupiłem volkswagena campera -jeden z vanów z podnoszonym tekstylnym dachem. Następnie doczepiłem dyszel holowniczy do naszego zdezelowanego renaulta, spakowaliśmy graty, pożegnaliśmy się ze wszystkimi dookoła, wsadziliśmy dzieciaki do vana i w maju 1971 roku wyjechaliśmy do Kalifornii - wypisz, wymaluj, rodzina Cyganów.

Spędziliśmy szesnaście wspaniałych miesięcy w Monterey, gdzie na koniec zdobyłem licencjat ze stosunków międzynarodowych. Kiedy nie chodziłem na^ajęcia ani nie grałem w kręgle, ani nie hasałem po górach Kalifornii? skacząc i biwakując, ani nie jeździłem z dziećmi na koniu rasy quarter horse, którego im kupiłem, starałem się jakoś zapunktować. Wstąpiłem do organizacji Jaycees. Zostałem drużynowym młodszych skautów. (Moje zuchy były prawdopodobnie jedynymi, które kiedykolwiek w dziejach skautingu w tak młodym

wieku polowały na żaby, zabijały je i oprawiały, po czym jadły świeże żabie udka podczas nocnych wypraw. Część tatusiów miała mdłości, ale dzieciakom nic nie było).

Regularnie udzielałem się na mównicach, wygłaszając prelekcje w organizacjach obywatelskich, kościołach i szkołach na temat zadań sił specjalnych marynarki. Zostałem wybrany jako jedna z osób, które znalazły się w wydaniu Outstanding Young Men in America (Wybitni młodzi ludzie w Ameryce) z roku 1972. I osobiście mogę poświadczyć, że zdobywanie punktów działa. Zostałem awansowany na komandora podporucznika w roku 1972 - dwa lata przed czasem.

Podczas ostatniego semestru studiów przez trzy dni w tygodniu zajmowałem się nadzorowaniem kursów języka wietnamskiego w kolegium języków obcych US Army. Krążyły plotki, że zostanę wysłany z powrotem do Wietnamu jako główny biały doradca wszystkich połu-dniowowietnamskich Navy SEALsów. Ale w ostatniej chwili wycofano

235

CZĘŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

pomysł z tym stanowiskiem - po części z powodu wietnamizacji wojny. Odebrałem natomiast telefon z gabinetu jakiegoś admirała z Waszyngtonu.

- Komandor podporucznik Marcinko?
- Przy aparacie.
- Proszę niezwłocznie zameldować się na szkolenie.
- Na szkolenie?
- W Szkole Wywiadu Departamentu Obrony. Został pan wybrany, by zostać attache marynarki w Kambodży, jak tylko uzupełni pan wymagane kwalifikacje wywiadowcze i językowe.

Rozdział 14

;

Przeprowadziliśmy się z powrotem do Virginia Beach. Kupiłem nowy dom, urządziliśmy się w nim z Kathy-Ann, zapisałem dzieci do szkoły, po czym pojechałem na północ, żeby przez osiem miesięcy uczyć się szpiegostwa w Waszyngtonie. Wszyscy attache - niezależnie od tego, czy są posyłani na placówkę w kraju sprzymierzonym, czy wrogim - są szkoleni na szpiegów. Różnica polega na tym, że szpiegując sojuszników, stosuje się subtelniejsze metody, niż szpiegując wrogów. I inaczej niż w wypadku oficerów wywiadu CIA, którzy działają potajemnie pod dyplomatyczną przykrywką, wszystkie państwa przyjmują do wiadomości, że attache wojskowi są przede wszystkim wysyłani do zbierania danych wywiadowczych i że meldują swoim kwaterom głównym o wszystkim, co tylko widzą, przebywając na placówce.

Tak więc razem z innymi kolegami studiowaliśmy delikatną sztukę szpiegostwa. Uczono nas tak podstawowych umiejętności, jak Wykonywanie właściwie naświetlonych zdjęć i samodzielne wywoływanie błon fotograficznych. Uczyliśmy się, jak być chodzącą sprzecznością: uśmiech z jednej strony, nóż z drugiej - a jednocześnie utrzymywać ze wszystkimi serdeczne stosunki. Mnóstwo czasu instruktorzy poświęcali

237

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

na uczenie nas przetrwania w sytuacjach towarzyskich. Ćwiczano nas w sposobach upijania innych, tak by samemu pozostać trzeźwym. Trenowano w zakresie dyskretnego wykonywania notatek. (Robi się to, pisząc ogryzkiem ołówka na maleńkim skrawku papieru schowanym w kieszeni spodni. Zawsze wydawało mi się, że wygląda to głupio, jakby się człowiek drapał po jajach). Udzielano nam pouczeń na temat niuansów dotyczących pochlebstw i perswazji jako środków wydobywania informacji od naszych kolegów po fachu, attache innych państw. Poznawaliśmy tajemną radość z rozsiewania dezinformacji.

Przeszedłem intensywny kurs w zakresie zbierania ELINT - elec-tronic intelligence, wywiadu elektronicznego - dzięki czemu wiedziałem, jakich anten wypatrywać w terenie. Uczyłem się interpretacji zdjęć i potrafiłem odróżnić, co przewożą statki, na podstawie analizy wyglądu kontenerów widocznych na pokładzie.

I oczywiście szkolono nas w sztuce i rzemiośle pisania notatek ze spotkań. Takie notatki to specjalność służb dyplomatycznych. Jeśli kiedykolwiek zdarzyło się wam rozmawiać z jakimś dyplomatą albo szpiegiem w sytuacji oficjalnej, to wasze opinie zostały prawdopodobnie przelane na papier i tkwią gdzieś w jakiejś teczce operacyjnej.

By udoskonalić nasze nowo odkryte talenty, przeprowadzaliśmy niekończące się ćwiczenia: próbowaliśmy uzyskać rozmaite informacje od siebie nawzajem, urządzaliśmy przyjęcia w barze klubu oficerskiego przy waszyngtońskiej stoczni marynarki w Anacostii, by przekonać się, kto będzie potrafił najdłużej pozostać trzeźwy, wreszcie wyjeżdżaliśmy na wieś do Wirginii robić z ukrycia zdjęcia wiejskich posiadłości.

Po szkole szpiegowskiej odbyłem w siedemnaście tygodni intensywny półroczny kurs języka francuskiego, uporządkowałem sprawy domowe, zamówiłem w SEAL Team Two paletę wyładowaną cudemkami SEALsów i wysłałem ją do Phnom Penh, po czym odleciałem do wspaniałego Orientu.

Nie miałem żadnych skrępowań, że zostawiam Kathy-Ann i dzieciaki w kraju. Przede wszystkim to miał być niebezpieczny przydział. Phnom Penh znajdowało się w strefie objętej działaniami wojennymi,

238

ROZDZIAŁ 14

więc marynarka nie rwała się do tego, by pozwalać wysyłanym tam żołnierzom zabierać ze sobą rodziny. Poza tym odgrywałem w domu rolę ojca i męża przez minione cztery lata - i to całkiem udanie. Teraz przyszła kolej na Kathy-Ann, by samodzielnie przejęła stery i pozwoliła mi zająć się pracą. Zawsze mieliśmy tradycyjny dom: ja pracowałem jako pełnoetatowy oficer marynarki, a Kathy-Ann jako pełnoetatowa matka i gospodyni domowa. Ten układ jej odpowiadał - a nawet sama nalegała, by tak było - i odpowiadał także mnie.

Zanim wyjechałem, zrobiliśmy sobie długi weekend: wycieczkę pod namioty do Wirginii Zachodniej. Pogodę mieliśmy idealną: jasne niebo, chłodne wieczory i zachody słońca, jakie widuje się w reklamach Kodaka. Przyrządzałem hamburgery i hot dogi, jedliśmy fasolkę po bretońsku oraz surówkę coleslaw i przesiadywaliśmy przed namiotem, patrząc, jk dogasa ognisko, i wypatrując na niebie spadających gwiazd. Później dzieci wczłgiwały się do śpiworów i zasypiały. Kathy i ja siedzieliśmy na zewnątrz, popijając piwo przed snem.

Pokazałem kciukiem w tył, na śpiące dzieci.

- Będzie mi ich brakowało.
- Im też będzie ciebie brakowało. Dopiero zaczęły cię poznawać, a ty znowu wyjeżdżasz.
- Zaraz, zaraz: tęsknota za dziećmi to część bycia SEALsem.
- Są takie chwile, Dick, kiedy twoje bycie SEALsem zaczyna nas wszystkich drażnić.
- Ale, Kathy, to właśnie ja. To to, co robię.

W związku z wyjazdem do Kambodży jedno tylko mnie niepokoiło: praca tam odsuwała mnie na rok lub dwa od biurokratycznej drabiny prowadzącej do możliwości dowodzenia. Zanim opuściłem sztab w COMPHIBTRALAN-cie, pewien admirał o nazwisku Moore, który był zwierzchnikiem Dowództwa Wsparcia Operacji Desantowych LANTFLT-u (AtLANTic FLeeT, Floty Atlantyckiej) w Norfolku, wyższego o jeden stopień w ciągu formalności od podległego mu

239

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

COMPHIBTRALANT-u, przyznał mi znakomitą ocenę w opinii służbowej. „Por. Marcinko jest jednym z najbardziej obiecujących młodych oficerów, jakich znam, obdarzonym ogromnym potencjałem w odniesieniu do kariery w marynarce - napisał. - Dla kontynuowania jego rozwoju zalecane jest przydzielenie mu stanowiska dowodzenia jednym z teamów SEALsów po ukończeniu studiów magisterskich w Monte-rey. Rekomenduję go do przyspieszonego awansu”.

Dowodzenie teamem SEALsów? To mi się podobało. Szczerze mówiąc, nigdy naprawdę nie myślałem, że mogę być dowódcą teamu SEALsów - ani zresztą żadnego innego teamu. Bycie dowódcą to było zajęcie dla absolwentów akademii albo oficerów rezerwy marynarki, którym

służy papierkowa robota. To było zajęcie dla starych facetów, a nie dla takich młodych żołnierzy jak ja. Poza tym gdzieś w głębi duszy ciągle jeszcze było we mnie sporo Świra, gościa, który sam z siebie porzucił szkołę średnią i zaciągnął się do marynarki, bo był to jedyny sposób, by wyrwać się z pozbawionej perspektyw egzystencji w New Brunswick.

Ale po doświadczeniu Wietnamu i po tym jak tacy admirałowie jak Peet i Snyder pomogli mi nabrać ogłady, zacząłem brać pod uwagę możliwości, o których nigdy wcześniej nie myślałem. To, że marynarka będzie moim życiem, było jasne jak słońce. Ale teraz, mając w ręku nowe atuty w postaci praktyki w sztabie i dyplomu wyższej uczelni, ścieżki mojej kariery mogły rzeczywiście poprowadzić w nieoczekiwanym dotąd kierunku - ku tradycyjnemu szczytowi, jakim jest stanowisko dowodzenia. Cholernie mi się to spodobało.

Kłopot polegał na tym, że ludzie, z którymi rywalizowałem, poświęcili na zbieranie punktów więcej czasu niż ja. Ja byłem ciągle bardzo początkującym komandorem podporucznikiem. Nie spędzałem ostatnio czasu w Special Warfare Group One ani Special Warfare Group Two, nie byłem przydzielony do organizowania regat SEALsów w Corona-do ani do kompletowania olimpijskiej drużyny bobslejowej marynarki. A co ważniejsze, wysłanie mnie na placówkę w Phnom Penh miało mi uniemożliwić uzyskanie bardzo ważnego mianowania na szefa sztabu.

240

ROZDZIAŁ 14

Szefowie sztabu danej jednostki to oficerowie zajmujący się zaopatrzeniem, sprawami personalnymi i harmonogramami dowódców. Potrzebujesz trzech łodzi gotowych do wypłynięcia na 14.25? Pogadaj z szefem sztabu. Ośmiu ochotników do jakiejś małej rajcującej roboty? Gadaj z szefem sztabu. Dowódca się na ciebie wziął i chcesz, żeby z ciebie zszedł? Idź do szefa sztabu. Szefowie sztabu uczą się, jak myśli dowódca, po czym przewidują, czego będzie potrzebował, i mają to już zrobione, zanim dowódca zdąży zapytać. To na nich również dowódcy sondują własne pomysły. Szef sztabu to jedyna osoba, z którą dowódca może porozmawiać, wiedząc, że - przy odrobinie szczęścia - usłyszy od niej szczerą opinię, a nie bzdety. Wielcy szefowie sztabu potrafią stworzyć jednostkę wojskową. Tacy, którzy nie są zbyt wielcy, potrafią narobić szkód.

;

Mnie jednak nie miało być dane zostać ani wielkim, ani niezbyt wielkim. Do Phnom Penh dotarłem we wrześniu 1973 roku, szczęśliwy, że znów mogę poczuć zapach gryzącego azjatyckiego powietrza, które wypełnia mi nozdrza. Miasto było niesamowitą mieszaniną Trzeciego Świata i francuskiej kolonii. Opuściłem szyby w oknach samochodu przysłanego po mnie na lotnisko z ambasady i wziąłem głęboki wdech.

Kambodżański kierowca wyciągnął do mnie szyję i zmierzył mnie wzrokiem.

- Vous etes officier de marine? (Jest pan oficerem marynarki?)

- Daccord. (Zgadza się) - powiedziałem i wskazałem budweisera na klatce piersiowej. - Je suis un phoque. (Jestem SEAL - foką).

Wyrząłem przez okno. Zobaczyłem rzekę, a na niej pływające promy i nawodne restauracje. W pewnej odległości widziałem Srebrną Pa-godę. Zakurzone ulice były pełne ludzi: pięknie wyglądających, przyjaznych ludzi o brązowej karnacji.

- Oui, je suis un officier phoque - powiedziałem jeszcze raz. Roześmiałem się głośno. - I nie mogę się doczekać spotkania z phoques!

241

CZĘŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

Warunki bytowe okazały się lepsze, niż się spodziewałem. Zamiast pomieszczenia w koszarach albo kwatery oficerskiej dostałem piętrowy dom z dziesięcioarowym ogrodem pełnym tropikalnych kwiatów i setek storczyków. W domu były ogromne pokoje z pobielanymi ścianami - idealne do przyjmowania gości. Usługiwał mi Sothan - chłopak, który mieszkał na stałe w rezydencji. Miałem też kierowcę - nazywał się Pak Ban - a po miesiącu pojawiła się już cała ekipa kuzynek, kuzynów i najrozmaitszych krewnych, dzięki czemu mój personel powiększył się do blisko dziesięciu osób. Do diabła, czy to ważne, ile ich było? Dałem Sothanowi kupę forsy i kazałem mu ich wszystkich poubierać. Dziewczęta nosiły czarne sarongi, a chłopcy - czarne spodnie i białe koszule. Jako coup de maitre dodałem charakterystyczne dla marynarki białe kamizelki, na których kazałem wyszyć złotymi nićmi naszego budweisera (orła, pistolet, kotwicę i trójząb - herb, który został właśnie zatwierdzony jako oficjalny emblemat SEALsów).

Wchodziłem do gry. A przynajmniej tak myślałem.

Poszedłem złożyć kurtuazyjną wizytę komodorowi Vongowi Sarendyemu, kambodżańskiemu szefowi operacji morskich (Chief of Naval Operations, CNO), i poczułem zderzenie z rzeczywistością. Przede wszystkim mój starannie wyuczony francuski okazał się praktycznie bezużyteczny. Kambodżanie mają własną odmianę francuskiego, tak samo jak Haitańczycy. Więc jakałem, ile mogłem, ale zasadniczo musiałem mówić po angielsku. Po drugie, CNO był wobec mnie bardzo chłodny, a nawet oziębły. Później w ambasadzie dowiedziałem się dlaczego. Oficer, którego zastąpiłem, był komandorem - capitaine de fregate. Ja byłem tylko capitaine de corvette - komandorem podporucznikiem. Zdaniem CNO Stany Zjednoczone nie postarały się za bardzo i nie przysłały mu kogoś absolutnie najlepszego, co przyjął jako dyplomatyczny afront. Pieprzyć go - nigdy jeszcze nie spotkał żadnego SEALsa.

Duży biały budynek ambasady leżał w odległości jednej przecznicy od rzeki. Otoczony był ogrodzeniem z kutego żelaza zwieńczonym drutem kolczastym. „Łatwy cel dla Czerwonych Khmerów” - pomyślałem, przejeżdżając przez bramę.

242

ROZDZIAŁ 14

W rezydencji nie było ambasadora, wobec tego zgłosiłem się do zastępcy szefa misji dyplomatycznej Toma Endersa. Enders, jeden z protegowanych Henry ego Kissingera, wyglądał imponująco. Miał jakieś 2 metry wzrostu, długawe srebrzystoszare włosy zaczesywał za uszy, a szkła w jego okularach przypominały denka od butelek. Ten wywodzący się z arystokratycznej rodziny z Connecticut, wykształcony w Yale mężczyzna wyglądał, jakby został stworzony do noszenia garniturów w prążki.

Rzucił tylko na mnie okiem, po czym dudniącym arystokratycznym basso profundo wyjaśnił sytuację. Po pierwsze: siły komunistycznych Czerwonych Khmerów kontrolują w zasadzie tereny wiejskie, dlatego całe zaopatrzenie, jakie ma rząd, poczynając od amunicji, przez ryż, na mydle kończąc, dociera drogą rzeczną. Po drugie: facet, którego zastąpiłem[^] był w porządku, ale niewiele zrobił, żeby poprawić tę sytuację. Po trzecie: sytuacja jest prosta - marynarka Khmerów jest w znacznym stopniu nieskuteczna, jeśli chodzi o powstrzymywanie ataków Czerwonych Khmerów na konwoje zaopatrzeniowe docierające w górę rzeki od strony Morza Południowochińskiego. Po czwarte: w ciągu ostatniego półrocza bombowe ataki terrorystyczne w Phnom Penh nasiliły się dwukrotnie, co nie podnosi morale ludności ani nie umacnia jej zaufania do władz.

- Coś jeszcze?

- Jasne, komandorze: proszę to rozwiązać.

„Tak jest, k***a wasza mać, sir" - odpowiedziałem mu w myślach. Ugryzłem się w język.

- Zrobimy, co w naszej mocy, sir.

Właściwie to lubiłem Endersa. Nie należał do tych grających codziennie na zwłokę autorów notatek służbowych, strachliwych dy-plodupków z Departamentu Stanu, którzy pękają na najlżejszą wzmiankę o niebezpieczeństwie. Enders nigdy nie cofał się przed walką. Rozumiał konieczność tajnych operacji i niekonwencjonalnych działań wojennych. Nieustannie naciskał Kambodżan, próbując ich przekonać i przygotować do zdecydowanego uderzenia na Czerwonych Khmerów.

243

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

Rozwiązać to? Okej. Szybko opracowałem odpowiedni schemat działania. Wstawałem przed 5.00, jechałem do kwatery głównej kam-bodżańskiej marynarki wojennej i odbierałem raport na temat operacji przeprowadzonych poprzedniego dnia oraz przeglądałem plany bieżących działań. Następnie o 7.30 jechałem do ambasady, wypijałem kawę i składałem meldunek Endersowi. Po czym jechałem do domu, tam przez jakąś godzinkę pracowałem, doprowadzałem się do porządku i wracałem do kwatery głównej marynarki. Zostawałem tam przez cały dzień, obserwując i słuchając, albo wybierałem się na patrol wzdłuż rzeki. Wczesnym wieczorem wracałem do willi na kolację, łąpałem godzinkę snu, po czym wracałem do kwatery głównej mniej więcej na 22.00, żeby obserwować, jak sobie radzą z nocnymi operacjami. Jeśli Kambodżanie płynęli na jakąś operację - a to zdarzało się w

większość nocy - wpraszalem się do załogi, żeby zobaczyć, jak to robią. Od 3.00 do 4.00 drzemałem w domu, po czym wstawałem, przebierałem się i byłem z powrotem w kwaterze głównej Khmerów o 5.00 - po czym wszystko zaczynało się od nowa. Spędziłem w sumie trzysta dziewięćdziesiąt sześć dni w Phnom Penh. Podczas dwustu dziewięćdziesięciu jeden z nich brałem udział w akcjach bojowych.

Mimo trudnych początków z CNO byłem w całkiem dobrych stosunkach z szefem operacji, energicznym khmerskim oficerem o nazwisku Kim Simanh, który dobrze mówił po angielsku i oddał mi do dyspozycji swoją kwaterę główną. Nawet CNO (tylko tak wszyscy nazywali komodora Vonga Sarendyego), kiedy przez trzy tygodnie poobserwował, jak kursuję tam i z powrotem, nagle zdecydował, że -ach, tak! - w sumie to on potrafi mówić po angielsku. Pewnego dnia podszedł do mnie, uściskał mnie i odtąd nie było takiej rzeczy, której Kambodżanie by mi odmówili, gdy prosiłem.

Stałem się Kooperującym Khmerem: zacząłem pływać PBR-ami, które osłaniały konwoje, i pokazywać niższą rangą khmerskim oficerom (nazywałem ich Minkami - od skrótu Marine Nationale Khmère), jak podejmować ofensywne działania przeciwko nieprzyjacielskim zasadzkom.

244

ROZDZIAŁ 1

Pewnej nocy popłynąłem z dwoma PBR-ami w dół rzeki, by zrobić porządek w miejscu, gdzie Czerwoni Khmerzy urządzali zasadzki, jakieś 40 kilometrów na południe od Phnom Penh. Sytuacja wyglądała tak: w pobliżu środka wąskiego toru wodnego rzeki Mekong została trafiona niewielka barka desantowa, LCM. Komora silnika na rufie uległa uszkodzeniu, barka zatonała jednak tylko częściowo, bo wewnętrzne komory, zwane koferdamami, wciąż były wypełnione powietrzem. Wobec tego dziób barki wystawał dobrze ponad metr nad powierzchnię wody i kiedy żegluga rzeczna spowalniała w tym miejscu, by go ominąć, nieprzyjaciele otwierali ogień z brzegów, czyli z odległości niespełna 100 metrów. Oczywiście musieliśmy wysadzić tę łódź.

Wy tłumaczyłem Kimowi Simanhowi, jak zamierzam to zrobić. Miałem poprowadzić linę wzdłuż kila, a do liny umocować dwa ładunki wybuchowe. Kiedy zdetonuję oba ładunki w tej samej chwili, wytworzą one coś, co frogmeni nazywają ładunkiem bańkowym. Wybuch oderwie łódź od dna i podrzuci całą LCM jakiś metr w górę. Wpadając z powrotem w muł, kadłub pęknie pod własnym ciężarem barki, a to z kolei pozwoli się wydostać powietrzu uwiezionemu w koferdamach i łódź w dwóch lub trzech częściach osiadzie grzecznie na dnie. Jest to, jak powiedziałem Kimowi, podręcznikowy przykład operacji UDT - doskonała okazja dla młodych oficerów i żołnierzy Minków, żeby się czegoś nauczyć.

Wcześniej spędziłem parę godzin w willi Marcinko, przygotowując rekwizyty. Przyciąłem lonty na właściwą długość, związałem razem linki detonujące i przymocowałem detonatory. Następnie spreparowałem dwa zapalniki: naciągnąłem na nie kondomy i związałem je na końcach, żeby zapewnić wodoszczelność. Był to stary trik frogmenów. Do odpalenia obu

ładunków wystarczyłby mi tylko jeden zapalnik, ale Ev Barrett nauczył mnie, żebym zawsze stosował je w parach.

- Ty głupi *****t ***** ***** dupku! _ grzmiał z właściwą sobie czułością. - A co, do ***** nędzy, zrobisz, ***** , jak będziesz siedział półtora ***** metra pod ***** wodą i się, ***** , okaże, że jedyny ***** zapalnik, któryś zabrał, ***** dupku, nie będzie, ***** ,

245

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

działał? No, odpowiedz, dupku z gównem zamiast mózgu, kutasie-- urzędasie z drętowymi jajami i dupą zamiast gęby, ty świrze Marcinko.

Jedyna poprawna odpowiedź brzmiała oczywiście tak:

- Tak jest, szefie, przymocuję dwa zapalniki, dokładnie tak, jak był pan łaskaw mi życzliwie zasugerować.

Mój główny służący Sothan patrzył krytycznie, jak naciągam gumki na zapalniki.

- Jedzie pan na dymanko, panie Dick? - zapytał.

- Bien sur. (No pewnie). Będę dymać Czerwonych Khmerów - powiedziałem, sprawdzając własne dzieło. - Zrobię im porządne dym--dym.

Sothan zmarszczył brwi.

- Jak dla mnie to marnowanie dobrych gumek.

Był już sam koniec pory monsunowej - listopad - i noce były tak wilgotne, że człowiek robił się mokry od samego wyjścia na dwór. Poziom wody w rzece był wysoki. Wypłynęliśmy z portu. Silniki jacuzzi w PBR-ach warczały miarowo, kiedy khmerscy bosmani wyprowadzali ostrożnie łodzie na środek nurtu.

Na swojej łodzi miałem jednego khmerskiego komandora porucznika, dwóch poruczników i dwunastu podoficerów oraz marynarzy. Chciałem nauczyć khmerskich oficerów prowadzić oddział z przodu. To był pewien problem w Kambodży: oficerowie stali zazwyczaj z tyłu, wysuwając swoich ludzi naprzód, żeby to na nich spadł ciężar najbardziej zacieklej i brudnej walki. Tak nie da się wygrać wojny. Postanowiłem zachęcić ich w dość żartobliwy sposób:

- Dlaczego - pytałem ich raz po raz - pozwalacie, żeby podoficerowie i szeregowi zabierali wam całą zabawę?

Byliśmy jakieś 7 kilometrów na południe od stolicy, kiedy ktoś zaczął nas ostrzeliwać. Pierwszą reakcją oficerów był rozkaz odwrotu do miasta. Odwołałem ten rozkaz, wystrzeliłem racę w kierunku, z którego dochodził ogień, chwyciłem umocowany na PBR-ze karabin maszynowy kalibru .50 cala i ostrzelałem linię brzegową.

- Rozumiesz? - skinąłem na najstarszego rangą Minka. - A teraz ty.

246

ROZDZIAŁ 1

Komandor porucznik kiwnął głową, chwycił karabin i puścił długą serię.

Wrogi ogień ustał. Klepnałem Khmera po plecach.

- Voila!

Jakąś godzinę później dopłynęliśmy do północnego krańca fragmentu rzeki, na którym były urządzane zasadzki. W dżungli panował spokój - dziś w nocy nie było tu Czerwonych Khmerów. Przynajmniej na razie. Sternik PBR-a wskazał jakiś przedmiot w wodzie mniej więcej 100 metrów na południe od nas. Oświetliłem go reflektorem punktowym - z wody wystawał tępy szary dziób barki desantowej.

- Podpłynemy bliżej.

Zrównaliśmy się z wrakiem. Zdjąłem zielony mundur polowy i wyciągnąłem z nylonowej torby kamizelkę ratunkową, butlę z regulatorem ciśnienia, niaskę, płetwy, moje ciężarki i wodoszczelną latarkę na długim sznurze.

- Wy tu czekacie.

Wskoczyłem w strój płetwonurka, zawiesiłem sobie na szyi latarkę i dwa ładunki wybuchowe Mk-135, szedłem tyłem przez burtę i wskoczyłem do wody. Nurt był silniejszy, niż się spodziewałem, a jakieś 20 kilogramów materiałów wybuchowych, które taszczyłem, też nie ułatwiało mi zadania. Podpłynąłem do zatopionej łodzi, przywiązałem linę do dziobu, zanurkowałem i wymacałem drogę w dół po lewej stronie statku. Kiedy jedną ręką trzymałem się barki, a drugą sięgałem po latarkę, przyszło mi do głowy, że Czerwoni Khmerzy mogli zamontować wewnątrz wraku miny pułapki. Pieprz się, Demo.

Woda był mętna, pełna monsunowego mułu, więc naprawdę z trudem cokolwiek w niej widziałem. Zsunąłem się w dół wzdłuż nadburcia wraku, aż dotarłem do błotnistej dna rzeki, po czym zrobiłem po nim rundę wokół zatopionej barki. Tam gdzie szeroka rufa ugrzęzła w błocie, przyczepiłem linę, następnie w odległości 3 metrów jeden od drugiego podwiązałem ładunki wybuchowe. Wtedy wypłynąłem na powierzchnię i zamachałem do PBR-ów znajdujących się 15 metrów ode mnie. Wyjąłem ustnik.

247

CZĘŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

- Rzućcie linę.

Wciągnąłem się z powrotem na pokład łodzi patrolowej i wyjaśniłem im, co zrobiłem.

- A teraz ją wysadzimy.

To była prosta sprawa: miałem ponownie zanurkować, przymocować wodoszczelny minutnik, nastawić go i włączyć, wypłynąć na górę do łodzi i patrzeć, jak LCM rozpada się na kawałki. Abecadło frogmana.

Tyle że w czasie mojego drugiego zejścia pod wodę czekał na mnie pan Murphy. Po pierwsze, kiedy zsuwałem się w dół po kilu LCM-a, rozciąłem sobie ramię. Nic bardzo poważnego, ale rana wymagała później założenia szwów. Po drugie, okazało się, że jeden z ładunków wybuchowych obluzował się i spadł, i pięć minut zajęło mi obmacywanie dna, żeby go znaleźć. Potem skaleczyłem się po raz drugi o kadłub, kiedy ponownie mocowałem ładunek. Robiło się to nieco za skomplikowane jak na moje potrzeby. W końcu wszystko było na miejscu. Ponownie sprawdziłem ładunki. Ponownie sprawdziłem detonatory. Ponownie sprawdziłem wszystko. W końcu pociągnąłem zawleczkę w zapalniku. Nic. Sięgnąłem do drugiego zapalnika i szarpnąłem. Zadziałało doskonale. Dzięki, Evie Barretcie.

W końcu się wynurzyłem, wysuwając ostrożnie maskę z wody koło dziobu LCM-a i błyskając latarką, żeby zobaczyły mnie PBR-y. Minutnik zapalników ustawiłem na dziesięć minut.

15 centymetrów od mojej głowy od blachy kadłuba odbiła się kula: zjawili się cholerni Czerwoni Khmerzy. Popłynąłem na drugą stronę wraku i rozglądałem się za swoimi łodziami. Nigdzie nie było ich widać: wykręcili mi numer Larryego Baileya i przysiągłem, że zabiję komandora porucznika Minków, jeśli go dorwę. Wtedy zaroilo się od strzałów i brzdęków, kule uderzały w wodę wszędzie wokół, więc zanurkowałem znowu w mroczną toń.

Prawdziwy ubaw. 7 metrów pode mną tkwiło 20 kilogramów materiału wybuchowego C3 z zapalnikiem ustawionym na eksplozję za -oho! - siedem minut. Strzelcy Czerwonych Khmerów walili do mnie z obu brzegów. A moje cholerne PBR-y sobie odpłynęły.

248

ROZDZIAŁ 1

Po pewnym czasie, który wydawał mi się wiecznością, usłyszałem dochodzący z powierzchni odgłos warkotu jacuzzi. Wystrzeliłem w górę jak szałwik, zacząłem machać do nich latarką i wynurzony, nie zważając na ostrzał, popłynąłem jak szalony w ich stronę.

Chwyciłem wiszącą linę, wspiąłem się po niej, wciągnąłem do góry i przeturlałem się przez nadburcie.

- Wypad stąd! Zaraz wybuchnie!

Kiedy ładunki eksplodowały, nie byliśmy chyba dalej niż 200 metrów od wraku. Wodny gejzer kompletnie zalał PBR-y, a fala uderzeniowa podniosła moją łódź w powietrze.

Kiedy wróciłem do kwatery głównej, był tam Kim Simanh. Popatrzył na mój zakrwawiony, przemoczony mundur polowy i ponury wyraz twarzy. Spojrzał kpiarsko.

- Zły dzień iv biurze, komandorze poruczniku?

Przez dwa dni trzymałem się z dala od łodzi. Miałem dosyć.

Najbardziej przysłużyłem się CNO przez to, że utworzyłem jednostkę kambodżańskich marines (Kambodżanie nie używali tego słowa - nazywali ich piechotą morską): składający się z 2000 żołnierzy oddział wyposażony w haubice kalibru 105 mm, rozmieszczony wzdłuż rzeki Mekong w celu osłony konwojów i atakowania Czerwonych Khmerów. Opowiedziałem Kimowi Simanhowi i CNO o moich dwóch okresach służby w Delcie Mekongu. Wyjaśniłem, w jaki sposób atakowałem wietnamców w głębi kanałów i rowów, zanim zdążyli się przygotować, i jak taka taktyka mogłaby się sprawdzić również tutaj.

Kim Simanh wprowadził ten pomysł w życie. I zgodnie z moimi oczekiwaniami piechota morska zmniejszyła częstotliwość i nasilenie zasadzek Czerwonych Khmerów. Tom Enders był zadowolony. A ja czułem, że robię to, za co mi płacą.

Powinienem tu dodać, że moje życie w Kambodży nie składało się z samej harówki. Również się tam bawiłem. Czasem przeprowadzałem zasadzki, co sprawiało, że krew znowu krążyła mi mocniej. Znów

249

CZĘŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

zakosztowałem bodysurfingu. Na południe od Phnom Penh, tuż za miastem, rzeka Mekong jest szeroka, ciepła i spokojna. Miałem zwyczaj wskakiwać do wody z liną holowniczą i uprawiać bodysurfing za łodziami patrolowymi. Gdybym o tym wcześniej pomyślał, kazałbym komuś z SEAL Team Two przysłać mi narty wodne. Ale i bez nich radziłem sobie, jak umiałem: zamiast nart używając własnych stóp. Podczas jednej z takich wycieczek jakieś 20 kilometrów na południe od miasta ciągnący mnie PBR został ostrzelany i zwolnił, żeby zabrać mnie na pokład.

Zamachałem na nich i wrzasnąłem, żeby pilot wcisnął gaz do dechy:

- Imbeciles, foutez le camp d'ici! (Durnie, zjeżdżajcie stąd!)

Po czym położyłem się na brzuchu i płynąłem za nimi na linie w górę rzeki. Cholera, przecież bezpieczniej było przemknąć przez zasadzkę, uprawiając bodysurfing, niż dać nieprzyjacielowi powoli przemieszczający się cel, żeby mógł sobie postrzelać.

Życie towarzyskie miałem równie wypełnione jak grafik zawodowy. Kobiet było w bród. Były sprowadzane przez Sothana miejscowe małe brązowe maszynki do pieprzenia - wydawało się, że ma ich niewyczerpane zapasy. Była pewna angielska pielęgniarka, która spędzała u mnie całe dni, oraz młoda sekretarka we francuskiej ambasadzie, która uważała, że jak na Americanin to jestem całkiem niezłym phoque.

Dwa, trzy razy w tygodniu jadałem lunch z CNO i jego zastępcą, który nosił nazwisko - słowo - Sous Chef (Zastępca Szefa). Rozmawianie szło nam teraz gładko: z francuskiego przeszliśmy na angielski i na łamany khmerski, zajadając kurczaka z trawą cytrynową i popijając koniak Hennessy VSOP. Przynajmniej raz w tygodniu urządzałem koktajle, a dwa

razy w miesiącu uroczyste kolacje, podczas których zgodnie z najlepszą tradycją szkół szpiegowskich zapoznawałem się z różnymi attache z innych ambasad. Moim ulubionym rozmówcą był sowiecki attache marynarki wojskowej Wasilij. Piliśmy shot za shot - ja swój gin, on swoją wódkę - i okłamywaliśmy się nawzajem.

- Ile masz dzieci, Marcinko?
- Siedmiu: samych chłopaków. A ty?

250

ROZDZIAŁ 1

- Ani jednego. Jestem kawalerem!

Akurat. Podobno w Moskwie miał żonę i trójkę dzieci. Prawdopodobnie on też wiedział, jaka jest prawda o mojej rodzinie. Ale siedzieliśmy i piliśmy, i kłamaliśmy - i obaj się świetnie bawiliśmy, a podatnicy płacili nasze rachunki.

Największy minus podczas mojej służby na tej placówce stanowiło to, że byłem świadkiem mnóstwa pogrzebów Khmerów. Bo rzeczywiście, Kambodżanie tracili masę ludzi. W związku ze stratami w ludziach miałem pewien dylemat etyczny jako prawomocnie powołany przedstawiciel amerykańskiego rządu. Chodziło o to, że CNO przywłaszczał sobie część towarów z paczek amerykańskiej pomocy wojskowej, a także pobierał haracz od wszystkich cywilnych konwojów, które ochraniał. Wiedziałem o tym i gdybym był attache działającym ściśle według regulaminowy, zgłosiłbym to przełożonym. Ale tak naprawdę on to robił po to, by móc zadbać o własnych rodaków: w odróżnieniu od przepisów obowiązujących w wojsku amerykańskim Kambodżanie nie mieli żadnych odpraw pośmiertnych, więc jeśli wróg skreślił jakiegoś marynarza z listy żyjących, to jego rodzina była skreślana z listy płac. CNO i Sous Chef dawali tym rodzinom zapomogi z tego, co nabrali w postaci łapówek. Uważałem, że to, co robili, miało potężny wpływ na morale społeczeństwa, więc trzymałem gębę na kłódkę.

Jakieś pół roku po moim przyjeździe Sous Chef i Kim Simanh postanowili naprawdę się ze mnie ponabijać. Miałem już za sobą sporo subtelnych khmerskich sztuczek z ich strony, za które sownie im odpłacałem. W końcu byłem zaprawiony w boju z Wietnamczykami, którzy potrafili nieźle człowieka wkurzyć. Ale ci tutaj dalej chcieli się bawić moim kosztem. Na przykład podczas jedzenia zółwia: zgodnie z kambodżańską tradycją jeśli ktoś poda ci zółwia głową do przodu, to znaczy, że masz zwiotczałego fiuta. Więc kiedy się już o tym dowiedziałem, zrobiłem tak: nałożyłem sobie, po czym obróciłem półmisek, uśmiechnąłem się skromnie i oddałem go tak, jak sam go dostałem, głową do przodu, prosto do Kima Simanha. Że niby wy mnie phoc? O nie, kolesie: du ma nhieu. To ja was phoc.

251

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

Kiedy to zrobiłem, CNO zaryczał ze śmiechu.

- Widzisz? - powiedział do swojego zastępcy. - Tu as completement oublie que nos ami le capitaine de corvette petit Richard, le grand phoque americain, a barbouille le camouflage sur les visages des en-fants vietnamiens (całkiem zapomniałeś, że nasz dobry kumpel mały Richard, wielka amerykańska foka, smarował wietnamskim dzieciom twarze kamuflażem).

Tym razem miało to być coś naprawdę poważnego. Wpakowaliśmy się do starego czarnego forda falcona, samochodu sztabowego Sous Chefa, i pojechaliśmy do mieszkania Kima Simanha. Zebranych tam było prawie czterdziestu starszych stopniem oficerów marynarki.

- Bienvenu, Richard - powiedział Kim Simanh. Zaprosił mnie do stołu i wskazał miejsce, gdzie miałem siedzieć. - Witaj na święcie kobry.

Uśmiechnąłem się.

- Oż ty mały chytry brązowy sukinsynu.

- Dziękuję ci ogromnie, ty owłosiony jak mała barbarzyńco, wielbicielu soku z kroku.

Ryknąłem: ten gość naprawdę uczył się mówić jak SEALsi.

Kiedy wymieniliśmy uprzejmości, zaczęliśmy lunch od zielonej sałatki. Sałatka była nieco trudna do pogryzienia, bo zawierała małe kawałeczki skóry kobry. Skończyłem i odłożyłem pałeczki.

- Dobrze.

- Cieszę się, że ci smakuje - powiedział Kim Simanh i zadzwonił na służących.

Następnie podano kebab z mięsa kobry, które nie różniło się bardzo od mięsa grzechotnika. Zjadłem dwie porcje.

- Musisz lubić kobrę - powiedział Kim Simanh.

- Dlatego nazywają SEALsów zjadaczami węzów - powiedziałem.

Uśmiechnął się zagadkowo i zarządził wejście następnego dania.

Wniesiono jaja kobry. Nieco zalatywały, ale nie gorzej niż chińskie stuletnie jaja czy koreańskie marynowane jaja.

Co jeszcze mogli podać?

252

ROZDZIAŁ 1

Wniesiono dwie tace z kieliszkami. Na jednej były pięćdziesiątki z koniakiem. Na drugiej - z jakimś mętnym ciemnym płynem.

- A to? - zapytałem swojego szlachetnego gospodarza.

- A - powiedział Kim Simanh. - Le sang du cobra. (Krew kobry). -Uniósł kieliszek. -
Twoje zdrowie.

Ja też uniosłem.

-I twoje.

Wypiliśmy. Najpierw krew, potem koniak. Koniak nigdy jeszcze tak dobrze mi nie smakował.

Sous Chef nie mógł się powstrzymać:

- A teraz deser.

Niemal podskakiwał na krześle.

Deser? Lubiłem to słowo. Kiedy zamawiałem w swojej kwaterze „deser”, mój służby Sothan przysyłał mi małą brązową i jadłem swój „deser” w łóżku.

Sala ucichła. Zdałem sobie sprawę, że dziś nie będzie małych brązowych. Zamiast nich pięciu służących wniosło tace z czymś, co wyglądało jak ogromne szklanki o grubym dnie. W każdej był koniak i coś jeszcze. Wyglądało to jak marynowane ośmiorniczki.

- Quest-ce que cest que ça? (A to co jest?)

Oczy Kima Simanha zwężyły się perfidnie.

- To, mój przyjacielu, jest le venin, jad kobry. Worek z trucizną.

To było naprawdę nikczemne, autentycznie diaboliczne. Worki spoczywały u dołu szklanek, mętne, muliste i obmierzłe. To nie były jakieś tam gotowane jądra byka. Nie jestem wielbicielem gotowanych jąder byka, ale wciągnąłbym ich kopę zamiast jednego z tych precjozów.

Kim Simanh wyszczerzył zęby w uśmiechu i podniósł szklankę.

- Twoje zdrowie.

-I twoje.

Pochłonąłem worek i koniak, nie żując ani nie kosztując smaku -niewiarygodne: udało mi się połknąć to w całości. Ale poczułem, kiedy zaczęło działać. Nim minęły trzy sekundy, po przedramionach pociekły mi olbrzymie krople potu. A potem zacząłem pocić się obficie na

253

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

całym ciele - na klatce piersiowej, nogach, plecach - i momentalnie miałem przemoczony mundur. Pomieszczenie straciło barwy i zaczęło być czarno-białe. Widziałem punkciki. Przypominało to efekt przeciążenia wielkości 9 g w myśliwcu. Wydawało mi się, że walczę o zachowanie przytomności przez całe minuty, ale w rzeczywistości trwało to nie więcej niż

trzydzieści sekund. Po czym skończyło się równie nagle, jak nastąpiło. Przestałem się pocić, ciało miałem dziwnie chłodne i odprężone. Widzenie wróciło do normy.

Przetarłem oczy, klasnąłem w dłonie i wykonałem tradycyjne kam-bodżańskie gesty uniżonej wdzięczności w kierunku Kima Simanha.

- Proszę, sir, czy mógłbym dostać jeszcze trochę?

Kambodżańska marynarka wojenna jest małą organizacją, więc nie trzeba było wiele czasu, żeby wiadomość o moim małym święcie kobry rozniosła się wszędzie. Moim występem zasłużyłem sobie na szacunek, gdziekolwiek się pojawiałem. Ale jednocześnie mój popis dał początek paskudnej tradycji wśród khmerskich dowódców: każdy chciał spróbować złapać mnie na jakiejś dziwacznej przekąsce, której bym nie zjadł.

Ja miałbym odmówić zjedzenia posiłku? To się nigdy nie zdarzyło. Duszone dzioby drobiowe? Zjadłem. Ogon krokodyla? Zjadłem prażony, pieczony, gotowany na parze i solony. Rybie oczy? Jadłem je całymi miskami. Pies? Kiedy wyjeżdżałem z Phnom Penh, mogłem napisać kambodżańską książkę kucharską, którą zatytułowałbym Pies z woka na pięćdziesiąt sposobów. Smakowały mi smażone karaluchy, larwy saute oraz robaki z papryką chili w sosie czosnkowym. Pewien śmiały młody oficer piechoty morskiej podał mi surowy małpi mózg wydobywany do jedzenia z żywej małpy. To też zjadłem. Ale szczerze mówiąc, w ciągu kolejnych sześciu miesięcy bywały chwile, kiedy wspominałem święto kobry - jad i wszystko inne - z prawdziwą tęsknotą.

To w Kambodży dowiedziałem się o wizytach przedstawicieli władzy ustawodawczej. Była to dla mnie kolejna rewelacja. W okresie mojej służby w Phnom Penh przyjmowaliśmy tam całkiem sporo delegacji

254

ROZDZIAŁ 1

z Kongresu. Tego rodzaju wycieczki - których koszty pokrywają różne komisje, podkomisje i grupy robocze Izby Reprezentantów i Senatu - są rzekomo misjami mającymi na celu zbadanie na miejscu okoliczności tej czy innej sprawy, co ma pomóc naszym wybranym zgodnie z prawem urzędnikom państwowym podejmować poważne decyzje, kiedy głosują w sprawach związanych z przyszłością kraju. Ale większość poznanych przez mnie delegacji składała się z kongresmenów i senatorów, którzy chcieli tylko przelecieć trochę sklepów albo kobiet - albo i jedne, i drugie.

Najpierw poczułem się urażony: byłem oburzony, że nie chcą dowiedzieć się niczego o Kambodży ani przekonać się, czy kambodżańska armia radzi sobie ze swoimi zadaniami. Ale pracownicy ambasady dali mi pełniejszy obraz sytuacji. Opowiedzieli całe mnóstwo przerażających hisjbrri o tym, w jak karygodny sposób zachowują się tacy delegaci za granicą. Sekretarki z ambasady opowiadały, jak kongresmeni je obmacywali albo gorzej: gwałcili - i nie można było nic na to poradzić. Każdy z oficerów politycznych i konsulów też

miał swoją historię o tym, jak to musiał wyciągać jakiegoś kongresmena czy senatora z więzienia w Hongkongu albo w Caracas, albo w Warszawie.

Kiedy więc zorientowałem się, że te wycieczki są tak naprawdę wyrzucaniem pieniędzy w błoto - wakacjami odbywanymi na koszt podatników - nie pytałem o to, co ja mogę zrobić dla ustawodawców mojego kraju ani co oni mogą zrobić dla mnie. Po prostu pisałem trzystronicowy raport informujący o stanie kambodżańskiego wojska, wsuwałem go w dłoń zachwyconego członka Izby Reprezentantów lub senatora i mówiłem im, żeby przeczytali go sobie w samolocie podczas powrotu do kraju.

Dzięki temu mieli mnóstwo czasu na realizację swojej prawdziwej misji: na zwiedzanie najlepszych sklepów ze złotem, kupowanie jakichś niewiarygodnych i tanich świątynnych frotazy oraz przemykanie do kraju odrzutowcami Air Force kamiennych rzeźb lub starożytnych posągów Buddy. Delegaci najczęściej pytali mnie, gdzie kongresmen może

255

CZĘŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

dostać absolutnie doskonały obciąg albo jakieś niesamowite dymanko. Zawsze miałem tę samą dyplomatyczną odpowiedź:

- Gdzie tylko lubi pan najbardziej, panie kongresmenie.

Dawałem im do dyspozycji swój samochód, a Pak Ban zabierał ich do miasta, żeby się poobwieszali biżuterią i poobciągali. Ja po-wraca-łem do pracy.

Często dzwonił do naszej ambasady Henry Kissinger, który był w tym czasie doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego. Tom Enders czasami zapraszał mnie do specjalnej „bańki” - pokoju z dodatkowymi zabezpieczeniami zbudowanego wewnątrz innego pomieszczenia - której używaliśmy do odbierania najbardziej tajnych komunikatów i przeprowadzania utrzymywanych w największej tajemnicy rozmów. Mogłem tam podsłuchać, jak mówiący dudniącym germańskim głosem Kissinger popada w zadumę w związku ze zmiennymi kolejami wydarzeń w Azji Południowo-Wschodniej i snuje plany doprowadzenia Czerwonych Khmerów do stołu negocjacyjnego. Słuchałem, jak Henry próbuje odgrywać Metternicha, ale tak naprawdę mniej to przypominało tego wielkiego dziewiętnastowiecznego męża stanu, a bardziej mojego dziadka Joego Pavlika rozmyślającego o żalonym stanie świata w barze dla górników w Lansford w Pensylwanii. Z jednej strony, wszystkie te próby zwodzenia podejmowane przez Kissingera w ostateczności do niczego nie doprowadziły. Czerwoni Khmerzy zdobyli Kambodżę, bo byli bardziej waleczni na polu bitwy -i w dupie mieli negocjacje.

Z drugiej strony, słuchając go, doszedłem do wielu ciekawych wniosków. Dzięki informacjom z pierwszej ręki mogłem przekonać się, jak myśli Departament Stanu. Dowiedziałem się o istnieniu w nim wielu różnych tajnych frakcji, które walczyły o hegemonię w polityce kambodżańskiej. Usłyszałem, jak działa biuro departamentu dla danego kraju i jaką drogą w dyplomatycznej sieci kapilar krążą informacje przysyłane do tego biura

przez ambasadora. Dowiedziałem się też, że jest ogromnie wielu urzędników Służby Zagranicznej, którzy są przekonani, że każde negocjacje są lepsze niż brak jakichkolwiek -

256

ROZDZIAŁ 1

i w tym przekonaniu raczej sprzedaliby Kambodżan, niż stanęliby twarzą w twarz z możliwością zajęcia twardego stanowiska.

Kiedy już wpojono mi podstawy wiedzy o krętych labiryntach dyplomacji, pora była się stamtąd ruszyć. Nie żebym jakoś szczególnie chciał wracać do Stanów: bo chociaż wiedziałem, że zostałem wyznaczony, by zostać dowódcą SEAL Team Two, właściwie nie chciałem wyjeżdżać z Kambodży. Lubiłem Khmerów. Zasadniczo byli to ludzie stworzeni do miłości, a nie do walki, ale potrafili dobrze walczyć, jeśli mieli dobre wyszkolenie i motywację.

Osiągnąłem wszystkie cele wyznaczone mi przez Toma Endersa w chwili przyjazdu. W ciągu czternastu miesięcy spędzonych w Phnom Penh udało mi się potroić stan liczebny sił podległych CNO, a także opracować i wdrożyć koncepcję jednostki piechoty morskiej, która dowiodła swojej siły i skuteczności w walce. Zdołałem też dla CNO nowe łodzie: opancerzone kanonierki, które nazywaliśmy monitorami, oraz trzy baterie haubic. Zastrzyk w postaci dodatkowych żołnierzy i nowej broni oraz nowa, ofensywna taktyka przyniosły spodziewane rezultaty. Liczba konwojów przechwytywanych przez Czerwonych Khmerów spadła niemal do zera. Zamachy bombowe w Phnom Penh zostały opanowane.

Przedłużyłem swój pobyt w Kambodży o prawie trzy miesiące, żeby być tam jeszcze przez całą porę suchą, kiedy łodzie są najbardziej narażone na niebezpieczeństwo. Potem przyjechał mój zastępca. George Worthington był innym typem SEALsa. Wysoki, szczupły, arystokratyczny absolwent Akademii Marynarki Wojennej, którego talent objawiał się bardziej w tym, że wyrabiał sobie opinię le grand phoàue w koktajlbarze przy basenie w cercie sportif, niż w tym, żeby miał się bawić w zapasy z Czerwonymi Khmerami po pachy w błocie. Ten tyczkowaty kawaler, który pod względem uprzejmości w rozmowie dorównywał najlepszym, zyskał sobie w Phnom Penh reputację le na-geur damour, czyli pławiącego się w miłości, podczas gdy ja zyskałem sobie miano le nageur de combat - pławiącego się w walce. Nie wydaje mi się, żeby choć raz zdobył się na bodysurfing po Mekongu, a tym

257

CZĘŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

bardziej by został zaproszony na święto kobry. Zwlekałem z wyjazdem, ale w końcu zostałem wezwany z powrotem - jasno i wyraźnie powiedziano mi, że jeśli zostanę w Phnom Penh, to stracę awans na komandora, a także jakąkolwiek szansę na stanowisko dowódcy. Więc ustaliłem datę wyjazdu, a kiedy nadeszła, z żalem wyjechałem.

Ale w ostatnim miesiącu razem z CNO zjedliśmy mnóstwo kobry. Mieliśmy też mnóstwo deseru. Mniam, mniam.

Rozdział 15

;

Ceremonia przekazania dowództwa jest rytuałem równie starym jak sama marynarka. Regulamin mówi: „Dowódca mający przekazać dowodzenie na moment złożenia swoich obowiązków ma zwołać zbiórkę całego personelu. Oficer mający przekazać dowodzenie ma odczytać rozkaz swojego odkomenderowania i przekazać dowodzenie swojemu następcy, który ma odczytać dotyczący go rozkaz i przejąć dowodzenie”.

Wyjątkowość tej procedury polega na tym, że podczas sformalizowanego przekazania dowodzenia pełne przejście obowiązków, władzy i odpowiedzialności - za okręt lub jednostkę - dokonuje się bezpośrednio między dwoma oficerami marynarki: wszystko to przechodzi z jednego na drugiego. Nigdzie indziej w wojsku tak się nie dzieje.

Przekazanie mi dowództwa odbyło się w ogromnej sali gimnastycznej morskiej bazy desantowej w Little Creek - był już październik i na zewnątrz byłoby za zimno na taką uroczystość. Przy północnym krańcu długiego wykafelkowanego obiektu ustawiono podium. Wisząca za nim amerykańska flaga o wymiarach 6 na 9 metrów zapewniała poruszające patriotyczne tło. Na błyszczącej drewnianej podłodze boiska do koszykówki leżał czerwony dywan prowadzący od bocznych drzwi do

259

CZEŚĆ DRUGA UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

podium. Po bokach dywanu stały chromowane łuski kalibru 127 mm z rozwieszoną na nich sztywną wybieloną liną okrętową. Starszy bosmanmat i pięciu bosmanów stali na baczność, gotowi do wykonania świstu trapowego podczas wejścia oficjalnego orszaku na pokład.

Dla gości i przyjaciół ustawiono jakieś dwieście miejsc siedzących. Kathy-Ann z dziećmi miała miejsca w pierwszym rzędzie na środku. Zjawiała się moja matka Emilie wraz z dwoma moimi wujkami. Dało mi to niemałą satysfakcję. Rodzina zasadniczo odnosiła się do mojej kariery w marynarce obojętnie. Nie zrobiło na nich najmniejszego wrażenia to, że przetrwałem heli week i zostałem frogmanem. Kiedy ukończyłem SKO, niechętnie przyjęli do wiadomości moje dokonanie. Na ceremonii wręczenia mi czterech Brązowych Gwiazd i Srebrnej Gwiazdy nie pojawił się nikt z rodziny. Ale teraz, kiedy miałem zostać dowódcą elitarniej jednostki, postarali się i było mi naprawdę miło. Były prezenty dla dzieciaków, zapewnienia o wsparciu i mnóstwo komplementów. Ale słodczy prestiżu, jakim się cieszyłem, towarzyszyła obowiązkowa szczypta soli, bo kiedy tak siedziałem na podium, spoglądając na matkę i wujków, widziałem też twarze oficerów oraz podoficerów - i szczerze mówiąc, to czułem się dużo bliższy im właśnie, niż czułem się bliski komukolwiek z moich krewnych.

Ustawieni w plutony żołnierze SEAL Team Two stali na baczność, olśniewający w swoich ciemnoniebieskich mundurach. Na ich piersiach widniały rzędy baretek odznaczeń. Każdy członek zespołu służący w latach 1966-1972 spędził przynajmniej dwa okresy służby w Wietnamie, wielu spędziło tam trzy albo cztery okresy, a nieliczni - sześć. Łatwo było odróżnić nowych na pokładzie - ich piersi były pozbawione odznaczeń. Za szeregami SEAL Team Two stali przedstawiciele Under-water Demolition Teams i innych jednostek marynarki.

Podobnie jak wszystkie inne marynarskie ceremonie przekazanie dowództwa nie uznaje suchego lądu. Symbolika i terminologia pozostają żeglarskie. Kwaterę główną SEAL Team Two, z której właśnie wychodził oficjalny orszak, nazywa się pokładem rufowym. A kiedy dotarliśmy do sali gimnastycznej, dał się słyszeć dzwon okrętowy: dzyń-dzyń,

260

ROZDZIAŁ 1

dzyń-dzyń, dzyń-dzyń, dzyń-dzyń - i zostaliśmy przywitani świstem trapowym oraz salutem przez starszego bosmanmata. Podawano też nasze stopnie, jakbyśmy wchodzili z szalupy na okręt liniowy.

Dzyń-dzyń, dzyń-dzyń.

- Komandor porucznik, Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych, przybywa.

To byłem ja. Przemaszerowałem po czerwonym dywanie prosto jak strzała, oddałem honory, wszedłem na podium i czekałem, aż zacznie się zabawa. Nie trwało to zbyt długo. Kapelan odczytał inwokację. Przedstawiono gościnnego mówcę, który powiedział parę słów. Bob Gormly, ustępujący dowódca Teamu Two, odczytał dotyczący go rozkaz. Potem ja odczytałem swój: „Do komandora porucznika Richarda jednego imienia Marcinki, z Biura Personalnego: Obejmie pan dowództwo w seA Team Two ze skutkiem na 10 października 1974 roku”.

Bob spojrzał na mnie.

- Jestem gotów do przekazania dowodzenia - powiedział.

Spojrzałem na niego.

- Przejmuję, sir - powiedziałem.

Była godzina 10.38 według wielkiego zegara na bocznej ścianie sali gimnastycznej. Dwadzieścia dziewięć minut wcześniej świst trapowy przywitał mnie na pokładzie jako zwykłego trzydziestotrzyletniego komandora porucznika. Teraz, kiedy schodziłem z podium, starszy bosmanmat ogłosił:

- SEAL Team Two, wychodzi.

Te słowa zabrzmiały w moich uszach jak muzyka.

Chociaż podczas samej ceremonii praktycznie wszystko odbyło się bez zarzutu, moja droga do dowodzenia nie była szczególnie łatwa. Jednym z powodów było moje szybkie awansowanie w gronie społeczności SpecWar. Przejmowałem dowodzenie od Boba Gormlyego, który był już kapitanem, kiedy ja byłem podporucznikiem. Teraz obaj mieliśmy tę samą rangę: komandora porucznika. Znaczyło to tyle, że przez minione osiem lat on został awansowany tylko o jeden stopień, a ja - o trzy. Poza tym żeby móc objąć dowodzenie SEAL Team Two,

261

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

przeskoczyłem całe pokolenie oficerów SpecWar. Niektórzy byli bardzo z tego powodu niezadowoleni - zwłaszcza ci, których wyprzedziłem.

Z drugiej strony, wielokrotnie podejmowałem ryzyko, którego wielu oficerów SEALsów nie zdecydowało się podjąć. Większość z tych, których przeskoczyłem, została w Little Creek, gdzie budowali swoje portfele nieruchomości, w weekendy grali w siatkówkę i futbol amerykański, należeli do zespołu skoczków spadochronowych i pili piwo w klubie oficerskim. Co być może bardziej znaczące, tworzyli kliki i frakcje, by się nawzajem wspomagać - zarówno w życiu osobistym, jak i zawodowym. Ja wróciłem z Phnom Penh, nie mając nikogo, komu coś bym zawdzięczał. Byłem outsiderem, który przez trzy lata pracował w sztabie (nie mając żadnych dodatków płacowych za wysadzanie czy skoki), poszedł na studia, a potem wyjechał z kraju do Kambodży jako attache. Część środowiska SpecWar uważała te przydziały za dezercję, a nie za sposób na poszerzanie możliwości.

To był ich problem, nie mój. Ja uważałem, że trzy lata w sztabie COMPHIBTRALANT-u i okres służby jako attache dały mi sposobność obracania się w kręgach, w których wcześniej SEALsi nie bywali - a na tym świat SpecWar mógł wyjść jedynie na dobre. Świat SpecWar w ogólności, a SEAL Team Two w szczególności. Na przykład w maju 1974 roku pojechałem na krótki urlop do kraju, żeby złożyć raport przewodniczącemu Kolegium Połączonych Szefów Sztabów (Joint Chiefs of Staff, JCS) i szefowi operacji morskich (Chief of Naval Operations, CNO) na temat sytuacji w Kambodży. Kiedy byłem w Waszyngtonie, zdarzyło mi się odwiedzić Little Creek z okazji ceremonii przekazania dowództwa w Naval Special Warfare Group Two. Spotkałem tam kontradmirała Greenea, człowieka, któremu miałem podlegać służbowo po powrocie i objęciu dowodzenia SEAL Team Two. Podczas ceremonii Greene rzucił na mnie okiem. Potem zapytał, kim jestem i dlaczego noszę pagony z czterema paskami (co oznaczało, że reprezentuję czterogwiazdkowego oficera).

Wyjaśniłem, że jestem attache marynarki w Phnom Penh i że reprezentuję prezydenta Stanów Zjednoczonych. Przez chwilę pogawędziliśmy z admirałem Greeneem. Poprosił mnie o krótkie przedstawienie

262

ROZDZIAŁ 1

sytuacji i złożyłem mu dwuminutowy meldunek na temat Kambodży, zasalutowałem i puściłem go z powrotem do gości, a sam też wróciłem do zapoznawania się z różnymi osobami. Widziałem, jak od czasu do czasu admirał mi się przypatruje i widzi, że z równą łatwością potrafię rozmawiać z trzygwiazdkowymi oficerami co z chorążymi, jak również że trzymam koktajl, a nic nie ścieka mi po brodzie. Kiwał głową z aprobatą, widząc, jak rozśmieszam żony admirałów.

Teraz, będąc dowódcą SEAL Team Two, miałem być podwładnym tego faceta - i jego sztabu. Na moją korzyść przemawiało to, że poznałem go wcześniej w sytuacji towarzyskiej i wiedział, że potrafię składać raporty przewodniczącemu JCS i CNO. Z drugiej strony, Bob Gormly, który był podwładnym admirała Greenea przez prawie pół roku, nie zdążył wcale go poznać. Bob miał taką zasadę: „Jeśli sztab nie chce niczego konkretnego, to nie należy ich niepokoić”.

Była to postawa typowa dla dowódcy SEALsów - sam miałem podobną, kiedy byłem w Wietnamie (pamiętacie te wszystkie UNO-DIR-y?). Ale w Wietnamie musiałem się martwić tylko o czternastu ludzi, poza tym jeśli coś spieprzyłem, to inni za to obrywali. Teraz miałem stu pięćdziesięciu ludzi, a odpowiedzialność za wszystko spadała na mnie. No i będąc dowódcą oddziału - czy mi się to podobało, czy nie - musiałem funkcjonować (i to funkcjonować skutecznie) w ramach struktury dowodzenia. SEAL Team Two podlegał pewnym parametrom wyznaczanym przez cele strategiczne. Chociaż wolałbym, żeby było inaczej, Team Two nie był jednostką niezależną. Wobec tego jeśli chciałem większego budżetu, lepszego sprzętu, bardziej egzotycznych szkoleń i broni z najwyższej półki, to żeby to wszystko dostać, musiałem przejść przez admirała Greenea i jego sztab. Taka była polityczna rzeczywistość. Ale dla mnie była to bardziej kwestia dotycząca najpierwotniejszych doznań. Dowodzenie - czy to okrętem, czy okrętem podwodnym, czy dywizjonem samolotów marynarki, czy wreszcie teamem SEALsów - to doświadczenie, jakie zdarza się raz w życiu. Większość oficerów dostaje jedną szansę, by tego spróbować. Byłem zdecydowany nie roztrwonić swojego etatu w Teamie Two.

263

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

I właśnie to, w jaki sposób będę dowodził tym teamem, było przedmiotem pewnego zaniepokojenia: i mojego, i żołnierzy. Z Kambodży wróciłem na początku września i spędzałem mnóstwo czasu - niektórzy uważali, że za dużo - kręcąc się wokół SEAL Team Two. Piłem z ludźmi i przy piwie słuchałem ich skarg. Mówili mi, jak bardzo się cieszą, że to ja, dawny kolega z teamu, mam przejąć dowództwo. Żołnierze byli wobec mnie otwarci i nie pilnowali się specjalnie. W końcu byłem jednym z nich - to ja, Rick Świr z UDT-22, gość, który wciągał groszek przez nos. To ja, pan Rick, podporucznik drużyny Bravo, którego dzicy rozbójnicy siali zniszczenie w Wietkongu i przyprowadzili Hanka Mustina o obłęd. To ja, Demo Dick, Sharkman of the Delta, gość, który biegał boso po dżungli i mówił pułkownikom sił specjalnych, żeby pocałowali go w dupę.

W rzeczywistości byłem każdym z tych typów - i nie byłem już żadnym. Zgadza się: lubiłem porozrabiać. Zgadza się: lubiłem napić się piwa z chłopakami. Zgadza się: nie miałem problemu z mówieniem oficerom dowolnego stopnia, żeby się pieprzyli. Ale był rok 1974. Byłem poza teamami przez sześć lat i zmieniłem się - zmieniłem się radykalnie. Nadal tkwiła we mnie ta sama żywiołowa energia. Ale większość moich ostrych kantów została wygładzona: albo dzięki kształceni, albo dzięki obserwowaniu, jak to się dzieje, że najbardziej wyrobionym operatorom pewne rzeczy uchodzą na sucho, podczas gdy innym nie. Więc owszem, słuchałem, jak żołnierze opowiadali mi o swoich nadziejach, że wrócą stare dobre czasy, kiedy Roy Boehm, pierwszy dowódca Teamu Two, robił im rano dwie godziny treningu fizycznego, po których przebiegali 6 kilometrów do Oystermañs Club, gdzie spędzali resztę dnia przy piwie. Słuchałem ich - ale nikomu niczego nie obiecywałem.

Wybrałem się do Fort A.P. Hill, gdzie Team Two miał ćwiczenia polowe, i patrzyłem, jak plutony się szkolą. Wędrowałem po biurach, przyglądając się, jak prowadzona jest papierkowa robota i jak są dokonywane przydziały zadañ. Niewiele z tego, co widziałem, mi się podobało. A mówiąc bardziej rynsztokowym językiem, jakiego używało się w teamie, wszystko było do dupy. Budżet do dupy. Standardy wyglądu do dupy. Stan budynków do dupy. Sprzęt do dupy. Kiedy tak

264

ROZDZIAŁ 1

zaglądałem we wszystkie zakamarki, moje wędrowki nie przypominały spaceru w jasny pogodny dzień.

Kiedy przeprowadzałem to rozpoznanie, poprosiłem oficera operacyjnego Teamu Two Richa Kuhna, żeby został moim szefem sztabu. Kuhn był wysokim, twardym jak skała kapitanem, który odbył jako chorąży dwa okresy służby w Wietnamie. Ten czeszący się w stylu Buddy ego Hollyego ciemnowłosy dwudziestosiedmiolatek wziął później udział w wymianie ze słynnym brytyjskim Special Boat Squadron. Była to pełnomorska wersja SAS (Special Air Service), a ich szkolenie było cięższe niż cokolwiek, co my robiliśmy w SEALsach. Służba za granicą poszerzyła horyzonty Richa, tak samo jak okres spędzony przeze mnie w roli attache poszerzył moje. Kuhn nabrał od Brytyjczyków nie tylko zamiłowania do porto - ich jedyna w swoim rodzaju kuźnia wykuła go na nowo jako żołnierza: wróć^ jeszcze pewniejszy, jeszcze bardziej niezawodny i pełen wyobraźni, niż był, kiedy tam wyjeżdżał. Brytyjczycy przekazali mu też swoją skłonność do organizacji. Rich umiał teraz naprawdę znakomicie gospodarować czasem, ludźmi, sprzętem - co było absolutnym wymogiem dla dobrego szefa sztabu. A co najważniejsze, wszystko to potrafił robić z całkiem dobrze naśladowanym akcentem mieszkańca East Endu.

Chociaż nigdy wcześniej z Richem nie pracowałem, uderzyły mnie te jego cechy - właśnie takich oczekiwałem od swojego zastępcy: był uczciwy, niezawodny i sprawdzony w boju. Miał ogromne poczucie humoru - ten człowiek był większą i bardziej wyrafinowaną wersją Gordyego Boycea. Poza tym miał dobre odruchy: potrafił przewidzieć, jak zareaguję, i w większości wypadków miał rację. Poza tym miał ten rodzaj pełnej prostoty, twardej

osobowości, którego potrzebowałem u swoich oficerów. Zaprosiłem go na piwo i przedstawiłem swoją propozycję. Naiwniak Kuhn wyciągnął kciuki w górę.

Przekazanie dowództwa odbyło się w piątek rano. Dałem wszystkim wolny weekend i poleciłem Richowi, żeby zarządził zbiórkę oficerów w mojej kajucie w poniedziałek na 9.00. W poniedziałek z samego rana wskoczyłem

265

CZĘŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

do jeepa dowódcy SEAL Team Two, przejechałem sześć przecznic do COMNAVSPECWARGRU TWO - w żargonie US Navy: COMmander, NAVal SPECial WARfare GRoUp TWO, Dowództwo Drugiej Grupy Działań Specjalnych Marynarki Wojennej - i złożyłem kurtuazyjną wizytę admirałowi Greeneowi. Zjawiłem się u niego w pełnym umundurowaniu, świeżo ostrzyżony - po bokach i z tyłu prawie do gołej skóry - z dumnie prężącą się po porannym godzinnym treningu muskulaturą.

Oddałem admirałowi honory, po czym powiedziałem, że wprawdzie podpisałem się pod dokumentem o przejściu dowodzenia, ale nie podpisałem się pod wykazem sprzętu, bo nie odpowiada on moim standardom. W związku z tym - zameldowałem - zamierzam przeprowadzić w SEAL Team Two pełną inwentaryzację stanu jednostki. Następnie zasugerowałem, że w trakcie prowadzonego przeze mnie przeglądu szef sztabu SpecWar komandor Cravener mógłby równocześnie dokonać pełnej inspekcji administracyjnej.

Admirał Greene wykrzywił usta w cierpkim uśmiechu.

- To będzie oznaczało mnóstwo pracy: i dla SEAL Team Two, i dla mojego sztabu.
- Tak jest.

Kompletna inwentaryzacja sprowadzała się do tego, że policzona miała zostać każda śrubka i nakrętka, każdy pocisk i iglica, każdy akwalung i aparat oddechowy Emersona, a także każda karta katalogowa, spinacz biurowy i blok listowy. Z chwilą ukończenia spisu wiedziałbym, ile cholernych zszywek posiada na stanie SEAL Team Two.

Inspekcja administracyjna wymusiłaby konieczność uzasadnienia naszych metod szkolenia, planów operacyjnych i budżetu. Wzięty pod lupę musiałyby zostać każdy aspekt wszystkich procedur operacyjnych i organizacyjnych obowiązujących w SEAL Team Two.

- Jak rozumiem, uznał pan, że jest to warte potrzebnego na to czasu i wysiłku, Dick.
- Sir, od ponad sześciu lat nie było w Teamie Two inspekcji administracyjnej. Nasza misja zmieniła się od czasu Wietnamu. Pora, żebyśmy się przyjrzeni, jak prowadzimy swoje sprawy.

266

ROZDZIAŁ 1

Pokiwał głową.

- I mówi pan, że nie podpisał się pan pod wykazem sprzętu?
- Admirale, obawiam się, że ogromna część tego, co mamy, została przywieziona z Wietnamu w złym stanie. Być może inwentaryzacja wykaże, że wszystkie zestawy mamy pełne i kompletne, ale stawiam pięć do jednego, że większość nie jest zbyt sprawna. Rzecz w tym, że kiedy się pod tym podpisuję, biorę to na swoje konto, obojętnie, czy coś działa, czy nie.

Admirał bacznie mi się przyglądał.

- Rozumiem - powiedział w końcu.

Stuknął w biurko na znak, że mogę odmaszerować.

- Daj znać, jak idzie, Dick. I powiedz szefowi sztabu, że zgadzam się na inspekcję administracyjną.
- Dziękuję, sir/

Pół godziny później wyszedłem z kwatery głównej NAVSPEC WAR-GRU TWO, zostawiając za sobą szefa sztabu i większość oficerów sztabowych z otwartymi ustami. Co to w ogóle za wygolony pedancik z karkiem jak u byka? Co to za dupek? Marcinko? Nie do wiary.

Rich Kuhn zebrał oficerów SEAL Team Two, którzy czekali w mojej kajucie, siedząc na podłodze, bo były tylko cztery krzesła. Większość była ubrana w błękitno-złote T-shirty i jasnobrązowe krótkie spodenki, co było mundurem obowiązującym wśród SEALsów. Zamierzałem to zmienić. Tknięty przecuciem Rich włożył mundur. I miał szczęście.

Wszedłem do kajuty. Rich zawołał:

- Ba... ość!

Powstawali. Ktoś powiedział:

- Cześć, Sharkman...

Zgasilem go chłodnym spojrzeniem.

- Panowie - powiedziałem - właśnie zameldowałem admirałowi, że zgłosiłem nas do inspekcji administracyjnej i pełnej inwentaryzacji.
- Co???
- Powiem więcej: tu jest jak w sraczu - ciągnąłem. - Przez poprzedni miesiąc trochę się temu przyglądałem i powiem wam, panowie,

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

że bardzo mało rzeczy mi się tu podoba. - Oparłem się obiema dłońmi na biurku. - Nie podoba mi się pieprzony sprzęt. Nie podoba mi się pieprzona obsada etatów. Nie podoba mi się pieprzone szkolenie. Nie podobają mi się pieprzone plany operacyjne. - Omiotłem pomieszczenie wzrokiem. - Nie podoba mi się pieprzone nic.

Mówiłem coraz głośniej, coraz niższym głosem i z coraz większym naciskiem: opanowywał mnie duch Barretta.

- Od teraz będziecie robić z oddziałami trochę więcej, a nie tylko się opieprzać. Nauczycie się pieprzonego dowodzenia. Nauczycie się pisania pieprzonych papierów. Nauczycie się pisania pieprzonych komunikatów. Nauczycie się pisania pieprzonych planów.
- Zwróciłem się do Richa: - Szefie sztabu.

Strzelił obcasami na baczność w najlepszym brytyjskim stylu.

- Tak, sir?
- Proszę zadzwonić do klubu oficerskiego i zarezerwować stół dla szesnastu ludzi na lunch przez pięć dni w tygodniu. Od dwunastej trzydzieści do czternastej piętnaście. Codziennie wszyscy oficerowie mają towarzyszyć dowódcy na lunchu. Będziemy tu mieli pieprzoną integralność oddziału.

- Tak jest.

Zapanowała cisza. Wszyscy stali z kamiennymi twarzami. Dwóch chorążych miało usta otwarte na 5 centymetrów.

Udałem, że tego nie widzę.

- Od teraz będziecie umieć sprzątać swoje gabinety. I to sprzątać do czysta. Okna mają być umyte od środka i z zewnątrz. Podłogi mają być wyszorowane. I to przez was osobiście, panowie, a nie przez jakichś szeregowych.

Jakby ich wbiło w podłogę. Znowu zwróciłem się do Richa:

- Szefie sztabu.
- Tak, sir?
- Proszę ogłosić: brody mają zniknąć. Wąsy mają zniknąć. Obowiązują z powrotem regulaminowe fryzury. Obowiązują z powrotem wykrochmalone mundury.

268

ROZDZIAŁ 1

- Tak jest.

- Szefie sztabu.

- Tak, sir?

- Proszę zadzwonić do naszego sklepu i powiedzieć, że będziemy mieli zapotrzebowanie na wizytówki i szable paradne. Wszyscy oficerowie mają mieć pieprzone wizytówki. Wszyscy oficerowie mają mieć pieprzone szable.

Ponownie zwróciłem się do oficerów. Ich ziemiste twarze wyglądały tak, jakby ktoś je unurzał w błocie.

- Panowie - powiedziałem - nauczycie się pieprzonej dyscypliny wojskowej i protokołu.
- Zrobiłem efektowną pauzę. - Bo od dzisiaj, panowie, jesteście, k***a, wszyscy z powrotem w pieprzonej Marynarce Wojennej. - Odwróciłem się znów do Richa. - Myślę, że tyle na razie wystarczy, szefie sztabu - powiedziałem łagodnym głosem. - Wszyscy mają się stawić o 13.30. Odmaszerować.

Wyszedłem z pokoju, nie odwracając się za siebie. To było zabawne.

i

Oczywiście, że próbowali mnie sprawdzać. Na pierwszy ogień poszedł zarost. Do mojego gabinetu zawitał facet z najładniejszą brodą i oświadczył, że jej nie zgoli. Był to Eddie Mugs. Znałem go. Odbyliśmy wspólnie trzy rejsy po Morzu Śródziemnym w UDT-22 na pokładzie USS Rushmore. Podobnie jak ja był jednym z chłopaków usynowionych przez Everetta E. Barretta. Widział, jak odgrywam w mesie wodewil pana Muda i pana Świra i wciągam groszek przez nos. Razem przeszliśmy trudne chwile w Barcelonie. Uganiał się za dziwkami w Rzymie. Upijaliśmy się w Atenach. Tej nocy, kiedy w Neapolu prowadziłem ciężarówkę przez tamtejsze tunele i szurałem po ścianach, wyprzedzając inne samochody, a szef Barrett pakował we mnie swoją setkę decybeli okraszonych k***ami, ch**ami i innymi pie***lonymi komplementami, Eddie siedział na pace, drąc się i wrzeszcząc jak Indianin.

To był Mugs - obdarzony wielkimi pięściami sukinsyn z okrągłą głową. A ja byłem dla niego Świrem - szybkim rozrabiaką, z którym

269

CZĘŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

kumpłował się jak pedzio z pedziem, od kiedy Chrystus był młodszym kucharzem na okręcie.

Rich Kuhn wprowadził Eddiego do gabinetu. Mugs zaszalutował. Oddałem salut. Siedziałem za biurkiem, przede mną stał parujący kubek z kawą - całkiem jak w gabinecie prawdziwego oficera marynarki.

- Spocznij.

Założył ręce za plecy i stanął w rozkroku, po czym nastąpiła krępująca chwila ciszy. Pociągnąłem łyk kawy i spokojnie popatrzyłem na niego, mając w pamięci sporo wspaniałych wspólnych chwil. On pewnie myślał o tym samym.

- Mugs?
- Tak, panie Rick?
- Chciałeś się ze mną zobaczyć.

Przytaknął.

- Sir, chodzi o moją brodę. Chcę ją zostawić. To...

Przerwałem mu.

- Słuchaj, Mugs, nie mam nic przeciwko noszeniu brody. Przepisy marynarki mówią, że marynarz może nosić brodę. Ale u SEALsów to kwestia bezpieczeństwa. Jeśli masz brodę i włożysz maskę nurkową, istnieje spore ryzyko, że będzie nieszczelna. To niebezpieczne. Może inni dowódcy nie zwracali na to uwagi, ale ja zwracam. A kiedy już golisz zarost, możesz go golić w całości, więc wasy też golimy. - Puściłem do niego delikatny uśmiezek. - Dzięki temu będę widział, czy nic nie pyskujecie pod nosem.

- Tak jest, rozumiem to, co pan mówi, sir. Ale mimo wszystko regulamin marynarki mówi, że można mieć brodę. Dopóki ta zasada się nie zmieni, sir, zostawię brodę.

- Możesz ją zostawić, Mugs. Ale nie w SEAL Team Two. - Pociągnąłem kawy. - Wylatujesz stąd.

Popatrzył na mnie tak zaskoczony, jakbym do niego strzelił.

- Dokonałeś wyboru, Mugs. Ja też. Wysłali cię tu kumple. Myśleli, a i ty też tak myślałeś, że nie ma takiej możliwości, żebym sobie tak ostro z tobą zagrał. - Ton mojego głosu zrobił się surowy. - Problem

270

ROZDZIAŁ 1

polega na tym, że nie ma takiej możliwości, żeby ktokolwiek sobie tak zagrywał ze mną.

W kącikach oczu pojawiły mu się łzy.

- Sir...
- To koniec, Mugs. Ciebie już tu nie ma. Weź dwa dni wolnego. Zastanów się, dokąd chcesz się przenieść, a ja zrobię, co tylko będę mógł, żebyś na pewno dostał to, co wybierzesz.

Stał z otwartymi ustami, ale nie potrafił wydobyć z siebie ani słowa. Moja twarz była niewzruszona jak kamień.

- Przykro mi, mogłeś nam się tu przydać - powiedziałem mu. -Ale teraz możesz iść i powiedzieć chłopakom na zewnątrz: „Nie pogrywajcie z dowódcą, bo was udupi tak, jak jeszcze nikt was nigdy nie udupił”. Odmaszerować.

Zasalutowałem^, a kiedy Mugs robił w tył zwrot i wychodził, odwróciłem się z krzesłem w stronę leżącego na bocznym biurku stosu papierów. Nie chciałem, żeby stając w drzwiach, zobaczył, że ta decyzja była dla mnie równie trudna jak dla niego.

Byli wśród SEALsów tacy, którzy uważali, że jako dowódca byłem zbyt twardy wobec ludzi. Ale to nie byli SEALsi z Teamu Two. SEALsi w Teamie Two lubili wyzwania - wiem to, bo miałem nadzwyczaj wysoki odsetek tych, którzy pozostali w jednostce przez cały okres mojego dowodzenia: zostało ze mną ponad 80 procent szeregowców i podoficerów.

Podstawowym problemem, jaki widziałem w SEAL Team Two, było to, że za dużo młodszych oficerów przydzielano do zadań administracyjnych, zamiast wysyłać ich do działań polowych. Oddziału nie prowadzi się do boju zza biurka. Musiałem znaleźć dla Teamu Two jakiegoś utalentowanego administracyjnego wymiociny - młodego oficera, którego mógłbym zostawić w forcie, kiedy my, wojownicy, szliśmy w bój.

Nie okazało się to szczególnie łatwe. SEALsi mieli spore kłopoty z dogadywaniem się z gośćmi spoza Spec War, a administracyjne

271

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

wymiociny zmieniały się jak w kalejdoskopie, bo były to etaty tymczasowe. Ale wpadłem na pewien pomysł. Człowiek odpowiedzialny za przydzielanie oficerów do SEALsów Dick Lyons był moim dawnym znajomym. Razem kończyliśmy SKO. W czasie gdy ja skakałem z samolotu i taplałem się w błocie Deltę Mekongu, on został kapitanem okrętu. Teraz był kapitanem biurka w Waszyngtonie. Jako uzdolniony administrator powinien wiedzieć, gdzie mogę znaleźć kogoś świeżego. Zadzwoiłem do niego.

- Tak, mam dla ciebie jedną taką ciepłą osobkę, Dick.

- Nie wątpię, ty podstępny irlandusie. Kto to taki?

- Nazywa się Tom Williams, podporucznik.

- Jakie ma kwalifikacje?

- To oficer rezerwy, ukończył szkolenie lotnicze, ale zabrakło mu punktów na przydział do dywizjonu, więc go wygryźli. Wysłali go na Bermudy, do jednej z tych stacji SOSUS monitorujących sensory akustyczne rozmieszczone na dnie oceanu przeciwko sowieckim okrętom podwodnym. Tam też go wycyckali, bo był najmłodszy stopniem i trzech ambitnych palantów, którzy nie chcieli konkurencji z jego strony, postanowiło wydymać go w opinii

służbowej, żeby się go pozbyć. Teraz, chociaż on o tym jeszcze nie wie, marynarka przymierza się, żeby go wykopać.

- Jezu!

- To trudna sprawa. Chłopak nie jest zły. Ma wielkie możliwości, ale nikt nie chce ich wykorzystać.

- Założymy się?

Lyons roześmiał się. Ten gromki śmiech wielkiego ciepłego Irlandczyka zwracał zawsze na tego faceta uwagę w knajpach i sprawiał, że momentalnie gromadził się wokół niego wianuszek dziewczyn.

- Zrobiłbyś mi przysługę. Muszę go gdzieś ukryć przez pół roku, żeby system o nim zapomniał, to zostanie w służbie.

- Przyślij mi go, Lyons. Przyślij go do domu dla krnąbrnych chłopców księdza Marcinki. Obiecuję, że wychowam ci dzieciaka.

- Przy tobie zrobi pieprzony doktorat - ryknął Lyons. - Wystarczy, jak przypilnujesz, żeby mu się nic nie stało, okej?

272

ROZDZIAŁ 1

Parę dni później podporucznik Thomas R. Williams przyjechał do Teamu Two. Był to niewysoki, drobny oficer, którego nieśmiałe zachowanie sprawiało, że wyglądał jak księgowy prosto z agencji castingowej. Zameldował się, dostał pokój w kwaterach oficerskich i stawił się do pracy, wyglądając na co najmniej zaniepokojonego.

Patrzyłem, jak idzie w stronę pokładu rufowego, potrącany przez oficerów SEALsów. Na widok tego biednego naiwniaka próbującego iść naprzód mimo jawnych otrzęsin poczułem zażenowanie, bo najczęściej zachowujemy się jak pewne siebie sukinsyny. Ale Williams miał jaja - instynktownie odpierał ataki. Ten chłopak miał też odwagę. Musiał nauczyć się jeszcze trochę pewności siebie. I musiał zacząć ćwiczyć. Wążący 44 kilo cherlak nie ma do odegrania zbyt wesołej roli, kiedy dostaje przydział do zespołu SEALsów.

Tom był już wtepy żonaty, ale przyjechał do nas sam, bo był to tylko przydział tymczasowy (a przynajmniej on tak myślał). Wobec tego jakiś tydzień po jego przyjeździe zaprosiliśmy go któregoś wieczora na kolację do nas do domu. Kathy-Ann napoiła go sporą ilością piwa, nakarmiła makaronem, podała wielką porcję zielonej sałatki i lody, po czym poszła do drugiego pokoju, a ja wyjąłem z lodówki jeszcze dwa piwa i zaprosiłem Toma, żeby poszedł za mną do mniejszego salonu.

Walnąłem się na kanapę. Tom wziął piwo i usiadł w fotelu, trzymając puszkę na kolanie.

Podniosłem swoją w jego stronę.

- Witaj w Little Creek.
- Dzięki. - Pociągnął łyk. - To miła odmiana po Bermudach.
- Dick Lyons uznał, że na jakiś czas może ci się tu spodobać.

Przytaknął.

- Podoba mi się... jak na razie.
- Chłopaki dają ci wycisk?

Wzruszył ramionami.

- Da się wytrzymać.
- To znaczy, że jeszcze się nie postarali.

273

CZĘŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

Opróżniłem puszkę i odstawiłem ją na leżący na ławie egzemplarz „Timea”.

- Tom, nie będę ci tu pieprzył głupot. Powiem, jak jest.

Patrzył na mnie jak szczeniak, który czeka na uśpienie. Przechodził już wcześniej coś podobnego - kiedy skreślili go ze szkoły dla pilotów i kiedy został wydymany w SOSUS. Widziałem to w jego oczach: myślał, że zaraz go wywalę. Przełknął z trudem.

- Co tylko pan uważa, sir.
- Marynarka niedługo dokona twojej oceny i wylecisz.

Poczerwieniał.

-Co?

- Jesteś już ugotowany, chłopaku. Oni uważają, że sobie nie poradzisz.
- To... - Trzasnął puszką, nieumyślnie wylewając piwo na dywan. - Cholera, sir, strasznie przepraszam...

Wziąłem z kuchni ścierkę do naczyń, chwyciłem jeszcze dwa piwa, wróciłem i wytarłem dywan.

- Nie przejmuj się tym. Trzymaj.

Wziął piwo i wypił duszkiem.

- Szlag.

Walnął pustą puszką o ławę. Podałem mu jeszcze jednego browara. Zaczął pić. Teraz jego twarz zaczęła blednąć.

- Cholerny szlag.

-Co?

- Niech szlag trafi tę marynarke. I tak ich wykiwam.

- Posłuchaj, Tom: jesteś oficerem rezerwy. Po co to komplikować? Wracaj do domu i zajmij się robieniem pieniędzy. Daj sobie spokój z tym gównianym wyścigiem szczurów.

Pokręcił głową.

- Nie ma mowy.

Ciekawe: wysunął szczękę i zacisnął mocno usta. Widać było, że ma charakter.

- Okej, to co chcesz robić?

274

ROZDZIAŁ 1

- Chcę zostać w tej cholernej marynarce. - Zrobił pauzę. - Dupki. - Spojrzał na mnie i roześmiał się wbrew sobie. - Nie, to ja jestem dupek, ja pie***lę.

- Zgadza się, Tomie Williamsie, pie***lisz, i to bardzo. - Łyknąłem resztkę piwa, przyniosłem jeszcze dwa, otworzyłem, dałem mu jedno, po czym usiadłem nos w nos z Tomem. - Dick Lyons mówi, że dobry z ciebie chłopak. Podoba mi się, jak tak mówisz. A co byś powiedział, żebyśmy razem trochę pokiwali tę marynarke?

W oczach zapaliły mu się światełka.

- Powiedziałbym, że się na to piszę.

- No to kiwalibyśmy ją tak: potrzebny mi oficer administracyjny, który potrafi dokopać, no i zwerbowałibyśmy ciebie. Będziesz robił, co trzeba, a ja cię będę chronił. Team będzie cię chronił.

- Dobra. >

- Nie tak szybko. Jest coś jeszcze. Będziesz odbywał treningi fizyczne z teamem. Nabierzesz formy. Pojedziesz na BUD/S.

- O Jezusie...

- Uzyskasz wszystkie kwalifikacje oficera SEALsów.

- Ale...

- Nie chcę słyszeć żadnego „ale”, Tom. SEAL Team Two to rodzina i chcę, żebyś był jej członkiem, a nie jakimś dalekim pieprzonym krewnym. To znaczy, że musisz przejść inicjację, czyli BUD/S. Więc bądź gotowy na wszystko. Popracuj nad moimi sprawami, to ja popracuję nad twoimi. A potem wrócimy i znajdziemy tych żalonych popieprzonych wypierdków, kutasów-urzędasów z głównem zamiast mózgu, zasyfiałych popapanych dupków, którzy cię wykiwali, i skopimy im dupy na wylot.

Chłopak się roześmiał i poczułem, że ten śmiech mi się podoba. Wyciągnął rękę, napluł i podsunął mi do przybicia.

- Stoi, szefie.

Zrobiłem to samo. Potraktował moją propozycję poważnie - więc i my potraktowaliśmy poważnie jego. „Wykwalifikowani” oficerowie jeździli po nim niemiłosiernie. Ale na mój rozkaz stosowali pierwsze

275

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

prawo morskie Eva Barretta. Pokazywali Tomowi tajniki zawodu i krok po kroku wprowadzali go w podstawy nurkowania i wysadzania, w technikę skoków spadochronowych i taktykę niekonwencjonalnych działań wojennych. Robił z nimi co rano trening fizyczny, zmuszając swoje ciało do przekraczania granic, o których mu się nigdy nie śniło. Robił wszystko: biegał, pływał, wspinał się po linie, ćwiczył na strzelnicy.

Po sześciu miesiącach był gotów i wysłaliśmy go na BUD/S. Przeszedł to szkolenie bez trudu i powitaliśmy go z powrotem w październiku 1975 roku, przypinając mu budweisera do bluzy mundurowej mniej więcej rok od dnia, kiedy wszedł do nas na pokład.

Ta historia ma swoje postscriptum. 30 listopada 1990 roku dał się słyszeć dzwon okrętowy, a starszy bosmanmat zapowiedział:

- Komandor porucznik, Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych, przybywa.

Tom Williams maszerował po czerwonym dywanie w stronę podium w sali kongresowej w morskiej bazie desantowej w Little Creek.

Czterdzieści minut później, kiedy wychodził, dzwon zabrzmiał raz jeszcze: dzyń-dzyń, dzyń-dzyń. Ale tym razem bosman ogłosił:

- SEAL Team Two, wychodzi.

Tom Williams z dumą oddał salut i wyszedł po czerwonym dywanie jako szesnasty dowódca SEAL Team Two.

Nie upłynęło wiele czasu, odkąd przejąłem dowodzenie, a zdałem sobie sprawę, że bardzo niewiele się zmieniło w sposobie postrzegania przez marynarkę kwestii SpecWar w ogólności, a teamów SEALsów w szczególności. Nasze misje planowali idioci w

Waszyngtonie, którzy byli albo kapitanami okrętów, albo atomowymi nieudacznikami. Nie mieli bladego pojęcia o możliwościach SEALsów ani o ograniczeniach naszych działań wynikających z takich elementów, jak uwarunkowania terenu lub pogody, czy też z tego, co dziewiętnastowieczny strateg i filozof Carl von Clausewitz nazywał tarcie i mgłą bitwy, co

276

ROZDZIAŁ 1

jest wyszukany ujęciem prawa Murphyeego: „Jeśli coś może pójść źle, to z pewnością pójdzie źle”.

Skutkiem tego rodzaju mętnego myślenia w Pentagonie było to, że dostawaliśmy podczas ćwiczeń takie na przykład zadania: „Zneutralizować nieprzyjaciela, pokonując 10 kilometrów w terenie bagnistym w ciągu pięciu godzin”.

Nie da się poruszać po bagnie z prędkością 2 kilometrów na godzinę, płynąc łodzią, a tym bardziej idąc pieszo przez wrogie terytorium. Czy któryś z tych ludzi przedzierał się chociaż raz przez podobny teren w Deltie Mekongu, wśród min pułapek, dołków z bambusowymi szpikulcami i rozciągniętych drutów? Tak się złożyło, że jednostka marynarki, którą dowodziłem, nie miała z przodu ostrego dziobu, nie była pomalowana na szaro i nie nosiła na burcie nazwy żadnego z amerykańskich stanów. A co by miało znaczyć „zneutralizować nieprzyjaciela”?

- Czy to znaczy, że mogę zabić sukinsynów, Wasza Książęca Mość, Jaśnie Panie Admirale?

- Nie. Musimy dbać o wizerunek medialny, a duża liczba spowodowanych przez was ofiar mogłaby wpłynąć na niego negatywnie. Po prostu ich zneutralizujcie.

- Czy ma pan jakieś sugestie co do tego, jak mam to zrobić, panie admirale, Wasza Nاپuszonosc? Moze moglbym zatrudnic kompanie dziwek, zeby ich zajac na czas, kiedy bede sie podkradac i ich wiadzac?

- To juz panski problem, komandorze. Niech pan tylko zlozy plan w trzech egzemplarzach, kazda kopie podpisze i poswiadczy, ze jesli cos sie schrzani, to bedzie panska wina, a nie nasza, po czym niech pan spali wszystkie kopie, zebyśmy nie zostawiali sladow na papierze dla mediow i Kongresu.

- Tak jest, Wasza Najwyzszosc.

Musial byc jakis inny, lepszy sposob, zeby sobie z tym poradzic. Hierarchia sluzbowa byla tak klopotliwa, ze utrudniala wykonywanie tego, co SEALsi robia najlepiej. Wobec tego jednym z moich najwazniejszych

277

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

celów było zmienić sposób, w jaki zamówienia idą po tej drabinie w górę, a rozkazy schodzą po niej w dół.

Stało się to łatwiejsze, kiedy w SpecWar Group Two pojawił się nowy komodor o nazwisku Dick Coogan. Miał on doświadczenie kapitana okrętu, ale też służył na rzece Mekong, wiedział więc trochę o SEALsach i znał uwarunkowania operacji rzecznych, no i był otwarty na nowe pomysły. A co ważniejsze, jak się okazało, zostawił żonę i dzieci w Newport w stanie Rhode Island. Był celibataire géographique i mieszkał w kwaterach oficerskich, które znajdowały się akurat po drugiej stronie ulicy w stosunku do budynku kwatery głównej SEAL Team Two.

Razem z Cooganem pojawił się nowy szef sztabu Frank Anderson z SEALsów z Zachodniego Wybrzeża. To też okazało się bardzo ważne. Przede wszystkim dlatego, że SEALsi ze Wschodniego Wybrzeża nie mają wysokiego mniemania na temat SEALsów z Zachodniego Wybrzeża. W Wietnamie grupy SEAL Team One były znacznie bardziej bierne niż my: ich żołnierze siedzieli w specjalnej strefie Rung Sat na tyłkach, zamiast wyprawiać się do wiosek i w głąb łądu.

W Stanach tych z Zachodniego Wybrzeża cechowała na ogół dbałość o system, a nas z Little Creek raczej nie: my byliśmy zorientowani na zadanie. Używając terminologii rockandrollowej, jeśli my z SEAL Team Two byliśmy Rolling Stones, to SEALsi z Kalifornii byli Monkees.

Frank Anderson zatem osiedlił się u nas. Nie lubił Wschodniego Wybrzeża, nie lubił SEAL Team Two i nie lubił mnie. Jak na jego gust za często mówiłem „k***a”. Byłem za bardzo narwany. Nie lubiłem wyjeżdżać do domu o 16.30, siadać z żoną przy kuchennym stole i rozmawiać o tym, jak jej minął dzień. Nie pytałem o pozwolenie na każde pierdnięcie. I miałem okropny zwyczaj chodzić prosto do komodora, kiedy potrzebowałem odpowiedzi na jakieś naglące pytanie. To naprawdę burzyło Frankowi jego poczucie łądu i przyzwoitości.

Przychodziłem o 15.30 z jakąś sprawą do komodora i próbowałem się z nim zobaczyć. Najczęściej Frank mówił wtedy:

278

ROZDZIAŁ 1

- Ma kupę roboty, Dick. Załatwię ci to jutro.
- Ale muszę to wiedzieć teraz, Frank.
- Niestety, to niemożliwe. Jest zajęty.

Po jednym takim „to niemożliwe”, które przeważało szalę, wprowadziłem alternatywny system.

Wspomniałem, że komodor Coogan mieszkał w kwaterach oficerskich vis-a-vis naszej kwatery głównej. Kiedy codziennie po południu kończyliśmy pracę, Dick Coogan podjeżdżał

pod kwatery, parkował, zostawiał aktówkę w pokoju, po czym szedł na piwo do baru przy kwaterach oficerskich i dopiero potem wracał do siebie, żeby zająć się pracą, którą zabierał na wieczór do domu. Nie był to typ, który by się lubił opieprzać, więc zawsze pracował.

Zwołałem w swojej kajucie zbiórkę wszystkich podległych mi młodszych oficerów. /

- Od teraz - powiedziałem im - zarządzam obserwacją komodora. Zrobicie sobie grafik. Będziecie go obserwować, kiedy wraca z pracy. Będziecie chodzić do baru przy kwaterach oficerskich. Będziecie zawsze zajmować pieprzony stółek barowy obok komodora i będziecie dotrzymywać mu pieprzonego towarzystwa. Będziecie go zabawiać. Będziecie mu opowiadać pieprzone historyjki o tym, co robimy i jacy jesteśmy w tym świetni. I każdy oficer przydzielony do obserwacji komodora będzie się u mnie meldował, zanim wyjdzie, bo może któregoś dnia będę miał jakąś pieprzoną ciekawostkę do podrzucenia komodorowi Cooganowi.

Rozpocząłem regularny program PR-owski. Jednego wieczora komodor dowiedział się, jak wygląda mój system treningu fizycznego. Kolejnego usłyszał o ćwiczeniach w Fort A.P. Hill. Jeszcze później poznał szczegóły naszej nowej taktyki przeciwko rewoltom. Moi oficerowie zaprosili go nawet na wycieczkę, żeby zobaczył nasze gry wojenne -i zgodził się na to. Pewnego razu miałem w planach wyjazd do Fort Bragg, ładnych kilkaset kilometrów od Little Creek. Siedziałem przy piwie z Cooganem i spytałem, czy by się ze mną nie wybrał.

- Jasne, Dick.

279

CZĘŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

No to pojechaliśmy. Następnego ranka Frank Anderson szukał szefa, gdzie tylko mógł - a on był ze mną: przyglądał się ćwiczeniom Special Forces i poszerzał swoją wiedzę na temat możliwości SpecWar.

Tego rodzaju chwytły zwykle rozwścieczały Franka Andersona. Nie znosił, kiedy pomijając jego pośrednictwo, rozmawiałem z komodorem po godzinach w barze przy kwaterach oficerskich, a potem następnego ranka wpychałem Frankowi do gardła uzgodnione w ten sposób decyzje.

- Tak się nie robi - marudził.

- To ty sobie rób tak, jak się robi, Frank - mówiłem. - Słuchaj no: nie jestem twoim podwładnym, tylko komodora.

Dość szybko nasz konflikt osiągnął punkt krytyczny. Miałem w Teamie Two dwóch oficerów z innych jednostek, którzy byli u nas w ramach wymiany zagranicznej. Jednym był Brytyjczyk z SBS (Special Boat Squadron), w którym jakiś czas służył Rich Kuhn. Drugim był Niemiec z Kampfschwimmerkompanie, niemieckiej jednostki pływackich bojowników.

Byłem przekonany, że SEALsi powinni szkolić się razem z innymi siłami specjalnymi krajów NATO, i uzyskałem akcept Dicka Coogana dla planów wyjazdu do Europy i takiego właśnie szkolenia. Następnie Rudy, Niemiec, który miał u nas roczny przydział, podsunął pomysł, że nieźle by było zaprosić do nas grupę Kampfschwimmers i razem z nimi pojechać pobawić się na Puerto Rico.

Wobec tego Rudy napisał do swojego przełożonego, który zgodził się na ten pomysł i odkomenderował jeden z oddziałów na takie wspólne szkolenie z Amerykanami. Ale ponieważ był dobrym i zdyscyplinowanym Niemcem, wysłał również kopię swojego pisma do Ministerstwa Obrony w Bonn. Urzędnicy w Bonn wpadli we wściekłość, bo wszystko było uzgadniane poza kolejnością i za mało osób zapytało po drodze: „Mogę?”.

Niemieckie Ministerstwo Obrony przysłało do Pentagonu nieprzyjemną wiadomość. Wiadomość ta została przekazana do CNO. CNO powiedział: „Hola, hola!” - i wystrzelił raketę w CINCLANTFLT-a

230

ROZDZIAŁ 1

(Commander-IN-Chief, AtLANTic FLeeT, czyli głównodowodzącego Floty Atlantyckiej), który ostrzelał z moździerzy COMNAVS-PECWARGRU TWO. Tam pociski te przyjął z wdzięcznością Frank Anderson, po czym wezwał mnie na dywanik i niemiłosiernie zmieszał moje dupsko z powstałym po ostrzale błotem.

- Kim ty, do diabła, jesteś, Marcinko? Żeby prosić oficerów z wymiany o wysyłanie wiadomości do ich cholernego Ministerstwa Obrony? Może i nie jesteś moim podwładnym, ale cholerna hierarchia służbowa nadal cię obowiązuje, a jeśli chodzi o obieg dokumentów, co jest funkcją administracyjną, a nie taktyczną, to ja jestem pieprzonym bogiem! Czy mówię wystarczająco, k***a, głośno i wyraźnie?

W zasadzie trzymał mnie prawie za jaja, więc słyszałem go dobrze.

- Tak jest.

- No to od t^raz, Marcinko, na każdy cholerny dokument, który będziesz chciał gdzieś wysłać, masz uzyskiwać zatwierdzenie ze sztabu, a to znaczy ode mnie. Jasne?

- Ale...

- Żadnych „ale”. Masz w dupie hierarchię służbową. Próbowaleś zrobić ze mnie idiotę. Chciałeś mi utrzcć nosa. Teraz moja kolej. Każdy cholerny dokument, który od ciebie wychodzi, będzie od teraz musiał zostać zatwierdzony przez sztab i uzyskać mój akcept, bo inaczej stąd nie wyjdzie.

Po pracy znaleźliśmy sobie z Richem Kuhnem zaciszny kącik w miłej knajpce i przegadaliśmy sprawę. Zaproponowałem morderstwo. Kuhn starał się mnie uspokoić. Przeszedłem do wymyślnych form torturowania. Rich był znakomitym szefem sztabu:

ukierunkowywał moją energię w stronę bardziej realistycznych i konstruktywnych rozwiązań. Piliśmy piwo. Spiskowaliśmy. Knuliśmy intrygę.

Frank mieszał moje dupsko z błotem w czwartek. W piątek nie wysyłaliśmy żadnych papierów. W ciągu weekendu usadziłem zespół ludzi do maszyn do pisania i pisaliśmy projekty różnych dokumentów. Kiedy skończyliśmy, mieliśmy ich prawie sto pięćdziesiąt. W poniedziałek rano o 6.30 podpisałem wszystkie w miejscu oznaczonym

281

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

„autor projektu”, każdy opatrzyłem pieczętką z datownikiem, po czym zaniósłem je do sztabu.

- Dzień dobry, Frank.

Zobaczył trzydziestopięciocentymetrowy stos papierów.

- Co to, do diabła...

- Mam parę dokumentów do podpisu dla ciebie.

- Zostaw w sekretariacie. Zajmę się nimi, jak będę miał czas. - Spojrzał na mnie ze złowrogim uśmiechem. - O ile będę go miał.

- Jak sobie życzysz, Frank. Ale wszystkie mają przybity datownik, a sporo z nich jest pilnych, więc jak prześlesz je dalej za późno, to już będzie twoja wachta, a nie moja - powiedziałem i wyszedłem.

Kiedy dotarłem z powrotem do swojej kajuty, zastałem tam wiadomość od niego, że mam natychmiast wrócić do sztabu.

- Pieprzyć go - powiedziałem podoficerowi. - Nie jest naszym przełożonym. Niech sobie poczeka.

Pół godziny później Frank zadzwonił.

- Wydaję ci formalny rozkaz: wracaj tu zaraz i zabieraj te cholerne dokumenty.

- Co mówisz?

- Słyszałeś dobrze, Marcinko: masz tu zaraz wrócić. I to jest rozkaz.

- Wybacz, Frank, ale nie jestem twoim podwładnym, więc nie możesz mi wydawać żadnych rozkazów. A jeśli chodzi o dokumenty, to ja tylko wypełniam twoje administracyjne zalecenia. Chciałeś dostawać wszystkie wychodzące od nas dokumenty? No to masz. A teraz, dupku, piłka jest po twojej stronie. Będziesz musiał posłać je dalej. Ja nie mogę, bo jeszcze żadnego nie podpisałeś, a ja jestem autorem projektu, nie oficerem zatwierdzającym. A poza tym, Frank, to ty jesteś sztabową wymiociną od popychania papieru. No to zapychaj ze swoimi papierami, bo ja mam na głowie cholerną jednostkę.

- Marcinko...

- Pieprz się, komandorku. Możesz mi, jak to się mówi, skoczyć.

Poleciał z krzykiem do komodora, ale wiele mu to nie pomogło. I tak musiał popodpisywać wszystkie dokumenty. I jeszcze tego popołudnia

282

ROZDZIAŁ 15

goniec ze sztabu dostarczył do kwatery głównej SEAL Team Two pisemne oświadczenie (z akceptem Franka), z którego wynikało, że znowu mogę sam wysyłać własne dokumenty.

Tego wieczora wziąłem na siebie opiekę nad komodorem. Przysiadłem się do Dicka Coogana w barze, zamówiłem sobie bombaya z lodem i powiedziałem:

- Jak sprawy, sir?

Popatrzył na mnie z pewnym rozbawieniem.

- Słyszałem, że mieliście dziś z Frankiem sporo tych spraw.

- Tak? Ja nic nie wiem, panie komodorze. Rozumie pan: on ma swój sztab, a ja swoją jednostkę i staram się, żeby wszystko szło gładko.

- Dziś chyba za gładko nie było. Frank mówił mi, że naprawdę przesadziłeś.

- Panie komorze, czasami stosuję się do jego zaleceń. Ale kiedy mi się nie podo ją, pytam o zalecenia pana. On tego chyba za bardzo nie lubi.

Coogan się roześmiał.

- Przypuszczam, że ani trochę.

Zamówił sobie nowego drinka i kazał barmanowi nalać mi drugiego bombaya z lodem.

- Powiem ci coś, Dick. - Stuknął brzegiem swojego kieliszka w mój. - Ten sukinsyn ciskał się i miotał po całym pokładzie rufowym. Naprawdę przez ciebie zaczął dziś gadać sam do siebie.

Uniosłem swój gin, żeby wypić za zdrowie komodora.

- Ja tylko robię, co do mnie należy, sir.

Rozdział 16

Nigdy nie szukałem sobie wrogów. Ale zawsze byłem człowiekiem ostrym i zorientowanym na zadanie, więc potrafiłem zrobić wszystko, co trzeba, żeby zadanie wykonać, i nie patrzyłem na skutki uboczne. Ta postawa nigdy nie przysparzała mi wielu przyjaciół w

szeregach oficerów konwencjonalnych jednostek marynarki: na wielu z nich coś wymuszałem, wielu zastraszałem, terroryzowałem, niejednemu groziłem, a od czasu do czasu potrafiłem wbić któregoś w ścianę. Mimo to radziłem sobie w systemie świetnie. Jedną z przyczyn tego stanu rzeczy było to, że moi przeciwnicy notorycznie mnie nie doceniali. Widzieli we mnie tylko tego Marcinkę, który potrafił dużo wypić, awanturować się w barach i w ogniu bitewnym dokonywać szalonych czynów. Nie wiedzieli, że oceny, jakie uzyskiwałem w opiniach służbowych jako adiutant sztabowy i attache, były równie wysokie jak te z Wietnamu. Myśleli, że skoro mam nogawki krótsze od rękawów i skoro mówię „k***a” do admirałów, to jestem zwykłym ordynarnym troglodytą, zjadaczem węży. Pewnie, że mówiłem „k***a” do admirałów - ale nie do wszystkich admirałów, tylko do tych, którzy pierwsi do mnie powiedzieli „k***a”. Nie było tajemnicą, że używam też dłuższych słów, i nie

284

ROZDZIAŁ 1

było tajemnicą, że potrafię pisać zwięźle, używając w wojskowych dokumentach prostych zdań oznajmujących.

Przekonałem się, że zawsze warto wytrącać ludzi z równowagi. W Wietnamie wytrącałem z równowagi Charliego, zadając mu potężne ciosy tam, gdzie najmniej się spodziewał uderzenia. Swoich oficerów i żołnierzy w SEAL Team Two wytrącałem z równowagi przez to, że bez przerwy wymagałem od nich, żeby wyciskali z siebie 100 procent więcej, niż im się wydawało, że potrafią. A dupków ze sztabu, takich jak Frank Anderson, wytrącałem z równowagi poprzez łączenie nie-przewidywalności, biurokratycznego nękania, przekleństw i kryjącego się za tym wszystkim niebezpieczeństwa ordynarnego, brutalnego fizycznego zastraszania. W większości wypadków było to świadome działanie mające na celu osiągnięcie celów politycznych - ale Frank i jemu podobnie zdawali sobie z tego sprawy.

Rzeczywiście, właściwie żaden z moich wrogów nigdy nie zwracał uwagi na to, że jestem zwierzęciem politycznym. Na dość wczesnym etapie mojej kariery odkryłem na przykład, że łatwiej jest przekonać ludzi do jakiegoś pomysłu, jeśli spadał na nich jako rozkaz najwyższych przełożonych, niż przepychać go w górę przez kolejne szczeble hierarchii służbowej. Projekt pójścia na studia poruszyłem od razu z admirałem Peetem, zamiast pytać któregoś z dowódców, czy mogę je podjąć. Jako attache przedstawiałem potrzeby khmerskiej marynarki admirałom, którzy mogli jej pomóc, i nie traciłem czasu na rozmowy z niższymi rangą oficerami, którzy nic nie mogli. A kiedy na przykład chciałem zabrać SEAL Team Two na Puerto Rico, żeby przećwiczyć przerzucenie całej jednostki, nie napisałem notatki służbowej do Franka Andersona z uprzejmą prośbą: „Zechciałby pan to posłać dalej, sir?”.

Zamiast tego zorganizowałem spotkanie z pewnym znajomym wiceadmirałem i zaraziłem go pomysłem przerzucenia SEAL Team Two z całym wyposażeniem do Roosy Roads na dziesięć tygodni ćwiczeń w pełnym zakresie. Moja logika była nieodparta: w sytuacji wojny między Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Radzieckim nie

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

przemieszczałibyśmy Teamu Two drużyna po drużynie. Przeciwnie: na pozycje frontowe zostałyby rzucona cała jednostka.

Ale nigdy jeszcze nie przetrucano całej jednostki naraz. Czy wobec tego admirał nie sądzi, że nadszedł czas, żeby spróbować i sprawdzić, czy to wykonalne?

Absolutnie tak - powiedział admirał. Już on zadba, żeby zatwierdzić ten pomysł - dodał.

W tej sytuacji pozostało mi tylko przyglądać się niewinnie z boku, jak admirał spuszcza z trzygwiazdkowego nieba mój plan niczym grom na głowy niczego niepodważających oficerów niższego szczebla. Kiedy przychodzili do mnie komodorzy i komandorzy, mówiąc: „Coś ty narobił?! Po co mi to całe gówno?”, ja patrzyłem na nich z miną niewiniątka i mówiłem: „Jaaa?”

Tak mówiłem. Ale wszyscy oczywiście wiedzieliśmy, jak jest naprawdę. W myślach mówiłem sobie: „Parce que je suis un phoc et vous etes les phocees” (Bo ja was pieprzę, a wy się pieprzyć dajecie). Ale z powodzeniem wszystkiego się wypierałem - i moja jednostka została przetrucana. Operacja zakończyła się pełnym sukcesem: było to pierwsze w dziejach regularne przetrucenie całego teamu SEALsów wraz ze wszystkimi elementami pomocniczymi. Mimo to oficerowie, których uraziłem, prawdopodobnie wrzucili moje nazwisko do kubła na śmieci, uważając, że prędzej czy później mi się oberwie.

Oskarżano mnie, że jestem arogancki - i przyznaję się do tego. Oskarżano mnie, że ucieram ludziom nosa i że nie umiem się od tego powstrzymać. Winny zarzucanych mi czynów. Szczerze mówiąc, zawsze miałem w sobie pewien element autodestrukcji: to ta część mnie, która chciała otwierać spadochron tuż przed ziemią bez względu na to, jakie to może mieć konsekwencje. W jakiejś mierze łatwo to wyjaśnić: lubię czuć, że żyję na krawędzi, że dochodzę do ostatecznej granicy własnych możliwości - lubię czuć, że jestem nieśmiertelny

W czasie kiedy byłem szeregowcem i podoficerem, moje autodestrukcyjne dążenia można było przypisywać żywiołowości (albo głupocie) właściwej młodemu wiekowi. Kiedy byłem młodszym oficerem

ROZDZIAŁ 16

w Wietnamie, mogłem tłumaczyć się żądzą krwi i ekstazą pola bitwy -albo też uzależnieniem od adrenaliny, jak kto woli. Ale kiedy zostałem dowódcą jednostki, nie miałem już żadnej przekonującej wymówki, dlaczego stosuję wobec swoich przełożonych tego rodzaju złowrogie zagrywki, o których wiadomo, że w jakiejś formie później do mnie wrócą i będą mnie prześladować. A jednak właśnie tak się zachowywałem - i te zagrywki rzeczywiście do mnie wracały, i obrywałem za nie. W większości wypadków walczyłem dla swoich ludzi: walczyłem w ich interesie, o ich komfort albo o to, by mieli najlepszy sprzęt i szkolenie na

najwyższym poziomie. W innych wypadkach pogrywałem sobie ze swoimi braćmi oficerami po prostu dlatego, że najzwyczajniej w świecie nie podobała mi się ich postawa.

Na przykład podczas mojego drugiego pobytu w Wietnamie w 1968 roku dowódcą SEAL Team Two był komandor podporucznik Ted Lyon - lub też, jalc pedantycznie podpisywał wszystkie swoje raporty, E[dward] Lyon III. Był przedwcześnie osiwiiałym, ascetycznie chudym, prostym jak tyka maratończykiem. Wydaje się - a w każdym razie mnie się tak wydaje - że jego spartański, skrupulatny i regulaminowy charakter to ten typ żalosnej surowej mentalności, który zdecydowanie za często daje w ostatecznym wyniku edukacja prowadzona w szkołach parafialnych przez wymachujące linijką i wzbudzające poczucie winy zakonnice.

Ted był dobrym przełożonym - pod tym względem, że zostawiał mnie w spokoju i pisał mi dobre oceny w opiniach służbowych. („Dynamiczny, rzutki oficer [...] o atletycznej budowie i miłej aparycji [...] bez wahania rekomenduję go do awansu w odpowiednim czasie" - oto próbka jego stylu). Ale uważam, że jak na dowódcę SEALsów, ojca dla marynarzy, człowieka, którego miałoby się podziwiać, brakowało mu tych trudnych do precyzyjnego nazwania cech zabójczego łowcy, które sprawiają, że wielki wojownik staje się wielkim wojownikiem. Kiedy myślę o Tedzie - co prawdę mówiąc, nie zdarza mi się za często - zawsze widzę go w wyobraźni z grubą szarą tęczką w ręku, a nie z M16.

287

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

Osiem lat później, w roku 1976, ja byłem komandorem podporucznikiem i zajmowałem dawne stanowisko Teda, dowodząc SEAL Team Two. On z kolei, będąc w stopniu komandora porucznika, był dowódcą Teamu 21 UDT. Obaj mieliśmy niebawem przekazać dowodzenie swoim następcom i nasze ceremonie wyznaczono na ten sam dzień. Jakies dwa miesiące przed tą datą zadzwonił do mnie Ted.

- Dick, czy mógłbyś zmienić datę swojego przekazania dowództwa? Chciałbym urządzić swoją ceremonię na placu apelowym, ale widzę w kalendarzu, że zdążyłeś już zarezerwować ten termin dla siebie. Myślę, że skoro jestem wyższy stopniem od ciebie, to mógłbyś przesunąć swoje przekazanie o dwa dni, z piątku na środę, a wtedy ja mógłbym wziąć piątek.

To było takie... nadęte. Tak, właśnie: Ted był nadętym dupkiem z tęczką papierów pod pachą. Nie znosiłem go. Więc - niech się wali.

- Wal się - powiedziałem Tedowi. - Zaplanowałem to już dawno.

- Ja też.

- No to może trzeba było zaplanować lepiej, a nie mieć gówno zamiast mózgu, co? Ten cholerny plac apelowy jest zabukowany dla mnie i tak zostaje. Oczywiście, jeśli chcesz mieć ceremonię razem ze mną, to miejsca jest mnóstwo.

Jego głos zrobił się lodowaty.

- Nie, dziękuję, Dick. Zorganizuję to sobie inaczej.

I tak też zrobił. Jego ceremonia przekazania dowodzenia odbyła się na pełnym płam po oleju małym asfaltowym parkingu za zabudowaniami taboru samochodowego, w otoczeniu baraków z blachy falistej. A moja - na perfekcyjnie wypielegnowanym placu apelowym z odkrytymi trybunami i wielką orkiestrą dętą marynarki, która umilała schodzącym się gościom czas, grając Anchors Aweigh.

Zapomniałem o tym incydencie. Ted Lyon - nie.

Po odejściu z Teamu Two spędziłem dziesięć miesięcy w Montgomery w stanie Alabama, gdzie mieszkałem sam, bez rodziny, i uczęszczałem

288

ROZDZIAŁ 1

na kurs działań sztabowych i dowodzenia w lotnictwie w bazie sił powietrznych Maxwell. Równocześnie uzyskałem tytuł magistra nauk politycznych w Auburn University. Z Alabamy przeprowadziłem się prosto do Waszyngtonu. Kathy z dziećmi dojechała do mnie dwa miesiące później. Pojawiło się wolne stanowisko oficera do zadań specjalnych w OP-06 (w żargonie US Navy: Office of the Deputy Chief of Naval Operations, Current Plans and Policy Branch - Biuro Zastępcy Szefa Operacji Morskich, wydział planowania bieżącego i strategii). Moja kariera musiała pozostać przez jakiś czas w zawieszaniu: nie spełniałem warunków koniecznych do uzyskania po raz drugi stanowiska dowódcy i nie byłem jeszcze wystarczająco długo komandorem porucznikiem, żeby dostać kolejny awans. Wobec tego musiałem znaleźć jakąś pracę na czas potrzebny do zostania kapitanem, a równocześnie tworzyć już sieć patronów, których miałem potrzebować do przeskoczenia na stopień komandora, a potem jeszcze do wskoczenia do korpusu admirałskiego.

Poza tym nigdy nie służyłem w Pentagonie i myśl o poznaniu tych blisko 30 kilometrów korytarzy - nie mówiąc już o poznaniu masy przyjaźnie nastawionych admirałów - wydawała mi się wtedy dobrym pomysłem. Rzeczywistość okazała się odmienna od moich przyjętych z góry założeń. Oficerowie do zadań specjalnych w marynarce wojennej, czy to komandorzy podporucznicy, czy komandorzy porucznicy, byli pierwszym od dołu ogniwem w „łańcuchu akceptów” na papierowym szlaku, najniższym szczeblem drabiny etatów sięgającej u góry do CNO (szefa operacji morskich) oraz JCS (Kolegium Połączonych Szefów Sztabów). Biurokracja Pentagonu bardzo przypomina biurokrację Kongresu. Zgadza się: na Kapitolu siedzą członkowie Kongresu, którzy uchwalają ustawy. Ale trzeba mieć pełną świadomość, że to personel niższego szczebla Kongresu wykonuje całą zakulisową pracę. Prowadzenie większości wewnętrznych negocjacji, które umożliwiają przegłosowanie tych ustaw, spada na barki zastępców ostatecznych ustawodawców. Projekty sporządzają sztaby ludzi zatrudnionych do tego przez komisje i podkomisje - dzięki nim w procesie legislacyjnym każdy dokument uzyskuje precyzyjne sformułowanie.

289

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

My, bezimienni oficerowie US Navy, robiliśmy w dużej mierze to samo dla CNO, podobnie jak inni oficerowie do zadań specjalnych z pozostałych rodzajów sił zbrojnych podlegli swoim szefom sztabu. Każdy z nas był po części pracownikiem naukowym, a po części lobbystą, negocjującym ze swoimi partnerami i próbującym zarazić innych punktem widzenia swojego własnego rodzaju sił zbrojnych.

Z chwilą zlecenia nam jakiegoś zadania sporządzaliśmy notatki służbowe dla oficerów odpowiedzialnych za planowanie, którzy na ogół byli komandorami. Była to kadra wyższego szczebla, ludzie, którzy chadzali do trój- i czterogwiazdkowego nieba, by składać meldunki mieszkańcom Olimpu. Czasami takie młodsze wymiociny jak ja dostawały zadanie towarzyszenia takiemu oficerowi, by nieść mu teczkę, obsługiwać rzutnik albo pokazywać coś wskaźnikiem. Ale ogólną zasadą było, że oficerowie do zadań specjalnych nie mieli zbyt wiele okazji do spotkań z admirałami - o ile w ogóle się to zdarzało. I tyle było tworzenia sieci.

My wprawdzie ich nie widywaliśmy, ale nasza papierkowa robota -owszem: kiedy szef operacji morskich miał brać udział w zebraniach JCS, my zapewnialiśmy mu praktycznie wszystkie materiały na temat poruszanych tam zagadnień. Oczywiście, to nie my przedstawialiśmy CNO nasze dane i raporty - przetrawione już informacje podawał mu wice-CNO albo jeden z wielu zastępców, zastępców zastępców lub zastępców zastępców zastępców CNO. Im z kolei dostarczali je oficerowie odpowiedzialni za planowanie. Oficerów odpowiedzialnych za planowanie informowaliśmy my. Przypominało to dziecięcą zabawę w głuchy telefon.

Kiedy CNO zadawał jakieś pytanie, spadało na nas jak ładunek głębinowy. Rzucaliśmy się do zbierania informacji i przygotowywaliśmy projekt odpowiedzi. Nasi przełożeni dawali akcept, czyli zatwierdzali efekt naszej pracy, i posyłali go w górę drabiny. Na każdym jej szczeblu notatka służbowa czy raport otrzymywały nowy akcept. Jeśli gdzieś po drodze akceptu odmówiono, dokument odsyłano nam z powrotem do dalszego opracowania albo do zmiany wydźwięku lub treści.

290

ROZDZIAŁ 1

Do mnie jednak los dwa razy się cudownie uśmiechnął, dzięki czemu wyskoczyłem w górę wyżej i szybciej, niż mogłem oczekiwać. Najpierw miałem to szczęście, że moim przełożonym był komandor Ace Lyons. Ace był absolwentem akademii, wąskim w talii i szerokim w klatce kapitanem okrętu. Miał już mocno po czterdziestce, a trzy lata przepracował jako starszy adiutant zastępcy szefa operacji morskich w wydziale planowania bieżącego i strategii. Był jednym ze złotych chłopców marynarki: znajdował się na ścieżce szybkiego awansu na admirała. Ale w odróżnieniu od większości przeznaczonych do zasilenia szeregów korpusu admirałskiego Ace myślał jak wojownik i często przeklinał jak marynarz. Dodawało mi otuchy, kiedy nazywał mnie „dupkiem”, i zdałem sobie sprawę, że najwyraźniej

muszę się rozwijać, skoro ten przydomek zmienił się na „gnojek”. Nieraz przychodziło mi do głowy, że Ace jffest jakoś spokrewniony z Evem Barrettem.

Drugi moment przełomowy nadszedł po jakichś pięciu miesiącach od podjęcia pracy, kiedy dodano mi nowy zakres obowiązków - wywiad. Ze swojego stanowiska odchodził oficer wywiadu. Wiedział, że byłem attache, co oznaczało, że wiem, na czym polega praca wywiadowcy. Poza tym jako operator SpecWar rozumiałem, jak cenne mogą być gorące dane wywiadowcze. Ace dał mi wolną rękę w dziedzinie włączania operacji SpecWar w zakres planowania JCS. Dzięki temu dane mi było poznać większość kluczowych graczy na poziomie czterech gwiazdek. Praca w wywiadzie dała mi prawdziwy klucz do władzy w Pentagonie: dostęp do pilnie strzeżonych informacji. Byłem teraz uprawiony do czytania materiałów, których nie miał prawa widzieć nikt więcej poza CNO albo jego zastępcą. To dało mi możliwość spędzania znacznej ilości czasu bezpośrednio z nimi oboma.

Co rano przychodziłem do pracy dwie godziny przed jej rozpoczęciem i czytałem odebrane depesze, przeglądałem dokumenty dostarczone przez CIA i DIA (Defense Intelligence Agency - Agencję Wywiadu Obronnego) i sprawdzałem, jakie informacje przechwyciła NSA (National Security Agency - Agencja Bezpieczeństwa Narodowego). Potem zakreślałem najważniejsze fragmenty, poprawiałem krawat,

291

CZEŚĆ DRUGA UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

wkładałem marynarkę i szedłem przekazać raport zastępcy CNO do spraw planowania i strategii. Był nim prostolinijski trzygwiazdkowiec William Crowe, który w późniejszym okresie został przewodniczącym Kolegium Połączonych Szefów Sztabów.

Lubiłem Crowea. Był to wielki, życzliwy niedźwiedź cieszący się opinią pierwszorzędnego, chociaż nieco zbyt podręcznikowego administratora. W 1946 ukończył Akademię Marynarki Wojennej, tytuł magistra uzyskał w Stanford, a doktorat w Princeton. Dodatkowo wiele nauczył się w okresie, kiedy był doradcą wietnamskiej marynarki. Mimo że odnosił się do podwładnych uprzejmie i mówił z miłym akcentem z Kentucky, był to jeden z tych admirałów, do których potrafiłem powiedzieć „k***a”. Miał przestronny gabinet na trzecim piętrze w sektorze E, a półki za jego biurkiem wypełniała olbrzymia kolekcja nakryć głowy - miał tam wszystko: od dawnych hełmów strażackich i francuskich beretów po hełmy angielskich policjantów i czapki golfistów z szkocką kratę.

Nie upłynęło parę miesięcy, a Crowe zaczął wzywać mnie za każdym razem, kiedy potrzebował czegoś od wywiadu. Stałem się nieformalnym oficerem do spraw sytuacji kryzysowych i kontaktowałem się z oficerami do zadań specjalnych z CIA, NSA, DIA, NSC (National Security Council - Rada Bezpieczeństwa Narodowego). Same nazwy tych szpiegowskich instytucji wystarczyłyby już do scrabblea. Moje uprawnienia w zakresie certyfikatów bezpieczeństwa były astronomiczne: dostęp do danych objętych najrozmaitszymi kryptonimami dawał mi możliwość zaglądania wszędzie, od zdjęć satelitarnych w wysokiej rozdzielczości po dane przechwytywane przez podwodne sensory.

Późne lata siedemdziesiąte były okresem ciągłych zmian w środowisku wywiadowczym. Dyrektor Centrali Wywiadu za prezydenta Jimmyego Cartera admirał Stansfield Turner dokonał przesunięcia priorytetów w zakresie źródeł. Dotychczas opierano się przede wszystkim na danych pozyskanych dzięki wywiadowi osobowemu (HUMINT). Za Turnera większy nacisk położono na przechwytywanie sygnałów, zbieranie informacji na temat technologii i rozpoznanie elektroniczne (odpowiednio: SIGINT, TECHINT i ELINT).

292

ROZDZIAŁ 1

Bezosobowy charakter SIGINT-u, ELINT-u i TECHINT-u prawdopodobnie miał w sobie coś pociągającego dla Turnera. Ten wyniosły nieudacznik z okrętów atomowych przypominał pod tym względem Hymana Rickovera, ojca atomowej marynarki wojennej, który od prawdziwego życia wolał modele statystyczne - bo one są bardziej uporządkowane niż ludzie i w przeciwieństwie do nich na nic się nie skarżą. Ale z modelami statystycznymi jest pewien problem: wojna nie stosuje się do żadnego z nich. Jest całkowicie nieprzewidywalna. Na wojnie ciągle coś się chrzani, i to za każdym razem bardziej niż poprzednio. Wiedziały o tym nawet najlichsze żołnierzyne z drugiej wojny światowej.

Kiedy pytało się: „Jak sytuacja, żołnierzu?“, odpowiedź brzmiała: SNAFU. Był to akronim od „situation normal, all fucked up“, czyli „sytuacja normalna[^] wszystko się spieprzyło“. Albo odpowiedź mogła brzmieć: TARFU - „things are really fucked up“, czyli „teraz to naprawdę się spieprzyło“. Albo FUBAR - „fucked up beyond all repair“, czyli „spieprzyło się tak, że choćby skały srały, już nic się nie da zrobić“. Ale dzieciaki od Turnera nie wiedziały, co to jest SNAFU, TARFU ani FUBAR - nie wiedziały, jak to jest, kiedy pocą ci się jaja, bo leżysz w zasadzce, czekając, aż pokaże się Charlie, a tu nagle okazuje się, że wszystko się posrało i piękny plan bierze w łeb.

Największa wada TECHINT-u wiąże się z tym, że opiera się on na modelach statystycznych. Powiedzmy, że USA mają krążącego gdzieś wysoko satelitę szpiegowskiego Keyhole. I powiedzmy, że fotografowany przez niego obiekt przesłaniają niskie chmury. No i najczęściej zdarza się tak - bo dane wywiadowcze są potrzebne już - że cudowne dzieci biorą zdjęcia z poprzednich przelotów, po czym dokonują symulacji. „Tak to wyglądało poprzednio - mówią - więc tak musi wyglądać teraz“.

Tyle że cudowne dzieci to matematycy i analitycy, i profesorowie i nikt nigdy do nich nie strzelał. Nie rozumieją wabików i podstępów, nie rozumieją takich czynników, jak wola zwycięstwa u nieprzyjaciela czy geniusz jednego konkretnego dowódcy. Nie potrafią powiedzieć,

293

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

czy piach, na który patrzymy, będzie wystarczająco ubity, by wytrzymać ciężar C-130, czy może tam lądować tylko arava - samolot STOL (short take-off and landing, krótki start i

ładowanie). Ani czy skrawek piachu położony 300 kilometrów pod satelitą nie jest w rzeczywistości grzędawiskiem ruchomych piasków, które powstało zaledwie dwa tygodnie wcześniej.

W związku z tym, kiedy przekazywałem Croweowi i jego świcie meldunki wywiadowcze, często dokładałem własne spostrzeżenia - pochodzące z innych źródeł - dając im lepsze wyobrażenie na temat dostępnych alternatywnych rozwiązań i napomykając przy okazji, w jaki sposób operatorzy Spec War mogą dostarczać informacji, których żaden system satelitarny ani unoszący się wysoko SR-71 blackbird nigdy nie będzie umiał podać. Z końcem 1978 roku byliśmy z Billem Croweem po imieniu: on mówił do mnie Dick, a jak do niego - admirale.

4 listopada 1979 roku irańscy bojownicy zajęli amerykańską ambasadę w Teheranie i wzięli cały jej personel dyplomatyczny jako zakładników. Osiem dni później generał James Vaught otrzymał od Kolegium Połączonych Szefów Sztabów zadanie utworzenia sił ekspedycyjnych - nazwano je TAT, Terrorist Action Team, czyli oddział do spraw działań terrorystycznych - które zaplanowałyby działanie w wariacie odbicia zakładników z użyciem wojska. Zostałem przydzielony do TAT jako jeden z dwóch przedstawicieli marynarki.

Instynktownie polubiłem Vaughta. Był to pochodzący z Karoliny Południowej wolno mówiący i opanowany, kościsty, krótko ostrzyżony powietrznodesandowiec i strzelec, który miał za sobą służbę podczas drugiej wojny światowej oraz w Korei i Wietnamie. Najwyraźniej nigdy nie czuł się swobodnie w garniturze ani mundurze galowym, bo nosił gotowy mundur polowy, który leżał na nim, jakby był uszyty na miarę. Vaught wyglądał i mówił jak moi dawni żołnierze z 8. plutonu z Wietnamu, Frank Scollise albo Hoss Kuciński - wydawało się, że tych gości zawsze coś boli, ale zwyczajnie ciągle szli do przodu.

294

ROZDZIAŁ 1

Człowieka wybranego do poprowadzenia operacji ratunkowej, pułkownika Charliego Beckwitha, spotkałem po raz pierwszy w Wietnamie. Chargin Charlie, jak go często nazywano, był jednym z najlepszych niekonwencjonalnych wojowników US Army. Ten potrafiący przeklinać (z silnym akcentem z Georgii) weteran setek operacji Special Forces wcześniej zdał sobie sprawę z potrzeby istnienia elitarniej, mobilnej, świetnie wyszkolonej jednostki do zwalczania terroryzmu, do przeprowadzania chirurgicznych operacji za liniami wroga, do zbierania danych wywiadowczych i dostarczania niekonwencjonalnych możliwości w scenariuszach konfliktów o małej intensywności. Jednostka, którą wymyślił i stworzył do tych zadań, została nazwana SFOD-D - 1st Special Forces Operational Detachment-Delta - a częściej nazywa się ją Delta Force.

Przewodniczący JCS generał wojsk lotniczych David Jones był z kolei właśnie tym człowiekiem, któremu nie powinno się powierzać żadnej misji wymagającej zastosowania umiejętności oddziałów SpecWar. Jego osobowość i charakter zapewniłyby mu świetną karierę w jakiejś wielkiej korporacji. Wysoki, dystyngowany, bystry - wręcz erudyta - i

podobno utalentowany, choć chłodny zarządca. Nikt jednak ani razu nie powiedział o nim, że jest charyzmatycznym przywódcą potrafiącym kierować ludźmi.

Generał Jones uwielbiał dyskutować na temat różnych możliwości. Bez końca. W pewnym momencie kazał nam spisać czterdzieści dwie oddzielne opcje misji ratunkowej i zrelacjonować mu je - a każda była bardziej naciągana niż poprzednia. Jeden z jego cudownych dzieciaków wymyślił opcję z rozbiciem śmigłowca: zakładników miał uratować oddział, którego śmigłowce dokonałyby awaryjnego lądowania na dachu ambasady. A jak mieli się ewakuować? E, czepiacie się! To tylko jeden niedopracowany szczegół w tym planie.

Podobnie jak większość wojskowych formalistów Davey Jones miał mdłości na samą myśl o stratach w ludziach. Dowiedziałem się o tym, kiedy planowaliśmy operację wtargnięcia do Iranu w celu sprawdzenia stopnia ubicia piachu w miejscu lądowania, które nazwaliśmy Desert

295

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

One. Ten test był niezbędny, by się przekonać, czy teren jest wystarczająco twardy i wytrzyma obciążenie w pełni załadowanych samolotów C-130.

Ktoś zadał oczywiste pytanie:

- A co będzie, jak podczas testu pojawią się tam jacyś Irańczycy?

Bez chwili zastanowienia powiedziałem:

- Zabijecie sukinsynów.

W pokoju zaległa cisza. Twarz Daveya Jonesa zastygła. Spiorunowałem mnie wzrokiem, a gdyby samo spojrzenie miało siłę sądu polowego, siedziałbym już w wojskowym więzieniu Leavenworth na ciężkich robotach.

- Jak panu mogło coś takiego w ogóle przyjść do głowy?

A jakżeby nie mogło? Próbowałem mu jakoś odparować.

- Proszę wybaczyć, panie generale, ale gdyby ktoś tam był, znaczyłoby to, że łamie irańską godzinę policyjną, więc to, co bym zrobił, byłoby spełnieniem woli Allacha.

Przewodniczącego to nie rozbawiło. Ale zauważyłem, że Jim Vaught tłumi chichot.

Jones anulował jeden z moich projektów dotyczących działań pozorowanych, bo uznał, że spowodowałby po stronie irańskiej zbyt wielkie straty w ludziach. Mój plan wiązał się z jednym z problemów, jakie mogła napotkać Delta: z irańskim lotnictwem wojskowym. Plan ratunkowy wymagał wywiezienia zakładników helikopterami z Teheranu na nieużywane irańskie lotnisko Manzariyeh, jakieś pół godziny lotu z Teheranu. Podczas podjęcia na

śmigłowce, przerzutu na Manzariyeh i dalszego lotu Delta i zakładnicy byłiby narażeni na atak irańskich sił powietrznych. Mój pomysł polegał na zbombardowaniu pasów startowych lotniska w Teheranie - które wykorzystywano do lotów wojskowych - żeby nikt nie ścigał Delty i zakładników. Zaplanowałem uderzenie z powietrza przy użyciu jednego samolotu. Nazwałem je atakiem drewnianych żołnierzyków.

Była to naprawdę operacja z gatunku KISS - keep it simple, stu-pid: nie komplikuj, głupku. Potrzebny był do niej jeden samolot

296

ROZDZIAŁ 1

transportowy C-130, z którego ja oraz dwóch SEALsów mieliśmy zrzucić dziesiątki podkładów kolejowych z uwiązanyimi do nich ładunkami wybuchowymi. Bale byłyby uwieszone na spadochronach otwieranych dzięki linie desantowej. Drewniane żołnierzyki miały być wyposażone w detonatory uderzeniowe. Spowodowane wybuchami trzymetrowe kraterzy na pasach startowych sprawiłyby, że obiekt stałby się nieużyteczny dla przeciwnika.

Mieliśmy również zrzucić inne, mniejsze ładunki. Byłyby to rury wypchane plastycznym materiałem wybuchowym i mniejsze bomby, których celem miał być ewentualny personel naziemny. Rury miały być okręcone łańcuchami, których ogniwa porozrywałyby się w chwili wybuchu C-4 i rozprysły jak pociski z kartacza - albo jak ogromne miny przeciwpiechotne Claymore. Rozgrzane do czerwoności ogniwa zniszczyłyby przęt do obsługi lotniska, podziurawiłyby zbiorniki paliwa i spowodowałyby ich zapłon oraz przyczyniłyby się do powstania ogólnego chaosu. Kolejna grupa drewnianych żołnierzyków miałaby doczepione specjalne petardy, żeby podczas opadania słyhać było terkoczący odgłos stwarzający wrażenie, że to atak spadochroniarzy strzelających z pistoletów maszynowych.

Jeśli udałoby się celnie zrzucić cały ten zestaw, lotnisko w Teheranie zostałoby wyłączone z gry. Co równie ważne, nasza akacja stanowiłaby też znaczącą pozorację odwracającą uwagę od Charliego i chłopaków z Delty, którzy w tym czasie robiliby nalot na obiekty ambasady w środku miasta. A gdyby Irańczycy nas zestrzelili - cóż, to tylko strata jednego C-130, pięciu lotników i trzech SEALsów: nic wielkiego.

Dla zachowania bezpieczeństwa (na przykład dlatego, że Sowieci nieustannie monitorowali nasilony przepływ informacji w tym obszarze) Charlie Beckwith przeniósł Deltę z jej kwatery głównej w leżącym tuż za granicą Fayetteville w Karolinie Północnej Fort Bragg do mniejszego i lepiej zabezpieczonego miejsca szkoleń. Delta nazywała je Camp Smokey, ale tak naprawdę mieściło się ono na obszarze Camp Peary - ogromnego terenu CIA wykorzystywanego do szkolenia szpiegów, tajnych agentów i operatorów. Farma (taką nazwę noszą te

297

CZĘŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

obiekty w środowisku szpiegowskim) zajmuje obszar 65 kilometrów kwadratowych położony bezpośrednio na północny wschód od Williamsburga w Wirginii, pomiędzy drogą numer 64 a rzeką James. Tam właśnie CIA wybudowała Charliemu i jego ludziom model kompleksu ambasady w Teheranie, żeby mogli przeciwiczyć każdy ruch, który będą musieli wykonać po przedostaniu się za ogrodzenie.

Ja tymczasem doskonalilem swój projekt drewnianych żołnierzyków. Po pracy w Pentagonie jeździłem albo latałem na południe, by spotkać się z SEALsami, których zwerbowałem sobie do pomocy - było to dwóch operatorów bez stopnia oficerskiego z SEAL Team Two, Larry i Bob - i braliśmy się do roboty, a często trwała ona do bardzo późna. W środku nocy wracałem do Waszyngtonu, w sam raz żeby zdążyć przeczytać i streścić dla admirała Crowea porcję danych wywiadowczych na dany dzień, zanim o 8.00 zacznie się oficjalny dzień pracy.

Charliemu Beckwithowi spodobał się pomysł z drewnianymi żołnierzykami. Davidowi Jonesowi - nie. Aby uciąć dyskusje na ten temat (i na temat innych podobnych pomysłów), przewodniczący wygłosił mimochodem śmieszna uwagę. Powiedział mianowicie swoim żołnierzom: nie zabijaj.

Druga po osobie dowódcy - i bardziej od niego znacząca - przyczyna niepowodzenia leżała w obszarze HUMINT-u. Ujmując rzecz najkrócej, nie było żadnego wywiadu osobowego. Z tego, co wiedziałem, CIA nie miała na miejscu ani jednego tajnego agenta w Iranie. Byliśmy w stanie uzyskać pewne szczątkowe informacje za pośrednictwem ambasad innych państw, poza tym w Iranie nadal znajdowało się całkiem sporo obywateli takich krajów, jak Turcja, Niemcy, Francja, Irlandia czy Kanada, ale nie było żadnej zorganizowanej siatki i nikogo, kto mógłby dostarczać gorących informacji, jakich potrzebuje zespół operatorów sił specjalnych do przeprowadzenia akcji odbicia zakładników.

Wobec tego jednym z celów TAT była infiltracja do Iranu tylu operatorów, ilu uda się znaleźć, żeby mieć przynajmniej kilku agentów na miejscu. Każdy rodzaj sił zbrojnych dostał polecenie wyszukania

298

ROZDZIAŁ 1

u siebie żołnierzy mówiących w języku farski, a z powodu wymogów bezpieczeństwa operacji związanych z misją odbicia zakładników mnie wyznaczono na „łącznika” ze wszystkimi potencjalnymi agentami z marynarki przeznaczonymi do infiltracji. Marynarze mówiący w farski zostali wyszukani komputerowo. Otrzymali rozkaz opuszczenia swoich jednostek bez podania przyczyny i przylotu do Waszyngtonu. Na różnych lotniskach w okolicach stolicy pojawiło się kilkunastu marynarzy. Spotykałem się z nimi, zabierałem ich do domu, kazałem im składać przysięgę - i podpisywać oświadczenie - że dochowają tajemnicy, po czym przekazywałem ich do kadrowców w sztabie Vaughna. Część odrzucono, część wolała nie podejmować się tego zadania. Wśród tych, którzy zdecydowali się wziąć udział w tej misji, był komandor marynarki z Annapolis, który zgodził się prowadzić wyładowaną operatorami Deltę ciężarową i zawieźć ich do Teheranu.

Agentami przeznaczonymi do infiltracji zostali też dwaj SEALsi. Obaj byli moimi podwładnymi, kiedy dowodziłem SEAL Team Two. Jeden - będę go nazywał Kline - był Amerykaninem w pierwszym pokoleniu, a w jego domu rodzinnym mówiło się po niemiecku. Został umieszczony w Iranie jako niemiecki biznesmen, a jego informacje na temat obiektu ambasady okazały się nieocenione. („Podziękowano” mu w ten sposób, że po fiasku na Desert One zostawiono go samego, nie dając mu nawet znać, co się stało. Ponieważ był SEALsem, a to znaczyło, że nie brakowało mu samodzielności, przewędrował blisko 1000 kilometrów z Teheranu do granicy tureckiej, przedostał się w bezpieczne miejsce i z żądzą mordy w oczach ruszył na poszukiwanie tych cudownych dzieci, tych dupków, które zostawiły go bez żadnej pomocy. To niewiarygodne, ale Klineowi, który zdobywał bieżące dane wywiadowcze, tak kluczowe dla misji prowadzonej w czasie rzeczywistym, nigdy nie wyrażono uznania za to, co zrobił. Żadnych medali, żadnych pochwał, żadnego awansu, nawet żadnego „brawo”. Nie mogłem mieć do niego pretensji, że jest rozgoryczony). Drugim SEALsem był drobny chłopak o imieniu Joey, który przebrał się za mnicha. Powinni go nazwać brat Wacek, jako znanego kobieciarza. Joey nie był na miejscu

299

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

zbyt długo, tylko parę dni. Ale zrobił, co do niego należało, i wyszedł z tego bez szwanku.

Noc 24 kwietnia 1980 roku była prawdopodobnie najdłuższą nocą w moim życiu. Było nas mniej więcej czterdziestu upchniętych na pierwszym piętrze Pentagonu w SCIF-ie - sensitive compartmented information facility, czyli obiekcie przeznaczonym do wydzielonych tajnych informacji - oddzielnym korytarzem od ogromnego centrum operacyjnego JCS z ekranami na całą ścianę, supernowoczesną łącznością, naszpikowanych nowinkami technicznymi dzwonekami i elektronicznymi gwizdkami. Tam, na drugim końcu długiego holu, za grubymi wytłumionymi drzwiami w tapicerowanych fotelach obrotowych siedział przewodniczący Jones i reszta JCS. Każdy bazgrał coś na papierze listowym z własnym nazwiskiem albo zajmował się tym, czym zajmują się czterogwiazdkowcy.

My, młodszy oficerowie do zadań specjalnych, planiści, szpiegowie i żołnierze Spec War, siedzieliśmy na plastikowych krzesłach i leczyliśmy proszkami ból głowy spotęgowany przedawkowaniem kofeiny. Nasz SCIF był w rzeczywistości pokojem o wymiarach 5 na 9 metrów, zawieszonym wewnątrz większego pomieszczenia w celu uniemożliwienia dostępu urządzeń podsłuchowych do środka. Miał tylko jedno wejście i jedyną drogę dostępu wiodącą przez trzy posterunki kontrolne SOD (Special Operations Division, wydziału operacji specjalnych) - a przy każdym wartę pełniły uzbrojone strażnicy. W SCIF-ie podłoga była podniesiona, sufit obniżony, a fluorescencyjne oświetlenie nadawało wszystkiemu zielonkawy odcień. Pośrodku znajdowały się dwa długie stoły konferencyjne. Stało na nich kilka małych kwadratowych głośników (a także okazały zbiór plastikowych kubków po kawie, tekturowych talerzyków z okruchami i popielniczek z wysypującymi się z nich niedopałkami). Kable głośnikowe biegły po podłodze do gniazdek w ścianie.

Dwa głośniki oznaczone były literami NSA. Przez nie mieliśmy słuchać wszystkiego, co przechwytywał ELINT z Agencji Bezpieczeństwa

300

ROZDZIAŁ 1

Narodowego. Pozostałe były przeznaczone do transmitowania komunikatów z Wadi Kena, Masiry, Desert One i Teheranu, gdzie do sieci satelitarnej był podłączony nadajnik PRC-101 jednego z amerykańskich agentów w terenie. Wszyscy porozumiewali się na tej samej częstotliwości, więc słyszeliśmy wszystko naraz: komunikację Deltę, rozmowy pilotów helikopterów i uwagi generała Vaughna.

Pod jedną ścianą stały biurka, przy których koczowaliśmy my, oficerowie TAT do zadań specjalnych, od czasu kiedy połączyliśmy siły w listopadzie poprzedniego roku. Na innej ścianie wisiały mapy, wykresy i zdjęcia rejonu naszych celów. U sufitu nad tą ścianą zamontowano na prowadnicach czarne zasłony, które można było zasunąć, gdyby do SCIF-u miał wejść ktoś bez odpowiednich certyfikatów bezpieczeństwa. Mieliśmy parę stojaków potrzebnych do odpraw wymagających obrazowania omawianych zagadnień, a pod stołami, naprzeciwko biurek i wzdłuż ściany piętrzyły się stosy segregatorów i notatników, które były dla nas podręczną biblioteką na temat Iranu, bojowników, irańskiego wojska, zakładników i ich rodzin. Mieściły się tam również dokumenty przedstawiające scenariusze najrozmaitszych sposobów wydostania naszych ludzi.

Czułem się bezradny i bezsilny, siedząc w krótkim rękawie na skraju szarego metalowego biurka, sącząc zimną kawę z papierowego kubka. Czułem, że powinienem być tam z Deltą albo że powinienem zostać wcześniej przerzucony do Iranu, by pomagać teraz w misji na miejscu, zamiast zostać odsuniętym do pracy za biurkiem. Razem z Char-liem był od nas tylko jeden oficer marynarki - komandor, który zgłosił się na kierowcę ciężarówki - i żadnych SEALsów. Cholera, ja też tam powinienem być. Błądziłem wzrokiem po pokoju zamglonym od dymu z papierosów. Uświadomiłem sobie wtedy, jakie napięcie musiało towarzyszyć ludziom w centrum kontroli lotów w Houston, kiedy moduł księżycowy odłączył się od statku Apollo 11 i zaczął opadać na powierzchnię Księżyca. Gdyby cokolwiek poszło nie tak, nic nie moglibyśmy zrobić. Gdyby coś stało się chłopakom z Deltą, my też nic nie moglibyśmy zrobić. Dopilem kawę, zgmiotłem kubek i rzuciłem

301

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

koszykarskiego haka do oddalonego o 3 metry kubła na śmieci w kolorze khaki. Wiuuut. Dwa punkty. Może to był omen.

Przez głośniki słyszeliśmy każdy ruch Deltą. Nasz bezpieczny system SATCOM - SATellite COMMunications - transmitował rozmowy Amerykanów. Nasłuch łączności irańskiej był prowadzony i przekazywany w czasie rzeczywistym przez podsłuchy NSA z Fort Meade. Przypominało to jakiś międzynarodowy show radiowy na żywo, ale bez ułatwień w postaci

spikerów czy scenariusza. Słyszeliśmy, jak Charlie wyrusza z Egiptu i dociera na Masirę. Słyszeliśmy, jak osiem naszych helikopterów RH-53D unosi się z pokładu USS Nimitz w Zatoce Omańskiej i leci na miejsce spotkania na Desert One, gdzie miały podjąć zespół ratowniczy lecący z Masiry samolotami transportowymi MC-130. Słyszeliśmy, jak z chwilą przekroczenia irańskiej linii brzegowej na zachód od Czabaharu pierwszy śmigłowiec melduje: „Nad lądem”.

Niemal natychmiast w Iranie rozległ się alarm. Z placówek wojskowych płynęły do Teheranu meldunki o inwazji. Mobilizowano jednostki Gwardii Rewolucyjnej. Myśliwce dostały rozkaz startu alarmowego. Co się, u diabła, stało? Jakim cudem dowiedzieli się o nas tak szybko?

Minęło długie pięć minut, zanim uświadomiliśmy sobie, że reakcja Irańczyków nie była wywołana przez nas - start alarmowy dotyczył kierunku północno-zachodniego, w pobliżu granicy z Irakiem. Wzdłuż południowej linii brzegowej, gdzie my działaliśmy, wszystko szło bez zarzutu.

Kolejny śmigłowiec zgłosił, że jest już nad lądem, po czym cała reszta dotarła do wybrzeża. Delta była już za połową drogi na Desert One na pokładzie swoich MC-130.

Jeszcze kiedy byli w powietrzu, zaczęły się pierwsze podejrzenia, że będą kłopoty. NSA przechwyciła meldunek, że jeden z helikopterów ma jakieś problemy mechaniczne. Przysłuchiwaliśmy się, jak uszkodzony samolot ląduje na pustyni przy wykorzystaniu autorotacji, a jego załogę podejmuje inny RH-53D. Dwa kolejne śmigłowce wpadły w burzę piaskową i znikły. Cóż, plan przewidywał stratę jednego lub dwóch

302

ROZDZIAŁ 1

śmigłowców. Ciągłe byliśmy w trybie SNAFU: situation normal, all fucked up, sytuacja normalna, wszystko się spieprzyło.

Pierwszy etap lądowania Delt na Desert One przebiegł gładko. Następnie prawo Murphyego naprawdę zaczęło działać. Obok miejsca lądowania pojawił się irański autobus. Został zatrzymany, a jego mniej więcej czterdziestu pięciu pasażerów zatrzymano. Jakiś czas później z przeciwnej strony pojawiła się cysterna z benzyną. Zatrzymano ją granatem wystrzelonym z LAW-a, ale kierowca uciekł do innego samochodu, który przejeżdżał tą samą drogą, i uciekł. Tymczasem z płonącej cysterny biły w pustynne niebo ponadtrzydziestometrowe płomienie. Przeszliśmy do etapu TARFU: things are really fucked up, teraz to naprawdę się spieprzyło.

- Co mamy zrobić z Irańczykami z autobusu? - zapytał ktoś na Desert One generała Vaughta w Egipcie.

Odpowiedziałam za niego:

- Zabić sukinsynów.

Koledzy popatrzyli na mnie z niedowierzaniem.

- Żartowałem - powiedziałem im. Ale wcale nie żartowałem.

Vaught przekazał przez radio rozkaz, żeby zabrać ich na pokład

C-130 i odstawić na miejsce po operacji.

Dochodząca z naszych głośników wymiana komunikatów świadczyła teraz o prawdziwym zamieszaniu wśród ich bezcielesnych dla nas nadawców. Nic nie działo się według planu. Było za dużo elementów. Samoloty były różnego typu. Piloci helikopterów mimo należytego przeszkolenia i tak czuli się nieswojo i niepewnie, wykonując misję dalekiego zasięgu nad pustynnym terenem. I ta karykaturalna wręcz, niepotrzebnie skomplikowana hierarchia służbowa: naziemny dowódca Air Force na Desert One odpowiadał przed dwugwiazdkowcem wojsk lądowych w Egipcie, którego decyzje krytykowały tabuny trój- i czte-rogwiazdkowców w Waszyngtonie. Było to złamaniem najważniejszej zasady operacji specjalnych, jaką znam: KISS - jak tylko się da, trzeba je upraszczać, a wtedy jest szansa, że coś się uda.

To, co się działo w Iranie, wprawiało mnie w naprawdę kiepski nastrój. A przecież musiało się udać. Przygotowywaliśmy to przez pięć

303

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

miesiący. To było jak połączenie Super Bowl i World Series, finałów futbolu amerykańskiego i baseballu - wszystko nastawione na jeden cel.

Przy biurku obok mnie agent CIA, którego będę nazywał Jones, pokręcił głową sfrustrowany.

- Wiesz, miałeś rację - powiedział.

Jones był staroświeckim wojownikiem, który walczył z rosnącą biurokracją CIA i jej dominującym za kadencji Stansfielda Turnera upodobaniem do nowinek technicznych. Dobrze się rozumieliśmy.

- To będzie jakaś kompletna klęska - dodał cicho.

Kiwnąłem głową, bo byłem tego samego zdania, chociaż nie sposób powiedzieć, jak bardzo obaj z Jonesem chcieliśmy, żeby to była nieprawda.

Na Desert One dotarło tylko sześć z ośmiu śmigłowców, a jedynie pięć nadawało się do dalszego lotu. Plan wymagał minimum sześciu, które miały dostarczyć Deltę w tajne miejsce, a następnie polecieć do Teheranu i przechwycić zakładników wraz z ratownikami. Charlie postanowił przerwać akcję. To była jego decyzja. Generał Vaught w Egipcie chciał, żeby kontynuował. Podobnego zdania byli inni, także ja. Ale nie krytykuje się człowieka na miejscu akcji. To była decyzja Charliego, a on postanowił odwołać operację. Kiedy ogłaszał, że wraca do bazy, jego głos brzmiał jak głos człowieka, który właśnie stracił najlepszego przyjaciela.

I wtedy naprawdę wszystko się posrało. Jeden z helikopterów, wykonując manewr w celu zakończenia tankowania przed długim lotem powrotnym na USS Nimitz, uderzył w samolot cysternę EC-130, do którego właśnie weszli chłopcy z grupy Blue z Delty. Nastąpił jednoczesny wybuch śmigłowca i samolotu: była to potężna kula ognia. Misja całkowicie przeszła w fazę FUBAR, fucked up beyond all repair, spieprzyło się tak, że choćby skały srały, już nic się nie da zrobić.

Z zaciśniętymi pięściami, odrętwiali w pełnym grozy milczeniu, słuchaliśmy krzyków i zamieszania, kiedy ci dzielni mężczyźni płonęli żywcem. Niektórzy z nas przeżykali ły. W końcu po trwających dla nas całą wieczność wołaniach niktających w chaosie wybuchów i wstrząsów

304

ROZDZIAŁ 1

usłyszeliśmy, jak pozostałe samoloty C-130 startują i pozostali przy życiu żołnierze Delty odlatują z powrotem na Masirę.

Gdybym powiedział, że w tym zadymionym, gęstym od ciszy pomieszczeniu siedzieliśmy wszyscy jak ogłuszeni, byłoby to zdecydowane niedopowiedzenie. To była rzecz nie do pojęcia. Właśnie zawaliliśmy operację, która była planowana od prawie pół roku i pochłonęła miliardy dolarów. I nie było żadnego sposobu, żeby to naprawić. Stany Zjednoczone miały bardzo długo podnosić się po ciosie, jaki czekał je ze strony światowej opinii publicznej.

W rozgrywce z bandą terrorystów w szmatach na głowach rzekomo dominujące w świecie supermocarstwo właśnie trafiło do siatki z pierwszej piłki - tyle że strzeliliśmy tego gola samym sobie. Bye-bye, au revoir, ciao, aloha, adios, sayonara. Żadnego jutra nie będzie.

Szczerze mówiąc, nie pamiętam zbyt wiele z dalszej części tej nocy. Oczywiście, była jeszcze praca do wykonania. Ratowanie: na przykład ściągnięcie z powrotem agentów pozostawionych w Teheranie. Ale nie przypominam sobie właściwie ani słowa z tego, co mówiliśmy, ani też co kto robił. Pamiętam, że najchętniej roztrzaskałbym komuś łeb o ścianę, tyle że nie bardzo mogłem ustalić, czyj łeb chciałem tak rozwalić.

Nawet śmierć Rishera nie wstrząsnęła mną tak strasznie jak fiasko na Desert One. Risher był sam sobie winien - zabiła go własna lekkomyślność. A poza tym to się stało podczas bitwy. Podczas bitwy ludzie giną. Na Desert One my wszyscy mieliśmy udział w śmierci ludzi, którzy zginęli bez najmniejszej przyczyny. Ci dzielni mężczyźni polegli, zanim mogli zrobić to, do czego zostali wyszkoleni.

Spieprzyliśmy kompletnie wszystko od góry do dołu. Jedna wielka, potwornie wielka megakatastrofa.

Rozdział 17

Gdyby to był film, ścieżka dźwiękowa wprowadziłaby widzów w podniosły nastrój melodią The Impossible Dream z Człowieka z La Manchy, waleczni żołnierze powstałoby z popiołów,

ruszyliby w bój i jeszcze by zwyciężyli. W rzeczywistości tak się nie dzieje. W rzeczywistości żołnierze giną. W rzeczywistości bogowie na Kapitolu i w Białym Domu żądają ofiar z ludzi. Wobec tego Charlie Beckwith i Jim Vaught zostali złożeni na ołtarzu przez Daveya Jonesa i resztę najwyższego dowództwa, chociaż to wcale nie oni byli odpowiedzialni za fiasko.

Charlie nie był politykiem i nie zorientował się, co się dzieje, zanim było za późno. Spotkałem go w sektorze E jakiś tydzień po Desert One. Szedł powoli korytarzem, patrzył zamroczonym, błędnym wzrokiem.

- Dick - powiedział, wskazując palcem kancelarię JCS - ci goście właśnie mnie stamtąd wyrzucili.

To doświadczenie było także dla mnie ważnym momentem, który wiele mnie nauczył. Widziałem, jak rozpruto brzuch Charliemu Beck-withowi, dobremu i twardemu człowiekowi, który bez wahania położył na szali własne życie, bo wierzył w swoją misję i w swoich ludzi, ale nie dano mu szansy zrobić tego tak, jak chciał. A potem, zabrawszy

306

ROZDZIAŁ 17

mu większość uprawnień w zakresie dowodzenia i kontroli, wielka biurokratyczna machina przerzuciła na niego odpowiedzialność za własne błędy.

„No - usłyszałem wewnętrzny głos, który zawsze brzmiał jak warczący Everett E. Barrett - Marcinko, ty dupku z gównem zamiast mózgu i drętowymi jajami, świrze jeden, jeśli kiedykolwiek dadzą ci podobną okazję, to udupią cię dokładnie tak samo, jak udupili Charliego Beckwitha”.

I chociaż nikt nie śpiewał The Impossible Dream (ani niczego innego zresztą), 26 kwietnia 1980 roku, zaledwie dwa dni po Desert One, zaczęły się prace nad operacjami „Snow Bird” („Śnieżny Ptak”) i „Honey Badger” („Miodożer”), które stanowiły drugi zestaw planów odbicia amerykańskich zakładników w Iranie.

Równocześnie^{na} rozkaz sekretarza obrony Harolda Browna zorganizowano Połączone Siły Operacyjne, JTF - Joint Task Force. Miały być upoważnione do planowania i prowadzenia operacji wojskowych przeciwko działaniom terrorystycznym wymierzonym w Stany Zjednoczone, ich interesy lub obywateli. W skład JTF mieli wejść żołnierze wojsk lądowych, marynarki wojennej i sił powietrznych, ale reprezentanci poszczególnych rodzajów sił zbrojnych mieli zostać wyłączeni z normalnej administracyjnej hierarchii służbowej, a podlegać zamiast tego bezpośrednio generałowi wojsk lądowych w Fort Bragg w Karolinie Północnej.

Dla sił zbrojnych był to pomysł dość radykalny. Oznaczał, że zamiast sytuacji, w której każdy rodzaj wojsk działa oddzielnie, a często w bezpośredniej wzajemnej rywalizacji z innymi, oddziały przydzielone teraz do JTF miały działać razem. Dowodzenie i kontrola miały zostać

połączone. Lewa ręka miała wiedzieć, co robi prawa. Albo - jak uczyłem swoje plutony SEALsów w Wietnamie - miała obowiązywać integralność oddziału. To dopiero była rewolucyjna idea!

Zostałem przydzielony do JTF jako oficer marynarki do zadań specjalnych i pomagałem w opracowaniu pierwotnych sformułowań mających określić misję i organizację nowych sił. Pracowałem w gabinecie

307

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

znajdującym się w podziemiach Pentagonu, co - biorąc pod uwagę nastrój panujący wtedy w budynku - całkiem mi odpowiadało.

Trzy piętra nade mną Charlie Beckwith również brał udział w tworzeniu projektu JTF. Połączone dowództwo operacji specjalnych było od lat jego marzeniem. Lojalny wobec Special Forces wojsk lądowych, Charlie oparł swoją wizję JTF na wyjątkowych umiejętnościach Delta. Ale ponieważ był także realistą, szybko zrozumiał, że JTF będzie potrzebować również SEALsów, kiedy będą atakowane cele morskie lub nadmorskie: tankowce, statki pasażerskie oraz obiekty wojskowe takie jak stocznie marynarki wojennej, lotniskowce i okręty podwodne.

Ja również uważałem, że trzeba włączyć SEALsów do JTF, ale nie jako dodatkowy element podległy zwierzchnictwu innej jednostki. Byłem przekonany, że do sprawnego funkcjonowania JTF potrzebny będzie cały team SEALsów. Wobec tego kiedy w maju 1980 roku przez moje biurko przechodził pierwszy projekt dokumentacji dotyczącej obsady stanowisk, delikatnie zmieniłem sformułowania Chargin' Char-liego. W wersji, którą dostałem, fragment mówiący o zatrudnieniu uwzględniał potrzebę pewnej grupy („element”) SEALsów. Zamalowałem korektorem słowo „element” i w jego miejsce wpisałem słowo „command” („jednostka”).

Różnica między tymi dwoma słowami była olbrzymia. Grupa SEALsów byłaby niewielka - jeden lub dwa plutony - i stałaby się morskim oddziałem pomocniczym Delta Force, co sprawiłoby, że marynarka zostałaby zepchnięta na pozycję służebną wobec wojsk lądowych. Nie mogłem do tego dopuścić. Bo wprawdzie ideą powstania JTF było zmniejszenie rywalizacji między poszczególnymi rodzajami sił zbrojnych, to jednak tu w grę wchodziło pewne instytucjonalne ego i duma marynarki - i nie miało dla mnie znaczenia, co może sobie uważać sekretarz obrony ani ktokolwiek inny.

Jednostka SEALsów oznaczała samodzielną część związku taktycznego z własnym dowódcą. Jednostka SEALsów stałaby się w JTF równorzędnym partnerem z ramienia marynarki obok Delta Force

308

ROZDZIAŁ 17

z ramienia sił lądowych i First Special Operations Wing z ramienia wojsk lotniczych.

Przesłałem projekt dalej. Kiedy ponownie wrócił na moje biurko, sformułowanie „jednostka SEALsów” nadal tam było. W połowie czerwca ostateczny projekt dokumentacji JTF miał być głosowany na forum Kolegium Połączonych Szefów Sztabów. Gdyby został zatwierdzony, co było w zasadzie pewne, zostałyby rozesłane jako obowiązujące do wszystkich najważniejszych organów dowodzenia, jak również do szefów agencji wywiadu wojskowego. Nowa jednostka SEALsów została wryta w kamieniu.

Oczywiście, kiedy dokonywałem tej redakcyjnej zmiany, spowodowałem powstanie pewnego małego, maleńkiego problemu: nie istniała jeszcze żadna jednostka SEALsów, która mogłaby stać się częścią JTF. Dlatego zanim pjan wszedł w życie, musiałem tę jednostkę stworzyć.

W związku z tym pojawiło się pytanie, którzy SEALsi powinni znaleźć się w JTF. Marynarka miała już wdrożone specjalistyczne szkolenie antyterrorystyczne (AT) dla SEALsów. Na Zachodnim Wybrzeżu cztery z dwunastu plutonów SEAL Team One przeszły szkolenie AT. Na Wschodnim Wybrzeżu SEAL Team Two wydzielił dwa ze swoich dziesięciu plutonów do działań AT. Młody komandor podporucznik, którego będę nazywał Paul Henley, oficer prowadzący w Teamie Two program AT, nazwał swoje plutony antyterrorystyczne MOB-6, czyli MOBility-6.

Mimo że na Zachodnim Wybrzeżu przeszkolono w zakresie AT więcej SEALsów niż na Wschodnim Wybrzeżu, operacje AT Paula Henleya były lepiej planowane i wykonywane niż cokolwiek, co robiono na Zachodnim Wybrzeżu. Jedną z przyczyn stanowiło to, że w SEAL Team One operatorzy po ukończeniu szkolenia wracali do macierzystych plutonów. Na Wschodnim Wybrzeżu MOB-6 funkcjonował przez cały czas jako jednostka. To mi się podobało. Znaczyło to, że MOB-6 dba o integralność oddziału.

Poza tym ponieważ SEAL Team Two działał przede wszystkim (choćby bynajmniej nie wyłącznie) w krajach NATO, MOB-6 przeprowadzał

309

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

wspólne ćwiczenia z brytyjską Special Boat Section (SBS), niemiecką Grenzschutzgruppe 9 (GSG 9), francuską Groupe d'Intervention de la Gendarmerie Nationale (GIGN), włoską Gruppo di Intervento Speciale (GIS), pływającymi bojowymi z Fromandskorpset Duńskiej Królewskiej Marynarki Wojennej, jak również z oddziałami AT z takich krajów, jak Turcja, Hiszpania i Belgia. To także mi się podobało.

Na Zachodnim Wybrzeżu szkolenie AT skupiało się głównie na umiejętnościach strzeleckich. Dowódca MOB-6 Paul Henley także dbał

o doskonalenie tych umiejętności u swoich ludzi. Ale w odróżnieniu od SEALsów z Zachodniego Wybrzeża jego plutony MOB-6 zajmowały się też abordażem płynących okrętów u boku zespołów SBS. Eksperymentowały ze wspinaczką na platformach

wiertniczych na Morzu Północnym. Ćwiczyły odbijanie zakładników i neutralizowanie porywaczy. Henley szkolił swoich ludzi tak, jak ja bym to robił, gdybym nadal był dowódcą w Teamie Two. Ale bez względu na to, jak świetni by byli, i tak w MOB-6 były tylko dwa plutony. Do utworzenia rdzenia nowej jednostki potrzebowiałem przynajmniej sześciu. Oznaczało to, że cztery plutony musiały powstać spośród SEALsów z Zachodniego Wybrzeża albo z kadry SEAL Team Two spoza MOB-6. Dowódcom ani trochę by się to nie spodobało. Ale tego właśnie potrzebowaliśmy: sześciu plutonów niebezpiecznych sukinsynów. A wtedy terroryści zaczęliby dostawać w dupę.

Porobiłem trochę obliczeń, zaplanowałem mnóstwo intryg, po czym wziąłem się ostro do pracy: zacząłem pisać notatkę służbową zawierającą zarys pomysłu nowej jednostki SEALsów wyszkolonej specjalnie do walki z terrorystami w środowisku morskim. Przez trzy dni ciągle przepisywałem tekst na nowo, aż w końcu świecił jak moje wypucowane na wysoki połysk wojskowe buty Świra.

Mój formalny szef komandor Jim Baker był tak przyzwyczajony do wycieczek swojego podwładnego w świat tajnych projektów i SpecWar, że wypracował na te okazje specjalny gag: zasłaniał sobie oczy rękami

1 popatrywał przez szpary między palcami na to, co piszę.

310

ROZDZIAŁ 17

- O Boże - mówił. - Richard, co ty mi tu robisz? Pokaż. - A jak tylko popatrzył przez chwilę na to, co napisałem, znowu zakrywał oczy. - Nie chcę tego widzieć, nie chcę nic wiedzieć.

- To co zrobimy z tym niewidzialnym i nieznanym nikomu dokumentem, który zawiera propozycje morderstw i okaleczeń? - pytałem zawsze uprzejmie.

- Podrób na nim mój akcept i poślij do góry.

I pokładaliśmy się ze śmiechu.

Ale treść tej notatki zachowałem dla siebie. Komandor Baker zaszedł za moje biurko i próbował zajrzeć, ale nie dopuściłem do tego. Odwróciłem kartki, zanim zdążył cokolwiek zobaczyć, uniosłem się na krześle i włożyłem sobie dokument pod siedzenie.

- Ty brutalu - powiedział, próbując zsunąć mnie na bok. - Jestem wyższy stopniem. Zrób mi tu miejsce.

Bezradnie wzruszyłem ramionami.

- Masz trzy gwiazdki?

- Richard...

- A jadłeś kiedyś kobrę?
- Ale Richard...
- Jim, te materiały mogą czytać tylko ludzie, którzy A: mają trzy gwiazdki na pagonie, albo B: jedli kobrę. - Zamachałem do niego kartą tytułową. - Rozumiesz?

Baker wrócił do swojego biurka.

- Kiedyś dostanę przez ciebie zawału, Richard.

Patrzył, jak wsuwam swoje pisemko do teczki „tajne przez poufne”. Z przodu i z tyłu była oznaczona ukośnym paskiem czterocentymetrowej szerokości w jaskrawofioletowym kolorze, przypominającym dym z granatu. Szef był do tego przyzwyczajony. Spora część mojej pracy wiązała się ze szpiegostwem.

- A, rozumiem: to taaakie materiały.

Mrugnąłem do niego i pomachałem teczką w jego kierunku.

- Zgadza się, komandorze. Mógłbym ci powiedzieć, co jest w środku, ale wtedy musiałbym cię zabić.

311

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

Zrobił się czerwony jak burak i zachichotał:

- O Boże, o Boże, okej, okej, okej, okej, okej. Nie chcę nic wiedzieć. Nigdy cię nie widziałem. Nie wiem nawet, jak się nazywasz.

Ścisnąłem teczkę pod pachą jak piłkę w futbolu amerykańskim i puściłem się biegiem, pokonując pięć pięter po schodach, po czym stukając butami po marmurowej posadzce, ruszyłem na trzecim piętrze w głąb korytarza sektora E.

Tuż przed wejściem do kancelarii Billa Crowea zatrzymałem się, żeby złapać oddech. Właśnie zamierzałem rozegrać partię pokera o bardzo wysoką stawkę i chciałem wyglądać na opanowanego. Crowe był w tamtym czasie zastępcą szefa operacji morskich do spraw planowania i strategii. Mimo że był podwładnym wiceszefa operacji morskich admirała Jamesa Watkina, zajął jego miejsce jako najbliższy i najbardziej zaufany doradca szefa operacji morskich (CNO), którym był Thomas Hayward. Było to naturalne: Crowe prowadził operacje, a Watkins był głównie administratorem. Dlatego kontakty Billa Crowea z CNO przypominały raczej relację szefa sztabu i dowódcy, która wymaga ciągłych rozmów, niż bardziej formalny stosunek służbowy zastępcy administracyjnego. Bez względu na przyczyny tego stanu rzeczy plotki krążące w Pentagonie mówiły, że Crowe zastąpił w zasadzie Watkina jako człowiek numer jeden CNO. Jeśli chciałem uzyskać dla swojego planu błogosławieństwo CNO, to najpierw musiałem zdobyć akcept Billa Crowea.

Otworzyłem drzwi do kancelarii Crowea. Jeden z jego adiutantów, komandor, uniósł wzrok znad biurka w głębi pomieszczenia. Pomachałem teczką w jego stronę, żeby zobaczył charakterystyczny fioletowy pasek.

- Muszę się zobaczyć ze starym. Tajne i tak dalej.

Dał znak ręką, żebym wchodził. Wśliznąłem się do kajuty admirała i zamknąłem za sobą ciężkie drzwi.

Crowe spojrzął znad biurka.

- Chodź, Dick. - Wskazał mi stojące vis-a-vis krzesło. - Kłapnij sobie. Co ci tam dzisiaj chodzi po głowie?

312

ROZDZIAŁ 17

Podsunałem mu teczkę.

Admirał Crowe wziął wąskie okulary do czytania, wsunął je głęboko na nos, wyciągnął nogi na biurko, położył sobie dokument na brzuchu i czytał powoli, marszcząc brwi podczas zapoznawania się z kolejnymi stronami.

Podniósł wzrok.

- Czy ktoś o tym wie?

- Nie, sir, pracowałem nad tym sam.

Odchrząknął i wrócił do lektury. Ja zajmowałem się w tym czasie przyglądaniem się ogromnej kolekcji zajmującej kilka ładnych półek za biurkiem Crowea.

Wreszcie doznał końca. Powoli podniósł okulary, aż znalazły się na wysokości czoła tuż nad brwiami. Przypatrywał mi się uważnie z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Po czym rozpromienił się w szerokim uśmiechu.

- Bardzo mi się to podoba. Wojska lądowe dostaną cholernego zawału. I zapewniam cię, że CNO też się to bardzo spodoba. - Spojrzął na mnie i trzasnął dłonią w biurko dla podkreślenia. - Zrób to, Dick, rozkręć to.

Opisałem w tym dokumencie nową jednostkę SEALsów przeznaczoną wyłącznie do działań antyterrorystycznych. Obok Delt i jednostek specjalnych sił lotniczych miała się ona stać równorzędną częścią JTF z zakresem działalności obejmującym środowisko morskie na całym świecie. Ale też nie uważałem, że nasze zadanie kończy się na poziomie wody wysokiej. Dopóki nosimy wodę w manierkach, jesteśmy w środowisku morskim - a w każdym razie jak dla mnie wystarczająco blisko.

Nazwałem tę jednostkę SEAL Team Six. Six dlatego, że było już sześć plutonów, które otrzymały przeszkolenie AT. A także dlatego, że taka liczba kazałaby Sowiecom myśleć, że

gdzieś jest jeszcze pięć innych teamów SEALsów, podczas gdy faktycznie były tylko dwa. Pieprzcie się, Ruscy.

313

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

SEAL Team Six miał być grupą gotowych na wszystko siedemdziesięciu pięciu szeregowych i podoficerów oraz piętnastu oficerów. Mieli wyglądać jak cywile. Obowiązywać miały zmodyfikowane standardy wyglądu - długie włosy, kolczyki, wąsy i brody - żeby w każdym miejscu na świecie mogli uchodzić za nierzucających się w oczy robotników. Stawiałem na znajomość języków obcych. W odróżnieniu od SEAL Team One oraz Two, których działalność była ograniczona geograficznie, SEAL Team Six miał być w ciągu czterech godzin od wezwania gotowy do wysłania z bazy w Wirginii w dowolny punkt ziemskiego globu.

Pierwotnym zadaniem Teamu Six było włączenie się w drugą operację uwolnienia zakładników, która była planowana, chociaż jeszcze nie miała wyznaczonego terminu. Team miał zostać potajemnie przerzucony do Iranu, gdzie miał zniszczyć określone irańskie cele wojskowe tuż przed drugą próbą odbicia zakładników podjętą przez Delta Force. Ale docelowo zadania antyterrorystyczne SEAL Team Six miały być dużo szersze. Jak napisałem w swoim projekcie, konieczne było, by operatorzy zostali przeszkoleni do działań w praktycznie każdym morskim i nadmorskim scenariuszu.

Moja propozycja zawierała śmiało stwierdzenie, że SEAL Team Six osiągnie gotowość do działania w ciągu sześciu miesięcy od chwili, kiedy dostaniemy zgodę na rozpoczęcie procesu selekcji. Sześć miesięcy dla dziewięćdziesięciu ludzi na to, by z poziomu odpowiadającego leżeniu na brzuchu dojść do prędkości przekraczającej barierę dźwięku. Byłem przekonany, że to da się zrobić. Sporządziłem nawet kalendarz pierwszego roku szkolenia SEAL Team Six. Dwanaście miesięcy i trzysta sześćdziesiąt pięć dni rozpisanych na papierze. Tydzień zajęło mi wciśnięcie czterystu ośmiu dni szkolenia w te trzysta sześćdziesiąt pięć przegródek. Postanowiłem, że ludzie będą spać w samolotach.

Koniec wiosny i początek lata 1980 roku minęły mi na wygładzaniu logistycznych szczegółów, wymyślaniu budżetu i sporządzaniu wykazów wyposażenia, a także przemyśliwaniu tylu drobiazgow, ile tylko byłem w stanie ogarnąć. Projekt SEAL Team Six był poufny - ściśle tajny -i w związku z tym pracowałem nad nim w biurokratycznej próżni. Mimo

314

ROZDZIAŁ 17

to w środowisku SpecWar marynarki prawdopodobnie krążyły pogłoski, że coś się szykuje. Po pracy w Pentagonie zacząłem jeździć do Little Creek: trzy i pół godziny w jedną stronę. Moje wizyty były nieoficjalne. Spotykałem się ze starszymi chorążymi z SEAL Team Two i

pytałem ich przy piwie: „Jak by pan to zrobił, szefie?”. Albo: „Gdyby miał pan zrobić to i to, jak by to najlepiej zrobić tak, żeby nikt nie zauważył?”

Wiele wieczorów spędziłem w kuchni u dawnego znajomego, starszego chorążego marynarki o imieniu Mac, którego znałem od czasu, kiedy razem przeszliśmy szkolenie w UDT. Pracowaliśmy we trzech: Mac, młodszy chorąży, którego nazywałem Fingers, i ja. Na poplamionych kawą żółtych kartkach w linię spisywaliśmy wszystko, co było potrzebne nowej jednostce SEALsów z punktu widzenia logistyki. Robiliśmy też przymiarki do wstępnego budżetu i rysowaliśmy schematy organizacyjne orjzl sporządzaliśmy listy zapotrzebowania na nowe cudowne zabawki dla naszych żołnierzy. Opracowywaliśmy cykl szkoleń dla dwóch zespołów - każdy złożony z trzech plutonów - obejmujący nieustanny harmonogram strzelania, skoków spadochronowych, nurkowania i ćwiczeń AT z zakresu ratowania zakładników. Gdybyśmy mieli ruszyć z Teamem Six, postanowiłem, że Mac powinien zostać starszym chorążym sztabowym naszej jednostki. Był twardym, żylastym bydlakiem. Jego zgryźliwy, często drwiący styl zarządzania utrzymywałby żołnierzy w ryzach, a jego długie doświadczenie w teamach dałoby gwarancję, że sprzęt się nie będzie marnował. Chciałem mieć też na pokładzie Fingersa. Obaj powiedzieli, że bardzo by chcieli przyłączyć się do zabawy, chociaż Mac strasznie narzekał na skoki spadochronowe. Nigdy nie mógł pojąć, dlaczego ma wyskakiwać z całkowicie sprawnego samolotu, i okropnie tego nie lubił.

Z dużym zainteresowaniem słuchałem też o tym, co zrobił Paul Henley ze swoim MOB-6. Henley dostał właśnie awans na komandora podporucznika i przygotowywał się do przeprowadzki na Zachodnie Wybrzeże, gdzie miał dostać przydział na szefa sztabu jednostki szkoleniowej BUD/S w Coronado. Odwiedził mnie w mojej podziemnej kryjówce tuż przed wspólnym z żoną Marilyn wyjazdem do Kalifornii.

315

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

Przyjechał do nas na północ spotkać się z kierownictwem działu kadr w BUPERS-ie i popsioczyć na swój nowy przydział.

Nigdy nie pracowałem z Paułem, ale go lubiłem. Zdecydowałem już, że byłby idealnym szefem sztabu dla SEAL Team Six. Paul to przykład prawdziwego sukcesu życiowego: absolwent Akademii Marynarki Wojennej, który swoją drogę do niej zaczął w Fishtown, biednej, niebezpiecznej irlandzkiej dzielnicy Filadelfii.

Był niewysokim brunetem o ostrych rysach, ale mimo koguciej wagi lepiej było z nim nie zadzierać. Popelniał błąd, bo kiedy był na pierwszym roku w Annapolis, przyznał się, że chce zostać frogmanem. Wykluczone! Absolwenci akademii, jak mu powiedziano, nie zostają zjadaczami węży. jeśli chcesz coś osiągnąć, idź na kapitana okrętu. Wobec tego po uzyskaniu w 1970 roku belek chorążego Paul został pokierowany tak, żeby mógł zostać kapitanem okrętu.

Ale i tak dostał się na BUD/S. Co więcej, nie słyszałem jeszcze lepszego powodu, dla którego można się tam dostać, niż ten, dla którego trafił tam Paul: przez burdę w barze. Pewnej nocy był w klubie dla młodszych oficerów o nazwie Datum i wmieszał się w bójkę między jakimś komandorem porucznikiem, który wypił odrobinę za dużo, a dwoma wielkimi jak szafy agresywnymi podporucznikami, którzy postanowili wyklepać komandorowi porucznikowi parę nowych belek na twarzy. Paul powalił obu napastników na podłogę i wyprowadził komandora porucznika z klubu, zanim zjawił się patrol żandarmerii morskiej. Nim minęły trzy miesiące, był na BUD/S - dzięki temu, że komandor porucznik zadzwonił do jednego czy drugiego przyjaciela na tym samym szczeblu.

Jak na kogoś, kto nie spędził w SEALsach nawet dziesięciu lat, Paul zrobił już sporo dobrego. Był znakomitym spadochroniarzem - należał do zespołu skoczków spadochronowych marynarki. Przez dwa lata i dwa miesiące służył wraz z Kampfschwimmers, zachodniemiecką kompanią pływonurków bojowych z bazą w Eckernförde nad Morzem Bałtyckim, i płynnie mówił po niemiecku. Elokwentny, świetnie radzący sobie z ludźmi i bardzo szanowany - prawdopodobnie dostałby stanowisko dowódcy zaraz po otrzymaniu awansu na komandora

316

ROZDZIAŁ 17

porucznika. Ale Paul miał mentalność wojownika i nie mógł znieść myśli o dwuletnim przydziale, który miał go przykuć do biurka i zmusić do pisania raportów o jakichś kretyńskich żołnierzach, którzy właśnie spadli z pała i skręcili kostkę.

Był ostatni tydzień czerwca. Paul siedział teraz w moim podziemnym biurze i żalił się na swój nieszczęsny los.

- Co ja mam, do diabła, robić, Dick?

Wzruszyłem ramionami. Nie chciałem mu nic mówić o SEAL Team Six - na razie.

- Jedź tam i zajmij się robotą.

- A co z MOB-6?

- W jakim sensie?

- Właśnie kończyłem to dopracowywać. Właśnie zaczynaliśmy dochodzić do paru dobrych rozwiązań. Mówiłem ci o taktyce abordażu SBS? Abordaż pływającego okrętu. Trochę to przerobiłem i...

Przerwałem mu.

- Słuchaj, chłopaku, przekazujesz MOB-6 świetnemu młodszemu oficerowi. Potraktuj to jako sposób na zapunktowanie.

Pojechał do Kalifornii, ale widać było, jak strasznie mu to było nie po drodze. Nie wiedział, jaką miałem dla niego niespodziankę, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem.

A „zgodnie z planem” znaczyło również to, że musiałem dokonać pewnych zmian we własnym terminarzu. Na rok akademicki 1980/1981 zostałem wybrany do dalszego kształcenia w National War College w Fort Leslie J. McNair. Zakwalifikowanie się do War College było w zasadzie wymogiem koniecznym do awansu na komandora porucznika, komandora, a następnie dalej w górę drabiny - do korpusu admirałskiego. Wykłada tam sama wybitna kadra. Za kolegów ma się „przeznaczoną do dowodzenia” elitę sił zbrojnych, Departamentu Stanu i CIA. Poza tym, że jest to luźniejszy rok akademicki, wolny od napiętego grafiku życia towarzyskiego, War College pozwala na nawiązanie więzi zawodowych, które ogromnie procentują w późniejszym okresie kariery, kiedy równie ważne jak to, co się wie, jest to, kogo się zna.

317

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

Przydałby mi się rok takiej luźniejszej zabawy. Podobnie Kathy. Nasze dzieci były już nastolatkami i nie potrzebowały jej stałej opieki, którą od tak dawna im zapewniała. Służyłem w marynarce prawie dwadzieścia dwa lata i na początku 1980 roku Kathy zaczęła mnie prosić, żebym pomyślał o przejściu na emeryturę. Rozumiałem, co może ją niepokoić: to było trochę tak, jakby zobowiązała się, że odsłuży jako żona marynarza dwadzieścia lat - ale nie była pewna, czy uda jej się dociągnąć do trzydziestu. Należało się tego spodziewać: trzydzieści lat to długi czas, jeśli się go przeżywa w nieustannym oddzieleniu emocjonalnym i fizycznym. Ale w głębi serca Kathy wiedziała też, że nie jestem jeszcze gotowy do przejścia na emeryturę, wobec tego rok w War College wydawał się idealnym kompromisem. To by były dwunastomiesięczne wakacje. Moglibyśmy się odprężyć, mieć wreszcie czas dla siebie i korzystać z uroków koktajli, pikników, wycieczek i innych atrakcji w Fort McNair.

Ale jeśli mam być szczerzy, to w mojej koncepcji SEAL Team Six nie kto inny, lecz ja sam byłem dowódcą tej jednostki, i nie byłbym szczęśliwy, gdyby mi się nie udało nim zostać. Rok akademicki w War College zaczynał się w sierpniu. Nic nie mówiąc Kathy, w ostatnim tygodniu czerwca poprosiłem o spotkanie z Billem Croweem.

- Mam pewien problem, admirał - powiedziałem.
- Śmiało, Dick.
- W przyszłym roku mam pojechać do War College.
- I tak powinieneś zrobić - przerwał mi. - Przyznaj, Dick: potrzebujesz odpoczynku. Rok w McNair bardzo dobrze ci zrobi.
- Na pewno. Ale jak pan wie, od paru tygodni pracuję nad tym pomysłem SEAL Team Six i nie wiemy jeszcze, kto będzie jego dowódcą. Od tego, kogo wybieriecie, może zależeć moja decyzja, czy podjąć tamte obowiązki.

- Myślę, że gdybyśmy zaczęli się rozglądać, to lista byłaby krótka i ty byś się na niej znalazł. Masz kwalifikacje do dowodzenia Teamem Six, Dick. Ale jeszcze nikt nie zaczął się zastanawiać nad wyborem potencjalnego dowódcy.

- Hmm, admirale, szczerze mówiąc, to chciałbym być na tej liście.

318

ROZDZIAŁ 17

- Nie wątpię. Z drugiej strony, już prawie dwa lata angażujesz się tu na całego, Dick. Może byłoby lepiej, gdybyś zamiast tego znalazł trochę czasu dla siebie i żony. Ciesz się urokami War College. Naucz ich czegoś o zjadaczach węży.

- Jeśli uważa pan, że powinienem pójść w tę stronę, admirale, to tak zrobię. Ale, sir, niedługo miną trzy lata, odkąd zajmuję się antyterroryzmem. Znam wszystko: od upadku szacha po Desert One.

- Wiem.

- Więc, sir, szczerze mówiąc, admirale, jak dotąd wszystko jest posrane, przynajmniej jeśli chodzi o SpecWar. Charliemu Beckwithowi wycięli taki numer, bo ci, którzy go otaczali, nie mieli bladego pojęcia, o co chodzi w SpecWar ani jak wykorzystać tych żołnierzy. Szlag, admirale, takie kretyńskie myślenie panuje od czasu Wietnamu. Moich SEALsów wysyłał[^]do walki zawsze faceci bez jaj, którzy gównie wiedzieli o tym, co i jak robimy. Może nie mam racji, może to moje cholerne ego, ale uważam, że następnym razem potrafiłbym zrobić to inaczej. Znam ludzi. Znam środowisko...

Uciszył mnie gestem dłoni.

- Wiem, wiem, Dick. Ale my naprawdę jeszcze w ogóle o tym nie myśleliśmy. Teraz, skoro wiem, że jesteś tym zainteresowany, podniosę tę kwestię. Tylko pamiętaj: ostateczna decyzja w sprawie dowódcy dla SEAL Team Six należy do szefa operacji morskich, a nie do mnie.

- Czy uważa pan, że powinienem porozmawiać z admirałem Haywardem, sir?

Przetarł szkła w okularach, przyjrzał im się uważnie, po czym włożył okulary z powrotem na nos.

- Nie zaszkodzi, jeśli poruszysz tę sprawę. - Patrzył na mnie zagadkowo spod przymrużonych powiek. - Ale, Dick...

-Sir?

- Myślę, że się zrozumiemy: tylko żeby ci się coś nie wymknęło w obecności admirała Haywarda.

Roześmiałem się, salutując.

- Tak jest.

319CZŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

Ale zdawałem sobie sprawę, że Crowe mówi poważnie. Jeśli chciałem dowodzić Teamem Six - a chciałem tego bardziej niż czeokolwiek w całym swoim życiu - to wiedziałem, że będę miał tylko jedną szansę na poproszenie admirała Haywarda o tę robotę.

Starannie przygotowałem każdy ruch i każde słowo, konstruuując w myślach cały szereg scenariuszy, aż zyskałem pewność, że o cokolwiek Hayward mnie zapyta, zareaguję właściwie. Nim minął tydzień, zostałem poproszony o zanieśenie przesyłki z danymi wywiadowczymi do kajuty CNO. To była okazja, na którą czekałem.

Dostarczyłem teczkę, po czym stanąłem przed jego biurkiem. CNO był wysokim, wychudłym pilotem lotnictwa marynarki. Zawsze wyglądał, jakby brakowało mu ogromnych lotniczych okularów przeciwsłonecznych. Wielki, dobroduszny, łysiejący Bill Crowe emanował swojskością. Od Toma Haywarda biła oficjalność.

- Najmocniej przepraszam, sir.

Podniósł wzrok i spojrzał na mnie.

-Tak?

- Proszę wybaczyć to najście, sir, ale pomyślałem, że zapytam, czy nie zechciałby pan wyświadczyć mi wielkiej osobistej przysługi i udzielić mi pewnej porady.

Miałem nadzieję, że takie zagajenie podziela na CNO. Zazwyczaj admirałowie uwielbiają udzielać porad. Ale Tom Hayward nie był zwyczajnym admirałem. Był jedyny w swoim rodzaju w całej marynarce. W gabinecie CNO nie przebywało się po to, żeby paplać. Moje zadanie polegało na dostarczeniu mu materiałów oraz szybkim i cichym wyjściu.

- Jasne, Dick.

Wpatrywał się we mnie, a ja stałem na baczność. Nie zachęcił mnie, bym usiadł.

- Sir - powiedziałem spokojnie - nie wiem, czy jest to panu wiadome, ale otrzymałem rozkaz zgłoszenia się w sierpniu do National War College.

Miałem nadzieję, że nie zdradzi mnie walące serce. Czuję, jak krew pulsuje mi w skroniach, na przegubach, w klatce piersiowej.

ROZDZIAŁ 17

- Nie wiedziałem. Gratuluję.

- Dziękuję, sir. Jak pan wie, jest też to nowe stanowisko dowódcy, w SEAL Team Six. I tak sobie pomyślałem, sir, czy nie zechciałby mi pan powiedzieć, czy będę ewentualnie brany

pod uwagę jako kandydat. Jeśli jestem brany pod uwagę, to którego zadania powinienem pańskim zdaniem się podjąć? War College czy SEAL Team Six?

CNO siedział wygodnie w swoim fotelu z wysokim oparciem, a dłonie złożył w piramidkę.

- Wiem, jak ciężko pracujesz, Dick - powiedział. - Wiem, że jesteś narażony na mnóstwo stresu. I wiem, ile czasu w to wkładasz. - Nie spuszczał ze mnie wzroku. Miałem wrażenie, że namierza cel. - Jak twoja rodzina?

Dobre pytanie. Podtekst był jasny: czy moje małżeństwo wytrzyma jeszcze dwa lata nieustannej rozłąki, czy się rozpadnie? W zasadzie wiedziałem, że prawdopodobnie się rozpadnie - nasze relacje z Kathy już i tak nie były najlepsze - ale chciałem wykorzystać szansę na to stanowisko. Postanowiłem odeprzeć argument.

- No cóż, sir, ożeniłem się z marynarską żoną i mam dwoje marynarskich dzieci.

Brwi uniosły mu się minimalnie w górę i opadły z powrotem.

- To świetnie - powiedział. Na chwilę przerwał, po czym ciągnął dalej: - No cóż, Bill Crowe mi cię poleca, bo od dłuższego czasu zajmujesz się AT. Ale to będzie ciężka praca. Pytanie brzmi: Dick, które zadanie ty byś wolał?

Wystarczy, że poproszę, a dostanę tę robotę. Spłynął na mnie nieopisany spokój - ten sam spokój, który znałem z bitwy. Czas zwolnił. Chłonałem każdą milisekundę. Przez myśl przemknął mi szereg ludzi, którzy towarzyszyli mi w drodze do tego niewiarygodnego stanowiska. Ev Barrett. B.B. Witham. Eagle Gallagher, Jim Finley, Patches Watson i Ron Rodger z drużyny Bravo, mojego pierwszego pododdziału bojowego. Harry Humphries, Hoss Kuciński, Frank Scollise i Gordy Boyce z mojej cudownej, szalonej, zabójczej bandy - 8. plutonu. Na chwilę znalazłem się z powrotem w Chau Doc, trzymając w ramionach ciało

3

CZĘŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

Clarencea Rishera. Czy w tej nowej jednostce będą podobne sytuacje? Pewnie tak. Czy będę w stanie podjąć to wyzwanie? Czy wytrzymam tego rodzaju presję? Cholera, pewnie, że tak. Wiedziałem, że całe moje dotychczasowe życie było przygotowaniem do tej szansy jednej na milion: żeby znowu stać się prawdziwym wojownikiem - na czele jednostki, którą miałem stworzyć na swój obraz.

Popatrzyłem CNO prosto w oczy. Mówiłem spokojnie. Zachowałem oficjalną formę, bo tak wypada mówić do CNO.

- Sir, wie pan, że byłbym dumny, mogąc zostać pierwszym dowódcą Teamu Six. Stanowisko dowódcze to coś, o czym marzy każdy marynarz, a to stanowisko dowódcze byłoby na pewno dla mnie szczególne, ponieważ mam w jego powstaniu tak wielki udział.

CNO pokiwał głową.

- Mam nadzieję, że tak będzie, Dick. Chciałbym, żebyś został pierwszym dowódcą SEAL Team Six.

W mojej głowie rozpoczął się pokaz sztucznych ogni, prawdziwe obchody Dnia Niepodległości, ale nie dałem po sobie poznać, że wszystko we mnie wybucha.

- Bardzo panu dziękuję, sir. W takim razie sądzę, że War College nie wchodzi już w grę.

Wyciągnął do mnie rękę. Uścisnąłem ją, cofnąłem się i zasalutowałem.

- Dziękuję, sir.

Kiedy wyszedłem z kancelarii CNO, krzyknąłem tak głośno, że słyhać mnie było chyba w Little Creek. Pomknąłem jak wicher do końca korytarza, z poślizgiem wszedłem w zakręt i wpadłem do kancelarii Billa Crowea. Sekretarze i adiutanci nie zdążyli nawet zareagować, kiedy byłem już u niego za drzwiami. Nie powiedziałem ani słowa - pokazałem mu tylko uniesione kciuki.

Crowe spojrział na mnie z wielkim, szerokim, ciepłym uśmiechem, z którego odgadłem, że wcześniej porządnie przygotował mi grunt.

- Rozumiem, SEAL Team Six, że nic ci się nie wymknęło.

Rozdział 18

;

W lipcu 1980 roku w Little Creek odbywała się konferencja poświęcona SpecWar. Pojechałem na nią. Dużo słuchałem, niedużo mówiłem. Strasznie chciałem móc powiedzieć komodorom dowodzącym NAVSPECWARGRU ONE i TWO - Daveowi Schaibleowi w ONE i Tedowi Lyonowi w TWO - że tworzę nową jednostkę i że po 15 sierpnia przyjadę szukać u nich nowych ludzi. Ale CNO nakazał mi trzymać SEAL Team Six w tajemnicy. Zastosować się do tego polecenia nakazywały mi zarówno zdrowy rozsądek, jak i matematyka: Ted i Dave byli komandorami, a choćby nie wiem jak dodawać, to wszystkie ich belki razem wzięte nie będą równe czterem gwiazdkom.

Zacząłem uświadamiać sobie stopień zaangażowania marynarki w Team Six, kiedy pracowałem na budżecie nowej jednostki. Suma przeznaczona na amunicję ćwiczebną dla dziewięćdziesięciu ludzi SEAL Team Six była wyższa niż przydział funduszy na amunicję ćwiczebną dla całego Korpusu Piechoty Morskiej. Całkowity budżet dla SEAL Team Six na pierwszy rok był większy niż budżety SEALsów ze Wschodniego i z Zachodniego Wybrzeża razem wzięte - odpowiadał mniej więcej kosztowi dwóch myśliwców F-14.

323

CZŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

Ale pieniądze nic nie znaczą bez odpowiednich ludzi. 16 sierpnia, dzień po oficjalnym „stworzeniu” jednostki na papierze, pojechałem do Little Creek na pierwsze rozmowy kwalifikacyjne z potencjalnymi członkami teamu. Złożyłem kurtuazyjną wizytę komodorowi SpecWar Tedowi Lyonowi.

Ted nadal był tak samo nadęty jak wtedy, kiedy starliśmy się o plac apelowy w Little Creek. Niespecjalnie spodobał mu się mój wygląd. Zapuszczałem włosy i brodę, więc byłem nieprzeciętnie kudłaty. Zamiast wykrochmalonego munduru nosiłem jeansy, rozpiętą pod szyją koszulę z kołnierzykiem na guziki i sportową marynarkę. Moje wypucowane buty z czasów Świra dawno przeszły do historii. Zamiast nich na nogach miałem zniszczone adidas.

Klapanąłem na krzesło w jego spartańskim, utrzymanym w nienagannym porządku biurze.

- Doberek, Ted.

Zasalutował oficjalnie.

- Komandorze.

Najwyraźniej miał gorszy dzień. Wstałem i oddałem honory.

-Sir.

Może i powiedziałem „sir”, ale pomyślałem co innego.

Wyjaśniłem, co robię w Little Creek i że zaraz zaczynam rozmowy z potencjalnymi członkami teamu. Ted pokręcił głową.

- Nie, nie zaczynasz. Nie mam na ten temat żadnych papierów, Dick. A w odróżnieniu od niektórych ja robię wszystko zgodnie z przepisami. - I zaakcentował każdą sylabę, uderzając kostkami palców w biurko. - Zgod-nie z prze-pi-sa-mi.

Popatrzyłem na niego.

- Nie mówisz poważnie.

- Ależ jak najbardziej. Co ty sobie w ogóle myślisz? Że kim, do diabła, jesteś, żeby wpadać tu jak gdyby nigdy nic i robić zamieszanie? W tej jednostce nikt nie będzie reagował na tego rodzaju zachowania. My tu naprawdę przestrzegamy paru formalności. Więc od teraz, jeśli będziesz czegoś chciał, Dick, jeśli będziesz chciał czegokolwiek, Dick,

ROZDZIAŁ 18

daj mi to na piśmie. Prześlij to do przełożonych zwykłą drogą w hierarchii służbowej. Prześlij to do sztabu, który dokona oceny twojej propozycji. Jeśli sztab się zgodzi, to twoja sugestia zostanie posłana dalej w celu podjęcia stosownych działań.

- Dobra, bardzo ci jestem, k***a, wdzięczny, Ted.

- I nie mów do mnie w ten sposób. Już nie jest tak, że każdy z nas jest dowódcą własnej jednostki: teraz ja jestem twoim bezpośrednim przełożonym.

W rzeczywistości nim nie był. Nie miałem podlegać bezpośrednio Tedowi - on nie był częścią hierarchii służbowej Teamu Six. Ale zdaniem Teda wszyscy SEALsi na Wschodnim Wybrzeżu - włącznie z Teamem Six - znajdowali się w zakresie jego kompetencji administracyjnych. I postanowił zmusić mnie do posłuszeństwa. Nie był to ani czas, ani miejsce, żeby się z nim napięprzać. Więc zacisnąłem zęby, wstałem i zasalutowałem.

- Tak jest, komodorze. A zatem jakich papierów pan sobie życzy, sir, żebym mógł rozpocząć rozmowy kwalifikacyjne z potencjalną kadrą mojej nowej jednostki?

Ted się uśmiechnął.

- Wystarczy notatka służbowa od CNO wysłana za pośrednictwem CINCLANTFLT-a i SURFLANT-u do COMNAVSPECWARGRU. Jeśli uda ci się ją zdobyć.

- Coś ci powiem, Ted. Jest sobota. Idę z chłopakami na piwo. Wrócę w przyszłym tygodniu i pogadamy.

O 9.15 w następną środę jego wysokość komodor Edward Lyon III potrząsał z niedowierzaniem głową, czytając reprimendę od admirała Haywarda, którą wysłałem bezpośrednio na nazwisko Teda. Została przesłana dokładnie tak, jak to sobie zamówił: za pośrednictwem CINCLANTFLT-a (Commander-IN-Chief, AtLANTic FLeeT, głównodowodzącego Floty Atlantyckiej), SURFLANT-u (SURface Force AtLANTic, Dowództwa Sił Nawodnych Floty Atlantyckiej) i COMNAVSPECWARGRU (COMmander, NAVal SPECial WARfare GRoUp, dowództwa Grupy Sił Specjalnych Marynarki Wojennej).

3

CZĘŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

Sedno teleksu sprowadzało się do prostego komunikatu: „Zejdź z drogi Marcince, dupku, albo rozgniotę cię jak robaka. Daj mu wszystko, czego potrzebuje. Stosowne epitety. Uściski i ucałowania, admirał Thomas Hayward, szef operacji morskich”.

Nienawiść, z jaką Ted na mnie patrzył, była niewiarygodna. Nic dziwnego. Jego córka, która pracowała jako kelnerka w barze, widziała, jak przez cały weekend piję z wieloma SEALsami, i doniosła o tym tatusiowi, który zaczął nasze spotkanie od zbesztania mnie za rzekome naruszenie wytycznych dotyczących bezpieczeństwa operacji. Ale choć jego wzrok ciskał gromy, a usta miały oskarżenia, Ted nic nie mógł zrobić. Trzy godziny później przeprowadzałem rozmowy kwalifikacyjne z kandydatami do SEAL Team Six.

Spędziłem w Little Creek cztery dni na ocenie marynarzy z SEAL Team Two oraz z teamów UDT. Dla wielu z tych, którzy sześć lat wcześniej służyli pod moim dowództwem, był to szok. Pamiętali dowódcę pe-dancika, który strzygł się prawie do gołej skóry, wymagał od członków teamu golenia twarzy i kazał oficerom nosić wizytówki. Teraz o przyszłej pracy

rozmawiał z nimi gość wyglądający jak wilkołak i dający wyraźnie do zrozumienia, że powinni zapuścić włosy i przekłuć uszy.

Kogo szukałem? Strzelców, oczywiście. Jeśli nie potrafisz zabić bandyty, to cała reszta jest FUBAR. Drugie pytanie: jak najlepiej dostać się do miejsca, w którym siedzą bandyci? Nauczyła mnie tego wyspa Ilo-Ilo: nie ma sensu pukać grzecznie do drzwi, bo dostanie się kulkę - można przecież wyskoczyć na bandytów zniemacka od tyłu, tam gdzie się najmniej spodziewają, i zapakować im trochę ołowiu. A wybierać można spośród najrozmaitszych zabawnych sposobów zaskoczenia przeciwnika: można podpląć wpław albo łodzią, albo nadlecieć helikopterem, można się wspiąć z dołu albo zeskoczyć na spadochronie z góry.

Trzecie pytanie: jacy ludzie najłatwiej wślizną się przez tylne drzwi? Niewyróżniający się wyglądem robotnicy. Niechluje mający w ręku jakiś fach: kierowcy ciężarówek, operatorzy dźwigów, murarze, elektrycy, dokerzy. Ale nie szukałem byle jakich niechlujów.

Potrzebowałem niechlujów z motywacją, którzy zgodnie ze sloganem AVIS „starają się

ROZDZIAŁ 18

bardziej". Prześledziłem wyniki szkolenia BUD/S każdego kandydata, żeby zobaczyć, na którym miejscu każdy z nich uplasował się w swojej grupie. Zazwyczaj numer jeden przechodzi szkolenie spacerkiem, podczas gdy ten, który był siedemdziesiąty siódmy, prawdopodobnie spędził mnóstwo czasu w wodzie, nie lubił czołgać się w błocie i nie znosił wysadzania - ale nie odpuścił. Doświadczenie nauczyło mnie, że guźce, które są wytrzymałe, w walce okazują się lepsze niż naturalnie szybkie gazele.

Zakończyłem selekcję: miałem niecałą połowę jednostki. Pozostała część Teamu Six miała pochodzić z Kalifornii. Zadzwoiłem do Paula Henleya w Coronado.

- Paul, co słychać? Jak robota szefa sztabu?
- Nie jest źle. Takie życie.

Zachichotałem, i

- Świetnie. A co byś powiedział na robotę u mnie, jako mój szef sztabu?

-Co?

- No, mówię: mam dla ciebie robotę.

- Ale jak to?

- Nie mogę gadać przez telefon. Jutro lecę do San Diego, będę przesłuchiwał kandydatów. - Podałem mu numer lotu. - Czekaj na lotnisku, wszystko ci wytłumaczę. I powiedz Marilyn, niech zacznie się przygotowywać do wyjazdu. Za niecałe dwa tygodnie pakujesz dupę i jedziesz na wschód.

1 września przypadało Święto Pracy. 2 września odmeldowałem się z Pentagonu, by objąć nowe dowództwo. Najpierw pożegnał się ze mną serdecznie admirał Crowe, potem złożyłem uszanowanie kontradmirałowi Artowi Moreau, który strasznie starał się mi przeszkodzić, kiedy konstruowałem SEAL Team Six. Zadzwoiłem też do Acea Lyon-sa, który dostał drugą gwiazdkę i kierował Mobile Logistic Support Force w Seventh Fleet (mobilnymi oddziałami wsparcia logistycznego

37

CZĘŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

w VII Flocie) na Pacyfiku. Na koniec zajrzałem do kajuty CNO. Zaprowadził mnie tam Bill Crowe.

Tom Hayward wstał od biurka i wyszedł na środek gabinetu.

- Chciałbym panu podziękować, sir, za to, że mogę dowodzić SEAL Team Six - powiedziałem.

- Jest pan najlepszą osobą na to stanowisko, komandorze poruczniku - powiedział Hayward.

- Czy ma pan dla mnie jeszcze jakąś ostatnią radę przed moim wyjazdem?

CNO wyciągnął rękę i uściśnił mi dłoń: był to uroczysty, ale zarazem serdeczny gest.

- Tak, Dick - powiedział. - Najkrócej mówiąc: nie nawal. To rozkaz.

Kiedy około 20.00 przejeżdżałem przez bramę w Little Creek, banda moich przyszłych żołnierzy już czekała. Czuję się, jakbym za chwilę miał usłyszeć: tato, tato, a dla mnie co przywiozłeś?

Poszliśmy do prywatnego klubu Fraternal Order prowadzonego w pobliżu bazy przez braci marynarską UDT/SEALs. Tam przy kilku skrzynkach piwa opowiedziałem im w ogólnym zarysie, czego będę od nich wymagał, powiedziałem też, żeby nie spodziewali się zbyt długich urlopów od jutra rana do - ja wiem? - 1996 roku. Zwiesili głowy.

- Chłopaki, powiedziałem, że to będzie ciężka robota. Nie powiedziałem, że nie będzie przy tym zabawy.

Wziąłem serwetkę i długopis i narysowałem kulę ziemską obramowaną staromodną deską sedesową w kształcie podkowy. Na górze dałem napis: PHOC-6, a pod rysunkiem tajemnicze litery: W.G.M.A.T.A.T.S.

- To symbol jednostki - powiedziałem, kiedy serwetka krążyła po sali.

Ktoś zapytał, co to wszystko znaczy.

- Phoc to po francusku „foka”, czyli „seal”. Kula ziemiska znaczy, że nasza misja ma zasięg ogólnoswiatowy, a skrót na dole znaczy: „We Get More Ass Than A Toilet Seat” („Mamy więcej dup niż sedes”).

ROZDZIAŁ 18

Tego wieczora zebrało się nas mniej więcej trzydziestu - sam trzon SEAL Team Six: byli wśród nas oficerowie, chorążowie i marynarze. To była jedna z najlepszych rzeczy w Teamie Six - w mojej jednostce nie miało być systemu kastowego. Jeśli uznajemy jakiegoś faceta za kogoś, z kim razem można zginąć, to można też razem z nim jeść, pić i pieprzyć. SEAL Team Six miał być dowodzony zgodnie z pierwszym prawem morskim Eva Barretta oraz pierwszym prawem integralności oddziału Marcinki: tylko my się liczymy, a reszta niech się wali.

Obok mnie siedział Paul Henley. Słuchał, niewiele mówił. To było do przewidzenia. On był jin, a ja - jang. Ja byłem klasycznym ograniczonym ogrem, on był spokojny i nieprzenikniony. Paul nie miał doświadczenia bojowego, ale wszystko inne przemawiało na jego korzyść: znał języki, był wyszkolony w AT, miał głowę nie od parady, a co najważniejsze - miał odwagę. I był absolwentem akademii. Nawet jeśli ja byłem bękartem, to przynajmniej miałem u siebie prawowitego syna jako szefa sztabu.

Kapitan Mugsy (przypominał wyglądem bohatera znanych kreskówek - oprycha o tym imieniu) skończył jedno piwo i zamówił następne. Mugsy też był absolwentem akademii, a poza tym bokserem wagi półciężkiej. Miał za sobą szkołę EOD - umiał unieszkodliwiać i niszczyć materiały wybuchowe, więc mógł się nimi bawić. I znał się na AT: to on przejął po Paulu jego poprzednie stanowisko dowódcy w MOB-6. Mugsy był wielki, szpetny i agresywny. Bardzo.

Kolejnym oficerem w stopniu kapitana był gość, którego nazywaliśmy Senator. Ten wysoki - ponad metr dziewięćdziesiąt - i dystyngowany elegancki yuppie o reputacji kobieciarza potrafił zamówić właściwe wino i wybrać widelec odpowiedni do potrawy. Był młody i dopiero niedawno przeszedł szkolenie. Pomyślałem, że byłby dobrym kandydatem, gdybyśmy musieli gdzieś wkręcić szpiega udającego dyrektora. A jeśli mu się nie uda? Cóż, każda jednostka potrzebuje mięsa armatniego.

Wydaje się to nieludzkie, prawda? Ale takie jest życie w wojsku. Naprawdę: każda jednostka potrzebuje mięsa armatniego. Niewielkie

39

CZĘŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

oddziały SpecWar wysyłane za linie wroga są mięsem armatnim dla batalionów i dywizji. Plutony zwiadowcze są mięsem armatnim dla kompanii, których są częścią. Każdy żołnierz idący na szpicie podczas patrolu wie, że jest mięsem armatnim, że jest spisany na straty.

Różnica polega na tym, że ja mówiłem ludziom, których wybierałem, po co to robię. Mówiłem im, że są spisani na straty - że w ostatecznym rozrachunku my wszyscy jesteśmy spisani na straty. A oni i tak przychodzili.

Kapitan Cheeks (Policzki) zdobył sobie to przezwisko, ponieważ wyglądał jak wiewiórka z wypchanym orzechami pyszczkiem. Cheeks brał udział w walkach w Wietnamie jako marinę. Wiedziałem, że to ostry sukinsyn, gość, co do którego mogę być pewien, że zdejmie tango, zanim tango zdejmie jego - albo mnie. Miał żonę Filipinkę i mówił po tagalsku na tyle dobrze, że brzmiało to całkiem naturalnie, co dawało mu dodatkowy atut w postaci znajomości języka obcego.

Duke (to też przezwisko: Książę) był kolejnym byłym szeregowcem piechoty morskiej i też brał udział w walkach w Wietnamie. Po ukończeniu Szkoły dla Kandydatów na Oficerów w Newport w stanie Rhode Island doszedł do stopnia podporucznika i stał się doświadczonym oficerem szkoleniowym, jakiego potrzebował Team Six. W połączeniu z doświadczeniem bojowym był to dla mnie wystarczający argument, by go zwerbować.

Podporucznika o przezwisku Trailer Court (Miasteczko Kempingowe) wyciągnąłem prosto z SKO. Wystarczyło mi jedno spojrzenie na jego naiwną chłopięcą twarz i już wiedziałem, że w dowolnym miejscu na świecie będziemy go mogli wkręcić jako licealistę. Zawsze gładko ogolony (nigdy nie zapuszczał zarostu, nie wydaje mi się zresztą, żeby mogło mu się to udać), świecący rumianymi policzkami, był naszym etatowym maniakiem zdrowego odżywiania się, naszym jeepowym wycieczkowiczem - był świetny w górskich wspinaczkach i jeźdźeniu na nartach. Wydawało się, że treścią jego życia są orzechy, kiełki i cała ta zdrowa żywność. Ale gdzieś głęboko skrywała się inna, bardziej zagadkowa część osobowości Trailera - jego ciemna strona. To

ROZDZIAŁ 18

ta agresywna nuta, którą jakoś instynktownie wyczuwałem, sprawiła, że z całej grupy chorążych danych mi do dyspozycji wybrałem jego.

Ostatnim oficerem siedzącym przy stole tamtego wieczora był chorąży Indian Jew (Indiański Żyd). Dla mnie ten dawny szeregowy był uosobieniem ideału oficera SpecWar. Ten pełen werwy kawał chłopca przypominał mi mnie za młodu - tyle że on był przystojniejszy, a ja znałem brudniejsze metody walki. Kiedy on był jeszcze szeregowym, byłem jego dowódcą w SEAL Team Two. Miał ponad metr osiemdziesiąt, ciemne włosy, był umięśniony i prezentował się jak gwiazdor filmowy. Pamiętałem go jako beztróskiego gościa, który codziennie ćwiczył na ławce w siłowni, potrafiąc bez trudu wycisnąć ponad 180 kilo, a jedyną rzeczą, za którą czuł się w życiu odpowiedzialny, była jego ukochana błękitna corvette.

Nawet za młodu jkw robił na mnie wrażenie podczas ćwiczeń polowych. Zawsze dawano mu najbardziej wymagające zadania, a on wykonywał je z ogromną pewnością siebie. Był rzutki i bystry, nie jak ci, na których patrząc, chciałem tylko, żeby odsłużyli swoje i odeszli. Do

SpecWar potrzebowaliśmy chłopaków takich jak Jew i chciałem mu zapewnić odpowiedni rozwój kariery w marynarce, gdyby on też tego chciał.

Pewnego wieczora spytałem go, co ma zamiar robić przez resztę życia. Powiedział, że zawsze marzył, że zostanie oficerem i że jego zawód będzie się wiązał ze SpecWar. To rodzaj obsesji - jak się wyraził.

Wiedziałem, o czym mówi: ja czułem dokładnie to samo, kiedy byłem w jego wieku. Wziąłem go więc pod swoje skrzydła - bardzo podobnie do tego, jak adoptowałem porucznika Toma Williamsa. Byłem dla niego twardy, ale w sposób stymulujący jego rozwój. Przekonałem go, żeby zapisał się do szkoły, i zadbałem, by odbywał kursy umożliwiające mu zdobywanie stopni, które mogły pomóc w jego dalszej karierze w marynarce. Potem, kiedy przeniosłem się do Pentagonu, osobiście sterowałem jego teczką osobową po biurowatycznych labiryntach. Dzięki połączeniu własnej determinacji, przygotowania gruntu przeze mnie oraz pomocy kilku przedsiębiorczych oficerów Jew wylądował w SKO.

3

CZĘŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

Tymczasem ożenił się z młodą piękną Denise, która była jego dziewczyną od czasu, kiedy ona miała piętnaście, a on osiemnaście czy dziewiętnaście lat. Żegnaj, sportowa corvette, witaj, rodzinny kombiaku. Zapisałem to po stronie plusów: temu chłopakowi potrzebne było coś, co go nauczy odpowiedzialności.

Kiedy ukończył SKO, pociągnąłem jeszcze parę sznurków i uzyskałem dla niego przydział do SEAL Team Two. SEAL Team Six był w fazie projektu i chciałem, żeby Jew wszedł w jego skład. Dzięki przydzieleniu go do Little Creek miałem pewność, że kiedy tata Demo przyjedzie do domu, Jew będzie grzecznie czekał na półce.

Historie życia poszczególnych szeregowców obecnych tamtej nocy w klubie były tak samo rozmaite jak dotychczasowe losy oficerów. Wybrałem ich ze względu na młody wiek i wytrzymałość, doświadczenie bojowe, kwalifikacje językowe i agresywność. Paru młodych dostało się do Teamu Six, bo jak w każdej jednostce potrzebne w nim było mięso armatnie.

Jednym z tych, o których przyjęciu zdecydowało to ostateczne kryterium, był Baby Rich (Rysio). Kiedy prowadziłem rozmowy kwalifikacyjne z potencjalnymi członkami SEAL Team Six, po pierwszym rzucie oka na okrągłą, naiwną buźkę Richa, jego tyczkowatą posturę i pięści wielkości szynki roześmiałem się:

- Skąd, u diabła, przyszło ci do głowy, chłopczyku, że się do tego nadajesz?
- Wiem, że się nadaję, sir.

Pokręciłem głową.

- Jesteś zwykłym prawiczkim, dzieciaku. Jeśli cię przyjmę, to będziesz od razu spisany na straty, dzidziusiu. Jak będziemy mieli jakąś linę wspinaczkową i będzie wyglądało, że się

przeciera, to ty będziesz po niej wchodził, żeby sprawdzić. Jeśli będziemy musieli wyrzucić z samolotu skoczka, żeby sprawdzić wiatr, to to będziesz ty. - Spojrzałem na niego swoim groźnym wzrokiem Sharkmana i poruszałem brwiami. - I jak ci się to widzi?

- Dzidzi się to, k***a, bardzo widzi, panie dowódcu. - I dla podkreślenia swojej determinacji walnął pięścią w biurko. - Niech mnie

ROZDZIAŁ 18

pan weźmie. Cholera, sir, zawsze chciałem być w tych pieprzonych SEALsach, a teraz, jak już jestem, to chcę być tym najlepszym pieprzonym SEALsem, jaki może być. I jeśli to ma znaczyć, że mam zginąć w pańskiej jednostce, zamiast siedzieć gdzieś i pierdzieć w stółek, to ja w to wchodzę.

Oczywiście go przyjąłem - jak mógłbym tego nie zrobić?

Innych wybrałem, bo było wyraźnie widać, że są zwyczajnie szaleni. Myślałem tak: skoro mieliśmy wyskakiwać z samolotów na wysokości 10 000 metrów, spadać swobodnie, a potem szybować jeszcze 5 kilometrów, to do tego zdecydowanie trzeba szaleństwa.

Kto był szalony? Przede wszystkim Snake (Wąż): trzeba go było widzieć, jak otwierał piwo. Snake był ciemnowłosym bosmanmatem. Wcześniej był spadochroniarzem 82. Dywizji Powietrznodesantowej i miał uprawnienia łajtnościowca. Snake łączył w sobie przyrodzoną siłę z niemałą wytrzymałością i wyobraźnią. Lubiłem go, bo nie próbował nikogo przechytryć: po prostu za każdym razem był od wszystkich lepszy.

Kolejnym bosmanmatem był Pooster Rooster (Pooster Kogut). Ten grotolaz z Wybrzeża Północno-Zachodniego był specjalistą od strzelania i kobiet, śmiertelnie niebezpiecznym w obu tych dziedzinach. Pooster dostał przydomek od Włochów w czasie pobytu SEAL Team Two nad Morzem Śródziemnym. Miał miedzianoczerwone włosy, które zawsze układały mu się w niesforne kosmyki wyglądające zupełnie jak ogon koguta. W Neapolu i Rzymie znający go miejscowi wołali na niego z tego powodu w łamanej angielszczyźnie:

- Mista Poosta-Roost.

Przezwisko do niego przyłgnęło.

Larry i Frank byli moimi „bliźniakami”, jak chłopcy z opakowania proszku do prania Gold Dust. Poznali się, kiedy zostali do siebie przypisani jako dwójka partnerów podczas szkolenia BUD/S, i stali się sobie bliscy jak bracia. Mimo że Larry był w SEAL Team Two w Wirginii, a Frank został wysłany do BUD/S w Coronado w Kalifornii, nadal bez pudła potrafili czytać sobie w myślach.

Ale co to były za przeciwieństwa! Gold Dust Larry był ciemnym blondynem z gębą tak zniszczoną, jakby nie schodził z ringu. Gold Dust Frank miał ciemne włosy i wyglądał jak większa wersja aktora Marka Harmona. Larry był na ogół markotny: kiedy już wpadał w zachwyty, wyglądało to tak, jakby nigdy wcześniej nie zdarzyło mu się nic dobrego. Frank tryskał energią, oczy mu się śmiały - był to ten typ mężczyzny, który bez trudu odnajduje się w knajpach i nawiązuje nowe znajomości z kobietami.

Larry był specjalistą od dostaw uzbrojenia (pomagał mi konstruować drewniane żołnierzyki na irański rajd) i od operacji powietrznych - potrafił pilotować samolot. Miał doświadczenie bitewne jako marine, więc wiedziałem, że w razie konieczności będzie umiał pociągnąć za spust. Poza tym przez krótki czas byłem jego dowódcą w SEAL Team Two. Przyszedł do jednostki na sam moment przekazania przeze mnie dowództwa mojemu następcy. Nie zdążyłem poznać Larryego dobrze, ale zrobił na mnie wrażenie pewnego i niezawodnego - zawsze zjawiał się pierwszy, a odchodził jako jeden z ostatnich.

I rzeczywiście, jeśli był jakiś typ faceta, którego mógłbym sobie wyobrazić, ilekroć myślałem o idealnych kandydatach do „wodowania” SEAL Team Six, to był to Larry. Marynarz z tradycji Eva Barretta, bosman, który nigdy nie przestał pracować z podległymi mu ludźmi. Larry dostał się do Teamu Six, zanim zaczął się nabór.

Gold Dust Frank był dla mnie niewiadomą. Ale w czasie jednego zapijanego piwem wieczoru, podczas którego prowadziłem rozmowy kwalifikacyjne ze swoimi chłopakami w Little Creek, Larry zaręczył za umiejętności drugiego bliźniaka, zapisał mi nazwisko swojego partnera na zachlapanej serwetce i wcisnął mi ją do kieszeni.

- Służy jako instruktor w BUD/S, szefie.

Kiedy zjawiłem się w Coronado, żeby prowadzić rekrutację, położyłem sobie tę serwetkę na stole. Wszedł Frank.

- Nazwisko?

Podał mi je. Nigdy wcześniej mnie nie spotkał i nie wiedział, czego się spodziewać. Poczęstowałem go przedstawieniem z gatunku „szalony

ROZDZIAŁ 18

dowódca”. Wziąłem do ręki brudną serwetkę i robiłem nadludzkie wysiłki, żeby coś z niej wyczytać. Przekręcałem ją na wszystkie strony i wykrzywiałem twarz, próbując na głos odgadywać plamy atramentu.

- Nie nazywasz się Fnnnnnunnk Fynnnnnnufff?

- Nie, sir.

Powtórzył nazwisko. Spojrzałem na niego poważnie, po czym znowu przyjrzałem się serwetce. Pokręciłem głową.

- Na pewno nie nazywasz się Fnnnnnunnk Fynnnnnnufff?
- Tak jest, na pewno.
- Jaki masz numer ubezpieczenia?

Podał mi go.

- Jesteś partnerem Larryego.
- Tak.

Zmiałem ser\^fetkę w kulkę i rzuciłem za trzy punkty do stojącego w pobliżu kosza.

- Masz tę robotę. A teraz zjeżdżaj.
- Ale, panie dowódco...

-Tak?

- Co to za robota?
- To znaczy, że Larry ci nie powiedział?
- Nie, sir, powiedział tylko, że mam tu przyjść, a jeśli pan spyta, czy chcę tę robotę, to mam powiedzieć „tak”.

Jak się okazało, był całkiem w porządku. Został lotnikiem. I pomagał nam doskonalić umiejętności spadochroniarskie i snajperskie, bo był równocześnie pełnym inwencji znakomitym skoczkiem i obdarzonym szybkością oraz celnym okiem strzelcem. Ale tego pierwszego wieczora w Little Creek zmieszałem mu dupsko z błotem. Przyszedł tam w T-shircie SEALsów.

- Hej, co ty?! Gówno masz zamiast mózgu?! - Chwyciłem go za dekonspirującą nas część garderoby. - Słyszałeś o czymś takim jak „bezpieczeństwo operacji”?

Horsefacea (Koński Pysk) wybrał Paul. Ten były mistrz stanu w zapasach rzucił marynarkę i zajął się opryskiwaniem pól w Ohio. Kiedy

3

CZŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

do niego zadzwoniłem i przedstawiłem mu możliwości, jakie się przed nim otworzą, jeśli zaciągnie się ponownie, zjawił się w Little Creek po paru dniach, błyskając wielkimi zębami w swoim charakterystycznym półmetrowym uśmiechu. Wielki, silny i przerażający - Horseface był jedną z tych rzadko spotykanych osób, które niczego się nie boją. A co najważniejsze, nie było maszyny, na której nie potrafiłby latać: od piper cuba po boeinga 727 - wystarczyło, że wspiął się do kokpitu, żebyśmy po paru minutach odrywali się już od ziemi.

Fingers (Paluchy) był chorążym, z którym znaleźliśmy się wystarczająco długo, by nazywał mnie Demo Dick i pamiętał, skąd się to wzięło. Nie przypominał klasycznego wyobrażenia SEALsa. Ważył nie więcej niż 70 kilogramów nawet po sutym obiedzie, miał uszy jak słon, wielkie niebieskie oczy i metabolizm tak szybki, że spalał prawdopodobnie 100 kalorii z każdym mrugnięciem oka. Był specjalistą od unieszkodliwiania i niszczenia materiałów wybuchowych, w związku z czym u rąk nie miał kompletu palców - stąd pochodziło jego przezwisko. A gęba mu się nie zamykała. Fingers miał na każdy temat własne zdanie. Przynajmniej jedno, a czasem dwa albo trzy. Nie miało dla niego znaczenia, czy te zdania się ze sobą nie kłócą. Po pewnym czasie doszliśmy do wniosku, że Fingers ma wiele osobowości. Lubił strzelać i napier-dzielać: był bitewnym pracoholikiem, któremu można by wystawić najniższe noty za styl - wyglądał jak ostatni niechluj - ale absolutnie najwyższe za wyniki. Pomagał Macowi i mnie zaprojektować Team Six i należał dokładnie do tego rodzaju zmotywowanych gnojów, których mi było trzeba.

Stała siedziba SEAL Team Six miała się znajdować jakieś 50 kilometrów od Norfolku. Ale nasze obiekty miały być budowane jeszcze co najmniej przez rok. Musieliśmy mieć tymczasem jakieś miejsce na wieszanie czapek, trzymanie sprzętu, odbieranie telefonów i przybicie szyldu. Dla większości z nas dogodną i znaną lokalizacją było Little Creek, więc urządziliśmy się w dwóch kurnikach stojących 15 metrów za kwaterą

ROZDZIAŁ 18

główną SEAL Team Two. Przynajmniej ja uważałem, że wyglądają jak kurniki: były to zbudowane na betonowych płytach drewniane konstrukcje o wymiarach 12 na 24 metry pochodzące z czasów drugiej wojny światowej. Jedno z tych pomieszczeń było wykorzystywane jako miejsce spotkań klubu żon, drugie było salą młodszych skautów z bazy.

Ja, mój szef sztabu, szef operacji i starszy chorąży sztabowy Mac -wszyscy urzędowaliśmy w jednym pomieszczeniu. Przywłaszczyłem sobie najlepsze meble: ocalone ze sterty rupieci stalowoniebieskie metalowe biurko z trzema nogami i kiwające się krzesło obrotowe. Zestaw Paula był podobny, ale w gorszym stanie. Ściany zdobiły pozostałości po klubie młodszych skautów z dodatkiem kolażu zdjęciowego, który wykonał jakiś przemądrzały dupek: była to wycięta fotografia mojej głowy doklejona w odpowiednim miejscu zdjęcia czterogwiazdkowego CNO. ' '

Nasza sytuacja była daleka od ideału - nie tylko dlatego, że kwatery były ciasne i nie odpowiadały naszym potrzebom. Lokalizacja naszej bazy była za bardzo cholernie odkryta. W końcu byliśmy rzekomo jednostką ściśle tajną. Nosiliśmy cywilne ubrania. Nakazałem ludziom usunąć ze swoich pojazdów naklejki identyfikacyjne wydane przez bazę: zamiast umieszczać je na stałe, mieli je przykleić na magnetycznych paskach, które przyczepiali tuż przed wjazdem na teren jednostki. Pojawialiśmy się i znikaliśmy o dziwnych godzinach. Nic w SEAL Team Six nie działo się po wojskowemu - i tak właśnie chciałem, żeby było. Ale w odległości dwudziestu paru metrów od nas służyli SEALsi z Teamu Two: w zielonych mundurach polowych przyglądali się z otwartymi ustami, jak pod nasze szopy zajeżdżają

konwoje ciężarówek i wypakowujemy z nich kolejne pudła z różnymi cudeńkami. Patrzyłem przez oddzielające mężczyzn od chłopców siatkowe ogrodzenie i cmokałem z dezaprobatą.

- Nie pożądam - strofowałem ich.

Bo też było czego pożądać. Zapasy piętrzące się w naszych szopach wyglądały jak śmiercionośna wysokobudżetowa wersja akcesoriów dla miłośników wycieczek. Goreteksowe parki i buty. Spadochrony.

37

CZĘŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

Sprzęt wspinaczkowy. Hełmy i gogle. Plecaki i lekkie torby podróżne z nylonu balistycznego. Narty. Akwalungi. Pianki. Kamuflaże dla każdego środowiska, od polarnego do pustynnego. Rewolwery Smith & Wesson kalibru .357 cala ze stali nierdzewnej, żeby nie rdzewiały, kiedy będziemy z nimi pływać. Pistolety samopowtarzalne Beretta kalibru 9 mm. Karabiny maszynowe HK z tłumikami i bez nich. Rugery Mini-14 ze stali nierdzewnej. Pistolety kalibru .22 cala z tłumikami. Karabiny snajperskie. Granaty ogluszające. Materiał wybuchowy C4. Miny przeciwpiechotne Claymore. Zdalnie sterowane detonatory radiowe. I setki tysięcy sztuk amunicji.

Zamontowaliśmy anteny na dachach i uruchomiliśmy własną zabezpieczoną sieć łączności. Używaliśmy walkie-talkie, wodoszczelnych przenośnych radiostacji, odbiorników SATCOM-u i małych anten satelitarnych. Każdy dostał zabezpieczony pager. Kiedy pager dzwonił, żołnierz miał w ciągu czterech godzin stawić się przygotowany do wyjazdu z pełnym wyposażeniem. Gdyby uruchomiono drugą misję odbicia zakładników, mielibyśmy być gotowi do drogi - nawet gdybyśmy jeszcze nie skończyli szkolenia.

Zaadaptowanie się do nowej sytuacji zajęło nam parę tygodni. Przywiozłem Kathy i dzieci z Waszyngtonu. Wiedzieli tylko tyle, że możemy zapomnieć o War College, a tata ma nową pracę, o której nie może mówić, ale - o kurczę, rany, tato, włosy i brodę to masz coraz dłuższe. Również żołnierze przybywający z Zachodniego Wybrzeża musieli znaleźć sobie domy, przeprowadzić się i przystosować do nowych warunków. Jednak szkolenie zaczęło się natychmiast. Wspominałem im, że będziemy się dużo wspinać, więc chłopaki zaczęły chodzić do siłowni w bazie i pracować nad mięśniami ramion i klatki piersiowej. Zaczęliśmy też ćwiczenia ze strzelania. Większość SEALsów uważa, że są świetnymi strzelcami. Ja z kolei pamiętałem, jak kiepsko poszło drużynie Braw z 2. plutonu przed wyjazdem do Wietnamu w 1967 roku, kiedy mnie i moim pięciu dzielnym traperom udało się trafić tylko dwoma z 360 pocisków do poruszającej się powoli płyty sklejkowej o wymiarach 1,8 na 2,5 metra.

Strzelcy w SEAL Team Six musieli umieć w każdych warunkach położyć cel jednym lub dwoma strzałami. Znaczyło to, że nasze strzelanie musiało być zarówno instynktowne, jak i celne. Aby osiągnąć ten efekt, opracowałem program, w ramach którego każdy z SEALsów w Teamie Six miał wystrzeliwać co najmniej 2500 pocisków tygodniowo - każdego tygodnia. Była to większa liczba sztuk wystrzeliwanej amunicji na tydzień, niż większość SEALsów zużywa jej w ciągu roku.

Żołnierze psioczyli, ale uparłem się, żebyśmy zaczęli od podstaw. Co wieczór, kiedy zamykano strzelnicę pistoletową przy Armed Forces Staff College, zawoziliśmy tam zespoły i pracowaliśmy od 17.00 do 23.00. Przez pierwszych parę dni nie używaliśmy nawet amunicji. Przy każdym stanowisku strzeleckim moi ludzie zawieszali tarcze w formie sylwetki, po czym ćwiczyli samo celowanie i naciskanie spustu, używając rewolwerów ze stali nierdzewnej Smith & Wesson kalibru .357 cala, model 66. Wszyscy zaczynaliśmy od strzelania na sucho z 3 metrów, potem przechodziliśmy do 5, 7, 10, 15, a na końcu 20 metrów. Było to podstawowe ćwiczenie - zaczynało się powoli, potem się przyspieszało: celuj, potem strzelaj. Cel, potem strzał. Cel, strzał. Cel/strzał.

Na trzeci dzień wykonaliśmy te same ćwiczenia raz jeszcze, po czym powtórzyliśmy je z ostrą amunicją. Dokładnie oglądaliśmy każdą tarczę, żeby ustalić, kto opiera się na piętach (co powoduje trafianie za wysoko, na godzinie pierwszej), kto za mocno ściska rękojeść (co powoduje, że trafienia grupują się za nisko po lewej lub po prawej), kto za wcześnie amortyzuje odrzut, kto szarpie bronią albo ugina nadgarstek za bardzo lub za mało. Odnotowywaliśmy problemy i wprowadzaliśmy korekty. Nim upłynął tydzień, wszyscy strzelali celnie. Teraz trzeba ich było tylko nauczyć strzelać tak, żeby zabijać.

Z brezentu naciągniętego na ramę z drewnianych łąt skonstruowaliśmy sobie prowizoryczną ściankę z otworem drzwiowym. I znowu zaczęliśmy bez amunicji, ucząc operatorów, jak mają przechodzić przez drzwi pojedynczo, potem w parach, potem w grupach po czterech, a w końcu w grupach po sześciu. Lawirowali w skomplikowanej śmiertelnej choreografii, aż każdy opanował sztukę wskakiwania przez

39

CZĘŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

drzwi i wchodzenia do pomieszczenia tak, by nie dać się zabić samemu ani nie zabić żołnierza przed sobą. Zaczęliśmy omawiać taktykę czyszczenia pomieszczeń: odróżniania, kto jest „swój”, a kto „obcy”.

A kiedy jeden zespół SEALsów ćwiczył wchodzenie przez drzwi, inna grupa oddzielona dwoma stanowiskami na strzelnicy ćwiczyła znowu podstawy strzelania, pakując pocisk za pociskiem w tarcze sylwetkowe. Tyle że teraz dodałem nowe utrudnienie. Do każdej tarczy przyczepialiśmy kartoniki o wymiarach 7,5 na 12,5 centymetra - czasami do głowy, czasami do tułowia albo barku, albo pachwiny, albo szyi. Strzał był zaliczony tylko wtedy, kiedy trafiony został kartonik. Jeśli w sylwetce były jakieś inne otwory po kulach, to znaczyło, że trzeba strzelać od początku. Wprowadziłem też rywalizację: chłopcy dobierali się w pary i

strzelali na punkty - ten, który przegrywał, stawiał drugiemu piwo. Bliźniaki Gold Dust, Frank i Larry, konkurowali ze sobą w sposób naturalny (i hałaśliwy). Kolejną parę tworzyli Mac i Fingers, którzy obrzucali się nawzajem potokiem przekleństw, kiedy rywal trafiał w kartonik. Szef sztabu Paul, którego krótka fryzura w stylu marines przeświecająca kiedyś bladą skórą po bokach głowy zamieniła się teraz w śliczne kręcone loki jak u księcia z filmu Prince Valiant, strzelał razem z Jew. Snake natomiast był w parze z Poosterem. Słyszałem, jak przekrzykują odgłosy wystrzałów, nabijając się z siebie nawzajem - biedny dupek, który nie trafił w kartonik, mógł liczyć tylko na miłosierdzie boskie.

W drugim tygodniu zaczęliśmy nowe ćwiczenia. Zachowując ogromną ostrożność, każdy z osobna szedł po kolei w głąb strzelnicy, prowadząc ogień ostrą amunicją. To było coś, czego nikt z nich wcześniej nie robił. Celowanie i strzelanie do tarczy sylwetkowej z nieruchomej pozycji to jedno. Czymś całkiem innym jest robienie tego samego w ruchu, kiedy strzelec zbliża się do celu przykucnięty albo biegnie. Pod koniec tygodnia mogłem dodać do scenariusza ściankę z otworem drzwiowym i patrzeć, jak czterech SEALsów jednocześnie „wchodzi” do pomieszczenia, czyszcząc je ostrą amunicją.

Nasza praca nie przebiegała bez problemów i zagrożeń. Zamknięta strzelnica nie miała odpowiedniej wentylacji, więc regularnie

ROZDZIAŁ 18

musieliśmy robić przerwy, żeby ją wietrzyć. Z kolei betonowe ściany i podłoga sprawiały, że łatwo tam było o rykoszet. Było parę sytuacji, w których o mały włos ktoś by porządnie oberwał. Jedno czy dwa niewielkie draśnięcia zdarzyły się chłopakom, kiedy strzelaliśmy z ustawień, do których ten obiekt nie został zaprojektowany. Ale innego nie mieliśmy, więc korzystaliśmy z tego.

Co noc po zakończonych ćwiczeniach wyjeżdżaliśmy w konwoju przez bramę numer 5, jechaliśmy na Virginia Beach Boulevard, skręcaliśmy w lewo i trzy przecznice dalej zajeżdżaliśmy pod witrynę rozpadającego się parterowego sklepu pomalowanego na trudny do określenia ciemny kolor. Było to nasze stałe miejsce spotkań, bar, w którym byliśmy pierwszego wieczora, kiedy przyjechałem jako dowódca Teamu Six - Fraternal Order Bar, FO Bar, knajpa prowadzona przez brać imrynarską UDT/SEALs. Wewnątrz dwóch skąpo umeblowanych i słabo oświetlonych pomieszczeń stały flipery, stoliki do gry w karty, ze dwie lady barowe i mikrofalówka do odgrzewania kanapek i pizzy. Czas spędzało się tam w towarzystwie przyjaźnie nastawionej grupy byłych i obecnych frogmenów, fanek i dziewczyn SEALsów, a od czasu do czasu nawet żony jednego czy drugiego. Lokal był otwarty przez całą noc i jeśli miałbym wskazać jakieś konkretne miejsce, w którym SEAL Team Six tworzył swoją integralność oddziału, byłby to FO Bar i było to w ciągu tych trzech wrześniowych tygodni 1980 roku.

Ponieważ jeździliśmy tam prosto ze strzelnicy, wszyscy byliśmy przesiąknięci zapachem ołowiu i zbitych spłonek. Nie był on równie gryzący jak zapach prochu, ale wszyscy

wiedzieli, że się bawiliśmy. Po ćwiczeniach byliśmy nabuzowani, a chłopaki ze Wschodniego Wybrzeża lubili robić różne numery SEALsom z Zachodniego Wybrzeża i vice versa - przypominało to pierwszy dzień w przedszkolu, kiedy dzieciaki ustalają, kto pierwszy będzie się bawić w piaskownicy. Wolnych kobiet było w bród. Poza tym byliśmy nowi i weterani chcieli nas sprawdzić. Sprawdzanie dokonywało się zwykle przy użyciu pięści i krzesel.

3

CZĘŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

Patrzyłem, jak budują się relacje - kto z kim trzyma. Siadywałem przy barze, popijałem swojego bombaya z lodem i odnotowywałem w głowie, kto potrafi pić, a kto nie. Zapamiętywałem, którzy z moich chłopaków są agresywni, a którzy pasywni. Kiedy dochodziło do bójek, stałem z boku, a wkraczałem, żeby ich rozdzielać, tylko wtedy, kiedy wyglądało na to, że komuś może stać się coś poważnego. Zapowiadało się dobrze. Moim ludziom mogło się zdarzać walczyć między sobą, ale kiedy tylko wtrącał się ktoś z zewnątrz, przyjmowali wspólny front przeciwko obcym i wdeptywali ich w podłogę.

Podczas gdy team nabierał tężyzny fizycznej, ja z Paulem szlifowaliśmy harmonogram szkoleń. Do czwartego tygodnia września zdążyliśmy zrobić już wszystko, co mogliśmy w Little Creek. Dotarła większość sprzętu, a to, czego jeszcze brakowało, mogliśmy sobie dosłać na miejsce - bo czekało już na nas poważne zadanie: nasz pierwszy daleki wyjazd na Florydę, gdzie w odosobnionym zakątku bazy lotniczej sił powietrznych Eglin mieliśmy zacząć szkolenie na serio.

Działo się tyle, że nie zdążyłem jeszcze nawet ani razu zebrać razem całego teamu. Dlatego dwa dni przed wyjazdem na Florydę zarezerwowałem na wieczór salę konferencyjną w bazie i zebrałem jednostkę. Postawiłem przed drzwiami Paula i starszego chorążego sztabowego Maca, żeby nikt nam nie przeszkadzał.

Wszedłem na podium. Za plecami miałem dość stosowną na tę okoliczność olbrzymią amerykańską flagę. Jeśli ktoś myślałby, że to miała być czołówka filmu Patton w wersji SEAL Team Six, to na tym podobieństwa się kończyły. Nie miałem rewolweru z rękojeścią z kości słoniowej ani wypolerowanych butów, nie mówiąc o lśniącym hełmie. Z brodą i długimi włosami wyglądałem jak dzikus. A mój sposób wygłaszania przygotowanej kwestii różnił się nieco od chrapliwego warkotu Georgea C. Scotta.

Rozejrzałem się po żołnierzach, którzy rozwalili się w pierwszych rzędach sali konferencyjnej.

ROZDZIAŁ 18

- Cześć, pie***lone lachociągi - powiedziałem tytułem wstępu.

Z paru miejsc rozległ się śmiech. Chodziłem tam i z powrotem, odnajdując wzrokiem poszczególnych żołnierzy. Podobało mi się to, co widziałem.

- Panowie - powiedziałem - nie będę pieprzył.

Dał się słyszeć pomruk aprobaty.

- Wiecie, czym się tu mamy zajmować: antyterroryzmem. A co znaczy antyterroryzm? Znaczy, że my im spuścimy wpie***I, zanim oni spuszczą wpie***I nam.

Kilkunastu mężczyzn zaczęło owację.

- Tak jest - odpowiedziałem im. - Czas najwyższy, do jasnej cholery!

Wyciągnąłem rękę nad zebranymi SEALsami.

- Wszyscy jeste[^]ie utalentowanymi żołnierzami do działań specjalnych. Teraz wszyscy jesteście też już uzdolnionymi strzelcami. Wszyscy umiecie trafić, gdzie trzeba, nawet po ciemku.

Przerwał mi śmiech.

- Teraz ruszymy w trasę i damy wam udowodnić to wszystko jeszcze raz.

Pojedyncze owacje i gwizdy.

- Ale zanim ruszymy, jest parę rzeczy, które chcę wam powiedzieć. Po pierwsze, nie musicie lubić wszystkiego, co robicie. Chodzi o to, że gównu mnie obchodzi, czy lubicie wszystko, co robicie, czy nie. Musicie tylko to zrobić. Po drugie, wy jesteście systemem, panowie. Wy. Odpowiedzialność za wszystko spada na każdego z was. Kupiłem każdemu jego własny sprzęt i każdy ma o niego dbać. Macie, dupki, absolutnie najlepsze zabaweczki, jakie da się kupić. Jeśli wasz sprzęt nawali, to dlatego, że wy, do k***y nędzy, nawaliliście, a nie sprzęt. Więc nie przyjmuję żadnych pieprzonych tłumaczeń: „To nie zadziałało, sir” albo „Miałem zły akwalung, sir”, albo „Nie zabrałem tego karabinu, który był potrzebny, sir”. To wy jesteście pieprzonym systemem. Jak się nie uda, to przez was. Nie przyjmuję żadnych pieprzonych tłumaczeń. Żadnych. Przesłał mnie tu CNO Hayward, panowie. Wiecie, k***a, co mi

3

CZŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

powiedział? Powiedział: „Dick, nie nawal”. Więc ja, do k***y nędzy, nie nawalę, panowie. Ani wy, do k***y nędzy, nie nawalicie.

Chodziłem tam i z powrotem na tle flagi.

- Zarządzam, k***a, że w SEAL Team Six nie obowiązują przepisy. Widzieliście to już na strzelnicy. A teraz słuchajcie: każdy z was będzie nosił przy sobie broń przez cały czas. Na służbie, po służbie, na przepustce (żebyście się, k***a, nie zdziwili), w czasie jazdy, w czasie ostrej jazdy, gdziekolwiek was poniesie. Zapamiętajcie, panowie, nowe hasło: „Pistolet noś i przy pogodzie”. Dlaczego? Bo im bardziej przyzwyczaiacie się do ciężaru pistoletu i jego

noszenia, tym mniej go będziecie zauważać. Tym mniej będziecie o nim myśleć. Tym silniej będzie częścią was. Kiedy będziemy gdzieś jechać potajemnie, panowie (a zapewniam was, k***a, że sporo będziemy jeździć potajemnie), nie chcę, żebyście się wygłupiali z jakimś suspensorium, w którym będziecie chować swoją trzydziestkę ósemkę, i żeby złapał was z nią wtedy jakiś niewart złamanego centa dureń z drętowymi jajami i gównem zamiast mózgu z ochrony lotniska w Wagadugu, i żeby wsadził was do pierdła. Takie rzeczy, k***a, to nie na mojej wachcie. Słuchajcie uważnie, panowie, bo jeszcze o tym usłyszycie: możecie zapomnieć o bezpieczeństwie. Będziemy się szkolić tak, jak będziemy walczyć: będziemy iść na całość. To znaczy, że część z was zostanie ranna podczas szkolenia. Część z was może zginąć. Takie życie. Ale będziemy się nawzajem osłaniać. Będziemy się troszczyć nawzajem o sobie. Jeśli któryś spieprzy i sprzątnie partnera, sam go sprzątnę. Zapewniam was, że nietrudno się postarać o wypadek śmiertelny, więc się postaram i takiego typu sprzątnę. Już go nie będzie. Musicie być wierni przede wszystkim swojemu partnerowi, dalej drużynie, plutonowi i teamowi. Ja jestem prawem, panowie, a moje prawo jest proste. Będziemy tu mieli pie***loną integralność oddziału.

Zapadła absolutna cisza. Świetnie. Przykułem ich uwagę. Przygarbiłem się lekko i przełączyłem się na tryb ojca chrzestnego, mówiąc z całkiem udanym akcentem Vita Corleone.

- Ta jednostka... ma być jak pieprzona mafia. Ja... jestem capo di tutti capi. Padrone. Składam propozycje nie do odrzucenia. I ja...

ROZDZIAŁ 18

zatroszczę się o wszystkich. Powiem więcej: jesteśmy rodziną. A o interesach rodziny nie rozmawia się poza rodziną. Macie jakiś problem? Przyjdźcie do mnie. Zanim pójdziecie do kogokolwiek innego, najpierw przyjdźcie do mnie.

Podszedłem do zasłoniętej sztalugi po prawej stronie i ściągnąłem czarną płachtę, ukazując wielką mapę Iranu.

- Zostaliśmy wyznaczeni do misji. Nie jesteśmy nawet jeszcze jednostką, ale mamy misję, którą łatwo odgadnąć. Dobra, widzicie mapę. Wiecie, gdzie to jest. Wiecie, kogo tam nadal przetrzymują. Jesteśmy pod telefonem. Mają nasz numer.

Zmieniłem planszę, pokazując listę siedmiu celów, które wyznaczono nam do zneutralizowania w czasie, kiedy Delta Force miała zająć się zakładnikami. Odhaczałem je po kolei.

- To jest ta njsja, panowie. Dodajmy, że to straszne gówno, naprawdę przesrana sprawa, gdyby ktoś pytał mnie o zdanie. Ale wiecie co? Nie musimy lubić swojej misji. My tylko musimy ją wykonać. Więc jak na szkoleniu zrobi się gorąco i pomyślicie sobie: „Jestem zmęczony” albo „Stary za bardzo ciśnie”, albo jak się wystraszyicie, bo wejdziemy za szybko i dookoła zacznie latać pieprzone mięso, pamiętajcie: nie musicie tego lubić. Wy tylko musicie

to zrobić. No to wiecie, jaką mamy misję. Za każdym razem, gdy będziecie coś ćwiczyć, macie myśleć, jak zastosujecie to szkolenie do tych celów. Za każdym razem, gdy pomyślicie, że jestem dla was za ostry, pomyślcie o tych celach. Za każdym razem, gdy będziecie chcieli odpuścić, pomyślcie o tych celach. Najkrócej mówiąc, panowie, całe to gówna sprowadza się do tego: daję wam narzędzia. Daję wam okazję. Daję wam wsparcie i ochronę. Jeśli po drodze wdepniemy w jakieś gówno, wezmę to na siebie. Jeśli dostaniemy opeer, przyjmę to na siebie. Wy musicie tylko zadbać o to, żebyście w tym, co robicie, byli tak cholernie dobrzy, żebyście potrafili zrobić, kł**a, wszystko. A tych wszystkich sk***ysynów, wypierdków, posrańców, zasyfiałych gryzipiórków, dupków z gównem zamiast mózgu w Pentagonie zostawcie mnie. To moja posrana robota. Ja też nie muszę jej lubić. Ja tylko muszę ją wykonać.

Rozdział 19

Często zadawano mi pytanie, czy nigdy nie poczuwałem się do winy -przecież tyle lat kantowałem system. Czy nie czułem się winny, że tyle przeklinam? Czy nie czułem się winny z powodu brutalnych metod, jakie stosowałem, by osiągnąć to, co chciałem? Czy nie czułem się winny, wrabiając własnych dowódców w te straszne gówna?

Na takie pytania miałem zawsze tę samą odpowiedź: winny? - absolutnie tak. Winny zarzucanych mi czynów. Winny tego, że swoich ludzi ceniłem wyżej niż biurokratyczne pierdoły. Winny tego, że wydawałem tyle pieniędzy, ile tylko potrafiłem zdobyć, na jak najlepsze wykszolenie moich ludzi. Winny tego, że szykowałem się do wojny zamiast do pokoju. Wszystkiego tego rzeczywiście jestem winny. Mea culpa, mea culpa, mea maxima pierdolona culpa.

Więc kiedy moi ludzie polecili na Florydę, żeby zacząć szkolenie „parszywej dwunastki” w bazie lotniczej sił powietrznych Eglin, ja uprawiałem zapasy w błocie z urzędasami, walcząc o to, jak ma być prowadzony SEAL Team Six i gdzie w łańcuchu dowodzenia ma się znajdować. Moi żołnierze do znużenia skakali z samolotów, spuszczaali się szybką liną ze śmigłowców i strzelali. Ja prowadziłem wojnę

3

ROZDZIAŁ 19

papierkową: jedna cholerna kartka papieru za drugą. Nie podobało mi się to. Ale to robiłem.

Na diagramie zależności służbowej Team Six został podporządkowany dowódcy JSOC (Połączonego Dowództwa Operacji Specjalnych) generałowi brygady Dickowi Scholtesowi, który rezydował w Fort Bragg. On z kolei podlegał najwyższemu organowi dowodzenia krajem, National Command Authority (prezydentowi i sekretarzowi obrony), w którego imieniu działało Kolegium Połączonych Szefów Sztabów (JCS). Jeśli chodzi o moje podejście filozoficzne do funkcjonowania tego łańcucha, to było ono proste: prezydent jest moim właścicielem, JCS zarządcą, a JSOC mówi mi, kiedy mogę pierdnąć. Administracyjna hierarchia służbowa marynarki miała moim zdaniem wobec SEAL Team Six tylko jedną funkcję - była to funkcja „płacz i płąć”.

Pod względem organizacyjnym zarządcą moich funduszy było SURFLANT. To oni płacili za wszystkie rachunki SEAL Team Six. Ale zgodnie z zasadami biurokracji marynarki SURFLANT i SEAL Team Six nie mogły dogadywać się bezpośrednio. Zamiast tego prostego rozwiązania wprowadzono organ pośredniczący. Po co? To dobre pytanie, ale nie znam na nie odpowiedzi. Jednym z powodów, które przychodziły mi do głowy, było to, że SURFLANT nie potrafiło dogadać się z SEALsami, a ja podobno nie potrafiłem dogadywać się z marynarką. Tak czy owak, tym organem pośredniczącym wyznaczonym do komunikowania nas ze sobą było NAVSPECWARGRU TWO, którym kierował komodor Ted Lyon.

Ted niespecjalnie potrafił dogadywać się i z SEALsami, i z marynarką. Ale biegle opanował sztukę pleceni bzdur. A żeby było jeszcze milej, Tedowi udało się przekonać samego siebie, że jest ważnym składnikiem mojej hierarchii służbowej.

Walczyliśmy. On uważał mnie za krnąbrnego psa łańcuchowego, którego trzeba ściągać do nogi, więc szarpał mój łańcuch przy każdej możliwej okazji. Ja uważałem go za małostkowego szczona, a kiedy próbował mnie szarpać, wyszarpywałem mu zębami kawały mięcha. Kwestionował w zasadzie każdy rodzaj kupowanego przeze mnie

37

CZĘŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

specjalistycznego wyposażenia, pisząc do Waszyngtonu notatki służbowe, w których wskazywał, że sprzęt ten jest niezgodny z przepisami i niepotrzebny. Zamówiłem dla Teamu Six niemieckie bezpęcherzy-kowe aparaty nurkowe Dragera. Ted powiedział, że nie możemy ich dostać, bo po pierwsze, jest to zakup zagraniczny, a po drugie, mamy dostępne nasze obowiązujące modele aparatów oddechowych Emer-sona. Przejechałem po Tedzie i dostałem aparaty Dragera.

Potem kupowałem niemieckie pistolety maszynowe kalibru 9 mm Heckler & Koch MP5. Ted znowu narzekał.

- Po co ta zagraniczna broń? Za jedną trzecią tej ceny możemy dostać MAC M10.
- Ale HK są lepsze, Ted. Celniejsze. Zgrabniejsze. Doskonale się nadają do naszej misji.
- Jestem temu absolutnie przeciwny.

Odwołał się, do kogo mógł. Ja też. SEAL Team Six dostał swoje HK.

Marynarka wyleasingowała dla nas cztery jeepy eagle jako samochody do operacji taktycznych. Używaliśmy ich, ale szczerze mówiąc, w akcji niewielki byłby z nich pożytek. Na użytek szkoleń prowadzonych w Stanach były dobre. Podczas misji zagranicznych trudno by jednak było znaleźć części zamienne do eagleów. Poza tym w tych regionach świata, w których mieliśmy działać, już samo poruszanie się amerykańskim samochodem zwraca niepotrzebną uwagę. Dlatego wykorzystując kontakty, jakie miałem w Bonn, skombinowałem dwa wykonane na zamówienie opancerzone mercedesy typu sedan z serii 500 i cztery

mercedesy jeepy za 160 000 dolarów - z rabatem od ceny regularnej wynoszącym ponad 60 procent. Z zewnątrz nasze sedany wyglądały jak zwykle duże samochody powszechnie spotykane w Europie, na Bliskim Wschodzie i w obu Amerykach. Ale wewnątrz zostały zrobione na zamówienie niemieckiej jednostki antyterrorystycznej GSG 9: miały ukryte otwory strzelnicze, zderzak taranowy, schowane lampy sygnalizacyjno-ostrzegawcze, syreny i zestawy do łączności. W jeepach były wieżyczki dachowe i inne cudeńka.

ROZDZIAŁ 19

Ted się wściekł. A ja wepchnąłem mu mercedesy do gardła, zamknąłem mu usta, poruszałem jego szczękami i zmusiłem go, by przełknął.

Pomiędzy pojedynekami z Tedem wpadałem do swoich żołnierzy, którzy przechodzili kolejne etapy cyklu szkoleniowego. Do połowy października wszyscy (nawet starszy chorąży sztabowy Mac, którego przy pierwszym skoku trzeba było wypychać z rampy C-130) przećwiczyli już skoki spadochronowe w wariancie HALO - duża wysokość, niskie otwarcie. Zaczęliśmy też ćwiczyć zjazd szybką liną, czyli metodę umożliwiającą spuszczenie sześciu ludzi z wysokości 18 metrów w czasie krótszym niż cztery sekundy.

Używaliśmy lin angielskich - były miękkie, wykonane ze skręcanego nylonu z odwrotnym splotem i pozwalały hamować rękami. W odróżnieniu od techniki zjazdu na linie, w której wykorzystuje się linę umocowaną do pasz bezpieczeństwa, zjazd szybką liną jest po prostu kontrolowanym spadaniem. Gdybyśmy na przykład chcieli opuścić się szybką liną na pokład rufowy płynącego okrętu, nasz helikopter zbliżyłby się od tyłu, lecąc tuż nad powierzchnią wody, żeby uniknąć wykrycia. Na okręcie nie byłoby też słycać odgłosu nadlatującego śmigłowca. Następnie w ostatniej chwili helikopter uniósłby się szybko, wyskoczył w górę i zawisł nad pokładem rufowym, a wtedy z dwóch boków wykopalibyśmy w dół liny i sześciu ludzi spuściłoby się po nich, po czym śmigłowiec zrobiłby szybki zwrot i zniknął.

Ta technika wymaga zgrania co do ułamka sekundy i pierwszorzędного pilotażu. Pilot helikoptera musi kompensować zmiany ciężaru, kiedy kolejni żołnierze zjeżdżają po wyrzuconych linach. Musi też uwzględniać falowanie oceanu. Jeśli pilot schrzani robotę, to przy półtorametrowej fali może to oznaczać nieprzyjemny trzymetrowy upadek z końca liny.

Ćwiczenia w strzelaniu też wchodziły w kolejne fazy: z dnia na dzień chłopcy stawali się coraz celniejsi. Na początku byłem w stanie dorównać każdemu z żołnierzy Teamu Six. Teraz po paru godzinach na strzelnicy to ja na koniec musiałem stawiać piwo. Siedmioosobowe załogi łodzi strzelały teraz tak dużo - w sumie każdy wystrzeliwał

po 3000 pocisków na tydzień - że w niektórych berettach pojawiły się pęknięcia poniżej komory zamkowej i producent musiał je zmodyfikować do tego stopnia, że SEAL Team Six miał w gruncie rzeczy pistolety robione na zamówienie.

Nie wszystko szło gładko. W bazie Eglin doszło do pierwszego śmiertelnego wypadku podczas ćwiczeń. Stało się to podczas treningu z użyciem ostrej amunicji polegającego na czyszczeniu pomieszczenia, a ofiarą był należący do SEAL Team Six Amerykanin chińskiego pochodzenia, młody chłopak, którego będę tu nazywał Donnie Lee.

W oddalonym zakątku bazy Eglin pobudowaliśmy konstrukcje symulujące pomieszczenia. Ściany zostały wykonane z brezentu rozciągniętego między krawędziakami. W pomieszczeniach, których kształt i wielkość mogliśmy dostosowywać do naszych potrzeb (duże, małe, prostokątne, kwadratowe, trapezoidalne), były też framugi z drzwiami ze sklejki. W środku ustawialiśmy tarcze sylwetkowe przedstawiające porywaczy i zakładników. Celem ćwiczenia wykonywanego w parach było wejście do pokoju i wyczyszczenie go: zabicie bandytów bez zranienia zakładników. Była to procedura często ćwiczona przez zespoły ratujące zakładników. Już kilka lat wcześniej bardzo podobną technikę stosował na przykład Charlie Beckwith podczas szkolenia Delty.

Chodziło o to, żeby strzelcy nabrali szybkości i dopracowali odruchy. Operator, któremu odróżnienie osoby niewinnej od zakładnika zajmuje sekundę, jest zupełnie nieprzydatny. Nawet cywile potrafią rozpoznać zakładnika i porywacza w czasie mniej więcej ośmiu dziesiątych sekundy. Operatorzy AT muszą działać w przedziałach rzędu setnych części sekund, a ich decyzje muszą być podejmowane zarazem instynktownie i właściwie.

Ćwiczenie ratowania zakładników wymaga także pedantycznie opracowanej choreografii. Całymi miesiącami trenowaliśmy trwające ułamki sekund ruchy w niemal każdej możliwej sekwencji, żeby w sytuacji, gdy zdarzy się A, operatorzy instynktownie zareagowali wykonaniem B.

ROZDZIAŁ 19

Tego konkretnego dnia zaczęliśmy od ćwiczeń z rewolwerami. To ważne, bo znaczyło to, że mieliśmy w ręku broń kalibru .357 cala bez napiętego kurka, a strzały oddawaliśmy na zasadzie podwójnego działania spustu. Po przerwie zespoły zmieniły broń na beretty - pistolety półautomatyczne z mechanizmem podwójnego działania. Ćwicząc czyszczenie pomieszczeń, trzymaliśmy te pistolety z jedną sztuką ostrej amunicji w komorze i napiętym kurkiem, dzięki czemu były w praktyce bronią ze spustem pojedynczego działania. Siła nacisku konieczna do oddania strzału z pistoletu ze spustem pojedynczego działania jest znacząco mniejsza niż w wypadku mechanizmu podwójnego działania. Na dodatek zmieniliśmy kolejność, w jakiej operatorzy wchodzili przez drzwi. Normalnie dana para SEALsów zawsze pokonywałaby drzwi w tej samej kolejności. Ale czasami celowo zamienialiśmy ich miejscami, bo w rzeczywistości działa prawo Murphyego. Chcieliśmy być przygotowani na to, co może pójść źle - bo na pewno coś pójdzie źle.

Donnie przez cały ranek był drugi. Teraz miał przechodzić przez drzwi pierwszy. Jego partner, którego będę nazywał Jake, szedł za nim. W pewnym momencie Jake się potknął, poleciał do przodu i nacisnął spust. Pocisk trafił Donniego Lee w plecy.

Rana nie była śmiertelna i odwieziono go szybko do szpitala na terenie bazy. Dotarłem tam tuż po tym, jak zabrano go na salę operacyjną. Donnie był dobrym chłopakiem - trochę naiwnym, ale odruchy miał właściwe. Zawsze uśmiechnięty, potrafił zrobić wszystko, o co się go poprosiło. Byłem strasznie zły, że wypadek przydarzył się właśnie jemu. Już bym wolał, żeby to on coś takiego spowodował. Całkiem załamany siedziałem w szpitalnej poczekalni z papierowym kubkiem kawy z automatu i czekałem, aż wyjdzie lekarz i wyda wyrok. Rokowania były optymistyczne. Trochę mi ulżyło.

Po jakichś dwóch dniach przenieśliśmy Donniego do szpitala marynarki, gdzie lekarze zdecydowali, że trzeba go otworzyć ponownie. Po tej drugiej operacji zaczęło mu się pogarszać - komu by się nie pogorszyło, gdyby w ciągu jednego tygodnia rozcięto go dwa razy z góry na dół? Ciągle byłem zły z powodu tego zdarzenia, ale przywykłem

3

CZĘŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

do myśli, że muszę zaakceptować możliwość wypadków śmiertelnych w SEAL Team Six podczas szkolenia. Ale dotrzymałem słowa, które dałem żołnierzom: przed upływem dwudziestu czterech godzin partner Donniego Lee nie był już członkiem SEAL Team Six. Jake nie był już nawet w ogóle SEALsem. Uzyskałem dla niego przeniesienie do całkiem innej części marynarki. Popęłnił najcięższy grzech SEALsa -zranił swojego partnera. Gdyby to się stało w czasie prawdziwej operacji, Jake chyba by z niej nie wrócił.

Sprowadziliśmy matkę Donniego Lee z Hawajów. Cała ta sytuacja była najcięższa dla niej. Nie miała pojęcia, co robił Donnie, i nie mogła zrozumieć, jak to się stało, że został ranny. Co gorsza, nie mogłem jej nic powiedzieć.

- Jak został ranny? - ciągle pytała pani Lee.
- Podczas szkolenia.
- Jakiego szkolenia?
- Przykro mi, proszę pani, niestety nie mogę powiedzieć.

Po jakimś tygodniu u Donniego doszło do paskudnego zakażenia gronkowcem. Potem zapadł w śpiączkę. Codziennie spędzałem parę godzin w szpitalu, patrząc na tego chłopaka podłączonego do respiratora. Zdarzało mi się na niego wrzeszczeć.

- Wstawaj, Donnie, do k***y nędzy! - krzyczałem.

Często kiedy to robiłem, Donnie się lekko poruszał. Pani Lee była bardzo przejęta.

- Słyszysz pana, słyszysz pana - mówiła do mnie.

Była matką: nie poddała się do samego końca.

Śmierć Donniego nie wstrzymała tempa ani nasilenia naszego harmonogramu szkoleń. Nie mogłem na to pozwolić. W prawdziwym świecie nikt się nie zatrzymuje, żeby się zamyślać czy bez ustanku gadać. A już na pewno nie wtedy, kiedy ma do wykonania misję. Wszystkie te hollywoodzkie filmy, w których jakiś dzieciak ginie podczas szkolenia, a jego najlepszego przyjaciela oblatuje strach i nie potrafi pilotować samolotu (Top Gun to pierwsze skojarzenie) czy wykonywać swojej pracy, to kompletna bzdura.

ROZDZIAŁ 19

Moi ludzie wiedzieli, że jeśli podczas akcji sobie z czymś takim nie poradzą, to już po nich. I nie będzie to kwestia miesięcy czy tygodni, czy nawet dni - ale godzin albo minut. W elitarnych oddziałach nie daje się drugiej szansy. Nikt nie pieści się tam z żołnierzami ani się nad nimi nie roztkliwia. To przede wszystkim dlatego są to jednostki elitarne. Ludzie zgłaszają się do Delta Force czy SEAL Team Six na ochotnika, bo chcą robić coś, czego nikt inny jeszcze nigdy nie robił. Nie przychodzą dla medali ani dla chwały, ani dla braw. Zgłaszają się, bo chcą zmusić się do wyjścia poza zakres wszelkich znanych im wcześniej doświadczeń - i albo im się udaje, albo giną, próbując. To nie hiperbola. To zwykły fakt.

Dlatego śmierć czy i^e śmierć - pracowaliśmy dalej. Nie można było się zatrzymywać. Chciałem, żeby SEAL Team Six wyszedł poza wszelkie schematy, żebyśmy potrafili uderzyć na nieprzyjaciela z zaskoczenia w taki sposób, w jaki nie robił tego nikt nigdy wcześniej. Podzieliłem team na dwie części: Blue i Gold. Kiedy ci z Blue pojechali do Luizjany i ćwiczyli wspinanie się na szyby naftowe w Zatoce, ci z Gold polecili do Arizony, gdzie wynająłem 45 kilometrów przestrzeni powietrznej, i zaczęliśmy ćwiczyć skoki HAHO - duża wysokość, wysokie otwarcie.

Ta technika wydała mi się sensowna. Bo postawmy się w sytuacji bandyty: słyszymy samolot. Patrzymy w górę. Spada na nas jakaś banda zasyfiałych dupków SEALsów. No to rozwalamy ich, kiedy tak lecą. Spadajcie, spadochroniarze. Ale przy skokach HAHO samolot leci na wysokości prawie 10 000 metrów i jakieś 30 kilometrów dalej niż miejsce lądowania. W ogóle go nie widzimy. W ogóle go nie słyszymy. A tu nagle ni stąd, ni zowąd: „A kuku, sukinsynu, no to dałeś dupy”.

Zaczęliśmy używać spadochronów jako paralołni. Kupiliśmy miniaturowe butle z tlenem, które pomagały nam nie stracić przytomności, przypinaliśmy latarki do hełmów, a kompasy do nadgarstków. Skakaliśmy nocą z samolotów C-141 StarLifter, które leciały tak wysoko, że bez kompasu nie potrafilibyśmy odróżnić świateł Phoenix od Tucson.

3

CZĘŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

Podczas któregoś z ćwiczeń HAHO prowadzonych za dnia jeden z moich lepszych skoczków - będę go nazywał Nestle - miał awarię spadochronu na wysokości jakichś 6000 metrów. Spróbował wycze-pienia: należało wypiąć wadliwy spadochron, następnie spadać swobodnie paręset metrów i otworzyć zapasowy spadochron. Wyczepienie się udało, ale zapasowy spadochron też nie zadziałał.

Jego śmierć zakwalifikowano jako wypadek podczas skoków sportowych organizowanych przez prywatne lotnisko, z którego startowaliśmy, a ciało Nestlea zabrano do kostnicy. Po czym w ciągu paru godzin pojawił się jakiś miejscowy reporter i zaczął wypytywać, kim jest tych czterdziestu paru „skoczków sportowych”, którzy wynajęli cały obiekt lotniska i skaczą z wielkich czarnych samolotów bez oznaczeń. Chodziło o nas. Mnie z nimi nie było, ale Trailer Court i drugi z moich potrafiących szybko kojarzyć fakty oficerów mieli bardzo napięty dzień. Skończyło się na tym, że wykradli ciało Nestlea z miejscowej kostnicy i zabrali je do obiektów wojskowych, zanim dopadły ich władze i prasa. Nikomu nie było wolno dopytywać o SEAL Team Six.

Kiedy zjawiłem się na miejscu, chłopcy z Gold Teamu zdążyli już wznowić szkolenie HAHO. Wiedzieli, że nie mogą sobie pozwolić, żeby coś wybiło ich z rytmu - więc nie pozwolili. Byłem dumny z ich milczącej, zawziętej determinacji, by iść dalej. Byłem dumny - tak najkrócej mogę ująć bardzo złożoną rzeczywistość.

Spróbuję to wyjaśnić. SEALsi nie spędzają zbyt wiele czasu na filozofowaniu na temat tego, co robią. Po prostu to robią, jak mówi pewien slogan reklamowy. Ale kto był SEALsem, ten wie, co znaczy „to robić” - wie, ile trzeba zмагаć się z bólem. Wie, że śmierć zawsze jest bardzo realną możliwością. Takie są fakty. Ale my się nad nimi nie rozwodzimy.

Sprawozdawcy sportowi - zwłaszcza ci, którzy zajmują się komentowaniem meczów NFL - poświęcają mnóstwo czasu na opowiadanie, jak zawodnicy grają mimo złamanych kości albo skręconych czy zwichniętych stawów. Sami zawodnicy zbyt wiele nie mówią. Po prostu zaciskają zęby i zajmują się zdobywaniem punktów. Tak też jest z SEALsami.

ROZDZIAŁ 19

Kiedy mieliśmy już za sobą skoki HAHO i HALO, należało postawić pytanie, jak jeszcze możemy zaatakować bandytów z zaskoczenia. Przyszło mi do głowy, że jednym ze sposobów skutecznego potajemnego przerzucenia oddziału skoczków jest użycie zwykłego samolotu rejsowego. Wystarczy tylko, żeby samolot zboczył na jakiś czas z wyznaczonej trasy z powodu „awarii silnika” albo „kłopotów z utrzymaniem ciśnienia w kabinie”.

Na przykład: powiedzmy, że dostaliśmy zadanie przeniknięcia do Libii i wysadzenia zakładów produkujących broń chemiczną, o których Kaddafi twierdzi, że nie istnieją, albo przeprowadzenia ataku na obóz szkoleniowy gdzieś w głębi libijskiej pustyni i zlikwidowania dwudziestu paru terrorystów Abu Nidala. Jak to robimy? Rekwirujemy - oczywiście z pomocą miejscowych władz - samolot linii Egyptair albo Roy/i Air Maroc mający wyznaczony lot przecinający libijską przestrzeń powietrzną w pobliżu obiektów, które planujemy odwiedzić. Władze odsyłają pasażerów z kwitkiem, ale samolot odlatuje zgodnie z rozkładem - a zamiast tych, co kupili bilety, na pokładzie jesteśmy my. Kiedy maszyna zbliża się do celu, pilot zgłasza jakieś kłopoty i na parę minut sprowadza samolot z wysokości jakichś 12 000 metrów na niecałe 10 000, jednocześnie zbaczając z kursu o, powiedzmy, 80 czy 160 kilometrów. We właściwej chwili wyskakuje Team Six. Wtedy pilot zgłasza przez radio, że wszystko wróciło do normy, i wraca na pierwotny kurs. Tymczasem my szybujemy jeszcze z 65 kilometrów, lądujemy, formujemy oddział, atakujemy fabrykę albo zabijamy terrorystów, po czym spokojnie się ewakuujemy. Pieprz się, Muammar.

Żadna jednostka wojskowa nie robiła wcześniej niczego podobnego. Więc wypożyczyłem dla nas od Braniff Airlines boeinga 727 z dwoma pilotami, posadziliśmy Horsefacea na fotelu drugiego pilota i lataliśmy nad wiejskimi terenami Arizony, ćwicząc skakanie z samolotu.

Wszystkie te ćwiczenia dla mnie też nie były żadnym ubawem. Zobowiązałem się wobec swoich ludzi, że nie będę od nich wymagał niczego, czego bym sam najpierw nie zrobił.

3

CZĘŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

Podczas któregoś z ćwiczeń HAHO prowadzonych za dnia jeden z moich lepszych skoczków - będę go nazywał Nestle - miał awarię spadochronu na wysokości jakichś 6000 metrów. Spróbował wycze-pienia: należało wypiąć wadliwy spadochron, następnie spadać swobodnie paręset metrów i otworzyć zapasowy spadochron. Wyczepienie się udało, ale zapasowy spadochron też nie zadziałał.

Jego śmierć zakwalifikowano jako wypadek podczas skoków sportowych organizowanych przez prywatne lotnisko, z którego startowaliśmy, a ciało Nestlea zabrano do kostnicy. Po czym w ciągu paru godzin pojawił się jakiś miejscowy reporter i zaczął wypytywać, kim jest tych czterdziestu paru „skoczków sportowych”, którzy wynajęli cały obiekt lotniska i skaczą z wielkich czarnych samolotów bez oznaczeń. Chodziło o nas. Mnie z nimi nie było, ale Trailer Court i drugi z moich potrafiących szybko kojarzyć fakty oficerów mieli bardzo napięty dzień. Skończyło się na tym, że wykradli ciało Nestlea z miejscowej kostnicy i zabrali je do obiektów wojskowych, zanim dopadły ich władze i prasa. Nikomu nie było wolno dopytywać o SEAL Team Six.

Kiedy zjawiłem się na miejscu, chłopcy z Gold Teamu zdążyli już wznowić szkolenie HAHO. Wiedzieli, że nie mogą sobie pozwolić, żeby coś wybiło ich z rytmu - więc nie pozwolili. Byłem dumny z ich milczącej, zawziętej determinacji, by iść dalej. Byłem dumny - tak najkrócej mogę ująć bardzo złożoną rzeczywistość.

Spróbuję to wyjaśnić. SEALsi nie spędzają zbyt wiele czasu na filozofowaniu na temat tego, co robią. Po prostu to robią, jak mówi pewien slogan reklamowy. Ale kto był SEALsem, ten wie, co znaczy „to robić” - wie, ile trzeba zmagać się z bólem. Wie, że śmierć zawsze jest bardzo realną możliwością. Takie są fakty. Ale my się nad nimi nie rozwodzimy.

Sprawozdawcy sportowi - zwłaszcza ci, którzy zajmują się komentowaniem meczów NFL - poświęcają mnóstwo czasu na opowiadanie, jak zawodnicy grają mimo złamanych kości albo skręconych czy zwichniętych stawów. Sami zawodnicy zbyt wiele nie mówią. Po prostu zaciskają zęby i zajmują się zdobywaniem punktów. Tak też jest z SEALsami.

ROZDZIAŁ 19

Kiedy mieliśmy już za sobą skoki HAHO i HALO, należało postawić pytanie, jak jeszcze możemy zaatakować bandytów z zaskoczenia. Przyszło mi do głowy, że jednym ze sposobów skutecznego potajemnego przerzucenia oddziału skoczków jest użycie zwykłego samolotu rejsowego. Wystarczy tylko, żeby samolot zboczył na jakiś czas z wyznaczonej trasy z powodu „awarii silnika” albo „kłopotów z utrzymaniem ciśnienia w kabinie”.

Na przykład: powiedzmy, że dostaliśmy zadanie przeniknięcia do Libii i wysadzenia zakładów produkujących broń chemiczną, o których Kaddafi twierdzi, że nie istnieją, albo przeprowadzenia ataku na obóz szkoleniowy gdzieś w głębi libijskiej pustyni i zlikwidowania dwudziestu paru terrorystów Abu Nidala. Jak to robimy? Rekwirujemy - oczywiście z pomocą miejscowych władz - samolot linii Egyptair albo Royal Air Maroc mający wyznaczony lot przecinający libijską przestrzeń powietrzną w pobliżu obiektów, które planujemy odwiedzić. Władze odsyłają pasażerów z kwitkiem, ale samolot odlatuje zgodnie z rozkładem - a zamiast tych, co kupili bilety, na pokładzie jesteśmy my. Kiedy maszyna zbliża się do celu, pilot zgłasza jakieś kłopoty i na parę minut sprowadza samolot z wysokości jakichś 12 000 metrów na niecałe 10 000, jednocześnie zbaczając z kursu o, powiedzmy, 80 czy 160 kilometrów. We właściwej chwili wyskakuje Team Six. Wtedy pilot zgłasza przez radio, że wszystko wróciło do normy, i wraca na pierwotny kurs. Tymczasem my szybujemy jeszcze z 65 kilometrów, lądujemy, formujemy oddział, atakujemy fabrykę albo zabijamy terrorystów, po czym spokojnie się ewakuujemy. Pieprz się, Muammar.

Żadna jednostka wojskowa nie robiła wcześniej niczego podobnego. Więc wypożyczyłem dla nas od Braniff Airlines boeinga 727 z dwoma pilotami, posadziliśmy Horsefacea na fotelu drugiego pilota i lataliśmy nad wiejskimi terenami Arizony, ćwicząc skakanie z samolotu.

Wszystkie te ćwiczenia dla mnie też nie były żadnym ubawem. Zobowiązałem się wobec swoich ludzi, że nie będę od nich wymagał niczego, czego bym sam najpierw nie zrobił.

- Nie będę wam kazał pieprzyć nikogo, kogo bym sam nie wypie-przył, i nie będę wam kazał pakować się w nic, w co sam bym się nie wpackował - tak im powiedziałem.

Więc skakałem z samolotów razem z Gold Teamem, cucilem się bombayem i maścią Ben-Gay, leciałem do Luizjany i brałem się do wspinaczki na szyby naftowe z chłopakami z Blue. Potem czołgałem się z powrotem do Little Creek, gdzie Ted Lyon robił sobie ze mnie worek treningowy.

Nie tylko zresztą on. Tajemnica otaczająca Team Six wpłynęła na moje życie rodzinne bardziej niż którekolwiek z moich wcześniejszych zajęć. Kathy nie miała z mojej pracy żadnych dodatkowych profitów ani nawet korzyści towarzyskich, jakimi zwykle cieszą się żony dowódców - mam na myśli takie rzeczy jak poczucie bycia blisko wierzchołka w hierarchii zatrudnionych w danej bazie, szacunek okazywany przez żony innych oficerów niższego szczebla i bycie na świeczniku. Moja praca była ściśle tajna. Byłem w rozjazdach. Kathy była nie tylko odcięta od zwykłego obiegu plotek, ale także przez większość czasu była sama. Kiedy dowodziłem SEAL Team Two, też często byłem w rozjazdach. Ale wtedy moja żona mogła dzielić się swoimi problemami z innymi młodymi matkami. Teraz była starsza niż większość żon oficerów, nasze dzieci były nastolatkami - i już jej tak bardzo nie potrzebowały - a ona ani nie wiedziała, czym ja się zajmuję, ani nie wolno jej było mówić nawet o tym, czego mogłaby się domyślać. W efekcie cierpiał nasz związek.

Kłóciliśmy się o wszystko. Oddalaliśmy się od siebie. Dom był miejscem, gdzie rzucałem bagaże, robiłem pranie i zostawałem na parę nocy. To nie był dom. Ale nie zamierzałem pozwolić, by życie osobiste miało wpłynąć na jednostkę. Nie można pozwalać, by uczucia do żony i dzieci przeszkadzały w wykonywaniu pracy. Jeśli się do tego dopuści, można stać się nieostrożnym, a w moim wypadku nieostrożność mogła mieć śmiertelne skutki.

Nie jest tak, że małżeństwo nie jest w stanie przetrwać tego niewiarygodnego stresu, który kierowanie jednostkami w rodzaju SEAL Team

ROZDZIAŁ 19

Six nakłada na dowódcę. Charliemu Beckwithowi i jego żonie Katharine udało się całkiem dobrze przejść przez okres tworzenia i wdrażania do działania Delta Force. Małżeństwo Paula Henleya przetrwało tworzenie Teamu Six. Ale słabe małżeństwa - takie, jakim stał się mój związek z Kathy - są prawdopodobnie skazane na porażkę. A jeśli mam być szczerzy, to ani trochę nie byłem wtedy kochającym mężem.

Mam świadomość, że mojej żonie było ciężko z mojego powodu. Wiem też, że marynarka dostawała z mojego powodu megabólu głowy. Już samo to, że SEAL Team Six był tajną jednostką, powodowało wystarczająco wiele problemów, żeby każdy zajmujący się nimi oficer w administracji przedwcześnie osiwił.

Oficjalnie SEAL Team Six nawet nie istniał. Byłem wprowadzić dowódcą, ale nie miałem jednostki. Formalnie byłem zatrudniony jako dyrektor cywilnej jednostki badawczej z

siedzibą gdzieś w regionie Tidewater, niespełna 50 kilometrów od Norfolk. Poza tym Team Six przez prawie 100 procent czasu był w drodze. Żadna jednostka marynarki nie spędziła nigdy tyle czasu w trasie, zatrzymując się na ogół w obiektach cywilnych. Używaliśmy - i nadużywaliśmy - wynajmowanych samochodów, lataliśmy zwykłymi samolotami rejsowymi (przemycając broń na pokład) i meldowaliśmy się w hotelach i motelach, nie korzystając ze zniżek przysługujących wojskowym. Szkoliliśmy się wprawdzie w bazie Eglin, ale mieszkaliśmy w kilku okolicznych motelach zamiast w samej bazie. Gryzpiórki i nieudacznicy marudzili z tego powodu. Powiedziałem im, gdzie sobie mogą wsadzić swoje skargi.

Logistyka SEAL Team Six stała się administracyjnym i księgowym koszmarem. Wyobraźcie sobie, na czym polega próba śledzenia mniej więcej osiemdziesięciu gości, którzy podróżują przez dwadzieścia dziewięć dni w miesiącu pod przybranymi nazwiskami. Trzeba było skontrolować olbrzymie ilości paragonów, stopy dowodów wpłaty i kupę formularzy zwrotu kosztów. Zamęt zwiększał fakt, że posługiwaliśmy się na ogół gotówką, żeby nie zostawiać śladów (byliśmy w końcu podobno tajną jednostką). A kiedy podróżowaliśmy, wypełniając wojskowe

37

CZĘŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

rozkazy, używaliśmy podrobionych dokumentów wojskowych i insygniów nieistniejących jednostek oraz podpisywaliśmy pokwitowania najrozmaitszymi nazwiskami - z wyjątkiem własnych. Takie praktyki powodowały prawdopodobnie nieustanną pokrzywkę u liczykrup w księgowości marynarki. Z własnego doświadczenia wiem, że u Teda Lyona były przyczyną megabólu głowy.

Nawet kiedy nie lataliśmy samolotami rejsowymi, przysparzaliśmy problemów marynarce. W tamtym czasie siły powietrzne zaczynały właśnie stosować w transporcie olbrzymie modele C-5A. Taki gigantyczny samolot mógł zabrać naraz na pokład cały team wraz z pełnym wyposażeniem, podczas gdy podróżowanie C-130 albo C-141 wymagało kilku samolotów. A przecież wszyscy musieliśmy docierać na miejsce o tej samej porze - integralność oddziału, pamiętacie? Przećwiczyliśmy kilka razy załadunek, po czym zarekwirowaliśmy C-5A i kazaliśmy wojskom lotniczemu zawieźć nas do Luizjany, gdzie wylądowaliśmy w bazie rezerwy marynarki tuż za granicami Nowego Orleanu.

Nie robiliśmy sobie kłopotu wcześniejszą zapowiedzią ani nie bawiliśmy się w żadne tam „proszę o pozwolenie na lądowanie”. W bazie dowiedzieli się o nas, kiedy nasz C-5A - a trzeba pamiętać, że to cholernie wielki samolot - siadł na płycie lotniska, zakończył kołowanie, wypuścił przednią rampę i wyjechało z niego sześć samochodów oraz ciężarówek wypakowanych długowłosymi niechlujami z bronią automatyczną w rękę. Niechluję skierowały się prosto do bramy wyjazdowej, nie powiedziawszy nawet adios.

Znalazł się, oczywiście, jakiś dupek oficer, który przybiegł po pasie startowym, żeby nas przywitać i zapisać. Sapiąc i dysząc, machał do nas jak szalony otwartym skoroszytem.

- Kim jesteście? Skąd przylecieliście? Kto wam dał pozwolenie na lądowanie? Gdzie jedziecie?

Posłałem mu buziaka, pokazałem mu parę własnoręcznie podrobionych identyfikatorów, podpisałem się na jego papierkach jako Dwight David Eisenhower i powiedziałem, żeby się zmywał.

- Pan się nie przejmuj, panie kapitanie.

ROZDZIAŁ 19

Po czym docisnąłem gaz do dechy i zniknąłem. Jakimś cudem wieść

o naszej wizycie dotarła jednak do Little Creek.

Stworzyłem dla Teamu Six przykrywkę: firmę Freeport Marine Corporation. Mieliśmy wizytówki i papier firmowy. Prosiłiśmy o zniżkę dla firm, kiedy meldowaliśmy się w hotelach Holiday Inn i zwracaliśmy wypożyczone samochody. Zaprzyjaźniłem się z komendantem Billym Poem z policji stanu Luizjana, który dowodził tamtejszym oddziałem SWAT. Billy zdobył dla nas lokalne prawa jazdy i tablice rejestracyjne, żebyśmy mogli zastąpić nimi numery z Wirginii na samochodach, z którymi przylatywaliśmy z Little Creek, i meldować się w hotelach

o motelach, używając dokumentów z Luizjany. W Luizjanie nikt z tym nie miał problemu, ale marynarce wcale się to nie podobało.

Pod koniec 1980 roku napięcie osiągnęło punkt krytyczny. Ted Lyon zdążył do tego czasu stoczyć ze mną całkiem sporo potyczek; ścieraliśmy się o wszystko: poczynając od zakupów, po strukturę łańcucha dowodzenia - i zawsze wygrywałem. Ted walczył ze mną nawet na gruncie, na którym czuł się najpewniej: na papierze. Będąc komodorem NAVSPECWARGRU TWO, Ted pisał moje opinie służbowe. Opinia, którą sporządził za okres jesieni i zimy 1980 roku, była dziełem sztuki: „Kmdr Marcinko jest nowatorskim towarzyskim [sic] oficerem, który wiele dokonał na stanowisku dowódcy SEAL TEAM SIX” - pisał Ted. Ale dalej martwił się, bo „Marcinko stale jednak przejawia pewną cechę, która bardzo niepokoi piszącego niniejszą opinię oficera oraz dowódcę naszej jednostki; w szczególności częstokroć [sic] nie przestrzega hierarchii służbowej [...]. Stosunki istniejące między nowo powstałą jednostką kmdra Marcinki a resztą środowiska działań specjalnych można opisać następująco: »Zrobimy, jak będziemy chcieli" albo »Was tu nie potrzeba«. Jestem przekonany, że jest to bezpośrednie odzwierciedlenie postawy osoby dowódcy [...]. Kmdr Marcinko musi jednakże dostosować się do tego, jak się postępuje w marynarce, i jest moim zamiarem, by tak uczynił”.

Ted wezwał mnie zatem po raz kolejny do swojego gabinetu, wziął mnie na aż nazbyt dobrze mi znany dywanik i zaprezentował kolejną ze swoich opinii.

- Dick, wygląd twoich podkomendnych przynosi hańbę marynarce wojennej.

Wyjaśniłem mu - cierpliwie, jak mi się wydawało - że SEAL Team Six otrzymał zgodę na działanie z uwzględnieniem zmodyfikowanych standardów wyglądu.

- Czym innym są standardy zmodyfikowane, a czym innym standardy nie do przyjęcia. Wygląd twojego teamu jest nie do przyjęcia. Chcę, żebyś ich doprowadził do porządku.

- Ale przecież oni mają wyglądać jak cywile, Ted. Tak, żeby można ich było wziąć za robotników albo za studentów, albo...

- Każ im nosić peruki - przerwał mi.

- Świetny pomysł, Ted. Musiałeś mieć chyba jakieś objawienie. Już ich widzę, jak spadają z 8 kilometrów i zanim otworzą spadochron, wyciągają z kieszeni te pieprzone peruki, żeby je sobie włożyć. Albo zjeżdżają szybką liną, żeby wpaść przez okno, i mówią: „Przepraszam, panie terrorysto, ale muszę sobie najpierw przymocować perukę, zanim pana rozwalę”.

- Dick...

- Czy ty jesteś posrańcem z gównem zamiast mózgu? Tylko jakiś dupek mógłby wpaść na taki pomysł, Ted. Moi chłopcy muszą umieć przeniknąć niepostrzeżenie na teren obcego lotniska albo przejść przez pieprzone graniczne punkty kontrolne strzeżone przez pieprzonych tajniaków, a ty chcesz im wkładać na głowy jakieś przeklęte peruki? Czyś ty całkiem już ten swój mózg wysrał?

Najeżył się.

- Mówię o utrzymywaniu pewnego rodzaju dyscypliny. Twoi ludzie są nie do opanowania.

Zmarszczył brwi: coś mu się przekrzywiło na biurku. Ted przesunął o centymetr kubek z zastrzonymi ołówkami, umieszczając go ostrożnie z powrotem na wyznaczonym mu miejscu. Potem wrócił do rozmowy ze mną.

ROZDZIAŁ 19

- Słuchaj, Dick, nie mówię, żeby się mieli golić prawie do gołej skóry. Ale zmodyfikowane standardy wyglądu znaczą, że włosy mogą sięgać uszu, a nie że żołnierze mają nosić wąsy Fu Manchu i końskie ogony. Taka moda jest obrażą dla marynarki wojennej. Taka moda za bardzo wyróżnia twoich ludzi na tle innych jednostek. A to przypomina mi o drugim problemie. Skarżą mi się inni dowódcy: zaczynają mieć kłopoty z własnymi żołnierzami. SEAL Team Six ma zły wpływ na całą bazę i zakłóca jej funkcjonowanie.

- To smutne, Ted. Może się mylę, ale jak ja byłem dowódcą SEAL Team Two, wprowadziłem żelazną zasadę, że wszyscy mają się golić, i stosowałem ją. Skoro obecny dowódca nie potrafi sobie poradzić ze swoimi ludźmi, to jego problem, a nie mój.

Ted poprzewracał oczami i dał mi spokój. Jakiś tydzień później dowiedziałem się, że dostał długą epistołę od dowódcy SURFLANT-u admirała J.D. Johnsona, który skarżył się na standardy wyglądu mojego teamu i domagał się, by Ted coś z tym zrobił. Nie miałem dowodów, że Ted ukartował tę skargę admirała, ale doskonale mogłem sobie wyobrazić, że maczał w tym palce.

Na szczęście miałem różne sposoby radzenia sobie z komodorem Lyonem. Jedną z pierwszych lekcji, jakich nauczyłem się w Wietnamie, brzmiała: „Nie czekaj, aż nieprzyjaciel do ciebie przyjdzie - ty sam wybierz się do niego”. Oczywiście komodor Edward Lyon III nie znał tej taktyki. On nigdy nie został wysłany do walki w Wietnamie. Pieprz się, Ted.

Zadzwoiłem do generała brygady Richarda Scholtesa, dowódcy JSOC w Fort Bragg. Scholtes był moim prawdziwym szefem. Podobnie jak Bill Crowe Scholtes też mówił mi po imieniu.

- Generale - powiedziałem - spadają tu na mnie prawdziwe gromy ze strony naszego komodora, tego dupka Teda Lyona. Nie pojawiłby się pan u mnie na przegląd personelu? Pan jest dowódcą operacyjnym i jeśli nosimy za długie włosy albo nie dbamy o teren jednostki, to pan powinien mnie stawiać na baczność, a nie Ted.

Scholtes się zgodził i powiedział, że pokaże się u nas w sobotę o 9.00.

3

CZŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

Normalnie przegląd umundurowania odbywałby się na placu apelowym. Ale ponieważ Team Six był tajną jednostką, nasze przeglądy odbywały się w którymś z dwóch kurników na tyłach SEAL Team Two. W piątek cały team - oficerowie, podoficerowie i szeregowi - wyszedł na obchód terenu, grabiąc liście i szyszki. Przyszedł mi do głowy pomysł, żeby wzorując się na Evie Barretcie, dodać po bokach chodników rządki puszek po piwie, ale uznałem, że w tym wypadku lepiej będzie nie przesadzić. Potem wyszorowaliśmy kurniki najporządniej, jak się dało, chociaż niewiele mogliśmy zrobić, żeby poprawić ich zasadniczo obsrany stan.

W sobotę o 7.00 zabrałem całą jednostkę w niebieskich mundurach galowych z medalami. Oficerowie mieli przypięte szable i białe rękawiczki. Stanowiliśmy imponującą grupę: jeden z moich młodszych chorążych Mikey T. za służbę w Wietnamie otrzymał Medal Honoru. Miał go teraz na szyi. Było też mnóstwo innych odznaczeń, poczynając od Srebrnych i Brązowych Gwiazd, a kończąc na najrozmaitszych medalach pochwalnych, odznaczeniach za udział w walkach i Purpurowych Sercach.

Nigdy nie dbałem o medale. W Wietnamie Drew Dix i Harry Humphries podczas bitwy o Chau Doc ruszyli na ratunek pielęgniarsce Maggie i grupce innych cywili. Wojska lądowe

odznaczyły Drew Medalem Honoru za jego dokonania z tego dnia. Ja przedstawiłem Harry'ego do odznaczenia Brązową Gwiazdą, chociaż kiedy dowiedziałem się, jak wojska lądowe potraktowały Drew, podwyższyłem swoją rekomendację do Srebrnej Gwiazdy. Moim zdaniem Harry robił po prostu jako SEALs to, co do niego należało, a medale to tylko medale. Ale na innych odznaczenia robią wrażenie. Wobec tego każdy z nas przypiął sobie wszystkie medale, jakie tylko miał. Parę razy przeciwiczyłem z teamem komendę „bacność”, żeby osiągnąć jak najlepsze zgranie. Dzwonienie metalu na piersiach żołnierzy przypominało dźwięk pieprzonych dzwonek. Omówiliśmy parę detali, po czym wśliznąłem się do kurnika, w którym było moje miejsce pracy, i czekałem, aż pojawi się Dick Scholtes. Chciałem spędzić z nim parę chwil sam na sam.

ROZDZIAŁ 19

Dick Scholtes nie był operatorem Special Forces - a nawet, mimo że ukończył szkołę Special Forces, nigdy nie chciał nosić ich znaku rozpoznawczego, zielonego beretu. Wolał pozostać staroświeckim żołnierzem, niewciskającym kitu, szorstkim, zawziętym konwencjonalnym wojownikiem, a ilekroć wkładał cywilne ubranie, z dumą nosił spinkę do krawata oraz klamrę do paska 82. Dywizji Powietrznodesantowej. Zawsze miałem wrażenie, że powierzenie mu dowodzenia JSOC odebrał jako lekki zawód. Wolałby dowodzić dywizją powietrznodesantową. Ale nawet jeśli on sam był zawiedziony, nie było tego widać po jego sposobie dowodzenia, bo potrafił wspierać podkomendnych -i dokopać im też.

Dokładnie o godzinie 9.00 generał Scholtes przyleciał z Fort Bragg, lądując swoim wielkim helikopterem na głównym lądowisku w Little Creek. Wysłałem jednego ze swoich administracyjnych pomocników, żeby odebrał generała i wyjaśnił, dlaczego nie przybyłem osobiście (bo mam na sobie mundur, w związku z czym nie mogę się pokazywać w bazie).

Żeby dostać się do naszych kurników, Scholtes musiał przejść przez teren SEAL Team Two, który nie był za dobrze posprzątany. Nie uszło to czujnej uwagi generała. Następnie wszedł frontowym wejściem do mojej kwatery głównej.

Oddałem honory.

-Sir.

Zasalutował, zlustrował mój mundur, szablę, białe rękawiczki, Srebrną Gwiazdę, cztery Brązowe Gwiazdy i zarost wilkołaka.

- Niezła broda, Dick. Zawsze zapuszczasz sobie brwi aż do policzków?

- Tylko wtedy, kiedy mam zgodę na zmodyfikowane standardy wyglądu albo jestem w dżungli, sir.

Wzruszył ramionami.

- Jak dla mnie w porządku.

Zaczął uważnie przyglądać się otaczającym go przedmiotom, a twarz powoli zaczęła mu się wykrzywiać. W końcu zmarszczył brwi.

3

CZĘŚĆ DRUGA UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

- Żadnych dywanów? Nic nie macie na podłogach?

-Nic.

- Na ścianach też nic?

- Przykro mi, sir.

- Te biurka wyglądają jak gówniany złom.

- Zgadza się, generale.

- Jezu, Dick, co za sracz! Tylko to wam dali?

- Cieszę się, że pan to zauważył. To jest gabinet, który dzielimy razem z szefem sztabu, szefem operacji i starszym chorążym sztabowym. Jeśli pan chce, zaprowadzę pana do dwóch toalet. Obie są używane prawie na okrągło.

- Darujmy to sobie - powiedział Scholtes. - Masz tu kawę?

- Tak jest.

- To jak leci, jeśli pominąć kwatery?

- Dobrze. - Nalałem kubek kawy i podałem generałowi. - Nie przejmuję się tym gównem, bo będziemy się przenosić do własnej stałej bazy, jak tylko skończą budować nasze obiekty. Poza tym, generale, nie przebywamy tu za wiele. Jeśli wyjrzy pan na zewnątrz, to nie znajdzie pan tam ani jednego szybu naftowego, na który moglibyśmy się wspinać, ani też okrętu do ćwiczenia abordażu. A bezpieczeństwo operacji nie pozwala nam wdrapywać się na łańcuchy kotwiczne w naszej bazie desantowej. Wypływamy daleko w głąb oceanu, żeby ścigać okręty. Strzelamy na Florydzie, skaczemy w Arizonie, wspinamy się w Luizjanie. Poza tym wokół jest tu za dużo SEALsów. Oni znają nas, my znamy ich, przez co wszyscy mają kłopoty.

- Zgadza się. A jak jest z tym bzdurnym łańcuchem dowodzenia?

- Chyba będę musiał jakoś z tym żyć.

Scholtes skinął głową na znak zgody.

- Wielkim organizacjom - powiedział - jest trudno, kiedy mają do czynienia z działaniami bezprecedensowymi. Wolą, jak wszystko idzie zgodnie z przepisami.

Funkcjonują zgodnie z pewnym zestawem żelaznych reguł. Ale w twoim wypadku, Dick, nie ma przepisów. W dziedzinie Spec War nie ma reguł, a przynajmniej nie ma reguł, które

ROZDZIAŁ 19

potrafiłby zrozumieć ktoś, kto całe zawodowe życie spędził, myśląc konwencjonalnie. Weźmy Teda Lyona...

- Musimy?

Roześmiał się.

- Chyba nie możesz się go pozbyć. Słuchaj, Ted pewnie patrzy na ciebie tak samo, jak oficerowie sztabowi patrzą na wszystko, co niezwykle, i na niezwykle ludzi: wydaje mu się, że jakiś samotny słoń traktuje jego terytorium. Traktuje twoje zamówienia tak samo, jak postępuje z zapotrzebowaniem na papier toaletowy albo długopisy. Tacy ludzie nie mają wyobraźni: nie potrafią pojąć, dlaczego powierzona ci misja miałaby nadawać twoim sprawom jakikolwiek priorytet. Chcą, żebyś grzecznie czekał w kolejce z innymi dupkami.

- Rozumiem to, sir. Rozumiem na płaszczyźnie intelektualnej. Ale naprawdę zaczyna b/ć trudno z tym żyć, dzień po dniu.

- Całkowicie się z tym zgadzam - powiedział Scholtes.

- Chodzi o to, generale, że ten cholerny gówniany czepialski z drętowymi jajami wymyśla całą masę takich bzdur jak te standardy wyglądu, przez które jest pan tu dzisiaj.

Powiedziałem Scholtesowi o sugestii Teda, żeby Team Six nosił peruki.

- Ten gość chyba naprawdę jest ograniczony - powiedział. - Słuchaj, zrobię dla ciebie, co tylko będę mógł. - Dopił kawę i wstał. - No to, Dick, bierzmy się do tego.

Przeszliśmy przez wiatę między kurnikami. Przy drzwiach zawołałem:

- Orszak kontrolny przybywa.

Drzwi otworzyły się od środka. Przytrzymał je Mikey T. Generał obejrzał się na mnie przez ramię.

- Ty sukinsynu - powiedział z uśmiechem.

Następnie zasalutował Mikeyowi. Protokół każe oddawać honory wszystkim odznaczonym Medalem Honoru. Mikey zasalutował z szerokim uśmiechem. Usłyszałem, jak ze środka Paul woła:

- Załoga, bacność!

CZĘŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

I zaraz dał się słyszeć odgłos: stuk! - jakby cały team to był jeden człowiek. Stałem obok generała Scholtesa.

- Sir - powiedziałem - jesteśmy gotowi do przeglądu.

Generał zaczął chodzić tam i z powrotem wzdłuż szeregów, zatrzymując się przy każdym żołnierzu, żeby dokonać kontroli jego medali i sprawdzić standardy wyglądu. Nikt nie miał kolczyków w uszach ani końskich ogonów, włosy wszyscy mieli umyte i uczesane. Nie wyglądali ładnie, ale prezentowali się porządnie.

Po jakichś ośmiu czy dziesięciu minutach generał uznał, że dość już zobaczył. Stał przed teamem.

- Daj im „spocznij”, Dick.

Skinąłem na Paula.

- Team, spocznij.

- Cieszę się, że tu jestem - powiedział Scholtes. - Cieszę się, bo jestem z was dumny, żołnierze, jestem dumny z tego, ile zrobiliście w tak krótkim czasie. Jestem dumny, bo widzę, z jakim oddaniem wypełniacie ciężką misję. I jestem pewien, że wypełnicie ją zgodnie z rozkazem. No i jestem dumny, bo widzę, że jesteście w świetnej formie. - Odchrząknął. - Medale, które nosicie na piersi, są imponujące. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że znacie się na tym, co robicie, i że jesteście w tym dobrzy. Smućą mnie jednak warunki, w jakich tu żyjecie. Zrobię, co tylko w mojej mocy, żeby pomóc waszemu dowódcy naprawić tę sytuację. Zdobywacie, panowie, kompetencje, których nie ma nikt inny na świecie. Tak trzymać. I niech was wszystkich Bóg błogosławi.

W następnym tygodniu dowiedziałem się, że generał Scholtes odpałił raketę w admirała Johnsona. Sedno komunikatu było następujące: „Drogi admirale, donoszę z przyjemnością, że pomyślnie ukończyłem przegląd personelu w SEAL Team Six. Żołnierze utrzymują standardy wyglądu odpowiadające moim potrzebom, biorąc pod uwagę tajną misję o ogólnoświatowym zasięgu, którą powierzono im do wykonania. Byłem jednakże zbulwersowany warunkami, w jakich zmuszeni są przebywać w Little Creek. Natomiast żalony stan obiektów SEAL Team Two, przez które musiałem przechodzić w drodze do wizytowanej

ROZDZIAŁ 19

jednostki SEAL Team Six, wręcz mnie przeraził. Nagromadzenie na tym terenie puszek po napojach gazowanych i piwie, niedopałków i innych pozostałości było szokujące i stanowi poważny dowód, że osoby odpowiedzialne za porządek nie przywiązują należytej wagi do tych szczegółów. Wydaje mi się, że zamiast dręczyć SEAL Team Six, administracyjna hierarchia służbowa w NAVSPECWARGRU TWO pod dowództwem komodora Edwarda

Lyona III wykorzystalaby lepiej swój czas, gdyby zajęła się sprawami, które naprawdę jej dotyczą. Stosowne epitety. Uściski, buziaki - i pieprzcie się; podpisano: kumple z JSOC".

No to po raz kolejny: pieprz się, Ted.

Pomiędzy cyklami szkoleniowymi zajmowałem się razem z Paulem wymyślaniem dla Jaszych kochanych chłopców różnych numerów. Spędzaliśmy na przykład cały dzień na morzu 40 kilometrów od brzegu, prując przez trzyipółmetrowe fale naszymi boston whalerami i ćwicząc metody abordażu. Dostanie się na pokład okrętu płynącego z prędkością jakichś 20 węzłów było proste. Musieliśmy tylko płynąć łodziami tuż za rufą ogromniastego okrętu, tak żeby nas nikt nie zobaczył, zahaczyć dziewięciometrową stalową drabinę o pokład rufowy i wspiąć się po niej. Oczywiście, fale waliły w nasze boston whalery jak szalone, drabina była zimna i śliska, a my musieliśmy być w trakcie abordażu gotowi zastrzelić każdego, kto by się wychylił z pokładu rufowego. Z kolei gdyby któryś z nas pośliznął się i spadł, to śruba okrętowa, którą podczas wspinaczki widzieliśmy między nogami, jak robi łup-łup-łup, zmieliłaby biednego nieszczęśnika na kotlet.

Moim zdaniem tego typu ćwiczenia to była bułka z masłem - kiedy żołnierze je wykonywali, ja też wspinałem się po linie albo skakałem z luku, albo pływałem. Mimo to z przyczyn, których nigdy nie udało mi się wyjaśnić, po takim wesołym dokazywaniu na czternastogodzin-nej wycieczce chłopaki wracały do Little Creek kompletnie wyczerpane. Dlatego zwalniałem ich z wachty z dowódcą w barze braci marynarskiej - w tak wyszukany sposób mówiliśmy, że chodzimy razem

37

CZĘŚĆ DRUGA UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

pić - i pozwalałem im jechać do domu, żeby pobyli przez parę godzin z żoną czy dziewczyną, podczas gdy Paul i ja sami szliśmy na piwo.

Dawaliśmy im tyle czasu, żeby zdążyli zacząć dobierać się do swoich dam, po czym wzywaliśmy wszystkich przez pagery i sprawdzaliśmy, jak szybko uda im się zebrać z powrotem do bazy. Nienawidzili mnie za to, ale w ten sposób utrzymywałem ich w ryzach - widziałem, kto się zjawiał, a kto wyłączał pager na czas miłosnych igraszek albo zapominał broni czy spadochronu.

Po kilku takich próbach generalnych cały team był już na mnie wkurzony, bo robiłem fałszywe alarmy w czasie, kiedy już myśleli, że mają prawo do paru godzin przestoju. Tym gorzej dla nich - bo jedynym sposobem, żeby dojść do wprawy w pośpiesznym wysłaniu jednostki, było ćwiczenie, ćwiczenie, ćwiczenie. Psioczyli, zrzędzili i obrzucali mnie takimi przekleństwami, jakich nie wymyśliłby nawet Ev Barrett. Ale ciężko pracowali - i utrzymali się na pokładzie. W ciągu trzech lat, które spędziłem na stanowisku dowódcy SEAL Team Six, z jednostki odeszli tylko ci, których ja sam wykluczyłem. Mimo potwornego harmonogramu zajęć, braku wolnego czasu i niewiarygodnej presji odsetek tych, którzy pozostali w jednostce, wyniósł u mnie 100 procent.

Sporadycznie udawało nam się nawet znajdować czas na zabawę. Braliśmy udział w konkursie strzeleckim u Deltę w Fort Bragg i urządziliśmy własny u siebie. W rzeczywistości oni wybrali do zawodów najlepszych ze swoich strzelców, natomiast ja wysłałem Paula i paru innych, którym akurat zdarzyło się być w danym tygodniu w Little Creek. Oficjalnie konkurs zakończył się remisem. Ale faktycznie to my wygraliśmy - i oni o tym wiedzieli. Rywalizacja była dobra dla obu jednostek, ponieważ tak naprawdę nie było nikogo innego, kto mógłby się równać z którąkolwiek z nich.

Rywalizacja stanowiła rzecz naturalną: Delta była ponad dwa razy większa niż SEAL Team Six, a Charlie Beckwith spierał się ze mną bez końca o wszystko: od wielkości mojej jednostki przez wybór uzbrojenia (Delta używała jako podstawowej broni pistoletów automatycznych kalibru .45 cala, natomiast SEAL Team Six używał broni kalibru

ROZDZIAŁ 19

9 mm i .357 cala) po kwestie administracyjne i taktyczne. Ja uważałem, że Delta pozostaje pod zbyt silnym wpływem struktur formal-no-administracyjnych i szkoleniowych brytyjskiego SAS-u. Zdaniem Charliego w SEAL Team Six dało się zauważyć przesadny wpływ braci Marx. Każdy z nas pozostał przy swoim zdaniu, ale rywalizacja strzelecka dowiodła przynajmniej tego, że mój szaleńczy chaotyczny harmonogram szkolenia był równie skuteczny jak bardziej kontrolowany i sztywniejszy harmonogram Charliego.

Natomiast w jednej dziedzinie między Deltą a Teamem Six zawsze panowała pełna współpraca i całkowita zgoda: obie jednostki wymieniały się ważnymi informacjami na temat uzbrojenia. Waga pocisków, amunicja specjalistyczna, ładunki wyłomowe, granaty hukowo-błysko-we i hukowe - jak tylko ktoś od nas dowiadywał się o czymś nowym, dzwoniliśmy do Deltę, aby spytać, czy w Fort Bragg już to widzieli. A operatorzy Deltę robili to samo i dzwonili do Teamu Six, kiedy oni usłyszeli o czymś pierwi.

Chociaż ćwiczyliśmy abordaż pływającego okrętu, Team Six nie przeprowadził jeszcze ani razu regularnych ćwiczeń zajmowania dużego statku pasażerskiego porwanego przez terrorystów. Taki scenariusz wydawał nam się logiczny (a także Frontowi Wyzwolenia Palestyny: ta powiązana z Irakiem, Syrią i Libią grupa terrorystyczna miała pięć lat później porwać statek pasażerski Achille Lauro). Wobec tego zadzwoniłem do jednego znajomego - będę go tu nazywał Italian Stallion (Włoski Ogier) - który był dowódcą Zespołu Ratowania Zakładników (Hostage Rescue Team, HRT) w FBI. Poznaliśmy się ze Stallionem, kiedy był instruktorem strzeleckim w akademii FBI w bazie Quantico. Należał do nieformalnej sieci wywiadowczej, którą stworzyłem w latach służby w Pentagonie. Ten były policjant ze Środkowego Zachodu był konkretnym gościem o ogromnym poczuciu humoru i posturze kulturysty, a poza tym był specjalistą od broni. Szybko się zaprzyjaźniliśmy. Większość agentów FBI, których poznałem w swoim życiu,

CZŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

zachowywała się jak agenci ubezpieczeniowi. Stallion nie: był ciężarowcem, zwierzęciem imprezowym - prawdziwym psem na kociaki -i cholernie dobrym strzelcem. Jeśli ktokolwiek wiedział, gdzie mogę znaleźć statek miłości do wynajęcia, to musiał być on.

- Sprawdzę, stary, i dam ci znać za parę dni - powiedział mi.

Kilka dni później zadzwonił z dobrą nowiną: firma Norwegian Cruise Line zgodziła się wypożyczyć nam statek miłości, który kursował pusty między Jacksonville a Miami. Stallion powiedział, że załoga statku zgodziła się grać też rolę pasażerów, agenci FBI mieli wziąć na siebie rolę bandytów (to miała być dla nich cenna lekcja), a Team Six miał się wcielić w dzielnych kawalerzystów.

Przygotowaliśmy regularną operację: śledziliśmy liniowiec po tym, jak opuścił port w Jacksonville i wypłynął na prowadzące na południe szlaki żeglugowe, po czym podsłuchiwaaliśmy, jak atakują go „terrorysty” - załoga nadała udawane wezwanie pomocy, a terrorysty przechwycili radio i przekazali swoje żądania. Utworzyliśmy zespół dowodzenia i kontroli, objęliśmy obszar, na którym znajdował się statek, dyskretną obserwacją (wiedzieliśmy, że jest dyskretna, bo chłopaki Stalliona z FBI wypatrywały nas, ale nas nie dostrzegły), a kiedy byliśmy gotowi, wykonaliśmy przechwyt.

Ja leciałem w helikopterze dowódcy, nadzorując załogę, która miała spuścić się szybką liną na rufę statku miłości. Obserwowałem akcję z tylnego włazu. System łączności pozwalał na to, że byłem słyszany w słuchawkach wszystkich uczestników akcji równocześnie: mój głos miał w nich brzmieć niczym głos Boga. Paul, który miał nowy kryptonim radiowy: PV - z powodu swojej fryzury w stylu bohatera filmu Prince Valiant - dowodził sześcioma boston whalerami. Strzelcy z pokładu jednej z tych łodzi oraz snajperzy z dwóch małych helikopterów mieli zestrzelić każdego „tango” z FBI, który zobaczyłby, że się zbliżamy. Trzeba ich było zabić, zanim zdążą ostrzec kolegów albo rozwalić zakładników.

Zaatakowaliśmy statek o 22.00, kiedy widoczność była najlepsza dla nas (mieliśmy sprzęt noktowizyjny), a najgorsza dla terrorystów (oni

ROZDZIAŁ 19

go nie mieli). Wszystko było zaplanowane co do sekundy. Każdy wiedział, co ma robić. Nikt nie pamiętał tylko, że nie jesteśmy na tej misji sami: na wycieczkę z nami wybrał się też pan Murphy razem ze swoim podstępny prawem. Jeśli zabrakłoby nam precyzji albo szczęścia, strefa TARFU stała otworem.

A więc, proszę wycieczki, zobaczymy, jak SEALsi dostają w dupę. Najpierw patrzyłem z przerażeniem, jak moje małe śmigłowce ze snajperami prawie się ze sobą zderzają, bo piloci się nie dogadali. Potem łodzie PV podpłynęły pod złym kątem - przekłęci tango od razu je wypatrzyli. W końcu black hawk, którym leciałem, za wcześniej wyskoczył nad rufę statku

miłości i moje rozkojarzone dzieciaki wskoczyły do ogródka, zanim snajperzy mogli je osłaniać.

Co tam: nie takie rzeczy naprawiałem. Pieprzyć to. Zrzuciłem z głowy słuchawki, chwyciłem grubą nylonową linę i sam po niej zjechałem. Ale w chwili gdy złapałem linę, black hawk podniósł dziób i zaczął oddalać się w bok od statku. Mmmać!

Pan Murphy zachichotał: „Marcinko, ty zasyfiały posrańcu, ty dupku, ty świrze! Przecież piloci tego cholernego śmigłowca zobaczyli, że sześciu ludzi zjechało w dół, a skąd mieli wiedzieć, że ty też bierzesz się do liny?”.

Spojrzałem w dół. Pod sobą miałem pokład, ale właśnie przestawiałem go tam mieć. Puściłem linę i przez jakieś ostatnie 3,5 metra poleciałem na złamanie karku. Spadłem na statek znajdujący się na szczycie fali, a kiedy pokład rufowy opadł, zacząłem się ślizgać w stronę nad-burcia, jak szalony bezskutecznie próbując hamować stopami. Jakbym był przeklętą kulą do kręgli rzuconą w głąb toru.

„Masz gówno zamiast mózgu - triumfował pan Murphy. - To statek pasażerski: tu się woskuje pokłady”.

Pan Murphy miał rację: nie pomyśleliśmy, że pokład będzie woskowany. Na pokładach okrętów marynarki nie używa się wosku.

Straciliśmy element zaskoczenia, więc „terroryści” też zdążyli się przygotować i wywiązała się spora strzelanina. Nie było problemu z ustaleniem, kto kogo zabił, bo w magazynkach mieliśmy specjalną

37

CZŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

kanadyjską amunicję treningową - naboje Simunition FX wypełnione czerwoną substancją fluoroscencyjną - żeby było wiadomo, że ktoś został trafiony. Czerwony barwnik pozwalał nam też ocenić, ile było warte to całe nasze ćwiczenie z kartonikami o wymiarach 7,5 na 12,5 centymetra.

Kiedy już zaczęła się wymiana ognia, sytuacja się poprawiła. SEALsi poruszali się zgodnie z przećwiczoną choreografią: „tańcząc”, czyścili kajuty i większe pomieszczenia, uwalniali zakładników i strzelali do bandytów. W czarnych mundurach polowych w tygrysie paski, kominiarkach, rękawiczkach i z zaczernionymi twarzami wyglądali jak opanowujące statek anioły śmierci. Nasze systemy łączności działały, więc wiedzieliśmy, gdzie jest każdy z nas i co robią poszczególne zespoły. Nasza celność okazała się warta swojej ceny - byliśmy dużo lepsi niż „terroryści” z FBI. „Straciliśmy” wprawdzie trzech SEALsów, ale sprzątnęliśmy wszystkich bandytów celnymi śmiertelnymi strzałami. Moim zdaniem jak na pierwsze ćwiczenia trzy ofiary po naszej stronie były do przyjęcia.

Wiele się nauczyliśmy z tej wycieczki na statku miłości. Na przykład tego, że wprawdzie zabiliśmy wszystkich strzelających do nas bandytów, ale nie mieliśmy na pokładzie

wystarczająco dużo ludzi, żeby przesłuchać pasażerów i upewnić się, że nie ma już nigdzie „uśpionych” terrorystów. Brakowało nam SEALsów do zabezpieczenia statku, nie mówiąc o jednoczesnym opatrzeniu rannych zakładników i rozmawianiu z zachowującymi się histerycznie pasażerami. Zdałem sobie sprawę, że gdybyśmy kiedykolwiek robili to naprawdę, SEAL Team Six musiałby zostać wzmocniony przez Deltę albo FBI.

Po ćwiczeniach zrobiliśmy ze Stallionem przegląd operacji krok po kroku, żeby zobaczyć, co poszło dobrze, a co źle. Stallion zauważył na przykład, że SEAL Team Six nie zabezpieczył materiałów dowodowych i poprzesuwał różne rzeczy w miejsca na miejsce.

- Stary, tak nie można - przekonywał mnie. - Jeśli zawrócicie takim statkiem na amerykańskie wody terytorialne, to musi zostać przeprowadzone dochodzenie zgodne z wytycznymi Departamentu

ROZDZIAŁ 19

Sprawiedliwości. A jak coś będzie nie tak, to tym kanałiom wszystko ujdzie płazem.

- O ile przeżyją.

Stallion się uśmiechnął.

-Aha.

Faktem jednak było, że gdybyśmy mieli przejąć statek na wodach międzynarodowych i otrzymalibyśmy rozkaz sprowadzenia części terrorystów żywych, musielibyśmy działać bez zarzutu w zakresie procedur, w zakresie postępowania zarówno z dowodami, jak i z podejrzanymi. Zapisałem treść pouczenia zatrzymanego o przysługujących mu prawach i kazałem ludziom nauczyć się go na pamięć - chociaż wątpliwe było, byśmy kiedykolwiek mieli wypowiadać je na głos. Jedyne ostrzeżenie, które zamierzałem kierować do terrorystów, brzmiało:

- A kuku, sukin^ny.

Z czasem pojawił się problem ze sfigowanymi akcjami. Kolejne fałszywe alarmy zaczęły komplikować nasze szkolenia i ćwiczenia. JSOC dawało sygnał do szturm, po czym go anulowało. Raz chodziło o porwanie samolotu, innym razem o atak terrorystyczny. Jeszcze kiedy indziej miała to być para szalonych Kubańczyków. Wyglądało to tak, że zbierałem wszystkich i wygłaszałem przemowę: że to już teraz, że wybieramy się skopać pieprzone dupska, rozpieprzyć wszystkich terrorystów i komunistów i rozpieprzyć cały pieprzony świat poza pieprzonym SEAL Team Six. Naprawdę wkładałem w te przemowy całe serce.

Po czym wstawał Prince Valiant i mówił:

- Dowódca tak naprawdę miał na myśli to, że... - i tłumaczył moje perorowanie i majaczenie, wyjaśniając, że na razie mamy tylko wstępne oznaki, że jeszcze niczego nie postanowiono i tak dalej, i tym podobne. Powstrzymywał mnie przed bezsensownym

wściekaniem się i robieniem z siebie idioty. Było tak źle, że dzwoniłem do JSOC, skarżąc się na to, że ciągle szarpią nami tam i z powrotem. Nie potrzebowałem już więcej ćwiczeń. Chciałem, żeby nastąpiła pierwsza noc drużyny Bravo

37

CZĘŚĆ DRUGA UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

na rzece przy Juliet Crossing. Chciałem, żeby wróciła wyspa Ilo-Ilo. Chciałem, żeby znów było Chau Doc i 8. pluton. Chciałem, żeby SEAL Team Six wyruszył na misję i wytłukł trochę żółtków.

Okazało się, że również w Iranie nikogo nie wytłuczemy. Zawarto zakulisowe porozumienie i jeszcze tego samego dnia, kiedy Jimmy Carter wracał do Plains w Georgii, w dniu zaprzysiężenia nowego prezydenta w 1981 roku, szyiscy porywacze terroryści uwolnili pięćdziesięcioro troje amerykańskich zakładników. I tyle na temat naszej pierwotnej misji, którą miał być udział w drugiej próbie odbicia zakładników. Pozostała nam po niej specjalizacja antyterrorystyczna.

Pod koniec stycznia 1981 roku myślałem, że nasz czas wreszcie nadszedł, kiedy portorykańska organizacja terrorystyczna Macheteros wysadziła kilka samolotów w pobliżu San Juan. Z JSOC przekazano mi wiadomość, że terroryści wykradli bombę jądrową i że znajdują się w terenie nadmorskim - na wyspie Vieques, gdzie szkoliłem się jako frogman. Sytuacja wyglądała dobrze. Wszystko układało się w spójny obraz: świeże dane wywiadowcze z NSA, rozkaz startu alarmowego i przerzutu w czasie rzeczywistym - i przeprowadzony nocą przez grupę pięćdziesięciu sześciu ludzi skok HAHO oraz piętnastokilometrowy ślizg na spadochronach do celu. Czegoś takiego nie dokonała nigdy wcześniej żadna inna jednostka.

Wystartowaliśmy. Wkroczyliśmy do akcji. Ale wyspa Vieques okazała się kolejnym niewypałem: ćwiczeniem, o którym mówiono, że przeprowadza się je w trybie „misja 100 procent”.

Kiedy nazajutrz po powrocie z Puerto Rico siedziałem razem z Paulem w barze braci marynarskiej, przyszło mi do głowy, że może byłoby jakąś pociechą dla żołnierzy - nawet jeśli ostatecznie nie miałyby to się przysłużyć naszej karierze - gdybyśmy odstawili atak z ostrą amunicją na kwaterę główną JSOC.

Paul dopił piwo i zamówił następną kolejkę.

- Nie martw się, szefie, niedługo nam się poszczęści.

Rozdział 20

;

Okazało się, że trzeba było długo czekać, zanim Teamowi Six się poszczęściło. Mimo wielokrotnie powtarzanych zapewnień prezydenckiej retoryki, że terroryści mogą uciekać, ale

się nie ukryją, od października 1980 roku, kiedy powstawał SEAL Team Six, do lipca 1983 roku, kiedy oddałem dowództwo, nastąpiły setki terrorystycznych incydentów, a Stany Zjednoczone niewiele zrobiły, by któremukolwiek z nich zapobiec. Przecież nie brakowało nam ludzi ani umiejętności, żeby to zrobić. Poza tym SEAL Team Six mógł zostać użyty do przeprowadzenia uderzenia wyprzedzającego przeciwko terrorystom, gdyby istniały twarde dane wywiadowcze, że zaatakowany ma zostać jakiś amerykański cel. To, że było tyle ataków, a Team Six nie został ani razu skierowany do akcji, kazało mi się domyślać, że albo nasz aparat wywiadowczy jest nie do naprawienia i dlatego nie jest w stanie dostarczyć pewnych informacji niezbędnych do przeprowadzenia pierwszego uderzenia, albo administracja nie ma odwagi lub woli, by działać.

Poza tym Ronald Reagan widział terrorizm przez pryzmat własnej ideologii, zamiast patrzeć na niego przez przejrzyste okulary wojownika. Uważał terror za efekt uboczny walki Wschodu z Zachodem, za

3

CZĘŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

kolejną formę substytutu działań wojennych stosowaną przez Sowietów przeciwko Zachodowi, a nie za wyraz dużo bardziej złowrogiej walki anarchii z porządkiem, kultury z kulturą, socjopatów ze społeczeństwem - która miała przetrwać dłużej niż zimna wojna. Reagan był w błędzie.

Wobec tego SEAL Team Six szkolił się, przeprowadzał ćwiczenia i próbne alarmy bez taryfy ulgowej - ale nie prowadziliśmy żadnych prawdziwych działań antyterrorystycznych. Ćwiczyliśmy na pociągach, samolotach, samochodach. Jeździliśmy do Waszyngtonu, żeby trenować odbijanie zakładników z metra: pewnego razu władze stolicy pozwoliły Delcie i Teamowi Six pobawić się w nowej miejskiej sieci metra po jej zamknięciu na noc. Bywaliśmy w Atlancie i atakowaliśmy rozmaitego typu samoloty w obiektach centrum Eastern Airlines. Zajmowaliśmy tor wyścigowy w Kalifornii i całymi tygodniami doskonaliliśmy metody jazdy kaskaderskiej - trik po triku: od obrotów w poślizgu kontrolowanym do kontrolowanych zderzeń czołowych.

Braliśmy udział w kursach alpinistycznych - moi ludzie nabrali takich umiejętności wspinaczkowych, że kiedy meldowaliśmy się w jakimś hotelu i kazałem im iść do pokoiów, często dostawali się do nich od zewnętrznej strony budynku. Team podróżował do Niemiec na wspólne ćwiczenia z komandosami GSG 9 pod dowództwem generała Rickiego Wegenera. Prowadziliśmy gry wojenne i opracowywaliśmy strategie działań razem z Brytyjczykami, Francuzami i Włochami. Ale nie przeprowadziliśmy ani jednej prawdziwej akcji.

Cztery z moich załóg łodzi (zapamiętajcie, na pluton składają się dwie załogi łodzi; będziemy jeszcze o tym mówić) spędziły sześć miesięcy w Egipcie, gdzie uczyły grupę komandosów lądowych prezydenta Mubaraka paru podstawowych metod AT. Te zajęcia były tylko do pewnego stopnia udane. Można było ćwiczyć do upadłego, a i tak właściwie nie dało się

nauczyć Egipcjan niczego na temat specjalistycznych aspektów działań, które mieli wykonywać. Ich możliwości można było określić jako mierne - a było to niezwykle życzliwe wyrażenie. Chociaż pracowaliśmy z samą elitą egipskich komandosów, ich umiejętności

ROZDZIAŁ 20

strzeleckie były niezadowalające, kondycja fizyczna niewiele warta, a motywacji po prostu nie mieli.

Jedną z przyczyn tych braków był panujący w tamtejszym wojsku system kastowy. W Egipcie - jak w większości krajów Trzeciego Świata - szeregowych, którymi byli zasadniczo wieśniacy, traktowano jak niewolników, natomiast oficerów, z których wielu miało nominacje polityczne, traktowano jak książąt. Często oficerowie nawet się nie fatygowali, żeby pokazać się na szkoleniu - zakładając, że jeśli dojdzie do sytuacji kryzysowej, to walką zajmą się szeregowcy, a nie oni. Nie słyszano tam o tym, by oficerowie prowadzili oddział od przodu. Sformułowania „integralność oddziału” nie dało się przetłumaczyć z języka SEALsów na arabski.

Postanowiłem motywować oficerów we własny subtelny sposób: poniewierałem kapitanami i porucznikami na oczach ich podkomendnych, kiedy dowódcy nie potrafili albo nie chcieli wykonać jakiegoś zadania jak należy. Dzięki temu udało mi się skupić uwagę oficerów -ale też wywołać ból głowy u paru osób w pałacu prezydenckim, który wystosował pilną skargę do amerykańskiej ambasady. Poproszono mnie grzecznie, lecz stanowczo, bym zaprzestał poniewierania Egipcjanami. Zaprzestałem. (Powinno się było pozwolić mi dalej stosować te brutalne metody, bo one przynajmniej były skuteczne. Ponieważ stało się, jak się stało, na niewiele się przydaliśmy egipskiemu wojsku, podobnie zresztą jak niewiele Egipcjanom pomogły inne jednostki operacji specjalnych, które odwiedzały Kair i próbowały ich uczyć, wspierać, szkolić, instruować czy cokolwiek im zaszczebiać. Kiedy w końcu w roku 1985 nastąpiła sytuacja kryzysowa i egipcscy „komandosi” wdarli się na pokład samolotu linii Egyptair na Malcie, zabili pięćdziesięciu siedmiu z pasażerów, którzy byli zakładnikami, i zniszczyli samolot, próbując go odbić. Amerykańscy doradcy do spraw operacji specjalnych patrzyli na to z przerażeniem).

Z perspektywy czasu muszę przyznać, że zapewne nie bez wpływu na mój ówczesny nastrój pozostawał fakt, że niedługo przed wyjazdem do Kairu podczas jednego ze skoków HAHO doznałem złamania

37

CZĘŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

przeciążeniowego prawej nogi. Cała ta noga zrobiła się bardziej wrażliwa, a ponieważ Egipcjanom nawet w najlepszych warunkach z trudem przychodziło sterowanie małymi łodziami, prawie za każdym razem, kiedy ćwiczyliśmy przerzut i ewakuację drogą wodną, dostawałem co chwila krawędzią burty w niedoleczoną kończynę. Paul chciał, żebym poszedł

z tym do lekarza. Nie poszedłem - potrafiłem żyć z bólem, a poza tym martwiłem się, że kiedy zgłoszę się do ośrodka zdrowia, lekarze mogą orzec, że jestem niezdolny do skakania, pływania i strzelania z teamem. Bez skakania, pływania i strzelania nie było mowy

0 dowodzeniu - a ja nie zamierzałem rezygnować z SEAL Team Six, dopóki nie przeprowadzimy prawdziwej misji AT. Więc cierpiałem w milczeniu, chociaż mój paskudny nastrój często zdradzał kryjący się za nim poważny stan fizyczny. Mogło to poświadczyć całkiem sporo posiniaczonych oficerów egipskiej armii.

Po stronie plusów mogę zapisać to, że półroczny pobyt w Egipcie stał się dla nas sposobnością do nauczenia się czegoś o arabskiej mentalności - a przynajmniej o egipskiej arabskiej mentalności. Mieliśmy również okazję prowadzić rozpoznanie statków pływających po Kanale Sueskim. Pracowaliśmy też nad szturmami przeprowadzanymi w porcie przeciwko wrogim celom - w tym wypadku były to niczego niepodważające obce statki w Port Saidzie albo w Suezie. Wszystkie nasze odkrycia szły do akt. Zakładaliśmy, że być może kiedyś będziemy musieli działać w Egipcie potajemnie: nie wiadomo było, czy Egipt będzie zawsze przyjaźnie nastawiony do Stanów Zjednoczonych. Poza tym SEAL Team Six był na misji dyplomatycznej, a jak nauczyłem się jeszcze w latach siedemdziesiątych w Szkole Wywiadu Departamentu Obrony, wszyscy wojskowi dyplomaci są szpiegami - więc równoległe do szkolenia naszych egipskich uczniów gromadziliśmy dokumentację operacyjną i taktyczne bazy danych. Jednocześnie obserwowaliśmy, jak Izraelczycy i Sowieci bawią się z nami w wywiadowczego berka, próbując ustalić, co takiego robi w Egipcie banda dupków z US Navy - no bo przecież nie przyjechała tu tylko po to, żeby uczyć Egipcjan pływać

1 wspinać się po kotwicznych łańcuchach.

ROZDZIAŁ 20

Ponieważ nasza misja miała być międzynarodowa, odbywaliśmy szkolenia razem z oddziałami AT z całego świata. Gdybyśmy rzeczywiście dostali wezwanie do akcji, było bardzo prawdopodobne, że koordynowalibyśmy swoje działania z jakimiś siłami zagranicznymi, wobec tego im więcej zdążylibyśmy wcześniej razem pracować, tym swobodniej czuliby się strzelcy jednej i drugiej strony, tym łatwiej byłoby działać, kiedy w grę wchodziłoby życie zakładników. Szanowałem wszystkie te oddziały: Brytyjczyków z SAS-u, Francuzów z GIGN-u, Wochów z GIS-u, Norwegów z zespołu płetwonurków bojowych do operacji specjalnych - wszyscy byli doskonali. Ale za jednostkę, która była nam najbliższa, uznałbym chyba niemiecką Grenzschutzgruppe 9 (GSG 9). Dowodził nią gotowy na wszystko sukinsyn, generał brygady

0 nazwisku Ulrich Wegener. GSG 9 brała udział w akcji w somalijskim Mogadiszu, gdzie 11 października 1977 roku odbiła z rąk porywaczy dziewięćdziesięciu jeden pasażerów i załogę porwanego boeinga 737 Lufthansy. W 1979 roku część jednostki poleciała do Arabii Saudyjskiej, gdzie szyccy fundamentaliści wzięli zakładników w Wielkim Meczece w

Mekce. Wegener, wówczas pułkownik, doradzał Saudyjczykom w sprawach taktyki, chociaż w końcu szturm przeprowadziła GIGN, a nie GSG 9.

Poznałem Wegenera w roku 1979, kiedy przyjechał do Waszyngtonu, żeby na forum JCS (Kolegium Połączonych Szefów Sztabów) dokonać prezentacji poświęconej operacjom antyterrorystycznym. Patrzyłem, jak wchodzi do sali odpraw wyprostowany, w nienagannym mundurze straży granicznej. Emanowała z niego pewność siebie, a mowa ciała aż krzyczała bez słów: „Wiedziałem, co trzeba zrobić, i to zrobiłem, do k***y nędzy!”. Szefowie sztabów byli porażeni jego prezentacją. Ja również - po dwudziestu minutach słuchania Herr Obersta Wegenera byłem gotów przebić się krokiem defiladowym przez ścianę z cegieł

1 zgłosić się na ochotnika do jego jednostki. Później wkręciłem się na listę gości jednego z przyjęć organizowanych ku czci pułkownika przez różnych generałów i zastępców sekretarzy. Tam poznałem całkiem innego Ulricha Wegenera.

379

CZŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

Ten radosny wojownik kazał do siebie mówić Ricky, a nie „pułkowniku”. Był to towarzyski, obyty w świecie oficer, potrafiący w odpowiedni sposób trzymać kieliszek wina i czarować generalskie żony, tak że gubiły rajstopy. Później, kiedy udało mi się przekonać go do odwiedzenia paru lepszych lokali w okolicach Waszyngtonu, odkryłem, że uwielbia przytupywać kowbojskimi butami podczas słuchania muzyki country, opowiada kawały o sobie, pije piwo jak SEALsi (oraz głośno się skarży, że jest za słabe w porównaniu z „der gutt schtuff in Deutschland”) i jest wyjątkowo bezpośredni. Urządzaliśmy sobie razem całonocne imprezy, włócząc się po różnych knajpach od starego miasta w Alexandrii po Georgetown i nie szczędząc sobie wyznań, że to miłość od pierwszego wejrzenia. Kiedy przy pierwszym brzasku każdy z nas zasiadał nad swoją podwójną porcją jajek z szynką, smażonymi ziemniakami i dobrą mocną kawą, szanowaliśmy się nawzajem jeszcze bardziej. Zdążyliśmy wymienić umówiony tajny uścisk dłoni i pierścienie szyfrujące oraz poprzysięgliśmy sobie, że jeśli w przyszłości dane nam będzie połączyć swoje losy, to na pewno zadbamy, by był to poważny związek.

Dzięki temu w listopadzie 1982 roku znalazłem się na samym środku lodowatego jak piersi starej wiedzmy Morza Północnego, kurczowo trzymając się poręczy wewnątrz prześmierdłej sterówki pełnomorskiego holownika niemieckiej marynarki wojennej. Był sam środek nocy, znajdowaliśmy się dobrze ponad 50 kilometrów od najbliższego lądu i obserwowaliśmy, jak sześciometrowe fale przetaczają się przez dziób, waląc bez ustanku w moich SEALsów i komandosów Ricky ego, którzy starali się sześć umocowanych do pokładu boston whalerów zabezpieczyć przed zmyciem ich za burtę (razem z czterdziestoma dwoma radosnymi wojownikami). Była to połączona grupa szturmowa SEAL Team Six i GSG 9 zmierzająca do platformy wiertniczej B/44 znajdującej się w odległości 95 kilometrów na północny zachód od wyspy Sylt, w pobliżu granicy z Danią. Platformę tę w czasie zaplanowanych na ten wczesny poranek zajęć mieliśmy nazywać Dirty Name - na wspomnienie nieprzyzwoicie trudnego, potwornie bolesnego toru przeszkód,

ROZDZIAŁ 20

na którym niewiele brakowało, a straciłbym życie podczas szkolenia UDT. Na Dirty Name mieli na nas czekać zachodni Niemieccy żołnierze odgrywający rolę zakładników i terrorystów. Naszym zadaniem było przeprowadzić szturm na cel pod osłoną ciemności, zlikwidować „terrorystów” i uwolnić „zakładników”.

Bułka z masłem, prawda? Przecież SEAL Team Six szturmował już nieraz platformy wiertnicze. Szkoliliśmy się w Zatoce Meksykańskiej i na południowy wschód od położonej u wybrzeży Australii Tasmanii. Wypracowaliśmy tam skuteczne metody wspinaczkowe i ustaliliśmy najlepsze sposoby zdobywania olbrzymich konstrukcji szkieletowych. A jednak to nie była bułka z masłem. Tej nocy morze nie przypominało ciepłej Zatoki Meksykańskiej. Musieliśmy stawić czoła nie tylko lodowatej pogodzie, ale najcięższemu połączeniu warunków morskich i wietrznych, jakie Widziałem w całym swoim życiu.

Boże, jak strasznie można w takich chwilach znienawidzić ocean! W niekończącej się serii chrzęszczących w kilu i rezonujących w kościach szarpnięć czterdziestometrowy holownik nieustannie dźwigał się mozolnie w górę z wody, po czym z impetem opadał z powrotem. Za każdym razem kiedy byliśmy w powietrzu, kurczowo chwytałem się balustrady. Człowiek czuł się, jakby ktoś go nieustannie kopał w krocze - można latami ćwiczyć przyjmowanie kopa między nogi, a i tak za każdym razem będzie bolało.

Na zewnątrz było może 0 stopni Celsjusza, ale z powodu wiatru temperatura odczuwalna wynosiła nie więcej niż -10. Cały holownik pokrywała warstwa lodu. Była to najzimniejsza morska woda, z jaką miałem do czynienia - i najbardziej zdradliwa. Na Atlantyku fala jest długa: unosi łódź nad wodę tylko tak wysoko, że można zobaczyć horyzont, po czym rzuca ją z powrotem w dół głęboko i szybko, przez co człowiek chwyta się nadburcia w odruchu chwilowej paniki, czując się jak w czasie ostrego zjazdu na rollercoasterze. Pacyfik ma ściany wody osiemnastometrowej wysokości i rowy głębokie na całe kilometry, czym wzbudza szacunek kolejnych pokoleń marynarzy - mój także wzbudzał. Ale nie spotkałem wód równie paskudnych, równie

CZĘŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

złośliwych, równie kretyńskich, równie zaciskających pieprzone zwieracze, równie srogich jak wody Morza Północnego. To była rozkosz masochisty: najbardziej wyrafinowanie cierpienie.

Dowody? Proszę bardzo: producent boston whalerów twierdzi - bez cienia wątpliwości - że tych łodzi nie da się wyrzucić. Gówno prawda. Już pierwszego dnia testowania u niemieckich wybrzeży ogromne fale Morza Północnego, zdradliwe prądy i potężne wichry trzy razy obracały w podrzucie albo przewracały do góry dnem nasze boston whale-ry, wyrzucając SEALsów i członków GSG 9 do lodowatej wody, z którą musieli walczyć, by

obrócić łódzie z powrotem i wezwać holownik. Fale wyrzucały łódzie całkowicie z wody, po czym łupinki obracały się jak naleśniki, porywane wiejącym jak w tunelu aerodynamicznym wichrem i smagane niesioną przez niego wodą. Nasi przemarznięci, przemoczeni, wpadający w hipotermię niemieccy bracia myśleli, że zwariowani Amerykaner specjalnie wywracają swoje łódzie - w jakimś zwariowanym rycie inicjacji - póki nie wyjaśniliśmy im, że nie mieliśmy tego w planie. Wtedy złajali nas, że wzięliśmy ze sobą łódki przystosowane najwyraźniej do nieco innych warunków.

Kapitan holownika pogardliwie przyglądał się przez chwilę mojej zielonkawej cerze, po czym zapalił fajkę, wypełniając i tak już cuchnące wnętrza sterówki obrzydliwym zapachem mocnego czarnego tytoniu. I on, i jego załoga czerpali zawodową przyjemność z naszego oczywistego dyskomfortu. Wygramoliłem się na zewnątrz i zacząłem kierować się w stronę rufową nadbudówki. Trailer Court, Pooster i Horseface byli ubrani w wiele warstw białej termicznej oraz angielskie kombinezony jednoczęściowe z kapturami i butami, na których mieli czarne kamizelki taktyczne SEALs z wyposażeniem. Byli zajęci linami mocującymi nasze łódzie. Snake, z soplami wiszącymi u wąsów, sprawdzał ponownie sprzęt szturmowy na pokładach boston whalerów. On, Trailer i Pooster byli moimi najlepszymi wspinaaczami - i wiedzieli, że dziś w nocy czeka ich robota stworzona specjalnie dla nich.

Zawołałem do nich na dół:

- Wszystko okej?

382

ROZDZIAŁ 20

Snake pokazał mi kciuki do góry.

- Jasne, szefie. Ale będzie nam cholernie zimno, kiedy zaczniemy się wdrapywać po tych pieprzonych słupkach i rurach.

- Sam się zgłosiłeś do zabawy z dorosłymi, dupku. Mogłeś zostać zwyczajnym marynarzem.

Snake chwycił barierkę u moich stóp, podciągnął się i przeskoczywszy nad nią, stanął obok mnie.

- Nie ma mowy, szefie. Kto by chciał stacjonować na pokładzie jakiegoś pieprzonego okrętu?

Oczywiście miał rację: pół roku bez gorzały i ciupciana to był najgorszy parszywy los, jaki mógł się przydarzyć, a taki właśnie był udziałem wszystkich marynarzy pływających na okrętach. Snake, który dawniej był spadochroniarzem, nie był stworzony do takiego życia.

Więc zamiast tego stał teraz przesiąknięty wodą, na wpół zamrożony i pokryty lodem, biorąc udział w perwersyjnej misji szkoleniowej, którą obmyśliliśmy razem z Rickym Wegenerem, żeby jak najbardziej zbliżyć się do rzeczywistych warunków, nie powodując jednocześnie

zbyt wielkiej liczby ofiar śmiertelnych. Dowódca GSG 9 i ja także w tej kwestii byliśmy jednego zdania. Podobnie jak ja on również uważał, że jeśli nie przeprowadza się ćwiczeń poza granicami wszelkich operacyjnych schematów, to nie pomogą one operatorom przeżyć w rzeczywistych sytuacjach.

Obaj nieśliśmy brzemień, jakim była śmierć własnych żołnierzy podczas szkolenia. Ale - rozmawialiśmy o tym przed laty - nie było w tym poczucia winy, tylko niepokój oraz wywołujący zgrzytanie zębów i przyprawiający o ból głowy stres związany z kierowaniem ludźmi. Była to integralna część odpowiedzialności, którą dobrowolnie zgodziliśmy się ponosić. Ani mnie, ani Wegenerowi się to nie podobało - ale obaj to robiliśmy.

Byliśmy w drodze już prawie cztery godziny, chociaż wydawało się, że trwa to całe wieki. Z trudem wróciłem do sterówki, gdzie kapitan powiedział mi, że jesteśmy już prawie na pozycji do spuszczenia łodzi na wodę, trzy mile morskie od platform.

383

CZĘŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

- Ale Fregattenkapitan (komandorze poruczniku), będziemy chcieli przynajmniej dwa razy okrążyć cel, żeby upewnić się, że to ta platforma, a poza tym żeby mógł pan zobaczyć, jak prądy mogą znosić wasze małe łódki, tak?

- Tak jest.

Nie miałem zamiaru mu się sprzeciwić. On znał tutejsze wody. Ja byłem tu nowy: czułem się jak korek podskakujący w nieznanej sobie sadzawce. Kapitan miał rację, że kiedy zobaczymy, jakie są prądy, będziemy mogli podjąć decyzję, z której strony podpłynąć.

Poszedłem znowu w stronę rufy i wyjaśniłem ludziom, jak wygląda sytuacja.

Na ich twarzach malowało się rozczarowanie. Pierwszy odezwał się Trailer Court.

- Po co, u licha, mamy czekać, szefie? Po prostu ruszajmy.

Pozostali się z nim zgadzali: usłyszałem chóralne „ja, ja” i „no właśnie”. Doskonale ich rozumiałem. Każdy wolałby wszystko, tylko nie ten łomot, który dostawaliśmy na pokładzie holownika. Ale to nie była pora na improwizowanie. Musieliśmy ocenić prądy i wiatr, zanim podpłyniemy.

Półtorej godziny później zaczęliśmy spuszczać łodzi na wodę. Kiedy się o tym opowiada, wydaje się to łatwiejsze, niż było w rzeczywistości: tymczasem samo spuszczenie łodzi zajęło w sumie ponad godzinę. Już to było wystarczająco trudne, jeśli nie chciało się roztrzaskać kadłubów na kawałki u boku holownika. Jeszcze trudniej było załadować na łódki czterdziestu dwóch strzelców: trzeba było zgrać się z falami i zeskoczyć, będąc obciążonym materiałami wybuchowymi, bronią, amunicją i sprzętem wspinaczkowym oraz mając nadzieję, że wiejący z prędkością 50 węzłów wiatr nie zdmuchnie człowieka do wody.

Przeszedłem za barierkę. Podo mną kołysał się i miotał w różne strony boston whaler. Rozważałem różne możliwości jedno po drugim. W którą stronę powinienem uskoczyć (polecieć? popłynąć?), jeśli nie trafię na łódź? Jeśli wpadnę do wody, to czy bardziej powinienem uważać na śruby whalerów czy na gigantyczne śruby holownika? Jeśli

384

ROZDZIAŁ 20

prąd lub wiatr zniesie mnie wstecz, to czy ciągnę śruby holownika wessie mnie pod wodę i zmieli na miazgę? Ile bólu jestem w stanie znieść? Co ja, do diabła, tutaj robię?

Kiedy skakałem, z krystaliczną ostrością uświadomiłem sobie, że Ricky Wegener jest nie w ciemności: uprzejmie wymówił się od wzięcia udziału w wycieczce, a zamiast tego wziął na siebie rolę obserwatora na platformie. Poleciał tam helikopterem za dnia. Dlatego on nosił gwiazdki, a ja blizny.

Po prawie godzinie załadowaliśmy w końcu wszystkich czterdziestu dwóch złych, mściwych strzelców na małe łódzie. Nie były one wprawdzie tak świetne, jak to wyglądało na papierze, ale przynajmniej wydostaliśmy się z tego przeklętego holownika i zmierzaliśmy w stronę celu, którego zajęcie miało oznaczać, że wszyscy dostaną ciepłe ubrania i chłodne piwo (o ile dożyją tej chwili). W trakcie ostatnich ustaleń na pokładzie holownika postanowiono, że na każdym whalerze zostanie trzech ludzi: jeden sternik, jeden łącznościowiec i jeden krzepak strzelec, który mógłby odpowiadać ogniem, wyciągać z wody potrzebujących pomocy oraz zajmować się linami mocującymi łódki przy platformie i holowniku. W ten sposób pozostawało dwudziestu czterech strzelców, którzy mieli zanurzyć się w cudownych wodach Morza Północnego -dwanaście par pływaków, po dwie na każdą z sześciu nóg platformy.

Morze było tak niespokojne, że nawet z odległości kilometra często traciliśmy z oczu platformę i musieliśmy polegać na naszych ludziach na pokładzie holownika, którzy wykorzystywali noszone przez nas transpondery widoczne na ekranie radaru i kierowali nas w stronę celu. W normalnych okolicznościach podpływalibyśmy zwykle do platform wiertniczych z wielu stron, żeby zapewnić skuteczne tajne uderzenie. Jednak biorąc pod uwagę stan morza, staraliśmy się pozostawać w zasięgu wzroku, żeby żadna łódź się nie zgubiła.

Zmieniając często kurs, płynęliśmy w stronę ogromnej platformy. Jej światła wciąż ledwo majaczyły w ciemności. Spojrzałem na zegarek: wskazywał 1.45. Wydawało się, jakbyśmy byli w łódkach od paru godzin, chociaż kiedy dużo później robiliśmy podsumowanie, okazało

385

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

się, że dotarcie do miejsca spuszczenia pływaków do wody zajęło nam tylko kwadrans.

Czy w łódkach było aż tak ciężko? Wystarczająco, żeby moment, w którym mogliśmy je opuścić i wśliznąć się do lodowatej wody, odczuć jako prawdziwą przyjemność. W wodzie przynajmniej nie smagał człowieka wiatr. Poprawiłem maskę i z liną w ręku przeszedłem

przez nadburcie. Każda para pływaków trzymała swoją linę. Mielśmy obwiązać nogi platform, żeby nas nie zniosło. Nie uśmiechało mi się stracić kogoś podczas akcji.

Podpłynąłem do jednej z ogromnych kolumn, z których mogliśmy dosięgnąć pionowych tężników mających umożliwić nam wspięcie się na górę, do pomieszczeń mieszkalnych. Nade mną wisiała platforma -niczym futurystyczna stacja kosmiczna, sięgająca wysokości dziesięciu pięter szkieletowa konstrukcja z betonu i stali. Wyciągnąłem rękę w stronę jednej z potężnych kolumn, ale fala odepchnęła mnie od niej. Cholera! Płynąłem teraz pod prąd. Chwycił mnie nurt odpływowy, wciągnął pod wodę i cisnął mną o obrośnięty skorupiakami stalowy pał.

Wynurzyłem się na powierzchnię, wypływając wodę. Po dwóch próbach udało mi się zawiązać pętlę wokół tężnika. Kiedy to robiłem, zdałem sobie sprawę, że pan Murphy w znakomity sposób zaznaczył swoją obecność na naszej wycieczce: cała metalowa powierzchnia platformy miała na sobie paromilimetrową powłokę z lodu.

Szybko zebrałem swoich najlepszych wspinaczy: Trailera, Snakea, Poostera i Horsefacea, i wyjaśniłem im sytuację. Mieli dotrzeć na górę, zamocować na tytanowych hakach drabinki jaskiniowe i spuścić je stamtąd, żeby reszta grupy mogła się po nich wspiąć.

Pierwszy ruszył Pooster, wynajdując krętą drogę w górę po gładkiej cylindrycznej powierzchni tężnika i klnąc tak siarczyście, że Ev Barrett byłby z niego dumny. Nie musieliśmy zachowywać się cicho - przy wietrze wiejącym z prędkością 50 węzłów nikt i tak nic by nie usłyszał, a poza tym byliśmy pewni, że terroryści nie spodziewają się nas tak prędko.

Zerknąłem na zegarek: była 2.25. Tylko parę minut opóźnienia w stosunku do założonego przeze mnie rozkładu. Utrzymałem się

386

ROZDZIAŁ 20

na powierzchni i dumałem nad losem, który sobie wybrałem. Czekałem, a czas wydawał się wiecznością.

- K***aaa!

Z ciemności wyfrunęło ciało Poostera. Wleciał do wody 5 metrów ode mnie: upadł płasko na plecy z bardzo nieprzyjemnym odgłosem plaśnięcia.

Podpłynąłem do niego pewien, że nie żyje albo jest nieprzytomny, albo że skrzył kark. Leżał w wodzie, przebierając palcami u rąk. Potem pod maską drgnęły mu krótkie rude wąsy. W końcu jęknął:

- Cholera, tam na górze jest niezła ślizgawica.

Dzięki Bogu, nic mu się nie stało. Uśmiechnąłem się. Uniosłem oczy ku niebu.

- Do góry, dupku, do góry. Miałeś iść tamtędy. - Wskazałem nad głowę. '

Obrócił się, podpłynął pieskiem do podpory i zaczął od nowa -dzielna mała ciuchcia. Tym razem zdjął gumowane rękawice.

- Ręce mi się ślizgają.

- Pozdzierasz skórę.

- No to co? Przynajmniej będę miał przyczepność.

Tym razem w górę poszli wraz z nim również Snake, Horseface i Trailer. Ostatecznie to Trailer pierwszy dostał się wystarczająco wysoko, żeby zamocować drabinkę jaskiniową (drabinka taka przypomina nieco rozbudowany trapez dla akrobatów). Dałem sygnał pierwszej szóstce, że ma zacząć się wspinać. Wkrótce pojawiły się pozostałe trzy drabinki, a wszystkie były umocowane do tężników tytanowymi hakami. Dałem znak reszcie zespołu, żeby rozpoczęła szturm.

Plan zakładał przeprowadzenie naprawdę prostej operacji, z gatunku KISS. Mieliśmy wspiąć się po drabinkach, żeby pokonać fragment z pionowymi tężnikami. Potem, z chwilą dotarcia do szkieletowej nadbudowy samej platformy, mieliśmy wspiąć się jeszcze trochę w górę, przejść przez barierki i zdjąć bandytów. Dwudziestu czterech operatorów stanowiło wystarczająco dużą grupę, żebyśmy mogli równocześnie zaatakować wszystkie główne punkty platformy.

387

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

Patrzyłem, jak dwóch chłopaków z GSG 9 wciąga się po drabince zrzuconej przez Horsefacea. Po przejściu 6 metrów w górę natrafili na minitornado, które rzucało nimi tak silnie, że hak drabinki wypadł z miejsca zaczepienia. Spadli z powrotem do wody, wciąż uwiązani do wspólnej liny, wyskoczyli na powierzchnię, podpłynęli do tężnika i tam się zatrzymali. Drabinka poszła na dno. Próbowałem policzyć, ile kasy utonęło. Każdy tytanowy hak był wart tyle co bilet na lot concordeem z Nowego Jorku do Londynu.

Zamachałem do Niemców, żeby podpłynęli do drabinki Poostera, i dałem im sygnał, żeby szli w górę. Kiedy zobaczyłem, że nic im nie jest, poszedłem za nimi jako ostatni uczestnik wspinaczki. W połowie drogi zabrakło mi sił. Co, u diabła, robi tu taki starzec jak ja? Trwając tak bez ruchu zawieszony 12 metrów nad wzburzonym morzem, spojrzałem na zegarek: była 5.18. Ponad trzy godziny zajęło nam przedostanie się z miejsca spuszczenia łodzi do wody na docelowe pozycje do ataku.

Sapiąc i pocąc się mimo mroźnego wiatru, podciągnąłem się i przeskoczyłem nad barierką, po czym patrzyłem, jak wszyscy zajmują ustalone wcześniej pozycje w parach niemiecko-amerykańskich - zgodnie ze schematem, który nazwałem trybem międzynarodowym. Na platformie nie było widać żadnego ruchu, słychać było tylko normalny szum wiatru i morza oraz pochodzące z aparatury pneumatycznej, hydraulicznej i elektrycznej syczenie,

skrzypienie, zgrzyty i świsty. Pomyślałem, że może pan Murphy spadł z drabiny i wreszcie ten sukinsyn utonął. Dałem sygnał ręką. Trailer i Baby Rich, każdy ze swoim niemieckim partnerem w parze strzeleckiej, umocowali ładunki wybuchowe do głównego wejścia. Pozostali moi niezawodni strzelcy: wybuchowy mały kogut, którego nazywałem Little Carlos (Mały Carlos), a także Snake, SEAL o rozmiarach sporej szafy zwany przez mnie Ho-Ho-Ho i Pooster - wszyscy w towarzystwie swoich niemieckich partnerów, blokowali okna, luki ratunkowe i generator prądu.

Zbyt gładko to szło - nigdzie ani śladu bandytów. Wciągano nas w pułapkę? Czyżby za chwilę miała się zacząć nasza klęska stulecia? Włączyłem nadajnik.

388

ROZDZIAŁ 20

- Jazda!

I się zaczęło: jakby ktoś połączył razem pieprzone obchody 4 Lipca, rocznicy zdobycia Bastylia i cholerny jubileusz brytyjskiej królowej. BUUUM! - wybuch ładunków zrobił wyłom w miejscu drzwi. BUM! - chłopcy wturlali granaty hukowo-błyskowe do nastawni, po czym szybko i cicho weszli do pomieszczenia.

Szedłem tuż za Trailerem, prawie do niego przytulony. Prowadził z uniesionym i odbezpieczonym rewolwerem Smith & Wesson. W dymie powstałym po wybuchu granatu hukowo-błyskowego zauważyliśmy, że ktoś porusza się za jednym z paneli elektrycznych.

Trailer instynktownie skierował tam swoją broń kalibru .357 cala i wystrzelił trzy sztuki specjalnej amunicji Simunition z barwnikiem.

- Giń, sukinsynu.

Na klatce piersiowej bandyty pojawiły się trzy czerwone gwiazdy. Po jego prawej stronie poruszył się ktoś jeszcze. Niemiecki partner Traile-ra zwrócił tam swój HK P7 i trafił terrorystę w szyję dwoma pociskami woskowymi kalibru 9 mm. Mimo że sukinsyn miał ochraniacz, przez następne parę dni z trudem oddychał.

- Czysto - ogłosił Trailer przez radio.

Wtedy Carlos, Snake, Ho-Ho-Ho, Rich, Horseface i inni zaczęli metodyczne przeczesywanie jednego po drugim wszystkich głównych pomieszczeń na platformie. Połączyłem się przez radio z holownikami i whalerami, zarządzając, żeby podpłynęły. W tle słyszałem pojedyncze dwu- lub trzy-strzałowe krótkie serie z pistoletów i pistoletów maszynowych.

- Mam zakładników. Żyją - dotarł przez radio głos Gold Dust Larry ego. - Ale mają ładunki.

Cholera. Zrobiono z nich miny pułapki. Gdzie może być detonator? Czy jest elektryczny, czy odpalany zdalnie przez radio? Czy może... Moje pytania przerwał charakterystyczny głos Poostera.

- Mam sukinsyna z zapalnikiem: spał, a zapalnik schował pod materacem. Rozwiąż ich, Larry.

Ćwiczenia zakończyliśmy o 7.30. Jurorzy (trzech Niemców i trzech Amerykanów) podsumowali wyniki: dwóch bandytów zabitych, trzech

389

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

rannych, ośmiu zatrzymanych. Dwóch operatorów rannych. Dwunastu zakładników uwolnionych, żaden nie odniósł obrażeń. W sumie nie najgorzej nam poszło tego ranka.

Ricky ego znalazłem w kambuzie: był zajęty wiosłowaniem w parującej misce zupy ogonowej, w drugiej ręce trzymał kawałek czarnego chleba grubo posmarowanego białym niemieckim masłem, a obok łokcia postawił sobie kubek czarnej kawy.

- Dobrze się pan bawi, Herr General?

Podniósł na mnie wzrok i uśmiechnął się złowieszczo.

- Ja, frajerze. To był ciekawy poranek. Znaczny postęp. - Zrobił pauzę na łychę pełną zupy. - Ale te ćwiczenia zawsze dodają mi apetytu. - Wbił zęby w pumpernikiel. - A tobie?

Mnie? Stałem przed nim w gumowym kombinezonie, po brodzie ściekała mi woda, place u rąk miałem przemarznęte i poobcierane, łupało mnie w stawach. Zlałem się do kombinezonu (to zwykła praktyka podczas takich operacji) i cuchnąłem jak latryna.

- Ty skurczybyku jeden, gówniany wypierdku z drętowymi jajami, ty pieprzony szwabski hitlerowcu, sukinkocie z gównem zamiast mózgu: siedzisz tu sobie, wpięprzając zupkę z chlebkiem w kolorze gówna i popijając cholerną gorącą kawkę, kiedy ja odmrażam sobie dupę w tym twoim pieprzonym Morzu Północnym, i ty się pytasz, czy mam apetyt? Jak to my mówimy, pieprz się, Herr General.

Ryknął śmiechem.

- Coś mi się zdaje, frajerze, że tego ranka tak naprawdę to ty się dałeś, wybacz wyrażenie, wypieprzyć.

Miał rację, sukinsyn. Ale z drugiej strony to on nosił gwiazdki, a ja blizny.

Po odwiedzinach u GSG 9 pozostały nam wspomnienia makabrycznego przemarznienia i bólu. To prawda. Ale przynajmniej udało nam się popracować trochę z ludźmi, których lubiliśmy. Wkrótce po powrocie do Stanów zostałem wezwany do kwatery głównej JSOC (Połączonego

390

ROZDZIAŁ 20

Dowództwa Operacji Specjalnych), gdzie powiedziano mi, że potrzebują grupy ludzi z SEAL Team Six do jakiejś tajnej operacji w Libanie. W Libanie nie lubiłem nikogo.

Ale zimą 1982 roku w tym kraju znajdowały się zasoby amerykańskiej marynarki będące częścią międzynarodowych sił wysłanych tam zaraz po wrześnieowych masakrach w obozach dla uchodźców w Sabrze i Szatili. W obozie tym członkowie milicji o nazwie Falanga w akcie zemsty za zabicie w zamachu bombowym ich charyzmatycznego przywódcy Baszira Dżemajela wymordowali mniej więcej tysiąc nieuzbrojonych Palestyńczyków: mężczyzn, kobiet i dzieci.

Wobec tego JSOC i - niechętnie - Departament Stanu postanowiły, że do Bejrutu zostaną przetrzucone potajemnie dwie okrojone załogi łodzi z SEAL Team Six (dwunastu ludzi zamiast czternastu). Dostaliśmy zadanie dokonania oceny możliwych zagrożeń terrorystycznych dla amerykańskich obiektów, zbadania sytuacji ambasady i piechoty morskiej oraz opracowania sugestii w zakresie poprawy bezpieczeństwa. Podobnie jak to zdarzało się często już wcześniej, zostałem przetrzucony na miejsce tuż przed świętami Bożego Narodzenia.

Starannie dobrałem ludzi. Wziąłem oczywiście Paula i Dukea. Uznałem, że do zespołu dobrze będzie pasował też Indian Jew. Dodałem do tego bliźniaków Gold Dust oraz Snakea, Horsefacea, Fingersa, Poostera i wielkiego brodatego sukinsyna Ho-Ho-Ho (zwanego tak od sposobu, w jaki się śmiał). Wziąłem też swojego ulubionego młodego, Baby Richa - szeregowe mięso armatnie. Powiedziałem mu, że potrzebujemy go jako ochotnika, gdybyśmy musieli rzucić kogoś na pożarcie wilkom. Zapytał, czy powinien zabrać dla siebie czerwony kapturek.

- Jeśli będzie wyglądał choć trochę jak kufijja - powiedziałem - pakuj.

Zimą 1982 roku deszcze zawitały wcześniej do Libanu, więc kiedy ubrany tylko w golf i cienką kurtkę szedłem przez zatłoczony terminal międzynarodowego lotniska w Bejrucie, było mi przenikliwie zimno. Z plecakiem przewieszonym przez ramię i torbą podróżną w ręku dawałem

391

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

się unosić ludzkiemu nurtowi kierującemu się w stronę punktu odprawy paszportowo-celnej.

Mój lot składał się z kilku etapów: najpierw z Norfolku do Waszyngtonu, potem z Waszyngtonu do Nowego Jorku, z Nowego Jorku do Paryża. W Paryżu przenocowałem i zakosztowałem trochę świątecznych uciech (nie dowiedziałem się, jak miała naprawdę na imię, ale była Wietnamką i była śliczna), po czym wstałem o 5.00 i pojechałem taksówką na położone pół godziny jazdy na południowy wschód od miasta lotnisko Orły, z którego odlatywały samoloty linii Middle East Airlines do Bejrutu. Podróżowałem z niewielką ilością rzeczy: miałem tylko bagaż podręczny i mały pistolet kalibru .380 cala, który łatwo było ukryć, kiedy przechodziłem przez wykrywacze metalu.

Nasz sprzęt łącznościowy, cięższa broń i specjalistyczne cacka podróżowały razem z Dukiem, Larrym, Frankiem i Baby Richem. Ich wycieczka była łatwiejsza: najpierw polecili samolotem Dowództwa Lotnictwa Transportowego do bazy lotniczej Sigonella na Sycylii, tam spędzili relaksującą noc, mając do dyspozycji zimne piwo, a potem wczesnym rankiem ruszyli dalej na pokładzie należącego do marynarki samolotu C-2 Greyhound, który miał dostarczyć ich na lotniskowiec USS Independence krążący tuż przy granicy Libanu. Stamtąd moja czwórka SEALsów miała dostać się na ląd razem z kontyngentem marines. Potem mieli się przebrać, wmieszać się w tłum i przedostać na północ miasta. Ja miałem znaleźć ich i przywiezione przez nich łupy w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin po zewnętrznej stronie terminalu lotniska.

Paul, Horseface, Pooster i Snake mieli wyznaczoną trasę samolotem przez Amsterdam, a następnie planowali przedostać się drogą lądową, pociągiem, do Aten. Tam mieli zostać kilka dni i upewnić się, że nikt ich nie śledzi, po czym zamierzali polecieć na Cypr, gdzie musieli złapać prom do Bejrutu. W ciągu osiemdziesięciu czterech godzin mieli dotrzeć do Museum Crossing - jednego z nielicznych miejsc, w których można było przedostać się z Bejrutu wschodniego do zachodniego bez ryzyka, że zostanie się postrzelonym. Trasa Jew, Ho-Ho-Ho i Fingersa była najbardziej okrężna i niebezpieczna: wiodła przez Londyn, Paryż,

392

ROZDZIAŁ 20

Frankfurt - i Damaszek. Po dotarciu do stolicy Syrii mieli wynająć taksówkę i dotrzeć do Bejrutu drogą lądową, po czym zameldować się w położonym przy brzegu na północ od lotniska hotelu Summerland.

Podczas tego konkretnego patrolu bojowego ja byłem na szpicy. Przez mniej więcej dzień miałem działać w pojedynkę - zorientować się z sytuacji i przygotować do misji na miejscu: zorganizować transport, rozejrzeć się za odpowiednimi kryjówkami i uważać na wszystko. Uśmiechnąłem się do wąsatego urzędnika, który wbił mi stempel. Przed podejściem do punktu kontroli w moim irlandzkim paszporcie znajdował się starannie złożony różowo-żółty pastelowy banknot, 50 libańskich funtów. Teraz miałem tam wbitą dwumiesięczną wizę, a pięćdziesięciofuntowy banknot znikł.

- Szukran. (Dziękuję).
- Afuan. (Nie rpa za co).

Poszedłem po pochylni, kierując się do drzwi wyjściowych. Na zewnątrz wydawało się, że trwają jakieś rozruchy, ale był to tylko zwykły rozgardiasz typowy dla lotnisk Trzeciego Świata od Kairu do Karaczi. Jedyne różnica polegała na tym, że w Libanie wszyscy byli uzbrojeni po zęby.

Trzech taksówkarzy stoczyło o mnie walkę, a ja oddałem się w ręce zwycięzcy. Był to niewysoki ciemnoskóry mężczyzna, który krzywo się uśmiechał spod źle zszytej zajęcej wargi. Miał tylko jedną brew, za to gęstą. Poprowadził mnie do czegoś, co mogło kiedyś być

chevroletem. Szedłem za nim: zasuwiał do przodu, kołysząc ramionami. Dotarliśmy do pojazdu. Zatrzymał się i odwrócił do mnie. Potężna brew uniosła się 2 centymetry.

- Dokąd jedziemy?
- Hotel Commodore, Igor.

Pokazał kciuki do góry.

- Sahafa? (Prasa?) Dziennikarz?
- Tak. Sahafa. Z „Irish Weekly Flagpole”. Słyszałeś o tej gazecie?

Spojrzałem na niego: z jego miny mogłem się domyślać, że tak wygląda zdziwiony bejrutczyk.

393

DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

- Nie, proszę pana.
- Nie szkodzi, nikt nie słyszał.

Usiadłem na miejscu obok kierowcy, bagaże rzuciłem na tylne siedzenie i po krótkich zapasach z drzwiami prawie udało mi się je zamknąć.

- Jak się nazywasz, habibi?
- Habibi? Mówi pan po arabsku?
- Nie, znam tylko parę słów. Umiem powiedzieć „odpier*** się” i zapytać, gdzie znaleźć pisuar.
- Tyle wystarczy. - Kierowca odwrócił twarz w moją stronę, a kiedy się uśmiechał, jego warga wydawała się jeszcze bardziej idiotyczna. Ruszył, nie zwracając najmniejszej uwagi na ruch samochodów z obu stron. - Niech mi pan mówi Abu Said, habibi. Said Abu Said. - Pokręcił głową, sięgnął za siebie i klepnął mój bagaż. - Habibi, proszę tego nie robić: to kuszenie losu. Położyć pod stopami, proszę.

Schowałem torbę we właściwym miejscu, podczas gdy taksówka gwałtownie i niebezpiecznie skręciła, opuszczając teren lotniska. Pokonaliśmy dwie libańskie blokady drogowe i ruszyliśmy na północ, jadąc prowadzącą do miasta dwujezdniową szosą. Jakieś 100 metrów przed nami dwa volva, które najwyraźniej brały udział w wyścigu ulicznym, nagle stuknęły jedno w drugie. Pierwsze wykonało gwałtowny skręt, obróciło się o 180 stopni, po czym wylądowało na skraju drogi. Drugie zjechało na pobocze i zahamowało z piskiem opon. Obaj kierowcy wyskoczyli z samochodów, wymachując pistoletami. Abu Said wcisnął pedał gazu i jak najszybciej przemknął obok strzelających. Witamy w Bejrucie.

Przepuszczono nas przez punkt kontrolny obsługiwany przez marines, gdzie te dzieciaki z rumianymi policzkami stały z nienabitymi karabinami M16. Jedna z idiotycznych „zasad użycia siły”, które zatwierdzili waszyngtońscy urzędnicy, głosiła, że marines nie wolno się bronić. Obejrzałem się za siebie. Stanowili łatwe cele. Odwróciłem się z powrotem i zobaczyłem przed nami bezładną zabudowę złożoną ze zbombardowanych, opustoszałych ruin.

394

ROZDZIAŁ 20

- Burdż al-Baradżna, obóz Palestyńczyków - wyjaśnił Abu Said, kiedy mijaliśmy zabudowania. - Izraelczycy nie lubią.

Na skrzyżowaniu gwałtownie skręcił w lewo, a wkrótce potem w miejscu, które było rondem, pojechał w prawo. Na budynku po lewej stronie zobaczyłem szyld, po którym poznałem, że właśnie minęliśmy ambasadę Kuwejtu. Teraz przejeżdżaliśmy obok obiektu przypominającego stadion.

- Centrum sportowe - wyjaśnił. - OWP używała go na skład broni. Izraelczycy zbombardowali. Syryjczycy ostrzelali z czołgów. Wszyscy łubu-du.

Jechaliśmy dalej. Krajobraz po prawej stronie był zaśmiecony spłaszczonymi domami przypominającymi naleśniki.

- Obóz Szatila - powiedział kierowca. - Kataib. Falangiści... - Przejechał palcem po ga\$le. - Zabijają tu wielu Palestyńczyków.

Skręciliśmy gwałtownie w lewo, potem w prawo, potem znowu w lewo, jadąc wąską boczną drogą, wzdłuż której stały zaparkowane ciasno samochody i domy, które najwyraźniej przetrwały wojnę bez wielkich zniszczeń. Jeszcze raz zrobiliśmy parę zakrętów, po czym nagle po naszej lewej stronie moim oczom ukazała się niezwykła panorama zielonobłękitnego Morza Śródziemnego. Mimo wszystkich tych zniszczeń widok był niesamowity - zanim Libańczycy postanowili popełnić narodowe samobójstwo, musiało to być cudowne miasto. Rozluźniłem się, siedząc wygodnie w fotelu. Po przejechaniu kilkuset metrów taksówka zadrżała od potężnego łomotu i niemal natychmiast dał się odczuć wstrząs spowodowany niebezpiecznie bliską eksplozją gdzieś za nami. Kiedy się odwróciłem, zobaczyłem buroczarny dym wydobywający się z dzielnicy mieszkalnej, przez którą właśnie przejechaliśmy.

- Co to było?

Abu Said wjechał na chodnik i zatrzymał się. Wyszedł z samochodu i popatrzył w tył na dym.

- Samochód pułapka - powiedział rzeczowym tonem. - Niebezpieczne.

- Bez jaj.

395

DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

Taksówkarz wrócił do samochodu i pochyliwszy się nad kierownicą, szarpnął drzwi, żeby je zamknąć, po czym wrzucił bieg.

- Bez jaj, habibi.

Powoli wspinaliśmy się w górę stromej, wąskiej uliczki, która przecinała zbocze zabudowanego kanionu, potem zjeżdżaliśmy slalomem w dół z drugiej strony, wijąc się między zaparkowanymi samochodami a pieszymi. W pewnym momencie z przeciwnego kierunku jak szalone nadjechały na sygnale dwa wozy straży pożarnej i pędziły, nie zwracając najmniejszej uwagi na ruch pojazdów z przeciwka. Potem przejechaliśmy przez następne, jeszcze bardziej strome wzgórze. W końcu, wypuszczając kłęby pary z chłodnicy, taksówka zajechała ze świstem przed wejście do hotelu. Dałem Saidowi Abu Saidowi 100 funtów libańskich. Ukłonił się i uśmiechnął.

- Szukran, habibi. Oby miał pan dobry pobyt. I spokojny.

- Dziękuję, Abu Said. - Schyliłem się, żeby wyciągnąć torbę. - Będę potrzebował kierowcy na kilka dni. Jesteś wolny?

Kiwnął na potwierdzenie.

- 300 dolarów amerykańskich za dzień i 50 dodatkowo za każde przejechanie zielonej linii pod ostrzałem.

Wyciągnąłem rękę.

- 250 dziennie i 50 za każde przejechanie zielonej linii pod ostrzałem, jeśli nie dostaniemy kulki.

Roześmiał się.

- Dogadane. Mam teraz zaczekać, habibi?

- Nie, zobaczymy się jutro rano o 8.00. Dzisiaj chcę się urządzić, a potem trochę pozwiedzam na piechotę.

Wziąłem rzeczy, wszedłem do holu Commodore i rzuciłem bagaże na podłogę przy ladzie recepcji. Z przodu po lewej stronie moim oczom ukazał się miły widok baru z wystrojem z czerwonego winylu i szklane drzwi prowadzące najwyraźniej na taras i basen.

Commodore cieszył się dobrą opinią na całym świecie. Był to hotel dla dziennikarzy funkcjonujący w stylu Starego Świata: idealny, jeśli chodzi o rozliczanie kosztów reprezentacyjnych. Rachunki za drinki wpisywano

w pozycji „pralnia”, paragony z restauracji rozliczano jako „usługę teleksu” albo „rozmowy międzynarodowe”. To samo dało się zrobić ze złotem czy biżuterią, które można było zamówić w hotelu, a ich koszt wliczano w opłaty za nocleg. Renomą cieszyły się nawet tamtejsze piwnice: som-melier w hotelu Commodore potrafił dostarczyć niemal każdy gatunek wina - pod warunkiem że zdążył wydrukować odpowiednią naklejkę.

Zameldowałem się, zostawiłem bagaże w nędznym pokoju wychodzącym na tyły hotelu, zajrzałem do baru, wypiliśmy dwa bombaje, po czym wyszedłem na spacer.

Z hotelu Commodore poszedłem na ulicę Hamra, będącą centrum handlowym zachodniego Bejrutu. Po chodnikach snuły się patrole francuskich spadochroniarzy z pistoletami maszynowymi przewieszonymi na ukos przez ramię. Ich obecność musiała być uspokajająca - Hamra tętniła życiem, wypełniona nieustanną kakofonią przenikliwego trąbienia i piszczenia taksówek i innych samochodów. Sklepy z fast foodem miały mnóstwo klientów chętnie posilających się chrupiącymi kurczakami z grilla, szawarmą i falafelem. Pijalnie soków masowo produkowały mrożone napoje. Właściciele sklepów, od dawna pozbawieni swoich lokali z powodu wybuchów, gromadzili towary w stertach i prowadzili sprzedaż na chodnikach.

Mimo pozorów spokojnej działalności odbierałem te same fluidy, które udzielały mi się, kiedy ponad dziesięć lat wcześniej przyglądałem się panu Charliemu w Delcie Mekongu: wokół różnych domów i przed witrynami sklepów wałęsały się grupki młodych mężczyzn w jeansach, skórzanych kurtkach i z niezbyt starannie ukrywaną bronią. Kupując ekierkę w cukierni, ze zdumieniem dostrzegłem przez otwarte na moment drzwi do piwnicy pod sklepem, że najwyraźniej produkuje się tam bomby. Informacje zaczynały się układać w spójną całość. Bejrut przypominał Wietnam, gdzie spokojna chata często skrywała wejście do składu broni w tajnym podziemnym tunelu. No to, Libańczycy, pieprzcie się: przybył Sharkman.

Posługując się planem miasta, znalazłem drogę do Uniwersytetu Amerykańskiego, pokręciłem się przy jego bramach i murach, po czym

397

CZEŚĆ DRUGA UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

mijając żelbetowe ruiny porośnięte kępami bugenwilli, skąd czmychały od czasu do czasu dziczące koty, po których można się było spodziewać wszystkiego, powoli powlokłem się w dół ulicy Corniche, w stronę Avenue de Paris, żeby ujrzeć wychodzącą na morze sześciopiętrową ambasadę amerykańską.

Minąłem budynek będący reliktem epoki, kiedy ambasady były tak samo dostępne i niestrzeżone jak publiczne biblioteki, usiadłem na chwilę, podziwiając niesamowite, nieskazitelnie i zabójczo błękitne starotestamentalne niebo, po czym kontynuowałem swoją przechadzkę. Szybko zorientowałem się, że zabezpieczenia ambasady są głównie warte. Wzdłuż podjazdu ułożono wysokie sterty worków z piaskiem, które zabezpieczały budynek przed ostrzałem od strony ulicy. Ale gdyby terroryści wjechali na niestrzeżony podjazd

samochodem wyładowanym trotylem, wówczas siła eksplozji skierowana zostałaby właśnie w stronę ambasady, zamiast napotkać jakąś przeszkodę. A każdy mógł podjechać pod same drzwi frontowe: nie było tam żadnych barier na tyle mocnych, by uniemożliwić wjazd samochodu, a jedynie barykady lekkiej konstrukcji i wypełnione piachem beczki po ropie. Większość libańskich strażników na zewnątrz miała broń u boku, ale nie widać było żadnego silniejszego uzbrojenia. Marines z shotgunami znajdowali się w środku, gdzie byli najmniej potrzebni.

Przez resztę dnia wałęsałem się po ulicach, zapoznając się z terenem rozciągającym się między ambasadą a hotelem i rozglądając się za mieszkaniem, które moglibyśmy wykorzystać jako kryjówkę. Problem polegał na tym, że nie potrafiłem odczytać arabskich napisów „do wynajęcia” - ani nawet stwierdzić, czy w ogóle gdzieś je wywieszono. Zmierzch zapadł wcześniej, tuż po 16.30, a kiedy na ulicach zrobiło się ciemno, wróciłem do Commodore i jego przyjemnego baru. W pokoju starannie sprawdziłem bagaże: zostały przeszukane. Nie zmartwiłem się tym - nie miałem tam niczego, co mogłoby zdradzić komukolwiek na mój temat coś więcej niż to, że nie przywiozłem maszynki do golenia i że mam parę książek w broszurowej oprawie wydanych w Wielkiej Brytanii oraz pusty notes reportera. Na dole nie zdążyłem jeszcze usiąść

398

ROZDZIAŁ 20

na stołku, kiedy barman postawił przede mną podwójnego bombaja z lodem. Wprawdzie pokój był brudny i zaplamiony, wykładziny wytarte, urządzenia sanitarne liche, a na materacu mogłem nabawić się lordozy, ale bar był naprawdę pięciogwiazdkowy. Wszystko jest kwestią priorytetów - a w Commodore priorytety były jasno określone.

Następnego ranka o 8.00 Abu Said siedział w samochodzie przed hotelem. Silnik dudnił. Wskoczyłem na przednie siedzenie.

- Jalla. (Jazda).
- Dokąd?
- Na kawę. Zawieź mnie do najlepszej kawiarni, jaką znasz.
- Robi się, habibi.

Abu Said uśmiechnął się, błyskając zębami zza wąsów, wdepnął pedał gazu i ruszył z kopyta, aż uniosła się maska samochodu. Pojechaliśmy w dół wzgórzi w stronę nadmorskiego bulwaru.

Jechaliśmy drogą na południe od Chalde. „Jechaliśmy” to mało powiedziane. Abu Said prowadził jak SEALs. Droga była dwujezdniowa, a ilekroć samochody jadące przed nim w kierunku południowym jechały jego zdaniem zbyt wolno, przecinał zieleń oddzielającą pasy ruchu, włączał długie światła, wciskał klakson i jechał pod prąd jezdni przeznaczoną dla jadących na północ. Wymachiwał przy tym ręką i wygrażał pięścią, podczas gdy kolejne

samochody i ciężarówki zjeżdżały nam gwałtownie z drogi. Jakies 6 kilometrów na południe od lotniska skręcił na drogę gruntową z koleinami, wyłukł nas przez następne pół kilometra, po czym zatrzymał się z piskiem opon przed małą, nijaką witryną sklepową z oknami osłoniętymi podwójnym rzędem worków z piaskiem.

- Najlepsza kawa w Bejrucie. U mojego kuzyna.
- Wspaniale. A teraz, Abu Said, bądź tak miły i zechciej mi towarzyszyć. Potrzebuję twojej pomocy i rady.

Tego dnia wszędobylski Abu Said pomógł mi znaleźć dwa mieszkania: jedno na moje „biuro prasowe”, drugie dla moich „fotografów”

399

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

i „techników”, którzy mieli przyjechać następnego dnia po południu. Zapłaciłem za miesiąc wynajmu plus za kolejny jako bakszysz, czyli uni-weralną łapówkę połączoną z opłatą manipulacyjną z napiwkami - na całym Bliskim Wschodzie trzeba było w ten sposób smarować - i wręczono mi dwa komplety kluczy. Wymeldowałem się z Commodore i zostawiłem rzeczy w większym z wynajętych mieszkań. Następnie wynająłem na drugiego kierowcę kolejnego z niewyczerpanej kolekcji kuzynów Abu Saida. Dzięki temu mieliśmy dwa pseudochevrolety i dwóch wąsatych kierowców o nazwisku Abu Said - w związku z czym szybko zacząłem nazywać jednego Taxi Alpha, a drugiego Taxi Bravo.

O zmroku trzeciego dnia cały zespół dotarł na miejsce bez szwanku. Dukea, Larryego, Franka i Baby Richa odebrałem z okolic lotniska, a Paula, Snakea, Poostera i Horsefacea ściągnąłem z Museum Crossing, po czym powędrowałem do hotelu Summerland przy morskim brzegu na zachód od Szatili i znalazłem tam Jew, Ho-Ho-Ho oraz Fingersa otoczonych wianuszkami dziewcząt przy barze. Prawie dwie godziny zajęło mi wyplątanie ich z objęć trzech uroczych kwiatuszków, które za nic nie chciały się od nich odkleić.

Okazało się, że trudno by było znaleźć lepszą lokalizację kryjówek. Jedno mieszkanie znajdowało się na Corniche, niespełna pół kilometra od amerykańskiej ambasady. Miało cztery pokoje i mieściło się na drugim piętrze, a jego okna wychodziły na Morze Śródziemne, na północ, z widokiem na Dżuniję, bastion maronitów, bliskowschodnich chrześcijan. Drugie mieszkanie było położone w pobliżu głównej siedziby UNICEF-u. Było mniejsze, ale wygodne. Dawało nam dobry dostęp do ambasady od tyłu.

Ważną sprawą była łączność. Grupa Dukea przywiozła sporo bezpiecznego sprzętu radiowego i utworzyliśmy trzy oddzielne sieci. Jedna łączyła oba mieszkania. Druga wykorzystywała miniaturowe aparaty nadawczo-odbiorcze i była przeznaczona do użytku na zewnątrz. Oprócz tego mieliśmy przenośną antenę satelitarną i SATCOM, więc w razie potrzeby mogliśmy łączyć się z JSOC. Zawsze przezorny Duke zabrał ze sobą nową zabawkę: kieszonkowy szyfrator. Używało się go

ROZDZIAŁ 20

w ten sposób, że wstukiwano się kod szyfrujący, a następnie nagrywało się komunikat na taśmie. Wtedy dzwoniło się zwyczajnie przez telefon (można było użyć automatu ulicznego, linii hotelowej - nie miało to znaczenia) i odtwarzało się zaszyfrowane nagranie do słuchawki. Odbiorca nagrywał komunikat u siebie i używał tego samego kodu numerycznego do jego odszyfrowania. Kombinacje cyfr można było zmieniać codziennie, a nawet co godzina, jeśli byłoby to konieczne.

Nie mieliśmy wielkiej swobody działania. Ambasada wiedziała, że JSOC ma przysłać zespół w celu zbadania sytuacji ambasady, ale ci po-paprańcy i dyplodupki nie mieli najmniejszego zamiaru z nami współpracować. Ich zdaniem bezpieczeństwo ambasady było tip-top i nie było powodu do zmartwień. „Wesoło śpiewajmy, chwałę Bogu dajmy, hej kolęda, kolęda!”

Pieprzyć ich. Uj&tujemy ich wbrew nim samym.

Podzieliłem nas na podstawowe grupy w teamach - działaliśmy w parach: Paul i Duke, Snake i Pooster, bliźniaki Gold Dust, Rich i Ho-Ho-Ho oraz Jew i ja. Naszym zadaniem było sprawdzenie, czy istnieje jakieś zagrożenie ze strony terrorystów, a gdyby istniało, wymyślenie, jak można mu przeciwdziałać. Wiedzieliśmy, że marines zostali już ostrzelani przez snajperów z terenu szyickich slumsów znajdujących się naprzeciwko lotniska, dlatego wysłałem Paula i Dukea na rozpoznanie tego terenu z jednego kierunku, a bliźniakom Gold Dust wyznaczyłem punkt widokowy po przeciwnej stronie, skąd mieli prowadzić obserwację tego samego celu. Snake, Pooster, Jew i ja skupiliśmy się na ambasadzie. Pozostałe dwie pary miały prowadzić ogólny rekonesans, ustalić, jakie nastroje panują w mieście, i spróbować zlokalizować obszary wymagające szczególnej uwagi.

Szczególnej? Dobrze sobie: całe to miasto było obszarem wymagającym szczególnej uwagi. Następnego ranka poszedłem z Jew na spokojną przechadzkę precyzyjnie obmyślaną trasą biegnącą przez Uniwersytet Amerykański w Bejrucie, który znajdował się za ambasadą. Jew miał ze sobą aparat z autofokusem, więc dla przechodniów był po prostu jeszcze jednym dupkiem, który robi pamiątkowe zdjęcia. Tak

DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

naprawdę jednak prowadził klasyczną obserwację celu: przygotowywał wizualną „relację” ukazującą, jak bardzo niezabezpieczone są tyły ambasady i jak łatwo można się przedostać na jej teren z każdej strony.

Łaziliśmy tak i gadaliśmy, i fotografowaliśmy przez mniej więcej godzinę, po czym postanowiliśmy gdzieś przysiąść i coś przekąsić. Przed jakimś sklepikiem w pobliżu ulicy Bechazi Jew obrócił się do mnie.

- Uśmiech.

Podniósł aparat. Pomachałem do niego.

- Cześć, mammo.

Pstryknął fotkę, po czym poszliśmy dalej tą samą ulicą.

W ułamku sekundy z bocznej uliczki wyskoczyło na nas sześciu nastolatków, z których czterech trzymało pistolety, a dwóch AK-47. Paplając coś po arabsku z prędkością karabinu maszynowego, pokazywali na aparat, który niósł Jew, i dawali nam znaki, żebyśmy się zatrzymali.

Jew zareagował, przyjmując pozycję obronną. Powstrzymałem go szybkim ruchem brwi - nie potrzebowaliśmy żadnych kłopotów w jasny dzień na zatłoczonej ulicy. Podniosłem ręce do góry i oparłem się plecami o ścianę. Jew zrobił to samo.

- O co chodzi? - Uśmiechnąłem się uspokajająco do uzbrojonych chłopaków. Nikt mi nie odpowiedział. - Parlez vous français?

Jeden z nich odpowiedział po francusku z ciężkim akcentem.

- Kim jesteście?

- Je suis journaliste. Sahafa. Prasa.

Przetłumaczył to kolegom. Nie zrobiło to na nich wrażenia. Trzymali AK wycelowane w nasze szyje. Zwróciłem uwagę, że przełączniki w broni były ustawione na ogień ciągły, a chłopcy mieli palce na spuście. Próbowałem przypomnieć sobie, jaki nacisk w kilogramach jest potrzebny do naciśnięcia spustu w AK. Kiedyś uznałem, że to zbyt nieistotny drobiazg, by to zapamiętywać.

Ten, który mówił po francusku, zwrócił się znowu do mnie.

- Twój kolega zrobił zdjęcie tajnego obiektu wojskowego.

Powiedziałem Jew, co zrobił.

- Udawaj, że ci wstyd, dupku - złajalem go.

402

ROZDZIAŁ 20

Jew zwiesił głowę i mamrotał coś pod nosem. Otworzył aparat od tyłu, wyjął film i rozciągnął go ze szpuli, prześwietlając całą rolkę.

- Zapytaj, czy teraz już okej, bo jak nie, to rozwalę sukinsynów.

Ten, który mówił po francusku, wziął film od Jew. Nasi napastnicy opuścili broń.

- Co to za obiekt sfotografowaliśmy? - zapytałem.

Chłopak wskazał w stronę witryny sklepu.

- Tam stacjonuje milicja. Murabitun.
- I to jest tajny obiekt?

Chłopak z powagą kiwnął głową.

- Cała ulica należy do Murabitun.
- A tamta? - wskazałem na zachód.

Pokręcił głową.

- Ta należy d/ Amal, milicji szyickiej - wyjaśnił.
- A tam? - wskazałem na wschód.
- Pierwsza ulica do Murabitun. Następna do Syryjskiej Partii Socjal-no-Narodowej. - Pokazał w stronę slumsów za ulicą Hamra. - A tam Hezbollah, milicja szyickiej Partii Boga.

Uprzejmie skłoniłem głowę.

- Szukran. Merci beaucoup.

Odwróciłem się razem z Jew i odeszliśmy stamtąd.

- Tu jest jak w pieprzonym południowym Bronxie - powiedział Jew. - Każda ulica to teren innego gangu.

Pod koniec pierwszego tygodnia wiedzieliśmy już, że ambasadę ktoś obserwuje. Nie wiedzieliśmy jeszcze tylko, kto to taki. Zauważyliśmy zbyt wiele niebezpiecznych schematów: te same samochody przejeżdżające w nierównych odstępach czasu, te same brodate twarze zatrzymujące się w pobliżu, najwyraźniej w celu sprawdzenia, ilu strażników jest na warcie, te same taksówki i pikapy podjeżdżające do bocznej bramy i głównego wejścia, żeby sprawdzić, czy ktoś je zatrzyma.

403

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

Ja też ustaliłem własne schematy działania. Obserwowaliśmy ambasadę przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, używając aparatów fotograficznych, lornetek i lunet do obserwacji przy słabym świetle. Snake i Pooster, którzy mieli nocną zmianę, zamiast zwyczajnie wchodzić do kryjówki i z niej wychodzić, zaczęli wspinać się od zewnątrz po murze i spuszczać po nim. Dzięki temu nie niepokoili śpiących często na klatce schodowej uzbrojonych mężczyzn, nikt też nie słyszał, żeby używali windy.

Z tego, co mogliśmy ustalić, wynikało, że w zachodnim Bejrucie było dwadzieścia parę różnych uzbrojonych grup, nie licząc sił międzynarodowych, Izraelczyków, Syryjczyków ani

nas. Na tę liczbę składały się rozmaite milicje, prywatne armie, gangi uliczne, zwykłe zbiry i zatwardziali terroryści. Próbując ustalić, kim są nasi bandyci, mieliśmy więc szeroki wachlarz możliwości.

Do początku drugiego tygodnia w Bejrucie zdążyliśmy usłyszeć z sześć wybuchów samochodów pułapek. Parę razy popędziliśmy na miejsce zdarzenia, żeby ocenić skalę zniszczeń. Były znaczne. Wystarczy wypchać mercedesa setką kilogramów materiałów wybuchowych i taką samą ilością gwoździ czy innych metalowych elementów, zdetonować go w godzinach szczytu w jakiejś pełnej ludzi dzielnicy, a można wyrządzić mnóstwo szkód.

W samym pomysle samochodów pułapek jest coś z gruntu przerażającego. Każdy samochód może stać się taką pułapką. Celem ich użycia jest zabicie w okropny sposób niewinnych ludzi. Są praktycznie nie do wykrycia bez specjalistycznego sprzętu i można je odpalić przy użyciu mechanizmu zegarowego, pilota na podczerwień albo z większej odległości - drogą radiową.

Włosy jeżyły się człowiekowi na karku, kiedy się pomyślało o najrozmaitszego typu broni dostępnej rzekomo rozbrojonym bejruckim milicjom. Ale ani czołg, ani granatnik przeciwpancerny, ani moździerz, ani nawet haubica nie jest w stanie spowodować tak wielkich zniszczeń i wyrządzić tak przerażających szkód jak samochód pułapka.

404

ROZDZIAŁ 20

Wypadki Paula do slumsów w dzielnicy nędzy na południu Bejrutu również kazały brać pod uwagę możliwość zaistnienia w przyszłości jakiegoś pesymistycznego scenariusza.

- Marines są wciągani w walki, których nie są w stanie zakończyć - powiedział Paul.

Opowiedział nam, że marines napotykają opór szyickich i druzyj-skich partyzantów. Na południu, jak mówił, Izraelczycy prowadzili rozpoznanie ogniem na terenach szyickich slumsów w Hajj as-Sellum. Marines zajmowali teraz położony w dole teren w pobliżu lotniska, podczas gdy milicje trzymały w rękę wyżej położone tereny na wzgórzach na wschodzie. Już samo to stwarzało szalenie niebezpieczną sytuację. Ale zdaniem Paula obowiązujące marines dziesięciopunktowe zasady użycia siły świadczyły o kompletnym oblędzie:

„Na posterunku/w trakcie patrolu pieszego lub z użyciem pojazdów, magazynek miej załadowany do broni, zamek nieprzeładowany, broń zabezpieczoną, w komorze nie ma być amunicji.

Nie wprowadzaj amunicji do komory bez rozkazu oficera z wyjątkiem sytuacji bezpośredniej obrony własnej, kiedy dozwolone jest użycie broni”.

- Zapomnieli tylko dodać tym biednym idiotom jednej instrukcji: „Z chwilą otwarcia ognia pochyl się do przodu, włóż głowę między nogi i pocałuj własną dupę na do widzenia”.

Bezpieczeństwo marines, podsumował Paul, było warte tyle samo co bezpieczeństwo ambasady.

Na wigilię Bożego Narodzenia urządziliśmy własne rozpoznanie ambasady, chcąc przekonać się, jak blisko uda nam się przedostać niezauważonym. To, co ustaliliśmy, nie było krzepiące: Fingersowi, Dukeowi i Baby Richowi udało się podłożyć tyle „ładunków” (użyliśmy plastikowych butelek wypełnionych wodą), że cały budynek złożyłby się po ich wybuchu jak domek z betonowych kart, a nikt z odpowiednich służb ani nie powstrzymał, ani nawet nie widział naszych ludzi. Larry i Frank zabrali ze sobą plastikową rurę wielkości bazooki i przedostali się z nią pod budynek od strony morskiego brzegu, po

405

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

czym zostawili rurę wycelowaną w gabinet, w którym zgodnie z naszymi ustaleniami znajdowała się komórka CIA.

Snake i Pooster wspięli się na budynek ambasady od tyłu, przeszli po gzymsie dookoła i przykleili do szyby jednego z okien kartkę samoprzylepną wielkości pocztówki. Na kartce napisali: „Chłopcy tu byli - a wy się pieprzcie”. Paul i ja przeprowadziliśmy rekonesans od strony wejścia frontowego. Gdybyśmy byli mordercami, byłaby to prawdziwa rzeź. Libańscy strażnicy spali, marines byli w środku, a ochrona ambasady była żalosna. Nawet Egipcjanie spisaliby się lepiej.

Boże Narodzenie spędziliśmy w większej kryjówce z oknami wychodzącymi na morze, świętując przy pieczonym kurczaku, frytkach i piwie. Chłopcy spierali się na temat tego, w jaki sposób tango mogą zaatakować ambasadę.

- RPG - powiedział Pooster. - Tutaj to broń z wyboru. Każda milicja ma ich setki.
 - W dodatku - dorzucił Frank - z RPG można strzelać skądkolwiek: włamać się do jakiegoś mieszkania w okolicy i wycelować w pieprzony gabinet ambasadora.
 - Nie ambasadora - sprostował Paul - tylko jego sekretarza. Okno na zewnątrz ma gabinet sekretarza.
 - Nieważne, szefie - powiedział Pooster. - Chodzi mi o to, że RPG jest mnóstwo, łatwo ich użyć i są skuteczne.
 - I bardzo łatwo skoordynować atak z RPG - wtrącił się Baby Rich. - Można ich odpalić dwadzieścia albo trzydzieści w tym samym momencie. Powstanie kompletny chaos.
- Fingers otworzył heinekę i pociągnął długi, niespieszny łyk. Beknął i nabrał powietrza.
- Nie widzi mi się to.
 - Znaczy co? - Pooster zanurzył udko w sosie czosnkowym i wgryzł się w nie.

- Atak z RPG, Poost. Mnie się wydaje, że jak ktoś chce uderzyć na ambasadę, to będzie chciał to zrobić porządnie.

406

ROZDZIAŁ 20

- Partyzanci ostrzelali ambasadę w Salwadorze z RPG - powiedział Snake.
- Użyli ich też na Filipinach. I co z tego? To nic nie znaczy. - Fingers nie dawał się przekonać. - Po pierwsze, to byli partyzanci, a nie terroryści. Po drugie, nie mieli nic mocniejszego.
- Więc co? - Pooster rzucił ogryzioną kość do kosza.

Włączył się Ho-Ho-Ho.

- Moim zdaniem Fingers ma rację. RPG to jedna możliwość, ale mają tu też moździerze, a poza tym Amal ma masę transporterów opancerzonych pozostawionych przez OWP i czołg albo nawet dwa.
- Hezbollah też ma czołgi - powiedział Duke. - A może nawet haubicę.
- Cholera - powiedział Paul - ci przekłeci falangiści mają chyba tyle wojsk pancernych co armia libańska, i co z tego?
- Ano to z tego - powiedział Jew - że to miasto to beczka pieprzonego prochu.

Gold Dust Larry siedział na parapecie w rogu pokoju, sącząc w milczeniu piwo i obcując z naturą w postaci Morza Śródziemnego. Odwrócił się i rzucił nam melancholijne spojrzenie.

- Powiem wam coś w tajemnicy, chłopaki - powiedział, przeciągając samogłoski. - Jakbym był pieprzonym tango, nie pierniczyłbym się z jakimś RPG, żeby kogoś zaskoczyć taktyką. Jak się chce zwrócić na siebie uwagę jakiegoś sukinsyna, to trzeba mu przywalić pieprzonym krawędziakiem prosto między oczy. Trzeba przygotować jak najmocniejsze pier***nięcie, ile tylko się ma kasy. A wiadomo, że największe będzie z samochodu pułapki. I to by było na tyle, i pieprzona kropka.

I wrócił do kontemplacji morza.

Zarechotałem.

- Bardzo, kurna, dzięki, szefie.

Wysączyłem piwo, po czym powiedziałem:

- Panowie, to najdłuższy komentarz Larry'ego, jaki kiedykolwiek słyszeliśmy, a być może najdłuższe jego spostrzeżenie, jakie ktokolwiek słyszał. Więc należy je potraktować z szacunkiem.

CZEŚĆ DRUGA UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

- Ale on ma rację - powiedział Fingers.
- No pewnie, k***a, że ma rację - potwierdziłem. - Użyją właśnie samochodu pułapki. No to zafundujmy sobie trochę inżynierii odwrotnej: oni chcą wejść do Wujka Sama od tyłu, a my nie chcemy ich wpuścić. Jak to zrobić?

Pięć dni później dostaliśmy odpowiedź. Połączyłem się przez SATCOM z naszymi technikami magikami w Stanach i wyjaśniłem im, na czym polega problem. Przesłali nam dwie czarne skrzynki i kartkę z instrukcjami.

Pomysł był dość prosty: kiedy bomba jest detonowana drogą radiową, dzieje się to w wyniku wysłania sygnału w paśmie o określonej częstotliwości. Jeśli nadaje się w paśmie częstotliwości używanych przez urządzenia sterowane radiowo i napotka się w zasięgu nadajnika aktywną bombę, to uruchomi się detonator i bomba wybuchnie.

Czarne skrzynki miały zasięg 300 metrów. Pytanie brzmiało: czy działają?

Można się było o tym przekonać tylko w jeden sposób. Paul i ja wzięliśmy po jednej i zapakowaliśmy je do nylonowych plecaków, po czym w parach: Paul z Fingersem, a ja z Larrym, wybraliśmy się na spokojną przejażdżkę ulicami zachodniego Bejrutu. Ja pojechałem z Abu Saidem Alpha, Paul wziął Abu Saida Bravo.

Przemieszczaliśmy się powoli. Larry siedział z tyłu z ułożoną wygodnie na kolanach dyplomatką, specjalnie przystosowaną, żeby zmieścił się w niej pistolet maszynowy HK MP5K. Gdyby Larry chciał strzelać, wystarczyłoby, że pociągnąłby za spust znajdujący się w ręczce dyplomaty. Na teczce znajdowało się logo jednej ze stacji telewizyjnych. Ja siedziałem z przodu, na kolanach trzymałem plecak z włączoną czarną skrzynką w środku.

Jechaliśmy wzdłuż Corniche al-Mazraa do północnego krańca Fa-kahani, dzielnicy, w której podczas długiej okupacji Libanu miała swoją siedzibę OWP Teraz najmniej zniszczone budynki zajmowali nowi

ROZDZIAŁ 20

lokatorzy, libańscy muzułmanie. Abu Said twierdził, że wielu z nich to biedni szyici. Stamtąd pojechaliśmy na południe w stronę Bir Hassan i Bir Abed, dwóch uboższych dzielnic szyickich. Okolica wydawała się odpowiednia dla producentów bomb.

- Co chcecie najpierw? - spytał Abu Said.
- Pokaż mojemu koledze dawną siedzibę OWP - powiedziałem. -To producent telewizyjny z Ameryki, bardzo ważna persona. Mówią na takich „szychy” - powiedziałem z pełną powagą.

- Aha, szycha - chrząknął Libańczyk. - Zawiozę was.

Skręciliśmy z Corniche, przesuając się w stronę labiryntu zburzonych domów, bunkrów i biur, w których kiedyś mieszkały legiony Jasira Arafata. Mimo że wszędzie wciąż leżały porzucane potężne kawały betonu i gruz, ulice były pełne ludzi.

Abu Said wskazał na zwęglony dom po prawej.

- Tu było jedno z biur Arafata.

Larry chrząknął.

- A tam, po drugiej stronie ulicy, więcej biur OWP

Larry wyglądał przez otwarte okno.

- Kto tu teraz mieszka?

- Szyici. Szyici, którzy stracili domy.

Kiedy tak objeżdżaliśmy dzielnicę, Abu Said pokazywał nam kolejne byłe siedziby OWP. Potem skręcił znowu na południe i pojechaliśmy do dawnego obozu Sabra.

Nagle dwie przecznice przed nami wybuchł niczym wulkan dwupiętrowy budynek. Ogromna czerwona kula ognia trawiła cały dom, wydłużony huk eksplozji był ogłuszający, a fala uderzeniowa uniosła naszą taksówkę dobre 30 centymetrów w górę.

- Jezu - Larry padł na podłogę, kiedy kawał betonu grzmotnął w dach samochodu.

- Zawróć i poczekaj tu na mnie - powiedziałem do kierowcy, wyskakując z taksówki.

Pobiegłem w stronę wybuchu. Larry ruszył za mną z odbezpieczoną aktówką. Im bliżej budynku byliśmy, tym stawało się goręcej. Wokół

409

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

wszystko się paliło. Kilka samochodów zostało porzucanych jak pudełka zapalek. Tam gdzie stała kamienica, teraz ział głęboki na jakieś dziewięć metrów krater wypełniony płomieniami i gruzem. Na ulicy leżały dziesiątki ciał Libańczyków, niektóre porzrywane. Dwóch mężczyzn próbowało otworzyć drzwi płonącego kombi, w którym były zatrzaśnięte dwie kobiety. Kiedy ogień buchnął mocniej, zaniechali dalszych wysiłków. Widzów przepełniała odraza i przerażenie, ale wciąż nie potrafili się odwrócić i patrzyli, jak kobiety giną w płomieniach.

Usłyszeliśmy zbliżający się odgłos syren i klaksonów. Ulicą pędziły dwa pikapy z przyśrubowanymi do platform obsługiwanymi przez dwóch strzelców działkami przeciwlotniczymi kalibru 20 mm. Strzelcy byli ubrani - co było nieco dziwnym strojem w

tej sytuacji - w krótkie czarne wywatowane skórzane kurtki i najmodniejsze jeansy. Walili na oślep w niebo: najwyraźniej myśleli, że to nalot izraelskich bombowców.

Chwyciłem Larry ego za ramię i zaczęliśmy wracać do taksówki.

- To się dzieje naprawdę czy to tylko ćwiczenia? - zapytałem, torując sobie drogę w tłumie rozhisteryzowanych Libańczyków.

- Moim zdaniem to bez znaczenia, szefie.

Zatrzymałem się, żeby spojrzeć wstecz na masakrę.

- Masz rację, rzeczywiście: teraz to już wszystko jedno.

Poprosiłem o spotkanie w ambasadzie z którymś z wyższych amerykańskich urzędników. Prośbę spełniono, ale z niechęcią. Dla zachowania bezpieczeństwa operacji ustaliliśmy, że w spotkaniu wezmę udział tylko ja z Paulem i że na wszelki wypadek postaramy się zmienić wygląd - gdyby jacyś obserwatorzy fotografowali albo filmowali osoby wchodzące i wychodzące.

Wprowadzono nas do przestronnego gabinetu na jednym z górnych pięter. Po paru minutach przybył urzędnik z adiutantem. Był to kolejny dyplomata prosto z agencji castingowej: wysoki, siwowłosy, dystygowany, arystokrata w każdym calu. Najwyraźniej wcale nie chciał się z nami spotykać i wcale tego nie krył.

410

ROZDZIAŁ 20

Najpierw nas sobie przedstawiono. Rozmówca wymienił z nami chłodny uścisk dłoni, po czym usiadł na kanapie i czekał, aż opowiemy, co mamy do opowiedzenia.

Wziąłem ze sobą czarną skrzynkę, a także część zebranych przez nas dowodów świadczących o stanie bezpieczeństwa ambasady. Od razu przeszedłem do sedna:

- Sir, razem ze swoimi ludźmi spędziłem prawie trzy tygodnie na badaniu sytuacji waszego terenu i uważam, że jesteście narażeni na atak.

- Skoro jest pan o tym przekonany, komandorze poruczniku, zapewniam pana, że wnikliwie rozważę pańską opinię.

- Przyglądaliśmy się waszej ochronie i zieją w niej dziury.

Odchrząknął.

- Komandorze, niech mi wolno będzie zauważyć, że tej ambasadzie jakoś udaje się ją utrzymać wojnę domową, która nie słabnie w tym kraju od 1975 roku. Przetrzyaliśmy OWP, Syryjczyków i Izraelczyków. Ciągłe tu jesteśmy. A teraz wy przyjeżdżacie i po spędzeniu trzech tygodni w tym kraju, błyskawicznie wchodząc w kompetencje ekspertów, mówicie mi, że w moim systemie ochrony „zieją dziury”. Pan wybaczy, komandorze, ale

znam ten kraj i tutejszych ludzi i wiem, że mogę ufać swoim pracownikom. Ochrona tej ambasady jest szczelna. Takie jest moje zdanie.

- Ale w ciągu minionych tygodni sytuacja się zmieniła, sir. Z naszych obserwacji wynika, że Amerykanów zaczyna się uważać za sojuszników maronitów, a nie za godnych zaufania mediatorów mających na względzie ochronę wszystkich Libańczyków. Antyamerykańskie nastroje panują w społeczności szyitów, sunnitów i druzów, a poza tym...

Przerwał mi.

- Komandorze, doskonale zdaję sobie sprawę z tutejszej sytuacji politycznej. Ale mimo że ta sytuacja jest płynna, w zakresie naszego bezpieczeństwa nie ma potrzeby wprowadzania żadnych zmian.

- Z całym szacunkiem, sir, uważam, że wasza sytuacja może się wam całkiem rozpuścić.

411

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

Dyplomata poczerwieniał.

- Komandorze, nie ma potrzeby...

- Nasze obserwacje wskazują na znaczne prawdopodobieństwo, że w najbliższej przyszłości ambasada stanie się celem zamachu z użyciem samochodu pułapki. Dlatego, sir, stanowczo zalecam przeprowadzenie zmian w zakresie dojazdu i dostępu do ambasady, wzmocnienie uzbrojonych straży wokół obiektu i zastosowanie tego rodzaju urządzeń. - Wskazałem na skrzynkę.

- Co to jest?

- Nadajnik radiowy, który transmituje sygnały w paśmie częstotliwości powszechnie wykorzystywanych do zdalnej detonacji samochodów pułapek. Jego zasięg to jakieś 300 metrów. Sugerujemy umieszczenie dwóch takich nadajników na dachu. Dzięki temu każdy znajdujący się w pobliżu samochodu pułapka z radiowym mechanizmem detonacji ładunku eksploduje, zanim dotrze na tyle blisko, żeby wybuch mógł w jakikolwiek sposób zaszkodzić ambasadzie.

Popatrzył na mnie z niedowierzaniem.

- Ma pan na myśli to, żebyśmy zniszczyli taki samochód pułapkę, zanim dojedzie do ambasady?

- Tak jest.

- Ale to spowoduje ofiary śmiertelne.

- No, zgadza się, ale...

- To nie do przyjęcia - powiedział.
- Co takiego jest nie do przyjęcia?
- Powodowanie ofiar. Nie możemy powodować ofiar śmiertelnych. Masowe ofiary źle by wpłynęły na nasz dyplomatyczny wizerunek.
- Pieprzyć dyplomatyczny wizerunek! Proszę wybaczyć wyrażenie, ale tu chodzi o życie: życie pańskie i pańskich ludzi, sir.
- Ale nie można go chronić w ten sposób. - Urzędnik z niesmakiem przyglądał się czarnej skrzynce. - Coś takiego jest... niewłaściwe. To nie jest odpowiedni sposób postępowania, komandorze. Używanie takich urządzeń byłoby krzywdzące wobec ludności libańskiej, w związku z czym nie chcę mieć z tym nic wspólnego. - Wstał. - A teraz zechce

412

ROZDZIAŁ 20

mi pan wybaczyć. Dziękuję za przybycie, komandorze. Mam nadzieję, że wraz ze swoimi ludźmi bezpiecznie wróci pan do kraju.

Cóż... Pieprzyć go, pieprzyć wszystkich dyplomatów. Jeszcze tego samego dnia spakowaliśmy zabawki, przejechaliśmy przez posterunek marines, pomachaliśmy identyfikatorami US Navy, dopłynęliśmy do USS Independence i zostaliśmy przewiezieni do bazy Sigonella, a potem z powrotem do Norfolku.

Tamten wyższy amerykański urzędnik nie znalazł się wśród sześćdziesięciu trzech ofiar zamachu, do którego doszło 18 kwietnia, czyli jakieś trzy miesiące po naszym wyjeździe z Bejrutu. Zamachowiec samobójca prowadzący vana wyładowanego materiałami wybuchowymi obrócił w gruzy sześciopiętrowy zamek z marzeń tego dyplomaty. To, że ów urzędnik wyszedł z zamachu prawie bez zdraśnięcia, świadczy o tym, że czasami poszczęści się nawet palantowi. Samochody pułapki mają zapasowy detonator radiowy - na wypadek gdyby kierowca stchórzył w chwili prawdy. Wystarczyłoby, żeby nasz dyplomata kazał zamontować czarne skrzynki na dachu ambasady, a bomba najprawdopodobniej zostałaby zdetonowana wcześniej, nim furgonetka przejechała przez dwie lekkie barykady i dostała się pod frontowe drzwi budynku.

Ale jak powiedział, kiedy składaliśmy mu meldunek z przeprowadzonych działań, nasze czarne skrzynki mogły spowodować ofiary wśród libańskiej ludności cywilnej. A niechaj Bóg broni, by ginęli Li-bańczycy, skoro zamiast nich mogą ginąć Amerykanie.

Rozdział 21

5 lipca 1983 roku przekazałem dowodzenie SEAL Team Six komandorowi Bobowi Gormlyemu. Spędziłem na tym stanowisku trzy lata (na ogół dowództwo sprawuje się przez dwa lata). Sam nie chciałem odchodzić, ale cała seria subtelnych aluzji kazała mi się domyślać, że marynarka potrzebuje mnie gdzie indziej.

Jak bardzo subtelne były to aluzje? Podam jeden przykład: oceny wydawane w opiniach na temat przebiegu służby. Przypominają one stopnie w amerykańskich szkołach - oceną celującą jest A, z kolei F to ocena niedostateczna. Ted Lyon dawał mi regularnie B i C. Wbijał mi przy tym szpile w rodzaju uwag podobnych do tej: „Wprawdzie kmdr por. Marcinko podlega mi nadal pod względem administracyjnym, pod względem operacyjnym podlega jednak dowódcy Połączonego Dowództwa Operacyjnego i to on może najlepiej ocenić, czy dokonania Seal Six warte są tego, by zatrzymać na stanowisku dowódcę, który popisuje się posiadaną władzą i wpływa negatywnie na porządek i dyscyplinę (poza własną jednostką)”.

Dowodzący SURFLANT-em wiceadmirał J.D. Johnson brał z zasady stronę Teda - do czasu, kiedy Dick Scholtes przybył do nas na

414

ROZDZIAŁ 2

przeгляд umundurowania. Po odwiedzinach Scholtesa nastawienie Dave'a Johnsona się zmieniło. Zaczął nas wspierać i pomagać nam, a do każdej złośliwej i kąśliwej opinii służbowej wystawionej mi przez Teda dołączał własną, całkiem przeciwną. „SEAL TEAM SIX stanowi ściśle tajną jednostkę znajdującą się w sferze bezpośredniego zainteresowania Białego Domu i JCS - można było przeczytać w ripozycie Johnsona. - Nie ma drugiej takiej organizacji. Dlatego na jej strukturę, procedury i szkolenie trzeba patrzeć z pominięciem kwestii wzoru do naśladowania [...]. [Marcinko] musiał pokonywać nieuniknioną inercję »systemu« przystosowanego do mniej naglących potrzeb. Często musiał wychodzić poza ograniczenia systemu, żeby sprostać surowym wymogom tworzenia SEAL TEAM SIX. Skutkiem tego nieuchronnie wywoływał zdziwienie. Trudno sobie wyobrazić, żeby dało się tego uniknąć. Ludzie cz[^]iu i ci, którzy potrafią tylko mówić, często się ze sobą nie zgadzają [...]. Szkoda, że ściśle tajny charakter tego projektu w połączeniu z zaburzeniem hierarchii służbowej sprawił, że komandor porucznik Marcinko nie uzyskał od swojego bezpośredniego zwierzchnika oceny tak entuzjastycznej, na jaką zasługuje”.

Ale nawet pochwały wiceadmirała Johnsona na dłuższą metę nie były w stanie zaradzić sytuacji. Ludzie z wpływowych kręgów w SEALsach chcieli mojego odejścia. Dlatego w ostatniej opinii służbowej z okresu dowodzenia Teamem Six dostałem noty H i I - oceny, dla których brakowało miejsca na dole skali. Na notę H mógłby zasłużyć delikwent przydybany w dniu rocznicy ślubu szefa operacji morskich na obcowaniu cielesnym z żoną CNO w ich własnym łóżu małżeńskim. Notę I mógłby dostać ktoś, kto wśród wycia rozzuchwalonego tłumu pozbawiłby dziewictwa nastoletnią córkę szefa operacji morskich na stole bilardowym w miejscowej knajpie.

Ja dostałem oceny H i I dlatego, że w 1983 roku dopuściłem się sponiewierania Teda Lyona. Właściwie to dopuściłem się nawet czegoś więcej. To, co zrobiłem z Tedem, powtórzyłem z komodorami NAVSPECWARGRU ONE w Coronado: Daveem Schaibleem i jego następcą Cathalem „Irishem” Flynnem. W 1983 roku działałem już na

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

nerwy komodorom morskich działań specjalnych na obu wybrzeżach: zraziłem ich do siebie, grożąc im, prowokując ich i obrażając, po prostu mając ich w dupie. Moim zdaniem postępowanie tak nie bez powodu: miałem do spełnienia misję. Oni uważali, że przekroczyłem punkt, za którym nie ma już odwrotu. Zabrałem im najlepszych ludzi. Kiedy oni walczyli o środki na przetrwanie, ja - tak uważali - odpalałem cygara od płonących studolarówek. Miałem wszystkie najładniejsze zabawki. A co najgorsze, wprowadzałem zamieszanie w ich systemie. Traktowałem swoich najniższych stopniem marynarzy z większym szacunkiem niż większość komandorów czy komandorów poruczników z działań specjalnych. Jadłem i piłem z szeregowcami i bosmanami. Urządzałem głośne imprezy. Mówiłem „k***a” do członków korpusu admirałskiego.

Zaczęły się telefony, notatki służbowe i spotkania. Podjęto decyzję i w czerwcu 1983 roku powiadomiono mnie, że zostanę przeniesiony. Powiedziano mi też, kto mnie zastąpi. Od dawna miałem nadzieję, że moje miejsce zajmie Paul Henley. Miało się stać inaczej. Nim minął miesiąc, już mnie nie było. Nie miałem w tej sprawie nic do powiedzenia. O moim odejściu zadecydowała hierarchia służbowa marynarki na wniosek komodorów morskich działań specjalnych i ich szefów sztabów. Nie pozwolono mi zabrać głosu. Nie miałem też żadnego obrońcy: moim dowódcą był generał brygady wojsk lądowych. Mógł mnie chronić, póki byłem dowódcą Teamu Six, ale nie mógł przeszkodzić marynarce w usunięciu mnie z tego stanowiska. Pieprz się, Demo.

Nie było zwykłych uroczystości, które poprzedzają przekazanie dowództwa: żadnych wyrazów żalu, esprit de corps czy koleżeństwa. Nie dostałem żadnych pamiątkowych ryngrafów ani innych podarków, jakie zwykle daje się odchodzącemu dowódcy - ponieważ o tym, że odchodzę, moi ludzie nie dowiedzieli się na tyle wcześniej, żeby je przygotować.

Na mojej ceremonii nie było czerwonego dywanu ani starszego bosmanmata, który świstem trapowym witałby mnie na pokładzie, nie było dzwonu okrętowego ani białych rękawiczek, szabli ani pedantycznie wyczyszczonych mundurów. Kiedy opuszczałem SEAL Team Two, w Little Creek miałem wielki plac apelowy i orkiestrę marynarki

ROZDZIAŁ 2

grającą mi serenady. Teraz przekazanie dowództwa odbyło się za zamkniętymi drzwiami w naszym ściśle tajnym obiekcie w Dam Neck. Byłem ubrany po cywilnemu. Moja przemowa nie trwała nawet dziesięciu minut. Krótko podsumowałem fizyczne i biurokratyczne ciężkie próby, które wspólnie przeszliśmy w Teamie Six.

Potem przeczytaliśmy z Bobem swoje rozkazy. Kiedy doszedłem do momentu, w którym powiedziałem, że jestem gotów do przekazania dowództwa, skłamałem. Ale to nie miało znaczenia. Słowa zostały wypowiedziane. Przekazanie władzy się dokonało. Już było po

wszystkim. Czuję w środku pustkę. Byłem zostawiony samemu sobie, zdradzony, wściekły. Te uczucia były w moim przekonaniu uzasadnione: pod wieloma względami większość dorosłego życia spędziłem na przygotowywaniu się do dowodzenia taką jednostką jak SEAL Team Six i do poprowadzenia jej do akcji. Zrealizowałem ogromną część swojego marzenia: wymyśliłem, zaprojektowałem, stworzyłem, wyposażylem i wyszkoliłem jednostkę, co do której miałem przekonanie, że jest najlepszą grupą wojowników w dziejach tego kraju. Ale teraz odstawiano mnie na boczny tor, zanim zdołałem osiągnąć cel, który zawsze uważałem za najbardziej zasadniczy - zanim zdążyłem poprowadzić ludzi do walki. To było dla mnie jak ścięcie.

Zaprosiłem garstkę ludzi do klubu oficerskiego w Dam Neck na coś chłodnego do picia, po czym zniknąłem.

Zgadza się, często zachowuję się szorstko i okropnie. Ale nawet moi wrogowie przyznają, że SEAL Team Six to najlepiej wyszkolona, najbardziej niezawodna i obdarzona największym potencjałem jednostka antyterrorystyczna, jaka kiedykolwiek powstała. Zgadza się, łamaliśmy zasady. Co tam: łamaliśmy - druzgotaliśmy je i wyrzucaliśmy przez okno. Ale zasady, które wyrzucaliśmy, to były zasady napisane dla lotniskow-cowych grup bojowych i okrętów podwodnych, a nie dla siedmioosobowych drużyn. Jako SEALsi musieliśmy sami spisać całość zasad - stworzoną na oczekaniu Biblię zawierającą doktrynę niekonwencjonalnych działań wojennych. Już samo to było wystarczająco trudne, jeśli weźmie się pod uwagę, że musieliśmy działać w ramach systemu, którego nigdy wcześniej nie próbowano zawrócić, bo wydawało się to równie

417

CZĘŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

nieprawdopodobne jak zawrócenie poruszającego się z pełną prędkością pancernika. W dodatku chodziło o SEAL Team Six, który nie tylko pisał na nowo zasady konwencjonalnej marynarki, ale również wywracał do góry nogami księgę spisana wcześniej przez SEALsów. SEAL Team Six był elementem, którego nie dało się wpasować w żadne gotowe miejsce w systemie marynarki. Byliśmy sierotami, wyrzutkami, pariasami - a ja byłem pariasem nad (lub może raczej pod) pariasami.

Odkąd odsunięto mnie na bok, w Teamie Six wszystko zaczęło się zmieniać. Bob narzucił rygory dotyczące wyglądu zgodne z zapatrywaniami Teda Lyonsa: żadnych wąsów Fu Manchu ani końskich ogonów czy kolczyków. Włosy mogły sięgać do kołnierzyka, ale nie mogły być dłuższe. Ludzie, których wybrałem ze względu na to, że wyglądali jak niechluj, zaczęli teraz przypominać japiszonowe męty.

Jednak bardziej zasadnicza dla powodzenia misji SEAL Team Six okazała się wprowadzona przez Boba zmiana stylu dowodzenia. Był to dowódca pasywny, a nie aktywny. Ja zawsze prowadziłem swoich ludzi od przodu. Bob prowadził od tyłu. Sam zostawał w gabinecie i wysyłał ludzi w bój. Nie szkolił się z nimi. Nie pił z nimi. Nie utrzymywał z nimi kontaktów

towarzyskich. Pod dowództwem Boba Gormlyego integralność oddziału obejmowała jedynie samego dowódcę.

Słyszałem o tym niepokojącym rozwoju sytuacji, ale z pewnego dystansu. Przysługiwał mi trzydziestodniowy urlop i chciałem go wykorzystać w całości. Nie pamiętam, kiedy wcześniej miałem cały miesiąc urlopu. Moja żona pojechała odwiedzić rodzinę w New Jersey i spędziłem ten czas na odmalowywaniu domu. To zajęcie dobrze mi zrobiło: pozwoliło mi uporać się z częścią frustracji, której doświadczałem. Kiedy urlop się skończył, wypoczęty i opalony pojechałem do Waszyngtonu. Marynarka wojenna nadal była mi winna rok w National War College, więc nadszedł czas, by do tego wrócić.

Tyle że nikt nie zamierzał mnie wysłać do National War College. Nikt mi nie powiedział, że mam mieć tam zakaz wstępu. Gdyby nie paru chorążych, którzy szepnęli mi, co się święci, pojawiłbym się w Fort McNair, chcąc się zameldować, i stałbym się przedmiotem publicznego

418

ROZDZIAŁ 2

upokorzenia, dowiadując się na uczelni, że marynarka usunęła moje nazwisko z listy uczestników. Ale moja sieć wywiadowcza z SEAL Team Six wciąż funkcjonowała. Zostałem więc ostrzeżony i w ogóle tam nie pojechałem. Udałem się natomiast do działu kadr i porozmawiałem sobie z jednym kontradmirałem, którego poznałem wiele lat wcześniej (będę go nazywał Dave). Nie wyglądał na zadowolonego z mojej wizyty.

- Podobno nie będę uczył się w National War College.

Dave jękał się przez chwilę, ale w końcu udało mu się wydobyć z siebie zrozumiałe słowa.

- No wiesz, Dick, mamy taką politykę, żeby nie wysyłać ludzi, którzy nie mają 95 procent szans na awans na komandora.

- To znaczy, że jestem w tej grupie?

- Na to wygląda. Masz w aktach artykuł 15, oficjalną naganę.

- Odwołuję się! Jod tego. Dostałem naganę za wypadek samochodu, którego nawet nie prowadziłem. Stłuczkę spowodował mój kierowca, a nie ja.

- Tu nie chodzi o to, kto był winny stłuczki. Nagana mówi, że twój kierowca był na służbie ponad osiem godzin, co oznacza, że wykorzystywałeś go poza godzinami pracy.

- W Teamie Six nie podbijaliśmy karty na fajrant, Dave.

- Wiem. Ale zasady obowiązują. Złamałeś zasadę i wpadłeś. Poza tym to i tak nieistotne. Ostatecznie nie uznano twojego odwołania. Nie pójdziesz do War College.

- Wiesz, to w sumie śmieszne.

- Dlaczego?

- Bo jeszcze nie napisałem tego odwołania. Jak, do licha ciężkiego, można nie uznać czegoś, co jeszcze nie zostało napisane?

Dave uśmiechnął się niewyraźnie.

- To już nie moja broszka, komandorze.

- Więc trzeba mnie wypieprzyć, tak?

Wzruszył ramionami.

- Słuchaj, Dick, masz świetne akta. Nazbierałeś sporo punktów. Mogę znaleźć ci coś fantastycznego na Hawajach. Albo w Norfolkku:

419

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

wsadzę cię na jakieś stanowisko sztabowe aż do 1988 roku. A wtedy pójdziesz na emeryturę z trzydziestoletnim stażem.

- Ciepłutka posadka, co?

- Tam będzie coraz lepiej. Omawiamy właśnie projekt ekskluzywnego ośrodka za miastem. Norfolk będzie idealny. Masz tam blisko z domu. Możesz przyjeżdżać później i wychodzić wcześniej: codziennie o 15.00 będziesz z powrotem w domu, przy basenie w ogródku. Buduj portfel nieruchomości. Ustaw się przed emeryturą.

- Nie obraż się, Dave, ale wsadź sobie w dupę takie pomysły. Nie wybieram się do domu, żeby tam umrzeć. Jeszcze nie teraz.

- Jak chcesz. Ale gdybyś był sprytny, skorzystałbyś z mojej rady.

- Cholera, znasz mnie od piętnastu lat i nigdy nie byłem specjalnie sprytny, admirale. Na tym polega ten cały mój cholerny problem. Po prostu jestem jednym z tych idiotów, którzy lubią pracować.

Mój dawny szef Ace Lyons dostał z powrotem przydział do Pentagonu. Przez ostatnie dwa lata Ace, który awansował na wiceadmirała - trzy-gwiazdkowego - był dowódcą II Floty, a obszar jego odpowiedzialności obejmował wody od Morza Karaibskiego do Morza Północnego. Teraz dostał dawne stanowisko Billa Crowea jako zastępca szefa operacji morskich do spraw planowania i strategii. W rzeczywistości Lyons był szefem operacji całej US Navy.

Poszedłem prosto do jego kajuty i wyplakałem mu się w mankiet. To był prawdziwy ojciec dla marynarzy: wziął mnie na kolana, pogłaskał, wytarł mi nos i posączył mi w ucho trochę współczujących słów. Po czym odstawił mnie na ziemię, wziął krótki rozbieg, kopnął mnie w dupę i zachęcił, żebym poszukał sobie jakiegoś zajęcia.

Jesienią 1983 roku Ace zadbał o to, żebym mógł skryć się bezpiecznie w zatłoczonym kącie ośrodka dowodzenia marynarki (Navy Command Center, NCC) w Pentagonie. Był to tętniący życiem, gęsto obsadzony ciąg pokoi na trzecim piętrze w sektorze D, gdzie pracowałem jako jeden z tych spoconych żarłoków, którzy nieustannie śledzą

420

ROZDZIAŁ 2

ruchy okrętów i monitorują ogniska kryzysu na całym świecie. Pewnego wrześniowego dnia zauważyłem, że stado wiewiórek wywiadu wyszło ze swojego SCIF-u - sensitive compartmented information facility, czyli obiektu przeznaczonego do wydzielonych tajnych informacji - i przykleiło pyszczki do galerii map morskich powieszonych na ścianie. W głowie zapaliła mi się czerwona lampka. Zazwyczaj ci goście nie odchodzili od biurka, chyba że właśnie wygrali w zakładach o wynik Super Bowl albo zbliżała się jakaś międzynarodowa postapokaliptyczna katastrofa. Ponieważ był to wrzesień, za wcześnie było na Super Bowl.

Podkradłem się do pomieszczenia, w którym stali, i wkręciłem się między nich.

- Cześć, chłopaki! Jaki kraj dziś przegrywamy?

Nikt nie docei^ł mojego poczucia humoru. Ale zanim mnie przegonili, jedna z wiewiórek dała się podpuścić i usłyszałem słowo, którego nie powinienem był usłyszeć:

- Grenadę.

Spróbowałem dowcipnej riposty w swoim stylu.

- Grenada? A co tam się dzieje? Karnawał?

Zero reakcji.

- Słuchajcie, chłopcy, jeśli są jakiegokolwiek szanse na kociaki, to ja się na to piszę.

Milczenie.

Wyszedłem, żegnając uprzejmie ich plecy:

- No to się walcie.

Po czym udałem się w stronę biurka - a tam sięgnąłem po bezpieczną linię. Dowódcy nie powinni byli kierować mnie do ośrodka dowodzenia i dawać do dyspozycji zabezpieczonego aparatu ze skomputeryzowaną książką telefoniczną, który miał priorytetowe połączenia. Dzięki temu wykradanie informacji było zbyt łatwe. Po trzech godzinach, siedmiu szefach i mnóstwie młodszych oficerów miałem już całkiem niezłą orientację, co tam się kroi. Przygotowywaliśmy się do inwazji na Grenadę - i SEAL Team Six miał wziąć udział w tej operacji.

421

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

Cholera! Nie upłynęły nawet trzy miesiące, odkąd oddałem dowodzenie. Nadal traktowałem Team Six jak własną jednostkę. Niech to szlag: przecież to ja ją obsadziłem ludźmi i wyposażylem. Ja szkoliłem żołnierzy. Ja ich doprowadziłem do perfekcji, tak że potrafili strzelać i napierdzeniać najlepiej na świecie. A teraz ktoś inny miał poprowadzić ich na wojnę. To nie tak, k***a, miało być. To zwyczajnie niesprawiedliwe.

Sześć minut później byłem w kajucie Ace a, błagając o wysłanie mnie tam w jakimś charakterze - jakimkolwiek: jako pomocnika, doradcy, obserwatora, sprawozdawcy - bylebym tylko nie siedział na dupie w pokoju bez okien i nie słuchał meldunków napływających przez radio.

- Już to robiłem, Ace: podczas Desert One, i przysięgłem sobie, że nigdy więcej nie dam się tak usadzić.

Wiceadmirał James A. Lyons junior powiedział z taką delikatnością, na jaką zasłużyłem:

- Wypier***aj mi stąd, dupku. Nigdzie się nie ruszasz. Pięć minut po wyjeździe zacząłbyś uważać, że dowodzisz, i zaczęłyby się znowu same pieprzone kłopoty. Szlag, już nie dowodzisz: zostałeś zwolniony, Dick. Teraz pracujesz tutaj i jesteś moim podwładnym. Więc bierz dupę w troki i goń do NCC, gdzie twoje miejsce.

Widząc potworny grymas na mojej twarzy, Ace złagodził cios.

- Okej, okej, słuchaj, Dick, trzymaj rękę na pulsie. Wyznaczę cię jako swojego głównego sprawozdawcę ze sprawy Grenady dla sekretarza marynarki.

Sprawozdawca głównodawca. Z podkulonym ogonem wróciłem do kąta i patrzyłem spode łba. Ale nie przestawałem kontrolować sytuacji. Im więcej dowiadywałem się na temat operacji w Grenadzie, tym bardziej się kuliłem. To dopiero była katastrofa światowej klasy.

Jak to zaplanowano? Źle. Na ile potrafiłem to zrekonstruować -i w tej wersji opowiedziałem to sekretarzowi marynarki Johnowi Leh-manowi - w sztabie CINCLANT-u i CINCLANTFLT-u wyglądało to mniej więcej tak:

- A w ogóle to gdzie jest ta Grenada, panie admirale?

422

ROZDZIAŁ 2

- Cholera wie. Niech pan weźmie mapę, komandorze. Kiedyś słyszałem tę nazwę: może to jest w jednym z naszych wyspowych planów operacyjnych.

- Zgadza się, w atlasie to jest tu, sir, proszę spojrzeć. Ale niech to szlag, nie mamy żadnych map taktycznych, tylko morskie.

- No to poślijcie kogoś do miasta, niech znajdzie w jakimś biurze podróży zwykłe mapy turystyczne. Muszą jakieś mieć.

I tak, k***a, zrobili!

- Panie admirale, oto dane wywiadu.

- Cholera. Po co, u diabła, ci Amerykanie studiują tam medycynę? Czego tam się uczą? Czarów? Voodoo? A to co?! Co, do k***y nędzy, robią tam ci wszyscy Kubańczycy? Dlaczego nie wiedzieliśmy o nich wcześniej? Jak mogliśmy to przeoczyć? Żeby tak mi rozpie***ić weekend! Niech to szl^g, komandorze! Właśnie zgłosiliśmy się z żoną jako para do turnieju golfowego, a tu dupa. No to w domu mam przesrane.

- Tak, sir, ale pojawił się właśnie jeszcze jeden maleńki problem. Bo zdaje się nam, że ci tu Kubańczycy chyba, tego, tych tam studentów to... przetrzymują jako, no... zakładników, tam, na tej wyspie, znaczy się.

- No a kto jest u nas od zakładników, komandorze?

- JSOC, sir. Delta Force. SEAL Team Six.

- No to zaraz mi chwytać za pie***lony telefon i dzwonić do nich. A, komandorze, i do marines też. Oni też są od wysp. Iwo-jima, Guadal-canal, Okinawa. Pamięta pan? Tak sobie też przypominam, że mamy tę, no... grupę desantową piechoty morskiej, co to właśnie ma popłynąć przez Atlantyk do Bejrutu. Mam świetny pomysł: wyślijmy ich najpierw na Grenadę, niech się po drodze wprawia do działania. Trochę się przybrudzą, przypomną sobie, jak to jest odlać się w krzakach. A potem niech płyną dalej gonić tych tam, Libańczyków w turbanach.

W ciągu jednego wspaniałego szalonego weekendu plan został odkurzony, wyszorowany, odsączony z wody i zmodyfikowany z uwzględnieniem JSOC, po czym - voila - ruszamy na wojnę!

Ale na pokładzie każdego samolotu C-141 StarLifter wiozącego na południe rangersów z wojsk lądowych, każdego EC-130E z systemami

423

CZEŚĆ DRUGA UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

konsultacji, dowodzenia i kierowania (command, control, communi-cations, intelligence, C3I), na każdej LSD i LST należącej do grupy desantowej (Amphibious Ready Group, ARG), w każdym amerykańskim wojskowym samolocie, helikopterze czy na okręcie wojennym siedział pewien tajemniczy, złowrogi pasażer. Tak niezauważenie udało się wśliznąć do każdego elementu amerykańskiej armady niejakiemu panu Murphy emu. A to, co on mówił, miało moc prawa.

JSOC było doskonale zorganizowane i wyszkolone do prowadzenia operacji uwalniania zakładników. Jednostki podległe JSOC miały specjalne wyposażenie, środki wsparcia, a co

najważniejsze, własną bezpieczną sieć łączności. Co na to pan Murphy? Jednostki JSOC nie mogły się porozumieć z dowódcą konwencjonalnych sił ekspedycyjnych (na wodzie) ani z marines.

SEAL Team Six dostał zadanie spotkania się na morzu z amerykańskim okrętem wojennym wypływającym z Grenady. Co na to pan Murphy? Kiedy pilot dawał sygnał do zrzutu, nikt mu nie powiedział, że nie znajduje się nad celem. Nikt nie powiadomił SEALsów, że nad powierzchnią morza wieje silny wiatr i że są wysokie fale. Nikt nie sprawdził, czy okręt jest w zakładanym miejscu.

Skutkiem tego czterech świetnie wyszkolonych członków mojej rodziny SEAL Team Six utonęło w morzu. Nie zostali zabici podczas akcji. Tak naprawdę tym, co nadaje ich śmierci znamiona zbrodni, jest to, że w ogóle nie dano im szansy wzięcia udziału w akcji, w której byłoby możliwe zabicie kogokolwiek. Obciążeni ponad 45 kilogramami sprzętu skoczyli do morza, na którym szalały trzyipółmetrowe fale, i utonęli. To cholernie niesprawiedliwe.

Złożyłem sekretarzowi marynarki Lehmanowi sprawozdanie na temat ich śmierci.

Powiedziałem mu o Bobie Schamber-gerze, jednym z tych, którzy „wodowali” SEAL Team Six. Był bosmanem, dowódcą grupy, prawdziwym ojcem dla podległej mu załogi. Nianczył swoje dzieci, wyciągał je z pudła, pomagał im w problemach osobistych i zawodowych - i zginął przez pana Murphyego. Powiedziałem też sekretarzowi o Kodiaku, który świeżo został ojcem. Ten chłopak był dumny jak paw, że ma następcę, kolejnego członka SEAL Team Six w przyszłości.

424

ROZDZIAŁ 2

I on zginął z ręki pana Murphyego. Zginęli też dwaj inni strzelcy. Czterech wojowników z SEAL Team Six stoi teraz na dnie oceanu na wiecznej warcie, czekając na kolejne wezwanie do zbiórki - na inną już wojnę.

Chociaż powszechnie było wiadomo, że większość rządów państw wyspiarskich otaczających Kubę od lat infiltrowały kubańskie służby wywiadowcze (Dirección General de Inteligencia, DGI), miejscowy rząd na wyspie został z wyprzedzeniem powiadomiony o zbliżającej się akcji. Señor Murphy szybko wszystkiego się wywiedział i powiedział Kubańczykom o Grenadzie, więc zdążyli się przygotować na gringos.

CIA nie miała na Grenadzie wydzielonej komórki agentów ani szpiegów. Ale Chryścijanie w Akcji znali się na swoim fachu. Murphy zadbał o to, by planowanie tajnych operacji przejęło dwóch weteranów spieprzonej operacji zakończonej na Desert One: podpułkownik w stanie spoczynku Dick Gadd i pułkownik Bob Dutton w służbie czynnej US Air Force (obaj mieli później zyskać jeszcze większą chwałę w ramach afery Iran-Contras).

Pan Zdrowy Rozsądek podpowiada:

- Kiedy poprzednio ci goście próbowali razem zmaistrować operację, nic z tego nie wyszło.

A na to pan Murphy:

- Nic się nie martw, poradzą sobie.

Pan Zdrowy Rozsądek:

- Ale oni są z sił lotniczych, a Kubańczycy są na lądzie.

Murphy:

- Bla, bla, bla. Czepiasz się. Mówię ci, że sobie poradzą.

Podczas głównej fazy desantu powietrznego prowadzący starlif-

ter z uzbrojonymi po zęby i gotowymi skopać kubańskie dupska ran-gersami na pokładzie spartaczył podejście, bo popsuł mu się system CARP (computed air release point, obliczony punkt zrzutu z powietrza). Wobec tego nadleciał samolot numer dwa i rangersi z drugiego C-141 wyskoczyli pierwsi. Murphy: drugi samolot miał na pokładzie same cioty i niemoty - kompanię wsparcia rangersów, która prawdopodobnie nawet nie miała załadowanej broni.

425

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

Generał wojsk powietrznych odpowiedzialny za dostarczenie wsparcia śmigłowcowego dla Delt i SEALsów uznał najwyraźniej, że nie wolno naruszać obowiązujących na sąsiedniej wyspie przepisów o ograniczeniu hałasu i wylatywać przed świtem. Nie chciał nikogo obudzić. Poza tym generał pomyślał prawdopodobnie, że dzięki temu żołnierze jednostek specjalnych będą mogli atakować cele przy świetle dziennym, co będzie dla nich łatwiejsze, bo wszystko będzie lepiej widać. Skutkiem tego, co bardzo ucieszyło pana Murphyego, mieliśmy znaczną liczbę ludzi rannych w akcji i uszkodzonych helikopterów.

SEALsi zaatakowali i skutecznie przejęli znajdującą się na wyspie radiostację. Po unieszkodliwieniu stanowisk nieprzyjacielskich przekazali przez radio meldunek o zakończeniu misji, pytając jednocześnie, gdzie są oddziały, którym mają przekazać zdobyty obiekt.

- Oddziały? To znaczy, że chcielibyście, żeby pojawił się tam ktoś, kto zajmie docelowo radiostację? Przepraszam, panie kapitanie marynarki, ale tego nie było w planie. To może zbierze pan swój oddział, przerwiecie działania ogniowe i wycofacie się na swoje okręty?

- A jak mielibyśmy to zrobić, sir?

- Może wpływ, kapitanie marynarki?

I dokładnie tak, k***a, zrobili!

Pan Murphy nie odpuścił nawet po zajęciu i zabezpieczeniu wyspy przez Amerykanów. Jakimś cudem udało mu się zwieść dowódcę sił ekspedycyjnych wiceadmirała Joego Metcalfa i nakłonić go do zabrania do domu nieco zbyt wielu pamiątek wojennych w postaci zdobytych

na wrogu karabinów AK-47. Ujawnienie przez prasę gafy Metcalfa kosztowało go utratę szansy na czwartą gwiazdkę i zmusiło do odejścia na wcześniejszą emeryturę.

Według przedstawionego przeze mnie sekretarzowi marynarki Leh-manowi podsumowania za głównego zwycięzcę wyłonionego w wyniku operacji „Just Cause” („W Słusznej Sprawie”) należało uznać señora Murphyego. Mimo że akcja uwolnienia studentów medycyny została przeprowadzona bez ofiar, czterech SEALsów zginęło bez najmniejszego powodu, dowodzenie i kierowanie było kompletną klapą, strzelców

426

ROZDZIAŁ 2

z Deltą i z SEAL Team Six użyto jako oddziałów szturmowych, zamiast wykorzystać ich chirurgiczną precyzję operatorów specjalnych, stosunkowo wysokie straty wynikały z niedbalstwa i głupoty, a amerykańskie wojska powietrzne spisały się tak miernie, że przypominały raczej związek zawodowy windziarzy niż pilotów sił uderzeniowych. Wszystko to sprawiało, że chciało mi się rzygać.

Na początku 1984 roku zostałem wezwany do kajuty Acea.

- Wiesz, co w II Flocie przyprawia mnie naprawdę o ból głowy? -zapytał.
- Odwiedzający nas kongresmeni?
- Nie bądź taki mądry, Dick. Mam na myśli coś, co powoduje prawdziwy ból głowy^
- Nie mam pojęcia, sir.
- Więc ci powiem. Chodzi o to, że marynarka jako instytucja tak bardzo skupia się na zagrożeniu ze strony Sowietów, że nie mamy ani czasu, ani sił zająć się innymi potencjalnymi wrogami, którzy są być może równie niebezpieczni.

Kiwnąłem głową. Nie bez powodu przez poprzednie trzy lata byłem dowódcą SEAL Team Six.

- Terroryzm.
- Bystry z ciebie chłopiec. - Zabębnił palcami po biurku. - Mamy w marynarce okres pokoju, Dick, i rozumujemy stosownie do okresu pokoju. To utrudnia sprawę, kiedy musimy zmierzyć się z terroryzmem. Niemcy, Włosi, Francuzi, Brytyjczycy: oni wszyscy codziennie stawiają czoła terroryzmowi. Brytyjska marynarka nie zajmuje się tylko niebezpieczeństwem ze strony Sowietów. Musi też brać po uwagę zagrożenie ze strony IRA. Francuzi muszą się martwić z powodu baskijskich terrorystów i Action Directe. Niemcy z powodu Frakcji Czerwonej Armii, Grupy Baader Meinhof. Włosi? Mają Czerwone Brygady Tymczasem my żyjemy sobie w błogiej nieświadomości. A potem jak grom z jasnego nieba spada na nas straszne gówno: jakiś dupek wysadza w powietrze

427

DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

ambasadę w Bejrucie albo wywiad donosi, że Irańczycy zamierzają wziąć VI Flotę na celownik swoich samobójczych zdalnie sterowanych samolotów czy łodzi. No i wściekamy się, bo nie zdążyliśmy się przygotować.

- Admirale - powiedziałem - jednym z największych problemów, z jakimi miałem do czynienia, będąc w Teamie Six, było przekonanie cholernych przełożonych na kolejnych stopniach hierarchii służbowej, że marynarka potrzebuje antyterroryzmu.

- Co ci mówili?

- Zwykle robili zasłonę dymną. Większość dowódców bardziej się martwiła tym, że wchodzę im w paradę, niż tym, że jakiś dupek w turbanie może wysadzić ich kwatery główną w powietrze. Zupełnie jakbym był w Wietnamie: kiedyś razem z moim plutonem zjawiliśmy się w bazie US Special Forces na kompletnym zadupiu, a ich przekłety dowódca od razu zaczął biadolić, że korzystamy z jego racji żywnościowych i wody pitnej, a niechaj Bóg broni, żebyśmy potrzebowali amunicji czy granatów. Jakby chciał powiedzieć: „Czy wam się wydaje, że walczymy z tym samym nieprzyjacielem?”.

- No właśnie. - Przez twarz Acea przemknął cierpki uśmiech. -W tym cały problem.

Wstał i zaczął przechadzać się po kajucie.

- System - powiedział - jest zwykle statyczny, nieruchomy, nieelastyczny. To niebezpieczne. My, dowódcy, zwykle reagujemy, zamiast inicjować. To też niebezpieczne. Dlaczego? Bo w takich warunkach łatwo o samozadowolenie. A samozadowolenie to najgorszy pieprzony nieprzyjaciel, jakiego może mieć wojsko.

- Tak jest.

- No pewnie, k***a, że tak jest. - Ace oparł się dłońmi na biurku i nachylił się nade mną niczym majestatyczny kaznodzieja z ambony. - Wniosek stąd taki, drogi chłopcze, że nie jesteśmy na to przygotowani. Marynarka, do k***y nędzy, nie jest na to przygotowana. Marynarka ma trzydzieści różnych pieprzonych podręczników na temat pieprzonych relacji społecznych, a nie ma ani jednej pieprzonej kartki papieru, na której by było napisane, co robić, kiedy staniemy wobec

428

ROZDZIAŁ 2

możliwości zamachu samobójczego albo zdalnie sterowanej wyścigowej łodzi motorowej wyładowanej semtexem. Przybijamy pieprzone pieczętki „ściśle tajne” na milionach dokumentów, ale nasze newralgiczne obiekty są narażone na atak przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Zaczynałem rozumieć, do czego zmierza.

- Posłuchaj - kontynuował Ace, nabierając pewności, że wpadł na właściwy trop - kto się zajmuje bezpieczeństwem marynarki? Urzędasy. Posrani idioci. O wszystkim myślą pasywnie. „Ile macie zamków? Jak długiego łańcucha używacie do zabezpieczenia tylnego wjazdu na noc? Ile macie list kontrolnych?” Tak się nie dba o cholerne bezpieczeństwo, Dick. - Grzmotnął pięścią w biurko. - Nie da się podprowadzić nikogo do tego, żeby zmienić myślenie na temat terroryzmu. Trzeba go do tego popchnąć. Dlatego zamierzam wstrząsnąć całym tym systemem. Dlatego chcę zasiać w mar^iarce ferment, jakiego jeszcze nikt w niej nie zasiał. Chcę naprawdę pokazać dowódcom naszych baz, jak cholernie są narażeni na atak. Chcę im to wbić do głowy - żeby się nauczyli z doświadczenia, żeby się nauczyli czegoś takiego, czego nie włożą do teczki, nie wsuną do szuflady i nie zapomną. Zamierzam położyć kres całemu temu cholernemu samozadowoleniu. To zagrożenie jest realne. Ja to wiem. Ty to wiesz. Nadszedł czas, żeby i oni się tego dowiedzieli.

Patrzył na mnie z tym samym pełnym uniesienia, złowieszczym wyrazem twarzy, jaki można dostrzec u starszych chorążych marynarki, kiedy knują jakąś nową, złowrogą i podstępną intrygę przeciwko niczego niepodejrzewającym oficerom.

- Pójdiesz do siebie i napiszesz mi taką cholerną notatkę służbową: zaprojektuj mi jednostkę mającą sprawdzać stopień narażenia marynarki na atak terrorystyczny. Przyjdź z tym w przyszłym miesiącu. A teraz zjeżdżaj stąd i do roboty.

Nazwałem ją Red Celi, chociaż oficjalnie w dokumentach miała symbol OP-OóD. Pierwotnie stopień jej utajnienia został określony gdzieś na poziomie powyżej „ściśle tajnego”. Jednostkę „wodowało” czternastu

429

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

ludzi: trzech oficerów i jedenastu podoficerów - jeden pluton, dwie załogi łodzi, siedem par. Klasyczny model oddziału SEALsów.

Trzynastu z nas pochodziło z SEAL Team Six. Jedynym obcym był nowojorczyk irlandzkiego pochodzenia, niechluj o dziecinnej twarzy i rudych włosach: Steve Hartman, który został odznaczony dwiema Srebrnymi Gwiazdami za udział w tajnych misjach w Laosie i Północnym Wietnamie jako członek oddziałów rozpoznawczych marines. Hartman nie był operatorem w formalnym znaczeniu tego słowa, jakie obowiązywało w świecie działań specjalnych: nie należał ani do US Special Forces, ani do SEALsów. Ale był perfidnym kutasem, wybitnie uzdolnionym między innymi w otwieraniu zamków wytrychem, wyścigach motocyklowych, skokach spadochronowych i rozróbach w knajpach. Miał trzy czarne pasy w trzech różnych odmianach karate i wielokrotnie trafiała mu się okazja do wykorzystania tych umiejętności.

Hartman był poza mną jedyną osobą w naszym gronie, która jadła surowy małpi mózg. Miał też najbardziej oryginalny („model 1, odmiana 0”) nowojorski sposób pyskowania, którego nauczył się w najodpowiedniejszy sposób: od własnej babci ze strony matki. Babunia Noel prowadziła knajpę dla glin w Jackson Heights, jednej z dzielnic Queensu, a tam trzeba było

umieć porządnie tankować. Starsza pani Hartman trzymała za barem kij baseballowy - i umiała go użyć.

Hartmana nie sposób było nie lubić. Nie był SEALsem, to prawda, ale mówił jak marines (czyli kłął jak szwec), a poza tym miał kilka razy przydział na atomowych okrętach podwodnych. To z kolei znaczyło, że zawsze mógł być na szpicy - no bo przecież świecił w ciemności. A co najważniejsze, ponieważ podtrzymywaliśmy starą tradycję SEAL Team Six, zgodnie z którą najslabiej strzelający stawiali piwo i lunch, Hartman był stałym źródłem jedzenia i picia dla reszty towarzystwa (do czasu kiedy jego umiejętności strzeleckie się poprawiły, co trwało jakiś miesiąc).

Z Teamu Six wykradłem komandora podporucznika Dukea, którego zrobiłem szefem sztabu Red Celi, oraz kapitana marynarki Trai-lera Courta. Chciałem zabrać na tę wycieczkę także Paula Henleya,

430

ROZDZIAŁ 2

ale dostał przydział w inne miejsce i był nieosiągalny. Z podoficerów wziąłem Poostera Roostera, Baby Richa, Horsefacea, Snakea, Cheeksa, Ho-Ho-Ho, bliźniaków Gold Dust Franka i Larryego, gościa, którego nazywałem Minkster, przemądrzałego dupka zwanego Artie F oraz mojego ulubionego sanitariusza i eksperta od broni w jednej osobie, Doca Tremblaya. Nie musiałem ich zresztą bardzo mocno namawiać, żeby przeszli do mnie. Bob Gormly zamienił Team Six w urząd. Mniej czasu spędzano na szkoleniu niż na papierkowej robocie, strzyżeniu i grze w futbol w wersji US Navy. Dowódca krzywo patrzył na sposób, w jaki chłopcy w teamie byli przyzwyczajeni pić i się bawić. Snake zapragnął znowu nosić kolczyki. Baby Rich, który uważał, że wszyscy oficerowie to dupki, poskarżył się głośno na całą tę papierkową robotę. Usłyszał w odpowiedzi, że jeśli mu się nie podoba, to może odejść. Odszedł - i wpadł f^j^osto w moje ramiona. Inni dowiedzieli się, że montuję nową jednostkę, i jeden po drugim sami do mnie trafili. Tatusiu, tatusiu, mogę się z wami pobawić?

Był to klasyczny przykład ucieczki okrętów z tonącego szczura.

Poza tym miałem dla swoich ulubionych niechlujów idealną robotę. Po prawie roku przygotowywania, uzasadniania nowych etatów i biurokratycznej walki w zwarcu udało mi się zebrać oddział i wypowiedzieć tajne słowa: „Będziemy terrorystami”. Dla tych wojowników nonkonformistów był to idealny przydział: z wyjątkiem obowiązku utrzymywania naszych kwalifikacji SEALsów w zakresie nurkowania, skoków spadochronowych i wysadzania mieliśmy wolną rękę. Nie było oficjalnego cyklu szkoleniowego ani zorganizowanego programu. Każdy był odpowiedzialny za to, by być w dobrej formie.

Również moja własna sytuacja była urocza. Mimo ocen H oraz I w moich opiniach służbowych w końcu w lutym 1985 roku znalazłem się na ścieżce szybkiego awansu na komandora. Moje akta - co do których zaistniała pewna kontrowersja - przeanalizował komandor Morris Sinor, adiutant do spraw prawnych Acea Lyonsa. Sinor spędził w ciągu

prawie pięciu miesięcy setki godzin na badaniu moich opinii służbowych, starając się zważyć wszystkie moje plusy i minusy. Uznał

431

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

(mimo intensywnego nieprzyjaznego lobbingu ze strony komodorów działań specjalnych ze Wschodniego i Zachodniego Wybrzeża, jak również znacznego kontyngentu komandorów oraz kontradmirałów i wiceadmirałów, z którymi zadarłem), że zasługuję na awans. Ace, postępując zgodnie z regulaminem, przesłał ustalenia Sinora admirałowi Ronowi Haysowi, zastępcy szefa operacji morskich, który po przychyleniu się jego sztabu do opinii Sinora zatwierdził mój awans. Później Ace powiedział mi:

- Dick, to prawdopodobnie jedyny taki wypadek w ostatnich latach, kiedy system zadziałał zdecydowanie na twoją korzyść.

I aż tak bardzo się nie pomylił.

Chociaż nie był to jeszcze pełny awans, miałem już belki komandora. I siłę: byłem podwładnym Acea Lyonsa, a poprzez niego także podwładnym CNO. Interpretowałem tę podległość w ten sposób, że rozkazy mogli wydawać mi tylko oni, tylko oni też mogli mi robić opeer. Pewny siebie - równie nieśmiertelny jak przed śmiercią Rishe-ra - czułem, że moja jednostka jest zabezpieczona przed atakami formalistów, liczykrop, przed całym tym zajadłym naporem dupkowatości, któremu ulega znaczna część marynarki. Moim zdaniem nie mógł nas udupić żaden jedno-, dwu-, trzy- ani czterogwiazdkowy admirał poza CNO. Znajomi zarzucali mi, że żyję w świecie fantazji - ale to mi właśnie odpowiadało.

Red Celi podlegała Pentagonowi, ale naszą prawdziwą kwaterą główną była położona po wschodniej stronie Duke Street knajpa o nazwie Shooter McGees, w której nasz pluton spotykał się prawie co wieczór, by pić, rozrabiać i robić sobie najrozmaitsze numery. Poza tym nie miałem wielu innych zajęć: w 1985 roku rozszedłem się z żoną. To była właściwa decyzja. Kathy i ja oddaliliśmy się od siebie. Nie mieliśmy już ze sobą nic wspólnego. Ja byłem całkowicie skupiony na pracy, co oznaczało, że przez większość czasu byłem w podróży. Kiedy w końcu zjawiałem się w domu w Virginia Beach (Kathy nie zgodziła się na kolejną przeprowadzkę do Waszyngtonu), wolałem towarzystwo innych SEALsów niż towarzystwo żony, dlatego wynajdywałem różne

432

ROZDZIAŁ 2

powody, by wracać do domu późno, a wychodzić z niego wcześniej. Mnóstwo czasu spędzałem w kilku knajpach w Virginia Beach, gdzie bawili się SEALsi. Jeśli już zdarzało się, że jadałem kolację w domu państwa Marcinków (w tych nielicznych wypadkach, kiedy znalazłem się tam wieczorną porą), spożywałem ją w krępującym i przykrym milczeniu.

Nasze bycie razem było tak okropnym doświadczeniem, że Kathy prawdopodobnie cieszyła się z mojej nieobecności. Dzieci były już dorosłe i potrafiły zaakceptować ten rozłam.

Przedyskutowaliśmy sprawę i wyprowadziłem się. Ona zatrzymała dom w Virginia Beach, dzięki czemu mogła nadal widywać się ze wszystkimi naszymi dawnymi znajomymi. Ja przeprowadziłem się do kawalerki na starym mieście w Alexandrii i rozpocząłem żywot kawalera. Mieszkanie było niewielkie, ale położone blisko Pentagonu -i naszej nieoficjalnej kwatery głównej w Shooter. Snake wraz ze swoją żoną Kitty wynajęli nawet mieszkanie po drugiej stronie Duke Street, dokładnie naprzeciwko Shooter. Był to penthouse z dwiema sypialniami, w którym mieszkali razem z Poosterem Roosterem. Najczęściej po wieczorze spędzonym w knajpie Pooster i Snake wspinali się po ścianie budynku, by dostać się do domu. Bywało, że wdrapywali się na wyścigi, a reszta towarzystwa obstawiała zwycięstwo jednego albo drugiego, kibicując ich wspinaczce z parkingu należącego do Shooter McGees. Jeśli Snake i Pooster wracali do domu w porze, którą Kitty uznała za niedopuszczalną - a zdarzało się to często - utrudniała im zadanie, zamykając drzwi na taras. W takich razach musieli wyważać okna, trzymając się parapetu i korzystając czasami z pomocy ochotników, którzy ruszali z odsieczą nieszczęsnym SEALsom.

Kwaterą główną Red Celi był lokal Shooter, a naszym placem zabaw był świat. Mogliśmy działać jak prawdziwi terroryści: podróżowaliśmy incognito, przemycaliśmy broń na pokład samolotów rejsowych, przypatrywaliśmy się celom przed przeprowadzeniem ataku, po czym kupowaliśmy materiały do budowy bomb w sklepach żelaznych albo wykradaliśmy to, co było nam potrzebne, z baz marynarki i sami montowaliśmy ładunki niszczące oraz budowaliśmy bomby. Kiedy

433

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

wreszcie byliśmy gotowi, dzwonił się do danego obiektu z serią grózb i odgrywałem nasz atak. (Wcielanie się w terrorystów nie jest niczym nowym dla frogmenów. W 1943 roku pierwsza grupa pływaczy bojowych - wtedy nazywano ich S&Rs, czyli Scouts and Raiders (Zwiadowcy i Komandosi) - wykonała w Fort Pierce na Florydzie ćwiczenie na zaliczenie z zakresu infiltracji, podczas którego porwali admirała dowodzącego z kwatery głównej 7. okręgu marynarki w Miami. A działo się to w warunkach pełnej gotowości bojowej w czasie wojny!)

By dotrzeć do celu, od czasu do czasu używaliśmy transportu wojskowego. Ale na ogół zachowywaliśmy się jak rewolucyjna partyzantka przewodniczącego Mao Zedonga: „poruszając się w tłumie jak ryby w wodzie”. Jak się okazało, jednym z głównych zmartwień szefa operacji morskich Jamesa Watkina było to, czy latając cywilnymi samolotami, będziemy w stanie przewozić przy sobie wystarczającą ilość sprzętu. Niepotrzebnie się o to martwił. Udowodniłem to pewnego jesienno popołudnia. Właśnie wróciłem z Los Angeles, gdzie przeprowadzałem jakąś szybką ocenę zabezpieczeń, kiedy Ace kazał mi przymaszerować natychmiast do kajuty CNO.

Zjawilem się tam w dżinsach, koszuli, marynarce i adidasach i od razu zostałem poproszony do środka. Admirał Watkins siedział za biurkiem. Naprzeciwko niego siedział Ace.

Zasalutowałem.

-Sir.

Watkins podniósł wzrok.

- Martwi mnie, że pańska grupa OP-Oó/Delta lata samolotami rejsowymi, komandorze. Nowe rozporządzenia w zakresie ochrony obowiązujące na większości lotnisk uniemożliwią sprawne przemieszczanie się Red Celi, zwłaszcza że, jak mówi mi Ace, będziecie wozić broń i sprzęt.

- To nam raczej nie grozi, sir.

- Dlaczego?

- Admirale - włożyłem rękę za dżinsy, sięgając do krocza, i wydobywszy naładowany rewolwer kalibru .38 cala z krótką lufą, położyłem go na

434

ROZDZIAŁ 2

biurku CNO - tak się składa, że właśnie leciałem samolotem rejsowym z LA... - Przy tych słowach wyciągnąłem pasek ze szlufek. W sprzączce ukryty był nóż z prawie ośmiocentymetrowym ostrzem. -1 miałem przy sobie - z tylnej kieszeni wyciągnąłem kajdanki - to wszystko.

Wyjąłem jeszcze z marynarki składaną sprężynową pałkę. Dorzuciłem ją do stosu na biurku.

Admirał Watkins wybałuszył oczy.

- Przewiózł pan to wszystko samolotem rejsowym i nikt pana nie zatrzymał?

- Tak jest.

Roześmiał się. Spojrzał na mnie.

- Odmaszerować, komandorze. I proszę nie zapomnieć zabrać swoich zabawek. - Po czym zwrócił się do mojego szefa: - Ace, jakie to szczęście, że ten chłopak jest po naszej stronie.

W Wietnamie nauczyłem się, że najlepiej atakować Charliego tam, gdzie się nie spodziewa - przez tylne wejście. Teraz to ja miałem być Charliem i atakować marynarkę przez tylne wejście. Razem z Aceem wymyśliliśmy Red Celi po to, żeby testować obiekty baz wojskowych, ośrodki dowodzenia i kierowania, centra operacyjne i zasoby amerykańskiej marynarki pod względem stopnia narażenia na atak. Oni naprawdę mieli nam płacić za to, że będziemy udupiać ludzi. To było zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe.

Swoim ludziom przedstawiałem to nieco inaczej, ale w rzeczywistości Ace napisał grubą książkę wytycznych, dzięki którym Red Celi miała funkcjonować zgodnie z regułami. Razem z jednostką podróżował prawnik marynarki, którego zadaniem było dbanie, żebyśmy działali w granicach prawa. Każdy scenariusz najpierw starannie opracowywaliśmy, by ujawnić słabe punkty danej bazy, a potem zatwierdzali go kolejno Ace, zastępca CNO Hays i jego sztab, na końcu zaś głównodowodzący na terenie, na którym mieliśmy działać. Ace aż za dobrze znał moje zamiłowanie do improwizacji.

435

DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

- Wystarczy, że odejdziesz od tego, co ustaliliśmy, a już będzie po tobie i po twoich chłopakach - ostrzegł mnie.

Wierzyłem mu. I (na ogół) stosowałem się do rozkazów.

Mieliśmy również zawczasu informować każdego dowódcę sprawdzanej bazy, które konkretnie obiekty zamierzamy zaatakować i kiedy zamierzamy to zrobić. Dzięki temu bazy mogły wzmocnić ochronę. W sytuacjach, które by tego wymagały, mieli być zatrudniani specjaliści jurorzy, których zadaniem miało być określanie liczby ofiar podczas ćwiczeń z użyciem bomb wymierzonych przeciwko personelowi obiektów. Ponadto aby ułatwić każdej bazie ustalenie, z czego wynikają błędy, wszystkie ćwiczenia miały być filmowane.

Dysponując sprzętem działającym w warunkach słabego oświetlenia i byłymi operatorami SEALs jako kamerzystami, mieliśmy dostarczać telewizyjnych lekcji poglądowych na temat tego, jak nie postępować z terrorystami. Materiał wideo miał również stanowić twardy dowód, że Red Celi robi to, co jej zlecono. Żaden dowódca bazy nie mógł wówczas kwestionować tego, co udało nam się zdziałać.

- Nie chodzi o to - grzmiał Ace - żebyście strzelali i napierdzielali jak banda skretyniałych dupków. Chodzi o to, żebyśmy nauczyli marynarkę, jak utrudniać życie terrorystom. Oni działają jak pieprzeni włamywacze. Jeśli jakaś grupa terrorystów przeprowadza obserwację celu, mając do wyboru dwie bazy, i jedna wygląda na dobrze przygotowaną, to terroryści jej nie zaatakują. Wybiorą tę drugą. I to właśnie chcemy wbić do głowy dowódcom naszych baz.

Wczesną wiosną 1985 roku Red Celi przeprowadziła w Norfolku próbę generalną. Teren był znany, więc operacja nie wymagała od nas dużych przygotowań. Najtrudniejsze było wymyślenie, w jaki sposób włączyć ekipy z kamerami w nasze „ataki” terrorystyczne. Bo musieliśmy nie tylko przejść niepostrzeżenie przez kordony zabezpieczeń - musieliśmy też każdą operację sfilmować. Na szczęście na kamerzystów najęto trzech byłych marynarzy z SEAL Team Six, więc potrafili prowadzić rozpoznanie prawie tak samo dobrze jak Red Celi. W ciągu zaledwie kilku dni udało nam się zasiać prawdziwe spustoszenie

436

ROZDZIAŁ 2

w kwaterach głównych II Floty i LANTFLT-u, używając bomb, min pułapek oraz granatów dymnych, i sfilmować większość akcji.

Po operacji w Norfolku zwołałem zbiórkę Red Celi w knajpie Shoo-ter. Wzniosłem toast bombayem ku czci swoich chłopców.

- Okej, wypierdki, zorganizowaliśmy się, czas ruszyć w trasę.

CNO Watkins miał doświadczenie kapitana atomowych okrętów podwodnych. Uznaliśmy więc, że najlepiej będzie zacząć naszą serię nieoczekiwanych wizyt od New London w stanie Connecticut, gdzie stacjonują atomowe okręty podwodne klasy trident i boomer. Pojechałem do New London i powiadomiłem odpowiednich dowódców, którzy nie byli zadowoleni z naszego zbliżającego się przybycia. Mimo chłodnego powitania opracowaliśmy szereg scenariuszy, które zyskały następnie „akcept” na wszystkich możliwych szczeblach hierarchii służbowej. W Ijońcu na początku czerwca pojechaliśmy na północ, żeby wpaść do nich na chwilkę.

Baza (a właściwie dwie bazy) znajdowała się na brzegu rzeki Tha-mes jakieś 10 kilometrów na północ od Zatoki Long Island Sound. Na terenie położonym dalej od rzeki mieściły się zwykle obiekty baz marynarki: kwatery oficerskie, kantyna, kino, sklep i koszary, a także ośrodki dowodzenia i kierowania obu baz. Co ważniejsze, był tam wydzielony skład amunicji, gdzie przechowywano broń taktyczną, na przykład torpedy, i bardziej tajną - jądrową. Niżej, przy rzece, były doki, w których cumowały okręty podwodne klasy boomer (okręty trident, które były zbyt duże, by zmieścić się pod mostem autostrady międzystanowej numer 95, cumowały gdzie indziej).

Rozstawiliśmy się ze sprzętem w Groton w stanie Connecticut, tuż obok baz, i rozpoczęliśmy sondowanie. Szybko okazało się, że dostęp do bazy jest dość swobodny.

Jak bardzo? W bazie nie było prawdziwej bramy, tylko otwarty wjazd. Między niższą a wyższą bazą w osi północ-południe biegingy tory kolejowe. Ogrodzenia z siatki mające uniemożliwić zbaczanie na teren bazy z wytyczonych przejść pieszych były zniszczone. Wzdłuż wysuniętej najdalej na wschód granicy górnej bazy nie było w ogóle

437

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

ogrodzenia - a jedynie trzydziestometrowe łupkowe urwisko upstrzone krzakami, woskownicami i ostem. U jego podnóży znajdował się skład amunicji otoczony pojedynczym ogrodzeniem z siatki o wysokości niespełna 2,5 metra.

Przygotowania zajęły nam trzy dni. Cheeks pojechał do sklepu żelaznego sieci Ace i kupił trzy worki różnych różności, z których zmagistrował ładunki zapalające, bomby i miny pułapki. Wybuch bomb miała imitować błyskawicznie spalająca się nitroceluloza, a „materiałem wybuchowym” min pułapek i ładunków zapalających były żarówki stosowane w lampach błyskowych.

Wypożyczyłem mały samolot, którym przelecieliśmy z Horsefaceem pod mostem na autostradzie numer 95, podczas lotu nurkowego zanurzając koła w rzece Thames. Potem wykonaliśmy lot koszący nad dokami okrętów podwodnych. Nikt nie próbował nas przepędzić. Wypożyczyliśmy łódź i wywiesiliśmy na rufie sowiecką flagę, po czym powlekliśmy się w pobliże bazy z wyraźnie widocznymi kamerami filmującymi okręty podwodne w suchych dokach, zdobywając ujęcia tajnych szczegółów ich elementów konstrukcyjnych. Suche doki były odkryte i pozostawione bez ochrony - gdybyśmy chcieli staranować któryś z okrętów podwodnych, nie napotkalibyśmy żadnej przeszkody.

Przeprowadziliśmy rozpoznanie w miejscowych knajpach. Hartman, który służył na okrętach atomowych mających bazę w New London, sporządził dla nas listę najlepszych lokali. Terrorysty - zwłaszcza ich odmiana wywodząca się z eurośmieci z klasy średniej, a tacy tworzą ugrupowania w rodzaju Czerwonych Brygad, Grupy Baader Meinhof czy Action Directe - uwielbiają prowadzić rozpoznanie w knajpach. To tam podsłuchują plotki na temat baz, przeszukują kieszenie i kradną dokumenty. Rzutki terrorysta potrafi pójść do knajpy, w której bawią się żołnierze, i wyjść stamtąd z dokumentami dla siebie i dla samochodu, z kodami do sejfów, które ludzie często przechowują w portfelach, a nawet - wierście lub nie - harmonogramami funkcjonowania jednostek, często bezmyślnie wrzucanymi do aktówek. Zapoznawaliśmy się z lokalami, w których bywali goście z marynarki, oraz z tymi, w których spędzali wolny czas

438

ROZDZIAŁ 2

pracownicy stoczni General Dynamics - tam budowano okręty klasy trident. Była to ciężka praca, ale nigdy się nie skarżyliśmy.

Wreszcie Minkster - który najlepiej udawał arabski akcent - zadzwonił z pierwszym ostrzeżeniem. Zatelefonował pod numer centrali bazy w New London.

- Baza Okrętów Podwodnych Marynarki, w czym mogę pomóc?

- Tu Ruch na rzecz Wolności Wytrysku dla Palestyny - powiedział Minkster. - Uwolnijcie wszystkich naszych ludzi, których więzicie, albo syjonistyczni niewierni będą cierpieć. - Po czym odłożył słuchawkę dokładnie w tym samym momencie, w którym nieszczęsny operator centrali zaczął mówić:

-Coooooo?

Tej nocy baza została postawiona w stan najwyższego pogotowia. Patrole marinę[^] kursowały wzdłuż ogrodzenia w pobliżu głównego wjazdu. Żołnierze służby ochrony marynarki podlegający Dowództwu Ochrony i Służby Śledczej Marynarki (Naval Security Investigative Command, NSIC) pełnili wartę przy bocznej bramie, przez którą prowadziła wąska droga do położonego na terenie bazy szpitala. Włączono czujniki ruchu rozmieszczone wokół składu amunicji. Ale czujniki te zabezpieczały tylko dwie strony budynku. No bo kto by był aż tak brutalny, żeby wyskakiwać jak diabeł z pudełka od tyłu?

Kto? Komandosi Rickiego. Razem z Cheeksem obserwowałem akcję z góry, podczas gdy Frank, Larry, Snake i Pooster szybko opuścili się na dół urwiska, przechodząc cichutko przez otwarte na oścież „tylne drzwi”.

Szturchnąłem Cheeksa.

- To zupełnie jakbyśmy znów byli na wyspie Ilo-Ilo. Wszyscy gapią się w drzwi od frontu, a my strzelamy i napierdzielamy od tyłu.

Kiedy czterech SEALsów przeprowadziło bezpieczną infiltrację, opuściliśmy ekipę z kamerą, która ustawiła się, żeby sfilmować akcję.

Przewijamy taśmę. Larry i Frank przekopali się pod ogrodzeniem z siatki i podkradli się z jednej strony składu amunicji. Pooster i Snake poszli z drugiej strony. Na drodze stanął im wartownik z shotgunem bez naboju w komorze. Zanim zdążył zareagować, Snake „zastrzelił”

439

DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

go z pistoletu z tłumikiem - wartownik padł na ziemię. Juror uznał, że nie żyje. Wtedy zaczęła się zabawa. Pooster podłożył miny pułapki pod dwoma zbiornikami z propanem. Następnie razem ze Snakiem otworzyli wytrychem zamek w bocznych drzwiach i umieścili ładunek wybuchowy z zapalnikiem czasowym w pobliżu pomieszczenia z bronią jądrową. Między torpedami ukryli dodatkowe IED-y - improvi-sed explosive devices, czyli improwizowane urządzenia wybuchowe.

Jakby tego było mało, Larry i Frank powiesili na budynku składu amunicji olbrzymi transparent wykonany z prześcieradła. Było na nim napisane: „BUUUM! Uściski i ucałowania od Ruchu na rzecz Wolności Wytrysku dla Palestyny”. Potem wszyscy wspięli się po urwisku, wskoczyliśmy do samochodów, które zaparkowaliśmy w widocznym miejscu na poboczu, i odjechaliśmy.

Mając za sobą całkiem udaną wieczorną zmianę, wybraliśmy się na poważną terrorystyczną zabawę. W jednej z knajp, które prześwietlaliśmy, poderwaliśmy dwie atrakcyjne pracownice General Dynamics. Kiedy były zajęte ocieraniem się o Poostera i Gold Dust Franka, ukradłem im dokumenty.

Pieprzcie się, panny.

Wyższą bazę zaatakowaliśmy bez problemu. Drugiego dnia zaliczyliśmy budynki szpitala, centrum łączności i kwatery głównej - nigdzie nie napotkaliśmy oporu. Od samego początku powód tego stanu rzeczy był oczywisty: marynarze z okrętów podwodnych to ludzie bardzo systematyczni. Działają na podstawie list kontrolnych. Kiedy coś zostanie sprawdzone, skreśla się to z listy i nie sprawdza ponownie. Terrorysty nie działają na podstawie list kontrolnych - atakują cele, kiedy mają okazję. Wobec tego wystarczyło, że poczekaliśmy, aż jakieś miejsce zostanie sprawdzone przez ochronę, i wtedy mogliśmy je zaatakować, pewni, że nikt tam na nas nie będzie czekał.

To samo sprawdziło się w dokach okrętów podwodnych. Jeszcze tego samego dnia wysłałem Minkstera, Baby Richa, Horsefacea i przemądrzałego dupka Artiego jakieś pół kilometra w górę rzeki, do przystani jachtowej. Tam przebrali się w pianki, ubrania włożyli do

440

ROZDZIAŁ 2

wodoszczelnych worków i popłynęli w dół do doków okrętów podwodnych. Wspięli się po palach, z powrotem się przebrali, powiesili torby przy pomoście i wzięli się do pracy. Najpierw znaleźli strażników -którzy spokojnie siedzieli w swoich budkach, pijąc kawę - i zakneblowali ich. Potem ukryli ładunki wybuchowe przy jednym z okrętów podwodnych klasy boomer - za sterami głębokości. Weszli na pokład innego okrętu i umieścili ładunki w sterowni, w komorze reaktora jądrowego i w wyrzutni torped. Natknęli się na kogoś, ale wytłumaczyli się, mówiąc, że są konserwatorami z GD. Nikt nie poprosił ich o dokumenty, a nawet gdyby ich poproszono, mieli legitymacje skradzione przeze mnie poprzedniej nocy. Zamachaliby nimi, niby przypadkiem zasłaniając kciukiem zdjęcie - i nadal nikt by nic nie wiedział.

SEALsi skończyli swoje zadanie, wskoczyli znowu w pianki i popłynęli w górę rzeki do przystani jachtowej, gdzie ich podjęliśmy.

Potem wszyscy odpłynęliśmy i bawiliśmy się dalej.

Dowódca bazy, komandor, nie był zadowolony, kiedy pokazaliśmy mu nagrania. Jego przełożony, dwugwiazdkowy dowódca eskadry, którego będę nazywał admirałem Cocksureem (Pyszałkiem), był zachwycony jeszcze mniej.

- Komandorze - powiedział - te ćwiczenia były nieuczciwe i nie powinny się liczyć. Pańscy ludzie nie działali zgodnie z zasadami.

- Jakimi zasadami, sir?

- Najpierw zsunęliście się po urwisku, żeby zaatakować mój skład amunicji. Nie powiedzieliście mi wcześniej, że to zrobicie. Powiedzieliście tylko, że przeprowadzicie uderzenie. Atakując okręty podwodne, przyплыnęliście z góry rzeki i wyszliście z doków. Gdybyśmy wiedzieli, że pojawicie się z tej strony, czekali byśmy tam na was. Nie mamy tylu ludzi, żeby patrzyli wszędzie.

- Z pewnością Abu Nidal albo Ludowy Front Wyzwolenia Palestyny weźmie pod uwagę pańskie opinie, jeśli zdecydują się przeprowadzić atak na pańską bazę, sir.

- Proszę mi się tu nie wymądrzać, komandorze.

Kto? Ja? Dickie?

441

DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

- Ależ nie, sir. Nawet bym o tym nie pomyślał, sir.

Dowódca bazy spiorunował mnie wzrokiem.

- Pańscy tak zwani terroryści zadzwonili i powiedzieli, że zaatakują sklep. Byliśmy gotowi, ale oni nie zaatakowali.

- Nie, komandorze, zamiast tego zaatakowaliśmy centrum łączności.

- Nie tak miało być.

- Słuchajcie, panowie: pozwólcie, że coś wam wyjaśnię. Terroryści nie postępują zgodnie z zasadami. Macie tu milutką, porządną bazę, która prawdopodobnie funkcjonuje bardzo sprawnie. Ale jeśli chodzi o bezpieczeństwo, to jesteście w najwyższym stopniu narażeni na atak. Nie przejawiacie żadnej inicjatywy. Po obejrzeniu tych nagrań CNO po prostu wpadnie w zachwyty, bo jak wiecie, kiedyś pływał na atomowych okrętach podwodnych. Na tych taśmach widać, jak wysadzam dwa z trzymany tu okrętów, a gdybym chciał, mógłbym wysadzić je wszystkie.

Admirał Cocksura się najeżył.

- Dobrze, że pan o tym wspomniał, komandorze, bo pańscy ludzie nie mieli upoważnienia do wchodzenia na pokład atomowych okrętów podwodnych. Nie mają takich uprawnień.

- W takim razie dlaczego nas nie powstrzymaliście?

- To nie jest uczciwie postawione pytanie.

- Admirale, uczciwość nie ma z tym nic wspólnego. Zgodziliśmy się, że okręty podwodne są łatwym celem. Najlepszym sposobem obrony przed nimi jest zatrzymanie ich w macierzystym porcie. Więc wystarczy, że bandyci wygną jeden wał albo zepsują jeden ze sterów głębokości, albo wypaczą jedną śrubę, żeby zablokować pańską flotę wartych wiele milionów dolarów głowic jądrowych. - Rzuciłem na biurko Cocksura skradzione identyfikatory. - Zechce pan to zwrócić właścicielom.

- Jezu - powiedział stłumionym głosem - to...

- Admirale - przerwałem mu - marines, którzy pilnują pańskiego głównego wjazdu, używają innej częstotliwości radiowej niż ochroniarze patrolujący ogrodzenie bazy. Ochroniarze mają łączność z waszym biurem ochrony, ale już nie ze służbą ochrony z NSIC na przystani. Nikt

442

ROZDZIAŁ 2

nie nosi naładowanej broni. Nikt nie przeszkadza intruzom. Wasze zewnętrzne ogrodzenie z siatki ma tylko metr osiemdziesiąt wysokości. A rzeka jest otwarta dla każdego, kto zechce

nią dopłynąć aż do doków okrętów podwodnych. Tutejsza ochrona jest do dupy.

Cocksure naburmuszył się do reszty.

- Niech pan się nie posuwa do niesubordynacji, komandorze.

Zaczynał mnie już wkurzać, ale ugryzłem się w język.

- Admirale, to nie jest niesubordynacja. Zastępca CNO do spraw planowania i strategii niepokoi się o bezpieczeństwo pańskich obiektów. Uważam, że naprawdę ma się o co martwić, bo tutejsza ochrona jest do dupy. I właśnie to zamierzam napisać w swoim meldunku.

Kiedy wychodziłem, kochany admirał pisał już do Acea ostry list ze skargą. Była to pierwsza z wielu podobnych skarg, jakie Ace miał otrzymywać z npojego powodu.

Wykonaliśmy kawał dobrej roboty jak na jeden tydzień. Wykazaliśmy usterki w pracy ochrony bazy okrętów podwodnych i daliśmy odpowiedzialnym za to osobom materiał do przemyśleń. Udało nam się nawet wkurzyć admirała, co potraktowałem jako komplement. Miałem zamiar postraszyć go jeszcze przez weekend, ale urządzano właśnie regaty na rzece Thames i musieliśmy zrezygnować z tych planów. Ace był niewzruszony, jeśli chodzi o pewne procedury: mogliśmy sobie pogrywać z marynarką, ale nie z niewinnymi cywilami. Weekend jednak był zbyt ładny, by po prostu wracać do domu. Dlatego zamiast pojechać do Waszyngtonu, udaliśmy się na dwudniową hulankę na północ, do stanu Massachusetts.

Jeden z cywilnych członków naszej ekipy filmowej należał do grupy tych, którzy „wodowali” SEAL Team Six - ten wysoki były kapitan marynarki miał przydomek Senator. Jego karierę w marynarce wojennej przerwał wypadek podczas szkolenia w Teamie Six: Senator stracił oko. Teraz pracował w firmie zajmującej się doradztwem w zakresie obronności. Firma ta koordynowała filmowanie ataków Red Celi.

443

CZĘŚĆ DRUGA UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

Rodzice Senatorsa mieli ogromny dom nad samym brzegiem oceanu w południowej części stanu Massachusetts, jakieś czterdzieści minut drogi z Bostonu - tam właśnie pojechaliśmy. Kupiliśmy tyle piwa, że wystarczyłoby do zatopienia sporej łódki, i spędziliśmy weekend, jedząc kukurydzę, homary i kanapki z mięsem, a wszystko to pich-ciliśmy sobie na plaży w czasie nieprzerwanej czterdziestoośmiogodzinnej imprezy.

Impreza zamieniła się w jedno wielkie obżarstwo. Kiedy nasze świętowanie zrobiło się głośniejsze i poszło na żywioł, zaczęli pojawiać się sąsiedzi. Kobiety pożerały wzrokiem umięśnionych SEALsów. SEALsi pożerali wzrokiem zgrabne kobiety. Pooster się zakochał. Uprawialiśmy zapasy i wrzucaliśmy do morza każdego, kto dał się złapać - a zwłaszcza młode ślicznotki. Graliśmy w siatkówkę, która w wersji SEALsów jest grą w pełnym

kontakcie. Wzdłuż ścieżek starannie ustawialiśmy rzędkę z pustych puszek po piwie w stylu Everetta E. Barretta, demonstrując nasze uzdolnienia w zakresie kształtowania krajobrazu.

I przygotowywaliśmy jedzenie w stylu SEALsów. Na wzór Indian wykopaliśmy ogromny dół, obłożyliśmy go wodorostami i gotowaliśmy homary, małże, kukurydzę i ziemniaki. Później, kiedy wypiliśmy już dość piwa, pełne zwęglonego drewna dno dołu o prawie dwumetrowej średnicy doskonale przydało się do popisów w chodzeniu po ogniu.

Jeden z nas wolał przygotować sobie jedyne w swoim rodzaju własne racje żywnościowe. Rodzice Senatora patrzyli w pełnym fascynacji i przerażenia zdumieniu, jak Gold Dust Larry zaczął prawdziwą zabawę. Najpierw przy użyciu piwa wprawił się w typowy wisielczy nastrój Gold Dust Larry ego, po czym odłączył się od towarzystwa i poszedł dokądś samotnie wzdłuż brzegu. Jakiś czas później - nikt nie potrafił tego dokładnie określić - wrócił, niosąc zabita mewę. Stanął w milczeniu, popatrując posępnie w nasze ognisko, i odgryzł ptakowi głowę.

- Co ten chłopak wyprawia? - dopytywał tata Senatora, patrząc, jak Larry przeżuwa.
- Robi befsztyk tatarski z mewy - cierpliwie wyjaśnił Duke.

444

ROZDZIAŁ 2

Trzeba było siłą powstrzymać resztę ekipy, która chciała wyruszyć na podchody w celu szukania padliny do jedzenia dla Larry ego. To była naprawdę długa noc.

W niedzielę rano, kiedy wszyscy oprzytomnieli, wynajęliśmy łódź do połowu homarów, załadowaliśmy na nią pięć czy sześć skrzynek piwa i spędziliśmy przedpołudnie, pływając wzdłuż wybrzeża. Mniej więcej po trzeciej skrzynce Snake postanowił, że dalszą część podróży spędzi w łódce holowanej przez naszego poławiacza homarów. Przepłynął tam wzdłuż liny holowniczej, zabrawszy ze skrzynki dwa sześć-ciopaki.

Pozostali woleli wylegiwać się na słońcu i popatrywać na ogromne domy stojące nad odległym brzegiem. Potem Trailer Court wpadł na świetny pomysł:

- Zrzut i wjfhwyt - zawołał. - SEALsi do wody.

Rozkaz to rozkaz. Prowadź własnym przykładem. Nie zwlekając, rzuciłem się przez balustradę na dziobie do Atlantyku, zanurkowałem na głowę i odpłynąłem pod wodą wzdłuż lewej burty. Au! Woda była tak cholernie zimna, że poczułem, jak wciągają mi się jądra - niczym podwozie w samolocie. Dokładnie w chwili, kiedy wyskoczyłem na powierzchnię, zobaczyłem spadające na mnie jak maczuga wielkie umięśnione ramię Snakea. Chwycił mnie za gardło i bez trudu wciągnął na swoją łódkę.

- Dzięki - powiedziałem chrapliwym głosem.

- Zawsze do usług, komandorze. - Snake wskazał w stronę Gold Dust Larry ego, który właśnie skakał na głowę z dziobu. - Proszę się przesuwac, komandorze, zaraz bede wychwytywal Larry ego.

Z dolną częścią ciała zanurzoną w wodzie zacząłem podciągać się wzdłuż piętnastometrowej liny holowniczej z powrotem na łódź. Zanim w końcu wciągnąłem się przez barierkę na rufie, wir śruby zdążył wessać moje tenisówki i jedną skarpetkę. Wyczerpany wymacywałem dalszą drogę, poruszając się po pokładzie na czworakach.

- I jak było? - spytał Pooster.

- Kapitalnie, złotko moje, Poosterku. A ty nie spróbujesz?

445

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

Położyłem się na wznak na pokładzie dziobowym, zmarznięty, mokry i słony. Mój portfel ociekał wodą. Buty popłynęły w siną dal. Palce Snakea zostawiły mi na szyi pięć wyraźnych malinek, przypominając, w którym miejscu chwycił mnie za gardło, kiedy wyciągał mnie jedną ręką z wody. Jabłko Adama pulsowało mi boleśnie. Ale słońce pięknie świeciło, niebo było błękitne, a ktoś stanął nade mną i sączył mi piwo w otwarte usta.

Pomyślałem, że Bóg umieścił mnie na tej ziemi, żebym był właśnie tu, gdzie jestem, i robił właśnie to, co robię, z tymi właśnie ludźmi -z moimi ludźmi. Było absolutnie, totalnie, w sposób niepodlegający najmniejszej wątpliwości, całkowicie, zupełnie, cholernie perfekcyjnie.

Rozdział 22

;

W cywilnym życiu wrześnieowe amerykańskie Święto Pracy zwiastuje koniec wakacji. Chociaż pora roku w rzeczywistości jeszcze się nie zmienia, jest to czas, kiedy ma się owo trudne do opisanego poczucie zmienności - instynktowne przeczucie, że coś się wydarzy. Tak też było w weekend Święta Pracy w 1985 roku w wypadku Red Celi. Mieliśmy za sobą dobrą wiosnę i świetne lato, kiedy na terenie całego kraju raz za razem robiliśmy zimny prysznic jednostkom marynarki wojennej i zawstydzaliśmy dowódców.

A co najważniejsze, czułem się tak związany z ludźmi z Red Celi, jak związany byłem ze swoim pierwszym oddziałem w Wietnamie, drużyną Bravo, 2. plutonem. Tyle że zamiast Patchesa Watso-na, Eaglea Gallaghery, Rona Rodgera, Jima Finleya i Joego Campa (nie znałem równie szalonej bandy gości, z którymi by można strzelać i napierdzielać) miałem teraz czternastu facetów, którzy w strzelaniu i napierdzielaniu potrafili dorównać najlepszym - i jeszcze sami pilotowali samoloty i helikoptery, wykonywali skoki HAHO z 10 kilometrów, byli wyposażeni w najrozmaitsze cudeńka, o których nawet nie marzyliśmy w Wietnamie, a na dodatek pogrywali

CZEŚĆ DRUGA UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

z admirałami w sposób, w jaki nie pogrywał jeszcze nikt w dziejach marynarki.

Ale zmiana z całą pewnością wisiała w powietrzu. Ace Lyons właśnie się dowiedział, że dostaje awans. Mieli mu dać czwartą gwiazdkę i wysłać go na Hawaje, gdzie miał objąć stanowisko CINCPACFLT-a (Commander-IN-Chief, PACific FLeET, czyli głównodowodzącego Floty Pacyfiku). Konsekwencje tego przesunięcia były olbrzymie. Wystarczył rzut oka na listę szefów operacji morskich i ich zastępców, by przekonać się, że wielu z nich służyło wcześniej w VII Flocie, było zwierzchnikami dowództwa Pacyfiku albo piastowało stanowisko CINCPACFLT-a. Istniała zatem możliwość, że przesunięcie Ace'a miało prowadzić ostatecznie do wybrania go na CNO.

Jednak z perspektywy czasu można ocenić, że w rzeczywistości dzięki temu awansowi w skuteczny - a nawet podstępny - sposób wysłano Ace'a na prowincję, z dala od struktur władzy. Znaczna część establishmentu marynarki, na który składali się w większości ludzie o temperamencie biurokratów ery atomowej, uważała go za wichrzyciela, podżegacza i twardogłowego. Wprawdzie Ace kompetentnie reprezentował marynarkę na zewnątrz podczas prowadzonych w Moskwie w 1984 roku rozmów z Sowietami na temat incydentów morskich, jednak w kraju demonstrowany przez niego realistyczny, na pozór nieustępliwy punkt widzenia trudno było zaakceptować innym cztero-gwiazdkowym admirałom.

Najbardziej niepokojącą cechą Ace'a stanowiła ich zdaniem mentalność wojownika. Lyons był zuchwały i niekonwencjonalny. Potrafił kłąć jak szewc, szanował ludzi, którzy mu podlegali, z uporem chciał potrząsać systemem i nie bał się nazywać rzeczy po imieniu. Połączenie tych rysów charakteru sprawiło, że stał się zbyt wielkim zagrożeniem dla zbyt wielu osób. Dlatego Ace dostał awans z przeniesieniem poza dotychczasową dziedzinę pracy sztabowej w zakresie planowania i strategii, w której nie dowodził znaczną liczbą ludzi - ale jego słowa i decyzje miały istotny wpływ na całą US Navy, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Został natomiast wyekspediowany do Honolulu,

ROZDZIAŁ 2

gdzie miał dowodzić ponadczteremilionową marynarką i zarządzać rocznym budżetem w wysokości ponad 5,5 miliarda dolarów, ale pozostawał bezpiecznie oddalony od głównego nurtu polityki.

Dla mnie i dla funkcjonowania mojej małej jednostki Red Celi bardziej znaczące było to, że gdyby Ace chciał próbować chronić zadek Demo Dickiego, miał teraz do pokonania dystans 10 000 kilometrów.

Oczywiście tragiczne konsekwencje przeniesienia Ace'a nie dotknęły mnie natychmiast. Ale gdyby moje zmysły umięjące wyczuć zasadzkę były w 1985 roku równie wyostrzone, jak to

miało miejsce w roku 1967, to włosy powinny mi się zjeżyć na karku i powinienem grasować po korytarzach Pentagonu z gotowym do strzału M16. Tak się jednak nie stało. Zbyt dobrze się bawiłem. Właśnie przymierzaliśmy się z chłopakami do spędzenia weekendu Święta Pracy w 1985 roku z Ronaldem Reaganem. No dobrze, tak naprawdę nie z samym prezydentem, ale z jego samolotem. Kiedy państwo Reaganowie spędzali urlop na ranczu prezydenta w Santa Barbara, Air Force One stał na położonym 125 kilometrów na południe lotnisku bazy lotniczej marynarki w Point Mugu. Biorąc pod uwagę wszystkie związane z tym dodatkowe środki bezpieczeństwa, wydawało się, że jest to doskonała okazja, by zakosztować naszej wyjątkowej odmiany zabawy.

Dowódcą tamtejszej bazy był lotnik marynarki o nazwisku Gordy Nakagawa. Gordy dwa razy był jeńcem: najpierw internowany podczas drugiej wojny światowej, potem schwytany jako pilot marynarki przez Wietkong. Lubilem i podziwiałem Gordy'ego. W odróżnieniu od większości dowódców baz on podchodził poważnie do kwestii bezpieczeństwa. Stworzył nawet w Point Mugu zespół SWAT, który był o tyle niezwykły, że w jego skład wchodził i mężczyźni, i kobiety. Gordy mówił o nich czule, że to jego Rambo i Rambatki.

Gordy Nakagawa był światowej klasy strzelcem wyborowym i graczem, dlatego zachwyciła go perspektywa, że jego ludzie będą mogli zatańczyć rock and rolla z Red Celi, kiedy w bazie będzie Air Force One. Secret Service była innego zdania.

- Nie urządzamy gier i zabaw - powiedzieli tajniacy - i kropka.

449

DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

Wzruszyłem ramionami. No to co? Z tego, że oni nie chcieli się z nami bawić, wcale nie musiało wynikać, że my nie możemy bawić się z nimi.

Zabraliśmy do Kalifornii całą grupę z wyjątkiem Hartmana, który został na miejscu, żeby bronić biura. Nigdy mi tego nie wybaczył. Na szczęście w Święto Pracy knajpa Shooter McGees była otwarta.

Razem z Gordym wybraliśmy ten właśnie weekend, bo chociaż na pasie startowym miał stać Air Force One, spodziewaliśmy się, że baza będzie przypominać Senną Kotlinę. Podczas weekendów - a już na pewno podczas długich świątecznych weekendów - wyraz „działać” znika z marynarskiego słownika. W marynarce słowo „czujność” nigdy nie było szczególnie popularne w niedzielę, kiedy wszyscy lubią dłużej pospać. To już tradycja: wystarczy przypomnieć sobie Pearl Harbor...

Red Celi dotarła na miejsce dziesięć dni przed planowanym rozpoczęciem zabawy, używając samolotów rejsowych lądujących w Los Angeles i w Santa Barbara. Chłopcy wypożyczyli kilka samochodów: od ca-dillaców po pikapy. Pojechaliśmy do Point Mugu i zameldowaliśmy się w tym samym motelu, w którym nocowali ochraniający Air Force One członkowie Secret Service i oddziałów ochrony sił powietrznych. Dzięki temu mogliśmy kontrolować przeciwnika. Tymczasem ekipy filmowe razem z naszym ciężkim sprzętem

dotarły na pokładzie odrzutowca marynarki, który dostarczył je do bazy lotniczej US Navy w Alamedzie.

Kiedy Red Celi urządziła się na miejscu, zaczęliśmy przyglądać się bazie. Ja zostałem z tyłu, biorąc na siebie rolę Abu Nidala, i pozwoliłem chłopakom działać we własnym rytmie. Wiedzieli, że naszym celem jest przetestowanie każdego elementu systemu ochrony bazy. To, w jaki konkretnie sposób to zrobią, zależało już od nich. Czasem mogłem podpowiedzieć im parę szczegółów czy zaplanować jakąś wyjątkowo paskudną operację, którą chciałem przeprowadzić w pewien charakterystyczny sposób. Ale na ogół moi ludzie byli zdani na siebie.

Moim głównym zadaniem była obserwacja. Chodziło o to, żebyśmy pomogli przedstawić sugestie po ćwiczeniach. Wobec tego spędzałem trochę czasu w towarzystwie Gordy ego, oceniając, na co stać jego ludzi,

450

ROZDZIAŁ 22

albo na patrolach z Bobem Laserem, szefem ochrony w Mugu, pokazując mu, na co powinien zwracać uwagę. Jednak na ogół kursowałem między grupami moich ludzi, obserwując ich przygotowania i dając im pełną swobodę w wynajdywaniu nowych i przebiegłych odmian ich perwersyjnych form zabawy.

Pooster Rooster - zawsze uważałem, że powinniśmy nazywać go Pooster Booster (Pobudzacz) - „pożyczył” rower z dziesięcioma biegami i zjeździł nim każdy metr drogi wokół Point Mugu. Jego wiodące krętymi trasami wycieczki zaprowadziły go do rzadko używanej tylnej bramy znajdującej się za sąsiadującym z hangarami terenem technicznym. Ku swojej wielkiej radości Pooster odkrył, że ta szeroka brama jest zamknięta na zwykłą kłódkę na łańcuchu. Kupił szczypce tnące, przeciął łańcuch, pozbył się kłódki i założył na bramie własny łańcuch i nową kłódkę.

Tymczasem Duke wypożyczył łódź z miejscowej przystani. Razem z Larrym pływali wzdłuż brzegu, wypatrując kobiet opalających się w stroju toples. Równocześnie lustrowali linię brzegową Point Mugu, wyszukując przypuszczalne lokalizacje czujników naziemnych. Przez lornetkę polową śledzili też trasy zespołu SWAT z bazy, patroli gliniarzy, przeczesujących teren żołnierzy służby ochrony marynarki i strażników z marines - każda z tych jednostek wykonywała przewidywalne obchody o określonych godzinach. Terrorysty robili mnóstwo notatek, dokładnie jak prawdziwi bandyci.

Dla zapewnienia integralności własnego oddziału członkowie Red Celi prowadzili wspólnie rozpoznanie w miejscowych knajpach i barach. I znowu zebraliśmy cenne informacje: kto gdzie pije, o czym się plotkuje, jakie odznaki noszą poszczególni żołnierze. Ci, którzy mieli być na szpicy, wchodzili do środka i dokonywali operacji wmieszania się w tłum, pijąc chłodne piwo, bombaya lub różne inne markowe napoje. W tym samym czasie dwóch lub trzech guzdrałów zostawało często na parkingu, odrywając naklejki identyfikacyjne wydane

przez bazę z przednich szyb i zderzaków, żeby Red Celi mogła nakleić je na własne samochody z wypożyczalni.

451

CZĘŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

W piątek po południu byliśmy gotowi. Nasz zespół zbadał bazę, szukając słabych punktów. Znaleźliśmy ich wiele. Przedostanie się przez ogrodzenie było dziecinnie proste - nawet w biały dzień i tuż obok głównej bramy. W jaki sposób? Horseface podjechał pod bramę, trąbiąc na wartowników i wyzywając ich, po czym rzucił w ich kierunku parę kartonów mleka i odjechał. Hej, wy tam! Patrzcie wszyscy, co robi Horseface.

Tymczasem 3 metry dalej Ho-Ho-Ho i Doc Tremblay przeskakiwali właśnie przez niespełna dwuipółmetrowe ogrodzenie z siatki. Pieprzcie się, wartownicy.

To było proste. Poza tym włamaliśmy się do puszek telekomunikacyjnych i założyliśmy podsłuch na liniach telefonicznych. Monitorowaliśmy częstotliwość radiową policji przy użyciu skanerów Bearcat. Wykonaliśmy własne mapy taktyczne, ze wszystkimi skrótami, tylnymi drzwiami i trasami ewakuacji. Dokonaliśmy oceny, wyboru i uszeregowania celów.

Air Force One był już na płycie lotniska: stał na jego krańcu otoczony przez dupków z Secret Service i „niebieskie kocyki” z US Air Force - żołnierzy ochrony noszących niebieskie berety. Dla nas nie miało to większego znaczenia, czy samolotu pilnuje dwudziestu ludzi, czy stu. Nimi mieliśmy się zająć w trakcie naszego wielkiego finału.

Zabraliśmy się zatem do roboty. Jak na bazę, która podobno była w stanie najwyższego pogotowia, miejsce to wydawało się zdradzać zaledwie słabe oznaki życia. Wartownicy oglądali telewizję w swoich budkach. Pas, na którym stały myśliwce F/A-18 Hornet, był opustoszały. Gliniarze chodzili machinalnie tam i z powrotem. Nikt się niczym nie interesował. Nawet operatorka centrali telefonicznej, która przyjęła groźbę wygłoszoną przez Minkstera w imieniu Ruchu na rzecz Wolności Wytrysku dla Palestyny, nie pracowała najwyraźniej na pełnych obrotach.

- Tu Ruch na rzecz Wolności Wytrysku dla Palestyny. Jeśli Izraelczycy nie uwolnią w ciągu dwóch godzin stu siedemdziesięciu trzech naszych więźniów politycznych, wasze obiekty spłyną amerykańską

452

ROZDZIAŁ 2

krwią. Na waszym przeklętym rozmiłowanym w syjonistach terytorium zacznie się największa z wojen.

- Czy zechciałby pan przeliterować mi tę nazwę?

- W jak wytrysk, Y jak wytrysk, T jak wytrysk, R jak wytrysk... -brzęczał Minkster, wyśmienicie udając wymowę lasira Arafata.

W godzinach poprzedzających weekend Święta Pracy baza Point Mugu naprawdę przypominała spokojne sennie miasteczko na południu Kalifornii. I właśnie dlatego mój osobisty partyzant z Ruchu Wytrysku kapitan Trailer Court, zamiast w czarną piżamę i kufiję ubrany w skradziony mundur dowódcy, zameldował się tam w piątkowy wieczór. Podjechał o 19.00 do głównej bramy i wyjaśnił wartownikom, że miał zgłosić się do pracy we wtorek, ale przyjechał wcześniej, żeby spędzić weekend w kwaterach oficerskich i nie musieć płacić za motel. Trailer miał z[^]sobą dokumenty, które ukradliśmy dwie noce wcześniej w jednej z knajp, ale nie musiał ich pokazywać: patałachy ze służby ochrony marynarki wpuściły go, niczego nie sprawdzając.

Pojechał prosto do kwater oficerskich, włamał się do pustego pokoju i rozpakował broń, gogle noktowizyjne, sprzęt radiowy i ładunki wybuchowe, które mu daliśmy, żeby je nam przemycił na teren bazy. Następnie przy użyciu kieszonkowego szyfratora głosu zadzwonił do nas z telefonu w swoim pokoju i zgłosił, że droga wolna. Świetnie. Wysłałem ubranych w modną czerń Ho-Ho-Ho, Horsefacea i Baby Ri-cha, żeby przeszli przez ogrodzenie. Nikt ich nie widział, nikt nie zatrzymał. Dotarli do pokoju Trailera, przebrali się w ubrania robocze, zabrali materiały wybuchowe i poszli ukraść lekki samochód ciężarowy, który wypatrzyliśmy poprzedniego dnia, zaczaiwszy się w pobliżu bazy samochodowej.

Wszyscy trzej pojechali ciężarówką do składu amunicji, włamali się do środka, uruchomili wózek widłowy i załadowali na samochód paletę jasnoniebieskich atrap ponaddwustukilogramowych bomb, które tam znaleźli. Przymocowali do bomb zdalnie sterowane detonatory i miny pułapki, przykryli ten ogromny ładunek kamuflażową plandeką i pojechali z całym tym majdanem z powrotem na parking przy

453

CZĘŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

kwaterach oficerskich, żeby Trailer mógł go mieć na oku. Następnie, wyglądając równie niewinnie jak siostrzeńcy Kaczora Donalda: Hy-zio, Dyzio i Zyzio, wyszli spokojnie przez główną bramę, machając na odchodne do gliniarzy.

Tymczasem Frank i Snake wskoczyli w pianki i rozpoczęli własną wersję cichej wieczornej infiltracji. Pooster zawiózł ich w pewne miejsce na autostradzie Pacific Coast tuż powyżej rezerwatu przyrody, który ciągnął się wzdłuż północnej granicy bazy. W towarzystwie byłego kolegi z SEAL Team Six, naszego kamerzysty o imieniu Neil, przepłynęli jakies 1,5 kilometra w dół rzeczki, aż dotarli do bagnistego kawałka rezerwatu. Próbowali przedostać się przez rezerwat najkrótszą drogą, ale utrudniało im to sięgające powyżej pasa błoto. Wobec tego zawrócili i wybrali drogę po twardym gruncie, okrążając rezerwat dzikich zwierząt, i skierowali się na południowy wschód, metodycznie, żmudnie szorując brzuchami po ziemi.

Po powolnym przepłynięciu jakichś 700 metrów, kiedy przeczołgali się przez przepust, który ochrona zapomniała okratować lub zasłonić, terroryści natknęli się na patrol prowadzony przez Rambo i Rambetki. Czwórka ubranych w czarne mundury polowe funkcjonariuszy SWAT patrolowała granice bazy.

Zaledwie centymetry dzieliły buty przechodzących policjantów od SEALsów leżących cicho w wysokiej na 30 centymetrów trawie.

Jeden z członków patrolu przykucnął nad przepustem i zapalił papierosa. Po chwili dołączył do niego drugi. Tymczasem Frank, Snake i Neil ze wszystkich sił starali się nie zwracać uwagi na mrówki chodzące im po twarzach i wążące pod mokre pianki. Po jakimś czasie - wydawało się, że trwa to całe wieki - Rambo i Rambatki w końcu wznowili patrol, ale zanim odeszli, któreś z nich, nie zdając sobie z tego sprawy, przydepnęło pomalowaną na czarno dłoń Franka.

Kiedy SEALsi zostali sami, wrócili do swojej misji. Poruszając się powoli, Snake, Frank i Neil podkradli się do rowu biegnącego wzdłuż drogi kołowania. Snake i Frank włamali się do hangaru, przebrali się w znalezione tam kombinezony, po czym wyszli na zewnątrz

454

ROZDZIAŁ 2

i powtykali ładunki wybuchowe do wlotów powietrza kilku myśliwców F/A-18. Neil sfilmował to wszystko przy użyciu kamery działającej w warunkach słabego oświetlenia. Wypełniwszy zadanie, pomaszerowali prosto do tylnej bramy, otworzyli ją, wymknęli się i zamknęli wrota za sobą. Pooster już na nich czekał - w końcu był już najwyższy czas na browar.

Minkster i Cheeks nie mogli jeszcze wybrać się na piwko. Tego pierwszego dnia byli moim mięsem armatnim. Musiałem jakoś odwrócić uwagę ochrony, żeby umożliwić Frankowi i Snakeowi spokojne wyjście na otwartą przestrzeń obok hangarów. Wobec tego wysłałem tamtych dwóch do zbiornika paliwa na drugim końcu bazy, gdzie narobili tyle hałasu, że wywołali reakcję.

To też było ważne: chciałem się przekonać, kto zareaguje na alarm. Czy na wezwanie pojawiają się gliniarze: oddziały policji Departamentu Obrony, czy Rambo i Rambatki? A kiedy schwytają bandytów, co z nimi zrobią?

Monitorowaliśmy ich ruchy dzięki skanerom częstotliwości policyjnych. Trailer, siedząc w goglach noktowizyjnych na dachu kwater oficerskich, mógł relacjonować nam na bieżąco, kto i dokąd jedzie czy idzie. Przypominało to opis podróży.

Policja Departamentu Obrony dotarła do Cheeksa i Minkstera w chwili, kiedy „podkładali” ładunki wybuchowe. Zdradzili się, celowo przechodząc przez teren najeżony czujnikami. Gliniarze otoczyli moich chłopców i schwytali ich. Szybko ich przeszukali, skuli, wrzucili na tył samochodu i zabrali na posterunek policji Departamentu Obrony, który mieścił się poza granicami bazy Point Mugu.

Tyle że nie przeszukano moich ludzi zbyt dokładnie. Cheeks miał w kieszeni kluczyk do kajdanek, a w kaburze pod krocem pistolet. Przeszukiwała go kobieta, która ze zrozumiiałych

względów dość powściągliwie obmacywała mu pachwiny, zwłaszcza że Cheeks nabijał się z niej:

- No, dalej, dziewczyno, chcesz trochę? Śmiało, sięgnij głębiej, poczuj, jak tam ciepłutko i twardo.

455

CZEŚĆ DRUG UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

Błąd kardynalny numer jeden. Cheeks był uzbrojony i niebezpieczny. Kiedy znaleźli się na posterunku, wykorzystał kluczyk i broń. Najpierw uwolnił Minkstera. Potem we dwóch wzięli wszystkich gliniarzy jako zakładników na ich własnym posterunku. Teraz policjanci z Departamentu Obrony musieli wzywać na pomoc zespół SWAT.

Tymczasem Duke i Snake „wysadzili” główną antenę radiową w Point Mugu. Zaprzeszano wykonywania wszelkich połączeń między kwaterą główną Rambo i Rambetek a pozostałymi jednostkami reagowania kryzysowego, ponieważ jurorzy uznali, że wybuch bomby zdetonowanej przez Red Celi wystarczył do uniemożliwienia dalszego funkcjonowania policyjnego centrum dowodzenia i kierowania. „Eksplozja” ściągnęła również jednostki straży pożarnej z terenu bazy, niepokojone już wcześniej szeregiem fałszywych alarmów wywołanych przez Red Celi, o czym roztropnie pomyślał Pooster. To tyle na premierę.

O pierwszym brzasku ujawniła się kolejna słabość ochrony. My, terroryści, czuliśmy się rześko - każdemu z nas udało się trochę odpocząć. Jednostki ochrony natomiast zaczynały odczuwać zmęczenie: nie miały przewidzianych przerw na odpoczynek w systemie zmianowym. Gordy stworzył sobie zespół - ale nie miał rezerwowych. Wszystkich postawiono na nogi naraz i wszyscy byli na służbie przez cały ten czas.

To był błąd kardynalny numer dwa. Zmęczony policjant to policjant nieuważny. Tuż po świcie w należącem do Point Mugu barze położonym poza granicami bazy, tuż obok głównej bramy, Ho-Ho-Ho, Rich i Horseface schwytali kilka osób - w tym kobiety i dzieci - które pojawiły się tam wcześniej rano na śniadanie. Moi ludzie zawiązali oczy swoim więźniom i przekazali ich bliźniakom Gold Dust, którzy wykorzystali ich jako karty przetargowe. Teraz gliniarze znaleźli się między przysłowiowym młotem a kowadłem: zwyczajną praktyką było, że nie wymienia się bandytów za uwięzionych policjantów, ale kiedy w grę wchodziły kobiety i dzieci, sprawa wyglądała już zupełnie inaczej. Wyczerpani policyjni negocjatorzy uzgodnili warunki wymiany i tuż po 9.00 Minkster i Cheeks zostali uwolnieni z posterunku policji.

456

ROZDZIAŁ 2

Wiedzieliśmy, że paręset metrów za posterunkiem gliniarze planują blokadę drogi, bo podsłuchiwaliśmy ich rozmowy i telefony. Wobec tego zrobiliśmy to, czego się nie spodziewali. Bliźniaki Gold Dust wymienili swoich zakładników za naszych ludzi. Następnie

Frank prysnął w jedynym kierunku, którego nikt nie przewidział: prosto przez główną bramę - na teren bazy.

W skanerach policyjnych krótkofalówek najpierw dały się słyszeć jęki zawodu, po czym, gdy minęło początkowe zamieszanie, przed długą chwilę docierały do nas pełne entuzjazmu okrzyki radości. Najwyraźniej uznano, że Red Celi po królewsku spieprzyła sprawę - ponieważ uciekający samochód jechał prosto na teren obok hangarów, a gliniarze wiedzieli, że stamtąd nie ma ucieczki.

Pierwszy jechał Frank swoim wypożyczonym samochodem, a jego śladem podążały &zy jeepy pełne Rambo i Rambetek. Radosna kawalkada przejechała przez całą bazę. Frank pędził bocznymi drogami, prowadził slalomem pod prąd jednokierunkowymi uliczkami i od czasu do czasu nagle cofał, wypróbując nerwy ścigających. W pewnym momencie ostro skręcił i wyjechał na teren obok hangarów, po czym kontynuował wyścig uliczny na całej długości głównego pasa startowego. Kiedy w tumanie pyłu dojeżdżał na pełnym gazie pod tylną bramę z donośnym „Ju--huuu!", musiał mieć na liczniku grubo ponad 200 kilometrów na godzinę.

- Ejże - powiedział Cheeks - jak, do diabła, chcesz ich zgubić?
- Luz - odpowiedział Frank. - Voila.

Cheeks gapił się przez przednią szybę: kto to stoi przy bocznej bramie? Mista Poosta Roost ze swoim dziesięciobiegowym rowerem, łańcuchem z hartowanej stali, kłódką i kluczem.

Pooster uklonił się przejeżdżającemu przez bramę Frankowi, po czym ją zamknął i wszyscy moi chłopcy odjechali. Później oglądaliśmy wspaniały film, na którym Rambo i Rambetki próbują - oczywiście bezskutecznie - otworzyć kłódkę albo zerwać łańcuch. Zespół SWAT nie miał na wyposażeniu szczypców tnących, a nie zamierzał taranować bramy, bo zniszczyłby swoje jeepy, nie mówiąc o uszkodzeniu mienia państwowego. I tak oto znowu nadszedł dla nas czas na piwko.

457

część DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

W niedzielę zabawiliśmy się z miejscową policją w czarnego luda. Horseface, Doc Tremblay i Ho-Ho-Ho przeszli się po paru korytarzach zespołu budynków dla rodzin podoficerów położonego niecały kilometr od głównej bramy bazy. Na widok uzbrojonych w karabiny maszynowe trzech strasznych facetów w czarnych T-shirtach, jeansach i kominiarkach mamusie i tatusiowie naprawdę zaczęli wrzeszczeć ze strachu. Numer alarmowy 911 przyjął dziesiątki zgłoszeń o tym wypadku. W ten sposób związaliśmy ręce miejscowej policji, ekipie agentów FBI, którzy pojawili się na miejscu, policji Departamentu Obrony i dwóm jeepom Rambo i Rambetek Boba Lasera. Wyglądało na to, że przed osiedlem mieszkalnym odbywa się jakiś zjazd policji: ustawilo się tam kilkanaście samochodów z mrugającymi kolorowymi światłami, a przed nimi cztery rodzaje służb ochrony porządku publicznego długo i głośno spierały się, kto tu, u licha, dowodzi.

Oczywiście my ani trochę nie przejmowaliśmy się tym, co ustalą w tej sprawie. Wiedzieliśmy, kto tu dowodzi: my. I kiedy gliniarze się kłócili, my zdetonowaliśmy granaty dymne przy budynku kwatery głównej, przy elektrowni, obok cennego schowka na broń Gordyego Nakagawy i przy zbiorniku paliwa.

Pieprzcie się, gliniarze.

Eksplozje ściągnęły na miejsce miejscową straż pożarną. Spowodowały też blisko dziesięciokilometrowy korek na autostradzie Pacific Coast, która biegła po obrzeżach bazy. Dlaczego niezadowoleni urlopowicze i niedzielni kierowcy kłęli na policję? Ponieważ na polecenie ochrony bazy zamknięto ruch na autostradzie i zaczęto sprawdzać jeden po drugim wszystkie samochody w okolicy, czy nie przewożą terrorystów.

Tymczasem obiekty służby zdrowia w Point Mugu właśnie pękały w szwach. Szpitale w bazach wojskowych są zaprojektowane do udzielania pomocy w codziennych dolegliwościach: ich specjalizacje to ból ucha, krwotok z nosa i skręcenie kostki. A teraz okazało się, że muszą radzić sobie z dziesiątkami ofiar „wstrząsu pourazowego”, z rannymi „w stanie krytycznym” i „umierającymi”, więc lekarze zaczęli się skarżyć:

458

ROZDZIAŁ 2

- Zaraz, zaraz, na coś takiego się nie pisaliśmy.

Gordy Nakagawa obserwował ten chaos ze swojego biura z cierpkim uśmiechem.

- Problem - powiedziałem mu - polega na niewłaściwym zorganizowaniu rur kominowych.

-Co?

- Wyobraź sobie, że twoja baza to szereg wznoszących się równolegle w górę rur, kominów, które są opasane jednym ogrodzeniem. Komin ochrony podlega jednej organizacji - NSIC. Twój komin medyczny podlega innej: szpitalowi marynarki wojennej w Bethesda. Twój komin kadr podlega BUPERS-owi. Twoje skrzydło lotnictwa podlega lotnictwu marynarki wojennej. Wszystkie kominy stoją na terenie twojej bazy i ty za nie odpowiadasz, ale każdy z nich ma odrębne dowództwo. Jako terro[^]sta wykorzystują ten system przeciwko tobie. Robię wszystko, żeby każdy sektor twojej bazy działał przeciwko innym sektorom, i naprawdę aż miło popatrzeć na skutki. - Wskazałem przez okno na hałaśliwy zator.

Gordy przemyślał to, co powiedziałem.

- Ty przebiegły diable.

Do poniedziałkowego poranka przeprowadziliśmy bazę lotniczą marynarki Point Mugu przez stan chaosu aż do anarchii. Wysadziliśmy większość naszych celów, nie napotykając oporu. Policjanci byli tak zmęczeni, że zapominali otwierać drzwi. Straż pożarna chodziła na rzęsach. Lekarze czekali już tylko na pretekst, by urządzić strajk okupacyjny. Chłopcy z FBI

pozbierali swoje zabawki i pojechali do domu, bo nikt nie chciał grać uczciwie. Jedyne Straż Wybrzeża kursowała beztrąsko wzdłuż brzegu, nie przejmując się za bardzo tym wszystkim.

Gordy był zachwycony ćwiczeniami, ponieważ dzięki nim mógł się przekonać, gdzie znajdują się punkty, w których jest narażony na atak. Bob Laser był zadowolony, ponieważ dał szansę pójść na całość swoim Rambo i Rambetkom. Błędy, które popełnili, zostaną poprawione i następnym razem w podobnej sytuacji jego ludzie zachowają się znacznie lepiej. Ja byłem w wyśmienitym nastroju, ponieważ moi chłopcy ciężko

459

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

pracowali, grali ostro - i mieli niezły ubaw. Paru z nich poszczęściło się nawet jeszcze bardziej, czego nie mogłem powiedzieć o sobie.

Zbliżał się czas powrotu do domu. Ale pozostał jeszcze jeden tłściutki cel i nie sposób było mu się oprzeć: Air Force One, który miał zaplanowany wylot mniej więcej w południe. Pokusa była zbyt silna. Frank i Cheeks ubrani w kombinezony mechaników wskoczyli do ciężarówki, która przez cały weekend stała zaparkowana przy kwaterach oficerskich, i pojechali w odległy narożnik lotniska, gdzie odbywało się tankowanie i przeglądy techniczne prezydenckiego boeinga 707. Chłopcy wyskoczyli z samochodu i uruchomili zapalniki przy ładunkach umocowanych do palety pełnej ponaddwustukilogramowych bomb. Dla pewności Cheeks umieścił w ciężarówce jeszcze jeden ładunek: podłożył minę pułapkę pod siedzeniem kierowcy.

Kiedy Frank i Cheeks uporali się z tym zadaniem, wrócili spacerkiem do kwater oficerskich i przebrali się w pokoju Trailera. Wtedy we trzech zapakowali sprzęt do wozu i przygotowali wszystko do wyjazdu. Potem weszli na dach budynku kwater oficerskich, żeby móc obserwować efekty swojego dzieła.

W pożegnalnym geście przyjaźni podłożyliśmy też ładunki wybuchowe w furgonetce reagowania kryzysowego należącej do zespołu SWAT. Kiedy Minkster zagroził przez telefon Bobowi Laserowi atakiem na Air Force One, prawie wszyscy jego Rambo i Rambetki rzucili się do furgonetki, która „ekspłodowała” w chmurze dymu. Jurorzy orzekli dziesięć ofiar śmiertelnych i dziesięciu rannych. Pieprzcie się, Rambo i Rambetki.

Kiedy ocalali członkowie SWAT odkryli wreszcie naszą ciężarówkę (ponad godzinę zajęło im dotarcie na teren przyległy do Air Force One), zbliżali się do niej bardzo ostrożnie. Na ujęciach kręconych przez teleobiektyw widać było ich pełne lęku spojrzenia. Chcieli to zrobić zgodnie z wszelkimi przepisami.

Zamknęli dostęp do całego terenu wokół samolotu. Wezwali EOD, zespół saperów. Kiedy specjaliści dotarli na miejsce, przez piętnaście minut trwały narady. Potem bardzo ostrożnie, przewód po przewodzie,

460

ROZDZIAŁ 2

rozbrojono ładunki znajdujące się z tyłu samochodu. Kiedy bomby zostały szczęśliwie unieszkodliwione, jeden z Rambo wskoczył do szoferki, żeby odprowadzić ciężarówkę.

Buuum! Wybuchła nasza mina pułapka z granatu dymnego, powodując detonację całej palety pełnej ponaddwustukilogramowych bomb. To było spełnienie marzeń frogmana: kolorowa rozkładówka z podręcznika wysadzania - w realu. Trailer połączył się ze mną przez radio i powiedział, że widok z dachu kwater oficerskich był niesamowity.

- Szefie, zabrakło tylko napisu: „Koniec. Producent wykonawczy Dick Marcinko. Scenariusz Red Celi”.

Ryknąłem ze śmiechu.

- Poczekaj, aż obejrzą pieprzony sequel!

;

Wkrótce po naszym powrocie z Point Mugu klimat zaczął się gwałtownie zmieniać: z ciepłego i miłego stał się mroźny i oziębły. Na przyjęciu pożegnalnym Acea Lyonsa spotkałem jego następcę, mojego nowego szefa w wydziale OP-O6, wymizerowanego łysiejącego wiceadmirała o nazwisku Donald Jones. Trochę go znałem: kiedy pracował w Kolegium Połączonych Szefów Sztabów, pomógł mi przenieść pewnego jednookiego oficera operacyjnego z Coronado do SEAL Team Six. Jones był integralną częścią mafii z Coronado, obejmującej oficerów, którzy mnie lubili (takich jak Bob Stanton, komandor, który nauczył mnie pisać notatki służbowe, kiedy zaczynałem swój pierwszy okres pracy w sztabie w COMPHIBTRALAN-cie), oraz tych, którzy mnie nie lubili (takich jak Cathal „Irish” Flynn, sukinsyn podłego charakteru, który był komodorem SEALsów na Zachodnim Wybrzeżu, kiedy tworzyłem Team Six). Jones był też zaprzyjaźniony z następcą Flynn, Ch-Ch-Ch-Chuckiem LeMoyneem, który odczuwał do mnie jeszcze mniejszą sympatię niż Irish.

Wystarczająco złą wiadomością było to, że Irisha zamierzano mianować szefem NSIC: zdaniem Acea był to człowiek zbyt sztywny i małostkowy, by można mu było powierzać takie obowiązki. A do tego

461

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

jeszcze wydział OP-O6 powierzono całkiem sympatycznemu, ale też absolutnie pozbawionemu jakiegokolwiek dynamizmu admirałowi, lotnikowi wyszkolonemu w zwalczaniu okrętów podwodnych. Jego pełen godności charakter był zupełnym przeciwieństwem tego, czego wymagała od niego praca na tym nowym stanowisku. Racją bytu Ace'a było prowokowanie innych do działania, sianie fermentu. Jones miał mniejszą skłonność do rozrabiania.

Przyjęcie Lyonsa odbywało się w klubie oficerskim w Fort Myer. Przygotowaliśmy parę prezentów - od Red Celi Ace dostał na odchod-ne butelkę wódki z miną pułapką. Zaprezentowano tę pamiątkę z wielką pompą. Po podarunkach i przemówieniach przyszedł czas na rytualne wzajemne poklepywanie się po plecach i przystawki.

Zostałem ponownie przedstawiony wiceadmirałowi Jonesowi. Wyciągnął do mnie dłoń. Jego uścisk przypominał zdechłą rybę. Witając się ze mną, powiedział:

- Dziwię się, że jeszcze nie trafiłeś do więzienia.

Gdybym był spostrzegawczy, zdałbym sobie sprawę, że bycie podwładnym tego gościa nie będzie należało do przyjemności.

Tymczasem jednak rzuciłem mu jakąś przemądrzałą ripostę i wróciłem do swojego bombaya.

To była pierwsza zmarnowana przeze mnie piłka. Zostały jeszcze dwie.

Jakiś miesiąc później zdążyłem całkiem zapomnieć o tym, jak powitał mnie wiceadmirał Jones.

- Kto ma ochotę na wakacje w Europie?

Duke od razu podniósł rękę. Zaraz za nim Baby Rich i Hartman.

- Tym gorzej dla was, frajerzy. Mam już listę. Bliźniaki Gold Dust i Ho-Ho-Ho. To będzie krótka wycieczka, więc nie bierzemy dużo bagażu.

Polecieliśmy transportem wojskowym. Najpierw podskoczyliśmy do Londynu, gdzie przesiedliśmy się do małego dwusilnikowego odrzutowca, którym polecieliśmy z międzylądowaniem w bazie lotniczej

462

ROZDZIAŁ 2

Sigonella, by wreszcie dotrzeć do Neapolu. Podczas tego lotu zaprzyjaźniłem się z kolejnym kontradmirałem. Wydawało mu się, że cały samolot należy do niego. Kiedy zobaczył Larry ego, Franka, Ho-Ho-Ho i mnie - ubranych w jeansy, z długimi włosami i wąsami Fu Manchu, a w dodatku żaden z nas ani razu nie powiedział: „Tak jest” - wściekł się.

Jego adiutant zapytał, jak to mają w zwyczaju adiutanci, kim jesteście.

- Wykonuję zadanie na zlecenie CNO - powiedziałem. - Do widzenia.

Po minucie wrócił.

- Gdzie macie upoważnienie?

Pokazałem mu środkowy palec.

- Tu. Ciao.

Po minuci^wrócił ponownie. Admirał chciał zobaczyć nasze dokumenty.

- Jeśli admirał chce zobaczyć moje pieprzone dokumenty, to ja bardzo, k***a, chętnie podejść i mu je pokażę. Ale co do moich ludzi, to nie jego interes, jak mają na nazwisko.

Podaliśmy adiutantowi nazwisko i adres wiceadmirała Jonesa.

- Proszę tam kierować wszelkie zapytania. A teraz niech pan będzie dobrym chłopcem i stąd spieprza.

Konradmirał nie zadawał już więcej pytań. Ale Jones dostał od niego list. W odróżnieniu od Acea nie archiwizował skarg w koszu do śmieci. Wręcz je pielęgnował.

Kiedy powiedziałem swoim ludziom, że jedziemy do Neapolu, mogło to zabrzmieć jak kaprys. Jednak powody naszego wyjazdu nie były bynajmniej błahe. We Włoszech istniało poważne zagrożenie terrorystyczne. W 1981 roku w Weronie Czerwone Brygady porwały generała brygady Jamesa Doziera. Był przetrzymywany przez czterdzieści dwa-dni, zanim uwolnił go włoski oddział antyterrorystyczny. W roku 1984 terroryści zamordowali Leamona Hunta, amerykańskiego dyrektora generalnego Międzynarodowych Sił Obserwacyjnych nadzorujących realizację porozumienia pokojowego zawartego między Izraelem

463

CZĘŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

a Egiptem. Te i inne akty terrorystyczne wywołały poważne zaniepokojenie Acea Lyonsa związane z możliwością narażenia trzygwiazdkowo-wego admirała amerykańskiej marynarki w Neapolu (będę go nazywał Mott) na podobne ataki.

Chociaż Ace został CINCPACFLT-em i nie nadzorował już Red Celi, chciał, żebyśmy pojechali do Neapolu, a ja się zgodziłem. Kiedy zjawiliśmy się na miejscu, przekonałem się, że Neapol jest tak samo ruchliwym miastem, jak był za czasów, z których go zapamiętałem. Pomyślałem, że można by odwiedzić parę ulubionych miejsc, gdzie bawiłem się podczas swojego rocznego pobytu, będąc podwładnym Big FUC, albo jeden z barów, do których Ev Barrett zabierał 2. pluton UDT-22. Ale mieliśmy tylko pięć dni, więc od razu wzięliśmy się do roboty.

Wypożyczyliśmy dwa samochody i motocykl, po czym pojechaliśmy pod dom admirała, żeby przeprowadzić obserwację. Objechaliśmy prowadzące do jego posiadłości ulice, omijając po drodze neapolitańskie taksówki, samochody, autobusy i rowery. Parę razy okrążyliśmy dom, żeby zorientować się w jego rozkładzie. W końcu zadzwoniliśmy do drzwi.

Otworzyła nam pani Mott. Była to atrakcyjna, pewna siebie, uśmiechnięta i przystępna kobieta przed czterdziestką. Przedstawiłem siebie, Larryego, Franka i Ho-Ho-Ho, po czym wyjaśniłem, kim jesteśmy i po co tu jesteśmy. Najwyraźniej poczuła ulgę.

- Mówiłam admirałowi, że jesteśmy narażeni na niebezpieczeństwo - powiedziała. - Po tych wszystkich działaniach Czerwonej Brygady i mafijnych porwaniach zaczęłam się trochę bać. A teraz, kiedy porwali ten statek, Achille Lauro, kto wie, co się może jeszcze zdarzyć. Ale ludzie z NSIC mówią, że jesteśmy tu bezpieczni. Mamy wysoki mur dookoła domu, dwa ogromne psy stróżujące, a wszędzie wozi nas uzbrojony kierowca.

- Wydaje się, że to dobry początek. Zobaczmy, co możemy zrobić, żeby państwu pomóc.

Po schodach zszedł admirał i przywitał nas serdecznie.

- Pokażę wam teren - powiedział.

464

ROZDZIAŁ 2

Wyprowadził nas na zewnątrz.

- Mamy dobre położenie, bo jesteśmy na szczycie wzgórza - powiedział. - I stanowimy część kompleksu: wszędzie wokół mieszkają marynarze, więc gdyby coś się działo, łatwo byłoby wezwać pomoc.

- Być może - powiedziałem.

- Co to znaczy?

Podszedłem do szarej skrzynki wiszącej na ścianie i otworzyłem ją. Był tam wyłącznik prądu. Wyłączyłem go. Z domu dobiegło do nas jęknięcie pani admirałowej:

- Co się stało ze światłem?

Włączyłem prąd z powrotem.

- To tyle na temat elektryczności.

- Ci z NSIC tego nie zauważyli - powiedział admirał.

- Scenariusz numer jeden: odcinają panu prąd. Wychodzi pan z domu, żeby to naprawić. Łapią pana, wrzucają do bagażnika, za pięć minut są na autostradzie i - ta-daa - mamy powtórkę historii generała Doziera.

Admirałowi mina coraz bardziej rzedła.

Ho-Ho-Ho podważył łomem pokrywę studzienki znajdującej się dokładnie na wprost frontowej bramy admirała Motta. Chwyciwszy krawędź żeliwnego dysku, mój człowiek podniósł go, jakby był zrobiony z papier-mache.

Larry i Frank zaświecili latarkami w ciemny otwór.

- Scenariusz numer dwa: dziesięć kilogramów plastiku jako niespodzianka dla pana podczas wyjazdu przez bramę.

Admirałowi mina zrzęda jeszcze bardziej.

- Poza tym tam na dole są rury doprowadzające wodę do pańskiego domu. Łatwo można przy nich coś zmajstrować. Może mały strzał bakterii dodany do bieżącej wody?

- Cholera - powiedział admirał. - O tym też ludzie z NSIC mi nigdy nie mówili.

- Frank - powiedziałem - pokaż panu admirałowi, jak łatwo można się do niego wprosić.

465

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

Frank bez trudu wspiął się po murze, paroma susami przemierzył frontowy trawnik, wdrapał się po winorośli i w ciągu pół minuty przedostał się przez okno do sypialni admirała. Pomachał nam z góry.

- Ale NSIC zabezpieczyło mur tłuczonym szkłem, żeby nie dało się przez niego przejść.

- No to chyba w paru miejscach zapomnieli je dodać.

- No dobrze, ale jeśli ktoś przejdzie przez mur, to zatrzymają go psy.

- Larry...

Larry wyciągnął z torby na ramię pistolet kalibru 9 mm z tłumikiem.

- Pociski z wgłębieniem na czubku, poddźwiękowe - powiedział rzeczowym tonem. - Śmiertelnie niebezpieczne dla psów.

Czoło admirała Motta pokryło się zmarszczkami.

- Co by pan sugerował, komandorze?

- Sporządzę dla pana długą listę sugestii, sir, kiedy przeprowadzimy pełną ocenę, za pięć dni. Ale możemy już teraz postawić wszystkich w stan najwyższej gotowości i niech NSIC zrobi wszystko, co potrafi, by zabezpieczyć pański dom. A my tymczasem spróbujemy wziąć pana jako zakładnika. Dzięki temu sprawdzimy część pozostałych procedur w zakresie ochrony, jakie ma tu NSIC.

Admirał uściśnął mi dłoń.

- Świetnie, komandorze. Będę niecierpliwie czekał na pański raport. Mam nadzieję, że zobaczę się jeszcze z panem i pańskimi ludźmi, zanim wyjedziecie.

- Może pan na to liczyć, sir - powiedziałem ze znaczącym uśmiechem.

Zarówno baza NATO, jak i neapolitańskie obiekty marynarki znajdowały się już w stanie najwyższej gotowości z powodu incydentu związanego z Achille Lauro, który zbiegł się w czasie z naszym pobytem w Neapolu. Ale i tak to, co zaprezentowały służby odpowiedzialne za bezpieczeństwo admirała, to była farsa, nie ochrona. Porwaliśmy Motta od razu pierwszej nocy. Admirał wygłosił wieczorem doskonale przyjęte przemówienie w klubie oficerskim sił sprzymierzonych w bazie NATO. Wydarzenie to było nawet relacjonowane w telewizji. Żona

466

ROZDZIAŁ 2

admirała patrzyła na niego z dumą. Śledziliśmy go tak niezręcznie, że nawet Egipcjanie zorientowaliby się, że coś jest nie w porządku. Ludzie z NSIC nie zauważyli niczego. Robiliśmy zdjęcia, rozpytywaliśmy, narzucaliśmy się. Nic. Krzty zainteresowania.

Uzbrojony i niebezpieczny kierowca admirała Motta też nas nie zauważył. Do klubu oficerskiego dostaliśmy się bez potrzeby sięgania po dokumenty - wystarczyło, że byliśmy nieustępliwi i zachowywaliśmy się tak, jakbyśmy przyszli do siebie. Wartownicy wpuścili nas do środka.

Kiedy Mott wyjechał z bazy, ruszyliśmy za jego samochodem, a kiedy tylko wjechał między wzgórza, zepchnęliśmy go z drogi, zmuszając do zatrzymania się.

Larry i Frank wyskoczyli w kominiarkach na twarzach i z bronią w ręku. Obezwładnili uzbrojonego kierowcę, wyciągnęli admirała przez drzwi, skrupowali mu ręce i zawiązali oczy, po czym bezceremonialnie wrzucili go do bagażnika swojego samochodu. Pani Mott wpadła w kompletny szal. Nie takiej rozrywki się spodziewała.

Ho-Ho-Ho pomachał do niej uprzejmie, kiedy odjeżdżaliśmy z piskiem opon.

- Ciao, pani Mott - zawołał.

Odwieźli admirała do domu - dotarł tam jeszcze przed żoną - i wyrzucili pod bramą. Larry powiedział mi, że Mott był roztrzęsiony, ale dzielnie się uśmiechał i mamrotał straszne przekleństwa pod adresem NSIC, idąc chwiejnym krokiem przez frontową bramę.

Tej nocy Larry i Frank obserwowali Casa Mott ukryci w gałęziach drzew już w obrębie otoczonego wysokim murem terenu posiadłości. Larry zeskoczył nawet na frontowe podwórko i zaprzyjaźnił się z dwoma potężnymi psami obronnymi rasy bullmastiff. Przywiązał im do szyi liściki na dowód, że się z nimi bawił.

Następnie dokładnie o 7.30 podjechał samochód admirała, żeby zawieźć go do biura. Kierowca zatrąbił. Admirał Mott wyszedł przednimi drzwiami i podszedł do bramy.

Larry zeskoczył z drzewa.

- Bon giorno, Ammiraglio.

467

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

- O nie, znowu?
- Si, Ammiraglio, ripetutamente.

Larry przytknął admirałowi pistolet do żeber i poszli razem w stronę samochodu. Kierowca i gość z NSIC siedzieli z przodu. Larry zachowywał się uprzejmie. Gawędził z admirałem. Nikt nie dostrzegł, że coś jest nie tak.

Całą ekipą pojechali do bazy marynarki, przejechali przez bramę, minęli marines i dojechali windą do centrum dowodzenia.

- Teraz otworzymy pański sejf i zobaczę sobie wszystkie kody operacyjne - zasugerował Larry.
- A co by pan powiedział, gdybym zamiast tego podał panu filiżankę wyśmienitego espresso?

Larry pokręcił głową.

- Nic z tego, sir. Ale może ma pan mewę?

Jeszcze tego samego dnia Frank i Larry „zabili” oficerów. Personel marynarki nieustannie otrzymywał ostrzeżenia, jak tragiczne skutki może mieć noszenie mundurów w drodze do pracy i używanie natowskich tablic rejestracyjnych na samochodach. Ale mundury były tańsze niż cywilne ubrania, a tablice z literami NATO ułatwiały parkowanie.

Wobec tego Larry i Frank dosiedli skuterów i czekali pod bramą bazy marynarki. Następnie wybierali samochody z natowskimi tablicami albo takie, które prowadzili mężczyźni noszący jasnobrązowe kurtki mundurowe - z insygniami stopni i wszystkimi naszywkami - na cywilnych koszulkach, i jechali za nimi. Na skrzyżowaniu podjeżdżali do takiego samochodu i przyklejali papierowe naklejki do okna po stronie kierowcy. Po czym z wyciem silnika znikali w ulicznym ruchu. Naklejki miały dziury po kulach i napis: „Jest pan martwym dupkiem z US Navy, sir. Uściski i ucałowania, Czerwone Brygady”.

Strasznie trudno było je później odkleić.

Spędziliśmy w Neapolu pięć owocnych dni. Ależ poruszenie zapanowało wśród admirałów! Do czasu, kiedy wylecieliśmy z Neapolu

468

ROZDZIAŁ 2

do Londynu, a potem do kraju, admirał Mott skopał dupy na wylot swoim ludziom odpowiadającym za jego ochronę i rozpoczął ostrzał rakietowy kwatery głównej NSIC ogniem zaporowym, grzmiąc na temat idiotów, których przysłano podobno po to, by zapewnić mu bezpieczeństwo. Wprawdzie admirał był zadowolony z naszej pracy, ale oficer

zawiadujący tymi „idiotami” w NSIC był naszymi osiągnięciami zdecydowanie mniej zachwycony. A tak się jakoś złożyło, że tym oficerem nadzorującym był nikt inny jak tylko Irish Flynn - stary dobry kumpel naszego nowego szefa admirała Jonesa.

Zmarnowałem drugą piłkę.

Moja kariera zgasła w dniu, w którym Ace odleciał na Hawaje, ale ja o tym nie wiedziałem. Inni wiedzieli, ale nie ja. Zamroczony poczuciem własnej nieśmiertelności, dalej grałem w swoją odmianę baseballu. Moje małżeństwo się rozpadło, a Red Celi była moim życiem, moim istnieniem, moją racją bytu. Poza tym miałem wszystko. Nosilem cztery belki. Zebrałem ludzi, którzy w moim przekonaniu stanowili najlepszy zespół niekonwencjonalnych wojowników na świecie. Działaliśmy tam, gdzie chciałem, i tak, jak chciałem. Robiliśmy to, co chciałem robić. Po raz pierwszy w karierze nikt nie ciągnął mnie za smycz, nikt nie nakładał mi kagańca ani mnie nie pętał.

I wtedy Ace odszedł na stanowisko CINCPACFLT-a - i runęła gruba ochronna ściana zabezpieczająca moje tyły i flanki.

Phil Dur, dawny zastępca Ace'a, próbował mi o tym powiedzieć, ale nie chciałem go słuchać. Nim upłynął tydzień od mojego powrotu z Neapolu, wpadłem na Phila, krążąc w poszukiwaniu czegoś po korytarzach sąsiadujących z OP-O6. Nie widzieliśmy się od jakiegoś czasu -przynajmniej od czasu wyjazdu Acea do Pearl Harbor.

Lubiłem Phila. Był to wielki chłop z gębą jak księżyc w pełni. Poza tym był pracowitym i oddanym podwładnym Acea. Poklepał mnie po ramieniu i zapytał, co słycać. Podsumowałem mu w dwie minuty naszą operację w Neapolu, przez co nabawił się kolki. Kiedy opowiadałem,

469

część DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

jak porwaliśmy admirała Motta dwa razy w ciągu dwunastu godzin, zarykiwał się ze śmiechu.

Potem wziął mnie na bok.

- Dick, wyświadczyć sobie przysługę.

-Wal.

- Zwiń się stąd.

- Co...

Pokazał kciukiem za siebie na drzwi prowadzące do OP-O6.

- Oni cię już tu nie chcą. Przynosisz im wstyd i zmartwienia. Admirałowie piszą skargi, a ten nowy koleś traktuje je poważnie. Ace umiał ochronić ci dupę. Teraz to się skończy.

- Jestem dużym chłopcem, Phil.

- Dorwą cię. Już zaczynają się przymierzać do jakiegoś dochodzenia, zapoczątkowanego przez twoich dawnych „kumpli” z Zachodniego Wybrzeża.
- To same gówna. Poza tym nie mam nic do ukrycia. Wytrzymam. Mogą walić we mnie, czym chcą.

Przyparł mnie do ściany.

- Możesz być najsilniejszy w całym tym pieprzonym miasteczku, ale to niczego nie zmienia. Uwierz mi, Dick, oni cię udupią.
- Bzdura.
- Długo musiałeś pracować na swoje cztery belki. Chcesz je nadal nosić? To, do cholery, zwiń się stąd.

Ale je wiedziałem swoje.

- Pieprzyć ich wszystkich - powiedziałem. - Zostaję.

To była trzecia piłka.

Rozdział 23

;

Powinienem być posłuchać rady Phila Dura. Bo podczas gdy Red Celi w błogiej nieświadomości dokazywała na całym świecie, ludzie z NSIC pod wodzą Irisha Flynna przygotowywali ukradkiem własny partyzancki atak - na mnie i na SEAL Team Six.

W NSIC nadano tej operacji kryptonim „Iron Eagle” („Żelazny Orzeł”). Fakt prowadzenia śledztwa wyszedł na jaw, kiedy jednemu z tych, którzy „wodowali” SEAL Team Six, Johnowi B. Masonowi, postawiono trzydzieści siedem zarzutów dotyczących przedstawiania sfałszowanych rozliczeń kosztów podróży i składania fałszywych zeznań. (We wrześniu 1987 roku Mason przyznał się w końcu do winy w odniesieniu do czterech zarzutów dotyczących lat 1983 i 1984: fałszowania dowodów wpłaty i kradzieży sprzętu do nurkowania z akwalungiem o wartości 3800 dolarów). Oprócz tego sąd wojskowy skazał dwóch podoficerów, którzy zostali przyjęci do SEAL Team Six już po moim odejściu, za przedstawianie sfałszowanych rozliczeń i dowodów wpłaty.

Bob Gormly, który był dowódcą Teamu Six w czasie, kiedy ci dwaj skazani przez sąd wojskowy marynarze popełniali swoje przestępstwa, otrzymał awans. A śledztwo NSIC wymierzono przeciwko mnie.

471

CZĘŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

Ostatecznie operacja „Iron Eagle” stała się polowaniem na czarownice, które pochłonęło 1 200 000 roboczogodzin pracowanych przez NSIC. Według rządowej izby kontroli GAO

(General Accounting Office) jedna roboczogodzina kosztuje marynarkę mniej więcej 50 dolarów. Wobec tego marynarka wydała jakieś 60 milionów na przeprowadzenie śledztwa w mojej sprawie - i nic nie osiągnęła.

No dobrze, nie całkiem nic.

Jeśli zamiarem NSIC było zniszczenie mojej kariery, to operacja zakończyła się pełnym powodzeniem.

Pieprz się, Sharkman.

3 kwietnia 1986 roku zostałem zwolniony z Red Celi ze skutkiem natychmiastowym. Nowym OP-O6B (w żargonie US Navy to skrót będący odpowiednikiem tytułu brzmiącego w pełnej wersji: Director, Politico-Military Policy and Current Plans Division, Office of the De-puty Chief of Naval Operations for Plans, Policy and Operations - dyrektor wydziału strategii polityczno-wojskowej i planowania bieżącego Biura Zastępcy Szefa Operacji Morskich do spraw Planowania, Strategii i Operacji) był kontradmirał Roger Bacon. Otrzymałem od niego rozkaz: „Zameldować się w dniu dzisiejszym do godziny 16.00 u dowódcy okręgu marynarki w Waszyngtonie w związku z toczącym się w pańskiej sprawie śledztwem”. Zgodnie z poleceniem zameldowałem się w stoczni marynarki wojennej w Waszyngtonie. Tamtejszy oficer sztabowy „powitał” mnie na pokładzie, po czym szorstko odprawił „do odwołania”. Kolejne sześć miesięcy spędziłem, przesiadując w swojej kawalerce na starym mieście w oczekiwaniu na to „odwołanie”. Nie był to czas całkiem stracony: nadrobiłem zaległości w czytaniu. Wróciłem też do zwyczaju polerowania wierzchów i spodów butów. Jak ktoś jest świrem, to już na zawsze.

22 maja 1987 roku, w ciągu zaledwie dwudziestu jeden dni urzędowania, nowo mianowanemu sekretarzowi marynarki Jamesowi Web-bowi udało się jakimś cudem znaleźć czas na przeczytanie całych moich akt, po czym usunął mnie administracyjnie z listy oczekujących na awans do stopnia komandora. Radcą prawnym Webba był komandor

472

ROZDZIAŁ 2

0 nazwisku Rudy - ten sam Rudy, który wypowiadał się przeciwko mojemu awansowi, kiedy jeszcze jako komandor porucznik był dwa i pół roku wcześniej radcą prawnym zastępcy CNO Rona Haysa.

20 lipca 1987 roku zostałem poddany siedemnastogodzinnemu przesłuchaniu przez NSIC. Protokół z niego został natychmiast utajniony i odmówiono mi do niego dostępu. Nie był to jedyny dokument, którego nie pozwolono mi zobaczyć. NSIC ostatecznie wydobyciło od SEAL Team Six sześćdziesiąt cztery pudła akt z tajnymi materiałami. Segregatory wypełnione tysiącami paragonów, dowodów wpłaty, zapisków, notatek i pamiątek zajęły trzy sejfy. Nie pozwolono mi zobaczyć ani jednego z tych dokumentów. Tajność nie przeszkodziła jednak źródłom związanym z NSIC rozpuszczać w środowisku działań specjalnych opowieści na temat piętrzących się przeciwko mnie „dowodów”.

NSIC za bił o mi pistolet, który otrzymałem całe miesiące po odejściu ze stanowiska dowódcy Teamu Six od moich dawnych kolegów z teamu, jak również jedną z dwóch srebrnych klamer do paska, którą zamówili według własnego projektu dla mnie i dla Paula. Mimo że wszyscy przesłuchiwanymi przez NSIC mężczyźni zeznali pod przysięgą, że złożyli się po 20 dolarów na te prezenty i że nie zostały one zakupione z funduszy państwowych, NSIC nie zwróciło mi pistoletu ani klamry. Skonfiskowano również klamrę Paula, chociaż żaden z nas nie doszedł nigdy, z jakiego powodu.

We wrześniu 1988 roku sekretarz marynarki James Webb zmusił Acea Lyonsa do odejścia na emeryturę. Poprzednik Webba John Lehman nazwał zwolnienie Acea ze stanowiska CINCPACFLT-a „zemstą frajerów”.

Odszedłem z marynarki na emeryturę w stopniu komandora porucznika 1 lutego 1989 roku, po trzydziestu latach, trzech miesiącach

1 siedemnastu dniach czynnej służby. Mimo że przez ponad dwa lata prowadzono przeciwko mnie śledztwo, NSIC nigdy nie zarzuciło mi żadnych nieprawidłowości.

W lipcu 1989 roku zostałem „zaproszony” do wzięcia udziału w rozprawie wielkiej ławy przysięgłych w związku z rzekomym zawyżeniem kosztu specjalistycznych granatów (wykorzystywanych przez SEAL

473

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

Team Six, Deltę i inne elitarne jednostki) na korzyść pewnej firmy z Arizony, z którą miał finansowe powiązania były SEALs John Mason. Mason znajdował się wówczas pod pięcioletnim nadzorem kuratorskim zasądzonym po przyznaniu się przez niego we wrześniu 1987 roku do fałszowania rozliczeń kosztów podróży i kradzieży sprzętu do nurkowania z akwalungiem o wartości 3800 dolarów w latach 1983 i 1984, kiedy służył w SEAL Team Six. Mason dostał karę dozoru zamiast więzienia, pod warunkiem że będzie współpracował w innych śledztwach - zwłaszcza w śledztwie przeciwko mnie. Po tej rozprawie prokurator stanowy z Alexandrii w Wirginii postanowił postawić mi zarzut współudziału.

We wrześniu 1989 roku Bob Gormly (służyliśmy razem podczas mojego pierwszego pobytu w Wietnamie w 1967 roku, kiedy on był kapitanem, a ja podporucznikiem; potem, w roku 1974, kiedy obaj byliśmy komandorami podporucznikami, zastąpiłem go na stanowisku dowódcy SEAL Team Two; w roku 1983 on był komandorem, a ja komandorem porucznikiem i on zastąpił mnie wtedy na stanowisku dowódcy SEAL Team Six; w 1989 roku nadal jako komandor Bob był szefem wydziału planowania i strategii działań specjalnych marynarki) poinstruował mnie, co mogę, a czego nie mogę mówić na temat swojej kariery w marynarce. Wiele moich jawnych dotychczas ocen służbowych zostało teraz arbitralnie utajnionych przez marynarkę. Wyjaśnienie, czym zajmowałem się jako pracownik OP-06 i jako dowódca SEAL Team Six, miało decydujące znaczenie dla mojej obrony. Ale marynarka postanowiła, że nie mogę opisywać większej części swojej działalności z lat 1977-1985.

Kiedy marynarka nałożyła mi kaganiec, moja sprawa trafiła na wokandę. W listopadzie 1989 roku byłem sądzony w sprawie trzech zarzutów o współudział. Uznany już wówczas za przestępcę John Mason, któremu bardzo zależało na ugodzie z władzami, był głównym świadkiem oskarżenia zeznającym przeciwko mnie. Z jednego zarzutu mnie uniewinniono, a co do pozostałych ława przysięgłych nie była w stanie podjąć decyzji.

474

ROZDZIAŁ 2

Drugi proces odbył się w dniach 16-24 stycznia 1990 roku. Zostałem uniewinniony z jednego z dwóch pozostałych jeszcze zarzutów i uznany za winnego ostatniego zarzucanego mi czynu - współudziału - ale wcześniej na ławę, która znowu nie była w stanie podjąć decyzji, wpłynął sędzia, przekazując jej nowe i dokładne instrukcje, co doprowadziło do mojego skazania.

9 marca 1990 roku usłyszałem wyrok dwudziestu jeden miesięcy pozbawienia wolności; zasądzono także zapłatę grzywny w wysokości 10 000 dolarów.

Rankiem 16 kwietnia 1990 roku, w poniedziałek wielkanocny, stawilem się w więzieniu federalnym w Petersburgu w stanie Wirginia. Była to najtrudniejsza rzecz, jaką musiałem zrobić w całym swoim życiu. Nie dlatego, że bałem się więzienia - Bóg mi świadkiem, że potrafię o siebie za dbać, a niech ma on też w opiece tego, kto próbowałby mnie skrzywdzić - ale ze względu na świadomość, że dałem się wsadzić do paki. Byłem wściekły na system za to, co mi zrobił, i na siebie - że nie potrafiłem doprowadzić do tego, by sprawy przybrały lepszy obrót.

Nawiasem mówiąc, nie zgłosiłem się tam sam: razem ze mną wybrał się mój stary druh pan Murphy. Ponieważ był to poniedziałek wielkanocny i sporo ludzi wzięło wolne, nie wysłano mnie od razu do właściwego zakładu karnego, tylko przetrzymano przez półtora dnia w położonym po drugiej stronie ulicy więzieniu o zaostrzonym rygorze, do momentu gdy mogłem zostać przyjęty. Ponieważ nie przeszedłem wszystkich formalności, podano mi posiłek, ale bez sztućców. Jedzenie w ten sposób makaronu mi nie przeszkadzało (w końcu w okresie, kiedy byłem Świrem, wciągałem makaron przez nos), ale owsianka stanowiła dość niezwykle wyzwanie.

Kiedy już trafiłem na drugą stronę ulicy, do zakładu z czteropiętrową częścią mieszkalną, położoną na zewnątrz siłownią i kilometrową bieżnią, sytuacja się poprawiła. Bywałem w gorszych miejscach. Żarcie jest tu podobnej jakości co w klubie oficerskim w Little Creek. Pozostali osadzeni - mieszanka oszustów podatkowych, dealerów narkotykowych i konfidentów, z których większość nie ma pojęcia, kim jestem

475

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

i co zrobiłem - przypominają mi niektórych ludzi z Pentagonu. Nikt mi nie dokucza (strażnicy też nie) i na ogół zostaję sam.

Życie w więzieniu jest całkiem znośne. W kablówce jest CNN, a także HBO. Odkąd tu trafiłem, przeczytałem już ponad sześćdziesiąt książek. Dwa, trzy razy dziennie robię trening. Waga spadła mi ze 107 do 88 kilogramów, w pasie schudłem z 91 do 79 centymetrów. Wyciskam 230 kilogramów na ławce i robię 190 powtórzeń na ławeczce do brzuszaków. Za więzienną pracę dostaję oszałamiającą kwotę 66 centów za godzinę: są to prace wykonywane w ogrodzie, w parku i przy konserwacji urzędów w fabryce UNICOR - rządowej agencji przemysłu więziennego obejmującej zakłady produkujące wszystko, poczynając od kabli elektrycznych dla wojska po biurka dla urzędów państwowych. Połowa moich zarobków idzie na spłacanie grzywny. Pisząc te słowa, siedzę w położonym na drugim piętrze pokoju, który dzielę z członkiem gangu motocyklowego i dealerem o imieniu Jesse.

W ciągu tych miesięcy miałem też mnóstwo czasu na myślenie o przeszłości - oraz o przyszłości. Jednym ze sprawiających największą przyjemność elementów mojego uwięzienia stała się poczta. Dostaję mnóstwo listów od SEALsów i frogmenów, z którymi służyłem. Ev Barrett, który jest teraz na emeryturze i mieszka na Florydzie, nagryzmołił do mnie parę liścików, w których zalecał mi, żebym wytarł sobie ***** nQS) j zapewni że o mnie myśli. Patches Wat-son przysłała mi stale biuletyny z muzeum UDT i SEALs w Fort Pierce na Florydzie, gdzie jest teraz zastępcą kustosza. Nawet Paul Henley, który nienawidzi pisać czegokolwiek, dał radę wysłać do mnie parę listów. Napisały do mnie dziesiątki SEALsów, których wybrałem do Teamu Six - część z nich nadal jest w jednostce, inni odeszli na emeryturę albo dostali inne przydziały - podtrzymując mnie na duchu, przekazując trochę plotek albo przypominając mi, że myślą o mnie zawsze przy browarze. Poczta od chłopaków z Teamu Six jest tym ważniejsza, że część z nich ostrzegano, by się ze mną nie kontaktowali, bo może ich to kosztować utratę certyfikatu bezpieczeństwa albo pracy w teamie - a oni i tak pisali.

476

ROZDZIAŁ 2

Kiedy tu siedzę w mamrze, łatwo mógłbym zamknąć się w sobie i zgorzknieć, bez przerwy rzucając mięsem i przeklinając cały świat. Ale te kartki i listy podniosły mnie na duchu, dodały mi energii i siły. Zawsze głosiłem ideę integralności oddziału. Te słowa wracały do mnie za kratami, kiedy przychodziła poczta, i dzięki temu wiem, że osiągnąłem coś wspaniałego.

SEALsi, których wybrałem i wyszkoliłem, są przecież moim prawdziwym dziedzictwem. I mimo podejmowanych przez marynarkę prób przekreślenia znacznej części tego, co wymyśliłem, to dziedzictwo jest wciąż żywe. Oczywiście, pewne rzeczy się zmieniły. Team Six jest dużo bardziej konwencjonalny, niż był za moich czasów. Teraz to olbrzymia jednostka, ponadtrzykrotnie większa niż wtedy, kiedy nią dowodziłem - i równie ciężka do ruszenia jak Delta Force. Red Celi nadal istnieje. Ale akc«tit przesunięto z „pokażcie" na „opowiedzcie". Nie mają aż tylu prawdziwych ćwiczeń - a kiedy już mają, to scenariusze są opracowywane tak, żeby dowódcy baz częściej wygrywali, niż przegrywali.

Ale ludzie, których wybrałem i wyszkoliłem, przekazują dalej to, czego ich nauczyłem: przekazują to nowemu pokoleniu SEALsów. Część chłopaków, których wybierałem na najmłodsze szeregowo mięso armatnie, to teraz starsi chorążowie z najdłuższym stażem, komandorowie podporucznicy i komandorowie porucznicy. I niczym partyzanci działają po cichu wewnątrz systemu, tworząc jednostki działań specjalnych w sposób, jakiego ich nauczyłem. Dostaję od nich wiadomości na temat tego, jak im idzie. Nauczyli się robić to po mojemu. Kiedy moi SEALsi opracowują dziś plany swoich operacji, nie planują „mustinów” - planują „marcinki”.

Jeśli chodzi o przyszłość, to zawsze żartowałem, że trzeba przekształcić SEAL Team Six w biznes. „Zadzwoń - przydzwonimy”. RBNP SA - Rozwalamy Bandytów na Potęgę Spółka Akcyjna.

To wcale nie musi być fikcja. Amerykańskie władze mają swoje wytyczne, a wytyczne te mówią, że w ramach realizacji polityki państwa zabijanie jest niedopuszczalne. Mają zasady, które stanowią, że nieprzyjacielskie cele, takie jak fabryki broni chemicznej, wytwórnie

477

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

i składy broni jądrowej, można atakować jedynie w ramach prowadzonych lege artis akcji zbrojnych. Ale co w sytuacji, kiedy jakieś supermocarstwo, na przykład Stany Zjednoczone, staje naprzeciw kogoś takiego jak Muammar Kaddafi, Manuel Noriega czy Saddam Husajn?

Izraelczycy potrafią stosować siły specjalne do uderzeń wyprzedzających skierowanych przeciwko określonym celom - tak zrobili, kiedy w kwietniu 1988 roku połączona jednostka Mosadu i komandosów izraelskiej armii zabiła terrorystę numer dwa z OWP Abu Dżihada w jego domu w Tunisie. Inne państwa, w tym Francja i Wielka Brytania, również dokonywały potajemnych ataków na obce cele - zarówno na osoby, jak i na obiekty. Sowieci też znani są z aktywnie prowadzonej kampanii tajnych operacji. Jednakże Stany Zjednoczone zawsze były niechętne toczeniu tego rodzaju wojen prowadzonych w cieniu.

Sposobem na to, by Amerykanie mogli odpowiadać na ataki, a jednocześnie oficjalnie zachowywali czyste ręce, mogłoby być zlecenie przeprowadzania tajnych ataków podwykonawcom. Zamiast zatem rozpoczynać skomplikowaną, kosztowną, poważną operację wojskową na przykład przeciwko Muammarowi Kaddafiemu, powierzcie to zadanie firmie Demo Dicka, RBNP SA. Wystarczy jeden telefon: 1-800-SEAL TO MY.

Pomyślcie: mam znajomych, którzy byli w SEAL Team Six i potrafią pilotować każdy rodzaj samolotu: od cessny przez boeinga 737 po HH-53H. Mam własną siatkę wywiadowczą. Mogę mieć dostęp do specjalistycznego sprzętu. Wszystkie te elementy da się łatwo zdobyć i zorganizować poza strukturami wojska. Znalezienie personelu również nie stanowi problemu: najtrudniejszy byłby wybór tej wąskiej grupki, która miałaby stanowić moją ostateczną wersję zespołu.

W RBNP potrafilibyśmy wykonać robotę perfekcyjnie: byłiby to ludzie gotowi na wszystko. Maksymalnie dwa plutony. Cztery załogi łodzi. Czternaście dwójek. Pomagalibyśmy sobie zgodnie z prawem Barretta. Infiltracja na wrogie terytorium odbywałaby się w grupach po dwóch albo po czterech, drogą morską, powietrzną lub lądową. Jak w SEAL-sach. Utrzymywalibyśmy się dzięki temu, co byśmy zdobyli w terenie.

478

ROZDZIAŁ 2

Atakowalibyśmy, wchodząc tylnym wejściem - jak na wyspie Ilo-Ilo. Prowadzilibyśmy działania wywiadowcze - jak SEAL Team Six. Obserwowalibyśmy schematy zachowań - jak Red Celi.

Po czym, kiedy uznalibyśmy, że jesteśmy gotowi, wyskakiwalibyśmy z nienacka. Strzelalibyśmy i napierdzielali. Wymykalibyśmy się tylnym wejściem. A gdyby nas złapali? Trudno: znaliśmy ryzyko. Wiedzieliśmy, że jesteśmy mięsem armatnim - środkami, które można spisać na straty. A rząd nadal mógłby udawać, że ma czyste ręce. Trzeba wysadzić tę czy inną fabrykę broni chemicznej Kaddafiego? Schwycić Manuela Norie-gę? Zmieść z powierzchni ziemi irackie obiekty jądrowe w Bagdadzie?

W takim razie, panie prezydencie, panie sekretarzu obrony, panie przewodniczący Kolegium Połączonych Szefów Sztabów, panie szefie operacji morskich - dzwońcie, a my przydzwonimy. Ale - połowa płatna z góry,/eśli łaska.

To wcale nie musi być fikcja. Wierzcie mi.

Na Boże Narodzenie 1990 roku dano mi pięciodniową przepustkę. Spędziłem ten czas w swojej kawalerce na starym mieście, odwiedzając znajomych, których nie widziałem od miesiący, gotując potworne ilości pikantnych potraw, delektując się pierwszym od ośmiu miesięcy stekiem z polędwicy wołowej, rozkoszując się swobodą układania własnego pozbawionego jakiegokolwiek nadzoru planu dnia i ciesząc się atmosferą świąt.

W Wigilię miałem gościa. Będę go nazywał Tony Mercaldi. Tony pracuje dla jednej z tych tajemniczych agencji, których telefonów nie znajdzie się w żadnym wykazie instytucji państwowych. To gość z rodzaju tych, o których piszą autorzy powieści szpiegowskich - piszą

0 nich, ale nigdy nie udało im się ich spotkać. Znałem go od dawna

1 mogłem ręczyć, że jest świetny w swoim fachu.

Merc wygląda na tęgiego chłopca, ale to tylko pozory. Jeśli ktoś przyjrzy mu się dokładniej - co raczej mało prawdopodobne - zauważy, że jest nijaki i zwyczajny. Brązowe włosy, niezbyt długie, niezbyt krótkie,

479

CZEŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW

harmonizująca z nimi okrągła twarz, niewyróżniająca się niczym budowa ciała. I właśnie to sprawia, że jest tak skuteczny. Kiedy działa, nikt go nie zapamiętuje.

Wziąłem płaszcz od Tonyego, nalałem mu drinka, sam zadowolilem się niskokaloryczną pepsi (na przepustce nie wolno pić alkoholu) i usiedliśmy wygodnie na sofie.

Wzniósł toast.

- Wesołych świąt, Demo.
- Dzięki. Miło wyjrzeć na zewnątrz choć na parę dni.
- Domyślam się.

Przez chwilę rozmawialiśmy, plotkując o dawnych znajomych i śmiejąc się na wspomnienie tego, co kiedyś wspólnie robiliśmy. Miło było, że przyszedł.

Potem Tony spowaźniał. Podkreślił gałkę radia, aż głośność zaczęła być trudna do zniesienia, po czym przysunął się bliżej mnie.

- A co byś powiedział na stały urlop z Petersburga?
- Pod warunkiem że z kociakami.
- Mówię poważnie.
- Ja też. Zresztą, Merc, naprawdę nie wiem. Dobrze zarabiam, uczę się zawodu. Na wiosnę będzie ze mnie ogrodnik pełną gębą.

Roześmiał się.

- Już masz zawód.

-Jaki?

- Włamywanie się do najważniejszych obiektów. O ile pamiętam, byłeś pod tym względem istnym utrapieniem.

- A, to.

- Tak, to. - Ściszył głos. - Mamy problem, Dick. Oglądasz wiadomości. Wiesz, co się dzieje w Iraku. Będzie wojna. Będą ginąć ludzie.

-No i?

- Nie miałbyś ochoty nam pomóc?
- To zależy - powiedziałem.
- Od czego?
- Od warunków. I od problemu.

ROZDZIAŁ 2

- Problem jest taki: ustaliliśmy pewną liczbę potencjalnych celów w okolicy Bagdadu, które trzeba zweryfikować i wyeliminować...
- Wyeliminować?
- Albo wyprowadzić (co wydaje mi się nierealne, ale wiesz, jak się na to krzywią faceci od przygotowywania scenariuszy), albo rozwalić na miejscu.

Kiwnąłem głową. To się dało zrobić.

- Okej. Jak to wygląda w liczbach?
- Spece od gier wojennych oceniają, że będzie 80 procent ofiar, jeśli wyślą Team Six.
- Cholernie dużo.
- Sporo się zmieniło od czasu, kiedy byłeś dowódcą. Dużo, dużo trudniej to robić. Plany przechodzą przez kolejne sита, a na końcu są kompletnie r/zpieprzone.
- I dlatego chcesz, żebym ja się tym zajął?

Kiwnął głową.

- Niektórzy u nas liczą, że przy tobie ofiar nie byłoby więcej niż 40 procent.

Uśmiechnąłem się cierpko.

- Miło słyszeć, że komuś jeszcze zależy, żeby wysyłać najlepszych. Jak by to miało wyglądać?
- Ponieważ działalibyście przeciwko celom wojskowym, najlepiej by było, gdybyś włożył z powrotem swój dawny mundur. Dzięki temu wszystko będzie oficjalne. W końcu to cele wojskowe.
- Odpowiem krótko: pieprzcie się, wypierdki. Nie ma mowy. Świr, którego znasz, ten dupek z gównem zamiast mózgu, czegoś się w końcu nauczył i wiele go to kosztowało. Marynarka wydała już raz miliony dolarów, chcąc mnie okantować. Nie dam jej drugiej szansy. Nie włożę więcej munduru.

Merc podniósł dłoń.

- Rozumiem, Dick. Wiedziałem, że to powiesz, ale kazali mi zapytać. - Łyknął drinka. - A na jakich warunkach mógłbyś się tego ewentualnie podjąć?

Myślałem przez chwilę.

- Sam wybieram ludzi, sam ustalam zasady. Nieograniczony budżet. Wy określacie cel. Ustalacie termin. A potem zostawiacie mnie w spokoju.

- Przekażę im. - Sięgnął do gałki i ściszył radio, wstał i wziął płaszcz z krzesła, na które go rzuciłem. - Trzymaj się, brachu. Odezwę się.

Przepustka skończyła się wieczorem 26 grudnia, kiedy stawilem się w przyjemnym i przezabawnym budynku federalnego zakładu karnego w Petersburgu. Nadeszła połowa stycznia. Wkrótce potem operacja „Desert Shield” („Pustynna Tarcza”) zamieniła się w operację „Desert Storm” („Pustynna Burza”). A ja ciągle za kratami. Ale może to wszystko nie musiała być fikcja: Tony w końcu znowu dał znak.

Na walentynki dostałem kartkę napisaną znanym charakterem pisma. Jakoś do mnie dotarła mimo więziennych rygorów. Enigmatyczna wiadomość była krótka: „Dear French Fuck - Cease”, co po angielsku oznacza rzecz równie słodką, jak nieprzyzwoitą, ale przeczytane na głos po francusku i tak zapisane „Fuck Cease” staje się „Phoque Six”, a „phoque” to „foka”, czyli - z powrotem po angielsku - „seal”. SEAL Six.

„Ale pamiętaj zawsze, co powiedział ci Tommy H.”. I podpis: „Aż zobaczymy się znowu w lepszych okolicznościach”. Porwałem kartkę na strzępy i spuściłem do sedesu.

Thomas Hayward to szef operacji morskich, który dał mi moją jednostkę. To on mi powiedział:

- Dick, nie nawal.

A „lepsze okoliczności”? O, ta myśl bardzo mi się podobała.

Więc pieprz się, marynarko - łączę stosowne epitety. Wrócę... ale nie w mundurze. I nie nawalę.

Słowniczek

;

ARVN: amerykański skrótowiec oznaczający Armię Republiki Wietnamu, siły zbrojne Wietnamu Południowego, wspólnie z Amerykanami prowadzące działania wojenne przeciwko agresji komunistycznego Wietnamu Północnego.

Black Hawk zob. MH-60.

Boomer: potoczna nazwa okrętów podwodnych uzbrojonych w pociski balistyczne, zwłaszcza należących do amerykańskiego morskiego systemu balistycznego pierwszej generacji.

Budweiser (trident - trójząb): odznaka przyznawana wykwalifikowanym operatorom US Navy SEALs, symbol i insygnia tej jednostki. Budweiser to jej potoczna nazwa (przypomina logo piwa tej marki). Emblem przedstawia pistolet, kotwicę, trójząb i orła. W US Navy

pozostałe odznaki wojskowe podoficerów i szeregowych są srebrne, a oficerów złote. Budweiser jest jedynym złotym emblematem marynarki wojennej noszonym zarówno przez oficerów, jak i żołnierzy niższych rangą.

483

SŁOWNICZEK

BUPERS: BUreau of PERSonnel - biuro personalne zarządzające kadrami w amerykańskim wojsku.

C-130 (Hercules): amerykański czterosilnikowy wojskowy samolot transportowy o napędzie turbośmigłowym, którego pierwsza wersja została opracowana przez wytwórnię Lockheed w roku 1951; w wielu odmianach jest nadal wykorzystywany na całym świecie.

C-141 (StarLifter): amerykański czterosilnikowy wojskowy samolot transportowy o napędzie turbowentylatorowym i zasięgu 8000 kilometrów produkowany przez wytwórnię Lockheed. Wycofany z użytku w roku 2006.

C-47 (Spooky): samolot transportowy używany podczas wojny wietnamskiej do realizacji zadań wsparcia ogniowego, zwany także Puff the Magic Dragon (Magiczny Smok Pyk-pyk - od tytułu popularnej piosenki), uzbrojony m.in. w działka rotacyjne systemu Gatlinga M-61 Vulcan kalibru 20 mm.

C-5A (Galaxy): amerykański ciężki wojskowy samolot transportowy zbudowany przez wytwórnię Lockheed, zaprojektowany do międzykontynentalnego transportu jako następcę C-141 StarLiftera.

CINCLANT: Commander-IN-Chief, AtLANTic Command - głównodowodzący Sił Zbrojnych na Atlantyku.

CINCLANTFLT: Commander-IN-Chief, AtLANTic FLeeT - głównodowodzący Floty Atlantyckiej.

CINCPACFLT: Commander-IN-Chief, PACific FLeeT - głównodowodzący Floty Pacyfiku.

CNO: chief of naval operations - szef operacji morskich.

484

SŁOWNICZEK

COMNAVSPECWARGRU: COMmander, NAVal SPECial WARfare GRoUp - Dowództwo Grupy Działań Specjalnych Marynarki Wojennej.

COMPHIBTRALANT: COMmander, AmPHIBious TRaining Command, AtLANTic - Dowództwo Szkoleń Desantowych, Atlantyk.

Delta zob. SFOD-D.

E&E: evade and escape - techniki przetrwania, unikania i ucieczki.

EC-130: odmiana samolotu C-130 pełniąca funkcję samolotu cysterny.

EC-130E: odmiana samolotu C-130 przystosowana na potrzeby US Navy lub Air Force jako samolot dowodzenia, kierowania i łączności.

ELINT: ELectronic INTelligence - wywiad elektroniczny.

EOD: explosives ordnance disposal - unieszkodliwianie i niszczenie materiałów i ładunków wybuchowych.

F/A-18 (Hornet): amerykański naddźwiękowy dwusilnikowy samolot myśliwsko-szturmowy.

F-14 (Tomcat): amerykański naddźwiękowy dwusilnikowy myśliwiec US Navy mogący wykonywać operacje powietrzne z pokładu lotniskowca.

GIGN: Groupe d'Intervention de la Gendarmerie Nationale - francuska jednostka antyterrorystyczna.

GIS: Gruppo di Intervento Speciale - jednostka antyterrorystyczna włoskich carabinieri.

485

SŁOWNICZEK

GM/G: gunners mate, guns - specjalista od uzbrojenia ze specjalnością: działa.

GSG 9: Grenzschutzgruppe 9 - jednostka antyterrorystyczna niemieckiej straży granicznej.

HAHO: high altitude high opening - duża wysokość, wysokie otwarcie, technika skoku z wysokości 7500-10 500 metrów, polegająca na szybkim otwarciu spadochronu po wyskoczeniu z samolotu (wysoko w powietrzu).

HALO: high altitude low opening - duża wysokość, niskie otwarcie, zrzut spadochronowy dostaw, sprzętu lub ludzi techniką swobodnego spadania. Otwarcie spadochronu następuje nisko nad ziemią, co pozwala bezpiecznie wylądować w wyznaczonym celu.

Hercules zob. C-130.

HH-53: jedna z odmian helikoptera Sikorsky CH-53 Sea Stallion przystosowana do operacji specjalnych, stosowana jeszcze do niedawna od lat siedemdziesiątych XX wieku.

HK: broń produkowana przez wytwórnię Heckler & Koch; zwykle skrót ten oznacza pistolet maszynowy kalibru 9 mm.

HRT: Hostage Rescue Team - Zespół Ratowania Zakładników.

Huey: potoczna nazwa amerykańskiego śmigłowca wielozadaniowego Bell UH-1 Iroquois.

HUMINT: HUMAN INTELLIGENCE - wywiad osobowy zbierany przez agentów.

Hydra-shok: niezwykle śmiertelna amunicja z wgłębieniem na czubku pocisku, produkowana przez firmę Federal Cartridge.

486

SŁOWNICZEK

IBL: inflatable boat, large - duży ponton.

IBS: inflatable boat, small - mały ponton.

IED: improvised explosive device - improwizowane urządzenie wybuchowe.

JCS: Joint Chiefs of Staff - Kolegium Połączonych Szefów Sztabów.

JSOC (skrót wymawiany „dżej-sok”): Joint Special Operations Command - Połączone Dowództwo Operacji Specjalnych.

JTF: Joint Task Force - Połączone Siły Operacyjne. ;

Jumpmaster: skoczek spadochronowy z uprawnieniami do kierowania skokami spadochronowymi.

Kampfschwimmerkompanie: jednostka pływaczy bojowych będąca zachodniemieckim odpowiednikiem SEALsów.

KC-135: latająca cysterna US Air Forces.

KH-11: satelita szpiegowski NSA (Agencji Bezpieczeństwa Narodowego).

Komodor: stopień wojskowy marynarki wojennej (lub pochodzący od niego nieformalny tytuł) używany głównie w krajach anglosaskich, wyższy od komandora, lecz niższy od stopni admirałskich, przysługujący dowódcom zespołów okrętów wojennych (w wypadku SEALsów tytuł honorowy przyznawany najbardziej doświadczonemu i szanowanemu komandorowi sprawującemu operacyjne dowództwo Naval Special Warfare Group).

LANTFLT: AtLANTic FLeeT - Flota Atlantycka.

487

SŁOWNICZEK

LCM: landing craft, medium (mike boat) - średnia barka desantowa.

LCPL: landing craft personnel, large - duża barka desantowa.

LSD: landing ship, dock - okręt uderzeniowy' desantu morskiego.

M16: amerykański karabinek automatyczny kalibru .223 cala, podstawowa broń amerykańskiej armii używana m.in. w Wietnamie.

M60: amerykański karabin maszynowy kalibru 7,62 mm.

MAC M10 (Ingram): amerykański pistolet maszynowy w dwóch odmianach kalibru: .45 cala lub 9 mm.

MC-130: powstały na bazie modelu C-130 Hercules samolot US Air Force do operacji specjalnych produkowany przez wytwórnię Lockheed.

MH-60 (Black Hawk): wojskowa odmiana helikoptera wielozadaniowego Sikorsky UH-60 wykorzystywana m.in. do operacji specjalnych.

MOB-6: MOBility-6, nazwa dwóch plutonów SEAL Team Two, które szkoliły się w zakresie działań antyterrorystycznych; protoplasta SEAL Team Six.

MP5: pistolet maszynowy HK często stosowany przez jednostki antyterrorystyczne, w tym SEAL Team Six i GSG 9.

NAVSPECWARGRU: NAVal SPECial WARfare GRoUp - Grupa Działań Specjalnych Marynarki Wojennej (obecnie istnieją cztery takie grupy: Group One i Three z bazą w Coronado w Kalifornii oraz Group Two i Four z bazą w Little Creek w Wirginii).

NSIC: Naval Security and Investigative Command - Dowództwo Ochrony i Służby Śledczej Marynarki.

488

SŁOWNICZEK

OP-06: Office of the Deputy Chief of Naval Operations, Current Plans and Policy Branch - Biuro Zastępcy Szefa Operacji Morskich, wydział planowania bieżącego i strategii.

OP-O6B: Director, Politico-Military Policy and Current Plans Division, Office of the Deputy Chief of Naval Operations for Plans, Policy and Operations - dyrektor wydziału strategii polityczno-wojskowej i planowania bieżącego Biura Zastępcy Szefa Operacji Morskich do spraw Planowania, Strategii i Operacji.

OP-OóD: oficjalne oznaczenie Red Celi w strukturach marynarki.

PBR: patrol boat, river - rzeczna łódź patrolowa.

PRC-101: pjenosny zestaw łączności satelitarnej.

PROCOM: PROVincial COMmander - komendant regionu; w Wietnamie oficer ARVN-u odpowiadający nominalnie za dany region.

PSC-1: portable satellite communications - terminal przenośnej łączności satelitarnej.

RH-53D (Pave Low): jedna z odmian helikoptera Sikorsky CH-53 przeznaczona do operacji specjalnych i stawiania min.

RPG: rocket-propelled grenade - ręczny granatnik przeciwpancerny produkcji rosyjskiej. RPG może miotać różnorodnymi głowicami bojowymi, m.in. przeciwpancernymi i przeciwpiechotnymi.

SAS: Special Air Service - brytyjska elitarna jednostka specjalna; jej motto brzmi: „Who dares, wins” („Śmiali zwyciężają”).

SATCOM: SATellite COMMunications - przenośna radiostacja satelitarna z modułem szyfrującym wykorzystywana przez SEALsów.

489

SŁOWNICZEK

SBS: Special Boat Service (do roku 1977 Special Boat Service, do 1987 Special Boat Squadron) - brytyjska elitarna jednostka specjalna przeznaczona do działań morskich (do roku 1987 podporządkowana dowództwu Royal Marines, obecnie jest częścią United Kingdom Special Forces Group).

SCIF: sensitive compartmented information facility - obiekt przeznaczony do wydzielonych tajnych informacji.

SEALsi: członkowie elitarniej jednostki komandosów Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych prowadzący operacje na morzu, w powietrzu i na lądzie (SEa, Air, Land), najbardziej elitarniej tego typu jednostki w całym arsenale amerykańskich sił zbrojnych. W chwili jej utworzenia w 1962 roku operatorów w jednym z dwóch teamów było zaledwie około pięćdziesięciu. W slangu SEALsów akronim ten rozwija się jako „Sleep, EAt, and Live it up” („Śpij, jedz i stań na wysokości zadania”).

Seawolf: potoczna nazwa śmigłowca Bell UH-1 należącego do jednostki HA(L)-3 (Helicopter Attack Light Squadron Three), eskadry helikopterów US Navy działającej w czasie wojny w Wietnamie.

SFOD-D: 1st Special Forces Operational Detachment-Delta (Delta Force, Delta) - elitarna jednostka komandosów Wojsk Lądowych Stanów Zjednoczonych, stworzona przez pułkownika Charlesa Beckwitha.

SIGINT: SIGnals INTelligence - wywiad sygnałowy (rozpoznanie techniczne), informacje wywiadowcze zdobywane dzięki przechwytywaniu sygnałów pomiędzy ludźmi (rozpoznanie komunikacyjne) i sygnałów elektronicznych (rozpoznanie elektroniczne).

Smith & Wesson: jeden z największych producentów broni na świecie; SEAL Team Six używał rewolweru Smith & Wesson kalibru .357 cala, model 66 ze stali nierdzewnej z czterocalową lufą.

490

SŁOWNICZEK

SOSUS: Sound Surveillance System - amerykański system monitorujący sensory akustyczne rozmieszczone na dnie oceanu przeciwko nieprzyjacielskim okrętom podwodnym.

SpecWar: Special Warfare - działania specjalne, techniki stosowane przez operatorów lub społeczność oddziałów specjalnych.

Spooky zob. C-47.

SR-71 (Blackbird): amerykański dwusilnikowy turboodrzućowy samolot dalekiego zwiadu strategicznego (szpiegowski) prowadzący obserwację z wysokiego pułapu. Produkowany przez wytwórnice Lockheed, wycofany z użyciu w roku 1998. ;

STAB: SEAL tactical assault boat - taktyczna łódź szturmowa SEAL.

StarLifter zob. C-141.

STOL: short take-off and landing - typ samolotów zdolnych do startu i lądowania na krótkim pasie startowym.

SURFLANT: SURface Force AtLANTic - Dowództwo Sił Nawodnych Floty Atlantyckiej.

SWAT: Special Weapons and Tactics - Specjalna Broń i Taktyka, wyspecjalizowane (m.in. w działaniach antyterrorystycznych) jednostki organów ochrony porządku publicznego.

TAT: Terrorist Action Team - oddział do spraw działań terrorystycznych.

TECHINT: TECHnical INTelligence - wywiad techniczny, dotyczący technologii używanych przy produkcji i działaniu broni i wyposażenia nieprzyjacielskich wojsk.

491

SŁOWNICZEK

Trident: potoczna nazwa atomowych okrętów podwodnych uzbrojonych w pociski balistyczne typu trident II D-5 (trzeciej generacji) z głowicami termojądrowymi.

UDT: Underwater Demolition Team, Podwodny Zespół Niszczycielski -pierwsi pletwonurkowie bojowi, poprzednicy SEALsów, wyspecjalizowani w morskim sabotażu i rozpoznaniu. Uczestniczyli także w programie kosmicznym NASA przy wyławianiu kapsuł spadających do oceanu po misjach kosmicznych.

Spis treści

;

John Weisman, Przedmowa 11

CZĘŚĆ PIERWSZA. ŚWIR

Rozdział 1 17

Rozdział 2	33
Rozdział 3	54
Rozdział 4	66
Rozdział 5	87
Rozdział 6	98
Rozdział 7	117
Rozdział 8	132
Rozdział 9	148
Rozdział 10.....	164
CZĘŚĆ DRUGA. UNODIR - W RAZIE BRAKU INNYCH ROZKAZÓW	
Rozdział 11	185
Rozdział 12	210
Rozdział 13	223
Rozdział 14	237